NA POLSKIEJ ZIEMI

ATTILA SZALAI

WSPOMNIENIA, DZIENNIKI Z LAT 1976–1990

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

TOM 1

1976–1981

NA POLSKIEJ ZIEMI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU
INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ
IM. WACŁAWA FELCZAKA

Attila Szalai

NA POLSKIEJ ZIEMI

Wspomnienia, dzienniki z lat 1976–1990

Tom 1 1976–1981

Tłumaczenie
Krzysztof Wołosiuk

WARSZAWA 2022

Wydanie oryginalne: Szalai Attila, *Lengyel földön. Emlékek, naplók 1976–1990*, Budapest 2018

Recenzenci: *dr hab. Maciej Szymanowski*, *prof. István Kovács*

Tłumaczenie: *Krzysztof Wołosiuk*

Przypisy: *Maria Zima*

Redakcja: *Łucja Czepulonis*

Korekta: *Katarzyna Ziębik*

Indeks osób: *Łucja Czepulonis, Łukasz Rybak*

Projekt okładki: *Sylwia Szafrańska*

Skład i łamanie: *Marcin Koc*

Zdjęcia na okładce: Narodowe Archiwum Cyfrowe, ze zbiorów rodziny Attili Szalaiego
Wydawnictwo informuje, że dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kc w celu odnalezienia aktualnego dysponenta autorskich praw majątkowych do fotografii. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku w niektórych przypadkach poszukiwania te nie przyniosły rezultatu, wydawnictwo zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu ich wykorzystania aktualnemu dysponentowi autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po jego zgłoszeniu się do wydawnictwa.

© Copyright by Szalai Attila

© Copyright for this edition: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2022 & Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, 2022

ISBN dla pdf: 978-83-8459-044-7

Zapraszamy

ipn.gov.pl

ksiegarniaipn.pl

SPIS TREŚCI

Przedmowa 7

1976 11

1977 43

1978 73

1979 147

1980 235

1981 297

Indeks osób 375

PRZEDMOWA

Czuję się zaszczycony, że mogę nazwać Attilę Szalaiego swoim przyjacielem. Ta krótka przedmowa będzie więc o wiele bardziej osobista niż typowy wstęp do publikacji naukowej. Jest to bowiem książka wyjątkowa – podobnie jak jej autor.

A kim jest autor? Znam go od połowy lat dziewięćdziesiątych – jako młody dziennikarz spotkałem go po raz pierwszy w Budapeszcie. Był wtedy redaktorem naczelnym „Új Magyarország", jedynego wówczas prawicowego dziennika na Węgrzech. Potem rozpoczął służbę dyplomatyczną jako pracownik Ambasady Węgier w Warszawie. Do Polski wrócił jeszcze jako dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury, a także – po małej zmianie – ponownie jako dyplomata. Pisarz, tłumacz literacki, dziennikarz, redaktor, polonista, historyk, działacz opozycyjny, animator życia kulturalnego, zapalony diarysta i pasjonat fotografii – to fakty z jego biografii.

Dla mnie i dla całego pokolenia hungarystów Attila Szalai był jednak przede wszystkim mentorem. Uosabiał wszystkie cechy, które zgodnie z wyobrażeniem Polaków są właściwe stereotypowemu Węgrowi. Można było o nim powiedzieć, że jest świetnym kompanem i do szabli, i do szklanki. Był przyjacielem całego narodu polskiego i każdego Polaka z osobna, a ich przeciwników politycznych nienawidził tak mocno, jak kochał swoich bratanków. Jego miłość do życia, waleczny charakter, upór, prawdziwa wiara, zaangażowanie, poczucie humoru, dosadne anegdoty przywodzą na myśl pamiętniki jego ulubionego autora, Jana Chryzostoma Paska, lub Sienkiewiczowskiego Zagłobę. Myślę, że sam Attila nie miałby nic przeciwko takim porównaniom.

Rękopis całego dziennika, którego pierwszy tom trafia teraz do rąk polskich czytelników, liczy ponad trzy tysiące stron i obejmuje półtorej dekady. Opisuje jeden z decydujących okresów XX wieku, czyli prawie piętnaście lat przed transformacją ustrojową, które autor – z krótkimi przerwami – spędził w Polsce. Attila starał się bywać wszędzie, tłumaczył, przekazywał informacje, relacjonował, przygotowywał samizdaty, nawiązywał kontakty, komentował, a w tym czasie dokumentował to, jak tworzy się historia. W swoim dzienniku przedstawia nie tylko dylematy, wątpliwości, sukcesy i porażki związane z narodzinami wolnej Polski, lecz także to, jak on sam radził sobie w gospodarce niedoboru, jakich prac się podejmował na czarno oraz jak smakowało piwo w warszawskich zakładach gastronomicznych klasy „0".

Z zapisków Szalaiego można wywnioskować, że spośród wielu wykonywanych zajęć najbliższy jego sercu był zawód pisarza i dziennikarza. Polskich czytelników dziennik zainteresuje zapewne nie tylko ze względu na porywający, potoczysty styl autora. Nie jest to pamiętnik polityczny, Bildungsroman, mikrohistoria ani historiozofia – raczej wszystko naraz. Nie jest to też suchy materiał źródłowy (zresztą powstało już wiele świetnych opracowań dotyczących tego okresu), pokazuje nam bowiem, co myślał wówczas syn zaprzyjaźnionego narodu o Polsce, historii i przyjaźni polsko-węgierskiej. Autora można nawet nazwać przeciwieństwem Tacyta, ponieważ nie ma tu mowy o obiektywizmie – Szalai pisze z gniewem i pasją. Historię opisuje nie z dystansu, ale też nie jako ktoś całkowicie wtajemniczony. Wydarzenia relacjonuje, starając się dokładnie oddać to, co przeżywał wtedy on sam – patriota żywo zainteresowany polityką i życiem społecznym. Szalai był wszakże prawdziwym patriotą. W dodatku zarówno polskim, jak i węgierskim – że jest to możliwe, mogą potwierdzić wszyscy ci, którzy go poznali.

Autor do ostatniej chwili pisał, angażował się, pracował. Kiedy pojawił się pomysł wydania dziennika w Polsce, Attila był już ciężko chory, a mimo to planował, że pojawi się na premierze i przy okazji jeszcze raz odwiedzi ukochane jeziora mazurskie. Teraz może to zrobić już jedynie przez tę książkę.

Jestem wdzięczny Instytutowi Pamięci Narodowej za to, że podjął się publikacji tego tomu i z właściwą sobie starannością zadbał o jego przygotowanie. Mam nadzieję, że po lekturze polscy odbiorcy również zobaczą w osobie Attili Szalaiego prawdziwego przyjaciela.

Maciej Szymanowski
Dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej
im. Wacława Felczaka

Mojej rodzinie, dzieciom, przyjaciołom

Najkrótsze i najbardziej niespokojne jest życie tych,
którzy zapominają o przeszłości, lekceważąc teraźniejszość,
lękają się przyszłości. Kiedy dochodzą do kresu, zbyt późno pojmują,
nieszczęśni, że byli tak długo zajęci, niczego nie robiąc.
Seneka, *O krótkości życia*

1976

12 września 1976, Budapeszt

Po dziewięciu miesiącach doczekaliśmy się szczęśliwego rozwiązania: dostałem paszport konsularny. Od ponad roku jestem człowiekiem żonatym, ale dotąd musiałem żyć ze swoją ślubną na odległość. Tak wygląda w praktyce ludzka twarz internacjonalizmu proletariackiego. Nasi drodzy towarzysze także w tym wypadku kłamali w żywe oczy. Zastanawiam się, ile zajęłyby te wszystkie formalności, gdybym przenosił się na Zachód, a nie do sojuszniczego państwa demokracji ludowej. W urzędzie do spraw cudzoziemców nie oszczędzono mi zwyczajowej pogadanki, musiałem tłumaczyć, dlaczego to ja wyjeżdżam do Warszawy, a nie żona do mnie. Po sześciu miesiącach czekania i kilku niecierpliwych telefonach kazano mi wyjaśnić na piśmie, dlaczego uważam swój przypadek za pilny. Co im miałem odpowiedzieć? Że jestem zakochany? Że na samą myśl o niej zaczynam chodzić po ścianach? Co ich to do licha obchodzi? Skłamałem więc, że Jola zaszła w ciążę. Pomyślałem, że jeśli sprawa będzie się przeciągać, a urząd zażąda dowodów, będę dalej brnął w kłamstwo i powiem, że poroniła. Miałem cichą nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo niechętnie uciekałbym się do podobnych blagierstw, nawet jeśli zmusza mnie do nich wszechwładna czerwona bezpieka.

Zachodzę przy tym w głowę, skąd się u nich bierze ta nieufność do Polaków? Moje tropy mogą być mylne, ale niech tam, snucia domysłów nikt mi nie zabroni.

Bo właściwie co to za kraj, do którego zamierzam się przenieść?

Otóż mowa o państwie, które wyszło z wojny po stronie zwycięzców. Owszem, alianci oddali je pod kuratelę Stalina, ale oni przecież już w trzydziestym dziewiątym nie chcieli umierać za Gdańsk, więc czego się można było spodziewać po sześciu latach wojny? Mowa o kraju, w którym kilka oddziałów Armii Krajowej walczyło ładnych parę lat przeciwko komunistom (i zostało za to okrutnie ukaranych), choć w dzisiejszych polskich podręcznikach do historii określa się je jako „bandy faszystowskie".

Wybieram się do kraju, gdzie na przekór panoszącej się komunie osiemdziesiąt procent ziemi pozostaje w rękach rolników, kwitną prywatne rzemiosło i drobny handel, a i małe przedsiębiorstwa nieźle sobie radzą, a do tego – o zgrozo! – w państwie tym, przynajmniej na papierze, dopuszcza się istnienie więcej niż jednej partii. Owszem, ZSL

i Stronnictwo Demokratyczne nie mają wiele do gadania, przywódców muszą wybierać „w porozumieniu" z PZPR-em, a pewnie także z KGB, liczba ich członków jest ograniczona, a samo istnienie iluzoryczne, ale jednak… Mają swoje skromne gazety, kluby, zebrania, niekiedy udaje im się prześlizgnąć przez sito totalnej kontroli.

No i Kościół!

Udaję się do kraju, w którym funkcjonują zakony, a świątynie są pełne ludzi – i to nie tylko starszych. Polski prymas – podobnie jak nasz – został internowany w latach pięćdziesiątych, ale nie schronił się w ambasadzie amerykańskiej, tylko wrócił do życia publicznego, pozostał pasterzem swojej owczarni. Mało tego, u komunistycznych koryfeuszy udało mu się wywalczyć suwerenność dla Kościoła. Działają więc kluby dyskusyjne, wychodzą gazety katolickie, jak choćby „Tygodnik Powszechny" w Krakowie, a warszawskie „Słowo", skromne, bo skromne, ukazuje się codziennie. Owszem, czerwoni co i rusz obniżają nakłady pod pokrętnym pretekstem „niedostatku papieru", a liczba prenumeratorów – zwłaszcza w wypadku najgroźniejszego „Tygodnika Powszechnego" – podlega wyraźnym obostrzeniom: abonament na gazetę można uzyskać tylko wówczas, gdy zwolni się miejsce (innymi słowy, gdy któryś z przedpłatników umrze). Mimo to wspomniane tytuły mają rzesze czytelników: ludzie przekazują sobie egzemplarze, komentowanie zamieszczonych tam artykułów należy do dobrego tonu w lepszych środowiskach.

Wyruszam do kraju, w którym najmłodsze pokolenia wstępują do harcerstwa, a nie do zastępów pionierów. Ileż to razy mój świętej pamięci ojciec wspominał polskich skautów, z którymi zaprzyjaźnił się podczas jednego ze zlotów w Gödöllő w 1933 roku! Nie można wprawdzie stawiać znaku równości między peerelowskimi drużynami harcerskimi a organizacją Baden-Powella, ale z całą pewnością bliższe są one ideałowi klasycznego skautingu niż ruch małych doboszów czy pionierów. Harcerze polscy mogą się ponadto odwołać do istotnej tradycji patriotycznej, gdyż podczas drugiej wojny światowej, a zwłaszcza w czasie powstania warszawskiego młodzi chłopcy i dziewczęta, członkowie Szarych Szeregów, podobnie jak nasi *pesti srácok*, budapeszteńscy chłopcy z czasów rewolucji 1956 roku, na trwałe zapisali się w historii. I to własną krwią, której nie wywabią z pamięci ludzkiej żadne komunistyczne rozpuszczalniki i terpentyny. (Pamiętam, jak 15 marca 1968 roku, poczęstowany przez milicję „kiełbasą Kádára", czyli gumową pałką, w porywie romantycznej gorączki otarłem czoło zerwaną z piersi, podeptaną kokardą. Po dziś dzień przechowuję rozetkę w barwach narodowych, pokrytą brunatnymi plamkami, których także nie da się łatwo usunąć). Ciekawe, jak często uwagę mundurowych przykuwał otrzymany od harcerzy polskich krzyż maltański z lilijką, który noszę od ośmiu lat przypięty do ukochanej koalicyjki; kazali mi go zdejmować przy każdym legitymowaniu. Nic dziwnego, że rzucał się w oczy, połyskując tuż obok dwuszpilowej sprzączki.

Jadę do kraju, w którym jazda autostopem nie jest zakazana i gdzie nawet w latach sześćdziesiątych milicjant nie chwyciłby mnie na ulicy za kołnierz i nie zaprowadził do najbliższego fryzjera, abym dopasował długość włosów do tej z fotografii w dowodzie. Polacy mają kluby jazzowe, studenci wiodą barwny żywot, a w każdej knajpie

uczelnianej można posłuchać kapeli rockowej. Przy odrobinie szczęścia człowiek może w którymś z licznych dekaefów obejrzeć wszystkie ważniejsze dzieła kina światowego. Zgromadzenia do stu osób nie wymagają specjalnych pozwoleń. A do tego cenzura działa na zasadzie prewencyjnej: mianowany przez władzę urzędnik zaznacza w tekście miejsca, które nie mogą ukazać się drukiem. Przepisy jasno stanowią, co wolno, a czego nie wolno publikować. W ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność spada więc na cenzora, a nie na twórcę czy redakcję. Taki mechanizm jest mimo wszystko mniej szkodliwy dla duszy autora niż ciągłe dokręcanie, a potem luzowanie śruby jak u nas, kiedy to człowiek nigdy nie wie, gdzie przebiega granica. Artysta skazany na samokontrolę może niekiedy zdusić jakąś myśl, która – przelana na papier – miałaby szansę przejść przez sito cenzury.

Wyjeżdżam do kraju, w którym komuniści zdają się mieć więcej rozumu niż ci na Węgrzech. Gospodarce brak twardej waluty? Wiadomo, że ludzie mają jej sporo schowanej w materacach? No to dajmy im szansę zasilić dewizami kasę państwa, zgodnie z prawem! W polskich peweksach można kupić wszystko: od wódki po magnetofony, od whisky po dżinsy, od samochodów po mieszkania. Nikt nikogo nie pyta o nazwisko – w przeciwnym razie ludzie by się bali, a rząd nie zarobił. A że waluta zdobyta na czarno? Kogo to obchodzi? Poza tym i tak prawie wszyscy cinkciarze z okolic peweksów i hoteli to wtyki władzy. Doniosą na kogo trzeba, a jak nie, to trafią do kicia, handel dewizami jest bowiem karalny. Absurd? Owszem. Podobnie jak wlepianie mandatów ulotkarzom nie za działalność wywrotową, ale za zaśmiecanie miasta. Żeby potem Amnesty International nie wszczęła rabanu, że w Polsce narusza się prawa człowieka. Towarzysze przecież nie mają nic do wolności słowa, po prostu chcą mieć czyste chodniki – czy jest w tym coś złego? A wracając do cinkciarzy: tak zwany konik to bardzo przydatne zwierzę. Wie o wszystkim, przygląda się, donosi, a nawet daje mleko. Zwłaszcza jeśli deleguje go skarb państwa. Podobno są i tacy. Obywatel w końcu i tak załatwi sobie walutę, nie da się go pilnować dzień i noc jak dziecka. Więc co broni ją od niego wyłudzić? Wystarczy pozwolić, by wydał forsę w peweksie. Czyli oddał państwu. Tymczasem węgierska IKKA[1] emituje jakieś talony, pozwolenia, spisuje nazwiska, adresy, numery telefonów. W porównaniu z Polską także cena kupowanej na czarno waluty jest niższa.

Wyruszam do „niebezpiecznego" kraju. W końcu ledwie parę miesięcy temu, latem, przeciwko władzy proletariatu ośmielili się wystąpić robotnicy. Stanęły załogi w Ursusie i Radomiu. Podkomendni Gierka byli bliscy użycia broni – jak Gomułka i jego ludzie w 1970 roku. „Pomożecie?" – pytał wtedy nowo wybrany pierwszy sekretarz. „Pomożemy!" – wołała gromko armia „ludu pracującego", tyle już razy wyprowadzonego w pole. Partia z wdzięczności rozdawała hojną ręką, gospodarka jednak dostała

[1] IBUSZ Külföldi Kereskedelmi Akció – w okresie rządów komunistycznych na Węgrzech państwowy system obrotu dewizowego umożliwiający przekazywanie wsparcia w postaci paczek i pieniędzy przez Węgrów mieszkających w krajach zachodnich swoim bliskim w ojczyźnie. Przesyłki te można było odbierać bez opłat i cła. W PRL funkcjonował podobny mechanizm w postaci bonów PeKaO.

zadyszki. Trzeba było podnieść ceny. Podstawowe produkty spożywcze podrożały z dnia na dzień o trzydzieści, sześćdziesiąt, sto procent. Robotnicy odpowiedzieli strajkiem, podpalono kilka budynków partyjnych i urzędów oraz posterunków milicji. Wieczorem zatroskany Gierek odwołał podwyżki. A po niecałych dwóch miesiącach wprowadził na te same artykuły kartki. Najważniejsze jednak, że określające się jako demokratyczna opozycja kręgi intelektualne powołały do życia Komitet Obrony Robotników i otwarcie poparły żądania strajkujących. O ile wcześniej Gomułce udawało się napuszczać na siebie proletariat i rolników – albo w jednych i drugich budzić niechęć do inteligencji – o tyle teraz wydaje się to niemożliwe. Usłyszałem w Wolnej Europie, że do KOR-u dołączył Jerzy Andrzejewski, autor *Popiołu i diamentu*.

A może polscy towarzysze nie są wcale mądrzejsi od węgierskich? Kádár[2] jak dotąd dba, byśmy nie byli głodni. Czyżby udało mu się coś, czego nie potrafił Gierek? Mianowicie to, że trzyma system w garści, choć za pożyczone pieniądze? Warto przy okazji zapytać, kto zasila gotówką jednego i drugiego? Otóż robi to zgniły, zdradziecki Zachód! Ten sam, który przez dwa stulecia nie umiał przepędzić Turków z chrześcijańskiej Europy, Rakoczego[3] i Kościuszkę wydał na pastwę losu, Kossutha odsądzał od czci i wiary, nie rozumiał, po co Piłsudski mocuje się z bolszewikami, nie chciał umierać za Gdańsk w obliczu wojny, a w czasie rewolucji 1956 roku nie kiwnął nawet palcem w obronie Węgrów.

Boże, dajmy już spokój, bo robi mi się niedobrze.

Długo jeszcze mógłbym wyliczać różnice i podobieństwa. Oczywiście co innego zwiedzać kraj jako turysta, a co innego żyć w nim na co dzień. Wycieczki bywają krótkie, imigracja to długi i złożony proces, ogromne wyzwanie. Turysta ma wizję podróży, wie, co chce zobaczyć, czego zakosztować, na co starczy mu czasu. Zgodnie z tym planuje swój pobyt. Imigrant wyrusza w nieznane. Turysta wróci do domu i podzieli się z rodziną wrażeniami. Przy każdej opowieści będzie wskrzeszał wspomnienia. Coś dorzuci, ubarwi, okrasi albo zmyśli, w końcu mogło być i tak, i owak – nikt tego nie sprawdzi. Imigrant ściska w dłoni kawałek ojczyzny, nosi ją w sercu, żeby miał się do czego uciec, gdy zostanie sam na obcej ziemi. Wyciąga wtedy swój skarb, pokazuje innym i tłumaczy, przystawia jak lustro do odmiennych realiów nowego środowiska.

Nieważne, klamka zapadła. Wybrałem przygodę! Być może przy dłuższym pobycie

---

[2] János Kádár (1912–1989) – lider komunistów węgierskich, sekretarz generalny Komitetu Centralnego Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, w latach 1956–1988 rządził komunistycznymi Węgrami. Podczas powstania węgierskiego wicepremier w rewolucyjnym rządzie Imrego Nagya. Tuż po zdławieniu rewolucji Kádár odpowiadał za represje wobec jej uczestników, którzy byli aresztowani, osadzani w więzieniach czy otrzymywali „wilczy bilet" i musieli wyemigrować z ojczyzny. Następnie jednak Kádár objął kurs liberalizacji. To właśnie z nim kojarzone są pojęcia kadaryzm i gulaszowy komunizm. Była to łagodniejsza forma rządów komunistycznych, przeciwstawiająca się brutalnemu stalinizmowi. Po krwawo stłumionym powstaniu węgierskim w 1956 r. komuniści na Węgrzech musieli wprowadzić ustrój, w którym respektowano prawa i wolność obywatela oraz umożliwiono funkcjonowanie gospodarki częściowo wolnorynkowej.

[3] Franciszek II Rakoczy (1676–1735) – arystokrata węgierski, książę siedmiogrodzki, przywódca powstania przeciw Habsburgom w latach 1703–1711. Miał silne związki z Polską, gdzie znalazł schronienie po zdławieniu powstania.

poznam inne oblicze Polski niż to z lat włóczęgowskich. A może nabiorę tam sympatii do tego, co u nas tak bardzo mi obmierzło. Mistrz Goethe mawiał, że kto zna tylko jeden język, ten w gruncie rzeczy nie zna żadnego, bo nie ma go z czym porównać.

Czy to samo można odnieść do krajów?

2 października 1976, Budapeszt

Skończyłem dzisiaj *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego.

Wygląda na to, że do każdej książki trzeba dorosnąć. Przyznaję ze wstydem: od pięciu lat stała u mnie na półce. Parę razy sięgałem po nią, ale nie mogłem się przekonać. Przed dwoma tygodniami spróbowałem znowu; grzbiet tomu chrupnął przy otwieraniu. Teraz leży przede mną, miękka i gładka – poddała się mej woli. Chyba nie przypadkiem w języku polskim słowa „książka", „powieść" i „nowela" są rodzaju żeńskiego. „Wiersz" odwrotnie: krótki, zwięzły, przenikliwy utwór o żelaznej logice, męski jak cięcie szabli. Czy dlatego tak mało mamy poetek? Dobra powieść jest ulotna, zmysłowa, pogmatwana, subtelna i tajemnicza jak prawdziwa kobieta. Książka z kolei jest niewinną dziewczyną, która potrzebuje czułej dłoni. Im częściej się jej dotyka, tym bardziej się poddaje, ale też zużywa, zwłaszcza jeśli to książka biblioteczna. Przeżywa najpierw lata panieńskie, potem wiek dojrzały, następnie wchodzi w fazę klimakterium, a w końcu staje się wszechwiedną matroną.

Istnieją książki wiecznie młode i rośliny jednoroczne. Są barwne ptaki, wulkany emocji, ekshibicjonistki, prostaczki, dziarskie dziewoje, niezdary, ociężałe marudy i są też książki jak zakochane panie, nad wyraz głupie albo bardzo mądre. Te ostatnie są przeważnie niepozorne, przykurzone i blade jak inteligentne kobiety. Leksykony to starsze, a encyklopedie to młodsze siostry, wielkie słowniki są damami do towarzystwa, historie literatury i sztuki to z kolei starowinki babcie…

Powieść Dostojewskiego nie daje się wtłoczyć w żaden schemat. Mimo to myślę o niej jak o kobiecie – budzącej grozę *femme fatale*. Instynkt każe nam uciekać jak najdalej, jednak czar tej pani ma w sobie coś nieodpartego. I choćby człowiek zamienił się w mangustę, i tak kuli się jak królik w obecności żmii. Wpatruje się w jej czarujące oczy: przyniosą mu śmierć czy pozwolą żyć dalej? Powieść-dama Dostojewskiego owija nas wokół palca i aż strach pomyśleć, jak łatwo się jej poddajemy, czytelnika dopada pierwotny lęk i ucisk w dołku – oby tylko nie upodobnił się do Raskolnikowa. Autor powinien był zresztą zakończyć dzieło zdaniem, które wypowiada na końcu bohater. Epilog mógł sobie darować. Jeśli bowiem komuś po lekturze książki potrzeba jeszcze wyjaśnienia, to znaczy, że jest przypadkiem beznadziejnym i nic z niej nie zrozumiał.

Bardzo się cieszę, że do was dorosłem, Kochana Zbrodnio i Najdroższa Karo. Teraz mogę wyruszyć w podróż z lżejszym sercem. Przygoda pociąga mnie wprawdzie, ale czy nie jest zbrodnią porzucać ojczyznę, nieważne jak brzydkie pokazywałaby nam oblicze? A jeśli tak, to jaką karę się za to ponosi?

Jedźcie ze mną, siostrzyczki, gołąbeczki moje, towarzyszcie mi w tej drodze!

11 października 1976, Warszawa

No to dojechaliśmy. Po czternastu godzinach w ślimaczym tempie sześćdziesiąt–osiemdziesiąt na godzinę. To i tak cud, że skoda mojego kumpla Attili, obciążona balastem prawie siedmiuset kilo, była w stanie osiągać taką prędkość. Dzielna „embeczka" spisała się na medal.

Na granicy węgiersko-czechosłowackiej mieliśmy farta, bo sprawdzali nas wyjątkowo leniwi celnicy. Postawny sierżant rewident około trzydziestki, ze spoconą twarzą i łopatowatymi rękami ziewał przeciągle przy długim metalowym stole. Była druga w nocy, jego koledzy zapewne podrzemywali sobie gdzieś ze smakiem.

– …bry wieczór! – mruknął facet z wyraźnym wschodniowęgierskim zaśpiewem. Podniósł znudzone spojrzenie, w którym jednak nie było wrogości. Dwoma palcami wygładził twardy zarost pod nosem. W połowie kolejnego ziewnięcia zamarł. – Jaózsi!… Janóóóuuu!

Wkrótce pojawili się przywołani: młody pogranicznik i brodaty Słowak. Zaczęli przeglądać nasze paszporty.

– Co wieziecie? – zapytał celnik.

– Cały majątek – westchnąłem. – Wie pan, przeprowadzka…

– Tak…? – bąknął, ale widać było, że myśli ma jeszcze senne. Przyglądał się skodzie przez brudne, zaparowane okienko.

– A te rzeczy na dachu?

– Półki na książki.

– Tak…? – Drapał się zawzięcie po głowie. – Spójrzmy.

Zanim doszliśmy do auta, Attila zdążył otworzyć bagażnik. Było w nim osiem wielkich paczek z książkami.

– A to co?

– Książki.

– Aha… Półki i książki. – Cmoknął i oblizał wargi. Spojrzał na mnie łaskawie, niemal z uznaniem. – Aż tyle?

– Cztery tysiące siedemset forintów po cenach antykwarycznych – odparłem. – Tu jest pozwolenie na wywóz wystawione przez Bank Narodowy.

Wziął do ręki gruby plik dokumentów, w których spisany był cały mój inwentarz. Zaczął wertować ostemplowane papiery. W końcu westchnął:

– No dobrze, proszę za mną.

Zniknął za drzwiami biura. Po chwili pojawił się w towarzystwie młodego porucznika. Oficer rozejrzał się, w jego oczach błąkał się jeszcze sen. Przez chwilę szeptali do siebie, to znów spoglądali na mnie albo grzebali w papierach. Młody podrapał się bezradnie w ucho, po czym wszedł z powrotem do biura. Wrócił z opasłą księgą w dłoniach. Zaczęli ją studiować. Tomiszcze było pokryte kurzem. Najwyraźniej podobni do mnie emigranci zdarzają się tu raz na ruski rok.

Zdążyłem zapalić drugiego papierosa, zanim dwóm mędrcom udało się wyczytać

z regulaminu, jaka jest procedura celna w wypadku wyjeżdżających na stałe do Polski. Zaczęli wypełniać rubryki długaśnego pożółkłego formularza.

– Muszę skontrolować każdą rzecz, którą wywozicie – westchnął z zawodem trzygwiazdkowy oficer. – Co pan na to?

W jego pytaniu ukryta była sugestia: może lepiej dać sobie spokój i zostać na starych śmieciach, jak Pan Bóg przykazał?

– Proszę bardzo, możemy zaczynać! – Rozłożyłem ramiona. – Ale to oznacza, że będziemy tu stać do jutrzejszego wieczora.

Przytaknął z kwaśną miną.

– Cóż…

– Nie ma sprawy, panie władzo, wykupimy abonament na stołówkę i poczekamy! – zadrwiłem. Spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach.

– Niech pan nie żartuje – mruknął.

– W takim razie nie sprawdzajmy sztuka po sztuce. – Postanowiłem mu pomóc. – Wszyscy na tym skorzystamy.

Sumienie najwyraźniej nie dawało mu spokoju. Miał przed sobą obładowany po sufit samochód, w którym mogliśmy przemycać kilogramy złota! Złapał się za głowę, całe ciało zdawało się marszczyć ze zgryzoty. Ostatecznie górę wzięło zdroworozsądkowe lenistwo.

– Proszę – odetchnął i wręczył mi wszystkie papiery. – Możecie jechać.

Jeden zero dla nas. Owszem, wlekliśmy ze sobą kupę rzeczy, mała skoda była nimi wypełniona po brzegi, ale mogło się skończyć znacznie gorzej, gdyby znaleźli moją przemyślnie ukrytą walutę. Nie do wiary, jak przydatne mogą się okazać stosy przewożonych książek!

W przypływie romantycznych uczuć zdobyłem się na jeszcze jeden gest: zanim wsiadłem do auta, podszedłem do karłowatego drzewka po węgierskiej stronie granicy, objąłem je i ucałowałem. Celnicy odprowadzali mnie sennym spojrzeniem, Attila z kolei zapytał w samochodzie:

– Czyżby książę pan pogrążał się w obłędzie?

Zamiast odpowiedzi zacząłem nucić: „Odchodzę, odchodzę, w długą ruszam drogę…". Nie czułem przy tym smutku.

Jechaliśmy po kiepskich słowackich drogach, na całych długich odcinkach jezdni brakowało odblaskowych kocich oczek, a miejscami też samych znaczników. Do tego wypaczone krawężniki, niewyraźne linie, nieoświetlone wsie i znaki drogowe, które kierowca zauważa, dopiero gdy je mija. I biała jak mleko, gęsta wata listopadowej mgły. Jechaliśmy na oślep z nadzieją, że o trzeciej w nocy szosa będzie pusta, a zakręty zgodne z intuicją kierowcy. O żadnym gazowaniu nie było mowy. Malutki nawet wybój czy dziura w jezdni mogły uszkodzić teleskop resoru, więc musieliśmy być ostrożni. Nawet wówczas, gdy biała zasłona przerzedzała się na chwilę.

Jechaliśmy tą samą trasą, co w czasie „wycieczek handlowych", tyle że teraz nie czułem ekscytacji ani pragnienia przygody. Droga wiodła w jedną stronę. Z szarej

węgierskiej rzeczywistości w szarą polską codzienność. Czy na zawsze? Zostanę w Polsce i tu urodzą się moje dzieci, a ja umrę w tym kraju? I kim właściwie będę? Węgrem, a może jednak przepoczwarzę się w Polaka? Ilu z moich potomków będzie mówić po węgiersku? Jedno pokolenie? Dwa? A potem o naszych korzeniach będzie przypominać już tylko zniekształcona forma nazwiska: „pan Szalaj, pani Szalaj", i to pod warunkiem, że urodzą mi się synowie. Znajomi będą się z nich śmiać, bo po polsku brzmi to prawie jak „szalej". To tak, jakby ktoś na Węgrzech nazywał się Őrüljmeg…

Po drodze skończyły się nam papierosy. Moja mała artystka zapiła rajzefiber sporą dawką alkoholu, więc gdy wieczorem wtoczyła się do auta, była już w szampańskim nastroju. A potem kopciła jednego za drugim, choć upominałem ją, że niedługo nie będziemy mieli czego palić, a zapasy możemy uzupełnić dopiero o szóstej rano. Przeżyliśmy więc parę godzin postu nikotynowego. Joli było wszystko jedno, bo wbrew wszelkim niewygodom dość szybko udało jej się zasnąć.

Mój biedny pies Money nie miał swojego siedzenia. Ledwo się mieścił przed fotelem pasażera z przodu auta, zdrętwiały i cierpiący, co i rusz pakował się Joli na kolana. Po jakimś czasie zaczęła na niego krzyczeć, ale nie było rady, musieliśmy jakoś przeżyć podróż, pies nie mógł przecież biec za samochodem. Ostatecznie Jola dała za wygraną i dwudziestosiedmiokilowy wyżeł umościł się na jej nogach. Ciepły, kudłaty i ciężki, z mokrym nosem i brudnymi łapami. Attila i ja prowadziliśmy na zmianę i ten z nas, który nie siedział akurat za kółkiem, wykładał się na tylnych siedzeniach. Jola musiała zatem znosić Moneya z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Na Słowacji nie widzieliśmy tym razem niczego. Cały kraj był pogrążony w gęstej mgle. O wpół do szóstej w jednej z wiosek znaleźliśmy otwarty bar mleczny. Wstyd przyznać, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteśmy. Byliśmy za to po długiej drodze i głodni. Ciepławe kakao i chrupiący rogal postawiły nas trochę na nogi. Podłej jakości kawa wykrzywiała usta. Ale przynajmniej kupiliśmy papierosy. Nazywały się „Dalila". W porównaniu z nimi nasze romance to uczta dla palacza. Ale odwykowcom gorąco polecam. Wsiedliśmy do auta uwalanego naniesionym brudem, psią sierścią, popiołem, resztkami jedzenia i picia. Istny pieprznik. Już nawet nie próbowaliśmy sprzątać ani otrzepywać ubrań. Czuliśmy zmęczenie i zaczynało nam być wszystko jedno.

Na granicy z Polską po obu stronach trafiliśmy na podobnie „zorientowanych" celników jak w Parassapuszcie. Im też nie chciało się zanadto węszyć. Przepuścili nas dość szybko.

Zatrzymaliśmy się w Rabce, żeby zajrzeć do Brońskich, ale pocałowaliśmy klamkę. Nauczyłem ich kiedyś parzyć kawę po węgiersku i podarowałem dwa przeznaczone do tego czajniczki. Cóż, tym razem musieliśmy się obejść smakiem.

Kraków!

Piękne, ukochane miasto!

Ilekroć tu jestem, czuję, jakbym odnalazł dawnego siebie. *Déjà vu*. Podróż w przeszłość. W tym mieście zaczynam wierzyć w reinkarnację: byłem tu już kiedyś, ale czy

w późnym średniowieczu, czy może w epoce Balassiego[4]? Jakże znajome i swojskie jest dla mnie to miejsce!

Tym razem jednak czułem na sobie zawiedzione spojrzenia szaro-czerwonych murów. Pojąłem! Zdradziłem przecież to miasto z Warszawą. „W stolicy ludzie są inni" – powiedziała przed paru laty matka mojej krakowskiej narzeczonej, gdy usłyszała, że zamierzam tam spędzić dłuższy czas ze znajomymi. „W krętych krakowskich uliczkach człowiek zawsze czuje się swojsko, domy przytulają go do piersi, a ludzie na ulicach witają się ze sobą. Warszawa to niebyt! Co z tego, że odbudowano ją po wojnie? Dawnych rodzin warszawskich została ledwie garstka, część z nich zginęła, część uciekła z miasta, a potem nie chciała lub nie mogła wrócić. Stolicę zalała fala przyjezdnych i to oni ją ukształtowali: wykorzenioną, obcą, kosmopolityczną. W Warszawie można zabłądzić na dobre, w Krakowie co najwyżej pomylić ulicę…"

Cóż, stary gród królewski jest istotnie inny, bliższy mojemu sercu. Los jednak chciał inaczej. Maria nie była skłonna związać się na stałe z Węgrem. Jola owszem. A ona jest warszawianką. Tak wyszło.

Attila z Jolą chcieli od razu jechać dalej, mnie jednak udało się ich namówić na pizzę i dobrą krakowską kawę. Siedzieliśmy przy Małym Rynku, na tyłach kościoła Mariackiego.

Kolejny postój zrobiliśmy w Kielcach. Zatankowaliśmy na stacji nieopodal okrągłego całodobowego baru, znanego nam z wcześniejszych polskich eskapad. Zapamiętałem to miejsce, bo kiedy byliśmy tu ostatnio z Ferim Dicső, gołąb narobił mi na ukochaną koszulę flanelową, trafił prosto w kieszeń, w której miałem schowane papierosy. Z zewnątrz nic nie było widać, ale w środku wszystko zawilgło jak kupa rzadkiego łajna. Przez kolejne dni koledzy mieli ze mnie ubaw: „A kieszonkowe gówienko zabrałeś?".

Do mieszkania Joli dotarliśmy o szóstej po południu. Odsapnęliśmy chwilę, a potem zaczęliśmy wnosić rzeczy do bloku przy Warskiego 20. Ledwo dałem radę dźwignąć czterdziestokilowe paczki z książkami, tak bardzo zmęczyła mnie podróż. Trudno się dziwić, byłem na nogach od czwartkowego rana, czyli od trzydziestu sześciu godzin. Wypiłem w tym czasie pewnie ze dwadzieścia kaw i wypaliłem sześć paczek papierosów. Słowackie dalile liczą się podwójnie. Także Jola z Attilą byli na ostatnich nogach. Mimo to posiedzieliśmy jeszcze razem, a spać poszliśmy koło dziesiątej.

Całe szczęście, że teściów nie było w domu. Pojechali odwiedzić krewnych z siostrą Joli. Zachodzę w głowę, jak się wszyscy pomieścimy w dwupokojowym mieszkaniu.

12 października 1976, Warszawa

Sobota. Pobudka o jedenastej. Nie było czasu na guzdranie się, jeszcze w Budapeszcie obiecaliśmy, że przewieziemy chłopaka Edków od jednej babci do drugiej, z Pruszkowa do Warszawy.

---

[4] Bálint Balassi (1554–1594) – jeden z czołowych przedstawicieli poezji węgierskiej w okresie renesansu.

Mijały godziny. Dopiero o czwartej po południu mogliśmy pojechać do peweksu po dżinsy dla Attili. Niby sklep dewizowy, a jednak socjalizm panoszy się w najlepsze: odpowiednią markę i rozmiar udało nam się znaleźć w dziesiątym z kolei salonie, gdzieś na obrzeżach Pragi.

Wieczorem piliśmy u Edka. Wcześniej w kinie w-2 widzieliśmy amerykański thriller *Szczęki*. Wyświetlali z napisami i oryginalną ścieżką dźwiękową, więc Attila i ja mniej więcej chwytaliśmy, co mówią bohaterowie w swojej gardłowej amerykańskiej angielszczyźnie, a Jola czytała po polsku. Film zapewne stanie się klasyką gatunku. Dobrze to wszystko wykombinowane, nieprzygotowany widz niemal umiera ze strachu w trakcie seansu. Biały rekin zrobiony po mistrzowsku, ani przez chwilę bym nie pomyślał, że jest z gumy. Sama historia dynamiczna wprawdzie, ale dość płaska, z dialogów zaciekawiła mnie tylko rozmowa przedstawicieli wojennej „straconej" generacji.

Edek jest kierownikiem dekaefu przy klubie studenckim Stodoła. Jola koleguje się z nim od lat, jest stałą bywalczynią kina. Zazdroszczę im, mieli okazję obejrzeć filmy, które my znaliśmy tylko ze słyszenia albo z gazet, bo towarzysz Aczél[5] nie dał nam szansy ich zobaczyć i ocenić.

Gadaliśmy do pierwszej w nocy, potem wzięło nas na opowiadanie dowcipów. Gdy w końcu zabrakło tematów do rozmowy, zawinęliśmy się do domu.

13 października 1976, Warszawa

Attilę od rana rozpierała energia, co może dziwić, biorąc pod uwagę zarwaną noc i ilość wypitego alkoholu. Wyraźnie go nosiło, chciał wracać do domu. Szkoda, że tak się spieszył. Z chęcią zabrałbym go w parę miejsc, do klubu studenckiego albo muzeum. Mam nadzieję, że jeszcze przyjedzie i to nadrobimy.

Wyjechał o jedenastej. Jak dobrze pójdzie, przed północą dotrze do celu. Auto jest tym razem puste, może grzać, ile zechce. Domyślam się, że taka samotna podróż musi być śmiertelnie nudna. Latem mógłby zabrać autostopowiczki…

Kto by pomyślał, że przy pożegnaniu dopadnie mnie chandra? Czułem, jakby pękała ostatnia nić łącząca mnie z Węgrami.

14 października 1976, Warszawa

Potrzebujemy własnego mieszkania i to jak najprędzej. W dwóch pokojach nie wytrzymamy długo w czwórkę. Na dwunastu przydzielonych nam metrach nie byłem nawet w stanie rozpakować swoich rzeczy. Mam tu tylko słowniki, reszta pudeł z książkami kusi piwniczne myszy. Droga do łazienki prowadzi przez pokój teściów. Cóż, początki bywają trudne.

---

[5] György Aczél, właśc. Henrik Appel (1917–1991) – węgierski polityk komunistyczny, w epoce kadaryzmu odpowiedzialny za kulturę i cenzurę twórców na Węgrzech.

Na pociechę Piotrek obiecał, że w sobotę zabierze mnie na polowanie. To mąż znajomej Joli, który w dość młodym wieku (jesteśmy równolatkami) został zastępcą łowczego w rzemieślniczym kole myśliwskim. On i żona są po AWF-ie, Piotr do niedawna należał do polskiej reprezentacji w skeecie. Mówią, że potrafi odstrzelić jaja lecącej musze. Wyczuwa się w nim zresztą pewien rodzaj buty. Z zainteresowaniem przyglądał się Moneyowi, ciekawiło go, jak sprawdzi się w terenie. Powiedział, że póki nie zobaczy go w akcji, nie uwierzy mi na słowo, choćbym pokazał mu certyfikat psa myśliwskiego. W porządku, przekonamy się! Ja zresztą i tak nie mam strzelby, a na popisy łucznicze jest za wcześnie, więc nie pozostaje mi nic innego, jak wydawać komendy wyżłowi.

Wysłałem do domu chyba z pięćdziesiąt stron – listy do mamy, brata i bratowej. Zszedł mi na to cały dzień. Potem zrobiłem parę kółek rowerem na Polu Mokotowskim, żeby Money mógł się wybiegać.

Dziwne są te nadzwyczajne wakacje: cały dzień nie mam nic do roboty, podczas gdy inni zasuwają do pracy i wracają do domu o szóstej. Ja w tym czasie jestem wolny jak ptak. W przyszłym tygodniu planuję odwiedzić w redakcji „Polski" Ákosa Engelmayera[6]. Mam nadzieję, że załatwi mi jakieś dorywcze tłumaczenia. Muszę też wpaść do Domu Książki, może tam uda się zaczepić. Nie mogę zbijać bąków w nieskończoność.

19 października 1976, Warszawa

Byliśmy na polowaniu. Money przeszedł samego siebie, był prawdziwą gwiazdą. Koledzy Piotrka kręcili z podziwem głowami i pytali, jak mi się udało wytresować tak precyzyjne i niezawodne zwierzę, a do tego posłuszne i elokwentne. Rozpierała mnie duma!

Swoją drogą w warunkach węgierskich rzeczywiście nie było łatwo z francuskiego pieska zrobić ogara myśliwskiego. Tropienie w krzakach jest zabronione, na drobnicę poluje się tylko w grupie i z nagonką. Psów używa się wyłącznie do zbierania pokotu albo szukania rannej zwierzyny. Przy łowach na większe okazy korzysta się ze specjalnie szkolonych ras, bardzo rzadko z wyżłów. Poza tym żaden ze mnie myśliwy, najwyżej pomocnik, którego zabierano do lasu, żeby sobie raz na jakiś czas wystrzelił nielegalnie, ale wyczynowcem nigdy nie byłem. Musiałbym wstąpić do partii, zyskać zaufanie towarzyszy, a na to z kolei nigdy bym się nie zdecydował. Już pionierstwo i związek małych doboszów wyłaziły mi bokiem, a z partyjnej młodzieżówki wystąpiłem zaraz po maturze, kiedy już było można. Trzymałem za to sztamę z paroma

[6] Ákos Engelmayer – węgierski dyplomata, dziennikarz i tłumacz. Uczestnik powstania węgierskiego w 1956 r. Represjonowany, po opuszczeniu Węgier osiadł w Polsce, gdzie ukończył studia. Pracował m.in. jako dziennikarz. Od wielu lat tłumacz publikacji z języka węgierskiego na polski. Opozycjonista i współtwórca Solidarności Polsko-Węgierskiej, w latach 1990–1995 pierwszy ambasador Węgier w Polsce po upadku komunizmu, zasłużony orędownik przyjaźni polsko-węgierskiej.

leśnikami i to oni wytrenowali mi pieska. Oczywiście kierowała mną też ambicja. Chciałem pokazać tym wszystkim nadętym, spasionym milicjantom, trepom, aparatczykom odwiedzającym moich gajowych pod pretekstem polowania, a w istocie po to, by korzystać z przywilejów nowej czerwonej elity, że ich kundle nie nadają się do niczego. Nie myliłem się, bo tresura psa to niełatwa praca. Niektórzy z nich oddawali zwierzęta zawodowym trenerom, ale gdzie im było do nas, do tej wyjątkowej relacji, jaka się wytworzyła między mną i Moneyem! On wiedział, czego chcę, i wprowadził mnie w świat mowy zwierzęcej. Nauczyłem się rozumieć każdy jego odgłos czy ruch, postawę ciała, a on sprawnie odczytywał moje rozkazy. Płynie w nas ta sama krew i to widać na każdym kroku.

Jeszcze jedna rzecz warta odnotowania: okazało się, że koło, do którego należy Piotrek, tworzą w większości drobni prywaciarze, a więc na oko normalne środowisko mieszczańskie. Jest może dwóch oficerów, jeden milicjant i Bóg wie ilu tajniaków, ale spośród czterdziestu siedmiu członków zrzeszenia około czterdziestki to najwyraźniej poczciwi cywile. Mają dwa rewiry. Ten, na którym byliśmy w weekend, leży koło Sochaczewa, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Warszawy, a drugi znajduje się pod Izbicą Kujawską, w połowie drogi do Poznania.

A co do samego polowania, to w Polsce pies ma z pewnością dość okazji, by pobuszować w krzakach, jest więc go na czym szkolić, a i sam sporo się może nauczyć z różnych przygód i akcji. Przez cały dzień chodziliśmy z miejsca na miejsce po łąkach, polach, pagórkach i dolinach, brodziliśmy w potokach i rzeczkach, człapaliśmy torfowiskiem, trzciny i turzyce cięły nas po rękach i nogach, a ostre kolce krzaków wbijały się w skórę i ubranie. Piotrek i jego towarzysze ustrzelili mnóstwo bażantów i całkiem sporo kuropatw. Używam liczby mnogiej, bo choć było nas łącznie z dziesięć osób, po terenie łaziliśmy zawsze dwójkami albo trójkami. Procedura wygląda tak, że myśliwy zgłasza się do strażnika łowieckiego, przeważnie miejscowego chłopa, którego związek zatrudnia na etacie, wpisuje do dziennika informacje o miejscu, przewidywanym czasie polowania i gatunku zwierzyny, a potem może zacząć łowy.

Faktycznie, kuropatw mają tu od groma. U nas są chronione, bo została ledwie garstka. Nie z powodu myśliwych, ale dlatego, że zniszczyliśmy ich naturalne siedliska, pozbawiliśmy warunków do życia. Ogromne pola kołchozowe i spółdzielcze, wielohektarowe monokultury mogą dostarczyć tym ptakom schronienia nie dłużej niż do okresu zbiorów. Potem kuropatwy stają się łatwym łupem dla drapieżników, atakujących z ziemi i z powietrza, a do tego nie bardzo mają się czym żywić. W Polsce kolektywizacja poniosła klęskę, nie zdołano złamać oporu chłopów. Dlatego krajobraz rolniczy jest tu bardzo zróżnicowany: poletko kukurydzy sąsiaduje z uprawą buraków cukrowych, kartoflisko z polem rzepaku, słoneczniki z krzaczkami malin i truskawek. Poszczególne płody dojrzewają w różnych okresach. Gdy zbiór wypada w jednym miejscu, ptaki mogą poszukać sobie bezpiecznej kryjówki paręset metrów dalej. Jest w czym wybierać. Kiedy w końcu uporaliśmy się z suchym pierzem i oprawiliśmy tuzin kuropatw wielkości gołębia, a potem upiekliśmy je z nadzieniem grzy-

bowym, zawinięte w pyszny, domowy boczek, to smakowały jak… Boże, sam Krúdy[7] byłby wniebowzięty!

25 października 1976, Warszawa

Uczę się polskiej codzienności. Sytuacja jest taka, że wszystko trzeba kupować na zapas, kombinować na wypadek, gdyby danego artykułu zabrakło w sklepach przez kolejne miesiące. Ludzie są zajęci małym handlem pokątnym – coś nabywają, to znów sprzedają. Nieustannie się głowią, w co by zainwestować, co gdzie dostać, by potem opchnąć komuś z zyskiem, dokąd warto pojechać, co skąd przemycić, dokąd przeszmuglować. Nie ma co się dziwić! Tutejsze pensje są śmiesznie niskie w porównaniu z cenami, a te z kolei zmieniają się z dnia na dzień, do tego zaopatrzenie kuleje. Pamiętam, że przed trzema laty kurtka irchowa kosztowała jakieś sześć–osiem tysięcy złotych, teraz zdarza mi się je widywać po dwadzieścia osiem. Tego wprawdzie nie kupuje się codziennie, ale mimo wszystko drogo. Po wprowadzeniu kartek na czarnym rynku pojawiły się mięso i smalec. Spod lady można tu zresztą dostać wszystko, jeśli tylko ma się pieniądze. Czasem spotykam się z absurdalnymi brakami towarów: na przykład zdobycie papieru do zdjęć czy utrwalacza wymaga niemal protekcji. Szwagier twierdzi, że w sklepach nie ma ich od pół roku.

Kto żyje w Polsce, musi mieć łeb na karku, to pewne! Aktualnych kursów walut uczą się na pamięć chyba nawet przedszkolaki. Trzeba być cwanym, czujnym i mieć doskonały refleks, żeby się utrzymać na powierzchni. *When in Rome, do as the Romans do* – inaczej zginiesz.

• • •

Praca. Zastępczyni dyrektora Domu Książki zapewniła uprzejmie, że się odezwie, jeśli coś dla mnie znajdą. Na razie nie mają wakatów nawet na stanowisku sprzedawcy, a co dopiero kierownika księgarni. A przy tym w Budapeszcie wspominała o takiej możliwości. Cóż, widocznie chętnie rzuca słowa na wiatr.

• • •

W końcu skontaktowałem się z Ákosem Engelmayerem. Jeszcze w Budapeszcie, w Przedsiębiorstwie Dystrybucji Książek Művelt Nép, moim ostatnim miejscu pracy, poznałem jego szwagra, męża młodszej siostry. To on zachęcił mnie, bym po przyjeździe do Warszawy koniecznie nawiązał znajomość z tym człowiekiem instytucją. Urodzony w 1939 roku Ákos od parunastu lat żyje „na emigracji", z powodu pochodzenia szlacheckiego i ekscesów w czasie rewolucji 1956 roku na Węgrzech nie chciała go zatrudnić żadna uczelnia. Został więc drukarzem, ale za to w elitarnej kategorii

[7] Gyula Krúdy (1878–1933) – pisarz węgierski, autor m.in. *Lauru dla Natalii*, *Sindbada* i *Miasta uśpionych kobiet*. W swojej twórczości często przedstawiał miasta i mniejsze miejscowości, wykorzystując stylistykę snu i jawy.

zecerów. W czasie rajdu rowerowego po Słowacji zetknął się po raz pierwszy z polskimi harcerzami. Podczas wspólnego śpiewania przy ognisku poprosili Ákosa, by zanucił im hymn węgierski. Przed wyjazdem zrobili mu niespodziankę: odśpiewali nauczone po kryjomu i ze słuchu słowa i melodię. Tylko człowiek bez serca by się nie wzruszył.

Ákos beczał tego wieczoru jak bóbr. Wiedział już, dokąd wyruszy w kolejny rajd. Kadarowskie Węgry obmierzły mu na dobre, a Polacy lepiej znali historię rewolucji 1956 roku i Imrego Nagya[8] (już wtedy!) niż ktokolwiek u nas, więc patrzyli na Ákosa z uwielbieniem. A potem przydarzyła mu się miłość – naturalnie polska. Załatwienie zgody na wyjazd kosztowało go znacznie więcej zachodu niż mnie, ale w końcu się udało. W Warszawie skończył etnografię, tłumaczył, przekładał, a potem z rekomendacji profesora Istvána Csaplárosa[9], kierownika tutejszej hungarystyki, dostał pracę w węgierskojęzycznym dziale „Polski", miesięcznika wydawanego przez Interpress. To coś jak „Kobieta Radziecka", ma swoje polskie wydanie, ale ukazuje się też po rosyjsku, niemiecku, czesku, węgiersku i Bóg wie, w jakich innych językach. Całość składa się więc z tłumaczonych tekstów, ale na czterech kolumnach dział może zamieścić coś od siebie. Lepsze to niż nic. W podniszczonych darmowych egzemplarzach zalegających w biurach partyjnych, zakładach fryzjerskich czy biurach podróży można czasem przeczytać coś wartościowego.

Cieszę się, że wreszcie mogłem go poznać. Straszny gaduła, towarzyski człowiek, zdaje się, że jeśli on kogoś nie zna, to dana osoba się nie liczy. Sprawia wrażenie opanowanego, szczęśliwego gościa. Ma syna i córkę.

W redakcji pracuje jeszcze jeden chłopak z Węgier, Karcsi Tar[10]. Cichy wielkolud, ale z przednim poczuciem humoru, wali w maszynę do pisania, jakby strzelał seriami z karabinu.

Ákos od razu wynalazł mi fuchę. Całotygodniowe tłumaczenie w Ministerstwie Pracy, siedem godzin dziennie, sto złotych za godzinę. To razem daje cztery dziewięć-

---

[8] Imre Nagy (1896–1958) – polityk węgierski, dwukrotny premier Węgier, w tym w okresie rewolucji węgierskiej 1956 r. Podczas I wojny światowej służył w armii CK, przebywał w niewoli rosyjskiej na Syberii, gdzie wstąpił do Armii Czerwonej. Aby uniknąć śmierci z rąk agentury stalinowskiej, wstąpił do NKWD. Lata dwudzieste XX w. to początek jego aktywności w polityce węgierskiej, rozpoczął działalność w partii komunistycznej. Na terenie ZSRS był orędownikiem sprawy komunistów węgierskich. Wrócił do kraju w 1944 r. i od razu zajął wysoką pozycję w polityce. W latach 1953–1955 po raz pierwszy sprawował urząd premiera, jednak w 1955 r. ze względu na zbytnią postępowość swoich działań na zlecenie ZSRS został pozbawiony wpływów. W 1956 r. – zgodnie z oczekiwaniami protestujących – został szefem rządu rewolucyjnego. 1 listopada 1956 r. Nagy ogłosił wystąpienie Węgier z Układu Warszawskiego. Rozpoczął łagodzenie reżimu, zlikwidował m.in. znienawidzoną przez naród policję polityczną AVH. Po wkroczeniu Sowietów do Budapesztu utracił władzę na rzecz Kádára i znalazł azyl w ambasadzie Jugosławii. Kilka miesięcy później przewieziono go do Rumunii, gdzie został aresztowany i w niejawnym procesie skazany na śmierć. Został stracony przez powieszenie w 1958 r. i pochowany w bezimiennym grobie. Zrehabilitowany i pochowany z honorami w 1989 r.

[9] István Csapláros (1910–1994) – hungarysta, historyk literatury i wykładowca, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, autor kilkuset publikacji, w tym opracowań bibliograficznych. Propagator kształcenia filologów węgierskich w Polsce. Współzałożyciel Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie i jego pierwszy dyrektor. W latach II wojny światowej pomagał uchodźcom polskim, którzy znaleźli się na Węgrzech.

[10] Károly Tar – tłumacz z języka węgierskiego, w latach 2003–2009 pracownik Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie.

set. Czyli w tydzień zarobię o tysiąc złotych więcej niż wynosi miesięczna pensja Joli na stanowisku aranżerki wystaw sklepowych. Rany, wystarczą dwa takie zleconka w miesiącu i nie mamy czym się martwić!

26 października 1976, Warszawa

A jednak mamy powód do zmartwienia: Jola zgubiła wczoraj portmonetkę. Miała w niej równowartość dwóch i pół średniej krajowej, prawie siedem i pół tysiąca złotych.

Raz na wozie, raz pod wozem.

8 listopada 1976, Warszawa

Zacząłem pracę załatwioną mi przez Ákosa. Nie powiem, spore wyzwanie! Do Ministerstwa Pracy przyjechała delegacja z Węgier. Dwóch fachowców posługujących się branżowym żargonem. Okazało się, że mój polski wcale nie jest tak dobry, jak myślałem. „Wdrażanie naukowych podstaw organizacji pracy w procesie planowania inwestycji w sektorze produkcyjnym…" – takie kwiatki musiałem tłumaczyć na oba języki, rzecz jasna tak, żeby mnie rozumieli. Bywa, że nawet po węgiersku nie jestem w stanie pojąć tej socjalistycznej papki słownej. (Moi polscy przyjaciele mówią na nią „wodomowa"). Na szczęście żadna ze stron nie traktuje sprawy poważnie, jest jasne jak słońce, że chodzi wyłącznie o przewidzianą w programie współpracy coroczną wizytę, więc nikt nie ma do mnie pretensji o fuszerkę.

Do licha, wygląda na to, że muszę się jeszcze sporo nauczyć, jeśli chcę się utrzymać z tłumaczeń i przekładów. Wybieram sobie teksty i artykuły o różnej tematyce w obu językach i codziennie je przeglądam, sprawdzam w słowniku nieznane wyrazy i wkuwam. Poza tym czytam jak nawiedzony wszystko, co popadnie, od informacji na ścianach tramwajów po ogłoszenia, od różnorakich rubryk w prasie po czasopisma literackie, do tego radio zostawiam zawsze włączone, żeby osłuchać się z językiem. Ćwiczę się też w tłumaczeniu symultanicznym, bo wszystko wskazuje na to, że prędzej czy później będzie taka potrzeba. Każdego dnia przez co najmniej godzinę wylewam siódme poty, przekładając na węgierski treści zasłyszane w radiu i nagrywając sam siebie na magnetofon. A potem wrzucam stację Kossuth[11] i trenuję odwrotnie. Im gorzej mi idzie, z tym większą zaciekłością próbuję od nowa. Za każdym razem przypłacam

[11] Kossuth Rádió – węgierska rozgłośnia radiowa działająca od lat dwudziestych XX w. Obecną nazwę otrzymała w 1948 r., w setną rocznicę rewolucji węgierskiej 1848–1849, na cześć jej przywódcy Lajosa Kossutha. Podczas rewolucji 1956 r. protestujący, chcąc przedstawić społeczeństwu swoje postulaty na falach eteru, dokonali szturmu na siedzibę rozgłośni. Walki o radio to jeden z symboli powstania w 1956 r. Podczas tej akcji padły pierwsze strzały do protestujących, ostatecznie jednak wojsko przeszło na ich stronę. Po zajęciu budynku okazało się, że nadajniki radiowe zostały wyłączone, rozpoczęto więc zastępcze nadawanie z siedziby parlamentu. 25 października 1956 r., po wkroczeniu Armii Czerwonej, orędzie w radiu wygłosili premier Imre Nagy oraz János Kádar.

to lekkim bólem głowy. Daję sobie spokój dopiero w chwili, gdy kompletnie wyczerpany zaczynam powtarzać tekst w tym samym języku, w którym zabrzmiał. Mimo wszystko czuję, że z dnia na dzień robię postępy.

Słownik polsko-węgierski i węgiersko-polski wkrótce do niczego się już nie przyda. Skończono go redagować w 1960 roku, hasła więc odzwierciedlają ówczesny stan języka. Nie znajdę w nim wyrażeń potrzebnych do pracy, takich jak „inżynieria oprogramowania", „elektroniczne systemy sterowania procesem"… Ani czegokolwiek, co byłoby związane – powiedzmy – z informatyką. Jakby się świat zatrzymał przed dwudziestu laty. Ten słownik stanie się wkrótce zardzewiałą konserwą. Czy ktoś w ogóle planuje go uzupełnić i wydać ponownie?

11 listopada 1976, Warszawa

Przed wojną dzisiejszy dzień był świętem narodowym obchodzonym z pompą, jak u nas 15 marca. Dziś pamiątkę odzyskania niepodległości w 1918 roku można celebrować wyłącznie w ramach określonych przez „partię i państwo". Żadnych hołdów Piłsudskiemu, żadnych słów o wolności, które tłumaczyłyby jej prawdziwe znaczenie. A jakże! W końcu ledwie dwa lata po pamiętnym 11 listopada Armia Czerwona postanowiła rozprawić się z Polską „panów", „wyzwolić" ją i włączyć w nurt „światowej rewolucji" razem z Niemcami, gdzie działał już w najlepsze Spartakus. I właśnie ten odrodzony po stu dwudziestu trzech latach rozbiorów kraj, powróciwszy dopiero co na polityczną mapę Europy, nie zechciał – o zgrozo! – paść w objęcia bolszewikowi. Polacy stanęli do walki i jako jedyni w dotychczasowej historii zadali Sowietom porażkę, a następnie zawarli pokój na własnych warunkach. Czerwoni nie mogli im tego zapomnieć! Nazwisko Piłsudskiego, mimo że był socjalistą, nie ma prawa kojarzyć się z niczym dobrym. Z polskiej sekcji Radia Wolna Europa dowiedziałem się, że powstały po wydarzeniach radomskich KOR wydał z tej okazji uroczysty komunikat. Podobno krąży teraz w podziemnym obiegu, na razie jednak nie mam dostępu do wydawnictw samizdatowych.

12 listopada 1976, Warszawa

Pod wieloma względami Polska dostarcza człowiekowi pociechy duchowej i intelektualnej, ale codzienna rzeczywistość napawa już mniejszym optymizmem. Zagranicznego turystę wiele rzeczy może wprawić w osłupienie, czasem rozweselić, czasem rozzłościć, ale w jednym i drugim wypadku chodzi o chwilowe, ulotne wrażenia. Tymczasem proza tutejszego życia ma charakter trwały, podobnie jak radość i irytacja, a doświadczający ich „intruz" – jak zwykło się w niektórych wioskach nazywać przybyszów z zewnątrz – może stać się „swoim" dopiero po długim procesie adaptacji. Aby tak się stało, nie wystarczy dzielić z Polakami ich powszedni chleb czy ubóstwiać ich kobiety, ale trzeba też wspólnie kopać studnie, orać i siać, a potem zbierać plony, a za dolę i niedolę życia z Polkami płaci się cenę bezwarunkowej odpowiedzialności.

Kilka spostrzeżeń z codzienności:

Po raz pierwszy odwiedziłem Polskę w 1968 roku – po dziś dzień ulicami miasta jeżdżą te same autobusy, choć już wtedy były mocno wysłużone. Pasażer kopcącego, rozklekotanego pojazdu, sunącego w ślimaczym tempie od przystanku do przystanku, może odczuwać obawę, że wóz rozpadnie się na środku drogi. We wszystkich środkach transportu – tramwajach, autobusach, pociągach, podróżni tłoczą się, ściśnięci jak sardynki. A do tego wszechobecne, nieprzebrane tłumy – na ulicach, w autach, w domach towarowych, sklepach, kawiarniach i restauracjach, o każdej porze dnia. Zachodzę w głowę, w jakich godzinach i miejscach wszyscy ci ludzie pracują.

Pytanie jest rzecz jasna retoryczne. Każdy jest gdzieś zatrudniony, bo w socjalizmie bezrobocie nie ma prawa bytu. Sęk w tym, że jeśli człowiek nie wymknie się z pracy w ciągu dnia, wieczorem nie będzie miał czego włożyć do garnka. Właśnie dlatego w fabrykach i zakładach, z których nie da się „wyskoczyć do miasta", działają często wewnętrzne sklepy. Ci zaś, którym warunki pozwalają na kilkugodzinną nieobecność w pracy, korzystają skrupulatnie z tej okazji i zajmują miejsce w kolejce po to czy tamto.

Realia są podobne także poza Warszawą, ale ludzie wyraźnie się różnią. Często wspominam cytowaną już opinię mojej niedoszłej krakowskiej teściowej na temat stolicy. Coraz bardziej czuję, że miała rację. Spustoszone przez wojnę miasto straciło jakąś część swojej przeszłości. Zerwane więzy kulturowe między pokoleniami nie odrosną jak ogon jaszczurki. Nawet najlepsza proteza nie dorówna naturalnym zębom. Z półtora miliona mieszkańców, których Warszawa miała w 1939 roku, pozostało tu może dwieście–trzysta tysięcy. Podobnie rzecz się miała z infrastrukturą miejską – została zniszczona w osiemdziesięciu procentach. Historia odbiła się na ludziach, budynkach i ulicach. Do tego większość nowo wzniesionych domów powstała w stylu baroku stalinowskiego. A jednak odbudowa była wielkim, heroicznym dziełem, gdyż dokonano jej w miejscu, gdzie Hitler widział tylko mały garnizon – resztę miasta postanowił zrównać z ziemią.

Są więc Starówka, Nowe Miasto, Zamek Królewski, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat! Wznieśli je z popiołów, odbudowali z gruzów i dziś historyczne centrum miasta wygląda jak oryginał, jakby od trzystu lat nie dosięgła go katastrofa. Całą dzielnicę odtworzono ze zdjęć, obrazów i wspomnień ludzkich. Polacy pokazali, że chcą żyć, pamiętać i szanować swoją przeszłość. Chylę czoło przed nimi! Chwała im, że nie posłuchali twardogłowych konserwatorów, którzy chcieli poprzestać na zabezpieczeniu ruin, do dziś zresztą grymaszą, że to wszystko sztuczne, nieprawdziwe zabytki, makiety dla turystów. Tę samą śpiewkę było słychać, gdy decydowały się losy zamku krzyżackiego w Malborku: trzeba zostawić jak jest, czyli same ruiny. Na szczęście i w tym wypadku wygrali ci, którzy chcieli odtworzyć ten niesamowity kompleks w całej średniowiecznej okazałości. Zaznaczyli tylko pomysłowo granicę między zachowaną i zrekonstruowaną częścią, wybierając jaśniejszy kolor cegły w dobudowywanych partiach. I tyle. Podobnie rzecz się ma z warszawską Starówką. Szkoda tylko, że stylowe winiarnie, piwiarnie i kafejki nie dostosowują cen do pojemności portfela przeciętnego Polaka.

W listopadzie nie rzuca się to może zbytnio w oczy, ale Warszawa ma mnóstwo terenów zielonych, skwerów, parków, zadrzewionych alej i alejek. Potrafią one złagodzić nieco surową szarość baroku socjalistycznego. Przecinająca miasto Wisła ma swój osobliwy, dziki charakter – żadnego z jej brzegów nie wybetonowano, wzdłuż rzeki ciągną się więc piaszczyste plaże, zarośla, tereny zalewowe, co nadaje jej całkowicie niemiejski wygląd. Wzbierająca woda zostawia na przybrzeżnych gałęziach muł, który nie jest zbyt przyjemnym widokiem. Niezabudowany brzeg i brak bulwarów nadrzecznych sprawiają, że przybysz z Budapesztu, ktoś taki jak ja, widzi w Warszawie raczej dwa sąsiadujące przez rzekę miasta. Okazuje się, że coś jest na rzeczy, bo kilku znajomych uznało moje spostrzeżenie za trafne. Prawobrzeżna Praga to faktycznie inny świat, jakby połączenie Angyalföld[12] i wyspy Csepel, przy czym od drugiej części miasta różni się ona jeszcze wyraźniej niż Peszt od Budy.

Olbrzymie dzielnice sypialnie – osiedla z prefabrykatów, są równie przygnębiające i beznadziejnie brzydkie jak te nasze. Jeśli zdają się przytłaczać silniej, to dlatego, że jest ich tu więcej i są bardziej rozległe. Na powstającym właśnie Ursynowie szpetota łączy się z celowym chaosem: rozkład ulic jest mało intuicyjny, pomiędzy arteriami dzielnicy bloki stawia się bez ładu i składu, wszystkie szare, według jednej sztancy. Konia z rzędem temu, kto się w tym bajzlu połapie. Pewien taksówkarz powiedział mi, że to nie przypadkowy bałagan, chodzi o to, by przybysze z zewnątrz pytali przechodniów o drogę, bo w ten sposób zostawią ślad, zdradzą cel wizyty. Czujność, towarzysze, przede wszystkim czujność!

Czego nie mogę pojąć, to monotonia szyldów sklepowych. Różnią się od siebie wyłącznie kolorem i wielkością, krój liter jest natomiast wszędzie ten sam. Niewiarygodne. I to w kraju, który znany jest ze swojej grafiki i sztuki plakatu. Przypadek mojej żony, aranżerki witryn, dowodzi, że gustem artystycznym nikt tu sobie głowy nie zawraca. A przecież można by chwilę pomyśleć nad wzornictwem, doborem odpowiedniej formy. Czyżby wszyscy byli w tym względzie tak samo leniwi jak Jola?

Za to na każdym rogu stoją stragany z kwiatami. O dowolnej porze dnia można w nich kupić bukiet. Także w nocy. Dam sobie rękę uciąć, że w przepastnych tunelach pod Dworcem Centralnym zawsze znajdzie się jakaś babina sprzedająca kwiaty choćby o pierwszej w nocy, oczywiście po nocnych, podwyższonych cenach. Warto przy tym wiedzieć, że w Polsce uchodzi za gruby nietakt przyjść do kogoś z wizytą bez okolicznościowej wiązanki. A jeśli jakiś Boży człowiek zabaluje dłużej na mieście, zawsze ma okazję, by czekającej z wałkiem do ciasta żonie kupić po drodze do domu parę goździków i trochę ją udobruchać.

Zdarzają się też chwile irytacji. I to często. Najczęściej tracę nerwy z powodu nieznośnego chaosu w komunikacji. Przepisy nie różnią się zbytnio od naszych, rzecz w tym, że nikt ich nie przestrzega. Mówiąc wprost: przeciętnemu budapeszteńskie-

[12] Angyalföld – obszar w stolicy Węgier po stronie peszteńskiej, wchodzący w skład XIII dzielnicy Budapesztu.

mu milicjantowi po pięciu minutach w Warszawie włosy stanęłyby dęba, po kolejnych kilku chłop osiwiałby do reszty, a w końcu pewnie musiałoby go zabrać pogotowie. Znaki na jezdni są przeważnie mało widoczne, a te wyraźne też rządzą się dziwaczną logiką. Wszystko to zresztą nie ma większego znaczenia, bo kierowcy nie respektują przepisów. Jeśli w dwóch wyznaczonych pasach zmieszczą się trzy auta, to jadą trzy. Zebry maluje się najpewniej dla picu, bo nikt i tak nie przepuszcza pieszych, chyba że jeden czy drugi desperat wkroczy na pasy i zmusi zaskoczonych kierowców do nagłego hamowania. Codzienny obrazek: samochód na zewnętrznym pasie zatrzymuje się, ale ten jadący obok ma to w nosie i po chwili ludzie na przejściu muszą się ratować ucieczką, popędzani do tego klaksonem. Na Węgrzech za coś takiego odbiera się prawo jazdy. W Polsce w najlepszym wypadku wlepią kierowcy mandat – stówę, i po krzyku, może dalej siać popłoch na ulicach.

Warszawskie szerokie, kilkupasmowe aleje gdzieniegdzie krzyżują się ze sobą. Rzecz jasna na tym samym poziomie. Bez świateł kierunkowych. Kiedy zapala się zielone, skręcający w lewo niecierpliwie wyczekują chwili, aż będą mogli przemknąć pomiędzy nadjeżdżającymi z naprzeciwka autami. To jednak udaje się rzadko. Gdy w końcu mogą ruszyć, światło zmienia się na żółte. Na tak krótko, że przejechać zdążą tylko dwie, może trzy osobówki albo jeden autobus czy ciężarówka. Pozostali stoją, czekają i zapewne klną. Trudno pojąć, dlaczego w tym czasie nie daje się możliwości przejazdu dla pojedynczych pasów z wszystkich czterech stron. Wyszłoby znacznie szybciej i bezpieczniej. Także ronda w polskim wydaniu nie usprawniają zbytnio ruchu. Wystarczy podać śródmiejski przykład skrzyżowania Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Teoretycznie obowiązuje tu ruch okrężny, ale nie dość, że rondo przecinają szyny, to jeszcze tramwaje w tym miejscu skręcają. Samochody nadjeżdżają ze wszystkich stron trzema pasami. Na skrzyżowanie można wjechać, a potem z niego wyjechać z dowolnego pasa. Skręcający tramwaj ma pierwszeństwo przy wjeździe na rondo, ale przy wyjeździe już nie. A ponieważ składa się z trzech wagonów, gdy czeka na swoją kolej przy opuszczaniu skrzyżowania, ostatni wagon blokuje cały ruch. Efekt? Chaos, niebezpieczne manewry, permanentne korki.

Taksówkarze to osobny gatunek człowieka na każdej szerokości geograficznej. Warszawscy taryfiarze, zwani też złotówami, nie stanowią wyjątku od reguły. Tyle że pogarda dla przepisów przybiera u nich niewyobrażalne rozmiary. I nawet milicjanci zdają się to ignorować. Jak twierdzi mój szwagier, kruk krukowi oka nie wykole, a co drugi tutejszy taksówkarz to były ubek, pies, żołnierz albo czynny konfident. Wie, co mówi, bo starał się parę razy o licencję, ale że nie miał pleców, odpowiedniej przeszłości ani protekcji, za każdym razem odchodził z kwitkiem. Bez papierka nie przyjmą go w państwowym MPT (radio taksi), a i prywatnie jest bardzo trudno. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, skoro w mieście brakuje taksówek, MPT ma ich równie mało co prywaciarze, tymczasem na przystankach tłumy ludzi czekają na wolny kurs. Dlaczego nie wydadzą więcej pozwoleń? Jacek wzruszył tylko ramionami: „Bo żyjemy w socjalizmie, bracie".

18 listopada 1976, Warszawa

Imprezowaliśmy niedawno u Jurka, naszego przyjaciela z telewizji. Balanga trwała w najlepsze, a noc była jeszcze młoda, gdy skończyła się wódka. Gospodarz zachował zimną krew. Chwycił za telefon i wezwał taksówkę. Przyjechała po dwudziestu minutach, normalka, w sobotę po jedenastej wieczorem miasto tonie przecież w korkach. Wyszedłem z Jurkiem przed bramę, bo Money musiał załatwić swoje psie potrzeby.

Jurek władował się na siedzenie obok kierowcy i zaczął mu coś pospiesznie wyjaśniać. Człowiek po chwili machnął ręką, następnie obaj wysiedli i stanęli z tyłu dużego fiata. Taksiarz pochylił się nad otwartym bagażnikiem, uniósł rozłożony koc: pod spodem stały dwie skrzynki wielogatunkowej wódki. Jurek zapłacił, tamten pomachał serdecznie, po czym wcisnął pedał gazu i odjechał.

Stałem jak wryty.

– Znasz faceta?

– Gdzie tam! – Jurek roześmiał się, mocno ściskając pod pazuchą dwie świeżo nabyte flaszki. – Powiedziałem mu, żeby mnie zawiózł pod pedet na Wolę, bo mam w okolicy znajome meliny. Skoczę po wódkę i możemy wracać. A on na to, że mi sprzeda za tę samą cenę. Na cholerę było tracić czas, nie? I niech mi ktoś powie, że w Polsce czegoś się nie da! Wszystko się da, jak się człowiek umie zakręcić!

Miał rację. Z handlem taksówkowym zetknąłem się wprawdzie po raz pierwszy, ale instytucja meliny nie jest mi obca. Wódkę oczywiście można kupić w sklepie monopolowym. Tyle że wyłącznie od pierwszej po południu do siódmej wieczorem, w niektórych delikatesach do dziesiątej. Istnieje kilka sklepów całodobowych, ale one też nie sprzedają mocnych alkoholi późnym wieczorem, co najwyżej wino. Przy tym pół litra porządnej wódki to nie to samo co dwie butelki bułgarskiego rieslingu po tej samej cenie – szybciej trzepie!

Zdarzyło mi się wpaść ze szwagrem po dziesiątej wieczorem do całodobowego, a gdy wyszliśmy z pustymi rękami, na ulicy zaczepił nas facet, mrugnął porozumiewawczo i zapytał, czy nie trzeba nam wódki. Nastąpiła krótka i rzeczowa dyskusja, koleś żądał stu siedemdziesięciu złotych za butelkę żytniej, która w sklepie kosztuje sto trzy złote. Ostatecznie zgodził się spuścić do stu pięćdziesięciu, jeśli kupimy trzy.

Poszliśmy za nim. Zaprowadził nas ciemną, odrapaną bramą do zatęchłej klatki schodowej, a potem na podwórze oświetlone jedynie słabą żarówką z drugiego piętra i zalatujące kocimi szczynami. Stanęliśmy przed na pół przeszklonymi drzwiami, za nimi paliło się światło, ale zwisająca ze sznurka żółtawa zasłonka z prześcieradła nie pozwalała zajrzeć do środka. Z rozstrojonego tranzystora dobiegało nocne umpa-umpa, nasz cicerone zapukał, a po chwili, nie czekając na odpowiedź, zaanonsował:

– Pani Wisieńko, to ja, Józek!

Drzwi się otworzyły i odsłoniły nam widok na mieszkanie: jedna izba robiła za kuchnię, przedpokój, salon i jadalnię. Przywitała nas kobieta w średnim wieku z wałkami we włosach, wytarła ręce w kwiecisty fartuch nylonowy i zaprosiła do środka.

– Wyschło panom w gardle? – Zmierzyła nas wzrokiem, ale tylko rutynowo. Z pewnością znała dobrze Józka i wiedziała, że nie ściągnie jej na głowę milicji.

Ze spowitego w mroku, na oko czterometrowego stropu zwisała lampa z porcelanowym talerzem i łysą żarówką – mechanizm starego typu, który pozwala regulować wysokość za pomocą uchwytów i odważnika. Światło padało na rozklekotany stół pokryty ceratą. Na blacie stała do połowy wypita bałtycka, wokół niej zatłuszczone kieliszki z grubego szkła, na talerzu plastry kaszanki, a obok słój z ogórkami, nadgryzione kromki chleba, okruchy, wypełniona po brzegi ciężka klubowa popielnica, paczka ekstra mocnych i pudełko zapałek.

Przy stole siedziało dwóch wstawionych typków i kopciło szlugi o zapachu wysuszonego koziego łajna, których smród przebijał nawet wszechobecny swąd podławej kuchni i w porównaniu z którymi węgierskie romance pachną jak majowy ogród. Pod ścianą stał olbrzymi rzeźbiony kredens, pamiątka lepszych czasów, dawniej może pomalowany ze smakiem, później jednak – ze względów praktycznych – pociągnięty grubą, miejscami rozmazaną warstwą białej, z czasem jednak pożółkłej na kolor jajecznicy farby olejnej.

(Działo się to w jednej z niewielu ocalałych starych warszawskich kamienic, opodal placu Zbawiciela. Mebel należał pewnie do jakiejś rodziny mieszczańskiej z wyższych pięter. Moi dziadkowie ze strony ojca przeżyli podobną sytuację w domu przy ulicy Barossa. Tyle że to oni musieli się przenieść do sutereny i gnieździć w mieszkanku z małą kuchnią i dzieloną toaletą. Meble zostały na górze).

W rogu pokoju stał przykryty kocem tapczan, pod jedną ze ścian znajdowały się blat kuchenny ze sklejki, zlew, usmolona kuchenka gazowa, a na niej garnek z bigosem. Obok zieleniła się żeliwna umywalka z miedzianym kranem. Drzwi jedynej zapewne sypialni były uchylone, w ciemnym wnętrzu migotał niebieskawo telewizor, jakby ktoś w środku spawał. Dźwięku odbiornika nie było słychać, bo wciśnięte między brudne naczynia, zasilane umocowanymi gumką bateriami radio „Sokol" wygrywało jedną polkę za drugą, wtórując w buczeniu lodówce „Saratow".

– Co się pan rozgląda, proszę wybierać! – zachrypiała w moją stronę pani Wisieńka i pociągnęła ekstra mocnego bez filtra. Trzymała go w kąciku ust, rękoma otwierała górną szafkę kredensu. Stał w niej zadziwiający arsenał flaszek. Żytnia, krakowska, bałtycka, po tuzinie z każdego gatunku. Wystawkę wieńczyło kilka tanich win owocowych. Na niższej półce znajdowały się towary tytoniowe: sporty, ekstra mocne z filtrem i bez, z tych lepszych carmeny i caro, walące po głowie bułgarskie plovdivy i marlboro na licencji polskiej. Jakby ktoś otworzył przede mną wrota sezamu.

Gospodyni posprzeczała się jeszcze z Józkiem, bo jej zdaniem za bardzo opuścił nam cenę, ale w końcu udało się kupić trzy butelki żytniej. Jacek, szukając pieniędzy, wyjął z kieszeni pół paczki lucky strike'ów, które kupiłem mu poprzedniego dnia w peweksie. Kobiecie wyraźnie zaświeciły się oczy: ujrzała w nas amatorów luksusowych towarów.

– A papierosów nie trzeba? I mam trochę kaszanki, świeża, rano kupowana!

Niech pan spróbuje ogórków! Też mogę sprzedać! – Zakręciła się na pięcie, wyłowiła z umywalki dwa kieliszki, podobne do tych na stole, i postawiła je przed nami z takim impetem, że aż trysnęła woda.

– Tadek! – Szurnęła po plecach jednego z osowiałych stołowników, podstarzałego łysielca w trykotowej koszulce. – Nalejże panom!

Zacząłem się wykręcać, ale Jacek dał do zrozumienia, żebym nie protestował. Pomyśleliby jeszcze, że się snobujemy, a za to się w tych kręgach obrywa. Pal licho, pomyślałem, alkohol w końcu działa odkażająco. Tadek polał, zabrzmiało „sto lat!" i wychyliliśmy po sto gram bałtyckiej. Pani Wisieńka podała nam po kawałku kaszanki i po ogórku. Nie ma przebacz: do picia potrzebna zagrycha, żeby alkohol nie zaszkodził. Kupiłem paczkę marlboro z pięćdziesięcioprocentową marżą. Dla świętego spokoju! Na drugą nóżkę już nie chcieliśmy, wykręciliśmy się, mówiąc, że koledzy umierają w domu z pragnienia. Jacek postawił drugą kolejkę i zmyliśmy się bez problemów. Józek odprowadził nas kawałek, życzył udanej zabawy i popędził z powrotem pod delikatesy. Praca sama się nie zrobi.

• • •

Prasa zalewa nas tekstami o alkoholizmie. Restrykcje w sprzedaży napojów wysokowych mają ograniczyć konsumpcję. Wszystko poparte liczbami, wygląda na to, że sukces będzie murowany. Ale po chwili czytam, że popyt na alkohol z roku na rok rośnie, zwłaszcza na wódkę. W następstwie wprowadzonych ograniczeń kwitnie czarny rynek. Państwo sprzedaje spirytus, ściąga podatek z dochodów, a co obrotniejsi zbijają zysk na deficycie. Konsument zaś płaci spekulantom daninę od luksusu. Pytam: kto tu jest frajerem? Czy aby nie państwo?

Jasne, że taki układ może się bardzo opłacać. W Polsce nie istnieje obowiązek zatrudnienia, węgierskie pojęcie „szkodliwego społecznie uchylania się od pracy" nie jest tu znane. Są wprawdzie „pasożyty" czy „bumelanci", za którymi system nie przepada, ale też nie nakłada na nich kar urzędowych jak u nas. Wielu ludzi utrzymuje się z drobnego handlu, a „państwo robotnicze" jeszcze się o nich troszczy, bo od swojej działalności nie odprowadzają podatków ani składek zdrowotnych czy rentowych. Żyć, nie umierać! A cały system opiera się na gospodarce niedoboru. Sukces odnosi ten, kto ma odpowiednie znajomości, bystre oko, orientację i rozeznanie w danej branży. Trzeba wiedzieć, na co jest popyt, gdzie i kiedy dostarczany jest towar, przezornie go wykupić, a potem sprzedać z pięćdziesięcio- czy stuprocentowym zyskiem tym, którym brakuje nerwów, czasu, a czasem smykałki do załatwiania, kombinowania.

Koniec końców jest coś rozkosznego w tym, jak Polacy radzą sobie z deficytem towarów. Nie ma dla nich nic niemożliwego. Gierek i partia mają w istocie rację, twierdząc, że „Polak potrafi"! To ludzie twardo stąpający po ziemi. Jeśli kiedyś zagości tu kapitalizm, czeka nas prawdziwy dobrobyt!

20 listopada 1976, Warszawa

Z satysfakcją odnotowuję, że w swojej fascynacji Polską nie jestem odosobniony. W przeglądzie prasy polskiej sekcji Radia Wolna Europa cytowano fragment artykułu z pisma francuskiego. Mój odbiornik jest podłączony do magnetofonu, żebym mógł w razie czego wcisnąć guzik, a potem uczyć się języka z nagranego programu. Udało mi się zatem spisać cały tekst i mogę go tu przytoczyć słowo w słowo.

> Po kilku dniach spędzonych w Polsce nawet średnio spostrzegawczy człowiek zorientuje się, że trafił do świata absurdów, który jednak o dziwo funkcjonuje nie najgorzej. Mowa o kraju, którego co piąty obywatel żyje za granicą, podobny odsetek ludzi zginął w czasie wojny, a co trzeci mieszkaniec ma mniej niż dwadzieścia lat. To państwo, które brutalnie odcięto od wielowiekowych tradycji, ale przy tym umiało ono podnieść z ruin zniszczoną stolicę i przywrócić Staremu Miastu dawny blask zgodnie z obrazami Canaletta. Kraj, gdzie liczba studentów jest dwukrotnie wyższa niż we Francji i gdzie inżynier zarabia często mniej niż robotnik. Gdzie ludzie wydają dwa razy więcej niż wynosi ich pensja, a za średnią miesięczną można kupić dwie pary porządnych butów, przy czym bieda wcale nie rzuca się w oczy. Kraj, w którym cena małego auta rodzimej produkcji równa się trzyletnim poborom robotnika, a mimo to w miastach brak miejsc do parkowania. W tej tak zwanej socjalistycznej demokracji zdobycie paszportu stanowi poważny problem, a jednak każdego roku prawie dwieście tysięcy Polaków wyjeżdża na Zachód. To też jedyny kraj w obozie, gdzie obywatel może legalnie posiadać obcą walutę, choć oficjalnie nie da się jej ani nabyć, ani sprzedać. Dziwne miejsce, w którym z kelnerem można czasem porozmawiać po angielsku, z kucharzem po francusku, z ministrem zaś tylko przez tłumacza. Cudzoziemiec nie powinien szukać w Polsce logiki, w przeciwnym razie gotów jest postradać zmysły.
>
> Polacy, na Boga, jak wy to robicie?!

Mam pewną teorię na ten temat: tajemnica Polaków polega na tym, że niczego nie biorą serio. Nawet dyktatury…

A do tego są mistrzami w biznesie pokątnym! Nigdy nie zapomnę faceta, który na bazarze w Pécsu sprzedawał tuzinami płyty z muzyką zachodnią, kupione w licencjonowanych sklepach w Jugosławii. Gdy zacząłem się z nim targować, szybko się okazało, że jest „turystą" z Polski. Był sierpień, a on od przeszło miesiąca kursował przez granicę w tę i we w tę. Na Węgrzech kupował narzędzia i sprzedawał je z zyskiem po tamtej stronie, gdzie z kolei zaopatrywał się w płyty i wycieruchy. Nie mogłem wtedy pojąć, jak mu się udaje to ciągłe mrówkowanie. Teraz już wiem, że w Polsce istnieje tylko jeden rodzaj paszportu: ważny na cały świat. Można na nim jeździć wszędzie i dowolną ilość razy, jeśli tylko cię wpuszczą. Koleś miał więc w swoim biznesie fory, o jakich przygraniczna ludność węgierska mogła tylko marzyć.

Każdego lata całe rzesze ludzi wyruszają w podróż na południe: wyładowane po sufit maluchy popylają po drogach, uginając się pod ciężarem przytroczonych do dachu bambetli, a niektórzy śmiałkowie ciągną jeszcze przyczepy kempingowe. Przezorni kierowcy zaopatrują się przed wyjazdem w zapasowe uszczelki i tulejki, bo sprzęgła od wielkiego nacisku łatwo się zacierają. Celem tych wędrówek jest przeważnie Turcja, ale już po drodze handel kwitnie w najlepsze. Ludzie doskonale wiedzą, co gdzie sprzedać, a co kupić. Gdy dotrą do Stambułu, cały zgromadzony kapitał wymieniają na złoto. Fiaciki wracają puste, także turystyczny ekwipunek udaje się komuś opchnąć, a same przyczepy padają często łupem „złodziei"… Polski ubezpieczyciel wypłaca odszkodowanie, w dalekiej Anatolii nikt zaś nie docieka, skąd miejscowy Ahmed wytrzasnął domek na kółkach.

Lwią część z owych dwustu tysięcy Polaków, którzy ku zdziwieniu francuskiego dziennikarza wyjeżdżają co roku na Zachód, stanowią nielegalni pracownicy sezonowi. W Szwecji zbierają truskawki, w Niemczech i Anglii remontują mieszkania, we Francji przeważnie pracują przy winobraniu. Górale natomiast wybierają tradycyjnie Stany i tam najmują się do każdej możliwej roboty.

Co ciekawe, państwo komunistyczne im na to pozwala. Nawet jeśli nie robi tego oficjalnie, jak Jugosławia, w większości wypadków wydaje cichą zgodę. Chciałbym obejrzeć statystyki z tym związane. Ile pieniędzy przywożą do domu polscy gastarbeiterzy? Mogę się pokusić o małą kalkulację. Powiedzmy, że mamy dwieście tysięcy ludzi pracujących na czarno, przy czym w poczet ten zaliczam także handlujących turystów. Mogę się oprzeć wyłącznie na danych z Anglii, ponieważ mój znajomy Edek Ipnarski jeździ tam każdego lata i od niego czerpię informacje. Edek zasuwa dziesięć–dwanaście godzin dziennie, jeśli może, także w weekendy, bo czas w tym wypadku naprawdę równa się pieniądz. Najniższa stawka to funt za godzinę. Czyli dwanaście funtów dziennie, pomnożone przez siedem daje osiemdziesiąt cztery. Twierdzi, że przeżyć można za trzydzieści funtów tygodniowo. Zostaje mu więc pięćdziesiąt. Przez dwa miesiące da się w ten sposób zarobić czterysta funtów, co wedle aktualnego kursu daje siedemset dolarów. Czyli sto tysięcy złotych – po cenie rynkowej. Dwudziestopięciokrotność pensji Joli! Tyle właśnie, przy odrobinie szczęścia, potrafi zarobić Edek przez dwa miesiące w Londynie. Wyobraźmy sobie więc, jaką sumę przywozi do Polski dwieście tysięcy Ipnarskich. Dwadzieścia miliardów złotych, do tego w twardej walucie! Co roku! A przecież wielu ludzi pracuje za granicą dłużej niż dwa miesiące… Ogromna część tych pieniędzy trafia do kieszeni państwa, bo za dewizy można kupić wszystko, bez kolejki i z ulgą, od auta po mieszkanie. A ile pieniędzy ci przezorni, nauczeni oszczędzania na gorsze czasy Polacy mają pochowanych w poduszkach i materacach? Żeby nie szukać daleko, moja teściowa dysponuje paroma tysiącami dolarów na czarną godzinę. Ja też nie jestem w tych sprawach zielony: przyjechałem do Polski z dwoma tysiączkami ukrytymi w grzbietach starych książek…

21 listopada 1976, Warszawa

Polska gospodarka wyraźnie zmierza ku przepaści. Nie pomogły bombastyczne inwestycje, zachodnie kredyty topnieją w oczach, a zysków brak. Nie mam pojęcia, z czego zamierzają spłacić długi. Partyjna propaganda sukcesu nasila się przy tym wprost proporcjonalnie do spadku stopy życiowej. Przechodzi ludzkie pojęcie, ile kłamstw zdolni są z siebie wykrzesać w gazetach, telewizji i radiu! Gierek coraz paskudniej podlizuje się towarzyszom sowieckim, Kádára pod tym względem zostawił już dawno w tyle i teraz ściga się w poddańczych ukłonach z Husákiem.

Krąży na ten temat dowcip:

Gierek w towarzystwie małżonki odwiedza Związek Sowiecki. Breżniew zabiera ich do fabryki traktorów w Mińsku. Panuje tu niemiłosierny chłód, Ruscy dają więc gościom grube, sięgające ziemi szynele. Po kilku dniach podróży przychodzi czas powrotu do Polski. Na lotnisku Gierek zauważa, że materiał sięga mu tylko do kolan. Pyta więc żonę: „Powiedz mi, moja droga, jak to się stało, że ten płaszcz na początku dotykał ziemi, a teraz jest taki krótki?". Kobieta rozkłada ręce: „Tyle żeś się naczołgał i naklękał przed Lonią, to się nie dziw, że pół płaszcza poszło w strzępy!".

Najprawdziwsza prawda. Parę dni temu dostałem od Ákosa tekst do tłumaczenia: w kolejnym numerze „Polski" ukaże się wielki artykuł o niedawnej wizycie polskiej delegacji w ZSRS. Całe długie akapity Gierkowego kadzenia Breżniewowi. Przekładam je na polski z równym wstrętem co teksty Kádára.

• • •

Miałem zresztą sporo szczęścia z tymi przekładami. Dostałem do tłumaczenia zatwierdzone przez KC PZPR obszerne stanowisko na temat ogólnych relacji między Polską a ZSRS. Wydali je poprzedniego dnia. Na lotnisku, gdzie żegnałem po dwudniowej wizycie delegację związkowców drukarzy, dostałem od pracownika Malévu[13] egzemplarze „Népszabadság" i „Magyar Nemzet". I co w nich znalazłem ciekawego? Tuba rządowa przedrukowała tekst niemal słowo w słowo, posiłkując się doniesieniami warszawskich i moskiewskich korespondentów MTI[14]. Znaczy się każdy głupi rozumie, że chodzi o stek frazesów uzgodnionych na górze i wydanych w tym samym brzmieniu na Kremlu i w warszawskim „Białym Domu". Wydrukowały go polskie i węgierskie dzienniki, a pewnie też prasa w całym socobozie. Grunt, że braterska współpraca między narodami tym razem przysłużyła się też mnie – za samo stukanie w maszynę zainkasowałem pełne honorarium, czterysta złotych.

Przerażająca sprawa mimo wszystko. Na dworze czerwonego cara upichcą jakiś tekst, wcisną do kieszeni korespondentom z demoludów i koniec, nic więcej nie powiedzą, komu nie smakuje, ten odchodzi głodny. A jak nie wierzy, to jeszcze szpiclów naślą…

---

[13] Malév – węgierskie linie lotnicze istniejące w latach 1946–2012.

[14] Magyar Távirati Iroda – węgierska agencja prasowa, działająca od 1880 r.

• • •

Słyszałem swoją drogą, jakie ptaszki pracują w tym MTI! Warszawski korespondent trzyma w domu broń podręczną, a w budynku ambasady ma wyznaczone okno do obrony, to znaczy w razie zagrożenia czy „alarmu" może przez nie strzelać. Rzecz jasna nie z pistoletu, tylko z kałacha, który mają schowany w sejfie przy Chopina. A mówimy tu o delegacie do krajów socjalistycznych. Wyobrażam sobie, że koledzy wysyłani na Zachód, najwierniejsi z wiernych, muszą trzymać w szafach moździerze.

Wygląda więc na to, że w MTI pracują wyłącznie konfidenci. Muszą nimi być, skoro składają codziennie specjalne raporty w ambasadzie, a teleksem posyłają agencji bezpieczne wiadomości. To straszne, że nawet one muszą się opierać na komunikatach PAP-u. Warszawski korespondent jest zatem tak naprawdę tłumaczem. Wydaje się całkowicie zbyteczny. Tyle że dostarczane regularnie tajne doniesienia zawierają informacje o tak zwanych nieoficjalnych stanowiskach, zbierane przez faceta w czasie pracy. Podejrzewam jednak, że i w tej dziedzinie panuje „porządek", to znaczy polscy towarzysze podszeptują mu, co ma pisać. Byłby skończonym wariatem, gdyby zdradzał własne spostrzeżenia. W końcu za to, co dziś „wyjdzie" z ambasady, jutro ktoś może go ustrzelić. Po co więc zakładać sobie pętlę na szyję?

22 listopada 1976, Warszawa

Dostałem z Budapesztu wiadomość, że wysłana przeze mnie na prośbę Asperjána historia o autostopowiczach zajęła drugie miejsce w konkursie słuchowisk. Nie posiadam się z radości! Jak można się było spodziewać, Jola skwitowała wszystko praktycznym pytaniem:

– A ile wynosi nagroda, skarbie?

Jeśli się nie mylę, jakieś trzydzieści tysięcy forintów…

Moja żoneczka zaczęła z miejsca liczyć jak najęta. Jeśli wymienimy sumę na zielone i przemycimy do Polski, stać nas będzie na niezłe używane autko.

– Możemy nim pojechać do Turcji i nakupić błyskotek, taka wycieczka handlowa będzie nas kosztować, powiedzmy, pięćset dolców, a jak dobrze pójdzie, zarobimy drugie tyle – taki przedstawiła plan. Powiedziałem, że w porządku, ale w takim razie chcę też pojechać do Redestos, pokłonić się wielkiemu księciu. Na co ona:

– To po drodze do Stambułu? Niezupełnie? Posłuchaj, na turystykę kulturalną przyjdzie czas, gdy będziemy mieć urządzone mieszkanie, samochód i inne rzeczy.

Hm… Mieszkanie, samochód, inne rzeczy. O dzieciach jakoś nie wspomina. Jak długo chce z tym czekać? Do czterdziestki?

Oczywiście własne lokum to podstawa. Wydawało się już, że mamy je w zasięgu ręki. Gdyby węgierskie i polskie urzędy nie pieściły się przez dziewięć miesięcy z moim pozwoleniem na wyjazd, bylibyśmy na najlepszej drodze. Pieniądze na wkład do spółdzielni mieliśmy odłożone już latem. Ale żeby uruchomić cały proces, musiałem być zameldowany w Polsce. A zanim tak się stało, podnieśli wpisowe i to prawie dwukrot-

nie. No i teraz musimy się głowić, kombinować, żebrać i gnieździć – Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze – u starych. A byliśmy pewni, że to tylko przejściowe rozwiązanie…

Ileż w tym prawdy, że najtrwalsze bywają u nas prowizorki! Niech to szlag!

16 grudnia 1976, Warszawa

Odbyło się wręczenie nagród radiowych – pod egidą młodzieżówki partyjnej. Uroczystość zorganizowano w jednej z sal posiedzeniowych Białego Domu przy placu Mari Jászai. Mój dobry nastrój z powodu wyróżnienia psuło otoczenie, w którym przyszło mi je odbierać. Dlaczego Węgierskie Radio urządziło imprezę w siedzibie partii? Powódź czerwonej tapicerki! W westybulu wisiało monstrualne *panneau* ku chwale sojuszu robotniczo-chłopskiego, z Kádárem przedstawionym w rogu nad partią szachów…

Joli oczywiście takie rzeczy nie ruszają. Odstawiła się jak na spotkanie z królową, choć chciałem jej to wyperswadować. Skończyło się tak, że i ja musiałem się wystroić. Wyglądaliśmy jak goście kasyna w Monte Carlo, podczas gdy cała reszta miała na sobie ciemnoniebieskie garnitury z domu towarowego Centrum, jedni zbyt ciasne, inni o numer za duże, z gatunku „jeszcze urośniesz". Byłem tak rozdrażniony, że nie zapamiętałem nazwiska komsomolca, który ściskał mi dłoń.

Wyglądał jak mój szkolny kolega András Domány. Cóż za szkoda, że to nie był on! Już widzę, jak przebierałby nóżkami. Jeszcze w Apáczaim kierował szkolną młodzieżówką partyjną, a potem słyszałem od Pétera Szeraticsa, że ledwo przyjęli go na ekonomię, z miejsca został sekretarzem. Pamiętam gościa doskonale, bo kiedy składałem papiery na hungarystykę i anglistykę na ELTE[15] i nasza wychowawczyni Margit Faludyné Szita wystawiła mi wedle kryteriów politycznych opinię negatywną, on też dołożył trzy grosze. Wilczy bilet obowiązywał dwa lata. Co z tego, że egzamin zdałem śpiewająco, skoro na jedno miejsce było czterech chętnych i nieprzychylna opinia szkoły okazała się decydująca. (Muszę jednak oddać starej Faludyné, że nauczyła nas jednej praktycznej rzeczy: robienia notatek. To umiejętność nie do przecenienia, nie tylko wśród farciarzy przyjętych na studia).

Było minęło. Grunt, że na dziesięcioleciu matury udało mi się porządnie wkurzyć panią profesor. Nieszczęsna kobieta, która na domiar złego uczyła nas historii, w drugiej klasie liceum oznajmiła, że nigdy nie da mi piątki, choćbym stawał na głowie. Czepiała się dosłownie wszystkiego, jak milicja – a to długich włosów, a to dżinsów, a to innych rzeczy. Pewnego razu zbeształa mnie za starą wojskową koszulę w barwach khaki, którą zabrałem ojcu. Usłyszałem, że jestem faszystą. Kazała mi też odpiąć z koalicyjki znaczek harcerzy polskich w kształcie krzyża maltańskiego, bo przypominał jej Krzyż Żelazny. Nie doceniała, że chodziłem do niej na kółko historyczne, twierdziła, że zawracam tylko głowę głupimi pytaniami. Miała rację. Potrafiła opowiadać niestworzone

[15] Uniwersytet Lóranda Eötvösa (Eötvös Loránd Tudományegyetem) – uczelnia wyższa w Budapeszcie, jeden z najlepszych uniwersytetów na Węgrzech.

bajki, jak choćby to, że w czasie ostatniej wojny rząd węgierski przyjął uchodźców z Polski tylko dlatego, że nasi feudałowie i ziemianie dogadali się z panami polskimi. Twierdziła, że robili selekcję na granicy i wpuszczali wedle kryteriów politycznych i społecznych. Ojca niemal szlag trafił, gdy mu o tym powiedziałem. Wybrał się do pani profesor – złamał tym samym asekuracyjną zasadę rozdziału edukacji szkolnej i domowej – i oskarżył ją o kłamstwo. O tym, jaka była prawda, wiedział od swojej dawnej polskiej sympatii Wandy i z własnych doświadczeń. Wspominał też o grupce dzieci żydowskich z Polski, które ukrywano w konspiracyjnym mieszkaniu w Vácu.

Tak czy owak od tamtej pory przestałem chodzić na kółko historyczne. Z tym większym zapałem uczestniczyłem w zajęciach pana László Madocsayego, który był nie tylko jednym z najlepszych profesorów węgierskiego, jakich znałem, ale też należał do nielicznych, którzy otwarcie gardzili panią Faludyné, za co jestem mu dozgonnie wdzięczny. Pod tym względem trzymał sztamę z Jánosem Somossym, matematykiem, od którego gotów byłem przyjąć tróję z pocałowaniem ręki, bo wiedziałem, że na więcej nie zasługuję. Przymykał oko na moją niechęć do matmy, zdawał sobie bowiem sprawę, że w węgierskim, historii czy biologii jestem prymusem, więc trzeba mi okazać miłosierdzie. Miał swojego ulubieńca Diósiego, a że Lajos został potem fizykiem jądrowym, Somossy może być z niego dumny. Na bankiecie maturalnym jako jedyny przeszedł z nami na ty, a kiedy, lekko wstawieni, siedzieliśmy z nim w wąskim gronie klasowych „łobuzów", na dźwięk nazwiska naszej wychowawczyni machnął tylko ręką. „Czego się spodziewać po kimś, kto twierdzi, że Ruscy w czterdziestym piątym rozdawali dzieciom czekoladę? Jeśli tak, to chyba tylko zrabowaną ze sklepu! Albo po kimś, komu nie przeszkadza, że ojciec »kułak« powiesił się, bo córka wstąpiła do partii… Nie ma o czym gadać!" Facet miał jaja, skoro nie bał się z nami rozmawiać tak otwarcie. I to w końcówce lat sześćdziesiątych.

Jak wspomniałem, na dziesięcioleciu matury udało mi się wyprowadzić czerwoną damę z równowagi. Faludyné namówiła swoich dawnych pupilów, grupkę osobistych konfidentów, żeby zorganizowali imprezę w jednej z dużych sal lekcyjnych liceum. Zaprosiła na spotkanie aktualnych maturzystów z prowadzonej przez siebie klasy. Kazała im przynieść magnetofon z mikrofonem. Chciała nagrać, jak opowiadamy, co się z nami działo, kim jesteśmy, jak żyjemy. Odpytywała nas według alfabetu, więc byłem jednym z ostatnich. Zacząłem od Polski. Powiedziałem, że autostopem można tam było jeździć legalnie jeszcze w latach sześćdziesiątych, a milicja nie kazała hipisom skracać włosów, wspomniałem o cenzurze prewencyjnej, mniej dotkliwej niż praktykowana na Węgrzech samokontrola, kiedy człowiek z przesadnej ostrożności wzdraga się mówić to, co być może wcale nie jest zabronione. Rozpływałem się nad sceną jazzową, współczesną sztuką abstrakcyjną, pielęgnowaniem tradycji, żywą świadomością narodową, pozycją Kościoła. Zapewniałem, że kraj ten jest w porównaniu z Węgrami prawdziwym oknem na Zachód. Słowem, gadałem jak najęty o wszystkim, co pachniało wolnością i co mogło wzbudzić w nauczycielce sprzeciw i wściekłość. Maturzyści, ale też spora część moich dawnych kolegów, robili wielkie oczy, a ja byłem w swoim żywiole. Faludyné próbowała przerywać nagranie, ale bezskutecznie. Biednym chłopcom dostało się

pewnie za to po głowie. Kiedy doszła do głosu, wygłosiła kazanie o patologii, z której takich jak ja nie da się wyleczyć. Nikt jej jednak nie słuchał. Po dziś dzień żyję nadzieją, że udało mi się zasiać w tych młodych umysłach jakieś ziarno. A kiedy pomyślę, że na łamach „Népszabadság" pisano z uznaniem o moim słuchowisku, widzę przed sobą biedną Margit, jak w napadzie histerii rozrywa na strzępy ukochaną gadzinówkę.

Mój redaktor Gyuri Asperján nie posiadał się z dumy, upojony sukcesem odkrytego przez siebie autora. Sam autor też był w siódmym niebie. Miałem w nosie cały partyjny *entourage*, młodziaków w niebieskich garniturach i czerwonych krawatach, grunt, że coś w życiu osiągnąłem, a przy tym nie musiałem się kurwić.

Wypiliśmy tego dnia z Asperjánem i Jolą dość dużo, Gyuri kreślił przede mną różne perspektywy, a mnie piwo uderzyło nieco do głowy: w alkoholowym uniesieniu zobaczyłem siebie kłaniającego się ze sceny, siebie – pisarza emigracyjnego (?) na premierze własnej sztuki…

26 grudnia 1976, Warszawa

Pierwsze Boże Narodzenie w Polsce. Do tego w gronie rodzinnym. Z teściem, dumnym pezetpeerowcem, i teściową, której codzienne geszefty nie przeszkadzają w niedzielnych kursach do kościoła – ale co tam! Okazuje się, że ludzie ci kultywują mnóstwo tradycji niczym ortodoksyjni chrześcijanie! Takich przygotowań do świąt nie pamiętam od czasów, gdy spędzałem je u jednych czy drugich dziadków. U nas nie przywiązywało się wagi do pięknych zwyczajów. Po odśpiewaniu *Anioła z nieba* jedliśmy zupę rybną i smażonego karpia, przegryzaliśmy roladą makową albo orzechową, a potem biegliśmy rozpakować prezenty. O północy pasterka i do łóżka.

Polski stół wigilijny przypomina róg obfitości. Przy kolacji zebrała się cała rodzina, szwagrowie, siostra Joli Gośka ze swoim basistą Leszkiem, teść, teściowa i my, świeżo upieczeni małżonkowie. Nie licząc psa, było nas osiem osób. Nakryto dla dziewięciu, na wypadek, gdyby wpadł w odwiedziny Pan Jezus. A nawet gdyby się nie zjawił osobiście, mógł zawsze wysłać w zastępstwie wędrowca. Dla nich właśnie zostawia się to jedno puste miejsce. Na świątecznie przystrojonym stole nie zabrakło wieńca adwentowego z czterema świecami, a pod każdy talerz włożono trochę sianka – na pamiątkę żłóbka betlejemskiego. Potrawy były postne i musiało ich być co najmniej dwanaście, czyli tyle, ilu apostołów albo miesięcy w roku. Można przygotować więcej, mniej jednak nie wypada. Wyliczam z pamięci: śledź w oleju, śledź w śmietanie, sardynki w tomacie, karp po żydowsku, pieczone filety z ryby, sałatka ziemniaczana z czerwoną cebulą, półmisek serów, sałatka jarzynowa, jaja w majonezie, wędzone szprotki w ziołowej zalewie, jabłka, orzechy włoskie i laskowe, sernik, szarlotka, makowiec, orzechowiec, sałatka owocowa, czekolady, cukierki… Trudno spamiętać, a co dopiero wszystkiego skosztować! Na pasterkę poszliśmy rzecz jasna w komplecie, przed snem wypiliśmy jeszcze po kieliszku, zakąsiliśmy postnym bigosem, czyli polską wersją kapusty po seklersku, tyle że z grzybami i suszonymi śliwkami zamiast mięsa.

Niesamowite, ale tak z grubsza wyglądają stoły wigilijne w całej Polsce. Zapasy robi się z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, a potem chowa się w bezpiecznym miejscu, pilnuje przed domownikami, zachęca się do wstrzemięźliwości adwentowej. Deficyt deficytem, ale ludziom i tak udaje się jakoś wyczarować produkty świąteczne. Bo przyjście Bożej Dzieciny trzeba uczcić godnie, bez dwóch zdań. Co za naród!

Zanim jeszcze usiedliśmy do stołu, zgodnie z tradycją senior rodu wziął do ręki talerzyk z białą nakrochmaloną chusteczką, na której leżały opłatki, i rozdał je wszystkim domownikom. Każdy wziął po kawałku, a potem łamaliśmy się nimi, każdy z każdym, wkładaliśmy do ust i życzyliśmy sobie nawzajem szczęśliwych świąt. W polskim radiu i telewizji puszcza się przy tej okazji kolędy, przepiękne pieśni bożonarodzeniowe, i my także pośpiewaliśmy sobie trochę. A potem można już było siąść do stołu i wybierać do woli z bogatej oferty kulinarnej.

Tata nalał wszystkim wódki i nawet niepijąca skądinąd Helenka tym razem nie dała się namawiać.

Po kolacji przyszedł czas na rozpakowanie prezentów, a tym samym chwila zbawiennej przerwy od nieco już ciążącego jedzenia. Herbata, kawa, wino, miód pitny, kompot.

Potem wyruszyliśmy do kościoła. Tata, sekretarz partyjny, poszedł z nami. Na mszy zachowywał się tak, jak go uczono w dzieciństwie – doskonale znał przebieg liturgii. „Istna noc cudów, jak Boga kocham" – pomyślałem, patrząc z sympatią i zaciekawieniem na starego, który składał dłonie do modlitwy, a potem trzykrotnie uderzał się w piersi, wyznając winy i mrucząc:

– Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie…

Który z tych dwóch Mieciów jest prawdziwy? Zagorzały komuch czy ten z kościoła? Jak się to wszystko łączy w jednym człowieku?

Szliśmy po skrzypiącym śniegu, którego napadało tyle, że nikt już nawet nie próbował go odgarniać. W domu, przemarznięci, wypiliśmy ze smakiem po kieliszku wódki do postnego bigosu. Między drugą i trzecią towarzystwo dopadła senność i mieszkanie zamieniono w noclegownię. Gośka z Leszkiem się zmyli, bo chłopak mieszka z babcią parę ulic dalej, ale i tak została nas szóstka. Dorota spała z Tatą i Helenką na wielkiej rozkładanej kanapie, a szwagier Jacek na rozsuwanym fotelu, również w salonie. Miałem cichą nadzieję, że mój pęcherz nie upomni się w nocy o swoje, bo wizja przedzierania się przez pokój pełen mebli i prowizorycznych łóżek, nie kusiła mnie zbytnio.

Od rana w pierwszy dzień świąt kulinarna rozpusta zaczęła się od nowa. Do śniadania siedliśmy koło jedenastej, przyszli też Gośka i jej chłopak. Poprzedniego dnia raczyliśmy się potrawami postnymi, teraz już wolno było podać mięso i wędliny. Na stole pojawiły się więc polędwica sopocka, karkówka wędzona, krakowska biała i sucha kiełbasa, kabanosy, polędwica wołowa na zimno, galaretka z kurczaka, mleko, twaróg, masło, śmietana ze szczypiorkiem, sery… Długa, rozkoszna uczta. Potem wsiedliśmy do autobusu, by pojechać obejrzeć szopki w kościołach Starego Miasta

i okolic. Najbardziej znana jest ta u franciszkanów – niczym w panoptikum, na szynach kolejki przewijają się w niej sceny z Biblii, wszystko ruchome, żywe. Stałem tam z rozdziawioną buzią jak małe dziecko.

Po długim spacerze wróciliśmy do domu na obiad. Najpierw podano rosół, po którym nawet Krúdy oblizywałby się ze smakiem. Na drugie udziec wołowy w sosie myśliwskim z podsmażonymi kopytkami, czyli ciastem kluskowym pokrojonym w małe kostki o kształcie koziej racicy, do tego buraczki duszone w oleju z kminkiem. Ociężali, półprzytomni zasiedliśmy przed telewizorem – dawali western, którego tytułu nie pamiętam, bo szybko zapadłem w drzemkę.

Ponieważ czekała nas jeszcze kolacja świąteczna, zebrałem resztki sił i namówiłem Jolę, byśmy poszli z psem na Pole Mokotowskie. Money buszował w gęstym śniegu jak szalony, nie mogłem nadążyć z rzucaniem mu kolejnych kul, które łapał w locie, a jego wyszczerzona morda napełniała się białym puchem. Kichał i prychał, szczekaniem domagając się następnej porcji.

A wieczorem podano barszcz – zupę z buraków, na którą większość Węgrów patrzy z podejrzliwą niechęcią. Nie wiedzą, co tracą! W purpurowym bulionie pływają pękate uszka o nieziemskim smaku, nadziewane farszem baranim z dodatkiem czosnku, cebuli i prawdziwków… Na drugie danie bigos, dojrzewający od tygodnia w mroźnym chłodzie balkonu. Wspominałem już, że to danie narodowe Polaków, podobne nieco do naszej kapusty po seklersku, i niech Bóg błogosławi tego, kto je wymyślił! Można w nim znaleźć całą spiżarnię: mięso wieprzowe i wołowe, kurze udka i skrzydełka, kawałki kiełbasy i szynki ze „skórynką", jak mawiał dziadek Kovács. Gdyby nie kieliszek dobrej wódki, człowiek umarłby z przejedzenia!

Grunt, że jakoś udało nam się dotrwać do końca. Teraz polskie stoły przybiorą aż do Wielkanocy dawną, skromną szatę, narzuconą wszechobecnym brakiem towarów. Wierzący przywykną do zmiany bez trudu, w końcu czeka ich czterdziestodniowy Wielki Post. Komuniści zadbają o to, by przestrzegał go cały naród, czy się to komu podoba, czy nie. W rodzinach już w lutym rozpocznie się gromadzenie zapasów, aby cieszyć się Zmartwychwstaniem przy suto zastawionym stole.

1977

28 stycznia 1977, Warszawa

W końcu sprawiłem sobie porządny sprzęt stereo. Wszystko na licencji Thomsona, tylko adapter firmy Lenco. Częstotliwość nośna w zakresie od dwudziestu do dwudziestu tysięcy herców, w magnetofonie od piętnastu do czterdziestu, a to nie byle co. Kupiliśmy też magnetofon szpulowy, również Thomsona. Niezłe cacko: prędkość przesuwu do dziewiętnastu i pół centymetra na sekundę, co prawda wciąga taśmę, ale tylko na pełnych obrotach wiadomo, na co go stać. Od teraz muzyka dudni w całym mieszkaniu, oczywiście tylko w dzień, bo wieczorem ojciec Joli w towarzystwie żony zasiada nieodwołalnie przed telewizorem. W salonie stoi stukilowy rubin, kolory jak na cygańskim weselu, do tego teść niedosłyszy, więc zawsze wiemy dokładnie, co ogląda, czy nam się podoba, czy nie. W końcu to my jesteśmy u nich gośćmi, nie możemy się nawzajem zagłuszać, tym bardziej że rodzice Joli nie czują, a więc także nie umieją docenić różnicy między zwykłym radioodbiornikiem i hi-fi.

No i tak. Na tyle pozwalają nam wszystkie fuchy i geszefty. Jeśli trafi się przekład albo tłumaczenie, są z nich dobre pieniądze, ale nawet handelki i tak zwana dobrze płatna praca to ciągle za mało, żeby wyjść na prostą. Stajemy na rzęsach, raz na miesiąc, dwa kursujemy z towarem między Warszawą i Budapesztem, a i tak za Chiny nie możemy uskładać na mieszkanie. Ba, nawet na auto nas nie stać. I do tego ciągłe ryzyko! Jeszcze tego brakuje, żeby nas złapali i wpisali mi w papiery przeszłość kryminalną! Nikogo nie obejdzie, że pół kraju robi to samo…

• • •

Zastanawiam się też nad studiami. Dobrze by było mieć jakiś dyplom. Engelmayer namawia, żebym zdawał na UW, na etnografię, którą skończył i na której podobno ma znajomych. Wystarczy trochę się przygotować, do tego jakaś mała protekcja i indeks mam w kieszeni. Przejrzałem dokładnie tematy egzaminu, plan zajęć – wygląda to ciekawie, świetny kierunek, który studiowałbym z radością. Pytanie tylko, z czego będziemy żyć przez ten czas? Jola nie może, a pewnie także nie chce utrzymywać mnie przez pięć lat. Jedyne rozwiązanie to letni wyjazd z Ipnarskim do Londynu, harówa

przez dwa miesiące, żeby zebrać pieniądze na kolejny rok studiów. Ale czy mogę jechać w ciemno? Edek twierdzi, że do pracy na czarno trzeba mieć fart. Nie stać mnie na takie ryzyko! Tak czy inaczej rozmyślam o tym intensywnie.

30 stycznia 1977, Warszawa

Próbuję pocieszać się myślą, że wziąłem ślub z Jolą, a nie z jej ojcem. A że sprawy mają się tak, a nie inaczej, dochodzi do konfliktów. Gdybyśmy mieszkali osobno, starego dałoby się jakoś znieść, jeden czy dwa niedzielne obiadki w miesiącu zdzierżyłbym bez większych problemów. Ale bycie skazanym dzień w dzień na towarzystwo człowieka tak strasznie ograniczonego, że nawet kłótnia nie ma sensu, to prawdziwa udręka dla duszy.

Dla teścia bogiem jest telewizor. Stukilowy sowiecki rubin to dla niego przedmiot największej dumy. Przychodzi z pracy koło piątej i od razu, w płaszczu i z aktówką w ręce, szoruje do salonu wcisnąć magiczny guzik. Dopiero gdy rozlega się dźwięk odbiornika, a na szklanej tafli wyskakuje obraz, zabiera się za ściąganie butów czy wierzchniego okrycia i odkłada teczkę. Poglądy Miecio czerpie ze stron „Trybuny Ludu", telewizji i państwowego radia. Słucha go czasem w kuchni, gdy akurat gotuje. To jego działka, bo małżonka teściowa pracuje w mięsnym do siódmej i w domu zjawia się za kwadrans ósma. Rano za to nie musi nigdzie pędzić, do sklepu idzie na dziesiątą, bo wtedy przywożą towar (albo i nie przywożą), a klientów wpuszcza się o jedenastej. Napiszę o niej później, bo to temat na osobny rozdzialik.

Wracam do teścia Miecia. Taty, jak mówi na niego rodzina. Moi węgierscy znajomi reagują śmiechem na to słowo. Ja przywykłem, i to jeszcze przed przyjazdem do Polski – w czasie pobytu w Siedmiogrodzie[1].

Tata pracuje jako brygadzista w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji na Pradze. We własnym mniemaniu jest uświadomionym członkiem klasy pracującej, a podobno też świetnym hydraulikiem. Helenka, teściowa, truje mu bez przerwy, że powinien przyjmować zlecenia na boku i zacząć zarabiać jak człowiek. Dał się kiedyś namówić i wykonał komplet instalacji wodnych i grzewczych dla pewnej rodziny. Nie było go w domu tygodniami, bo pracował wieczorami i w weekendy. W końcu zjawił się rozpromieniony z honorarium w garści. Żona zrobiła wielkie oczy.

– Tylko tyle? Jak tyś się z nimi rachował, Mieciu?

– Jak to jak? Policzyłem roboczogodziny. Pierwszą za pół stawki nadliczbowej, drugą za pełną, a od trzeciej podwójnie. Zgodnie z przepisami.

– Zdurniałeś do reszty? Kto się tak rozlicza?!

– Czego ty ode mnie chcesz, kobieto, nawet nie mam zarejestrowanej działalności, nie zapłaciłem grosza podatku od usługi, więc i tak złamałem prawo.

---

[1] W gwarze Węgrów siedmiogrodzkich słowo „tátá", brzmieniowo bliskie polskiemu wyrazowi „tata", oznacza „dziadek". Na Węgrzech nie występuje w tym znaczeniu, może natomiast przywodzić na myśl wykrzyknik naśladujący dźwięk instrumentu czy melodię (przyp. tłum.).

– Trzymajcie mnie! Gdybyś miał głowę na karku, umówiłbyś się na konkretną sumę! Jóźwiakom, co mają warsztat samochodowy, jeden człowiek cały dom wykańczał i wiesz, ile wziął?! Trzy twoje pensje, ofermo! I jeszcze armaturę gwizdnął z fabryki! Skaranie boskie z tobą!

Od tamtej pory Tata nie przyjął żadnej fuchy. Że niby nie wolno zdzierać z biednych ludzi. Kto się wzbogaca na cudzym nieszczęściu, kantuje, kradnie albo za bardzo bierze do serca hasło „Fabryki w rękach ludu" i wynosi, co popadnie, ten jest skończonym łajdakiem. Prawo jest od tego, by go przestrzegać. Zwłaszcza prawo socjalistyczne…

I tu docieramy do sedna. Tata należy do partii, swego czasu był nawet sekretarzem zakładowego POP-u. Helenka twierdzi, że tam również wszczynał awantury o każdy szwindel, więc stał się niewygodny i szybko odwołano go z funkcji. Nie przepadają za nim także w podległej mu brygadzie, bo nie toleruje kanciarstwa. Przez pewien czas był członkiem rady dzielnicowej. Zasiadał w komisji przydziału mieszkań. Teściowa wierciła mu dziurę w brzuchu, że skoro tak, to powinien wystarać się o większe lokum, bo już jej bokiem wyłazi życie w dwóch pokojach z trzema córkami i kupą mebli. Co na to Tata? Przyniósł listę oczekujących i pokazał żonie.

– Proszę, spójrz, ilu ludzi klepie biedę i żyje w znacznie gorszych warunkach! Wpisałem nas na listę, ale między takimi jak my, nie na pierwszym miejscu. Kiedy przyjdzie czas, dostaniemy większe mieszkanie, zgodnie z przepisami.

Helenka nawymyślała mu od baranów, a po chwili – niczym pani Mézga[2] w popularnej kreskówce – zaczęła głośno wzdychać za jakimś swoim Pistą Hufnágelem, dawnym narzeczonym, którego rzuciła dla męża patałacha.

Tata wychowywał się w biednej dzielnicy na przedmieściach, w jednej izbie bez wygód było ich dziesięcioro. Zimą kradli węgiel z dworca towarowego, żeby mieć co włożyć do pieca. Zapytałem, czy przypadkiem nie było to przestępstwo. Obruszył się:

– W tamtych czasach prawo stanowili kapitaliści i wyzyskiwacze, nie da się tego porównać ze sprawiedliwością ludową!

A co sądzi o systemie jednopartyjnym, czy można go nazwać demokracją? Zaczął krzyczeć:

– Co?! A niby przed wojną była demokracja? No? Co to za demokracja, w której komuniści nie mogą działać legalnie? My tylko wyrównujemy dawne rachunki!

– To jednak dyktatura – zaoponowałem – skoro zakazane są wszystkie niekomunistyczne ideologie, nie tylko jedna. Do tego żaden z krajów tak zwanego obozu nie jest suwerenny, bo wszystkie trzyma w szponach wielki Związek Sowiecki. To też jest w porządku?

Na co Tata:

– Nie jest, ale dopóki Stany Zjednoczone wtrącają się w wewnętrzne sprawy innych państw tak samo jak Sowieci, dopóty innego wyjścia nie ma. Kropka.

À propos Sowietów. Któregoś dnia teść wpadł do naszego pokoju jak poparzony:

---

[2] Paula Mézga – postać z popularnej w latach siedemdziesiątych XX w. węgierskiej kreskówki *Mézga család*, przedstawiającej losy rodziny Mézgów, którzy mają zdolność kontaktowania się z potomkami z dalekiej przyszłości.

– Chodź szybko, dają w telewizji świetny dokument, mówiłeś, że lubisz filmy o historii. Poszedłem za nim pełen sceptycyzmu. Na ekranie rubina migały jedno za drugim zdjęcia Dzierżyńskiego. Machnąłem ręką:

– Tato, to był ohydny morderca i psychopata, który dopuszczał się strasznych rzeczy, kiedy doszedł do władzy. Po co mam to oglądać?

Spojrzał na mnie z szelmowskim uśmiechem.

– Być może, ale poza tym był porządnym Polakiem.

– Że był Polakiem, to wiem, ale porządnym?!

– Oczywiście – zachichotał od serca Tata. – Wiesz, ilu wyrżnął Ruskich? Hm?

Zaniemówiłem. W polskim komuniście odezwał się patriota.

Słyszałem niedawno pewien żart na ten temat. „Jak wygląda polski sekretarz partyjny?" „Jak rzodkiewka". „Rzodkiewka?" „Tak, z zewnątrz czerwony, w środku biały…"

Opowiedziałem dowcip Tacie. Ku mojemu zdziwieniu uśmiał się jak norka. Naszła go ochota na zwierzenia. Po wojnie, kiedy był w wojsku, dano mu szansę wyuczyć się zawodu. Wtedy właśnie wstąpił do partii.

Stalinizm? Lata pięćdziesiąte? Pięćdziesiąty szósty i Poznań? Marzec sześćdziesiąt osiem, grudzień siedemdziesiąt? Radom zeszłego roku?

Mogłem go pytać o cokolwiek, gadał jak najęty.

W jednej chwili zapomniał o opowiedzianym wcześniej żarcie. Na wszystko miał gotowe odpowiedzi, które zgadzały się w stu procentach z oficjalną linią PZPR: raj na ziemi nie powstanie z dnia na dzień. Do tego trzeba czasu. Ludzie mają absurdalne oczekiwania. Dziś każdy chce mieć własne auto. Wyjeżdżać bez przerwy za granicę. Opływać w luksusy. A tymczasem należy uczciwie pracować i przestrzegać prawa. Skończyć z kombinowaniem, handlem na czarno. Komunizm to w końcu pewien eksperyment, oparty na słusznych celach, choć owszem, zdarzają się potknięcia. Nie oznacza to jednak, że damy za wygraną. Partia się rozwija, co więcej, jest to jedyna na świecie formacja polityczna, która potrafi się reformować, dostrzegać własne błędy, reagować na wyzwania nowych czasów. Oczywiście trzeba być krytycznym, gdy trzeba – także samokrytycznym, ale temu, kto stanie przeciwko żywej i oddanej sprawom ludzkim filozofii, przeciwko władzy, kto podniesie na nią rękę, temu należy tę rękę odrąbać, jak powiedział Cyrankiewicz!

I tak w koło Macieju. Teść brał ślub kościelny, już jako członek partii. Córki ochrzcił i posyłał na lekcje religii. Przed naszym ślubem poszedł do spowiedzi. A przy tym w każdej chwili gotów jest krytykować Kościół za jego „wyrafinowane" mieszanie się do polityki. O księżach wyraża się na ogół per „czarni". A w niedzielę chodzi na mszę, tak jak żona.

I bądź tu człowieku mądry.

1 lutego 1977, Warszawa

Helenka.

Jak już wspominałem, teściowa to temat na osobną rozprawę. Jest w istocie jaskrawym przeciwieństwem Taty. Zaradna osóbka zdolna przeżyć w każdych warunkach.

W czasie wojny, wtedy ledwie podlotek, handlowała na czarno towarem, głównie artykułami spożywczymi, kursując między wsią a miastem. Warto przy tym wiedzieć, że Niemcy każdego schwytanego szmuglera stawiali przed sądem doraźnym, a skazany mógł się cieszyć, jeśli trafił do obozu, a nie od razu pod ścianę. Helenka jednak tym swoim ryzykownym zajęciem utrzymywała przy życiu rodziców i rodzeństwo. Po wojnie poszła za ciosem: pracowała jako pomoc sklepowa, a potem kierowniczka, najpierw w supersamie, a od dziesięciu lat w mięsnym. Stanowisko to pozwala jej zaopatrywać rodzinę. W gospodarce niedoboru mięso i wędlina są pewnym środkiem płatniczym – można je wymienić na wszystko. Również wieżę hi-fi zawdzięczam teściowej. Dobrej jakości produkty, tak zwane odrzuty z eksportu, są trudno dostępne, a ich zakup wymaga protekcji. Mamusia dogadała się jednak z kierownikiem pobliskiego sklepu RTV, facet za kartkę na żeberka dostał od niej schab, zamiast mortadeli – sopocką, czyli pieczeń z polędwicy, a niedługo potem mogłem u niego kupić swoją dudniałkę, do tego za normalną cenę, bez dopłat. W ten sam sposób załatwiliśmy rower sportowy z aluminiową ramą. I kilka innych rzeczy.

Helenka kupuje i sprzedaje, obraca pieniądzem, wymienia walutę. Wszyscy moi znajomi przyjeżdżający z Węgier zaopatrują się u niej w złotówki. Kurs nie jest może zbyt korzystny, ale też nie złodziejski: od czatujących pod bankami czy peweksem koników można by pewnie dostać o dziesięć–piętnaście złotych więcej za markę czy dolara, ale ryzyko jest też dużo większe! Cinkciarze lubią naciągać naiwnych turystów, teściowa zaś płaci uczciwie, tyle tylko, że po niskim kursie. Przeważnie czeka, aż wartość waluty wzrośnie, albo podnosi marżę, jeśli ktoś koniecznie potrzebuje forsy, bo jedzie za granicę, kupuje auto itp. Rzecz jasna zawsze trzyma coś w rezerwie. Zostawia sobie żelazny kapitał. Po części w złocie. „Trzeba coś mieć na czarną godzinę" – mawia. Do banku nie oddałaby pieniędzy za nic w świecie. „Po moim trupie! Zdarzało się już, że państwo kładło łapę na prywatnych oszczędnościach! Nie takie rzeczy widziałam!" – poucza nas niekiedy, czekając, aż podniesiemy z Tatą starą, ciężką jak sto diabłów komodę w salonie. Od dźwigania ledwo stoimy na nogach. Helenka tymczasem odkręca drewnianą nogę mebla: w każdej z nich (wielkich jak pudełko po butach) jest wydrążony otwór wielkości cegły. W jednej złoto i spięte gumką polskie banknoty o wysokich nominałach, w drugiej dolary i marki. Podręczne sejfy teściowej. Część gotówki, trochę zielonych i złote pierścionki czy cieniutkie łańcuszki mniejszej wartości trzyma w szafie, ukryte między bielizną pościelową – ewentualny włamywacz zadowoli się nimi i nie będzie szukał dalej. Ogromnej komody z salonu i tak nie da się podnieść w pojedynkę, a po nogach nie widać, że są puste w środku i można je odkręcić.

Większość Polaków przechowuje pieniądze w domu, bo nie ufa bankom. Na kontach oszczędnościowych trzyma się przeważnie sumy potrzebne na bieżące wydatki czy rachunki. Cenniejszy majątek zostaje pod strzechą, najlepiej w postaci biżuterii albo w dewizach. Przed wyjazdem za granicę oficjalnie nie da się wymienić pieniędzy, konto walutowe może natomiast posiadać każdy i stamtąd wybierać środki. Praktyka jest następująca: pan Kowalski kupuje na rynku dolary, idzie do banku, otwiera konto

i wpłaca pieniądze. Nikogo nie obchodzi, skąd je wziął, to w końcu Polska, a nie Węgry. Depozyt musi przeleżeć na rachunku przynajmniej dwa dni. Trzeciego dnia Kowalski wypłaca kwotę potrzebną mu na podróż, a w banku zostawia dziesięć dolarów, żeby konta nie zamknięto. W całej procedurze nie chodzi wyłącznie o zaufanie państwa do obywatela. Jeśli walutę z rachunku chcemy wydać w kraju, możemy ją wypłacić tylko w bonach. Mają wprawdzie tę samą wartość co pieniądze na koncie i przyjmują je w peweksie, ale bonu nie da się wymienić na dewizy. Zdeponowany w banku, nie zamieni się z powrotem w dolary. A jeśli zechcemy go sprzedać, dostaniemy dwadzieścia–trzydzieści procent mniej, niż wynosi wartość pieniężna. W ten właśnie sposób troskliwe państwo przygarnia sobie walutę obywateli.

Innymi słowy, Helenka ma rację.

Jak już mówiłem, osobliwy z niej gatunek człowieka. Tata kupuje codziennie partyjną tubę, „Trybunę Ludu", teściowa używa gazet do szorowania okien, o czytaniu nie ma mowy. Czasem weźmie do ręki „Przekrój", polski odpowiednik „Képes Újság", albo „Kobietę i Życie", podobny do naszego „Nők Lapja", ewentualnie inny kolorowy magazyn, których przynosi co tydzień cały stosik – wszystkie z poprzedniego tygodnia. Prasę dostaje z zaprzyjaźnionego kiosku opodal swojego sklepu. Facet odkłada jej ze zwrotów. Oczywiście nie ma czasu czytać wszystkiego. Gazety zalegają więc w przedpokoju, a gdy sterta urośnie za duża, każe nam je znosić do piwnicy. Gdy pierwszy raz ujrzałem w komórce trzy kubiki piętrzącej się makulatury, myślałem, że padnę. Zapytałem, po kiego licha jej ta cała kolekcja. Powiedziała, że odkłada do czytania na emeryturze. Ach tak! Zostało jej pięć lat, a potem może spokojnie otworzyć fabrykę papieru…

Ciekawa rzecz. Teraz czytuje najwyżej gazety z poprzedniego tygodnia. Na emeryturze weźmie się pewnie za numery sprzed lat. I zanurzy się w nich z żywą uwagą, jak w najnowszym wydaniu. Może to i lepiej: będzie mogła zwyczajem starych ludzi pogrążać się z wolna w tęsknocie. Przeszłość delikatnie wygładzi wszystkie kanty. A spomiędzy żółtych, wypłowiałych stronic starej gazety uśmiechnie się do niej jakiś banknot. To będzie największa radość. Ma chyba rację także w tym względzie. Kto może dziś przewidzieć, ile dostanie renty? Na szczęście nie musi się tym zbytnio martwić – osobista kasa w wydrążonej nodze od komody zapewni jej spokojną starość.

Jolę teściowie śmieszą. Liceum plastyczne, studia z grafiki, aranżacja wystaw, malarstwo, rzemiosło artystyczne i cały elitarny świat sztuki tak bardzo oddaliły ją od przyziemnych rodziców, że nie potrafi się z nimi porozumieć. Ja z kolei nie rozumiem jej. Dziwi się, że z taką anielską cierpliwością spędzam godziny na rozmowach z Helenką i Tatą. A mnie przecież ciekawią ich doświadczenia, światopogląd i związane z tym dylematy. Nie muszę się z kimś zgadzać, żeby go zrozumieć. Zdarza się, że przytaczam jakąś wypowiedź, na co Jola robi wielkie oczy. Pyta, kto mi to powiedział. A gdy mówię, że jej mama albo tata, nie kryje zdziwienia:

– Ciekawe, mnie nigdy o tym nie mówili.

– Hm. A dlaczego mieli mówić, skoro nie pytałaś? Albo nie wiedziałaś, jak zapytać.

28 marca 1977, Warszawa

3 marca Polska podpisała Międzynarodowy pakt praw obywatelskich i politycznych, przyjęty w czasie XXI Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Rzecz jasna w żadnej z tak zwanych demokracji ludowych nie przestrzega się podobnych dokumentów, więc także tu nie będzie wyjątku. Ale przynajmniej jest się czego chwycić!

Niektórzy już wykorzystują tę możliwość. Wczoraj słyszałem w Wolnej Europie o powstaniu kolejnej po KOR-ze, niezależnej organizacji antykomunistycznej – Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). Stworzyła go grupa intelektualistów, akt fundacyjny podpisało też kilku księży. Zdołałem wynotować dwa nazwiska rzeczników ruchu: Andrzeja Czumy i Leszka Moczulskiego. Ten ostatni jest szefem działu historii w tygodniku „Stolica", czytałem parę jego tekstów. Niewykluczone, że wkrótce będzie musiał się pożegnać z karierą dziennikarza w prasie oficjalnej. A tylko taka istnieje. Czuję do tych ludzi wielki szacunek, zastanawiam się tylko, z czego będą żyć po tym, jak zdecydowali się głośno domagać się swoich praw, a tym samym także naszych – praw milczącej większości.

25 kwietnia 1977, Warszawa

Wczoraj obchodziliśmy Świętego Jerzego. Polskim Jurkom złożyłem życzenia osobiście, węgierskim Gyurkom wysłałem pocztówki.

Świętowaliśmy z Jerzym Jakubiukiem, we dwóch. Jeszcze zeszłego czwartku opróżniliśmy razem cztery flaszki dobrego czerwonego wina z Hiszpanii. A na rozgrzewkę parę kielonków czystej. Potem było o Bogu, ojczyźnie, narodzie i rodzinie, fałszowaniu historii, podłych komunistach, literackich zachwytach. Fantastyczny wieczór! Znów dowiedziałem się o Polsce tylu rzeczy, ilu polonista na Węgrzech nie nauczy się w rok. Jakubiuk zafundował mi darmowy wykład.

Robi to zresztą od trzech miesięcy. Niech mu Bóg wynagrodzi!

30 kwietnia 1977, Warszawa

Skoro już była mowa o Jurkach, warto napisać kilka słów o parze znajomych Joli, bo jedno z nich też nosi to imię. Jerzyk i Danusia. Szalona parka. Ona, atrakcyjna blondynka, jest od niego starsza o jakieś dziesięć lat i traktuje go trochę jak młodszego brata albo syna. Chucha na niego i dmucha. Chłopaka to w widoczny sposób drażni. Zwłaszcza że istotnie nie wyrósł z dziecięcych portek. Jest wielkim wprawdzie, bo prawie dwumetrowym, ale ciągle smarkaczem. Z twarzy podobny trochę do Paula Newmana, co zresztą skrzętnie wykorzystuje, małpując mimikę aktora, czesząc się w ten sam sposób i naśladując jego ruchy. Ciągle popisuje się pobytem w Anglii. Był tam może trzy miesiące, ale zachowuje się, jakby spędził na wyspach trzydzieści lat. A do tego co i rusz rzuca angielskimi zwrotami, jakby nie mógł sobie przypomnieć odpowiednika

polskiego. Czasem wypowiada w ten sposób całe zdania. Na jego szczęście w towarzystwie nikt poza mną nie zna języka, więc może bezkarnie sadzić gramatyczne byki. Artykulację ma dobrą, wymawia „r", jakby przełykał gorącą kaszę, pewnie pomaga mu w tym ucho muzyka – trzeba przyznać, że pięknie śpiewa i całkiem znośnie gra na gitarze. Chichotałem w duchu z jego błazeństw.

Mówił na przykład: „Skończyła się balanga, szukałem kogoś, kto by mi dał lifta". To znaczy *who could give me a lift* – kogoś, kto podrzuciłby mnie do domu. Albo: „Poszliśmy do oflajsensu kupić jakieś drinki, za zwykłego smirnoffa proszą sobie osiem paundów, men, mówię wam, to całe Londynowo jest dość ekpensiw!". I temu podobne.

Pracuje w telewizji. W charakterze roada, człowieka od kabli, żywego stojaka na mikrofon albo kogoś, kto oświetleniowcom podtrzymuje biały ekran, towarzyszy sztabowi reporterów, jeździ z nimi w trasy roburem. Naturalnie nosi się jak ważna figura, sam siebie nazywa producentem, rzuca tekstami w stylu „mój sztab", „jutro o tej i o tej na jedynce leci mój program…". Ma prawo tak mówić, w końcu to on dźwigał statyw albo „gończował" z taśmą od studia do studia. Ja śmiałem się z niego tylko w myśli, ale Kazio, znajomy lekarz, po paru wódkach zaczął się z chłopaka naigrawać otwarcie. Jerzyk był wyraźnie dotknięty. Danusia zrobiła się czerwona jak burak i rzuciła się go bronić. Reszta towarzystwa próbowała dla świętego spokoju uciszyć doktora. Nie dołączyłem do chóru prześmiewców, ale też nie wziąłem strony Jerzyka, zachowałem postawę neutralną. W głębi duszy przyznawałem jednak rację Kaziowi: po jaką cholerę udawać kogoś, kim się nie jest? Myślę, że człowiek ma prawo do dumy tylko wówczas, gdy docenią go obcy czy nawet wrogowie. Z drugiej strony natura też zna takie przypadki: niektóre ptaki potrafią nadąć się jak balon, gdy przyjdzie im walczyć o samicę albo w chwili zagrożenia, z tej samej techniki korzystają też ryby żabnice.

Cóż, tego typu zgrywa jest mimo wszystko łatwiejsza do strawienia niż zachowanie innej obecnej na przyjęciu pary, skądinąd także pracowników „pritwy" (w żargonie dziennikarskim Polskie Radio i Telewizję, w skrócie PRTV, nazywa się pritwą, na zasadzie podobieństwa do słowa „brzytwa"). Kobieta jest wystrojoną głupią gęsią, która żyje z tego, że była kiedyś żoną pianisty i kompozytora Tomasza Sikorskiego, a facet, też pracownik telewizji, średnio ważny partyjniak o nieekranowej twarzy, wyraźnie lubi pokazywać się u boku byłej pani Sikorskiej. Tomasza poznałem wiosną ubiegłego roku w czasie jednego z pobytów w Polsce. Cudowny chłopak, dusza towarzystwa, piekielnie inteligentny. Z jego żoną wcześniej nie miałem przyjemności się widzieć. Dowiedziałem się niedawno, że już wtedy byli rozwiedzeni. Kobieta, nie powiem, atrakcyjna, intelekt jednak pominę milczeniem. A poza tym co można myśleć o kimś, kto rzucił Tomasza dla cwanego bubka i komucha?! (Chodzi mi po głowie piosenka Jóski Dinnyésa[3] *To dopiero kariera…!*).

Do tego ciągle robili aluzje do Żydów. Nabrałem czujności: czy aby nie prowokacja?

[3] József Dinnyés (1948–2021) – wokalista i gitarzysta węgierski, autor tekstów.

Nie wyglądali mi na antysemitów, ale… Zdarza się, że ktoś próbuje wywołać wilka z lasu. Przyszli do Jerzyków z pieskiem, pekińczykiem, którego imienia nie miałem okazji zapamiętać, bo ciągle przywoływali go słowami: „Ty, Żydu, chodź tu!"…

Pani Sikorskiej się wydaje, że skoro była żoną muzyka, sama też może mieć pretensje artystyczne. Przyprowadziła zwierzaka do mieszkania, w którym jest pies, jak się okazało – bez uzgodnienia. Całe szczęście, że Jerzyki mają samca, a ona sukę, bez cieczki. I co zrobiła „artystka" tuż na wstępie? Wzięła kawałek kabanosa (rarytas dostępny dla wybranych za niebotyczne pieniądze) i podsunęła do ust piszczącemu histerycznie, skaczącemu do stołu, rozwydrzonemu, śliniącemu się pekińczykowi. Danka patrzyła na całą scenę, przygryzając wargi. Kąsek dla pieska, kąsek dla siebie, kąsek dla pieska, a potem czarujący uśmiech w stronę ogiera z telewizji i – siup! – kąsek dla niego, tym samym widelcem! Chichotaliśmy z wymuszonej uprzejmości, robiąc dobrą minę do złej gry. Skoro gospodarze nie reagowali, nam – gościom – też nie wypadało. Oni zaś postępowali racjonalnie: Jerzyk nie chce do końca życia zwijać kabli na planie. Z kolei konkubent pani Sikorskiej mógłby zadziałać w tej sprawie. Należało więc znosić ich perwersje bez słowa.

Żadna polska impreza nie może się odbyć bez handelku. Do Jerzyków zawitał redaktor szacownego katolickiego „Słowa", nazywany przez żonę i przyjaciół Pimpkiem, co po polsku znaczy tyle co siusiak, wacek. Razem z małżonką stewardessą wtaszczyli do mieszkania wielką torbę sportową. W środku pełna konfekcja dżinsowa: koszule, spodnie, spódnice, kurtki. Po chwili pokój zamienił się w stragan. Spodziewałem się, że to pani redaktorowa będzie robić za handlarkę, ale roli podjął się Pimpek. Zaczął zachwalać przyniesione ciuchy z werwą rasowej przekupki. Rozkładał je, obracał na wszystkie strony, pocierał palcami, wymachiwał nam przed nosem, a w końcu dość nachalnie próbował wciskać. Nie byłoby w tym może nic złego, gdyby chodziło o markowe ubrania, on jednak oferował szajs i to ze znacznie cieńszego materiału niż klasyczny dżins, miękkie, zdefasonowane szmaty, które po kilku praniach nadawałyby się do kosza. Goście nie byli zainteresowani kupnem, co wyraźnie rozdrażniło parę. Zwłaszcza Pimpka. Także z niego nie chciałem się nabijać, byłem grzeczny, bo na początku wieczora obiecał mi możliwość publikacji w „Słowie". Milczałem więc, podobnie jak Danusia i Jerzyk na widok zachowania Sikorskich.

Pimpek gadał jak nakręcony. O swoim naczelnym, człowieku nad wyraz ociężałym umysłowo, mówił, że „nawet gówno wyłazi z niego okrężną drogą". Zapytałem, kto mu wymyślił ksywkę. Małżonkowie wybuchnęli śmiechem:

– Wiecie, jesteśmy bardzo dobrzy w te klocki. Bywa, że zaczynamy w starym roku, a kończymy w nowym – zarechotał Pimpek, wypinając pierś.

Żona dodała z sarkazmem:

– Ta. Zabiera się do rzeczy w sylwestra przed północą i kończy minutę po. Na tyle stać małego ptaszka, porządny chuj wytrzymałby dłużej.

Na co mąż, w równie subtelnym stylu:

– Wolę, żeby na mnie mówili Ptaszek, niż Chuj. Pomyśl, skarbie, byłabyś wtedy panią Chujową…

Jak na publicystę tygodnika katolickiego facet posługiwał się dość koszarowym słownictwem. Inna sprawa, że mnie też zdarza się spuścić język ze smyczy w towarzystwie rodziny czy przyjaciół. Nie będę się zatem wymądrzać.

10 maja 1977, Warszawa

Czerwoni znowu wzięli się za mordowanie. Od kilku dni mówi się, że w Krakowie w niewyjaśnionych okolicznościach pobito na śmierć studenta Stanisława Pyjasa. Chłopak był na trzecim roku polonistyki na UJ-ocie. Znajomi twierdzą, że miał związki z KOR-em i był zaangażowany w „działalność antysocjalistyczną". Wszystko jasne, w wypadku takich ludzi ryzyko niefortunnego upadku w ciemnej klatce schodowej kamienicy i skręcenia karku jest bardzo wysokie. Będąc wczoraj u Włodka, który ma rodzinę w Krakowie, poznałem kolegę z roku Pyjasa, choć zamieniliśmy tylko parę zdań, bo chłopak gdzieś się śpieszył. Dowiedziałem się, że kumplowi Staszka udało się oszukać stróża w kostnicy i wejść do środka, podając się za krewnego denata. Widział ciało na własne oczy. Przysięga na wszystkie świętości, że leżał przed nim zmasakrowany ręką ludzką człowiek, a nie ofiara nieszczęśliwego wypadku.

Władza jak zwykle kłamie. Próbuje przedstawiać chłopaka jako pospolitego przestępcę, a polityczne morderstwo nazywa wypadkiem. Możliwe, że sprawca miał tylko obić studenta w celu ostrzeżenia, ale zbyt sumiennie wykonał swoją „pracę". Teraz pewnie zapłaci za to głową – niezdarnych katów zwykło się po cichu usuwać. Zgodnie z zasadą Stalina i Jagody dobrze jest też pozbyć się funkcjonariusza bezpieki, który kazał poturbować (zabić) chłopaka. Tajniakowi może się przytrafić fatalny wypadek. Słaba to pociecha, ale jeśli plan się powiedzie, za śmierć biednego Pyjasa pójdą do piachu dwa łotry komunistyczne. (Nasuwa się pytanie, czy to mafia uczy się od tych drani czy może odwrotnie?).

16 maja 1977, Warszawa

Koledzy Pyjasa wezwali do bojkotu krakowskich juwenaliów, a wczoraj założyli Studencki Komitet Solidarności, którego celem jest wyrażenie sprzeciwu wobec działań władzy. W mieście odbyła się wielka demonstracja – na mszy żałobnej za Pyjasa zgromadziły się tłumy. SB i milicja do późnego wieczora rozpędzały manifestantów.

10 lipca 1977, Warszawa

Poszedłem do Związku Literatów Polskich poprosić o pomoc. Chcę nawiązać kontakt z młodymi twórcami – dostałem od Ivána zamówienie na cykl reportaży o najmłodszej generacji literatury polskiej. Żeby kogoś przedstawić węgierskim czytelnikom, nie wystarczy rzecz jasna wywiad, kilka faktów z życia czy krótkie omówienie twórczości. Myślę, że dla ilustracji potrzebny będzie mały, ale wyrazisty fragment dzieła. Krótko

mówiąc, powinienem przełożyć teksty wybranych pisarzy, namówić ich na rozmowę, a potem jeszcze wystarać się o jakąś analizę od literaturoznawcy. Potrzebuję około pięciu młodych autorów, czegoś z ich dzieł, przynajmniej jednego krytyka, a najpierw samych książek, żebym miał z czego wybierać. Mógłbym zaopatrzyć się w księgarni, literatura nie jest droga, ale po kiego licha mam wydawać pieniądze, skoro twórcy, próżni z natury, tylko czekają, by móc komuś podarować tomik opatrzony dedykacją. A poza tym, dotąd i tak zawsze korzystałem z biblioteki Związku – za darmo.

Na piętrze zapukałem do drzwi z tabliczką „Dział Współpracy Międzynarodowej". Wyjaśniłem, w jakiej sprawie przychodzę. Nie liczyłem na fanfary i owacje, ale jednak na coś więcej niż zdawkową informację, że mam się kontaktować z szefem Koła Młodych, „tu jest adres i nazwisko". Nie zdążyłem nawet zanotować danych, gdy obecny w pokoju młody człowiek, słysząc, kim jestem, od razu przyssał się do mnie jak pijawka. Nazywał się Władysław Huzik i oświadczył, że sam też „para się pisarstwem", ma na koncie dwa zbiory opowiadań i jakieś nagrody, a do tego zasiada we władzach Koła. Zaprosił mnie od razu do kawiarni na parterze, gdzie wyłożył na stół dwie wspomniane książki – „szczęśliwym trafem" miał obydwie przy sobie. („Też będziesz nosił egzemplarze swoich dzieł, więc nie drwij z kolegi" – zganiłem się w duchu). Od razu wpisał mi dedykację. Wygląda na to, że nie mam wyboru i będę musiał zainteresować się tym człowiekiem, niezależnie od tego, jak pisze…

Huzik jest krewkim facetem. Do przesady ruchliwy, rozgestykulowany, nawet z zamkniętymi ustami zdaje się nieustannie mówić. Rzadkie, długie wąsy zaczesuje do dołu, czarne włosy układa w nonszalanckie fale, ma prosty nos, na twarzy trochę piegów, zza grubych jak denka od butelek okularów łypią niespokojne, ciemne oczy. Jest średniego wzrostu, dość szczupły, z lekkim brzuszkiem, kiedy siedzi. Miał na sobie luźne spodnie i pulower. Kościste dłonie są pokryte rzadkimi, ciemnymi włoskami. Przy kartkowaniu książki lizał opuszki palców, jakby przeliczał pieniądze.

Nie zdążyliśmy jeszcze pogrążyć się w rozmowie, kiedy podszedł do nas mężczyzna, najwyraźniej stały bywalec lokalu. Miał sarmackie wąsy, łobuzerskie spojrzenie i brązowe, kręcone włosy zachodzące na uszy. Na oko zbliżał się do czterdziestki. Twarz wydała mi się znajoma, choć nie mogłem sobie przypomnieć skąd: z filmu, telewizji, gazety? Z pewnością jednak gdzieś ją już widziałem. Facet skłonił się nad nami ze zgaszoną fajką przyklejoną do ust.

– Co pijecie, chłopaki? – wycharczał kordialnie, puszczając w naszą stronę wódczano-tytoniowy opar. – Może koniaczek do kawy? Co?

Nie czekając na odpowiedź, machnął do kelnera. Huzik zaproponował, by się dosiadł. Po czym wskazał na mnie:

– A to mój drogi węgierski przyjaciel… Czekaj, jak mówiłeś, że się nazywasz?

Przedstawiłem się.

– Bruno – odpowiedział Sarmata, miażdżąc mi przy tym dłoń. Liczyłem, że poda też nazwisko, on jednak skupił się na moim imieniu: – Attila, Hun… bicz Boży, barbarzyńca! Jesteś Węgrem, tak? Znaczy się, bratankiem? – Klepnął mnie parę razy po

plecach jak kolegę, który zadławił się ością. – Wy raczej nie pijacie wódki, co? Trudno, koniak zamówiony… Potem zabiorę was na wino do Hopfera, dobra? Nigdzie się nie ruszajcie, zaraz wracam!

Poderwał się od stolika i skoczył do drzwi, gdzie wyściskał się serdecznie z wchodzącym do kawiarni brodaczem, a potem jemu też zamówił wódkę.

Huzik wyjaśnił mi, że wąsaty jegomość to poeta Ryszard Milczewski-Bruno. Przedstawiciel pokolenia Nowej Fali, należący do tej samej grupy co Karasek, Zagajewski i Kornhauser. A do tego kumpel Edwarda Stachury. Za każdym razem, gdy dostaje honorarium, wpada do knajpy i stawia wszystkim po kieliszku. I my właśnie trafiliśmy na ten moment.

Byłem podekscytowany, bo uwielbiam świat bohemy, a poza tym wpadłem wreszcie na to, skąd znam faceta. Mój znajomy z telewizji, Jureczek, zabrał mnie w zeszłym roku na jeden ekstra wieczorek literacki, zakończony solidną pijatyką. Tam właśnie widziałem Bruna, który jednak zmył się dość wcześnie z resztą braci pisarskiej. Pamiętam też coś niecoś z jego wierszy, a w każdym razie tyle, że były dobre. Wprawdzie nie pasuje mi do koncepcji przeglądu, bo jest nieco „wiekowy", ale i tak, podniecony, czekałem, co wykluje się z całej sytuacji.

Huzik skorzystał z nieobecności Bruna i zaczął pośpiesznie wertować swoją książkę, żeby coś z niej przeczytać. Nie miałem serca go od tego odwodzić. Milczałem więc, choć tekst z każdym zdaniem coraz mniej mi się podobał. Być może moment nie był najlepszy, a moje wrażenie mylne. Postanowiłem nie wydawać pochopnych sądów i udawać absolutne skupienie.

Na szczęście dłużącą się lekturę przerwał Bruno.

– Chodźcie, chłopaki, idziemy do Hopfera!

Zarządził wymarsz, a potem ryknął do rozgadanego towarzystwa przy stolikach:

– *Mesdames et messieurs*, poezja opuszcza lokal!

Goście zaczęli klaskać. On zaś, nie czekając na koniec owacji, skierował się do wyjścia.

Do winiarni pędził tak szybko, że ledwie dotrzymywaliśmy kroku. Przez całą drogę opowiadał o Stachurze, napomknąłem bowiem, że jest on w dobrej komitywie z moim przyjacielem Istvánem Kovácsem[4]. I o tym, że czytałem wydany w tym roku zbiór opowiadań pisarza. Wspomniałem też o *Siekierezadzie*, która ukazała się w 1972 roku po węgiersku w wydawnictwie „Európa" w przekładzie Pisty.

– Z tego Steda to jest kawał drania. – Mrugnął do nas. – Zgrywa macho i twardziela. Nie powiem, do miękkich nie należy, ale też uwielbia być chwalony, mały kokiet.

[4] István Kovács – węgierski dyplomata, historyk, pisarz i tłumacz, wykładowca akademicki i autor książek historycznych, pracownik naukowy Węgierskiej Akademii Nauk, wielokrotnie honorowany polskimi odznaczeniami. Szczególne miejsce w jego badaniach zajmuje udział polskich ochotników w węgierskiej Wiośnie Ludów 1848–1849 (autor książek o tej tematyce). W latach 1994–1995 oraz 1999–2003 konsul generalny Węgier w Krakowie.

Skumplował się nawet ze starym pedziem Iwaszkiewiczem, bo liczy, że mu tamten załatwi jakieś stypendium zagraniczne. Znaczy się, obrotny chłopak. I do tego skuteczny! Był już w Kanadzie i Meksyku… Jak trzeba, to i na salonach zadaje szyku, nauczył się we Francji. A ja jestem wioskowy cham z krwi i kości, z tego poziomu wspinam się na Parnas, i nie dlatego pracuję fizycznie, że mi się zachciało doznań, tylko innej roboty nie ma… Ale tak w ogóle to wiele nas łączy. Różnica polega na tym, że Sted włóczy się i pisze z gotową tezą w głowie, a ja się włóczę i piszę, żeby jakąś znaleźć…

Potem wrócił do *Siekierezady* i zaczął nas z zapałem wprowadzać w tajniki zimowego lasu, rzucał nazwami drzew i zwrotami, jakich używają leśnicy i chłopi. Zapytałem, skąd się na tym wszystkim zna. Wybuchnął śmiechem i powiedział, że skończył technikum rolnicze w Grudziądzu, a przedtem jeszcze chodził do szkoły przemysłu drzewnego w Jarocinie. Przez chwilę studiował na Wydziale Sztuk Pięknych w Toruniu – Huzik wyjaśnił, że Bruno dobrze rysuje – ale w końcu wylądował na drugim końcu Polski, we Wrocławiu, gdzie przez dwa lata chodził na polonistykę. Musiał rzucić uniwerek, bo – jak mówił – solidnie „przebimbał" sprawę, a poza tym nie był w stanie utrzymać się ze stypendium.

U Hopfera mieli wolne stoliki, jak to bywa wczesnym, słonecznym popołudniem, wieczorem pewnie byłoby trudniej o miejsce. Zamówiliśmy czerwone hiszpańskie wino, węgierskiego nie mieli. Bruno zapłacił z góry. Widząc moje zdziwienie, wyjaśnił z szelmowskim, rozbrajającym uśmiechem:

– To była moja ostatnia stówa, chłopaki, bałem się, że wydam na coś innego, a przecież obiecałem, że stawiam. Od teraz wy płacicie! Zresztą za godzinę mam pociąg do Kołobrzegu. Robota na mnie czeka…

Zapytałem, co to takiego. Machnął ręką i zacytował sprzątaczkę z sobotniego serialu:

– Ja jestem kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję!

Obserwując jego dłonie i sposób, w jaki je zaciska, mogłem się domyślać, że nie jedzie nad morze w celach artystyczno-literackich. Nie musiałem go zresztą namawiać do zwierzeń. Wyznał, że był już mistrzem fermentacji tytoniu, ogrodnikiem przy krakowskiej Hucie imienia Lenina, specjalistą od pasz w zakładach mleczarskich, ekspertem w inspekcji weterynaryjnej… A więc stąd zna te wszystkie fachowe wyrażenia, a w jego poezji daje się wyczuć trud pracy fizycznej.

Bruno zerkał od czasu do czasu na zegarek, nawet gdy był już wyraźnie wstawiony.

– Niech to szlag! – Wychylił jednym haustem lampkę wina, jakby to była wódka. – Przypomniało mi się, że muszę wpaść do jednej panienki po swoją maszynę do pisania. Możliwe zresztą, że kobieta pojedzie ze mną i z dzieckiem do Kołobrzegu, tylko jeszcze o tym nie wie…

Ja też spojrzałem na zegarek, by się przekonać, że nie miał szans zdążyć na pociąg. Sam Bruno – jak się okazało – nie traktował podróży zbyt serio. Powlókł się do toalety, a po powrocie oznajmił nam, że bilety spuścił w sedesie. Bez pytania zamówił kolejną butelkę wina, mówiąc, że teraz to już i tak *ganz egal*. Co racja, to racja. Wkrótce potem urwał mu się film i nie nadawał się do rozmowy. Przewracał naczynia, pokrzykiwał,

próbował klepać kelnerkę po pupie. Miałem serdecznie dość całej sytuacji, a koniak, kawa i wino zaczęły mi ciążyć w pozbawionym obiadu, prawie pustym od rana żołądku.

W pewnej chwili Bruno bez słowa wstał od stołu, spojrzał na nas jak na parę nieznajomych, pokiwał głową i jak gdyby nigdy nic zdecydowanym w zamiarze, ale chwiejnym w wykonaniu krokiem opuścił lokal. Było mi przykro, że znajomość i rozmowa ułożyły się tak, a nie inaczej, ale czułem też ulgę, bo opieka nad zalanym w trupa człowiekiem to żadna przyjemność. Miałem dość wina, za to Huzik wyraźnie nie chciał zostawiać napoczętej butelki. Bez skrupułów przystawił ją do ust i wybębnił jak szklankę wody. Widziałem po twarzy kelnerki, że nie będzie za nami tęsknić.

Schylając się po torbę, zobaczyłem na ziemi pomięty papier w kratkę. Leżał pod krzesłem, na którym wcześniej siedział Bruno. Nie chciałem zostawiać śmieci, więc podniosłem kartkę. Były na niej jakieś nieporadne szkice: koński łeb i zad, kilka linijek rozmazanym długopisem. Pomyślałem, że należy do Bruna. Wybiegłem z winiarni, licząc, że może go jeszcze złapię, ale na zewnątrz stał już tylko Huzik. Włożyłem papier do kieszeni z zamiarem oddania zguby w Związku.

Najchętniej wróciłbym od razu do domu, ale Huzik stanął przy budce, zadzwonił do kogoś, a następnie, cały rozpromieniony, rzucił pomysł zakończenia udanego dnia u jego kumpla Zbigniewa Jerzyny, równie znakomitego poety, dramaturga i eseisty.

Pomyślałem, że na dziś wystarczy mi atrakcji, ale ciekawość wzięła górę: co jeszcze może się zdarzyć? Wsiedliśmy do taksówki, zgarnęliśmy po drodze żonę Huzika, potem Jolę i pojechaliśmy do Jerzyny. Kupiliśmy trzy butelki bułgarskiego czerwonego wina, ser, słone ciasteczka, chleb i papierosy. Jakbyśmy się wybierali na piknik.

Jerzyna jest znanym artystą i płodnym twórcą, cieszę się, że mogłem spotkać się z nim osobiście. Fakt, on też nie należy do młodej generacji, urodził się w 1938 roku, ale od czegoś muszę zacząć. Do tej pory znałem go tylko z telewizji i zdjęć, dlatego zdziwiłem się na widok człowieka mikrej postury. Głowa okrągła jak piłka, a na niej siwiejące włosy z zostawionym przedziałkiem. Energiczny, krępy mężczyzna w dobrej formie. Twarz rumiana jak u ludzi, którzy sporo czasu spędzają na świeżym powietrzu albo dużo i regularnie piją, ewentualnie łączą jedno z drugim. Okazało się, że w jego wypadku chodzi o ostatni wariant. Ale cóż za fantastyczny gość! Typ osoby, której trudno nie polubić od pierwszego spotkania. Erudyta o niebieskich, przenikliwych oczach i zawadiackim, młodzieńczym uśmiechu. Wprawdzie zdążył sobie golnąć przed naszym przyjazdem, ale dzielnie biesiadował dalej. Przy tym wcale nie wyglądał na pijanego. Jedynie dobrotliwy uśmiech i ruchy zdradzały wzmagającą się senność.

Byłem zły, że odurzenie alkoholowe nie pozwalało mi prowadzić sensownej rozmowy z Jerzyną. I podobnie jak w wypadku Bruna nie znałem dobrze jego twórczości. Rzuciłem tylko parę nieskładnych uwag o *Coraz słodszym piołunie* i *Modlitwie do powagi*, nic więcej nie mogłem powiedzieć – przyznaję bez bicia. Roześmiał się od serca i pocieszył mnie, że człowiek nie jest w stanie czytać wszystkiego.

– Trzeba się skupić na jednej rzeczy i z tą jedną się mierzyć – dodał. Powiedział też, że w szkole średniej nie zajmowała go literatura, bo cały poświęcał się lekkiej atletyce. Zdobył

nawet drugie miejsce na jakichś krajowych mistrzostwach. Parsknął śmiechem. – A potem przyszły studia humanistyczne i sekcja poetycka w „Hybrydach", gdzie wiedliśmy prym z Jurkiem Skolimowskim. On stał się sławnym reżyserem, a ja zostałem przy pisaniu.

Jola zaczęła się skarżyć, że od roku poluje na jego *Erotyki*. Chciała mi je sprezentować, ale nakład wyprzedano, a ją, graficzkę z wykształcenia, ciekawią ilustracje Jana Dobkowskiego, podobno świetne, lepsze niż w *Kamasutrze*. Jerzyna zakrzątnął się po pokoju, znalazł tomik i wręczył go nam z dedykacją: „Dla Joli i Attili, z nadzieją, że spróbują nowych rzeczy". Hm, miałbym parę pomysłów! Wyraziłem żal, że mój członek nie jest tak długi jak te rysowane przez Dobkowskiego.

– Przekonasz się, jak cię kiedyś za niego powieszą! – ryknął Huzik.

Jola pochyliła się nad ławą i cmoknęła Jerzynę w rumiany policzek. Gospodarz zwrócił się do mnie i uniósł ostrzegawczo palec:

– Pamiętaj, węgierski przyjacielu, że kto nie umie kochać kobiety miłością szaleńczą, ten nie zwiąże się na serio z żadną ideą. A kto w nic nie wierzy, ten gotów jest popełnić każde łajdactwo.

Jego słowa nieco mnie otrzeźwiły. Co miał na myśli? Nie było czasu na dociekania, zrobiło się późno, a do tego przyszła żona Jerzyny. Nie poganiała nas wprawdzie, ale czuliśmy, że lepiej będzie się pożegnać.

W domu Jola przeglądała *Erotyki*, a ja, wstawiony, pisałem. Przypomniała mi się karteczka z kieszeni płaszcza. Sięgnąłem po nią, wygładziłem i rzuciłem okiem na rysunki konia. Z trudem odczytałem rozmazane litery. Składały się w wiersz. Może brudnopis, ale poetycki. Oto on:

Do konia

Dokąd ciebie prowadzą?
Do rzeźni
A nie do kowala
Za wysługę lat dostaniesz
prądem w łeb
Rozetną ci bebech
i flaki wysypią na cement
Skórę zaniosą do grabarni
A mięso ze smakiem wyłożą
w taniej jatce.

Zmówili się na traktor –
skubańcy

A ty?

Masz duży łeb
to się martw

Przeczytałem Joli na głos. Uśmiechnęła się krzywo:

– Musisz mnie tym katować? Lepiej spójrz na te obrazki! Wyrafinowane świństewka…

Musiałem przyznać jej rację. Ilustracje były znakomite. Znów wzbogaciłem się duchowo. Tyle że nie załatwiłem niczego konkretnego. A z bogactwa ducha nie będzie pieniędzy. Pod tym względem wiedzie nam się kiepsko.

14 sierpnia 1977, Kraków

Odwiedziłem w redakcji „Życia Literackiego" Etelkę Kamocki, trochę z przyjaźni, ale też po to, żeby zwędzić kilka nowych wierszy Barańczaka zatrzymanych przez cenzurę. I kogo udało mi się spotkać na Rynku? Ludwika, brata mojej byłej miłości Mai. Opowiedzieliśmy jeden drugiemu, co się u nas działo w ostatnim czasie. Niedoszły szwagier wtajemniczył mnie w sprawy rodzinne, wymieniliśmy nowe adresy i telefony, powspominaliśmy.

Spytałem, czy wie coś nowego o Pyjasie i jego sprawie. Wzdrygnął się i ściszył głos. Chciał wiedzieć, czemu pytam. Odparłem, że po prostu mnie to ciekawi. Zakłady, w których pracuje jako inżynier, produkują między innymi kafelki. Mieli ostatnio zlecenie, za protekcją, od jednego z posterunków krakowskiej milicji. Część dostawy trafiła oczywiście w prywatne ręce. Jeden emerytowany tajniak remontował sobie dom. Kierowca z fabryki Ludwika wypił ze starym parę piw, a w końcu też u niego się przespał, bo nie chciał prowadzić na gazie. I właśnie on opowiedział Ludwikowi, na co skarżył się milicjant weteran. Nadawał na śledczych, którzy przy badaniu morderstw zachowują się jak ostatnie świnie i nie mają pojęcia, co jest ich pracą. Jako przykład podał sprawę Pyjasa. Podobno był jakiś świadek, też student, który opisał sprawców. Chłopak pojechał latem z kolegami pod namiot w Bieszczady, w okolice Jeziora Solińskiego. Któregoś wieczoru poszedł nad brzeg i zniknął bez śladu. Trupa znaleziono w okolicznych szuwarach. Śledczy napisali w protokole, że na ciele były widoczne ślady bicia, a w płucach stwierdzono obecność powietrza, przyczyną śmierci nie było więc utonięcie. Nie było innego wyjścia, jak odebrać niezdarom dochodzenie i spisać „porządny" raport. Znaczy się wypadek i kropka. „Czy im się wydaje, że my wszystkich mordujemy?" – oburzał się tajniak. „Po co od razu mieszać w to politykę?"

Ludwik twierdził, że kierowca pożałował i picia, i tego, że został na noc. Podobno nie mógł zmrużyć oka w niewykończonym domu, kulił się tylko na łóżku jak mysz pod miotłą.

6 listopada 1977, Warszawa

W końcu udało mi się przejrzeć trochę zagranicznej prasy. Halina przynosi mi ją czasem z rejsów LOT-u. W jednym z numerów „Sunday Times" znalazłem następującą myśl wygnanego z NRD Wolfa Biermanna: „W skomputeryzowanym stalinizmie człowiek nie zarobi już kulki w plecy, wystarczy zrobić mu dziurkę w karcie kodów".

Dobry Boże, co nam tu wyrośnie, jeśli czerwoni dostaną pieniądze i czas na rozwijanie najnowszych technologii informatycznych?! Projektowane przez Madácha[5] falanstery to przy tym nadmorskie uzdrowisko!

17 listopada 1977, Gdańsk

Od dwóch tygodni towarzyszę Katalin T. w podróży jako tłumacz. Przyjechała z redakcji „Nők Lapja", podobnie jak Anna S. wiosną. Tyle że jest od niej o połowę młodsza. Rocznik 1950, jesteśmy zatem równolatkami.

Jej mama pracowała w tej samej gazecie, więc Kati urodziła się, by zostać dziennikarką. Tak o sobie, śmiejąc się, mówi.

Czekaliśmy na nią na lotnisku z Rutą Pragier, redaktor naczelną zaprzyjaźnionej „Kobiety i Życia". Okazało się, że się znają z Budapesztu, gdzie polska dziennikarka gościła w ubiegłym roku, a Kati towarzyszyła jej w podróży jako przewodniczka. Z początku nie miałem zbyt wiele do tłumaczenia, bo obie panie dobrze mówią po niemiecku i mogły ze sobą rozmawiać bez pośrednika. Poza znajomością języka i zawodem łączy je jeszcze coś innego: są Żydówkami. Gdy poprzedniego dnia wpadłem do redakcji podpisać umowę, Ruta zaprosiła mnie do siebie i choć do głowy mi nie przyszło pytać ją o pochodzenie, powiedziała o nim przy kawie. Temat pojawił się przy okazji wspominania podróży na Węgry: z uznaniem wypowiadała się o Horthym[6], który aż do okupacji niemieckiej starał się za wszelką cenę bronić Żydów. Ubolewała też nad tym, że w Polsce zostało ich tak niewielu.

Podobnie było z Kati: nie zahaczyłem nawet o temat, ona jednak w czasie podróży do Gdańska ni z tego, ni z owego zapytała:

– Powiedz mi, czy tu też jest antysemityzm?

Zamurowało mnie, bo akurat opowiadałem o Mazurach i Warmii, przez które przejeżdżaliśmy, i nie mogłem pojąć, skąd przyszła jej do głowy ta kwestia. Być może poczuła się znużona moim wykładem z historii i geografii. Po chwili odzyskałem kontenans i odparłem:

– Dlaczego „też"? Sądzisz, że na Węgrzech jest on obecny?

Zaczęła ze mną rozmawiać w niesłychanie otwarty sposób. Powiedziała, żebym się nie wygłupiał, bo jestem już wystarczająco dorosły, żeby mieć własne zdanie, doświadczenia. Wytężyłem wszystkie zmysły: czego ode mnie chce ta kobieta? Jakiego wilka próbuje wywołać z lasu?

---

[5] Imre Madách (1823–1964) – poeta, filozof i dramatopisarz węgierski. Jego poemat dramatyczny *Tragedia człowieka* został przetłumaczony na 18 języków i wszedł do kanonu klasyki teatru węgierskiego.

[6] Miklós Horthy (1868–1957) – dowódca marynarki wojennej Austro-Węgier, regent Węgier w latach 1920–1944. W okresie II wojny światowej Węgry pod jego auspicjami prowadziły politykę balansowania: pozostając w sojuszu z Hitlerem, szukały porozumienia z aliantami. Kiedy Horthy po wkroczeniu Armii Czerwonej na terytorium Królestwa Węgier próbował zerwać sojusz z Niemcami, ci pozbawili go władzy (15 października 1944 r.). Po wojnie żył na emigracji. Znany z przychylnej postawy wobec Polaków, przejawiającej się m.in. tym, że we wrześniu 1939 r. rząd węgierski odmówił wojskom III Rzeszy przekroczenia

Słuchałem z uprzejmą uwagą, ale też z kamienną twarzą. Zaczęła od lat powojennych. Tłumaczyła Żydów, którzy służyli nowemu systemowi, bo u komunistów obowiązywała zasada: albo jesteś z nami, albo nie, twoje pochodzenie nas nie obchodzi. (Mógłbym polemizować, ale wolałem milczeć). Z perspektywy czasu – twierdziła – okazało się, że to był błąd, bo Żyd i tak na ogół wyróżnia się w tłumie, podobnie jak czarnoskóry, a jeśli prześladowca ma „złą" twarz, ofiara ją zapamięta i w ten sposób antysemityzm, skądinąd wcale nie przezwyciężony, narodzi się na nowo. Na próżno przykrywamy go zasłoną socjalizmu, jest tam, gdzie był, i szerzy się w najlepsze. Kati przypisuje swój sukces w zawodzie talentowi, ale zdarza się jej słyszeć za plecami, że zawdzięcza go pochodzeniu. Nie zamierza dyskutować z faktem, że wśród dziennikarzy jest znacznie więcej Żydów niż wśród rolników czy proletariuszy, ale to dlatego, że bliskowschodnia, lewantyńska, rozgadana natura predestynuje ich do tego zajęcia, podobnie jak do adwokatury. Albo medycyny, w której Żydzi wiedli prym już w antycznym Rzymie, korzystając ze zdobytych przez tysiące lat doświadczeń z Azji i Egiptu. Nie mówiąc o finansach, bo w tej branży, jak uważa, „wszystko wynaleźliśmy my, Żydzi".

Użyła słowa „my". Ostrożnie podjąłem wątek, skonstatowałem, że skoro są jacyś „my", to muszą być też „oni". Pytanie: kto pierwszy nakreślił tę granicę i kto ustawił obydwie grupy przeciw sobie.

– A widzisz! – chwyciła mnie za słowo z tryumfem. – Wiedziałam, że masz na ten temat swoje zdanie!

Na próżno tłumaczyłem, że to ona pierwsza powiedziała „my" w znaczeniu „my, Żydzi". Na początku żałowałem, że w ogóle zacząłem dyskusję, ale skoro tak się stało, chciałem grać w otwarte karty.

– Słuchaj, ty naprawdę czujesz na Węgrzech groźbę antysemityzmu? – wróciłem do meritum sprawy. – Czy nie chodzi o jakąś irracjonalną fobię?

Po chwili namysłu powiedziała, że nie ma pewności, ale raczej mgliste, złe przeczucia.

– Rozważam wyjazd na Zachód. Mam tam krewnych, którzy pomogliby mi na początku. Wyjadę, jeśli nabiorę przekonania, że będzie mi lepiej za granicą. Wyznaję zasadę *ubi bene, ibi patria*!

Patrzyłem na nią z niechęcią. Jeśli dla kogoś ojczyzna jest tam, gdzie mu dobrze, trudno człowieka nazwać patriotą.

– „Tu musisz żyć i umierać, błogosławiąc swój los" – zacytowałem Vörösmartyego[7].

Zbyła to śmiechem.

– Ty też wyjechałeś do Polski!

– Ale w duszy ciągle jestem Węgrem.

---

granicy węgiersko-polskiej, co miało im umożliwić atak na Polskę od południa, oraz zezwolił tysiącom polskich uchodźców cywilnych i wojskowych osiąść na Węgrzech.

[7] Mihály Vörösmarty (1800–1855) – poeta i dramaturg, przedstawiciel i jeden z kreatorów romantyzmu węgierskiego oraz twórca węgierskiej poezji narodowej. Był członkiem Węgierskiej Akademii Nauk. W czasie rewolucji 1848–1849, jako prawnik z wykształcenia, zasiadał w Sądzie Najwyższym. Autor m.in. narodowej pieśni węgierskiej *Szózat* (Wezwanie).

– A ja, gdziekolwiek będę żyć, pozostanę Żydówką! – odpowiedziała.

– Odwróć kolejność, Kati! – spróbowałem ponownie. – Gyula Illyés[8] powiedział, że Węgrem jest ten, kto się nim czuje. To znaczy, że najpierw powinnaś poczuć się Węgierką, a dopiero potem Żydówką.

– Jak do licha mam się czuć Węgierką, skoro dzielni Węgrzy brali udział w prześladowaniu i mordzie narodu, do którego należę genetycznie i duchowo?! – wybuchła.

Zapanowała między nami cisza. Czułem się bezradny. Czy miałem jej wyjaśniać, ile w całej sprawie było polityki, kto i w jaki sposób ogłupił swołocz, której nie brak na całym świecie, że wielu ludzi starało się ratować Żydom życie i nawet Ruta Pragier wyraziła się życzliwie o Horthym? Nie miałem na to ochoty. Zresztą Kati jest inteligentną kobietą, więc to rozumie. I jeśli sama nie potrafi uporać się z fobiami, czy mogę służyć jej za terapeutę?

– Ruta mówi, że tu też panuje antysemityzm – wróciła do naszej bezproduktywnej dyskusji.

Ponieważ powiedziała to w tonie konstatacji, nie czułem się zobowiązany do odpowiedzi. Mimo że miałbym w tym temacie coś do powiedzenia. Spotkałem wielu Polaków, którzy o systemie wyrażali się wyłącznie per „żydokomuna". Twierdzili, że także rewolucję 1905 roku rozpętali głównie Żydzi, a wśród przywódców bolszewików stanowili większość. Zdarzali się też „dobrze poinformowani", którzy stawiali mi przed nosem przykład Béli Kuna[9] i jego bandy i ku mojemu zdumieniu powielali przy okazji obecny na Węgrzech stereotyp, że komisarze tylko dlatego mieli w szeregach zawsze po jednym szabesgoju, aby także w sobotę miał kto podpisywać wyroki śmierci. A do tego powtarzali z lubością, że kiedy w trzydziestym dziewiątym po nazistach napadli Polskę także Sowieci, wielu Żydów witało ich z radością, gdzieniegdzie stawiano nawet łuki tryumfalne. A potem wstępowali do partii komunistycznej i ochoczo denuncjowali ukrywających się polskich „panów", żądając, by postawiono ich pod ścianą albo chociaż wysłano do łagru. Po wojnie niektórzy do reszty oszaleli, zasilali szeregi UB, mordowali patriotów – nasłuchałem się takich opowieści, owszem. Nie była to dla mnie żadna nowość, na Węgrzech również szerzą się podobne teorie. O tym jednak, jak wielu ludzi ratowało Żydów z narażeniem życia, swojego i rodziny, w obu naszych krajach mówi się dość rzadko. Jak też o tym, że wśród komunistów także istniał (istnieje?) antysemityzm – i to niemały. Warto przyjrzeć się działaniom Stalina w tej kwestii albo przestudiować, co się działo w marcu 1968 roku i później w Polsce, a w czym miała swoje „zasługi" PZPR.

Postanowiłem jednak nie ciągnąć dyskusji. Nie znam człowieka, który wyszedłby z niej bez szwanku, i nie chciałem sprawdzać, czy mnie się to uda. Czy ktoś kiedyś napisze o tym wszystkim prawdę? Z przyjemnością przeczytałbym taką książkę.

---

[8] Gyula Illyés (1902–1983) – pisarz węgierski, w swojej twórczości opisywał trudny los chłopów.

[9] Béla Kun (1886–1938) – przywódca komunistów węgierskich po zakończeniu I wojny światowej. Stał na czele Węgierskiej Republiki Rad, państwa komunistycznego istniejącego od marca do sierpnia 1919 r., utworzonego przez węgierskich zwolenników bolszewizmu.

18 listopada 1977, Gdańsk

Siedzieliśmy w restauracji „Pod Żurawiem" na brzegu Motławy, w budowli służącej niegdyś do rozładunku zboża. Ściany pokryte drewnem, na stropie sczerniałe od starości (albo pomalowane) tramy, po obu stronach sali boksy, między nimi ciężkie brązowe stoły barowe. Do tego mocarne ławy, krzesła z rzeźbionymi oparciami. Nasz stolik znajdował się przy oknie wychodzącym na nabrzeże. Na dworze, pod ołowianymi, szarymi chmurami wiatr pędził siedemdziesiąt na godzinę, smagane nim krople deszczu uderzały w szyby. „Pogoda barowa" – jak mawiają Polacy. Dostosowaliśmy się. W środku było przyjemnie ciepło, w powietrzu unosiły się kuszące, smakowite zapachy.

W zapisanym gotycką czcionką menu aż roiło się od zagadek: befsztyk *à la* Duszanbe, schabowy w trzech smakach *à la* ku-ku-lu, dzika kaczka po hetmańsku, golonka wołowa po królewsku, golonka mistrza Kowalskiego i tym podobne. Żadna z nazw nie zdradzała, co się za nią kryje. Mogli przynajmniej dopisać wyjaśnienie. Trudno, na pytania musiał odpowiadać kelner. Robił to z anielską cierpliwością. Lokal zresztą świecił pustkami, więc godziło się zadbać o posezonowych gości.

Złożyliśmy zamówienie. Kati piła jedyne z obecnych w karcie czerwonych win, węgierską byczą krew. Mnie przyniesiono ohydne, letnie piwo Tyskie, które zwróciłem kelnerowi po pierwszym łyku. Zaoferował, że przyniesie drugie, wolałem się jednak przerzucić na bikavéra.

Tak bym się napił kawy. KAWY! Tak, wielkimi literami. A nie jakiegoś substratu z gatunku „Kolumbijka" czy „Brazylijka", które smakują jak dawny węgierski Franck, może z odrobiną prawdziwej mielonej. Na torebkach podają zresztą proporcje: „20% kawy, 80% słodu". I takie paskudztwo określa się nazwami szlachetnych upraw! „Naturalnej" od jakiegoś czasu brakuje w całej Polsce. W gazetach donoszą – jak zaczęłaby swoją kabaretową kwestię Irén Psota[10] – że „kawa jest towarem luksusowym, a walcząca z przejściowymi trudnościami gospodarka uspołeczniona uważa za ważniejsze zaopatrzenie ludności w inne podstawowe artykuły spożywcze" („Trybuna Ludu"). Kati namawiała mnie, bym spróbował zamówić prawdziwą kawę. Kazała mi być twardym: jeśli nie oferują jej w karcie, niech sprzedadzą spod lady.

„Czemu nie?" – pomyślałem. Spytać zawsze można. Obsługiwał nas łysy, wysoki kelner z piwnym brzuchem i twarzą rasowego polskiego zabijaki.

– Prawdziwej kawy nie ma, proszę pana, jedynie kolumbijka – uśmiechnął się do nas uprzejmie. Widziałem jednak, że usilnie się nad czymś głowi, zastanawia, czy warto ryzykować. W końcu się przemógł.

– Oczywiście prywatnie mogę coś załatwić. – Nachylił się w moją stronę. – Ale tylko po kartonie. W jednym jest dziewięć kilo, po siedemset złotych za kilogram.

Kati patrzyła na nas z zaciekawieniem. Przetłumaczyłem jej. Dostała ataku śmiechu.

[10] Irén Psota (1929–2016) – aktorka węgierska, laureatka Nagrody Kossutha.

– Ile płacisz? Widzisz, mój pomysł był na wagę złota! Mówiłeś, że w Warszawie proszą na czarnym rynku po tysiąc za kilogram.

– Jutro też stawiam kolację.

– Tylko tyle? – skrzywiła się. – Za taki fantastyczny pomysł?

Skąd miałem wiedzieć?! W myślach zacząłem szybko liczyć, ile mam pieniędzy. Na jeden karton starczy, to też coś, oszczędzałem w ten sposób trzysta złotych na kilogramie. Szlag mnie trafiał, że nie miałem auta! Załadowałbym cały bagażnik i zarobił krocie na interesie. A tak mogłem tylko taszczyć kontrabandę w rękach. Sprzedać też nie bardzo było jak – pomyślałem, że najwyżej będę miał na prezent, kiedy pójdę w gości, gospodarze ucieszą się bardziej niż z bukietu kwiatów.

Kati zaoferowała mi pożyczkę, żebym mógł kupić więcej, a pieniądze oddam jej w Warszawie. Jak niby miałem to zrobić?! Tłuc się z tym wszystkim w pociągu jak ostatni dziad?

– A kto powiedział, że masz się tłuc? – radziła dalej. – Odbierzesz towar od faceta, zapakujesz do taksówki, na dworcu nadasz w wagonie pocztowym, w Warszawie odbierzesz, do taksówki i gotowe.

Bogu dzięki, że znałem miejscowe realia! W końcu zapach kawy czuć nawet wtedy, gdy jest hermetycznie zapakowana. A szczelność opakowania też spod znaku gospodarki ludowej: co druga torebka dziurawa, więc od razu wiadomo, co się kryje w najstaranniej choćby zaklejonej paczce. A kawy w kraju brakuje. Mogłem się zatem spodziewać, że w Warszawie nie miałbym czego odbierać – po drodze wszystko by rozkradli. Wróciłbym z pustymi rękami, a odszkodowanie nie sięgnęłoby pewnie wartości jednego kilograma towaru.

– Widzisz, pan Kohn znalazłby rozwiązanie – śmiała się dalej Kati. – Musisz zacząć od małego handlu, żeby kiedyś otworzyć dom towarowy!

Nie pisałem się na to. Zabrałem dziewięciokilową paczkę i ani grama więcej.

W podróży przemyśliwałem, które ze swoich tutejszych przeżyć opisze Katalin. Zwiedzanie miast, muzeów, galerii, pobyt nad morzem. Miała do czynienia wyłącznie z inteligencją. Spotykała nauczycieli, redaktorów, naukowców, wszelkiej maści funkcjonariuszy partyjnych i związkowych. Nie mieliśmy w programie choćby jednej fabryki czy przedsiębiorstwa, nie odwiedziliśmy żadnej wsi ani pegieeru, spółdzielni czy prywatnego gospodarstwa. Dostała komplet zdjęć od fotografa „Kobiety i Życia", który towarzyszył nam przez większą część trasy. Nad morzem akurat nie – to była rekreacja.

Kati poprosiła, żebym dał jej też coś ze swoich zdjęć. Miałem ujęcia silosu, pobliskiej restauracji, nawet kelner od kawy „naturalnej" nie umknął mojej migawce. Czy odważy się opisać na stronach ilustrowanego magazynu naszą przygodę z załatwianiem kawy?

O Wajdzie, jak sądzę, napisze. Inna sprawa, czy tekst się ukaże. Spisywałem dla niej rozmowę z taśmy i tłumaczyłem na węgierski. Zacytuję tu jeden fragment:

> – Powiedział pan przed chwilą, że istnieje drastyczna różnica pomiędzy światem człowieka z Europy Środkowej i człowieka Zachodu, ich wyobrażeniem rzeczywistości. Czy mógłby pan to rozwinąć?

– Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że nie mam na myśli obiektywnych różnic społecznych, odmiennych warunków życia i pracy, bo te są oczywiste dla każdego trzeźwo myślącego człowieka. A jednak różnica w sposobie myślenia jest tak olbrzymia, że całkowicie inaczej odnosimy się do określonych warunków obiektywnych. Weźmy na przykład historię. Dla wielkich narodów Zachodu przeszłość jest czymś skończonym. Powiedzmy Francuzi „żyją z tego", że przeprowadzili najbardziej postępową rewolucję. Dodam w nawiasie, że z tą opinią można bardzo ostro polemizować. Ale nie o tym chcę mówić. My natomiast – Polacy, Węgrzy, Słowacy, Czesi, Ukraińcy, Rumuni i inne narody regionu – po dziś dzień się głowimy nad tym, czy aby na pewno postąpiliśmy w jakiejś sprawie dobrze powiedzmy w szesnastym wieku. Zawodowi historycy dostają białej gorączki od tych naszych ciągłych dywagacji w stylu „co by było, gdyby…". Tymczasem u nas ciągle jeszcze ten właśnie sposób myślenia określa świadomość. Innymi słowy, w naszych duszach historia absolutnie nie jest czymś zamkniętym. Sam nie jestem tu wyjątkiem: do moich ulubionych lektur należą książki o historii Polski, mam ich tu na półkach całe mnóstwo. I czytam z nich sobie po trochu każdego wieczora przez zaśnięciem. Są takie fragmenty, epoki, do których wracam wciąż od nowa. Na Zachodzie nie usłyszy się w zasadzie tego typu rozmów, jakie u nas toczy się codziennie, choćby wieczorami przy kuchennym stole. „Ale gdybyśmy wtedy postąpili inaczej, to dzisiaj bylibyśmy gdzie indziej, nie wydarzyłoby się to czy tamto…" I tak dalej. Próbujemy rozsupłać jakieś nici sprzed dwóch, trzech, czterech wieków. Po co? Bo stale uwierają nas w ręce i nogi, jesteśmy do nich przywiązani jak marionetki. To one poruszają nami na scenie naszego obecnego życia, gdzie nawet głos suflera dobiega czasem z dystansu paruset lat. W tej części świata los pobłogosławił nas albo ukarał wyjątkową dramaturgią. W wielu przypadkach bardzo dawno graliśmy pierwszy akt, gdzie pojawia się ta słynna strzelba, która musi wypalić w trzecim, bo tylko wtedy historia się zamyka. Wiemy, że wypali, lecz nie mamy pojęcia, kiedy to nastąpi. Do tego czasu nie można skończyć przedstawienia. A może wymazać ostatecznie przeszłość? Nic to nie da. Już Bułhakow pisał, że rękopisy nie płoną. W zachodnim świecie nikt nie próbował wymazywać przeszłości, przepracowali ją i strawili – i w dużej mierze dlatego potrafili ją też zamknąć. Tymczasem u nas czas przeszły ciągły to nie tylko pojęcie gramatyczne. Ale oni tego nie pojmują. Podobnie jak my ich. Bo przecież historia nie może się skończyć, dopóki na ziemi żyją ludzie.

Cudowne, prawda?

20 listopada 1977, Warszawa

Od ludzi bywałych w świecie słyszę, że taksówkarze to osobny gatunek zwierząt na każdej szerokości geograficznej. Ci warszawscy nie są wyjątkiem, o czym już pisałem. Mam nowy przyczynek do dyskusji.

Tłum na postoju przez Dworcem Centralnym. Od dłuższego czasu nie podjechało żadne auto. W końcu zjawia się jedno. Kierowca nachyla się nad siedzeniem pasażera, opuszcza szybę i woła:

– Ochota!

Nikt nie reaguje. Najwyraźniej nie ma chętnych na kurs do tej dzielnicy. Kierowca wzrusza ramionami, podnosi szybę i znika.

Zjawia się następny.

– Saska Kępa! – ogłasza w podobny sposób taryfiarz albo złotówa, jak zwykło się ich nazywać w stołecznej gwarze. Także tym razem nikt się nie zgłasza. Auto odjeżdża, ludzie w ciszy złorzeczą systemowi.

Przyjeżdża trzecia taksówka. Elegancki samochód Fiat Mirafiori, jedna z ulubionych marek współczesnych nadwiślańskich chuliganów. Głęboka metaliczna zieleń, wnętrze pokryte beżową tapicerką, z głośników Sony dudni jakiś mjuzik, wóz lśni czystością. Słowem – picerskie autko. Kierowca zresztą też. Prawdziwy *bel ami*. Na nosie amerykańskie ray-bany w drucianych oprawkach, choć w listopadowej szarówce nie są mu do niczego potrzebne. Przypomina w nich ludzkich rozmiarów muchę. Nie nachyla się, by opuścić szybę od strony chodnika – silnik robi to za niego. Guzikiem przycisza stereo. Dopiero wtedy ściąga swoje drugie oczy i wychyla się przez okno, woła, nadymając wargi, jakby robił łaskę, że zniża się do czekającego na zewnątrz motłochu.

– Na Wolę!

Cisza. *Bel ami* powtarza zniecierpliwiony:

– Co jest, ludzie? Nie słyszycie? Na Wolę!

Z tłumu występuje starszy człowiek w muszce, unosi lekko kapelusz i nachyla się do okna taksówki.

– Kochany – mówi ciepłym głosem i wskazuje ręką kierunek – tam na rogu proszę skręcić w lewo, na trzecich światłach znowu w lewo, a potem prosto i jest pan na miejscu!

Złotówa gapi się przez chwilę zdezorientowany. Po chwili czerwienieje, cedzi przez zęby nieparlamentarne wyrazy, nasuwa na nos owadzie oczy, a potem wciska gaz do dechy i odjeżdża z piskiem opon. Starszy pan uchyla kapelusza i wraca na swoje miejsce w rządku czekających.

Tłumek wybucha śmiechem i klaszcze.

6 grudnia 1977, Warszawa

Święty Mikołaj przyniósł mi w prezencie kolejne spotkanie z literatami. Przyjąłem okazję z radością, bo – co tu kryć – ciągnie mnie do przekładania literatury. Mam z Węgier zlecenie na prezentację współczesnych pisarzy z fragmentami przetłumaczonych utworów. A żeby zdobyć jakąś książkę albo tekst, najlepiej zaprzyjaźnić się z autorem. Czytam więc tę świeżą produkcję literacką, tłumaczę w Związku Literatów Polskich, mam skąd czerpać materiał.

Uderzyłem znów do Huzika. Umówiliśmy przez telefon spotkanie w kawiarni Związku. Drobny, charakterny człowieczek o śniadej cerze zjawił się, jak zwykle, z przetłuszczonymi włosami i w brudnych okularach. Skądinąd łebski z niego facet, do tego chodzący słownik żargonu, bez przerwy uczę się od niego nowych słówek i wyrażeń.

Zapytałem przebiegle, co by powiedział na węgierskie wydanie którejś ze swoich książek. Chciałem mu się przypodobać, żeby polecił mi innych pisarzy.

– Zgoda – powiedział. – Daję ci wolną rękę, zrób streszczenie, przetłumacz fragment, który najbardziej przypadł ci do gustu, a potem możemy podpisać umowę.

Przypomniałem mu, że potrzebowałbym też innych kontaktów, podałem nazwiska i tytuły. Zapewnił, że zna wszystkich osobiście i obiecał przedstawić mnie każdemu po kolei. Śpieszył się do redakcji Czytelnika, zaproponował, żebym poszedł z nim, bo czeka tam na niego znajomy poeta. Zgodziłem się.

W obskurnym barze na parterze redakcji dym tytoniowy można było kroić nożem, w powietrzu czuć było mocną kawę, brakowało miejsc, przy stolikach siedzieli głównie ludzie o wyglądzie wariatów. „Panowie artyści" – pomyślałem. Znajomy Huzika, Segal, był facetem koło pięćdziesiątki, światło lampy odbijało się od jego łysiny. Rozmawiał z wąsatym, przygarbionym jegomościem w okularach. Widać było, że panowie trochę już sobie dziabnęli. Z nas z kolei grudniowy chłód zdążył wywietrzyć dwa wypite w kawiarni koniaki. Znajomi przywitali Huzika z nieskrywaną radością, a mnie przyjęli jak starego druha. „No, stąd raczej nie przejdziemy szybko do redakcji" – przyszło mi do głowy. Niewykluczone jednak, że prawdziwa praca odbywa się właśnie tutaj, jak u nas w Hungárii.

Moi nowi kumple nie mogli się nacieszyć ze spotkania z żywym Węgrem, Segal zaś zaproponował, byśmy opili miłe spotkanie w bardziej eleganckim miejscu. Mieliśmy tylko zaczekać na jego żonę, która poszła do sklepu kupić coś dla dziecka. Do tego czasu zamówił nam po kieliszku brandy. Towarzystwo wlało go w siebie jednym łykiem, tylko ja sączyłem powoli. Po chwili musiałem jednak zwiększyć tempo, bo zjawiła się trzydziestoletnia kobieta z małym, na oko pięcioletnim brzdącem. Segal uraczył oboje soczystym buziakiem i mogliśmy ruszać.

Wylądowaliśmy na dachu dwudziestopiętrowego wieżowca w pobliżu mostu Poniatowskiego. Obsługiwała nas Bułgarka. W „eleganckiej" restauracji poza nami nie było prawie nikogo, szwankowało też ogrzewanie i w środku było dość zimno. Mimo widocznej za wielkimi szybami panoramy miasta miejsce to miało się nijak do atmosfery Czytelnika. Segal z miejsca kazał przynieść flaszkę wódki, do której musieliśmy wziąć zakąski. Szepnął coś po bułgarsku do kelnerki. Dostaliśmy butelkę czystej, a do tego po talerzu zimnych nóżek. Szara galareta wyglądała, jakby leżał na niej kurz. „Lornetka z ostrygą" – tak nazywa się to danie w lokalnym żargonie. Huzik ostrzegł mnie od razu, żebym nie ważył się tego jeść, bo może być sprzed paru tygodni. W niektórych miejscach obowiązuje zasada, że do wódki trzeba zamówić coś do jedzenia, w interesie zdrowia publicznego. Obywatel jednak bywa przeważnie spragniony, a nie głodny. Istnieje więc niepisana umowa z kelnerem: on przynosi zakąskę, dolicza ją do rachunku, a klient oddaje nietkniętą. Jedzenie trafia z powrotem do lodówki i sprzedaje się je w ten sam sposób innym gościom. Nie zostawia się za to napiwku, bo lokal i tak zarabia swoje na potrawach wielokrotnego użytku. I wszyscy są zadowoleni. Segal musiał jednak zamówić dzieciakowi normalne jedzenie, bo mały prawie się rozbeczał na widok galarety. Dostał coś świeżego, spałaszował i mieliśmy spokój.

Huzik w tym czasie rozprawiał o planowanym tomie reportaży. Może jestem wobec niego złośliwy, ale wydaje mi się, że nigdy go nie napisze. Wystarczy mu świadomość, że „może stworzyć" tego typu dzieło. O drugiej po południu byliśmy już mocno wstawieni, słońce świeciło jak w jakimś południowym kraju.

Segal nie pozwolił nam zapłacić, rozliczył się z bułgarską kelnerką. Na twarzy małżonki pojawił się wyraz nadziei: dzięki Bogu na dzisiaj koniec. Była w błędzie. Jej mąż rozłożył kordialnie ramiona i zaprosił nas wszystkich do siebie.

Przed domem wysłał Huzika po wódkę, a żonę z dzieckiem wpakował do windy.

– Zaraz do was dołączymy – powiedział, po czym wziął mnie pod ramię i zaczął prowadzić w stronę baru przy najbliższym skrzyżowaniu.

Lokal już od progu wyglądał mi na ajencję: miał stylowe wnętrze i dekoracje, był uderzająco czysty i zadbany. Trzech klientów od razu przywitało się z Segalem. Krzątająca się za ladą pulchna barmanka uśmiechnęła się do niego jak do znajomka. Miała ładną twarz, proporcjonalnie i gustownie pyzatą, ale też ogromne piersi. Do tego sukienkę z bajecznie głębokim dekoltem, którego nieskazitelnie, niemowlęco szarawą skórę zdobiła kolekcja złotych łańcuszków.

– Dwa koniaki, pani Jolu! – rzucił Segal i podsunął mi stołek barowy. Kobieta schyliła się po flaszkę, racząc nas przy tym widokiem swoich piersi, dla którego każdy zdrowy mężczyzna chętnie spędziłby tu cały dzień, licząc na powtórkę. Podejrzewam, że to jedna z tajemnic powodzenia lokalu… Postawiła przed nami kieliszki.

– Ach, gdyby pani wiedziała, pani Jolu! – westchnąłem cicho i stuknąłem się z Segalem. Od koniaku ścisnęło mnie w dołku, dlatego zapiłem szybko zbawienną wodą sodową. Pomyślałem w duchu, że wypiłem już dzisiaj wystarczająco dużo i próbowałem się jakoś pozbierać.

– Tak? – Jola oparła się o kontuar. Wyobraziłem sobie swoją głowę zanurzoną w jej dekolcie, a potem jeszcze inne rzeczy. – Co mam niby wiedzieć, hm?

Wiedziała doskonale, co mam na myśli, musiała przywyknąć do maślanych męskich spojrzeń.

– Pani jest weterynarzem. – Wskazał barmankę Segal. – Ale tu da się więcej zarobić, co nie, pani Jolu?

Tego mi było trzeba: natychmiast wyjąłem z torby kilka fotografii Moneya. Skoro nie mogłem pokazać dzieci… Pani Jola z żywym zainteresowaniem przyglądała się zdjęciom.

– Jaki piękny pointer! – zachwyciła się, podając cztery piwa ruchliwej kelnerce o figurze Twiggy, wyraźnie niezadowolonej, że w nią nikt się tak nie wpatruje. – Poluje?

– No ba, jeszcze jak! – odparłem. Barmanka bez pytania nalała nam jeszcze po koniaku, serwując przy okazji kolejny zniewalający ukłon. Ojoj.

Segal gadał jak najęty. Mówił o mnie jak o synu. Domyślałem się, że to jego drugie małżeństwo. Zapewniał, że gdyby lepiej się starał z pierwszą żoną, miałby teraz syna w moim wieku. Nie czekając na trzecią kolejkę, wyciągnąłem go siłą z baru.

Najchętniej pobyłbym przez chwilę na mroźnym, zimowym powietrzu, ale na Segala nie było mocnych. Poczłapałem bezradnie za nim.

Drzwi do mieszkania otworzył Huzik. Żona Segala stała na balkonie i kłóciła się z dzieckiem. Dwie ściany pokoju zajmowały uginające się pod ciężarem książek półki, na trzeciej ścianie paździerzowa meblościanka. Na stole stały dwie nienapoczęte flaszki wódki, półmisek z pokrojonym serem, a w głębokim talerzu kiszone ogórki.

– Wypijemy, zakąsimy, będzie dobrze! – Huzik uśmiechnął się, napełniając szerokim gestem kieliszki. – Zdrowie Segala, naszego szczodrego poety!

– Zdrowie! – mruknąłem, zanurzając tylko język w kieliszku. Nie uszło to ich uwagi.

– Do dna! – Segal podstawił mi palec pod nos. – Do dna! Kto nie pije, ten kapuje, jasne?

Wybuchli śmiechem.

– Serek, ogóreczki. – Rzucili się do częstowania. Jadłem bez pośpiechu z obawy, że mój żołądek w końcu nie wytrzyma i pęknie. Poszedłem do łazienki. Zdołałem się tylko wysikać. Wracając, zajrzałem do kuchni. Kawałek masła dobrze by mi zrobił, ale nie znalazłem. Była za to woda sodowa i cytryna. Zrobiłem sobie na szybko lemoniadę bez cukru, zeskrobałem do niej trochę lodu z zamrażarki. Niemal siłą wlałem w siebie kwaśny, zimny napój. Oparty o zlew, czekałem, aż organizm się schłodzi. Kuracja lodowa pomogła, po minucie czułem się jak trzeźwy człowiek. Wiedziałem jednak, że ten stan nie potrwa dłużej niż dziesięć minut, więc musiałem się spieszyć.

Okazało się, że kiedy byłem w łazience, a potem myszkowałem w kuchni, przybył jeszcze jeden gość. W pokoju siedział drobny brunet w kombinezonie roboczym i czytał na głos swoje wiersze z pomiętego, kratkowanego kajeciku.

– Posłuchaj tego, Węgrze, i delektuj się! – wychrypiał Segal. – My już nie umiemy tak pisać! Ale on, człowiek ciężkiej pracy, to co innego! No, czytaj dalej, stary…

Usadowił się wygodnie na kanapie, wymruczał coś jeszcze, po czym usnął jak małe dziecko. Brunecik rozejrzał się niepewnie, przedstawiliśmy się sobie, a ja zachęciłem go, by nie przerywał lektury. Wiersze okazały się dość kiepskie, niestety. Huzik mrugał do mnie porozumiewawczo: „I co, w super miejsce cię przyprowadziłem, nie?". „A niech cię wszyscy diabli, ciebie i twoich przyjaciół" – odpowiedziałem mu w duchu. – „Tak się ubzdryngolić, do tego w biały dzień! To ma być to wasze artystyczne życie? Jezu, bez chlania i rozpusty się nie da? Biedna żona i dziecko, zapewne uciekli do sąsiadów albo Bóg wie gdzie przed tą całą bohemą".

– Daj mi chwilę, zaraz wracam! – Poklepałem po plecach Huzika, który pokładał się na stole półprzytomny. Wiedziałem, że kończy mi się czas, a lodowy pancerz w żołądku zacznie niebawem puszczać. Zamroczony Huzik wykazał się jednak czujnością i chwycił mnie za ramię, widząc, że sięgam po torbę.

– Aha, chcesz się ulotnić, draniu! – wychrypiał, ale próba nagłego podniesienia się przyprawiła go o zawrót i wpadł z powrotem w objęcia fotela. – Nie wydurniaj się, kto wypije drugą flaszkę?

Robotnik odłożył zeszyt na stół i z kieszeni niebieskich ogrodniczek wyciągnął śrubokręt i obcęgi.

– Obiecałem ostatnio, że zajrzę do pralki – powiedział cicho i ruszył w stronę łazienki. Segal chrapał, Huzik z kolei nie był w stanie podnieść się z głębokiego fotela,

wierzgał kończynami jak przewrócony na plecy robak. Uścisnąłem dłoń majstrowi i zamknąłem za sobą drzwi.

W klatce unosił się ostry zapach kapusty. „Żebym się tylko nie wyrżnął" – zaklinałem w duchu, rzucając się w stronę schodów. Musiałem się spieszyć. W ostatniej chwili zdążyłem podbiec do stojących w podwórzu kubłów na śmieci. Otworzyłem wieko pierwszego z brzegu. Nie dławiłem się, nie miałem odruchów wymiotnych, rzygi wylały się ze mnie zwartym potokiem, jak pomyje z wiadra. I tyle. Prócz kawałków sera i ogórka dostrzegłem w nich także okruchy lodu. Żadnych skurczów ani krztuszenia. Poczułem się lekki i wypróżniony. Papierową chusteczką wytarłem usta i z ulgą wyszedłem z bramy.

Na rogu zatrzymałem się na chwilę: przez zaparowaną szybę baru zobaczyłem niewyraźną, gołębią postać pani Joli. Miałem ochotę napić się zimnej coli, ale ogarnął mnie lęk, że Segal może wkrótce oprzytomnieć i zejść do knajpy, a ja znowu wpadnę w szpony „artystów". Obwąchałem się, żeby sprawdzić, czy aby nie cuchnę i czy mogę w takim stanie wsiąść do tramwaju.

Spojrzałem na zegarek: było wpół do szóstej. Jezu, pies nie był na spacerze od dziesiątej rano! Potruchtałem śnieżną breją do przystanku. W zbolałej głowie pojawiła się myśl, że jeśli wszystkie przekłady nam załatwiać w ten sposób, będę musiał pomyśleć o nowej wątrobie.

7 grudnia 1977, Warszawa

Asperján zachęca w liście, żebym ponownie wystartował w konkursie na słuchowisko radiowe, w przyszłym roku. Nie trzeba mnie specjalnie namawiać, mam pełną głowę tematów, rozpisanych pomysłów. Choćby koncept po tytułem *Rodzina*. Młoda para, bez widoków na własne lokum w przewidywalnej przyszłości, zmuszona zostać przy rodzicach żony. Dwuipółpokojowe mieszkanie w bloku dzielą jeszcze z młodszą siostrą kobiety i psem. Atmosfera gęstnieje. Na nic zdają się dobre chęci, po jakimś czasie domownikom tak bardzo ciąży wzajemne towarzystwo, że najchętniej pozabijaliby jeden drugiego. Jedynym „rozwiązaniem" wydaje się metoda Kohna. Ojciec opowiedział mi pewnien dowcip. Kohn skarży się rabinowi, że on, jego żona, córka, zięć, dwójka młodszych dzieci i brat bankrut gnieżdżą się w jednej izbie z kuchnią i zewnętrznym klozetem, a cała sytuacja doprowadza ich do szaleństwa. Rabin radzi mu, aby kupił kozę. Kohna pomysł ten wprawia w konsternację, ale cóż, Boży człowiek z pewnością wie, co mówi, więc słucha poleceń uczonego w Piśmie. Spotykają się po miesiącu, Kohn wygląda, jakby postradał zmysły, jego twarz co chwila krzywi się w bolesnym grymasie, ręce drżą, a włosy na głowie sterczą we wszystkie strony. „Rebe – zawodzi – ja już tego dłużej nie zniosę! Ciśniemy się w jednej izdebce z kuchnią, ja z żoną, córka z mężem, dwójka młodszych dzieci, brat bankrut, a do tego jeszcze ta przeklęta koza! Cuchnie, meczy, obgryza meble, bodzie rogami i nawet mleka nie daje! Na miłość Boską, co mam robić?!" Twarz rabina rozjaśnia uśmiech mędrców: „Synu, sprzedaj kozę. Zobaczysz, jak proste stanie się życie!".

Z miejsca zabrałem się do pisania. Szkopuł w tym, że moi bohaterowie nie chcą pozbyć się kozy, ale siebie nawzajem. O mały włos nie dochodzi do tragedii. (Dodaję na marginesie, jak to się robi w czołówkach „realistycznych" filmów, że fabuła i postaci to jedynie fikcja, a podobieństwo do rzeczywistych osób i zdarzeń jest przypadkowe…).

W czasie pracy stwierdziłem z niemałym zaskoczeniem, że węgierskie słowa i zdania stawiają mi opór. Od ponad roku codziennie od rana do wieczora mówię po polsku, węgierskiego używam, tylko gdy tłumaczę lub wpadam raz czy dwa razy w tygodniu do redakcji „Polski". Także myśleć zacząłem już w dużej mierze po polsku i zdarza się, że mam sny w tym języku. Wszystko fajnie, ale jak tak dalej pójdzie, czy aby nie zapomnę mowy ojczystej?

Przypomniałem sobie, przed czym przestrzegał nas poczciwy Pista Varsányi, mój nauczyciel polskiego. Powtarzał, że obcego języka, zwłaszcza zaś języka kraju, w którym planujemy zamieszkać, trzeba nauczyć się porządnie albo dać sobie spokój. Nie ma bowiem gorszej rzeczy niż bezjęzyczność. Powiadał, że zna Węgrów i Polaków, którzy wyjechali za mężem czy żoną do jednego lub drugiego kraju i przez kolejnych dwadzieścia lat nie umieli przyswoić drugiej mowy. Własną zdążyli przy tym w dużej mierze zapomnieć. Posługują się żałosnym wolapikiem i strasznie cierpią, bo nie mogą wyrazić myśli i uczuć ani w jednym, ani w drugim języku. Następstwem ciągłych kompromisów są z kolei zubożenie umysłu, utrata własnej duszy, regres i zdziecinnienie.

Kiedy myślę o sobie, muszę przyznać, że choć ogromnie się staram i zawzięcie uczę, to nawet po roku spędzonym tutaj nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nauczyłem się dobrze polskiego. Co i rusz się okazuje, że istnieje cała masa dziedzin, w których moja znajomość słownictwa jest bardzo uboga. Z punktu widzenia gramatyki mówię już niemal całkiem poprawnie, co rzecz jasna jest niemałym osiągnięciem, ale mój zasób słówek pozostawia wiele do życzenia. Przypadek Engelmayera wpędza mnie w irytację: czuję się przy nim jak słowniczek turystyczny przy encyklopedii, ciągle jednak mówi po polsku z koszmarnym akcentem, choć końcówki rodzajowe dobiera sprawnie. A przy tym mieszka tu od parunastu lat. Mnie też to czeka? Hm. Na szczęście jest jeszcze Karcsi Tar. On z kolei posługuje się piękną, poprawną gramatycznie polszczyzną, także zasób słów ma na pierwszy rzut oka spory. Gdybym miał się na kimś wzorować, to już prędzej na nim. Do tego imponuje mi, że jego syn mówi płynnie i ładnie po węgiersku. Dzieci Ákosa coś tam umieją wymamrotać, ale w zasadzie nie znają mowy ojca. A przecież po polsku nie mówi się jak u nas *anyanyelv*, „język matczyny", ale właśnie „język ojczysty", od słowa „ojciec" albo „ojczyzna". Nie pojmuję, jak do tego doszło, biorąc pod uwagę wielkie i godne podziwu przywiązanie Ákosa do narodu, jego patriotyzm. Jeśli będziemy mieć z Jolą dzieci, zamierzam z nimi rozmawiać wyłącznie po węgiersku i wzniecić w nich poczucie dwoistej tożsamości. Niech skonam, jeśli się nie uda. Powinienem raczej powiedzieć: nie mów hop, zanim nie przeskoczysz – najpierw musiałbym się przekonać, czy potrafię, a potem wymądrzać.

Wracając do rozważań nad językiem: dzisiejsza historia uświadomiła mi, że muszę regularnie czytać po węgiersku. Zszedłem do piwnicy i rozpakowałem dwa wybrane

na chybił-trafił pudła. W jednym z nich – co za szczęście! – znalazłem dzieła Jókaiego[11], w drugim poezję: Weöresa[12], Attili Józsefa[13], Petőfiego[14], Aranya[15] i innych. Tuner wieży połączyłem z wykonaną naprędce, choć całkiem profesjonalnie anteną do fal średnich, drut przeciągnąłem przez balkon, a szpulę schowałem za stosem szpargałów w pokoju, za uziemienie posłużył kaloryfer. Efekt? Odtąd nie tylko późnym wieczorem, ale też za dnia mogę sobie słuchać Kossutha, i to z przyzwoitym dźwiękiem.

Jola, widząc nowe kłęby drutu w pokoju, uśmiechnęła się szyderczo. Wyjaśniłem jej, do czego służą. Zamyśliła się na chwilę, po czym spytała z niepokojem:

– Tak szybko dopadła cię nostalgia? Przecież dopiero co się przeprowadziłeś, do tego parę razy byłeś w domu…

– Nie w tym rzecz, skarbie, po prostu staram się podtrzymywać płomień. Wiesz, jak Mickiewicz w Paryżu… – uśmiechnąłem się do niej gorzko. – Tobie też radzę zabrać się poważnie za węgierski. Zacznij się uczyć, bo inaczej nie będziesz rozumiała, o czym rozmawiam z dziećmi!

Nie udało mi się jej przestraszyć. Roześmiała się niepewnie, mówiąc, że chłopcy z pewnością przetłumaczą wszystko mamusi.

Odpowiedź wydała mi się dość chłodna. Czyżby niepokoiło ją, że kurczowo trzymam się węgierskości? A może myśli, że któregoś dnia ostatecznie znudzi mi się polska przygoda, spakuję manatki i wrócę do domu? Otóż wiedz, moja droga, że musiałoby się zdarzyć coś naprawdę wyjątkowego, żebym się na to zdecydował. Na razie nie masz powodów do obaw: przygoda nie przestała mnie ekscytować, a wraz z nią ty i twój kraj.

---

[11] Mór Jókai (1825–1904) – pisarz węgierski, poseł, redaktor wielu węgierskich gazet, członek Węgierskiej Akademii Nauk. Uhonorowany m.in. Orderem Świętego Stefana.

[12] Sándor Weöres (1913–1989) – pisarz węgierski i tłumacz literatury.

[13] Attila József (1905–1937) – poeta węgierski okresu dwudziestolecia międzywojennego. Za życia jego twórczość nie była ceniona. Zmieniło się to dopiero po samobójczej śmierci poety.

[14] Sándor Petőfi (1823–1849) – poeta węgierski epoki romantyzmu, w rewolucji węgierskiej 1848–1849 adiutant gen. Józefa Bema.

[15] János Arany (1817–1882) – poeta węgierski, autor eposu *Toldi*.

1978

7 stycznia 1978, Warszawa (imieniny Attili)

Umilam sobie święto etiudami filmowymi. Zamykam oczy i wyświetlam w myślach sceny z kina artystycznego:

Ptaki

Przepiękny zimowy krajobraz. Iglaste drzewa pokryte watą śniegu. Białe albo głęboko zielone, niemal czarne plamy, skuty lodem park. Jasnoszare niebo. Ptaki przefruwają między gałęziami. Szczebiocą.

Czyjaś ręka. Wnętrze dłoni i palce. Sypią się na nie ziarna i tworzą niewielki kopiec. Ptasie łapy. Dzioby skubiące pszenicę. Dłoń powoli się opróżnia. Po chwili jednak wypełnia się na nowo. Łapy drepczą w miejscu, dzioby walą jak wprawiona w ruch kołatka. Frrr, frrr – słychać trzepot miękkich skrzydeł. Chmara ptaków w potwornym ścisku.

Dłoń opróżnia się, a palce prostują. Pszenica się skończyła. Ptaki jednak zdają się tego nie widzieć, dziobią dalej. Ich zawzięte, bezlitośnie tępe spojrzenia przywodzą na myśl szklane oczy pluszaków. Walą coraz mocniej w pustą dłoń.

Śnieg. Rozbryzguje się na nim czerwona kropla. Potem następna. Krwawy deszcz pada coraz gęściej.

Ptasi świergot nabiera na sile. Nagle *blackout*. Ekran zasnuwa się czernią.

Koniec.

Złote oczy

Wiwatujący tłum. Nieprzebrana masa ludzi. Wszystkie oczy zwrócone do góry. Kamera podąża za ich spojrzeniem. Wielki barokowy budynek z odłażącym tynkiem, kiedyś żółto-białym. Na pierwszym piętrze okazały, brzuchaty balkon z poręczą z kutego żelaza.

Cylinder, połyskująca koszula, biała mucha, czarny frak z peleryną, białe rękawiczki, wokół szyi długi śnieżnobiały szal. Pręży się na balkonie. Miękki posąg. Za nim dwuskrzydłowe drzwi wiodące w ciemność.

Unosi rękę. Daje znak. Z cienia wynurza się dwóch lokajów w krwistoczerwonych liberiach. Niosą srebrne naczynia. Wyciągają je do niego. Zanurza w nich dłonie w rękawiczkach.

Po chwili wyciąga – gołe. Formuje z palców trąbkę i zwraca się do krzyczącego tłumu. Z jego gardła dochodzi głuchy wrzask. Z ust, jak z otworu rynny, tryska strumień złotych monet i opada wprost na głowy stojących.

Wiwaty milkną jak na komendę. W jednej chwili robi się cicho. Oniemiali ludzie wytrzeszczają oczy, otwierają szeroko usta.

Po chwili rozlega się przeciągłe „Aaaaa!" i fala zaczyna wzbierać. Widzimy z góry pełzającą, przywartą do ziemi masę, stertę ciał w przedśmiertnych konwulsjach. W chmurze oddechów pobłyskują niewyraźnie oczy ludzkie i złociaki.

On stoi na balkonie i przygląda się wszystkiemu z lekkim uśmiechem, kreśląc w powietrzu łuki wyciągniętym cylindrem. Chce coś powiedzieć, otwiera usta, ale w ogólnej wrzawie przypomina niemą rybę z rozdziawionym pyskiem.

Daje znak jednemu z lokajów. Ten wylewa nań zawartość naczynia. Ubranie topnieje. Stoi teraz nagi i bezbronny.

Tłum zbiera dalej. Monet było dużo, ale nie starczyło dla wszystkich. Niektórzy wymachują więc pięściami w stronę balkonu.

On znowu daje znać. Drugi lokaj podnosi naczynie i oblewa nagie ciało.

Tym razem rozpuszcza się mięso. Zostaje tylko fosforyzujący szkielet. Lokaje rozpływają się w ciemnościach za drzwiami balkonu.

Zgraja bezdomnych psów, szakali, kotów, szczurów i kruków urządza sobie ucztę z trupów zadeptanych ludzi.

Ich oczy świecą żółtym blaskiem. Są ze złota.

Galop

Z oczu biją snopy światła, a uśmiech to sierpniowy deszcz meteorów. A jednak człowiek truchleje od jej wężowego spojrzenia.

Galopuje na grzbiecie arabskiego ogiera, smoliście czarna grzywa bije ją po twarzy. Pędzi przez chaszcze, a gałęzie krzewów smagają ją po plecach i ramionach, ona jednak nie zwraca na to uwagi. W kącikach oczu łzy, które jedna po drugiej ulatują na wietrze. Dudnienie podkutych kopyt, tłumione trawiastym podłożem. Rozproszona końska piana wznosi się do nieba i formuje na nim białe obłoki.

Koń stoi w luźnym poprzęgu i sapie. Wydaje ciche rżenie, a następnie powoli skłania łeb ku soczyście zielonej, zroszonej trawie. Rozrywa ją zębami, chrupie zawzięcie.

Ona zbiera rosę w dłonie i obmywa twarz. Długimi palcami nawilża powieki. Dopiero teraz widzimy, że ma wschodni typ urody, oczy w kształcie migdałów.

Stoi w domu, w stroju jeździeckim. Wnętrze wiejskiej chaty, stare meble, na ścianach ryciny. Podchodzi do zmatowiałego lustra. Na umięśnionych udach i pośladkach ślady końskiego potu. Kobieta-koń, z twardymi piersiami i ciałem giętkim jak sprężyna.

Otwiera okno, okiennica rozchyla się z trzaskiem. Do środka wpadają promienie rażącego słońca, mgła z czystego złota, wiotkie pasmo światła. Słychać rżenie konia. Wyjmuje spinkę, rozpuszcza związane w kucyk długie włosy, zanurza w nich palce, potrząsa głową i wybucha perlistym, niepohamowanym śmiechem.

Otwierają się okna, czworokątne, doskonale nijakie, oprószone kurzem pory na ciele domów z wielkiej płyty. Wychylają się z nich ludzie o ciastowatych twarzach i wypatrują czegoś niespokojnie. Jak ciekawskie, przestraszone glisty z poobijanych owoców. Nasłuchują, skąd może dochodzić ten śmiech.

Obiektyw unosi się do góry, powoli, jak helikopter. Osiedle. Nic poza nim. Tutaj nawet słońce świeci szarym światłem.

Tętent koni, rżenie, śmiech. Coraz wyżej i wyżej.

Kamera zwraca się ku niebu. Jej oko zabiera nas w powietrzny rajd ponad skłębionymi chmurami.

Gubi się z nami w obłokach.

Galop, galop, galop…

Dopiero wieczorem uświadomiłem sobie, że w polskim kalendarzu nie ma mojego imienia.

30 kwietnia 1978, Warszawa

Według odczytanego w Wolnej Europie komunikatu KOR-u w mieszkaniu gdańskiego inżyniera Andrzeja Gwiazdy powstał wolny związek zawodowy. Niestety nie słuchałem dość uważnie i spośród nazwisk założycieli zdołałem zapamiętać tylko to jedno. Parenaście osób, więc właściwie można by machnąć ręką. Zdarzenie ma jednak swoją wagę, bo wyraża potrzebę autentycznej ochrony pracowników, a nie tylko podtrzymywania leninowskiego „pasa transmisyjnego". A do tego żaden z twórców związku nie należy do partii. Gdybym był bezpieczniakiem, zacząłbym się bacznie przyglądać tej grupce! Jako cichy sympatyk opozycji przyjmuję inicjatywę z oczywistym entuzjazmem. Nie bez znaczenia jest fakt, że wśród założycieli są zarówno intelektualiści, jak i robotnicy. To dobry znak, bo władzom będzie teraz trudniej napuszczać jednych na drugich. Oby tylko nowego ruchu nie zdominowali filozofujący inteligenci, bo nie wyjdzie mu to na dobre.

Wysłałem Ivánowi zaszyfrowaną wiadomość, na wypadek gdyby chciał nawiązać kontakt.

1 maja 1978, Warszawa

Paskudna jesienna pogoda. Szare niebo rozlewa się jak rtęć, a do tego wiatr, który szarpie nerwy.

Już po obudzeniu słyszałem zewsząd ujadanie szczekaczek. Rozwiesili je w Warszawie po wszystkich latarniach, jakbyśmy byli w Czechosłowacji Husáka. Wiszą więc sobie i wrzeszczą. Mają budzić entuzjazm. Sączyć nam go do uszu. Wbijać młotkiem do głów. W centrali agitpropu wybrzmiał jasny rozkaz: dziś wszyscy mają się cieszyć!

Poszliśmy na spacer. Money, z podkulonym ogonem, z uszami po sobie, trzymał się karnie nogi, nie trzeba go było przywoływać. Potrząsał łbem, jego wielkie, płaskie

uszy uderzały o siebie głośno. Biedak słyszy wszystko czterdzieści razy lepiej niż człowiek, można sobie wyobrazić, czym była ta wrzawa dla jego bębenków.

W bocznych ulicach suki milicyjne, gdzie tylko spojrzeć – kordon. Gorylowaci tajniacy w rękawiczkach. W wąskich uliczkach Starówki „wozy strażackie" wyposażone w działka wodne i zwykłe myjki drogowe MPO. Czyżby chcieli polewać demonstrantów po kostkach?

„Nauczyciele, studenci i pracownicy komunistycznej Politechniki pozdrawiają partię!" – wrzeszczały głośniki. Wysoko nad nami latały czerwone balony z napisem PZPR. Gapiłem się na nie, kręcąc szyją w tę i we w tę. W którymś momencie prawie wytrąciłem krótkofalówkę z rąk ubranego po cywilnemu szpicla. W jego spojrzeniu ujrzałem błysk zatrzaskujących się kajdanek.

– Pocałuj mnie w dupę – powiedziałem po węgiersku, uśmiechając się uprzejmie. Tania, nic nieznacząca odwaga, ale facet na chwilę stracił pewność siebie. Okazało się, że nie jest tak głupi, na jakiego wygląda.

– *Nem tudom madziarul* – wyszczerzył zęby, po czym klepnął mnie po ramieniu, zanim zdążyłem zaprotestować. – Polak, Węgier dwa bratanki!

Tym razem to ja pokiwałem głową z zakłopotaniem i dałem się ponieść ponurej masie pochodu. „Bratać to się możesz z koleżkami z UB!" – odpowiedziałem, ale w myślach.

Znaleźliśmy wyrwę w płynącym Marszałkowską, przystającym co chwilę tłumie. Uciekliśmy, odprowadzani groźnymi spojrzeniami milicjantów i zazdrosnym wzrokiem maszerujących.

Po drugiej stronie stali straganiarze. Gumowe goryle, dinozaury, wata cukrowa i inna tandeta. Wokół fornirowej budy coś w rodzaju ogródka. Okolicznościowe kiełbaski i bigos, w powietrzu unosił się ostry zapach kuchni, jak na klatce schodowej bloku. Pijaków brak – od zeszłej nocy obowiązywał zakaz spożywania alkoholu. Gdyby choć dawali ciepłe piwo, jakie na Węgrzech funduje ludziom Kádár! Nic z tego, do trzeciej po południu pełna prohibicja.

Opowiedziałem dowcip. Jola zaśmiała się głośno, nasza przyjaciółka Hanka zaczęła cicho chichotać. Trzech milicjantów zgromiło nas spojrzeniem, myśląc pewnie, że to z nich się nabijamy. Uświadomiłem sobie, że w całej tej masie ludzkiej nie dało się dostrzec choćby jednego uśmiechu. Ani na twarzach tajniaków, ani cywilów.

Znów zboczyliśmy z Marszałkowskiej i ruszyliśmy bezludną Jasną w stronę Adrii. W ciągu dnia w kawiarni klubu nocnego panuje senny spokój. Ciepła coca-cola, soki, herbata. Zamówiliśmy trzy kawy. Oczywiście „po turecku", to znaczy mieloną zalaną wrzątkiem. Napój ten ma tyle wspólnego z Turcją co ja. Poprosiliśmy też o colę. Szepnąłem do przesadnie umalowanej kelnerki:

– Dolałaby mi pani trochę koniaku? Taki jesienny ten pierwszy maja w tym roku.

Pokręciła przecząco głową i wskazała na zegarek: wpół do trzeciej. Za pół godziny może mi sprzedać legalnie, muszę poczekać.

Siedzieliśmy na wysokich stołkach barowych. Obok nas enerdowscy Niemcy szeptali coś do siebie. Przypomniało mi się austriackie małżeństwo, które spotkałem dwa

dni wcześniej na ulicy Váci w Peszcie. Stali na skrzyżowaniu ze Starą Pocztą, przed sklepem z płytami.

– Przepraszam pana, o której otwierają? – zwróciła się do mnie po niemiecku kobieta.

– *Um zehn Uhr morgens* – odpowiedziałem i dorzuciłem jeszcze pamiętane mgliście z podstawówki wyrażenie: – *Es ist zehn Minuten vor zehn Uhr.*

Kobieta, ośmielona moją niemczyzną, zaczęła świergotać. Rzecz jasna nie zrozumiałem ani słowa i przeszedłem na angielski. Okazało się, że pani mówi też w tym języku. W odróżnieniu od męża, który trochę się zasępił. Mógł mieć koło siedemdziesiątki, kobieta pięć, może dziesięć lat mniej. Zaprowadziłem ich do salonu z płytami przy placu Vörösmartyego. Po drodze wpadliśmy na grupkę Polaków, a właściwie to ja wpadłem, i to dosłownie. Potrącony turysta znad Wisły rzucił „jasną cholerą", ja zaś przeprosiłem go po polsku. Facet zdębiał, po chwili jednak uśmiechnął się do mnie serdecznie.

Twarz starego Austriaka zajaśniała.

– Ach, *Mensch*, pan mówi po polsku? – Uśmiechnął się. Po czym zalał mnie potokiem słów wypowiadanych raz po polsku, raz po niemiecku. Okazało się, że jeszcze za Habsburgów studiował na krakowskiej ASP. Od tej pory z kobietą rozmawiałem po angielsku, z nim zaś po polsku. Sprzedawca w sklepie płytowym tylko kręcił głową: ja z nim po węgiersku, do nich po angielsku i polsku, oni między sobą po niemiecku.

W oratorskim zapale umknęło mojej uwadze, że opowieść zamieniła się w czczą fanfaronadę, puste przechwałki. Na szczęście była z nami Jola!

– Kupiłeś od nich szylingi? – Sprowadziła mnie na ziemię praktycznym pytaniem.

– Nie mieli na sprzedaż – skłamałem bez mrugnięcia okiem. Prawda była taka, że nawet nie przyszło mi to do głowy, tak bardzo ciekawiły mnie wspomnienia Austriaka z cesarsko-królewskiego Krakowa. Kończąc historię, powiedziałem Hance i Joli, że małżonkowie odwiedzili wszystkie kraje byłej monarchii, w ubiegłym roku byli także w południowej Polsce, w dawnej Galicji. Ze smutkiem skonstatowali, że obie wojny światowe oszczędziły wprawdzie Kraków, ale socjalizm okazał się dla miasta mniej łaskawy. A przecież mogłoby wyglądać jak Budapeszt, przynajmniej jeśli chodzi o porządek.

– Cóż – zacytowałem Austriaków – *eine kleine polnische Wirtschaft*… Jest coś na rzeczy – dodałem, mrużąc oczy jak zadumany Kádár.

Chciałem trochę podrażnić moje towarzyszki. Niezmiernie mnie bawi, że ogromna większość Polaków – bez względu na poglądy polityczne – reaguje na wszelką krytykę swojego kraju gorzej niż Cyrano de Bergerac, zwłaszcza jeśli zabrzmi ona z ust cudzoziemca.

W Hance od razu wezbrały emocje patriotyczne.

– Wypchaj się, ty i twój wesoły barak! – odparowała. – Piwo, wino, palinka, gulasz, socjalizm z ludzką twarzą, tanioście się sprzedali komunistom!

Jola próbowała ją uciszyć, ale z marnym skutkiem. W końcu zamilkła, ona, „wyrodna" córka zasłużonego w latach pięćdziesiątych oficera. Napięta atmosfera jednak pozostała.

W takich nastrojach wyszliśmy na ulicę. Przez pasaż przy domu towarowym Sezam widać było maszerujący pochód. Olbrzymie transparenty toczyły walkę z wiatrem, wokół nich łopotał las czerwonych flag. „Młodzież z partią po wieczne czasy!"

Na tyłach hotelu Forum stały wojskowe ciężarówki okryte brezentem. Młodzieńcy od „partii" i „wiecznych czasów" wraz z innymi skręcili w Nowogrodzką. Za rogiem stos pierwszomajowych rekwizytów trafił na brudne platformy transporterów. Z czerwonego lasu zostały nagie drzewce. Niektórzy rzucali je na ziemię, ale większość próbowała trafić z odległości dziesięciu metrów pod płachtę ciężarówki. Porządkowi wrzeszczeli:

– Ustawcie się w kolejce, nie rzucać, do kurwy nędzy!

Młodzież nie pozostawała dłużna i odpowiadała podobnym językiem, miotając w najlepsze zwiniętymi flagami.

Dochodziła trzecia. Za kilka minut miała się skończyć prohibicja, więc wszystkim się spieszyło. Opustoszała ulica czerwieniła się od sztandarów rzuconych gdzie popadnie – na platformę, na jezdnię, na chodnik. Porządkowi zbierali je, przeklinając pod nosem. W końcu też zaczęli nimi rzucać jak oszczepami.

Deszcz padał, jakby chciał, a nie mógł. Wiatr z kolei dął jak szalony, podrywał w górę chmury kurzu, zapierał dech w piersi i ziębił. W bramach stali przemarznięci, znudzeni milicjanci. Pogoda nie skłaniała do wieczornych spacerów. Money musiał się więc zadowolić krótką toaletą pod blokiem.

5 maja 1978, Warszawa

Wczoraj w końcu zabrałem się za przekład Pastuszka, którego równolegle przerabiam na słuchowisko radiowe. Iván Bába[1] prosił, żebym podrzucił mu coś ciekawego z pióra współczesnych polskich „łobuzów" literatury. Andrzej Pastuszek króluje wśród najmłodszych. Jego węgierskim odpowiednikiem mógłby być chyba Miklós Munkácsi[2]. Podobne życiorysy, styl i środowisko. Na początek wybrałem sobie *Babie lato*, *Tanią jatkę* i *Łowcę gołębi*. Duża frajda!

Okazało się, że Hanka, koleżanka Joli z czasów liceum plastycznego, skądinąd zdolna malarka, poznała pisarza osobiście. Dobrze się złożyło, bo chciałem się z nim spotkać. Umówiliśmy się przez telefon i pojechaliśmy do niego w trójkę na Żoliborz.

Zdziwiłem się na widok twarzy z alkoholową puchliną. Nie rozpoznałem w niej człowieka ze skrzydełek obwoluty. Siedział skulony na przykrytym kocem tapczanie, w beżowej koszulce i spodniach od dresu. Kawał silnego faceta koło trzydziestki, dość przystojny. Na twarzy miał kilkudniowy zarost. Przy łóżku stał wielki, pomalowany na brązowo zegar

[1] Iván Bába – węgierski dyplomata, dziennikarz i tłumacz, w latach 1992–2002 członek Węgierskiego Forum Demokratycznego. Od lat dziewięćdziesiątych XX w. sprawował ważne funkcje w resorcie spraw zagranicznych, w latach 1998–2000 ambasador Węgier w Polsce i na Białorusi.

[2] Miklós Munkácsi (1941–2021) – węgierski pisarz i dziennikarz. Pracował w wielu zawodach, był m.in. robotnikiem, taksówkarzem i scenografem. Członek Węgierskiego Stowarzyszenia Pisarzy, laureat nagród dla pisarzy i scenarzystów. W języku polskim ukazały się jego książki *Bękart* i *Sęp*.

z wahadłem, antyk. Nie chodził. Wskazówki wisiały nieruchomo na wysokości szóstki rzymskiej. Tuż obok sfatygowane, poczerniałe biurko w stylu chippendale. Blat przykryty poplamionym zielonym płótnem, na nim parę zaczytanych książek. Z drugiej strony łóżka turecki, częściowo miedziany stolik z krzywymi nóżkami i dwa rozklekotane krzesła. Pod ścianą wysłużona kanapa z obłażącą tapicerką i nielakierowanym drewnianym oparciem. Do tego rzeźbiony stojak na ubrania, sterczący tam jak jakiś szkielet barokowy. Na nim sterta ubrań zwieńczona męskimi slipami. Maszyny do pisania nie widziałem.

Jola, Hanka i ja wystroiliśmy się jak stróż w Boże Ciało. Wyglądaliśmy w tym wszystkim jak mieszczanie, którzy skręcili z promenady w boczną uliczkę. Pastuszek był wprawdzie jedynym świadkiem naszego zmieszania, ale wystarczyło, byśmy się poczuli jak przybysze z innej planety. Na szczęście mieliśmy ze sobą dwie butelki dobrego wina węgierskiego, co okazało się właściwą przepustką do jego świata.

W domu nie było korkociągu. Polacy są raczej przyzwyczajeni do aluminiowej nakrętki półlitrówek albo kapsli od piwa. Pastuszek jednak nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają. Owinął dno butelki kocem, uderzył w nie kilka razy dłonią i korek zaczął się powoli wysuwać. Piliśmy z czterech rodzajów naczyń, dziewczyny dostały szklanki, każdą innej wielkości, mnie przypadła musztardówka, a gospodarz pociągał prosto z flaszki. Trzeba przyznać, że dzielił wino po bratersku, każdemu nalał mniej więcej po równo.

Powiedział nam, że za prawa do ekranizacji noweli *Kiciokaś* Anglicy zapłacili mu około piętnastu tysięcy dolarów. Kupił za nie zielonego renaulta, którego pokazał nam z okna. Dodał też ze szczerym uśmiechem, że autem jeździ od pół roku, bez prawa jazda, czasem po pijaku. W ten sposób milicja nie będzie mu miała czego odebrać, gdy go złapie.

Czytałem dwa zbiory opowiadań Pastuszka – co bym o nim nie myślał, pisze fantastycznie. Aktualnie kończy swoją pierwszą powieść. Dowiedziałem się też, że w Związku nie chcieli mi dać jego adresu ani numeru, bo jest z nimi pokłócony. Po wydaniu drugiej książki powinni go byli przyjąć na członka z automatu, ale tak się nie stało. To dlatego, że ktoś „na górze" nie uznał jego pisarstwa za wystarczająco „wychowawcze i budujące". Pokazał nam to nawet na papierze: śmieszne, żałosne uzasadnienie, pieczątka, podpis. Upewniłem się, że opinii nie sygnował Iwaszkiewicz, bo to on jest szefem Związku. Z pewnością wyręczył go jakiś sekretarz partyjny, naczelny cenzor, urzędowa szmata z tytułem akademickim. Podpis był nieczytelny. Pastuszek chciałby to sobie powiesić na ścianie, ale wiecznie zapomina oddać papier do szklarza.

– Mnie interesuje wyłącznie pierwsze miejsce – oświadczył stanowczo, wybijając korek z drugiej butelki. – Drugie mam w dupie. Jeśli już człowiek ma gdzieś należeć, to tylko do towarzystwa najlepszych. Miejsce za podium nie dla mnie.

Hanka, która już wcześniej wyznała nam, że zadurzyła się w Pastuszku od pierwszego spotkania, bez słowa uzgodnienia przedstawiła Jolę jako swoją kuzynkę. A potem konfabulowała dalej: moja żona okazała się dziewczyną ze wsi, która wpadła do Warszawy na zakupy. Ja zaś byłem dawnym kochankiem Hanki, który zawiódł się na niej, a potem ze zgryzoty zapuścił brodę, aktualnie zaś jest dla niej po prostu znajomym z Budapesztu.

Biedny Pastuszek połknął haczyk, mierzył Jolę wzrokiem i widać było, że chciał czymś zbałamucić „dziewczynę z prowincji". Jakby wstąpił w niego inny człowiek. Zaczął prężyć muskuły, skakał wokół mojej żony jak napalony kogut. Sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna. W końcu Hanka wyczuła niebezpieczeństwo i powiedziała całą prawdę. Byłem zdumiony, że Pastuszek nie uderzył jej w twarz, a nas wszystkich nie posłał do diabła. Ja bym tak zrobił na jego miejscu! Za całą dziecinadę, do tego pozbawioną sensu! Kto czytał Biblię, ten wie, że za takie wygłupy można słono zapłacić.

Ostatecznie ustaliliśmy, że Węgierskie Radio zgłosi w urzędzie praw autorskich wykorzystanie utworów Pastuszka, a on prędzej czy później dostanie jakieś honorarium z tytułu rozliczeń między państwami. Poprosił mnie też, żebym spisał wszystkie wyrażenia gwary więziennej i podmiejskiej, których nie rozumiem, a on mi z tym pomoże. Niestety natrafiłem w jego opowiadaniach na zwroty, których moi znajomi nie byli w stanie objaśnić.

Jola z Hanką pękały ze śmiechu, gdy toczyliśmy z Pastuszkiem dyskusję nad słowem „cwel". To odpowiednik węgierskiego wyrazu *köcsög*, tyle że nie w znaczeniu „dzbanek", ale innym! Ot, element żargonu polskiego. Zdaniem pisarza rzeczownik ten wywodzi się od czasownika „cwałować". Jeździec bowiem najlepiej zgrywa się z koniem, gdy kołysze biodrami, jakby wykonywał ruchy frykcyjne. Tak wyłożył mi to Andrzej, nie wiem, czy miał rację, ale że w słowniku polsko-węgierskim hasło nie występuje, musiałem uwierzyć mu na słowo. On z kolei zaśmiewał się do rozpuku, gdy wyjaśniałem podstawowe znaczenie węgierskiego odpowiednika „cwela" – naczynie przeznaczone głównie do przechowywania mleka.

Moja żona bywa pomocna w takich sytuacjach, nie dotyczy to jednak nazw drzew, krzewów, ryb, ptaków i zwierząt leśnych. Jest mieszczuchem z krwi i kości, wychowanym na warszawskim betonie i w odróżnieniu od młodszej siostry Małgosi nie spędzała wakacji na wsi, nie jeździła na obozy harcerskie, na przyrodzie więc zna się dość kiepsko. Parę dni temu spacerowaliśmy w parku, a ja nie mogłem sobie przypomnieć, jak się po polsku mówi *csóka*. Pokazałem palcem skubiącego w trawie ptaszka i zapytałem Jolę, swój „podręczny słownik", jak się nazywa to stworzenie. Odpowiedziała, że wrona.

– Nie, skarbie, to nie jest wrona…

Z wielkim wysiłkiem udało nam się ustalić, że to kawka. Całe szczęście, że jeżdżę czasem z Piotrkiem Waślickim na polowania, bo w mniemaniu mojej żony istnieje tylko jeden gatunek kaczki – kaczka. Krzyżówka, grążyca, mandarynka – wszystkie te ptaki Jola określa jednym słowem. Kiedy dzielę się z nią wrażeniami z łowów, wplatając w opowieść nowo zasłyszane nazwy, często kiwa głową z uznaniem, doceniając mnie za bogactwo języka.

Pastuszek doradził mi jeszcze, żebym się trochę „pobratał z ludem" i w ten sposób poduczył się polskiego. Polecił od razu jedno miejsce, węglarską knajpę przy Brzeskiej na Pradze, niedaleko bazaru Różyckiego. No ładnie, wygląda mi to na warszawski *nyócker*, ósmą dzielnicę Budapesztu, okolice placu Telekiego! Facet dorzucił na pociechę,

że być może raz czy dwa spuszczą mi manto za frajerstwo, ale jeśli będę wytrwały, prędzej czy później przyjmą mnie jak swojaka.

Cóż, muszę się z tym przespać, przemyśleć całą sprawę.

7 maja 1978, Warszawa

Święto! W dzisiejszym wydaniu tygodnika katolicko-społecznego „Kierunki" ukazało się moje opowiadanie *Upalny letni dzień* w świetnym tłumaczeniu studentki ostatniego roku hungarystyki Teresy Worowskiej. Polecił mi ją Jakubiuk i jak widać po efektach – nie bez powodu. Osobne podziękowania należą się redaktorowi Teyszerskiemu, który zachęcił Teresę do podjęcia się przekładu, choć nie było pewności, czy tekst w ogóle wyjdzie. Zagraliśmy *va banque*: jeśli się ukaże, dostaniemy honorarium, jeśli nie – nie. I proszę, udało się! Więcej, redaktor działu literackiego Umiński poinformował mnie dzisiaj telefonicznie, że chętnie zamówiłby artykuł o młodych pisarzach węgierskich w objętości dziesięć–piętnaście stron.

Jak łatwo się domyślić, skaczę do nieba ze szczęścia!

17 maja 1978, Poznań

O dwunastej w południe na wieży renesansowego ratusza para koziołków tryka się złotymi rogami. Dwanaście razy łeb uderza o łeb, tyle co dzwon zegara. Mechanizm skonstruował w 1551 roku niejaki Bartłomiej Wolf z pobliskiego Gubina. (Jak dobrze wiodło się w tym czasie tutejszym ludziom! My, Węgrzy, umacnialiśmy właśnie mury Temeszwaru, Lipowej i Egeru, szykując się na kolejne natarcie Turków). Jak głosi miejscowa legenda, mistrz pragnął z należytą pompą pokazać działanie zegara panom rajcom i wojewodzie poznańskiemu. Urządził więc stosowne „przyjęcie", którego głównym punktem miała być pieczeń z sarniego udźca. Kucharz jednak zapamiętał się w amorach z jakąś niewiastą, a mięso spłonęło na węgiel. Wybiegł jak poparzony na rynek i nabył od handlarza dwoje młodych koźląt. Tyle tylko, że stworzenia wymknęły mu się z rąk i wbiegły na wieżę ratusza, gdzie – Bóg raczy wiedzieć czemu – zaczęły się bóść rogami. Wybiło południe. Kucharzowi wybaczono lekkomyślność, a pan wojewoda tak bardzo zachwycił się koźlimi figlami, że kazał upamiętnić to wydarzenie na nowym zegarze.

„Witaj Maryjo, Królowo Polski" – taki napis, białymi literami na niebieskim tle, wisi na jednym z balkonów. Całe miasto pełne jest podobnych transparentów, kościelnych chorągiewek i flag w biało-czerwonych barwach. W wielu miejscach wystawia się obrazy Czarnej Madonny z Częstochowy w złotych ramach, przystrojone kwiatami, niekiedy też naszyjnikiem z żarówek. Nad głównym wejściem do kościoła Świętego Marcina świeci biała, potrójnie zwieńczona korona, a wokół różaniec z elektrycznych świec. Łańcuch płonących rubinów. W oknach i na poręczach balkonów drogie dywany, wzdłuż całej ulicy. Wyglądają jak wiszące kazalnice. A do tego powódź kwiatów,

udrapowane zasłony, wypucowane bramy domów. I pomyśleć, że do Zielonych Świątek jeszcze tydzień.

• • •

W niedzielę niemal spóźniłem się na pociąg. Siedziałem w poczekalni na Dworcu Centralnym, zanurzony w podręczniku do angielskiego, gdy z głośnika zapowiedziano odjazd pośpiesznego do Poznania. Miałem minutę, żeby się zebrać, odczytać z przeskakujących na tablicy czarnych prostokątów numer peronu i toru, a potem lecieć na złamanie karku. Ledwie zdążyłem wskoczyć do ostatniego wagonu i pociąg ruszył.

Musiałem przetarabanić się przez pół składu, zanim dotarłem do swojego miejsca. Nie było zbyt wielu pasażerów, przedział dzieliła ze mną tylko atrakcyjna trzydziestolatka o włosach w kolorze tycjanowskiej czerwieni. Przywitałem się, a ona odpowiedziała mi tym samym. Spojrzała na mnie znad otwartego „Przekroju" (coś jak nasz „Képes Újság"), a potem przestałem dla niej istnieć. Usiadłem, obłożyłem się stosem podręczników i słowników i zacząłem na nowo zgłębiać tajemnice *Oxford Grammar* w przerwanym wcześniej miejscu. Nauka szła opornie, bo bardziej niż dżungla gramatyki angielskiej zajmowała mnie siedząca obok rudowłosa piękność. Pod bluzką w kolorze khaki skrywały się zachwycające melony, skóra na szyi i dekolcie była tak cudownie aksamitna, że aż ciekła mi ślinka. Zerkałem na nią co chwilę, próbując złapać jej spojrzenie. W pewnej chwili wyszła z przedziału – najpewniej do toalety – a gdy wróciła, widać było, że poprawiła makijaż i fryzurę. Wstawała parę razy, obracała się i kręciła po wagonie, ja zaś mogłem przyjrzeć się jej na tyle, by stwierdzić, że kobieta ma świetną figurę, kształtną pupę i posągowo zgrabne nogi.

Rozluźniona, przeciągnęła się i umościła wygodniej na siedzeniu, po czym wyjęła papierosa. Zawahała się na chwilę, obracała go w dłoni i ugniatała – Boże, ile bym dał, żeby i mnie dotykała w ten sposób palcami! – a następnie zaczęła niecierpliwie szukać w przepastnej torebce zapałek. Udawałem zajętego lekturą, równocześnie jednak spoglądałem na nią ukradkiem. Kiedy wreszcie znalazła pożądany przedmiot, w mgnieniu oka wyciągnąłem w jej stronę schowaną od dłuższego czasu w dłoni zapalniczkę.

W jej mahoniowych oczach pojawił się cień emocji.

– Dziękuję. – Przyjęła ode mnie ogień.

Pomyślałem, że właśnie szykuje się, by powiedzieć: „W końcu, ty mały draniu!". Najchętniej spojrzałbym na nią tak, jak patrzy byk rozpłodowy, powstrzymałem się jednak i zapytałem cicho, czy zna dobrze Poznań i mogłaby mi polecić niedrogi, sekretny hotelik.

– Sekretny…? – wyszczerzyła białe zęby i zrobiła minę, jakbym pytał ją o adres burdelu.

– Pani nie jest z Poznania? – Przybrałem poważny wyraz twarzy.

– Jestem – odparła, kiwając głową w przód i w tył jak ostrożnie stąpający gołąb. Długa palisada drzew za oknem urwała się nagle i przez okno wpadły promienie porannego słońca. Na cudownej szyi kobiety zapłonął czerwonawy meszek. Wprawna ręka i usta mogłyby w tym miejscu wygrywać symfonie jak na klawiaturze.

– Wiedziałem! – Oparłem się wygodnie. – Bije to z pani…

Zamurowało ją.

– Skąd pan to wiedział?

– Błagam… Wystarczy na panią spojrzeć!

Odruchowo przejechała wzrokiem po ubraniu i swoich rzeczach.

– Tak, tak! – ciągnąłem. – Jest pani schludna jak z żurnala. Do tego gazeta, którą pani czyta, jest gładka, niepogięta. Także w torebce był porządek, zanim nie zaczęła pani szukać zapalniczki… Do tego to czasopismo niemieckie schowane pod „Przekrojem"… Proszę mi powiedzieć, czy jest w tym kraju równie czyste i porządne miasto jak Poznań?

Zarumieniła się, słuchając moich pochwał.

– Prawdziwy Sherlock Holmes! – Potrząsnęła burzą czerwonych włosów i zanurzyła w nich palce. – Pan z kolei jest Polakiem z zagranicy, prawda? – dodała tryumfalnie. – Słyszę po akcencie! Gdzie się pan urodził, bo chyba nie w kraju?

– Proszę sobie wyobrazić, że jestem Węgrem. Ale to miłe, że uznała mnie pani za Polaka, nawet jeśli nie miejscowego – uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Zapytała, dlaczego jadę do Poznania. Powiedziałem, że mam coś do załatwienia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, na anglistyce. Ponieważ nie drążyła tematu, zmilczałem, że wybieram się na egzamin wstępny, a nie w celach badawczych albo jako wykładowca. Wstydziłem się powiedzieć prawdę, w końcu mam dwadzieścia osiem lat.

– To jak, poleci mi pani jakąś bazę? – wróciłem do początku rozmowy. – Chciałbym uniknąć przykrych niespodzianek.

– Ale pan niecierpliwy!

Sięgnęła do torebki i wyjęła notes.

– Niech pan pisze: Henryk Klaus, ulica Norwida 15 – podyktowała adres, a potem upewniła się jeszcze: – Zanotował pan?

– Tak. Bardzo dziękuję za pomoc! – Spojrzałem na nią. – To pani znajomy? Wynajmuje pokoje? Można mu zaufać?

Wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się do sunącego krajobrazu. Była tajemnicza jak tani, mały hotelik. Niewiarygodne, ile kryło się w niej postaci: mieszczanka, kobieta mimoza, córka dozorcy. Byłem zafascynowany!

– Powiedział pan, że słyszał o poznaniakach same dobre rzeczy. Niech więc pan polega na tej opinii. – Zapięła z powrotem torebkę, pośliniła palec i ukradkiem wygładziła nim brwi.

– Jestem dozgonnie wdzięczny. Czy mogę panią na coś zaprosić?

Nie miałem pojęcia, czy w pociągu jest wagon restauracyjny, nie widziałem go wprawdzie, ale mógł być w dalszej części składu. Jeśli nie, zawsze mogłem zaoferować jej coś w Poznaniu.

Puściłem ją przodem, by móc podziwiać zjawiskowe pośladki. Przeparadowała trzema wagonami, a w czwartym – wiedziałem! – znajdował się wars. Unosił się w nim kwaśny zapach piwa i tytoniu, a także – o dziwo! – delikatny aromat kawy. Jakiś facet

poprosił bufetowego o wrzątek. W ręku dzierżył plastikowy kubek, a w nim granulki nescafé. Woda kosztowała go pięć złotych. Trzeba przyznać, że liczyli sobie dość drogo.

– Poproszę kawę – powiedziałem z przekąsem. – Jeśli można, to nawet dwie.

Bufetowy łypnął na mnie ponuro.

– Widzi pan, że nie ma! Tamten pan przyniósł swoją.

– W takim razie koniak – przekomarzałem się dalej.

Facet przetarł ladę szarą, sfatygowaną ścierką – w wojsku nazywaliśmy takie szmaty „foczkami", większe służyły do mycia podłogi. „Nawet nie marz!" – mówiły jego orzechowe, metyskie oczy.

– Jest piwo. Królewskie – uciął dyskusję. – Tylko piwo. I polo-cockta.

Chodziło mu o spolszczoną na socjalistyczną modłę odmianę coca-coli, brunatny, lepki i podobny do zużytego oleju napój, który jakiś lepszy wariat postanowił nasycać gazem. Sama nazwa jest dość zabawna: to tak, jakby ktoś na Węgrzech ochrzcił tego typu ersatz mianem „hungacola".

Zwróciłem się do pani Tycjanowej z gorzkim uśmiechem.

– Próbowałem.

– Ale przecież – zaszczebiotała, robiąc wielkie oczy – obiecał pan, że mnie zaprosi. Czegoś chyba można się napić…

W tej samej chwili – ajaj! – wymienili z kelnerem porozumiewawcze spojrzenie. Czyżby obudził się w nich patriotyzm? Przyjechał do nas nadęty bubek, wybrzydza i drwi – niech sobie jedzie na Zachód i zamawia kawę, koniak, co tylko zechce.

– A to piwo chociaż zimne? – mruknąłem zrezygnowany.

Facet spojrzał na mnie jak człowiek na karalucha, którego rozdeptał butem, a robak ośmielił się przeżyć.

– Odważny z pana człowiek – ciągnąłem uparcie. – W takiej duchocie podawać ciepłe piwo!?

Ciepnął szarą, lepką „fokę" do zlewu, wytatuowane łapy otarł fartuchem i na chybił trafił wyciągnął ze skrzynki dwie lekko zakurzone flaszki.

– Jest chłodne – skłamał bez mrugnięcia okiem. – Dwadzieścia cztery złote.

Wysypałem na kontuar drobniaki. Zaczął ze złością łapać toczące się monety. Moja ruda piękność usiadła tymczasem tyłem do nas przy najbliższym stoliku z blaszanym blatem, jej pośladki przybrały kształt foremnej gruszki na czerwonym skajowym stołku. Wyglądało na to, że wstydziło ją trochę moje awanturnicze zachowanie.

– Wiem, że w gruncie rzeczy poczciwy z pana człowiek – pożegnałem się ciepło z kelnerem. Nie wyglądał na wzruszonego. Raczej na kogoś, kto z chęcią rzuciłby mi się do gardła. „Pieprzeni cudzoziemcy!" – zdawał się mówić za moimi plecami, gdy stawiałem piwo przed panią Tycjanową.

Było letnie, trochę zwietrzałe, ale niczego innego nie dawali. Oprócz polo-cockty, polskiego ersatzu coli.

• • •

„Palenie wzbronione" – przeczytałem na drzwiach. Już sam fakt, że po wejściu do kawiarni nie poczułem aromatu kawy, wydał mi się dziwny. Czyżby tu też nie parzyli małej czarnej?

Ludzie siedzieli przy trzech stolikach, otoczeni bielą secesyjnych dekoracji. Ściany były pokryte tapetą, czymś na kształt gobelinu, która przypomniała mi okładziny w mieszkaniu babci. Panowała tu cisza, słychać było tylko stukanie łyżeczek o dno filiżanki, poza tym miękka, martwa cisza. Jak na filmie, do którego nie zdążono podłożyć dźwięku. Atmosfera kasyna dla eleganckich panów z epoki *fin de siècle* albo wytwornej krytej werandy burdelu, z rozproszonym, mgliście opalizującym światłem. W takim miejscu człowiek spodziewa się zobaczyć siedzącą w półmroku Majmunkę, a na jej kolanach siwiejącą głowę Sindbada[3].

W końcu poczułem zapach kawy. Tyle że nie mogłem zapalić. „Kawa bez papierosa to jak bzykanie bez pocałunku" – usłyszałem w głowie ciepły baryton ojca. Ale kiedy to było? Przeszłe i przyszłe wydarzenia współistnieją jak w świecie Indian Hopi, wszystko dzieje się w tej samej chwili, nie ma wczoraj, dziś i jutro, a jedynie nałożone na siebie slajdy. Gdzieś z dołu odzywa się głos. Zwiniętą w grzebień dłonią odgarnia falujące zalotnie włosy. Szczerzy złote zęby. Śmieje się. „Synu…" – słyszę i czuję każdy odcień, każdy ton jego głosu. „Kto pensyjkę stałą ma, temu w duszy humor gra" – nucił przy goleniu, ja zaś przyłapałem go, jak przenikał spojrzeniem lustro. Widział jego drugą stronę.

Przeżywam alternatywny scenariusz życia ojca, pięćdziesiąt lat później. Bez jakiegokolwiek związku z historią. Pomyśleć, że gdyby odnalazł zaginioną w czasie bombardowania Grazu polską miłość, Wandę, byłbym dziś w połowie Polakiem. A on zapewne mieszkałby tutaj. Bardzo szanował Polaków, uważał ich za jeden z najodważniejszych narodów. Zaraz po indyjskich Gurkhach. Bo tylko te dwie nacje szły prosto w ogień niemiecki pod Monte Cassino. Bez ich pomocy alianci po dziś dzień siedzieliby zabunkrowani u podnóża klasztoru. Żeby było ciekawiej, z Wandą rozmawiali głównie po niemiecku. Dwie setki polskich słów, których się od niej nauczył, przekazał potem mnie, przed moją pierwszą podróżą autostopem po kraju nadwiślańskim. Znał tak fundamentalne zwroty, jak „kocham cię", „masz piękne oczy", „całuję rączki panienki". Często czuję, że śledzi moje poczynania. I wtrąca się, gdy robię coś nie tak, jakby sobie życzył. Powoli zaczynam się go uczyć, choć umarł, zanim zdążyliśmy się dobrze poznać. Ledwo przekroczył pięćdziesiątkę, a ja dziewiętnastkę. Przydałoby się nam co najmniej kolejnych dziesięć lat na męskie rozmowy.

Z ostatnim łykiem kawy na języku opuściłem „kasyno". Po wyjściu od razu zapaliłem papierosa, żeby dym zdążył się wymieszać z tą odrobinką. Zrobiłem koło wokół rynku. Za pięć dwunasta przystanąłem, by zaczekać na koziołki.

---

[3] Majmunka to postać z opowiadań Gyuli Krúdyego, wdowa, którą odwiedza Sindbad, *alter ego* pisarza. Relacja łącząca bohaterów została uwieczniona także w filmie *Sindbad* Zoltána Huszárika z 1971 r., w którym w role postaci wcielili się sławni węgierscy aktorzy – Margit Dayka i Zoltán Latinovits (przyp. tłum.).

· 1978 ·

• • •

Nieotynkowany, sześciopiętrowy nowy blok przy Norwida 15. Mieszkanie 53 znajdowało się na czwartym piętrze. W labiryncie wilgotnego, pachnącego wapnem parteru szukałem windy. Po przeciwnej stronie ciemnego korytarza bez okien świecił się guzik. Z sufitu zamiast lamp zwisały na drucie same oprawki, w żadnej z nich nie było żarówki. Chłopiec o niewidocznej twarzy odbijał między ścianami piłkę. Biedne dziecko miało wielką, rozdętą głowę, oczy człowieka z zespołem Downa, rzadkie włosy, strzyżone od linijki, powiewały w przeciągu jak kępka trawy.

Na czwartym piętrze uchylone drzwi. Ktoś wyglądał przez judasza. Patrzył, do kogo idę.

Drzwi otworzyła pani Tycjanowa. Poczułem od razu zapach świeżo umytego ciała.

– Gratuluję! – Wszedłem do środka. – Udał się pani żart! Dobrze, że zaufałem intuicji i kupiłem kwiaty.

Przyjęła je ode mnie z uśmiechem, podziękowała. Wyjrzała na korytarz.

– A bagaż?

– Zostawiłem w akademiku – zełgałem, bo naprawdę skorzystałem z przechowalni. – Wsiadła pani tak szybko do taksówki, sam nie wiem…

Gdyby tylko mogła, od razu zmyłaby z siebie cały zapach. I słusznie. Hm, czyżbym stracił chęć do przygód? Starzeję się, a może stałem się ostrożny?

– Chce się pan napić prawdziwej kawy? – zapytała szybko i pobiegła do kuchni. – Mam węgierski czajniczek!… Kotiogo czy jak się to wymawia.

Oczywiście, że miałem ochotę na kawę.

Weszła do salonu. Mieszkanie miało trzy pokoje, tylko w połowie umeblowane, widać, że się wprowadzili niedawno. Kolorowy telewizor, brązowy segment, duże, porządne głośniki, w rogu oryginalna wieża Grundig na firmowym stojaku. Żółto-czarna wykładzina, modne fotele typu Kon-Tiki, wygodne, konstrukcją przypominające leżaki. My też niedawno sprawiliśmy sobie takie z Jolą. Można na nich robić to i owo… W całym pokoju sporo zachodnich albo kupionych w peweksie drobiazgów. Małżonek zapewne jeździ na saksy.

Do pokoju weszła jasnowłosa dziewczynka, na oko czteroletnia, ze łzami w oczach.

– Cześć! Jak ci na imię?

Odpowiedziała mi pełnym wyrzutu spojrzeniem. Nie pociągała nosem, nie chlipała. Jedynie z niebieskich oczu spływały, jedna za drugą, obfite łzy.

– No… Nie bój się, wypiję tylko kawę i już mnie nie ma – próbowałem ją pocieszać. Wyciągnąłem w jej stronę rękę jak do psa, któremu dajemy się najpierw obwąchać, nim zaczniemy go głaskać. Stała nieruchomo. Nie cofnęła się, ale też nie zbliżyła, spojrzała jednak na mnie z taką głęboką odrazą, że zamarłem jak słup soli.

– Mamaaaa… – zakwiliła cicho – znów nie pójdziesz ze mną na plac zabaw, bo przyszedł pan? Daj mi pograć z Wojtkiem w klatce…

Tycjanowa przyniosła kawę. Obok postawiła ciastka. I popielniczkę. Do tego brandy w pękatych kieliszkach. Nachyliła się nad stołem w moją stronę. Był niski. Boże,

w tym głębokim rowku między piersiami mogłaby ukryć nie tylko naperfumowany miłosny liścik, ale cały królewski dekret! *Agent provocateur*!

– Niech pan skosztuje! Prawdziwa niemiecka kawa z węgierskiego czajniczka. – Po czym zwróciła się do córeczki: – Dobrze, Liluś, możesz iść, ale tylko na klatkę albo podwórko, na ulicę nie wolno wam wychodzić, jasne? Na plac zabaw pójdziemy później.

Biedne dziecko. Ominęły ją huśtawki, bo matka zadaje się z nieznajomym. Tak czy owak, zostaliśmy sami. Siedzieliśmy w absolutnej ciszy, naprzeciw siebie. Niewątpliwą zaletą foteli Kon-Tiki jest to, że żadna, nawet najlepiej wychowana kobieta, nie potrafi usiąść w nich tak, by nie odsłonić przynajmniej połowy uda. A osoba siedząca *en face* widzi nawet więcej. Zapaliłem i rozkoszowałem się tak długo wyczekiwanym połączeniem kawy i papierosa. Także gospodyni zaciągała się powoli.

– Gniewa się pani na mnie? – zapytałem, by przełamać ciszę. – Proszę zrozumieć, dała mi pani adres i nazwisko mężczyzny. Nie miałem pojęcia, gdzie to jest, nie znam miasta. Czy na moim miejscu pojechałaby pani do nieznanego domu z bagażem? Przyznaję, że się zastanawiałem, czy przywieźć swoje rzeczy, ale potem przyszło mi do głowy, że to może jednak pani adres. Od razu kupiłem kwiaty. Najwyżej bym je wyrzucił. Wypadłoby niezręcznie, gdybym przyszedł z walizką i bukietem jak ktoś, kto jest pewny swego, czy nie?

– Widzę, że nie lubi pan ryzykować – bąknęła gospodyni z wyraźnym szyderstwem w głosie. – Pomyślał pan, że adres może być mój, ale bał się przyjść z walizką i kwiatami, bo gdybym wyrzuciła pana za drzwi, to byłoby poniżające. A teraz oczekuje pan ode mnie jednoznacznego zaproszenia, tak?

– Zgadza się. Jest popołudnie. Jeśli mam tu zostać, muszę pojechać po rzeczy. Nim wrócę, zdąży pani zabrać córkę na plac zabaw. Który pokój jest przeznaczony dla gości?

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Za kogo pan mnie uważa?

– Za kogo? – powiedziałem cicho. – Za piękną, zjawiskową kobietę o naturalnych rudych włosach, która najpierw droczyła się ze mną, a potem zwabiła do mieszkania, żebym do końca stracił rozum. I która…

Przerwała mi ostrym spojrzeniem.

– Nie jestem dziwką – oświadczyła sucho. – Pomyślałam tylko, że skoro pojawił się na horyzoncie ciekawy cudzoziemiec, mogę mu zaproponować nocleg, jeśli nie znajdzie innego. I żeby była jasność: nie przyjęłabym za to grosza. Ale pan, jak sądzę, miał zaklepany pokój w akademiku już wówczas, gdy dawałam adres. A potem przyszedł tu do mnie jak do jakiejś *call girl*…

– Dlaczego w takim razie była pani zawiedziona, gdy przyszedłem tylko z kwiatami? Wolała mnie pani odesłać z walizką?

Stało się dla mnie jasne, że z przygody nici. Nie miałem pojęcia, czego właściwie oczekiwała. Postanowiłem zagrać w otwarte karty.

– Dobrze, załóżmy, że zjawiłbym się tu w dobrej wierze z bagażem. Położyłbym się spać, a w nocy usłyszał odgłos klucza, którym pani mąż otwiera drzwi. Co by mu

pani, do licha, powiedziała? Nie ma takiego mężczyzny, który uwierzyłby, że żona ot tak, za piękne oczy i ze szlachetnych pobudek, zaoferowała nocleg facetowi.

Paliłem jednego papierosa za drugim, chętnie popiłbym kawą, ale się skończyła. Tycjanowa kuliła się bezradnie w fotelu. Jeszcze trochę i zapadłaby się w niego całkowicie.

– Dobrze. – Wstałem. – Stwierdziła pani przed chwilą, że nie lubię ryzykować. Ale dla mnie cała historia nie wygląda na zbyt ryzykowną. Spotkałem oszałamiającą kobietę, która dała mi namiary na nocleg. Flirtowała ze mną, więc postanowiłem kupić kwiaty i przekonać się, co z tego wyjdzie.

– A pan by najchętniej od razu przeszedł do rzeczy, tak?! – wybuchnęła. – Dobrze, że nie rzucił się pan na mnie jeszcze w progu! I to spojrzenie, pożerał mnie pan wzrokiem, zanim zdążył wejść do pokoju!

– Nie przeczę, jest co pożerać! – Poprawiłem marynarkę. – Czekała pani na mnie świeżo wykąpana, prawda? A potem odsłoniła dekolt, o którym będę śnić do końca życia. Wystawiła swoje piękne nogi w fotelu. Dla mnie to jak zaproszenie na bal. Szkopuł w tym, że pani się waha, czy chce w ogóle tańczyć. A mnie czeka jutro ciężki dzień. Chciałem się trochę rozluźnić, zrelaksować, miałem na myśli czysty, prosty, prozaiczny seks. A w pani jest tyle napięcia, że aż strach dotknąć, bo człowieka mógłby porazić prąd. Niech się pani nie gniewa, ale naprawdę nie chce mi się bawić w kotka i myszkę do rana. Dziękuję za kawę. Była nadzwyczajna. A na przyszłość proszę nie dawać adresu różnym „ciekawym" przyjezdnym. Może się zdarzyć, że ktoś naprawdę rzuci się na panią od progu.

Najwyraźniej nie oczekiwała tak kategorycznej odpowiedzi. Chyba nie mogła uwierzyć, że po prostu wstanę i wyjdę.

– Nie mam w zwyczaju zdradzać męża na prawo i lewo! – wyrzuciła z siebie szczerze. Drżącą ręką zgasiła papierosa. Zerwała się z fotela, spojrzała na mnie i syknęła dumnie. W jej oczach zobaczyłem iskry, piękne, rude włosy przypominały płomień. – Proszę mnie posłuchać! Pójdziemy z Lilusią na plac zabaw, pan pojedzie po rzeczy, kupi coś do picia, wieczorem położymy dziecko spać, a potem wszystko omówimy na spokojnie, dobrze?

„Niech jej będzie" – pomyślałem i schyliłem się, by pocałować ją w rękę. Była wilgotna z podekscytowania.

– Znamy się już pół dnia. Może czas się sobie przedstawić: Attila.

Zamarłem, słysząc, jak mówi:

– Wanda.

• • •

Włóczyłem się po Starym Mieście. Odwiedziłem trzy antykwariaty, szukając jakiejś literatury związanej z Węgrami. W końcu kupiłem za parę groszy starą pocztówkę wojskową z czasów pierwszej wojny światowej, z widokiem Przemyśla, wtedy jeszcze części Galicji. Adres wypisano na niej pismem gotyckim, została wysłana do Posen, na drugiej

stronie czyjeś piękne, kaligraficzne pismo czarnym atramentem. Niestety nie udało mi się odszyfrować choćby słowa. Jedynie podpis: Wojtek. Polskie imię. Data pieczęci pocztowej: 2 października 1914. Mój dziadek przebywał tam w tym czasie, zadekowany w najnowocześniej wówczas twierdzy w Europie. On też wysyłał do domu podobne kartki, tyle że po węgiersku. Poznaniak, który nadał pocztówkę, mógł być jego towarzyszem broni. Ballada o ludziach, narodach i losach zawarta na jednej małej kartce pocztowej. Bezcenna rzecz, nawet jeśli nie rozumiem słów napisanych przez nadawcę.

Było dość wcześnie, środek popołudnia, naszła mnie ochota na kieliszek wina. Nie musiałem długo szukać, z szyldu lokalu opodal antykwariatu spoglądał na mnie Bachus. Podobał mi się, bo namalowano go w stylu straganowych dekoracji, nieforemnego, ociężałego pijaka z szelmostwem wypisanym na twarzy. Szyld nie kłamał: w środku unosił się zapach wina, kawy, tytoniu, brakowało miejsc, a proste meble sosnowe były już porządnie wytarte przez gości knajpy. Przytulny lokalik.

Po chwili siedziałem nad lampką preferido i szklanką wody sodowej. Obok mnie spoczywał bagaż, kupiłem też wódkę i wino – nie byłem pewien, na co będzie mieć ochotę Wanda. Jeśli w ogóle będzie mieć chęć na cokolwiek. Jeśli do niej pójdę. Nie podjąłem jeszcze decyzji. W hotelu Mercury mieli wolne pokoje, nie za drogie. Z braku innego zajęcia zacząłem przeglądać notatki i zamówiłem kolejny kieliszek.

– *Entschuldigen Sie, mein Herr*, czy mogę się dosiąść?

Podniosłem wzrok. Pochylał się nade mną zasuszony staruszek z drucianym cwikierem na nosie, okular przymocowany był do sznurka, by można go było zawiesić na szyi. Wcześniej widziałem takie rzeczy tylko w filmach i na targach staroci. Rozejrzałem się wokoło – nie było wolnych stolików. Pokiwałem głową do mężczyzny, pozwoliłem, by się przysiadł.

Na jego chudych ramionach wisiała sfatygowana, ale czysta, prążkowana marynarka, na kołnierzu skórzany emblemat w kształcie liścia dębu, także guziki pokryte były skórą. Pod spodem znoszona brązowa kamizelka, cieniutka koszula w kratę i ciemnozielony krawat związany w mały węzeł. Mężczyzna miał orli nos, twarz pokrytą zmarszczkami, ale porządnie ogoloną, do tego szare, żywe, wilgotnawe oczy. Poznaniak z dziada pradziada, nie musiałem nawet pytać. Byłem elegancko ubrany na jutrzejszy egzamin, niczego innego nie przywiozłem ze sobą, tylko bieliznę na zmianę, koszulę i skarpety. Wyróżniałem się wśród gości jak pan młody na weselu, w istocie nie pasowałem do miejscowego towarzystwa. Dlatego właśnie zwrócił się do mnie po niemiecku. Jeśli bowiem w tygodniu zabłądzi tu jakiś elegant, przeważnie jest to Niemiec, którego przywiodła nostalgia albo interesy.

– Nie ma się czego wstydzić – zapewnił, a ja ujrzałem w nim przybyłego z zaświatów dziadka. Okazało się, że mężczyzna jest synem poznańskiego Niemca Gruchmanna. Zapytał, czy aby nie uważam wszystkich Fryców za nazistów, faszystów i łajdaków.

– Nie, nie uważam – uspokoiłem go i dodałem na potwierdzenie, że też jestem ćwierć krwi Szwabem. Dziadek ze strony ojca w 1914 zmadziaryzował nazwisko i ze Springenzeissa stał się Szalaim.

– O! – Mojemu towarzyszowi zapaliły się oczy. – A co to za nazwisko Szalai?

– Węgierskie – odparłem. – Proszę nie pytać, dlaczego takie wybrał, bo nie wiem.

– Węgierskie? – Ożywił się, usiadł wygodniej na krześle i nachylił się nad stołem. – A na jakim froncie walczył w czasie pierwszej wojny światowej? Wie pan, ja mam już osiemdziesiąt cztery lata, kiedy miałem dwadzieścia, powołano mnie do armii cesarza Wilhelma. Trafiłem do ósmego korpusu w Prusach Wschodnich, do „czarnego huzara" Mackensena[4]. Zostałem ranny pod Tannenbergiem na Mazurach, gdzie pobiliśmy Ruskich. Po rekonwalescencji, w 1915 roku walczyłem jeszcze pod Gorlicami, w czerwcu odbiliśmy Przemyśl. A potem przeszedłem Serbię, Bałkany, wzięliśmy odwet na tych zdrajcach Rumunach. W 1918 planowaliśmy bronić waszego Siebenbürgu[5], ale nas stamtąd odkomenderowano. Podobno na prośbę rządu węgierskiego. Ach, jakie tam były krajobrazy, jacy mili ludzie! Seklerenvolk[6]! Twardy naród, to trzeba im oddać!

Słuchałem oniemiały. Mój rozmówca zabrał mnie w podróż do świata, o którym wiele się nasłuchałem w domu i o którym nie uczono nas w szkole. I proszę: siedziałem z rówieśnikiem starego Zsigi Springenzeissa, pół Niemcem, pół Polakiem, po ponad sześciu dekadach w Poznaniu przemierzałem z nim fronty wielkiej wojny. W myślach rysowałem linie łączące punkty na mapie. Bőny-Rétalap, gdzie urodził się dziadek, Przemyśl, gdzie stracił wzrok w lewym oku i ogłuchł na lewo ucho od wybuchu miny, dzięki czemu został zdemobilizowany, dostał Mały Srebrny Medal Waleczności i trafił do albumu bohaterów wojennych. Nie mógł spotkać mojego towarzysza, bo w czasie, gdy pan Gruchmann walczył na Mazurach, on bronił systemu warownego monarchii w mieście, którego nazwa jest dla Węgra niewymawialna. A gdy żołnierze Mackensena odbili twierdzę, dziadek siedział już w domu jako inwalida wojenny. Kiedy stary Zsiga złorzeczył w Budapeszcie zdrajcy Károlyiemu[7], Niemiec szykował się do obrony węgierskiego Siedmiogrodu. I może by go obronił, gdyby Béla Linder[8], kilkudniowy minister wojny, nie zniszczył armii do gruntu. Potem oddziały niemieckie na Bałkanach ruszyły z powrotem do ojczyzny, Mackensena internowali w Budapeszcie alianci i oskarżyli o zbrodnie wojenne, spędził rok w Salonikach i dopiero w 1919 wyszedł na wolność. Pan Gruchmann już w 1918 roku przeszedł do cywila i wrócił do rodzinnego miasta.

Mój ojciec Kálmán był aktywnym uczestnikiem harcerskiego jamboree w Gödöllő w 1933 roku i tam poznał starszą o dwa lata Wandę, która przyjechała z „szarymi dziewczętami" z Warszawy. Węgierski chłopiec miał szesnaście, a Polka osiemnaście lat. Ojciec

---

[4] August von Mackensen (1849–1945) – feldmarszałek niemiecki, dowodził m.in. wojskami CK podczas I wojny światowej.

[5] Siedmiogród (*niem.* Siebenbürgen) – kraina historyczna, niegdyś wchodząca w skład Królestwa Węgier, obecnie w granicach Rumunii.

[6] Seklerzy – grupa etniczna zamieszkujaca wschodnie rejony Siedmiogrodu, posługująca się dialektem węgierskim.

[7] Mihály Károlyi (1875–1955) – premier oraz prezydent Republiki Węgierskiej w latach 1918–1919.

[8] Béla Linder (1876–1962) – pułkownik, minister spraw wojskowych w rządzie Károlyiego, minister bez teki w rządzie Dénesa Berinkeya, uczestnik negocjacji dotyczących traktatów pokojowych po I wojnie światowej. W okresie Węgierskiej Republiki Rad sprawował funkcję attaché w Wiedniu.

był beznadziejnie zakochany, ale Wanda, wtedy już dorosła, tylko grzecznie się z nim przyjaźniła, później krótko pisali do siebie po niemiecku. W czasie drugiej wojny światowej Kálmána wysłano na front wschodni, a latem 1944 r. niedobitków z jego jednostki wycofano pod Warszawę. Udało mu się wejść do miasta, szukał adresu, pod który kiedyś wysyłał listy, ale domu już nie było, zbombardowano go jeszcze w 1939. Węgrzy bratali się z partyzantami polskimi, Niemców trafiał z tego powodu szlag, aż w końcu wysłali ich do domu po wybuchu powstania warszawskiego. W Budapeszcie jeden z byłych kolegów z uczelni, służący w komendzie uzupełnień, zaprosił ojca na zakrapiany wieczór. Okazało się, że imprezę za spuszczonymi roletami budańskiej willi zorganizowano wspólnie z oficerami polskimi, którzy zbiegli na Węgry. Były też panie. A wśród nich – Wanda. Uciekła tu z babką jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Od tamtej pory nie znała losu pozostałych członków rodziny. Dwuletnia różnica wieku przestała mieć znaczenie, spotkanie przerodziło się w prawdziwą, wielką miłość. Dowódca mojego ojca, który podczas pierwszej wojny światowej przeszedł niewolę rosyjską, postarał się, aby jego jednostka wpadła raczej w ręce wojsk zachodnich. Niektórym oficerom udało się włączyć do kolumny uchodźczej także swoich bliskich i w ten sposób zachować z nimi jaką taką łączność. Ojciec przemycił Wandę, podając ją za krewną znajomych, aby mogła uciec razem z nim. W Grazu, trzydzieści kilometrów od pozycji Amerykanów, dosięgnął ich atak bombowy. Kálmán widział Wandę kilka godzin przed nalotem. Po raz ostatni w życiu. Później oglądał jej blond włosy i szczupłą sylwetkę już tylko na zdjęciach, by po latach opowiedzieć o niej i o Polakach synowi spłodzonemu z inną kobietą.

Pan Gruchmann słuchał historii z uwagą. Następnie, zachęcony atmosferą wzajemnego zaufania, otworzył się jeszcze bardziej. Z przegródek grubego, zniszczonego skórzanego portfela zaczął wyciągać jedną po drugiej pocztówki, listy, kartki pożegnalne, brązowe dagerotypy żołnierzy w znoszonych mundurach, podstrzyżonych, ogolonych, z wielkimi wąsami, o niewidzącym spojrzeniu. Niewyraźne twarze w przyciemnionych ramkach. Pokazał mi też Mackensena. Przystojny germański blondyn w pikielhaubie z przypudrowanymi wąsami marszczył na zdjęciu brwi.

– Wielka szkoda – starzec kiwał głową, chuchając i przecierając cwikier – że potem na moment dał się oczarować Hitlerowi. Osiemdziesięcioczteroletni mężczyzna! Tak jak ja teraz! Ale wie pan, pokój w Wersalu… Niemcy nie powinni byli zostać tak poniżeni. Podobnie jak Węgrzy w Trianon. Był dobrym żołnierzem, kochaliśmy go. Gdy zbliżała się Armia Czerwona, musiał zostawić swój piękny pomorski majątek na pastwę losu! Uciekł na zachód i – proszę sobie wyobrazić – dożył końca wojny! Zmarł w 1945 roku w Schmiedebergu w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, a na jego pogrzebie była córka zmarłego cztery lata wcześniej cesarza Wilhelma II, Wiktoria Luiza…

Niesamowite, jak sączyła się z niego ta lekcja historii, mimo że opowiadał tylko o własnym życiu, o rzeczach, które są dla niego ważne. Po plecach przebiegł dreszcz. Moi przodkowie błąkali się po tych terenach, po Mittel Europe, abym ja, włóczęga, mógł się z nimi w końcu spotkać. Ogarnęło mnie dziwne, ciepłe uczucie: dokądkolwiek bym pojechał, jestem tu właściwie w domu.

Mój poznański dziadek odmówił trzeciego kieliszka wina, podziękował za propozycję i rozmowę – wymówił się koniecznością wyprowadzenia psa na spacer. Mieszka sam, jest wdowcem i – jak powiedział – potrafi o siebie zadbać, nie chce siedzieć na dzieciom na głowie. A w domu czekał na niego pies. Kiedy wstał, zobaczyłem, że jesteśmy tego samego wzrostu, przy czym ja, w wieku dwudziestu ośmiu lat, byłem bardziej zgarbiony. Potrząsnął mocno moją ręką, po żołniersku uderzył kostkami i wymaszerował z winiarni.

Patrzyłem na niego z zadumą. Wyobrażałem sobie, jak mieszka. Ciężkie okna z okiennicami lub roletami, promienie słońca odbite od szyby domu naprzeciwko błyszczą na spękanym lakierze ciężkich ciemnobrązowych mebli. Obrazy, ryciny, oprawione zdjęcia na ścianach, na podłodze perskie dywany, gdzieniegdzie mocno przetarte. Masywny, okrągły stół ze staromodnym koronkowym obrusem, komoda, popękane skórzane fotele, skrzypiące krzesła antyki, rozpadające się regały. Stare gazety upchane między i ponad wystrzępionymi książkami, niektóre drukowane gotykiem, inne z polskich antykwariatów. I woń starości, zapach psa. Przesiaduje wieczorami w swoim ulubionym fotelu, w żółtym świetle lampy podłogowej z udrapowanym abażurem, czytając coś po raz enty, bo w tym wieku raczej wraca się do książek, przegląda zniszczone albumy ze zdjęciami. Czasem kładzie ręce na kolanach i za wszelką cenę stara się wyłowić coś z pamięci, widzi siebie w okopach i w ramionach kobiet, siebie, jak przenosi świeżo upieczoną żonę przez próg… Ech, gdzie się podział ten młody człowiek i jego siła?

Dotknąłem stołu w winiarni. Dobre, ciężkie, lite drewno. Znów przypomniałem sobie dziadka Zsigę z czasów, gdy nazywał się jeszcze Springenzeiss i był silnym jak wół pomocnikiem rzeźnika w Bőny-Rétalap. Późny Toldi z komitatu Győr. W okolicy płynął potok, a nad nim był przerzucony drewniany most, który dudnił donośnie przy przejeździe. Pewnego razu ktoś spłoszył konie, które pociągnęły za sobą załadowany wóz. Ludzie uciekali, gdzie ich nogi poniosły. Z wyjątkiem mojego osiemnastoletniego dziadka. On bowiem, prawie dwumetrowy dryblas, nabrał powietrza w płuca, napiął mięśnie i wrzeszcząc, dosłownie rzucił się przed rozpędzone konie i chwycił za uzdy. Wszyscy zasłonili oczy, nie chcąc widzieć, jak młody, przystojny chłopak nadziewa się na dyszel. Dziadek cofnął się kilka kroków, po czym złapał konie tak mocno, że wędzidła omal nie urwały im pysków. Nie miały innego wyboru jak zaryć kopytami w ziemię i stanąć. Sława towarzyszyła Zsidze także podczas dwuletniej „podróży studyjnej" do Austrii i Niemiec. Nie on się tym chwalił, ale jego kompan, z którym ruszył w drogę, by nauczyć się zawodu.

Wyczyniał wiele podobnych szaleństw. Kiedy wrócił z podróży, zgłosił się na egzamin rzeźniczy. Jednym z zadań było obrobienie cielaka, od uboju po przygotowanie mięsa. Przyprowadzili mu biedne zwierzę i dali toporek. On jednak machnął tylko ręką, po czym gołą pięścią tak skutecznie walnął bydlę, że to zwaliło się z miejsca na ziemię. Można było ciąć i oporządzać.

Patrzyłem na stół. Sam blat mógł mieć grubość dłoni albo trzech palców, solidny materiał, i ważyć z pięćdziesiąt kilo. Dziadek stracił kiedyś panowanie nad sobą

w jednej piwiarni w Józsefváros, gdzie jadł obiad. Wybuchła bójka, poleciały kufle. Zsiga krzyknął do awanturników, żeby się uspokoili i dali mu zjeść. Złość zebranych zwróciła się przeciwko niemu. Wtedy pochylił się, chwycił jedną nogę nakrytego stołu, powoli podniósł go na wysokość ramion i trzymał w nieruchomej, wyciągniętej ręce, aż w końcu opuścił z powrotem na podłogę. Na blacie nie drgnął nawet talerz, zupa się nie wylała. Następnie powtórzył, że chce zjeść w spokoju. Zapadła cisza, ktoś zachichotał, ktoś inny buczał, niektórzy opuścili lokal, dziadek zaś jak gdyby nigdy nic jadł dalej obiad. Warto dodać, że właściciel nie wziął od niego grosza, bo dzięki zachowaniu dziadka nie ucierpiała zastawa knajpiana.

Było jeszcze zdarzenie z Ligetu, którego ślad mój ojciec nosił na plecach do końca życia, tuż pod prawą łopatką. Mała podłużna blizna jak po szczepieniu. Funkcję igły spełnił scyzoryk pewnego miejscowego chuligana. Dziadek wstąpił na piwo do jednego z szynków, mojemu szesnastoletniemu ojcu nie przysługiwało jeszcze prawo do picia alkoholu. Czekając na staruszka, wpatrywał się w karuzelę i zerkał ukradkiem pod nadymane wiatrem spódnice dziewcząt. W pewnej chwili poczuł obcą dłoń na wysokości wątroby. Chciała mu zabrać zegarek, pamiątkę bierzmowania. Chwycił rzezimieszka za rękę i krzyknął: „Złodziej!". Kieszonkowiec okazał się wątłym chłopakiem w pepitkowym garniturze o delikatnych dłoniach z długimi palcami i z wąsikiem *à la* Zorro. Strząsnął rękę ojca i już, już chciał zniknąć wśród rozbawionych ludzi, ale ojcu udało się podstawić mu nogę. Wtedy pojawili się dwaj młodzi mężczyźni, około dwudziestoletni, i zaczęli krzyczeć, że jakiś smarkacz wszczyna burdy. Tata, widząc, co się święci, szybkim ruchem walnął w brzuch kieszonkowca, który zdążył się tymczasem podnieść, i równocześnie zawołał do dziadka Zsigi: „Fater! Fater!". Wiedział, że zaraz wzięliby go w trójkę w obroty. Stary prawie przewrócił stół, wybiegając z piwnego ogródka na dźwięk nawoływań syna. Po twarzy ojca płynęła krew, dostał po nosie, kręcił się i miotał, próbując uciec przed wezbranym tłumem. Dziadek zobaczył, jak pod ramieniem syna błyska ostrze noża. „Kálmán! Uważaj, z tyłu!" – krzyknął, rzucając się na ratunek. Ojciec chciał zrobić unik, nóż jednak dosięgnął go pod łopatką. Napastnik nie zdążył cofnąć ręki. Krzyknął z bólu i upuścił zakrwawione narzędzie. Słychać było, jak kość ramienia pęka w żelaznym uścisku ręki dziadka. W tym samym czasie pozostałych dwóch okładało już staruszka pięściami, ale było to jak bicie w worek z piaskiem. Zsiga chwycił jednego za rękę i nogę, podniósł i zaczął wywijać nim w powietrzu. Chłopak wirował i wrzeszczał z przerażenia, ale nikt nie był w stanie zbliżyć się do dziadka. Przyglądająca się całemu widowisku oniemiała ze strachu publiczność stała jak wokół areny cyrkowej. Dziadek w końcu rzucił rozpędzony balast w stronę trzeciego z oprychów, słychać było tylko jęk obydwu. Ojciec dyszał pobladły, ale też z uśmiechem na twarzy patrzył na starego, jakby ten był bohaterem z powieści Jenő Rejtő[9]. Trzech

[9] Jenő Rejtő (1905–1943) – pisarz węgierski pochodzenia żydowskiego. Autor m.in. powieści przygodowych o Legii Cudzoziemskiej, w której sam służył. Zginął podczas II wojny światowej na robotach przymusowych w ZSRS. W twórczości używał pseudonimów „P. Howard", „Lavery" oraz „Gibson Lavery".

nieszczęśników bało się podnieść z ziemi, żeby nie dostać dokładki. Zjawiło się dwóch policjantów, którzy wzięli sprawę w swoje ręce. Tatę opatrzono w pobliskiej przychodni, dostał tylko parę szwów, bo na szczęście rana nie okazała się poważna.

Na starość dziadkowi zaczął szwankować umysł. Ale krzepa go nie opuściła. Pamiętam jego siedemdziesięciodwuletnią dłoń – była jak łopata do węgla. Bez większego wysiłku brał na ramię wór z drewnem na opał i taszczył na trzecie piętro. Nie sapał przy tym bardziej niż przeciętny dwudziestolatek. Rok przed śmiercią praktycznie nie poznawał nikogo z rodziny. Moja biedna babcia czasem bardzo cierpiała z tego powodu. Bywało, że staruszek przystawał przed lustrem z ponurą miną i zaczynał wypytywać żonę: „Irén, czy możesz mi powiedzieć, kim jest ten mężczyzna w naszym mieszkaniu?! Już któryś raz zastaję go tu po powrocie do domu! Jak ci nie wstyd zdradzać mnie po tylu latach małżeństwa?". Drobna, niegdyś wyjątkowo piękna Irén Marton wcześniej z pewnością spoliczkowałaby starego ordynusa, ale wtedy już się go bała.

W maju ostatniego roku życia dużo czasu spędzał przed oknem, a jego szerokie plecy rzucały cień na cały pokój. „Naprzód, przemyskie lwy! Nie damy się kacapom!" – wrzeszczał, wybijając rytm jak przed laty, gdy był dowódcą plutonu. Często nucił też: „Zmykaj, zmykaj, serbski psie, nie oddamy Bośni, nie!".

Patrzyłem na kupioną w antykwariacie pocztówkę z Przemyśla, obracając ją niepewnie w dłoni. Głupek ze mnie! Zapomniałem poprosić przyszywanego poznańskiego dziadka, by przetłumaczył mi nieczytelny tekst…

Może Wanda mówi po niemiecku?

• • •

Na Norwida piliśmy wódkę, a potem wino. Wanda nie znała niemieckiego, nie mogłem też poprosić o pomoc jej męża, pracującego na czarno w Berlinie Zachodnim. Małą udało jej się oddać komuś pod opiekę. Z krótszymi lub dłuższymi, wypełnionymi rozkoszą przerwami opowiadałem jej do drugiej w nocy o wszystkim, co mi się przytrafiło albo przypomniało w Poznaniu.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej – powiedziała rano, stawiając przede mną sennie kawę. Pokazała mi paszporty, swój i córki. Za miesiąc jadą do Niemiec, a potem cała rodzina przeprowadza się do Australii.

– Może tak będzie lepiej – mądrzyłem się, choć z pewną goryczą.

Świat jest mały, Wando, jeszcze gdzieś możemy się spotkać. Do tego czasu będziemy podążać sobie naprzeciw.

• • •

Truchtałem ulicą jak stonoga, nie mogłem się spóźnić. Egzamin wstępny! Powoli dobiegam trzydziestki, a znów ktoś będzie mnie odpytywać z wiedzy zdobytej w liceum! Wstydzę się swojego wieku, bo wiem, że wokół mnie będą sami maturzyści, którzy mogą się oprzeć na edukacji w rodzimym języku. Nie bałem się zadań z angielskiego, ale miałem też odpowiadać z polskiej gramatyki i literatury. I nikogo nie wzruszy, że jestem Węgrem.

Zaczęliśmy od pisemnego angielskiego. Nie myliłem się: dziewięćdziesiąt procent kandydatów w zatłoczonej sali było o jakieś dziesięć lat młodszych ode mnie. A poziom egzaminu cholernie wysoki. Znacznie wyższy niż w szkole językowej przy ulicy Rigó, z całą masą zadań praktycznych, a do tego pełen zawiłych problemów gramatycznych. Około trzydziestu potwornie zawiłych zdań – no jasne, angielski ma przecież cały komplet czasów! – do tego mowa zależna, tryb warunkowy itp. A na deser cytat z *Paragrafu 22* Josepha Hellera: „Zawsze mówiłem, że nie mówiłem, że nie może mnie pan ukarać". Mieliśmy go przetłumaczyć z polskiego na angielski. Dobrze, że przed laty wykułem to zdanie na pamięć, podobnie jak kwestię Yossariana o kasztanach trzymanych w gębie. Test z gramatyki był znośny. Ale potem przyszło wypracowanie! Do wyboru trzy tematy, ale wystarczy zacytować tytuł jednego, by wiedzieć, jakie były pozostałe. *Najważniejsze aspekty stosunków gospodarczych i kulturowych pomiędzy Polską a krajami rozwijającymi się na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat*. I bądź tu, człowieku, mądry i pisz wiersze! Nigdy nie pojmę, co siedzi w głowach egzaminatorów. Na Węgrzech nie jest wcale lepiej. Przecież zdawaliśmy na anglistykę, a nie Wydział Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego. Czemu wymaga się od nas znajomości tego typu zagadnień? Równie dobrze mogliby nam zadać temat z historii układu o nierozprzestrzenianiu broni albo życiu płciowym bakterii coli. Dlaczego nie dadzą do przetłumaczenia normalnego tekstu z dziedziny polityki czy ekonomii po angielsku albo polsku (u nas po węgiersku)? W końcu wymagałoby to od nas znajomości nie tylko języka, ale też danego zagadnienia. A przy tym poza cytatem z Hellera nie dostaliśmy choćby jednego fragmentu z literatury! Człowiek pomyślałby, że na egzaminie czeka go coś z angielskiej poezji czy prozy, a tu stosunki z krajami rozwijającymi się… Ustny z kolei wyszedł śpiewająco: przez blisko kwadrans mówiłem, kim jestem, dlaczego przyjechałem do Polski, czemu zdaję akurat tutaj i tym podobne. Na ustnym z polskiego i literatury okazało się, że pisemny poszedł mi świetnie i mam już z tego przedmiotu piątkę w kieszeni. Trochę się ze mną droczyli, próbowali na czymś złapać, choćby dla rozrywki. Szef komisji zapytał przebiegle o współczesną literaturę polską i jej najmłodsze pokolenie. Dodał przy tym, że cokolwiek odpowiem, nie będzie już miało wpływu na ocenę. Zaśmiałem się w duchu: nie minął nawet tydzień, odkąd wysłałem Ivánowi dłuższy tekst na ten temat. Zacząłem opowiadać jak najęty. Czteroosobowa komisja niemal szlochała z zachwytu. Na końcu wszyscy uścisnęli mi rękę, a jeden z profesorów spytał:

– Dlaczego nie złożył pan papierów na polonistykę?

Pękałem z dumy. Jak się okazało – niesłusznie. Docentka z anglistyki zaprosiła mnie po południu na rozmowę w gabinecie. Oświadczyła, że nie chce mnie trzymać w niepewności – nie dostałem się. Moje wypracowanie okazało się słabe merytorycznie. Pozostałe zadania wypadły dobrze, cytat z Hellera jako jedyny przełożyłem poprawnie, ale wypociny na temat Polski i jej relacji z rozwijającymi się państwami są poza wszelką krytyką… Wyjaśniła mi też, że mają ograniczoną liczbę miejsc, muszą wybierać spośród najlepszych kandydatów i nie mogą robić wyjątku. Zapytałem poirytowany, czy z punktu widzenia gramatyki i stylu wszystko było w porządku.

– Niby tak, ale…

– No to niech mi pani powie, czy to są studia z politologii, ekonomii czy jednak filologia?

Rozłożyła ręce: to nie jej wina, że jest jak jest, takie mają wytyczne z ministerstwa.

– Czy w takim razie autonomia uniwersytetów to tylko blaga?

Szybko ucięła bezprzedmiotową w jej mniemaniu dyskusję. Dodała jednak życzliwie, że zna dobrego korepetytora z ekonomii i politologii mówiącego po angielsku, do tego z Warszawy. Tak się złożyło, że to jej brat. Podała mi nawet stawkę za godzinę. Zasugerowała, że mogę zdawać ponownie w przyszłym roku. Podziękowałem. Domyślam się, że braciszek w rewanżu poleca ją w stolicy poznaniakom. Zaryzykowałbym nawet tezę, że kto bierze prywatne lekcje u któregoś z członków rodziny albo hojniej sypnie groszem, ma większe szanse dostać się na studia.

Przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć jeszcze do polonistów, może faktycznie miałoby to sens. W końcu jednak usiadłem na ławce w parku przed uczelnią, wypaliłem papierosa i ruszyłem w stronę dworca.

Przyjąłem do wiadomości, że Pan Bóg ma wobec mnie inne zamiary. Postanowiłem nie podchodzić tu do egzaminu w przyszłym roku. Z panem Gruchmannem też już najpewniej się nie spotkam, nie mam adresu i cholera wie, jak długo pożyje, Wanda zaś do tego czasu pewnie wyjedzie do Australii głaskać kangury.

Żegnając się w duchu ze złotorogimi koziołkami na wieży ratusza, podziękowałem im za wskazanie drogi.

16 czerwca 1978, Warszawa

W końcu wyprowadziliśmy się od teściów. Znaleźliśmy porządną kawalerkę, czterdzieści metrów kwadratowych. Korytarz, łazienka, aneks kuchenny i pokój w jednym, oddzielone blatem. Spokojnie mogą się tu zmieścić dwie osoby. Naprzeciwko Hali Mirowskiej, na osiedlu Za Żelazną Bramą. Lokum znajduje się na piętnastym piętrze, obok suszarni i maszynowni wind, w przypominającym pudełko zapałek czternastokondygnacyjnym, zamieszkałym przez setki ludzi mrówkowcu. Właściciel, pan Grygieńcze, był jednym z projektantów osiedla, więc jako człowiek na odpowiednim stanowisku zaklepał sobie dwie połączone suszarnie, niby na pracownię, a naprawdę na wynajem, oczywiście nieoficjalny.

I tu właśnie mieszkamy od dwóch tygodni. Trzy tysiące miesięcznie (osiemdziesiąt procent wynagrodzenia mojej żony) plus rachunki. To pochłania w całości jedną z naszych pensji. O mieszkaniu spółdzielczym ani widu, ani słychu, co pół roku przysyłają powiadomienia, że termin oddania się przedłuża. A to jeszcze nic. Większy problem polega na tym, że co i rusz podnoszą wkład – do każdego listu dołączają druczek. Albo zapłacimy, albo skreślą nas z listy oczekujących. Co robić, płacimy. A teraz jeszcze kawalerka zacznie pochłaniać pieniądze i trudniej będzie zaoszczędzić. Staramy się tu i tam zarobić coś na czarno, ale wobec braku koneksji nie zostaje nic inne-

go, jak jeść kit z okien i mieć nadzieję. Dojrzewa w nas też myśl o wyjeździe na saksy, w przeciwnym razie nigdy nie będziemy mieć własnego mieszkania.

Nie wiem, czy się przeziębiłem w podróży, ale od dziesięciu dni nie mogę się uporać z grypą. W moim przypadku wiąże się to z natychmiastowym zapaleniem oskrzeli i zatok. Biorę jakieś nieznane mi (i nieskuteczne) leki. Jola przyniosła dzisiaj antybiotyki. Kapitalistyczne! Polskich od dawna nie można dostać. Kosztują dziewięćdziesiąt osiem złotych, zachodnie ponad trzysta. Na zamówienie od lekarza. Niech żyje socjalizm i jego bezpłatna opieka zdrowotna! Do tego lekarz nie wypisze recepty ot tak! Trzeba podpisać specjalne oświadczenie, że zgadzasz się zapłacić wyższą cenę. Kogo nie stać, ma zdechnąć?

Korzystamy z tego, że mieszkamy we dwójkę – plus pies. Swoją drogą życie w takim mrówkowcu to groza sama w sobie. Na każdym piętrze trzydzieści mieszkań, co razem daje czterysta pięćdziesiąt. W całym bloku mieszka więc łącznie około dwóch tysięcy osób. To tyle, co w sporej wiosce. W budynku jest sześć wind. Co chwila gdzieś się zatrzymują, ktoś wsiada, inny wysiada. Patrzymy na siebie, obwąchujemy, rzadko słychać „dzień dobry". Naruszamy wzajemnie swoje aury, zwłaszcza jeśli w przeznaczonej dla dziesięciu ludzi kabinie znajduje się więcej niż sześć osób. W takich chwilach napięcie staje się prawie namacalne.

Jezu kochany, kto to wszystko planował? I kto kazał budować? Znajomy architekt opowiadał mi, że za Gomułki sądzono ponoć, że człowiekowi wystarczy do życia przestrzeń rozłożonych ramion i możliwość obrotu wokół własnej osi bez natykania się na przeszkodę. W myśl tej zasady projektowano mieszkania. Nie wierzyłem, póki nie zobaczyłem na własne oczy: dwoje młodych ludzi żyło w kawalerce o metrażu osiemnastu metrów kwadratowych. Oboje byli po trzydziestce. Planowali dziecko. Ale w takim miejscu?! W porównaniu z tym nasz pokoik wygląda jak pałac!

Towarzysze budują więc substraty mieszkań. Przestrzenie mieszkaniopodobne. Tymczasowe noclegownie na całe życie. A może specjalnie każą budować te maciupkie, niewygodne komórki, żeby ludzie czuli się w nich mali? W myśl takiej filozofii mogliby dostosowywać metraż do rozmiarów ciała: strop zawsze musi być o centymetr niższy od lokatora. Żeby nigdy, przenigdy nie mógł się wyprostować…

Z czułością wspominam naszą budapeszteńską kamienicę przy ulicy Zoltána (tymczasowo Belojanisa). Siedemdziesiąt sześć metrów! A przecież to też ledwie połowa dawnego mieszczańskiego przybytku w czwartej dzielnicy. Do tego w budynku istniała jakaś wspólnota. Dozorca zawsze wiedział, do kogo przyszedł gość, kto jest w domu, a kogo nie ma. Myślę, że regularnie składał też donosy na mieszkańców, inaczej nie dostałby tej pracy. Starsze panie filowały z okien na otoczone galerią podwórze. Kiedy dawali mecz, nawet przez zamknięte drzwi słychać było z drugiego piętra ryki typka, który siedział przed telewizorem. Jedna z sąsiadek przeklinała zawsze od serca, Sándor, zastępca dozorcy, przychodził czasem po śmieci. Wszyscy pozdrawiali się nawzajem. A jeśli nie, to też coś znaczyło. Wszyscy wiedzieli dlaczego. Jak na wsi. Tymczasem w betonowym bunkrze człowiek nawet nie wie, kto mieszka za ścianą. A jeśli zapyta, pomyślą, że wścibski.

Tak wygląda rzeczywistość wszędzie tam, gdzie „najlepszy z systemów społecznych" postawi swoją cuchnącą nogę. Na Węgrzech też trzeba czekać po dziesięć–piętnaście lat na malutką kanciapę do mieszkania. A potem kolejnych pięć, żeby ją urządzić. Do tego czasu człowiek ma trzydzieści pięć lat na karku albo i więcej. Odtąd zaczyna myśleć już tylko o większym lokum, domu, samochodzie. Dzieci dorastają, więc sprzedaje się większe mieszkanie czy dom i wprowadza z powrotem do mniejszego. Bierze się do siebie babcię, póki żyje. Przed sześćdziesiątką człowiekowi w końcu udaje się uciułać na małą kawalerkę dla dzieci. Życie się kurczy, a my z nim: zostanie z nas para wycieńczonych staruszków z zakrzepicą. A czy młodym będzie lepiej? Może. Ale najpierw muszą zapłacić podatek od odziedziczonego po nas mieszkania. To jak okradać ludzi z ich własnego życia!

No nic, najważniejsze, że jesteśmy niezależni! Możemy zapraszać gości, słuchać muzyki, głośno rozrabiać, kochać się bez przyciśniętej do twarzy poduszki.

20 czerwca 1978, Warszawa

Mam za sobą badania terenowe nad językiem w knajpie węglarskiej, którą polecił mi Andrzej Pastuszek dla lepszego rozeznania w polskim żargonie. Mój szwagier Jacek, mieszkaniec Pragi, który wie, czym to się je, próbował mi wyperswadować pomysł, ale się nie dałem. W bibliotece dzielnicowej znalazłem reportaż z 1976 roku na temat ulicy Brzeskiej. Zrobiłem sobie notatki, żeby mieć pod ręką jakiś bedeker. Założyłem najpodlejsze dżinsy, jakie znalazłem w szafie, i znoszone buty, pożyczyłem też od Taty wyświeconą, przeznaczoną do kosza marynarkę, założyłem pod nią spraną koszulę flanelową i ruszyłem w stronę położonej na tyłach bazaru Różyckiego Brzeskiej. Żadnej zapalniczki, tylko zapałki, do tego sporty bez filtra, w kieszeni mały skoroszyt, długopis, kilka biletów na autobus, dokumenty. W tramwaju miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Skąd! Szybko zdałem sobie sprawę, że to tylko złudzenie wywołane niecodziennym ubiorem.

Kiedy człowiek wysiada z tramwaju na północnej Pradze za mostem w-z, przy „czterech śpiących", to jest pomniku sowiecko-polskiego braterstwa broni na rogu Targowej i placu Wileńskiego, od razu czuje, że znalazł się w innym mieście. Lewobrzeżna część Warszawy wyglądała przed wojną podobnie, tyle że potem blisko osiemdziesiąt procent budynków zostało zrównanych z ziemią, a nowe wznoszono przeważnie wedle estetyki modernizmu komunistycznego, ewentualnie w niektórych częściach centrum powstawały ogromne, ciężkie bryły socbarokowe. Tu zaś na ogół zachowała się stara architektura. Gdy po drugiej stronie rzeki umierało powstanie, batiuszka Stalin nakazał przybyłym w sierpniu 1944 roku oddziałom Armii Czerwonej, „braciom broni", by stali bezczynnie. W ten sposób pomógł Hitlerowi w zgładzeniu polskiej stolicy. A kilka miesięcy po kapitulacji niemieckiej, we wrześniu 1945 roku postawiono ten jaskrawo kłamliwy pomnik. Sowietom tak się śpieszyło, by pognębić Polaków, że pierwszą wersję monumentu stworzono z pomalowanego na brązowo gipsu i dopiero

dwa lata później wymieniono figury na spiżowe, wykonane ponoć z łusek od nabojów niemieckich, zebranych przez Ruskich w czasie zdobywania Berlina. Na cokole widnieje ponury, nakazujący wdzięczność napis po polsku i rosyjsku: „Chwała bohaterom Armii Radzieckiej. Towarzyszom broni, którzy oddali swe życie za wolność i niepodległość narodu polskiego, pomnik ten wznieśli mieszkańcy Warszawy w 1945 roku". Jest jasne jak słońce, że w suwerennym kraju nigdy by nie postawiono czegoś takiego. Także miejsce wybrano z perfidią. W sąsiedztwie stoi bowiem cerkiew Świętej Marii Magdaleny, gdzie za caratu modlili się rosyjscy mieszkańcy Warszawy. Po przeciwnej stronie zaś znajduje się Dworzec Wileński, który w czasach zaboru rosyjskiego nazywał się Petersburski, stąd wyruszały pociągi do ówczesnej stolicy imperium. Rosyjski podróżny, który przybywał do głównego miasta jednej z prowincji, od razu czuł się jak u siebie w domu – pierwsze, co widział, to prawosławna świątynia. Obecnie zarówno wierzący, jak i komuniści mogą być zadowoleni z widoku, który ich tu czeka.

Na szczycie pomnika trzech żołnierzy sowieckich w walecznej pozie skierowanych w stronę zachodu, co sugeruje, że szykują się do ataku na Niemców. Poziom niżej, wsparci na broni, stoją czterej mundurowi z opuszczonymi głowami – zdają się drzemać niczym bohaterowie (makabrycznej) bajki, zaklęci w słupy soli przez Wielkiego Generalissimusa Josifa Wisarionowicza, aby przypadkiem nie pośpieszyli z odsieczą walczącemu po drugiej stronie Wisły powstańczemu narodowi. To właśnie „czterej śpiący", u których stóp w każdą rocznicę „wyzwolenia" stolicy załogi fabryk, pracownicy urzędów, uczniowie i harcerze składają wieńce. Jak mówi warszawska ulica: „na chińskiego ochotnika" – albo się zgłosisz, albo ktoś zgłosi się po ciebie!

Ale nie o tym chciałem mówić, tylko o nauce języka w knajpie. Skończyłem na tym, że na rogu Targowej i placu znaczonego ponurym pomnikiem i cerkwią człowiek może poczuć, jakby wstąpił do innego świata. Uczucie to wzmaga się jeszcze, gdy idziemy prowadzącą do bazaru Różyckiego ulicą Białostocką, z której odchodzi kryjąca gospodę węglarską Brzeska. Znajdujemy się w dzielnicy o największym natężeniu przestępstw, gdzie każdy milicjant z Józsefváros[10] poczułby się jak w swoim rewirze. Nie przypadkiem kwartał pomiędzy dworcami Wileńskim i Wschodnim, Stadionem Dziesięciolecia i Szmulowizną nazywany jest trójkątem bermudzkim – kto wkroczy na ten teren, może łatwo stracić jakąś cenną rzecz, a jeśli nie ma się na baczności, również sam może przepaść bez śladu. Właśnie tu znajdował się cel mojej podróży, słynna przybazarowa speluna.

Ze swoich doświadczeń budapeszteńskich wiedziałem, że w takich miejscach ludzie znają się przynajmniej z widzenia i krzywo patrzą na intruzów. Przybywający z innych dzielnic miasta klienci ruchliwego bazaru, którzy pojawiają się tu w nadziei zakupienia niedostępnych gdzie indziej towarów, prawie zawsze docierają od strony Targowej, Białostockiej albo Ząbkowskiej, załatwiają, co mieli załatwić, a następnie wracają w pośpiechu,

[10] Dzielnica Budapesztu.

skąd przyszli. Ja jednak planowałem niebezpieczną przygodę, postanowiłem więc, przecinając bazar Różyckiego, przynajmniej w duchu przybrać barwy maskujące.

Samo w sobie miejsce to jest dość specyficzne. Ilekroć tu przychodzę, zawsze upajam się jego egzotyczną atmosferą. W powietrzu unosi się zapach kiszonej kapusty, i to także tam, gdzie sprzedaje się ubrania. A do tego tłumy ludzi, raczej śmierdzących niż pachnących. Mówi się, że czego nie dostaniesz na Różyckim, to prawdopodobnie nie istnieje. Wyobraźmy więc sobie połączenie dawnego placu Telekiego z tym przy ulicy Ecseri, a zyskamy namiastkę atmosfery i widoku tego miejsca.

Zbliżałem się już do tylnego wyjścia, gdy moją uwagę zwrócił głos faceta siedzącego na starym krzesełku wędkarskim. Koleś miał na nogach butki gimnastyczne na gumie, a obok niego stały wiaderka z pestkami dyni i słonecznika. Znad krzykliwie pasiastych skarpet frotowych wystawały owłosione łydki, a nieco wyżej zaczynały się pokryte plamami brudu portki, o jakieś dwa numery za duże na mikrej postury sprzedawcę. Flanelowa koszula w kratę i pepitkowa marynarka nadawały mu nieco błazeński wygląd. Twarzy prawie nie było widać pod nisko naciągniętym kaszkietem, z całą pewnością jednak nie golił się tego dnia. W kąciku ust papieros bez filtra. Facet cedził przez zęby:

– Pestki, prażone pestki, złotówka za kubeczek…

Naszła mnie ochota na jakąś przegryzkę, sięgnąłem więc po monety. Handlarz podniósł się, spod kaszkietu łypnęła na mnie para wąskich, podejrzliwych oczu.

– Do kieszeni czy do woreczka?

Nadstawiłem mu kieszeń, wyciągnąwszy z niej najpierw klucze. Była do nich przypięta łuska od naboju do kałacha – pamiątka z czasów wojska. Widziałem, że facet ją dostrzegł, przesypując ziarenka z wyszczerbionego kubka do mojej kieszeni. Zmarszczył nos, a na jego twarzy pojawił się zawadiacki grymas.

– Zbiera pan? – Jego spojrzenie stało się ostre jak brzytwa, uważnie taksował moją zarośniętą twarz. Kąciki ust wykrzywił w coś na kształt uśmiechu. – Pestki… Zbiera pan?

Zrozumiałem: „pestka" w polskim żargonie oznacza nabój, jak *skuló* po węgiersku. Za późno jednak zdałem sobie z tego sprawę i facet zauważył moje zdziwienie. Ale dostrzegł też, że byłem zaciekawiony. Podniosłem brwi i przytaknąłem. Człowiek zaczął mruczeć i chrząkać. Potem znów zmierzył mnie świdrującym spojrzeniem.

– Ile trzeba i jaki kaliber?

Nie wierzyłem własnym uszom. Czy naprawdę sprzedaje tu po kryjomu amunicję do pistoletów? Słyszałem, że na Różyckim można kupić nawet miotacze pocisków, jeśli komuś zależy, ale w zderzeniu z realną propozycją poczułem się mimo wszystko zaskoczony. Rzuciłem więc pierwsze, co mi przyszło do głowy:

– Do lugera dziewiątki, parę tuzinów?

Gwizdnął cicho i z uznaniem, pokręcił głową. Poprawiając czapkę, szepnął:

– Akurat nie mam, tylko do dwudziestki dwójki. Ale mogę mieć. Proszę pytać następnym razem.

Znowu zmierzył mnie spojrzeniem, być może chciał zapamiętać moją twarz albo ocenić, czy mam dość forsy, żeby kupować niebezpieczny towar. Pokiwałem głową i obiecałem, że wrócę. Facet usiadł z powrotem w poprzedniej pozie. I zaczął od nowa nawoływać:

– Pestki, prażone pestki, złotówka za kubeczek…

Żałowałem, że nie spytałem, za ile można kupić, powiedzmy, rewolwer dwudziestkę dwójkę. Ot tak, dla informacji. Bo jeśli oferował amunicję, to musiał sprzedawać broń. Odezwała się we mnie wariacka ciekawość. Trudno, zapytam następnym razem. Koleś będzie tu tkwił, jeśli go nie nakryją. Mam czas.

Przeszedłem ledwie sto metrów od wyjścia z bazaru w stronę Kijowskiej i znalazłem się po lewej stronie ulicy, przed wejściem, które Wajda mógłby bez żadnych przeróbek wykorzystać w filmie o dziewiętnastowiecznym mieście. Zmurszałe, otłuczone na brzegach schody prowadziły do dwuskrzydłowych drzwi z popękanego szkła i z naderwaną klamką, przemalowywanych najwyraźniej kilka razy, co można było stwierdzić po obłażącej, brudnoszarej farbie. Do zardzewiałych, obluzowanych kutych zawiasów po obu stronach przymocowano pomalowane na szaro drzwi zewnętrzne z desek, zadrutowane tak, żeby się nie zamykały. Nad nimi napis: „Restauracja Rybacka", który można by przy odrobinie dobrej woli przetłumaczyć na węgierski jako *halászcsárda*. W pobliżu waliło zresztą rybą i przypalonym olejem, ale zapach dochodził z oddalonej nieco smażalni. W środku można coś zjeść, ale tylko na stojąco. Kto się nie zmieści, może postawić talerz na parapecie pobliskiego sklepu z dywanami. W „Rybackiej" da się usiąść, jeśli znajdzie się wolne miejsce. Mam na myśli krzesło, bo o całym stoliku można tylko pomarzyć.

Wziąłem głęboki oddech i skoczyłem na głęboką wodę, to znaczy wszedłem do lokalu. W środku gęsty zapach jedzenia, kwaśny odór tytoniu, przepoconych ciał, nieprzyjemny dźwięk muzyki. Poczułem na sobie wrogie spojrzenia ludzi, którzy wyglądali jak ze stron powieści Jenő Rejtő. Fornirowane krzesełka z metalową ramą, stoliki osiemdziesiąt na osiemdziesiąt, na brudnych plastikowych blatach, przetartych niedbale, grube szklankice, tanie talerze, sztućce aluminiowe. W całym lokalu było jedno wolne miejsce: pod ścianą z lewej strony. Siedziało tam dwóch gości. Jeden siwy okularnik w mundurze listonosza, torba z listami stała wciśnięta między nogę krzesła a pokrytą obłażącą lamperią ścianę. Drugi, prawie łysy dryblas z wydatnym karkiem – odwrócony do mnie plecami, pochylony nad talerzem – mógł ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo: krzesło wyglądało pod jego zadem jak przedszkolny stołek, dwa masywne pośladki wystawały po obu stronach. Miał na sobie brudne ogrodniczki i grube wojskowe buty bez sznurowadeł, zdaje się, że niepastowane od pokoleń. Ogromne plecy opinała koszulka ze spranym logo króliczka Playboya – kto by pomyślał, że szyto je też w takich rozmiarach…

– Dzień dobry panom! Czy mogę? – zapytałem z nadzieją.

Listonosz przerwał jedzenie flaków i łypnął na mnie zza grubych jak denka od butelek okularów. Chciał coś powiedzieć, ale playboy okazał się szybszy:

– Nie tańczę, chłopie.

On już zdążył wsunąć porcję flaków. Trzymał dłoń przy pustym, brudnym talerzu i bawił się łyżką. Na serdelkowatych palcach dobrze czytelny tatuaż: „Bij!". Zdaje się, że to jakaś międzynarodowa moda wśród chuliganów: na Węgrzech też widziałem wydziergany napis „Üss!" na dłoniach absolwentów poprawczaka. Dają go do przeczytania na głos biednym ludziom, zanim rozkwaszą im twarz na miazgę. A jeśli ktoś zgłasza pretensje, mówią: „Sam prosiłeś, stary!". Pewnie i tu odbywa się to w podobny sposób. Mam nadzieję, że nikt nie każe mi czytać sobie z ręki.

– Daj spokój, Heniek. – Listonosz wytarł buzię. – Koleś nie kapewu. Niech se podje, jak głodny.

Podniósł na mnie zmęczone spojrzenie.

– No, klapnij se pan. Albo przynieś sobie żarcie. A nam jeszcze po kolejce, bilet wstępu.

Zrozumiałem: jak się z kimś pije, trudniej mu potem dać w papę. Podszedłem do lady. Na ścianie ręcznie wypisane menu: flaki, pomidorowa z ryżem, dwa rodzaje pierogów, to znaczy z mięsem i ruskie, gotowane albo smażone, a na końcu fantazyjne danie – „kopytka z mięsem spod siodła". Zapytałem stojącą za kontuarem, postawną kobietę, co się kryje pod tą nazwą. Obrzuciła mnie kozim spojrzeniem spod farbowanych na rudo gęstych, kręconych włosów przykrytych koronkowym czepkiem.

– Czego nie rozumie? Smażone kluski z koniną! Mają być? A do picia?

– Trzy wódki i trzy piwa. I jakieś kiszone ogórki, jeśli są – bąknąłem szybko, bo za mną ustawiło się już trzech węglarzy. Masywna barmanka nachyliła się do okienka i chrypiącym głosem przekazała do kuchni zamówienie, po czym mięsistymi palcami nalała z nieetykietowanej flaszki trzy setki. Widać, tu także nie mieli kieliszków pięćdziesiątek, „jedna wódka" oznaczała, podobnie jak w większości polskich knajp, klasyczne sto gram. Miałem nosa, że poprosiłem tylko o wódkę, bez podawania objętości. Przynajmniej pod tym względem udało mi się nie wyróżniać z tłumu.

Piwo, podobnie jak robi się to w węgierskich piwiarniach, nalała do ciężkich, grubych kufli. Ani jeden nie był cały, każdy uszczerbiony w innym miejscu, na brzegu, na dnie albo uchu. Musiały już przeżyć swoje.

Trzymając kieliszki w obu dłoniach, zaniosłem wódkę listonoszowi i Heńkowi – udało mi się postawić je na stole bez wylania choćby kropelki cennego napoju. Z kuflami poszło łatwiej, wziąłem dwa do prawej ręki, do lewej jeden i raz dwa wróciłem do stolika. Ledwie usiadłem na krześle, barowa matrona zawołała mnie do lady. Odebrałem kopytka z końskim mięsem.

Na małym blacie ledwie mieściły się setki z wódką, piwo i trzy talerze.

– No to za miłe spotkanie, panowie! – Wskazałem na kieliszki. Listonosz z miejsca chwycił jeden, Heniek zastanawiał się przez chwilę.

– Kurde! – warknął, w jego wzroku kryło się pytanie. – Nie wiem nawet, z kim pijemy!

Zreflektowałem się od razu i przedstawiłem. Zamurowało ich. Że co? Węgier? Coś takiego, wygląda na faceta, a na imię ma jak baba! Chcąc udowodnić, że nie kłamię,

wyciągnąłem paszport konsularny. I pozwolenie na pobyt. Proszę, tu jest wszystko napisane. Na twarzy Heńka w końcu pojawił się cień uśmiechu.

– No dobra, niech będzie. Polak, Węgier dwa bratanki… Ale jakżeś się, kolego, tak nauczył po polsku?

Zacząłem tłumaczyć. Przede mną stygł talerz z kopytkami, a w ręce grzał się kieliszek. Listonosz i tym razem rozwiązał sprawę.

– Niech panu będzie, ja jestem Gęsik, rozumie pan, jak mała gęś. Tak na mnie mówią w okolicy – Gąska. Prawie trzydzieści lat dzwonię tu do każdych drzwi. Ma się rozumieć, tam, gdzie mają dzwonek. A to Heniek, rzeźnik, co nie jeździ autem. Bo się w żadnym nie mieści!

Gęsik zachichotał, zaświecił złotymi zębami. Heniek w końcu wychylił kieliszek.

– No to wprowadzim chłopaka do partii – mruknął. – Na członka go! Te, Węgier, twoje zdrowie.

Na szczęście wódka była chrzczona, więc setka miała tyle procent co pięćdziesiątka. Zapijaliśmy ją piwem, ciepłym i prawie bez gazu. Ale za to gorzkim.

Wyławiałem kawałki mięsa z brunatnego sosu. Kopytka były całkiem smaczne, za to konina włóknista. Heniek, widząc jak przeżuwam, skonstatował, że pewnie dostałem starego wyścigowca, dobrze umięśnionego.

– Grunt, że w ogóle dają mięso – pocieszałem się – a nie sprasowane kostki soi…

– Bez przesady – dodał Gąska – i konia da się zjeść. Za okupacji się tego nażarliśmy, nawet kiełbasę robili z koniny.

Heniek się obruszył. Zarzekał się, że nigdy nie dotknął mięsa końskiego i nie dotknie. Jakże to tak? On, który dłuższe dystanse pokonuje dorożką, bo do żadnego auta się nie wciśnie, miałby zabić, poćwiartować i zjeść biedne zwierzę pociągowe? To jakby człowiek zeżarł najlepszego przyjaciela.

Konina sama w sobie jest dość ciężka, a uwagi rzeźnika dodatkowo odebrały mi na nią chęć, więc ograniczyłem się do kopytek. Spałaszowałem kluseczki w brunatnym sosie, a potem zamówiłem nową kolejkę.

Zaczęliśmy rozmawiać o powodach mojego przyjazdu do Polski. Opowiedziałem im wszystko szczerze. Heniek z Gąską wymienili spojrzenia, po czym przeszli na taki żargon, że tylko siedziałem oniemiały. Prawie nic nie rozumiałem. Wyciągnąłem z kieszeni podłużny skoroszyt, żeby robić notatki, ale wielka łapa Heńka powstrzymała mnie od tego, on sam zaś z miejsca przeszedł na „ty".

– Niczego nie zapisuj, kolego, bo zanim zdążysz się wytłumaczyć, ktoś złamie ci rękę.

Listonosz potwierdził:

– Zapamięta pan coś z rozmowy albo nie, ale niech pan niczego nie zapisuje. Pomyślą, żeś pan kapuś.

Dobrze zatem. Adrenalina mi skoczyła, nastawiłem uszu. Przyjąłem radę. Moi towarzysze zaś – po trzeciej kolejce, która nie zapowiadała się na ostatnią – trajkotali jak nakręceni. Ja co jakiś czas wychodziłem do klozetu i tam starałem się zanotować jak najwięcej. Strasznie ich bawiły moje naiwne pytania o znaczenie tego czy innego

słowa. Wyraźnie przypadła im do gustu rola nauczycieli. Patrzcie go, przypałętał się, panicz, do tego cudzoziemiec, a taki niewyedukowany!

Gęsik był w swoim żywiole, chwała Bogu, nawijał jak najęty, straszny z niego gaduła. Rzeźnik Heniek rzadziej się odzywał, raczej dorzucał to i owo do potoku słów doświadczonego i z racji zawodu o wszystkim dobrze poinformowanego listonosza. Gdy w lokalu zjawiał się nowy klient, czasem opisywał gościa paroma słowami.

– Patrz pan, to jest Kazik! – mruknął na przykład, gdy do środka wszedł chudzielec ubrany jak strach na wróble, około czterdziestoletni facet o całkiem sympatycznej twarzy. – Nie gap się, kurwa, bo tutaj i w więzieniu to jak zaproszenie do bójki! Mieszka pod trzynastką, przekiblował osiem lat, chociaż tylko pomajtał starej sąsiadce kosiorem przed nosem…

Domyśliłem się, że facet wygrażał kobiecie nożem.

Pokazałem Gąsce swoje wypiski z reportażu o Brzeskiej. Roześmiał się, pamiętał dziennikarkę, która go pisała, wspomniała też o nim. Od tamtej pory się tu nie zjawiła. Ja zaś cieszyłem się, że listonosz jeszcze żyje i właśnie na niego trafiłem w knajpie. Miałem farta, bo był chodzącym kompendium wiedzy o dzielnicy.

Powiedział mi, że na Brzeskiej jest dwadzieścia jeden domów, a wszystkie jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Twierdził, że w niektórych mieszkaniach zachowały się oryginalne okna i szyby, coś niesłychanego. W żadnej z kamienic nie ma centralnego ogrzewania ani gorącej wody. Jeśli nawet do mieszkań od ulicy doprowadzono gaz, to do tych od podwórza nie – albo odwrotnie. Co dwudziesty lokator ma do dyspozycji własny klozet i łazienkę. A pozostali? Chodzą do wspólnego wychodka na podwórzu. W jednej z pobliskich kamienic podobno od trzech lat nie działa spłuczka. Zaoferował, że mi pokaże. Odmówiłem – dopiero co jadłem.

Na ulicy mieszka około dwóch i pół tysiąca zameldowanych lokatorów.

– Jedna dziesiąta to w miarę porządni ludzie – ocenił Heniek. – Reszta to kurwy i bandyci.

– Nie zawsze tak było – zastrzegł listonosz. – Przed wojną mieszkali tu kolejarze, tramwajarze, sklepikarze i woźnice. Była obora i stajnia na dwadzieścia koni pociągowych. Brukowane ulice, rynsztoki, lampy gazowe.

– Ale wtedy jeszcze istniało coś takiego jak honor! – wtrącił Heniek. – A dziś człowiek może zarobić kosę na każdym rogu…

Gąska pokręcił głową.

– Bez przesady, na podwórze obory nawet policjant bał się wchodzić w pojedynkę. Zanim się obejrzał, leciały w jego stronę siekiery. Mieszkała tam duża rodzina, synowie, czterech chłopa, to była bandyterka. Ostatecznie wszyscy zmarli na gruźlicę, a nie od noża.

W czasie wojny żyło się tu trochę lepiej niż po drugiej stronie Wisły. Dopóki było można, ludzie zza rzeki przychodzili na Pragę kupować, bo u nich nie dało się niczego dostać. W czasie powstania przyszli Ruscy, ale Niemcy byli zajęci powstańcami. Miejscowi często wdrapywali się na dachy budynków, żeby popatrzeć, co się dzieje. Przez jakiś czas na Brzeskiej stała bateria przeciwlotnicza i strącała samoloty ze swastyką.

Któregoś razu obsługa działa poszła napić się herbaty. Chwilę potem spadła bomba i z baterii została miazga. Żołnierze przeżyli. Innym razem spadł niewypał – najodważniejsi lokalni chuligani nie ośmielili się do niego zbliżyć. W końcu zebrało się parę przekupek z bazaru Różyckiego i żeby dopiec mężczyznom, podłożyły pod bombę prześcieradło, chwyciły za cztery rogi i wyniosły na pole przed dworcem.

– Nie byle jakie baby rodzą się na naszej ulicy! – dorzucił znowu trzy grosze Heniek. – Gdyby nie to, cała Brzeska wyleciałaby w pizdu. Mieliśmy farta!

– He-he, ludzie mówią, że może powinna była wylecieć! – Uśmiechnął się krzywo Gąska. – Bo z tego szczęścia wzięło się nieszczęście Brzeskiej! Że została taka, jaka była!

Rozchodniaka postawili już oni. W środku panował zaduch, wódka i piwo zrobiły swoje, nawet chrzczone. Z trudem utrzymywałem równowagę. Moi nowi kompani z ulicy Brzeskiej zaprosili mnie na spacer.

Nie pamiętam już, do której bramy weszliśmy najpierw, ale w sumie wszystko jedno, wyglądały tak samo. Na lewo od wejścia śmierdzące kubły na śmieci wypełnione po brzegi, a obok sterty tego, co się nie zmieściło. Wokół trzmiele, muchy, robaki. W głębi bramy, na ścianie ołtarzyk z Matką Boską, pod nim świeże, choć oklapłe nieco kwiaty. Wyjście na podwórze. Na środku kolejna Maryja, tym razem rzeźba, podświetlona lampką. U stóp figurki bukiety w słoikach. Na jednym z podwórzy pokazali mi miejsce, gdzie upadł facet, którego żona zamknęła w mieszkaniu na trzecim piętrze, żeby nie mógł wyjść po wódkę. Biedak próbował spuścić się z okna na sznurku do bielizny, ale mu nie wyszło. Kolejną ciekawostką tego domu była historia mężczyzny z drugiego piętra, który powiesił się, wyskakując z okna, bo czekała go długa odsiadka i nie mógł znieść myśli o więzieniu. Wisiał potem przez pół dnia, aż w końcu przyjechała milicja i straż pożarna, wyważyli drzwi do mieszkaniu i wciągnęli trupa. Całą akcję obserwowali mieszkańcy kamienicy, w tym małe dzieci.

Pokazali mi też inne niezwykłe domy i miejsca. Przedstawili „Świętemu", to znaczy staremu Gębowiczowi ze szklanym okiem, który został świadkiem Jehowy i odkąd przestał pić, próbuje nawrócić każdego napotkanego człowieka. I tęgiej kobiecie, która od trzydziestu lat nie była w Warszawie, to znaczy po drugiej stronie Wisły, bo – jak mówi – tu jest Praga i nic innego jej nie obchodzi.

Mieszkania? W co drugim na człowieka przypadają najwyżej trzy metry kwadratowe. Ludzie ściśnięci jak sardynki. Zdarza się, że kobiety zanoszą noworodki do rady narodowej i zostawiają je w sekretariacie. Niech się przewodniczący zatroszczy. Od tego przecież jest. Władze potrafią tylko obiecywać: za tyle i tyle czasu dostaniecie porządne mieszkanie. W ciągu ostatnich pięciu lat udało się stąd wyprowadzić ledwie dwudziestu rodzinom. A na ich miejsce przyszło kolejnych dwadzieścia pięć. Przeważnie z innych dzielnic Warszawy, skąd zostali eksmitowani za niepłacenie czynszu, prądu, niczego. Tacy jak oni trafiają na Brzeską za karę. Rzecz jasna tu też jest około trzydziestu lokatorów, którzy nigdy nie płacą. I nawet nie można im zająć pensji, bo nie pracują.

– Jest kilku delikwentów, których powinno się wyeksmitować nakazem sądowym – skonstatował listonosz. – Tylko powiedz mi pan, dokąd? W Warszawie nie da się upaść

niżej. Jeśli ich stąd wyrzucą, mogą trafić tylko w lepsze miejsce. Dla nich byłby to awans.

Gęsik roznosi listy i pisma urzędowe, więc jest dobrze poinformowany. Do mieszkańców Brzeskiej rzadko przychodzą pocztówki, za to koperty z sądową pieczątką jak najbardziej. Każdego dnia dostarcza ich parę tuzinów. W wielu z nich znajdują się wezwania do odbycia kary.

– Panie, jakie szczęście, że jeszcze nie wszystkich posadzili! – Roześmiał się gorzko.

Do jego zadań należy też roznoszenie emerytur, jeśli komuś takowa przysługuje. Wcześniej zawsze rozmienia banknoty tysiączłotowe na drobniejsze, bo renciści nie lubią wysokich nominałów: jeśli ktoś ich okradnie – co jest tu na porządku dziennym – tracą za jednym razem dużą sumę. Jest też jeden adresat, którego Gęsik nauczył pisać. Z początku tylko nazwisko, a potem cały alfabet. Próbował tego z wieloma, ale tylko z tym się udało.

Burdy, rozboje, morderstwa, samobójstwa, kradzieże, włamania, sutenerstwo i prostytucja. Szemrane okolice, *nyócker*, Kőbánya[11], obrzeża Angyalföld. Piękne miejsce polecił mi Pastuszek, nie ma co! Warto by się tu pokręcić wieczorem i po zmroku, ale człowiek mógłby taką awanturę przypłacić głową. Ludzie spragnieni alkoholu mimo wszystko podejmują ryzyko. Meliny działają tu w co drugiej kamienicy. W tych zwykłych butelkę wódki (innych towarów nie ma) sprzedaje się z dwudziesto- lub trzydziestozłotowym narzutem, w tych bardziej rozwiniętych można też dostać coś do zjedzenia: czystą nalewają do setek, a do niej oferują chleb ze smalcem i cebulą, kiszone ogórki. „Lokale" te mieszczą się na ogół w kuchniach mieszkań i są czynne od jedenastej wieczorem do trzeciej w nocy. Za każdą bramą kryje się jakaś Villa Negra. A jak mówi stara piosenka, „Villa Negra to nie dom zakonny…".

Udało mi się przewietrzyć, ale poczułem się zmęczony. Trudno się dziwić: dochodziła szósta. O tej porze przybysze z zewnątrz powinni zmywać się z Pragi. Pożegnałem się z Heńkiem i Gąską, którzy też zbierali się do wyjścia. Poszedłem w stronę Kawęczyńskiej, a potem na Targową do przystanku. Na rogu obejrzałem się jeszcze. Umorusani smarkacze sprzeczali się ze sobą na obtłuczonych schodach pobliskiej nieotynkowanej kamienicy. Pożarli się o sflaczałą futbolówkę. Na oko uczniowie pierwszej klasy podstawówki. Z ciemnej bramy wyszło nagle dwóch dziesięcioletnich może knypków i bez słowa wyjaśnienia zabrali tamtym piłkę. Jeden z gówniarzy zaczął kasłać jak suchotnik, przeciągle i ze świstem. Drugi sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zmiętego papierosa bez filtra.

– Masz faję, pociągnij se, to ci pomoże. – Wyciągnął rękę do krztuszącego się kolegi. – Mój stary zawsze tak mówił.

Nie byłem ciekaw, co będzie dalej. Wygląda na to, że rośnie kolejne pokolenie. Generacja z góry spisana na straty. Mówiąca językiem, do którego wielu z nas potrzebuje tłumacza. Tyle że i tak ich nigdy nie zrozumiemy. I nie dziwmy się, że oni nie rozumieją nas. Dostałem swoją porcję slangu, nie mogłem się skarżyć.

[11] Dzielnica Budapesztu.

Telepiąc się z powrotem tramwajem, zdołałem jeszcze dojrzeć przez brudnawą szybę pomnik „czterech śpiących". Falował jak odbicie w tafli wody. Szare postaci sunęły przede mną. Aha, przynieśliście wolność ludowi… Awans społeczny, równość. A żeby wam tak przyszło ożyć i mieszkać całe życie na Brzeskiej! Albo w jakimkolwiek innym miejscu, do którego wleźliście swoimi śmierdzącymi buciorami!

15 sierpnia 1978, Göteborg

Od miesiąca i jednego dnia jestem w Szwecji. Przyjechałem z trzema tysiącami dziewięciuset koronami w kieszeni, trochę mi jeszcze zostało, ale niewiele. Jak tak dalej pójdzie, zwariuję. Przywiozłem sumę równą stu tysiącom złotych i niewykluczone, że wrócę z pustymi rękami. Wyśmieją mnie. W końcu Polacy przyjeżdżają tu zarabiać, a nie wydawać. Pozostaje mi nadzieja! Że jutro znajdę pracę. Może właśnie jutro. I tak z dnia na dzień odkładam decyzję o powrocie.

Tymczasem każdego dnia ubywa mi osiemdziesiąt koron. Nie chcę prosić o pomoc krewnych, już i tak czuję się jak rzep na psim ogonie. Mieszkam u Edit, kuzynki. Co rano wychodzi do pracy, a ja szukam roboty. Kupuję sobie jedzenie, nie chcę, żeby mnie utrzymywała, jest lato, nie trzeba ogrzewać mieszkania, zużywam więc najwyżej trochę ciepłej i zimnej wody, tyle może przeżyć. Jest nieustannie w złym nastroju, przeżywa rozstanie z czarnoskórym chłopakiem i regularnie z tego powodu świruje. Na domiar złego koleś jest przekonany, że tylko udaję kuzyna i tak naprawdę łączy mnie z Edit coś więcej. Napięta atmosfera mimo wszystko nie bardzo mi się udziela. Bez większego problemu przechodzę nad tym do porządku dziennego. A poza tym muszę być wdzięczny za możliwość mieszkania i nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby!

Znacznie gorzej znoszę towarzystwo zwierząt Edit! Ma kotkę syjamską, której pozwala na wszystko – wskakiwać na stół, wyjadać z talerza – protestować nie wolno. Każdego miesiąca kocica dostaje napadów rui, sika po kątach, wydaje z siebie nieziemskie dźwięki, zawodzi jak pomiot szatana, ociera rozgrzany hormonami zad o nasze nogi i ręce, nie milknie choćby na chwilę. Jeśli nawet zdarza jej się moment spokoju, człowiek może być pewny, że zaraz wskoczy mu na piersi, umości się i wbije pazury w jego skórę. Oczywiście nawet wtedy nie wolno jej przegonić… Także w chwilach, gdy kotka nie zawodzi, nie może być mowy o wytchnieniu. W mieszkaniu są jeszcze dwie wielkie, białe kakadu, dziobią, wydzierają się, trzepoczą skrzydłami, trzeba z ich powodu nieustannie odkurzać. Żyją w klatce wielkości metra sześciennego, a srają tyle co kury. Nie wiem, jaką przyjemność czerpie z ich obecności kuzynka, bo są całkiem dzikie, nie można się z nimi pobawić ani pogadać, na próżno wymienia im codziennie wyściółkę w klatce. Lubię papugi, bo to rozumne ptaki, ale ta konkretna parka nie rokuje żadnych nadziei. Reagują agresywnie na każdą próbę zbliżenia się do nich. Po jakimś czasie okazało się dlaczego: ich poprzedni właściciel strasznie je zapuścił i właśnie dlatego Edit kupiła je za niewielkie pieniądze. Od roku próbuje wkraść się w ich łaski, ale jak dotąd bezskutecznie.

No i tak… Siostra babci Töpi, łagodna jak baranek ciocia Inci, jest dla mnie bardzo miła, czasem wciska mi do kieszeni sto koron. Prosi tylko, bym nie mówił o tym nikomu, a już zwłaszcza jej mężowi, bo będzie awantura. Wujek Gyuri kocha kapitalizm i jest zwolennikiem selekcji naturalnej. Jego ulubione powiedzonko brzmi: „Głupi mogą wymrzeć". Nie urodził się jeszcze taki żebrak ani bankrut, którego poratowałby bezinteresownie choćby groszem. Jest znakomitym mechanikiem precyzyjnym, specjalistą od ostrych narzędzi. Przed 1956 rokiem próbował działać prywatnie, ale system komunistyczny starał się go zniechęcać na wszelkie możliwe sposoby. W połowie listopada pamiętnego roku spakował rodzinę i ruszyli w stronę granicy. Zawsze był świetnie poinformowaną osobą, wiedział dokładnie, dokąd chce emigrować. Celem była Szwecja, a w niej firma Volvo. Owładnięty obsesją perfekcyjności, jako pierwszy w rodzinie nauczył się płynnie języka i zaledwie trzy lata zajęło mu osiągnięcie tego, co planował: dostał pracę w wymarzonej fabryce samochodów. Od lat jest szanowanym konstruktorem, jednym z najlepszych twórców prototypów. Świetnie zarabia i jest nadzwyczaj sumiennym człowiekiem. Do tego wyznaje zasadę „w zdrowym ciele zdrowy duch" – każdego ranka wstaje wcześniej, żeby mieć czas na godzinkę ćwiczeń. Pięćdziesiąt pompek to dla niego pestka, wykonuje je w dowolnym momencie i bez większego wysiłku. Nienawidzi cwanego, kłamliwego komunizmu i gardzi nim bezlitośnie, więc przynajmniej o tym możemy sobie pogadać w przyjemnej atmosferze.

À propos komunistów. Moja babcia kilka lat temu odwiedziła siostrę w Szwecji. Gdy odjeżdżała, rodzina odprowadziła ją na stację i wsadziła do wagonu pełnego wracających do ojczyzny Węgrów, wujek zaś krzyknął na pożegnanie: „Ica, powiedz tam czerwonym, że mogą mnie pocałować w dupę!". Moja biedna babcia przez całą podróż do Budapesztu siedziała jak na szpilkach w obawie, że ktoś na nią doniesie i będzie mieć kłopoty z powodu szwagra.

Takie właśnie ziółko z tego wujka. Do tego ma boskie poczucie humoru, w zasadzie miły człowiek, ale żeby załatwić mi pracę – nie ma mowy. I to na czarno! Trzeba płacić podatki, ubezpieczenie, co to znaczy, że ktoś korzysta z dobroci państwa, ale nie partycypuje w kosztach?! Odmawia mi więc pomocy w znalezieniu pokątnej roboty. Mówi, żebym się tu sprowadził, ustatkował, nauczył języka, a jeśli chcę żyć jako intelektualista, powinienem stać się szwedzkim intelektualistą. Wymaga to czasu, energii, wytrwałości, ale potem przyjdą owoce, jestem jeszcze młody, mogę sobie na to pozwolić.

Ich druga córka, starsza Zsuzsi, wydała się za Szweda i pracuje jako pielęgniarka, mają dwoje dzieci. Jej mężem jest uroczy facet o twarzy ascety z jasnorudą brodą. Szczupły wiking, wiecznie wesoły, uśmiechnięty, wydaje się, że na świecie niewiele jest rzeczy zdolnych wyprowadzić go z równowagi. Jeździ ogromnym volvo 744 kombi, opróżnia skrzynki pocztowe, dostarcza paczki. Zabrałem się z nim raz czy dwa, żeby pozwiedzać miasto. Janne w swoim klimatyzowanym, wygodnym samochodzie słucha muzyki, jeździ ostrożnie, przestrzegając wszystkich przepisów ruchu drogowego, zwraca uwagę na każdą tablicę. Na poczcie i w mieście wszyscy wyglądają na opanowanych i spokojnych. Wszędzie obłędnie czysto, czasem mam wrażenie, jakbym

przebywał w pięknie utrzymanej makiecie krajobrazu. Widzę, że życie jest dość drogie w stosunku do zarobków, ale i tak się opłaca: ludzie czują się bezpiecznie, przyszłość jest przewidywalna. Oczywiście są tacy, którym powodzi się dużo lepiej, ale właściwie nie spotkałem ani bardzo biednych, ani irytująco bogatych Szwedów. Zsuzsi z rodziną mieszka w mieście-ogrodzie, rząd jednopiętrowych domów wzdłuż ulicy, z przodu mały ogródek, z tyłu większy. Janne jest listonoszem, jego sąsiad inżynierem. Przy tym mieszkają w podobnych domach. I jeden, i drugi mają ten sam model volvo. Inżynierostwo mają oczywiście letnią rezydencję gdzieś na fiordzie i chatkę myśliwską na północy. On poluje, Janne łowi ryby i stać go jedynie na wynajęcie latem nadmorskiej „stugi". Za to obie rodziny spędzały już wakacje w Grecji, Włoszech i Hiszpanii, choć jedna nocowała zapewne w dwu-, a druga w trzygwiazdkowym hotelu. Mógłbym ciągnąć te porównania w nieskończoność, ale i tak nie znalazłbym istotnych różnic. Wujek Gyuri mówi, że parszywi komuniści mogliby przyjechać do Szwecji, żeby się dowiedzieć, czym są socjalizm i sprawiedliwość społeczna.

Wracając do tematu pracy: jedynym człowiekiem tutaj, który faktycznie stanął na głowie, żeby mi pomóc, był Laci Bartha. Sama historia naszego spotkania zasługuje na osobną opowieść.

Prom ze Świnoujścia przypływa do Ystad. Szwedzcy celnicy traktują przybyszów z Polski z dużą podejrzliwością. Nie bez powodu: prawie wszyscy „turyści" przyjeżdżają pracować na czarno, a niektórzy jeszcze próbują przemycać całymi siatkami papierosy, wódkę i czysty spirytus, trochę dla siebie, resztę na handel. Towary te są drogie na północnych wybrzeżach Bałtyku, a w Polsce można je kupić za grosze w peweksie albo jeszcze taniej – w baltonie na pokładzie promu. Szwedzi podobnie – też próbują szmuglować. Kontrola jest raczej wyrywkowa, ale traf częściej dosięga Polaków. Ja miałem pecha, i to jeszcze przed odprawą celną. Dwumetrowi goście w niebieskich czapkach służbowych, patrząc w mój paszport konsularny, zaczęli skrupulatnie wypytywać, jak trafiłem do Polski z Węgier, co tam robię i do kogo przyjechałem w Szwecji. Podobało im się, że odpowiadałem płynną angielszczyzną. Na jedno pytanie nie potrafiłem udzielić sensownej odpowiedzi. Dlaczego mój paszport jest czerwony? Zażartowałem:

– Proszę spytać Jánosa Kádára.

– Kto to jest?

– To najważniejszy człowiek węgierskiego państwa komunistycznego.

Dowcip się nie udał, na ich twarzach nie pojawił się uśmiech, jeden z oficerów zabrał mój paszport do biura, drugi został na miejscu, by mieć mnie na oku. Do tego czasu wszyscy zdążyli już przejść. Przez wielkie okno widziałem, jak tłum ludzi wsiada do pociągu do Malmö. Kurwa, spóźnię się!

I zanim strażnik granicy szwedzkiej wrócił z moim paszportem, pociąg odjechał. Ale cała historia miała też pozytywny aspekt: celnicy wikingowie machnęli ręką zza szyby na znak, że nie interesuje ich zawartość moich toreb. A miałem w nich dwa litry czystego dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu i cztery litry wyborowej, jak również dziesięć sztang licencjonowanych marlboro. Zagrałem *va banque*: postanowiłem, że jeśli spytają,

powiem prawdę, a oni skonfiskują „tylko" to, co przekracza dozwoloną ilość (jeden litr spirytusu i jeden karton papierosów). Człowiek nie powinien w takich sytuacjach kłamać, bo wtedy nie wpuszczą cię do kraju i możesz z miejsca wracać najbliższym promem. Ponieważ jednak o nic mnie nie pytano, mogłem bez przeszkód udać się w stronę peronu. Uratował mnie czerwony paszport… Pozdrowienia dla towarzysza Majakowskiego!

Następny pociąg odjeżdżał za dwie godziny, miałem więc masę czasu. Na pokładzie wypiłem puszkę dobrego, chłodnego piwa i pęcherz zaczął dawać mi się we znaki. Toaleta była na dworcu, w budynku wielkości małego domku rodzinnego, widziałem tabliczkę. Tyle że dzieliło mnie od niej jakieś pięćdziesiąt metrów. Gdzie w tym czasie zostawić bagaż? W mojej głowie pojawił się obraz kolejowego szaletu: zalany wodą i moczem, z niedomykającymi się drzwiami, pobazgraną ścianą, brakiem papieru, niedziałającym kranem i zatkaną muszlą bez klapy, bezbarwnym fajansem oblepionym szczynami i gównem – jak mógłbym postawić bagaż na ziemi w takim miejscu? Wtedy przypomniałem sobie, co wujek Gyuri opowiadał o Szwecji podczas swoich pierwszych odwiedzin u nas. To mianowicie, że w kraju tym się nie kradnie. Zostawiasz rower oparty o drzewo, a następnego dnia znajdujesz go w nienaruszonym stanie. Rozejrzałem się: kilku pracowników kolei stało na peronie, czyści, dobrze ubrani, z poczciwymi twarzami. Wziąłem głęboki oddech, wcisnąłem do kieszeni paszport, portfel i bilety na pociąg, założyłem na szyję torbę z aparatem, rzeczy położyłem na jednej z ławek i poszedłem do toalety.

Wszedłem do środka: chmura zapachów, czystość jak na sali operacyjnej, żadnych pękniętych luster, krany działają, światła włączone, z posadzki można jeść. Nie było pisuarów, ale za to dobrze utrzymane kabiny. Nie zastanawiałem się długo, piwo bardzo mnie już cisnęło, więc wszedłem do jednej z nich, podniosłem nieskazitelnie czystą deskę sedesową i stwierdziłem z ulgą, że jest też papier. Drzwi kabiny zatrzasnęły się niemal bezgłośnie. Kiedy chciałem je otworzyć, okazało się, że to niemożliwe. Miały wbudowany zamek na monety, ale od wewnątrz. Informacja była napisana po szwedzku, angielsku i niemiecku: wrzuć koronę i gotowe, możesz iść. Tak, ale ja nie miałem przy sobie ani grosza, a do tego byłem sam w całej toalecie.

Ściana kabiny nie była zbyt wysoka. Wystarczyła mała gimnastyka i udało mi się wydostać, choć w nerwach, czy mnie nie przyłapią. Spojrzałem na zamek od zewnątrz: okazało się, że monetę można wrzucić z obu stron. Sprytna, mała rzecz, której nie zauważyłem, gnany potrzebą fizjologiczną. Umyłem ręce, użyłem papierowego ręcznika i znów przeszukałem kieszenie, by sprawdzić, czy nie mam w nich choćby korony. Wówczas mógłbym otworzyć kabinę, aby usunąć ślady butów z klapy i ściany, które najpewniej zostawiłem podczas wariackiego wydostawania się na zewnątrz. Moje kieszenie były jednak puste. Dręczony wyrzutami sumienia, opuściłem toaletę w pośpiechu. Naprawdę nie chciałem, by ktokolwiek uświadomił mi moją bałkańską naturę już na samym początku pobytu w tym domku dla lalek, jakim jest Szwecja.

Walizki były na miejscu. Na peronie odkryłem automat z informacją dla podróżnych. Dostępna była również w trzech językach. Znalazłem to, czego szukałem: do Malmö

dotrę innym pociągiem, a stamtąd dojadę koło północy do Göteborga. Biedna Edit, na próżno będzie na mnie czekać o umówionej godzinie, opieszałość szwedzkiej straży granicznej pokrzyżowała nam plany. Chciałem do niej zadzwonić, ale spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że zdążę zatelefonować z Malmö. Tak będzie lepiej, bo na miejscu będę mieć pewność, że pociąg faktycznie odjeżdża tak, jak przeczytałem w rozkładzie w Ystad.

Pociąg składał się z jednego wagonu i przypominał autobus dalekobieżny umieszczony na szynach. Był za to czysty i schludny, jakby właśnie go umyto. Jedynym minusem był zakaz palenia. Ale tę godzinkę do Malmö mogłem wytrzymać.

Maszyna mknęła przez pagórkowaty, zalesiony, skalisty krajobraz. Wtedy po raz pierwszy doznałem wrażenia, że znajduję się w scenerii, jaka otacza kolejki dla dzieci. Będzie mi ono towarzyszyć w czasie całego pobytu w Szwecji. To prawda, że pierwszy raz w życiu byłem na Zachodzie, a z lektur i opowieści wiedziałem, że kraj ten wyróżnia się nawet na tle innych państw wysoko rozwiniętych czystością i porządkiem, ale bezpośredni kontakt podziałał na mnie oszałamiająco. Prawie wszystko jest tu dostosowane do potrzeb ludzi i wygląda jak nowe. Bajkowy świat. Ja zaś sunąłem nim w wagonie pociągu piko. Niesamowicie zielona roślinność, zadbane ogrody, domy i drogi, od razu też rzuca się w oczy, że w oknach prawie nie ma zasłon. Można było zajrzeć do środka z pociągu, zwłaszcza jeśli na drugiej ścianie pokoju również było okno. Ludzie żyją jak w wielkim akwarium. Na wewnętrznym parapecie często stawia się małe lampy – jak się dowiedziałem – po to, aby nawet wieczorem światło dochodziło z tego samego kierunku co za dnia i dawało iluzję słońca w długie, ciemne zimowe dni.

W Malmö okazało się, że mój pociąg odjeżdża zgodnie z rozkładem jazdy z Ystad. Przepisałem bilet na później, rozmieniłem pieniądze i zadzwoniłem do Edit. Zamierzała właśnie jechać na stację. Powiedziałem, żeby nie wyjeżdżała po mnie o wpół do pierwszej w nocy, wezmę taksówkę, niezależnie od ceny. Na tym stanęło.

Dworzec w Göteborgu tonął w żółtym blasku, wszystkie lampy rzucały światło o takim odcieniu. W krajach Północy lipcowe noce nie są tak czarne jak u nas. Letnie niebo jest raczej ciemnoniebieskie, więc nie widać na nim wielu gwiazd, a mimo późnonocnej pory przez chmury przebija gdzieniegdzie słońce. Żółte światło dodatkowo wzmacniało wrażenie, że trwał raczej późny zmierzch niż noc.

Z hali dworca wyszło nas kilkanaścioro, ludzie od razu rzucili się do stojących w rzędzie taksówek. Ostatnią ktoś sprzątnął mi wprost sprzed nosa. Nie było o co się wściekać, w rześkim, czystym powietrzu czuć było zapach morza. Po niespełna pięciu minutach podjechał samochód. Wyskoczył z niego ciemnowłosy, opalony facet z wąsem, około trzydziestki, mruknął coś po szwedzku, otworzył bagażnik i szybko sięgnął po moje walizki. Odpowiedziałem mu po angielsku, ale on potrafił wydukać w tym języku ledwie parę słów. Zaskoczyło mnie to, bo od mego przybycia do Ystad wszyscy zagadnięci posługiwali się dość dobrą angielszczyzną, od konduktora po sprzedawcę gazet. Gdy siedzieliśmy już w samochodzie, podałem mu kartkę z adresem. Pokiwał głową, ruszyliśmy. Po kilku skrzyżowaniach, gdy nie zdążył przejechać na zielonym świetle, wymamrotał gniewnie:

– *…szamegakutya*!

Nie wierzyłem własnym uszom. Naprawdę zaklął po węgiersku? Zapytałem.

– Jesteś Węgrem, brachu? – Odpowiedział mi z budapeszteńskim akcentem, równie zdziwiony. – Pod adresem, który podałeś, na stówę mieszka jedna Węgierka, Edit Koroknay, najlepsza przyjaciółka mojej żony! To do niej się wybierasz?

Rozbawieni sytuacją, przedstawiliśmy się sobie i opowiedzieliśmy krótko, kto jest kim. Gdy dotarliśmy do domu Edit, już wiedziałem, że gość ma na imię László Bartha i nieco ponad dziesięć lat temu dał drapaka z kraju, przepłynął Adriatykiem do Włoch na gumowym materacu, był w obozie dla uchodźców, a potem udało mu się osiedlić na szwedzkiej ziemi. Nawiasem mówiąc, jego żona jest Serbką, byłą jugosłowiańską gastarbeiterką. Laci nie włączył taksometru i nie wziął ode mnie ani grosza. Wyciągnąłem więc butelkę wódki, a on dał się namówić, byśmy ją wypili następnego dnia wieczorem. Odprowadził mnie do progu. Moja kuzynka oniemiała z wrażenia, gdy zobaczyła, kogo prowadzę. Laci wypił kawę i ruszył w nocny kurs.

Całkiem ciekawy był ten następny wieczór… I co ważniejsze – pouczający! Bartha skrzyknął kilku znajomych. Nie było wśród nich Polaków, przyszli za to Szwed i Serb, ten ostatni załapał się dzięki żonie. Do tego dwóch Węgrów. Jeden w moim wieku, z Ukrainy Zakarpackiej, drugi – dwudziestotrzyletni Żyd.

Laci poznał chłopaka z Zakarpacia – nazwijmy go Miklósem – jeszcze we włoskim obozie i od tego czasu są przyjaciółmi. Niewiarygodna historia, jak udało mu się uciec ze Związku Sowieckiego! Zanosiło się na to, że po starszym bracie przyszła kolej na niego i zostanie wcielony do wielkiej Armii Czerwonej. Brat trafił do Kazachstanu, gdzie wśród stepów służył w artylerii. Do najbliższego miasta miał trzydzieści kilometrów, latem upał, zimą okrutny mróz, zamiast jedzenia – pomyje, do tego smród, brud, wszy, zgnilizna i szykany. W ciągu trzech lat w wojsku tylko dwa razy mógł pojechać do domu, na dwa tygodnie. Prawdziwa szkoła przetrwania. Miklós nie miał ochoty na podobne doświadczenia. Z zawodu był kucharzem, ale celowo zatrudnił się na kolei jako magazynier. Zanotował, kiedy i jaki skład jeździ na Węgry z bryłowatym miałem przypominającym węgiel. Zrobił sobie solidną, mocną skrzynię z nieoheblowanych desek. Nocnym stróżem na stacji był stary Węgier, były „maleńkij robot". Miklós musiał go wtajemniczyć, bo sam nie byłby w stanie zrealizować planu: w jednym z wagonów zrobili obok zwałów węgla miejsce na „budę", chłopak ukrył się w niej z kilkudniowym zapasem prowiantu i wodą, a staruszek naładował tyle miału, by mógł go zakryć. W pociągu przyszło mu spędzić trzy dni, nim zatrzymali się na dłuższy postój. Pory dnia i nocy rozpoznawał według światła wpadającego przez szczeliny, a z rozmów przechodzących obok kolejarzy zorientował się, kiedy dotarli na Węgry. Zaczekał, aż zapadnie noc, a potem przekopał się do wyjścia. Miał szczęście, wokół składu nie było żywej duszy. Rosyjski węgiel odstawiono na bocznicę w Rákosrendező[12]. Miklós miał na tyle oleju w głowie, by zaczekać do świtu – nocna włóczęga po obcym mieście

[12] Stacja kolejowa w Budapeszcie.

była ryzykowna, a gdyby wpadł, mógł pokazać tylko papiery sowieckie i węgierską metrykę chrztu.

Rano pomaszerował do miasta, w łazience na Nyugatim[13] doprowadził się trochę do porządku, za uciułane wcześniej forinty kupił śniadanie i mapę, po czym zarzucił plecak na szyję i szwendał się po ulicach do zmierzchu. Dopiero wtedy zapukał do drzwi budapeszteńskich krewnych, by mieć pewność, że zastanie ich w domu po pracy. Gospodarze prawie zemdleli, gdy się przedstawił i powiedział, skąd przyjechał. Wiedzieli o jego istnieniu, ale wcześniej nigdy się nie spotkali. Miklós twierdził, że w życiu nie widział tak przerażonych ludzi. Drżącym głosem poradzili mu, aby oddał się w ręce milicji, zanim będą kłopoty. Ktoś mógł na nich donieść, dozorca albo sąsiad, a wtedy…

Następnego dnia Miklós wymknął się cichaczem z mieszkania. Wrócił na dworzec Nyugati i zakolegował się miejscowymi menelami. Przez dwa miesiące rozładowywał łopatą węgiel, pracując pod przybranym nazwiskiem, i w ten sposób zarabiał na życie. Wśród węglarzy byli dawny oficer wojskowy Horthyego, lekarz wyrzucony z zawodu, zdeklasowany adwokat, skazaniec pięćdziesiątego szóstego roku i kilku pospolitych przestępców – według Miklósa ekipa hardych, ale solidarnych ludzi. Nikt go nie wydał. A gdy tylko nadarzyła się okazja, jeszcze mu pomogli. Ukryli go w ekspresie do Jugosławii. W toalecie jednego z wagonów zdjęli płytę pokrycia sufitu, Miklós schował się w przestrzeni nad stropem, a następnie płytę umieścili z powrotem, wkręcając jednak śruby na tyle luźno, aby odpadły pod wpływem silniejszego nacisku. Miał szczęście, nie odkryto go. Z Belgradu pojechał autostopem do Kopru[14]. Tam spakował ubrania do wodoszczelnej torby i w samych kąpielówkach nocą wypłynął w morze. Nie miał gumowego materaca jak Laci, więc kiedy się męczył, machał nogami w miejscu, nadmuchiwał torbę i odpoczywał na niej. Płynął tak przez sześć godzin. W końcu udało mu się dotrzeć do wybrzeża włoskiego. W Szwecji zaczynał jako robotnik, obecnie jest kucharzem w małej restauracji.

Historia chłopca żydowskiego – nazwijmy go Tamásem – jest znacznie prostsza niż perypetie Laciego i Miklósa. Przyjechał tu z paszportem turystycznym. Udał się do miejscowej gminy wyznaniowej i powiedział, że chce zostać. Potem ruszyła machina biurokratyczna. W ciągu dwóch miesięcy otrzymał zezwolenie na pobyt tymczasowy. Potem dostał roczne stypendium, jedyne, co musiał robić, to uczyć się szwedzkiego. Następnie wydzierżawiono mu butik. A w końcu dostał pożyczkę na rozpoczęcie własnej działalności. Słowem, ma się jak pączek w maśle.

– Widzisz – powiedział Laci – niektórzy potrafią zadbać o swoich ziomków. Nienawidzę antysemitów! Gdybyśmy my, Węgrzy, trzymali się razem w taki sam sposób, byłoby nam znacznie łatwiej zacząć nowe życie w obcym kraju. Zobaczysz, jak skorzy do pomocy są nasi rodacy!

Cóż, przekonałem się o tym. Z całą pewnością nie jesteśmy Żydami. Choć Laciego mogliby przyjąć do gminy jako honorowego członka. On jeden starał się pomóc.

---

[13] Nyugati (Zachodni) – jeden z głównych dworców w Budapeszcie.
[14] Koper – miasto słoweńskie położone nad Adriatykiem.

Pożyczył mi swoją mazdę, żebym mógł szukać pracy po wsiach. Dał też mapę, parę dobrych rad i adresów. I uczulił na jedną ważną rzecz: muszę bezwzględnie przestrzegać zasad ruchu drogowego, bo tutejsi gliniarze nie znają się na żartach i nie biorą w łapę. Do tego wszystkie punkty karne gromadzone są w jednym systemie, a po pewnym czasie wiąże się to z dużymi kosztami. Musiałem być ostrożny.

A jednak nie umiałem się powstrzymać. Jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miasta wjechałem na całkowicie pusty odcinek, prosty jak linijka, szosa widoczna na dziesięć kilometrów, po obu stronach wzgórza i gęsty las. Na drodze żywej duszy. Prędkościomierz mazdy kończył się na dwustu czterdziestu kilometrach. Fakt, maksymalna dozwolona szybkość wynosiła w tym miejscu dziewięćdziesiąt na godzinę. Pomyślałem, że spróbuję, tylko przez moment, nigdy jeszcze nie rozpędziłem się do ponad dwustu, zobaczę, jak to jest. Maszyna przyspieszyła jak szatan, zobaczyłem na liczniku dwieście dwadzieścia – jak napięcie w gniazdku elektrycznym – boskie uczucie! Zwolniłem do dziewięćdziesięciu, przejechałem parę kilometrów, gdy przy zatoczce zatrzymał mnie policjant. Dwumetrowy wiking z czerwoną brodą, około trzydziestki, ciało jak posąg. Podobnie mógł wyglądać Eryk Rudy, żeglarz z Grenlandii. Wylegitymował mnie grzecznie, mówiąc płynną angielszczyzną, a potem poprosił, bym wsiadł z nim do radiowozu. W środku wsunął plastikowy dowód rejestracyjny Laciego do aparatu przypominającego taksometr i w ciągu kilku sekund maszyna wypluła z siebie dwudziestocentymetrowy pasek zadrukowanego papieru. Nawiązał łączność z centralnym rejestrem… Na kartce wypisanych było z pięćdziesiąt różnego typu informacji. Dopiero wtedy zapytał, dlaczego to ja prowadzę auto, kim jestem i skąd przyjechałem, kiedy i do kogo, czemu jako Węgier mieszkam w Polsce i tym podobne. Aż w końcu przeszedł do sedna: dlaczego prułem po drodze przeszło dwieście na godzinę? Skąd niby wie? Nie widziałem nigdzie radaru… Policjant się roześmiał: mierniki wbudowane są w słupy sygnalizacyjne na poboczu, w całym kraju. On tylko zatrzymuje się gdzieś w okolicy, namierza najbliższy i czeka. Zgodnie z sygnałem radaru moja mazda była jedynym autem, które tędy przejeżdżało, więc z nikim nie mógł mnie pomylić. Prosta sprawa. Zrobił mi wykład o zagrożeniu, które spowodowałem, i o przykrych konsekwencjach, jakie mogą spaść na mojego przyjaciela. W końcu jednak nie spisał protokołu i nie wbił kary w komputerze. Nie wiedziałem, jak mam mu dziękować. Uśmiechnął się tylko, nie oczekiwał wdzięczności, wyjął za to zdjęcie z portfela. Była na nim piękna blondynka z trzyletnią dziewczynką na rękach.

– Jadwiga, moja żona – wyjaśnił. – To od niej słyszałem powiedzenie „Polak, Węgier, dwa bratanki". Powiem jej wieczorem, że spotkałem wariata drogowego z Węgier, który też ma żonę Polkę. *Polish girls are extremely fine, aren't they*? Rewelacyjne są te polskie dziewczyny, co?

Na tym stanęło. Uścisnęliśmy sobie graby. Nigdy bym nie pomyślał, że „polskość" może mi pomóc w tarapatach. A dokładniej – pomogły mi w tym istotnie niezrównane polskie kobiety!

Wszystko pięknie, ale nawet na prowincji nie udało mi się znaleźć roboty. Dlaczego nie trafiłem na dziarskiego szwedzkiego farmera, który ożenił się z Polką?!

25 sierpnia 1978, Göteborg

Nie wiem, czy los spojrzał na mnie łaskawszym okiem, ale pracuję, i to już od pięciu dni. Ledwo żyję. Haruję w porcie od dziesięciu do czternastu godzin na dobę. Jak to jest ładować skrzynie z bananami we wnętrzu statku, gdy na dworze trzydzieści stopni, zrozumie tylko ten, kto sam tego doświadczył. W powietrzu można zawiesić siekierę, odór zgnilizny, mrok, pięćdziesiąt stopni Celsjusza. To tak, jakby codziennie wychodzić z piekła po końcu zmiany. I nie ma dyskusji: płacą na akord. Jeśli „patron" wezwie cię wieczorem, musisz iść, nie ma rady. Więc milczę, nie narzekam i się cieszę, że po niecałym tygodniu mam tyle forsy, co w chwili przyjazdu. Inni pracownicy narzekają, że wynagrodzenie niskie. Dla nich. Dla mnie równowartość pięćdziesięciu dolarów dziennie w przeliczeniu na złotówki to jak wygrana w totku.

Z drugiej strony jestem pewien, że przez jakiś czas będę dostawał wysypki na samo wspomnienie bananów.

5 września 1978, Göteborg

Z bananów przerzuciłem się na mrożone ryby. Po dwóch dniach nabawiłem się chronicznego kataru. Trudno się dziwić, w końcu na dworze jest jeszcze koniec lata, a w przepastnym brzuchu statku panuje temperatura minusowa. Ciągle czuję na sobie zapach ryby, choćbym się mył nie wiem ile. Do tego kotka Edit! Puściła w niepamięć wszystkie przeszłe konflikty i łazi za mną jak pomylona. Zapewne uważa mnie za jakiś wielki, chodzący delikates.

15 września 1978, Warszawa

O ile czarująca Szwecja była dla mnie pozytywnym szokiem, o tyle powrót do Polski był jak nokaut, celnie wymierzony cios w samą brodę. Na promie czuć było jeszcze atmosferę świata, z którego przybywaliśmy, więc tym mocniej uderzyła w nas odmienna rzeczywistość, gdy zeszliśmy z rampy w Szczecinie. Kontrast był ogromny i silniej odczuwalny niż w czasie podróży w przeciwną stronę. Porządek, czystość, przewidywalność i organizacja zamienione na brud, smród, śmieci, pleśń, rdzę, zgniliznę oraz wszechobecny bałagan i apatię. A do tego z miejsca deptanie godności ludzkiej. Żeby człowiek nie miał wątpliwości, do jakiego świata wrócił.

Przykład. Stoimy w długiej kolejce przed ladą polskiego urzędu celnego. Mężczyźni, kobiety, dzieci, ludzie w różnym wieku, ale większość z nich to studenci wracający z letniej pracy na czarno przed początkiem roku akademickiego, który zaczyna się za dwa tygodnie. Przede mną dystyngowana kobieta po pięćdziesiątce, mogłaby być moją matką. Wygląda na zadbaną, jej zachowanie i ubiór wskazują, że jest tradycyjnie wychowaną mieszczanką. Para umundurowanych facetów, jeden o twarzy konia, drugi świni, pytają, co przywiozła. „Drobiazgi – odpowiada – kosmetyki, żurnale,

wykroje krawieckie". Każą jej otworzyć jedyną walizkę. Dama zdenerwowana, wyraźnie trudno jej zachować spokój. Oczy celników zapalają się, poczuli krew. Energicznie obracają ku sobie plastikową walizkę i zaczynają grzebać, przewracają starannie ułożoną zawartość. Nagle na ich gębach pojawia się uśmieszek, wymieniają znaczące spojrzenia, a potem świniowaty wyciąga tryumfalnie kolorowe, podłużne pudełko. W opakowaniu znajduje się celofanowe okienko, przez które dokładnie widać, co jest w środku – biały wibrator, dokładnie odwzorowujący kształt penisa. Wokół stoi dziesięć–dwadzieścia osób, wszyscy widzą, co się dzieje. Niektórzy marszczą brwi, inni chichoczą głupkowato. Kobieta rumieni się na widok intymnego urządzenia, próbuje je schować. „Ależ panowie, proszę, nie tutaj". Jej głos drży, niemal płacze ze wstydu. Celnicy jednak biorą się za spisywanie protokołu: próba przemytu nielegalnej pornografii, która narusza moralność socjalistyczną. Ten o końskiej twarzy przerzuca dalej w walizce majtki, kombinezony, kolorowe gazety. *Corpus delicti* leży na samym środku, obok urzędowych pieczęci i bloków, nie zabierają go, ale też nie pozwalają kobiecie schować. Wyraźnie chcą ją upokorzyć. Prosiaczek dalej przegląda bagaże i równocześnie rzuca do kolegi:

– Józek, twój też jest taki duży?

– Mój tak wygląda w stanie spoczynku! Tylko czasem nie mogę dokupić baterii – odpowiada drugi.

Znaczy się, wróciliśmy na stare śmieci…

W całej tej mizerii pociesza mnie myśl, że przez dwa miesiące pobytu w Szwecji nie wydałem ani grosza ze swoich zaskórniaków, a nawet udało mi się uściubić dodatkowych pięćset–sześćset dolarów. Oczywiście wyjazd opłaciłby się naprawdę, gdybym przez cały czas pracował. A tak były to jedynie wakacje, z początku bardzo nerwowe z powodu szybko topniejących oszczędności.

Komunistyczna bylejakość będzie mi teraz doskwierać jeszcze bardziej, co do tego nie mam wątpliwości. Rozumiem już, dlaczego towarzysze tak bardzo utrudniają obywatelom włóczęgę po krajach Zachodu. Pojąłem też wreszcie, skąd się bierze ta zwyczajowa formułka przy odmowie wydania paszportu: „Pana/Pani wyjazd nie leży w interesie publicznym". Ileż w tym prawdy! Obywatel może się na własne oczy przekonać, jak się żyje tu, a jak tam, i skutek murowany: jeśli do tej pory nie czuł nienawiści do systemu, to teraz zacznie. Wpadnie w depresję, zbuntuje się, zesmutnieje albo zapisze się do opozycji, będzie mnożył przykłady, „psuł atmosferę" – innymi słowy, zakwestionuje dogmat, który mówi, że komunizm to najlepszy ustrój na świecie. Ciekawe, że formuła odmowy brzmi tak samo w Polsce i na Węgrzech, a pewnie także w innych krajach „obozu pokoju"! Ułożono ją zapewne w Moskwie…

Rzecz jasna kapitalizm nie wszędzie zapewnia taki dobrobyt jak w Szwecji, w której socjaldemokraci rządzą od niepamiętnych czasów. Teoretycznie w większości republik bananowych także obowiązuje system wielopartyjny, demokracja parlamentarna i wolny rynek, a mimo to nie da się tych państw porównać z tak zwanymi krajami rozwi-

niętymi. Ale w końcu od tego jesteśmy ludźmi, aby umieć się bronić przed oddechem „żółtej paszczy kapitału", o której pisał Attila József, wysłać kapitalistów do dentysty, przepisać pastylki miętowe, oduczyć swawoli, choćby w ten sam sposób, w jaki zrobiono to w znakomitym skądinąd filmie Kubricka *Mechaniczna pomarańcza*. Churchill miał rację: demokracja nie jest idealnym systemem społecznym, ale lepszego jak dotąd nie wynaleziono. Mówiąc wprost, w porównaniu z naszą rzeczywistością w tamtym świecie naprawdę panuje wolność. Mimo wszystkich wad – jest o niebo lepszy od dowolnej formy socjalizmu o korzeniach bolszewickich.

Co jest siłą napędową świata w kraju socjalistycznym? Gospodarka niedoboru i korupcja. Na Zachodzie liczy się prawdziwa, godnie opłacana praca. Ojciec powtarzał często: lepiej być świetnym robotnikiem niż marnym inżynierem. Na czym opiera się w praktyce „realny socjalizm"? Nie opłaca się być świetnym robotnikiem, bo i tak nie przekłada się to na pieniądze, a jeszcze można na siebie ściągnąć nienawiść przeciętnej większości. Zły inżynier? Ktoś taki nie istnieje. Jeśli się na niczym dobrze nie znasz, wstąp do partii, nadskakuj tym na górze, depcz tych pod sobą, aż w końcu dochrapiesz się posady dyrektora w biurze projektowym. A wtedy dobrzy, choć słabo opłacani inżynierowie będą tańczyć, jak im zagrasz. W takim właśnie bagienku przyszło nam żyć, bracia. Źli inżynierowie płacą swoim pieskom – marnym dziennikarzom, kiepskim historykom i filozofom, całej zgrai ćwierćinteligentów – za wypisywanie na stronach gazet (przy notorycznym braku papieru to też sposób na zarządzenie gospodarką niedoboru!) pięknych haseł i wzniosłych celów, których i tak nie da się urzeczywistnić w otaczającym nas świecie. Wszędzie tylko kłamstwo, manipulacje, brak dostępu do informacji, cenzura, pranie mózgu. Nie zdążyliśmy nawet poznać prawdy, a już jesteśmy zmuszeni ją fałszować. Blef, obłuda, przekupstwo, cwaniactwo – na tych „wartościach" opiera się nasze biedne życie. A kto osiągnie w nich doskonałość, może zostać pierwszym sekretarzem albo nawet ministrem!

Szlag by to wszystko! Ileż prawdy jest w sentencji biblijnej: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie"! Lepiej bym wyszedł, gdybym był prymitywnym, nieokrzesanym chamem! Posadka (niekoniecznie wymagająca faktycznej pracy), żarcie, piwo, żonka z pulchną pupą, wieczór przed telewizorem, ciepłe wyro, w weekendy wyjazd na działkę z drewnianą budą otoczoną wkopanymi w ziemię oponami w tandetnych barwach, do tego mieszkanko w bloku, trabant – istny raj. A wolność? Po co komu? Dlaczego miałbym myśleć o przyszłości? Na cholerę? Wystarczy trochę chleba i igrzysk. Najlepiej za darmo. A skoro dają, to trzeba umieć się podlizać, oddać głos na dobroczyńcę. I tak kandydaci Frontu Ludowego zgarniają dziewięćdziesiąt procent w wyborach. Boże, jeśli kiedyś wybuchnie tu rewolucja, to celem nie będzie wolność, ale tak zwana mała stabilizacja!

Gdzie się podzialiście, moi drodzy, kochani rewolucjoniści pięćdziesiątego szóstego roku?!

20 września 1978, Warszawa

Tłumaczyłem dla delegacji księgarzy. Zapytali, czy w mieście jest jakiś duży targ staroci, coś jak Ecseri w Budapeszcie. Zabrałem ich w jedno miejsce. Sprzedaje się tam głównie antyki, ale znaleźć można też mnóstwo wydawnictw współczesnych. Węgrzy nie mogli się nadziwić, że widziane jeszcze wczoraj w Domu Książki tegoroczne nowości oferowane są tu przez szemranych handlarzy po cenach aukcyjnych. Tomy, które można nabyć w sklepie za trzydzieści, czterdzieści złotych, na targu rozchodzą się za dziesięć razy tyle. Chcieli wiedzieć, dlaczego ludzie nie kupują w księgarni po niższej cenie.

– Bo tam ich nie dostaną – wyjaśniłem. – Zmagamy się z długotrwałym brakiem papieru – powtórzyłem jak katarynka oficjalny frazes prasowy.

Nie chcieli wierzyć, że w trzydziestopięciomilionowym państwie wydaje się mniej więcej tyle samo książek co u nas. A zwyczaje są takie, że personel księgarni lub znajomi wykupują nowości wydawnicze i sprzedają je z niemałym zyskiem na bazarze.

W ubiegłym tygodniu w programie kulturalnym „Pegaz" poruszano akurat kwestię niedoboru papieru. Co roku państwo wykorzystuje do różnych celów prawie milion ton tego materiału. Z tego na rynek wydawniczy trafia ledwie trzy procent. A w tej liczbie mieści się zarówno literatura piękna, jak i różne książki fachowe.

Przy tym z wielkich plakatów ulicznych krzyczą hasła zachęty do czytania. Ich rozpowszechnianie powinni opłacać bazarowi handlarze, bo to oni przede wszystkim bogacą się na ludziach zgłodniałych lektury.

22 września 1978, Warszawa

Byłem wczoraj na polowaniu z dewizowcami. A konkretnie z grupą kilkunastu Francuzów. Wśród nich kierowca taksówki, technik mechanik, nauczyciel z liceum, lekarz, inżynier, mechanik samochodowy, kwiaciarz, kelner i kierownik zmiany z warsztatu podwozi Renault. Zamiast komentarza przychodzi mi do głowy pytanie: kiedy nastaną czasy, że i Węgrzy, Polacy, Czesi czy inni przedstawiciele państw RWPG będą mogli pojechać na Zachód na łowy?

Odpowiedzi udzielił mi miejscowy leśniczy, którego słuchałem przez pół wieczoru.

– Co za świat, panie, co za świat! Wszystko postawione na głowie… Złotówka nie ma żadnej wartości. Proszę sobie wyobrazić: w ubiegłym miesiącu chciałem kupić piłę łańcuchową. Wie pan, do wycinki, na benzynę. Mam swój kawałeczek lasu, stamtąd biorę co roku drewno na opał. Proszę na mnie spojrzeć: jestem po sześćdziesiątce, kawał faceta, tylko siły już nie te co dawniej. Przeklęty reumatyzm, niech go szlag, czasami nie mogę dźwignąć siekiery, a co dopiero rąbać. Syn mieszka w Warszawie, nie pomaga mi. Więc potrzebowałem piły.

Poszedłem do sklepu, mówią, że nie ma. Jak to nie ma, skoro sześć lat temu własnymi rękami budowałem zakład, w którym się je produkuje? Nie ma i już. Pojechałem do Warszawy, tam jest lepsze zaopatrzenie, przez kilka dni schodziłem wszystkie sklepy.

Nie znalazłem nigdzie poza peweksem, gdzie można kupić za dolary. Sto sześćdziesiąt pięć zielonych, wyobrażasz pan sobie?! Niech ich diabli wezmą! „Panie – mówię do sprzedawcy – w tym kraju płaci się w złotówkach, niech mi pan sprzeda za polską walutę!" Spojrzał na mnie jak na kretyna ze wsi, który nie wie, jak sprawy stoją… Taka mnie wzięła wściekłość, kiedy zobaczyłem, że w tym peweksie jest wszystko, czego nie ma w normalnych sklepach! W końcu przyszedł kierownik i pogroził, że wezwie milicję. Powiedział, że mnie aresztują, jeśli nie przestanę „podskakiwać"… Jestem facetem starej daty, panie, ale myślałem, że się tam rozbeczę jak smarkacz!

Wniosek z tego taki, że polska waluta nie jest nic warta. Nadaje się tylko do tego, by wypłacać w niej pensje frajerom. Masz tu figę i nie marudź! A biedny pracownik może się nią co najwyżej podetrzeć. Jeśli nawet może za coś zapłacić w złotówkach, musi stać w kilometrowej kolejce. Wybór towarów żaden, człowiek się cieszy, gdy dostanie cokolwiek.

Spójrz pan, wszystkie zęby mam sztuczne. Powypadały mi we francuskich kopalniach w czasie wojny i później. Dopiero w czterdziestym ósmym wróciłem do Polski. Boże drogi, po jaką cholerę?! Tylko dalecy krewni przeżyli, z naszego domu została ruina. Ale człowiek tęskni za ojczyzną, za swoimi. Z odłożonych pieniędzy dokupiłem trochę ziemi do tego, co dawali rolnikom, własnymi rękami zbudowałem dom, miałem niewielkie gospodarstwo. Kiedy udało mi się stanąć na nogi, założyłem rodzinę.

Końmi się już dzisiaj nie orze, chciałem kupić maszyny. Oj, ciężko z tym było, ciężko, od samego początku! Aleśmy przynajmniej byli na liście, mogliśmy w końcu kupić traktor i inne rzeczy za złotówki. Nie tak jak dziś, że już niedługo za chleb trzeba będzie płacić w walucie! I jak ma, u licha, przeżyć chłop bez nowoczesnych maszyn?! Wiem, o co im chodzi! Chcą nam tu zaprowadzić kołchozy, panie, kołchozy! Przycisnąć prywatnych do muru, żeby nie było ich stać na nasiona, nawozy, odchwaszczanie, na nic, i żeby potem nie mogli dotrzymać umów albo ustalonych cen.

Niedoczekanie! My tu na wsi zawsze sobie poradzimy, co najwyżej nie uprawiamy na rynek, ale jeden to, drugi tamto, potem wymieniamy się produktami, a miastowi niech się wypchają! Mówię panu, oni nam tu jeszcze wprowadzą kartki na żywność, jak za okupacji!…

Następnego dnia mieliśmy jeszcze okazję pogadać, towarzysząc Francuzom. Wspominał Batorego, Ludwika Węgierskiego, Jadwigę, nasze powstania, ojczulka Bema, uchodźców polskich na Węgrzech w czasie wojny – okazał się dobrze poinformowanym człowiekiem. Z Francuzami, ku wielkiemu zdumieniu gości, rozmawiał po ichniemu.

Po zakończonym polowaniu łowczy zaczęli wesołe, dzikie harce, strzelali do kapelusza jednego z nich, następnie zaś do dziurawego jak sito nakrycia głowy zbierali franki dla leśniczego. Wyszła z tego całkiem przyzwoita sumka. Mężczyzna zarumienił się ze wstydu jak piwonia, ale przyjął podarunek. „Do głowy by mi nie przyszło, że będę kiedyś przyjmować jałmużnę jak jaki żebrak" – wymruczał do mnie, przeliczając pieniądze. W jego spojrzeniu pojawiła się nadzieja. „Jeśli dobrze liczę, wystarczy na piłę łańcuchową w peweksie…"

No i tak. Zdaje się, że nieprędko złożymy Francuzom rewizytę.

29 września 1978, Warszawa

Roboty mam od cholery. Niby chwała Bogu, bo są z tego pieniądze, ale już ledwo zipię. Nieustannie coś przekładam albo jeżdżę tłumaczyć, na odpoczynek nie mam czasu.

A do tego szwankuje mi pęcherz, możliwe, że to jeszcze efekt roboty na szwedzkim statku chłodni, ale dręczy mnie to zapalenie okropnie. Byłem dwa razy na badaniach. Pobrali krew, zaniosłem mocz, sprawdzali na różne sposoby, biorę trzy rodzaje leków, nie pomaga. A odwiedziny u doktora to też osobliwa droga przez mękę. Dwie wizyty zajęły mi łącznie sześć godzin. A potem jeszcze godzina w laboratorium. Z powrotem do doktora: półtorej godziny. Poszedłem po wyniki: okazało się, że pielęgniarka coś spartoliła, trzeba było znowu pobrać krew i mocz, a najbliższy wolny termin do doktora w sobotę o dwunastej. Kolejna godzina stracona. Lekarz, chodzenie po aptekach, bo w jednej nie mają tego, a w drugiej tamtego – łącznie trzy godziny. Słowem, zajęło mi czternaście godzin, zanim dowiedziałem się, co mi dolega i co mam na to brać. Tyle trwało postawienie diagnozy: nieżyt dróg moczowych, i rozpoczęcie leczenia. W tym czasie mógłbym przetłumaczyć dwadzieścia stron. I zarobić tysiąc sześćset złotych, czyli pół wynagrodzenia Joli. Mniej więcej taką kwotę musiałem wydać na „bezpłatną" opiekę zdrowotną i leki z wyższej półki cenowej (to znaczy importowane z Zachodu, bo polskich brak). Jeszcze dobrze, że pracuję jako wolny strzelec, haruję dzień i noc, więc stać mnie na to. Ale co ma zrobić nieszczęsny robotnik, który żyje tylko z pensji państwowej? Wybór jest prosty: albo będzie jeść i ogrzewać mieszkanie, a własne zdrowie powierzy Bogu, albo zapłaci za leki i doktora, a później, zdrowy, umrze z głodu albo chłodu.

Jola w ostatnim czasie nie ma na nic ochoty, taka jest zmęczona. Do pracy chodzi na ósmą, od czwartej do siódmej ma kurs francuskiego, od ósmej do dziesiątej wieczorem – próby tańca jazzowego.

Dziś ma się okazać, czy przyjmą ją do grupy, która pojedzie na występy do Włoch. Wszystko organizuje państwowa agencja, miejmy więc nadzieję, że system nie upadł tak nisko, by sprzedawać dziewczyny do zachodnich burdeli…

Rany… Niech już piekło pochłonie cały ten socjalizm! Razem z naszym leniwym azjatyckim praojcem Arpadem[15]! Na cholerę mu była miodem i mlekiem płynąca Kotlina Panońska! Dlaczego nasi przodkowie zapuszczali się na zachód tylko za przygodą, zamiast osiedlić się te tysiąc kilometrów dalej?

7 października 1978, Warszawa

Nie mogę się doczekać wystawy Hanki Królikowskiej. Parę dni temu odwiedziliśmy ją w pracowni i byłem zadziwiony jej pracami. Na obrazach domy, ściany budynków, miejskie podwórza. Nieotynkowane, sypiące się, mroczne, wymarłe kamienice z zaśle-

[15] Arpad (ok. 845 – ok. 907) – wódz plemienia, z którego wywodzili się przodkowie Węgrów, zasiedlający Panonię. Założyciel pierwszej węgierskiej dynastii – Arpadów.

pionymi oknami. Rozkład, zniszczenie, ślady po kulach, naderwane balkony, klatki schodowe z wybitymi szybami. Ani śladu człowieka. Na strychach osierocone sznury do wieszania bielizny. Pokój z wybrzuszonym tynkiem, gnijącą podłogą, szkielety mebli, a w głębi drugi pokój, zza wypaczonych drzwi wysypują się śmieci. To jedyne, co sygnalizuje obecność ludzi: odpadki. Podwórze. Ciemna studzienka, na dnie kamienne kostki, wlot kanału przesłonięty kratą. Opodal wózek dziecięcy z połamanymi kółkami, pusty. Szarość. Brak rzeczywistych konturów, a jednak wszystko oddane bardzo plastycznie w pozbawionym słońca krajobrazie. Teren, dokąd nie dochodzi światło dzienne, a tylko jego refleks. Cisza jak w miejscu straceń, po egzekucji. Bezgłośne obrazy. Do wszystkich tych podwórzy, pokoi, klatek, strychów nie przedostają się hałasy ulicy. A mimo to czuć wyraźnie, że jesteśmy w mieście. Mieszkania zawieszone w pustce. Wszystko utrzymane w tonacji zielonkawej, także czerwone cegły zdają się mienić tym kolorem. Jakby pokrywały je stuletni mech, porost i pleśń.

Maluje obrazy na podstawie fotografii. Zrobiła je tu, w Warszawie. Są to budynki, które przeżyły wojnę, powstanie, socjalizm i doczekały naszych czasów. Rozpoznaję kilka z nich: to domy z niedalekich okolic Żelaznej.

Człowieka coś chwyta za serce, gdy patrzy na te obrazy. Już teraz czuję żal, że kolekcja zostanie sprzedana w częściach. Powinno się ją oglądać całą, tak bardzo porusza.

Gratuluję, Haniu!

9 października 1978, Warszawa

Z całego programu panoramy kina angielskiego tylko dwa filmy zasłużyły na moją uwagę: dramat psychologiczny *Wrzask* Skolimowskiego i *Barry Lyndon* Stanleya Kubricka.

Wypisałem parę cytatów z trwającego tydzień przeglądu. Notowałem w ciemnej sali projekcyjnej Stodoły. „Nie ma już dobrych i złych, jesteśmy sobie równi". „Władza totalna korumpuje w sposób totalny". „Nikt już w nic nie wierzy. I dlatego świat upadł. Dlatego wszyscy upadliśmy". Nie ma znaczenia, w którym filmie, z czyich ust i w jakim kontekście zabrzmiały te słowa. Mogłyby posłużyć za samodzielne sentencje. Cenzura puściłaby je choćby do masowej dystrybucji, bo stanowią część fabuły ze świata zgniłego kapitalizmu. A prawda ludzi uciskanych na Zachodzie nie ma przecież nic wspólnego z prawdą socjalizmu.

Dziś rano przeglądałem ostatni numer „IPM"[16]. Był w nim przedruk artykułu z czasopisma „Time" o marynarzach amerykańskich. Redakcja zamieściła go z pewnością w celach porównawczych, bo parę stron dalej dano tekst o żołnierzach floty sowieckiej. A w nim pewna prawidłowość: o śmierci amerykańskich *marines* pisze się po prostu – „zginęli", o Rosjanach zaś – „ponieśli bohaterską śmierć". Widać autor nie do końca podziela zdanie promowanego przez komunistów Hemingwaya – dzwon nie bije tak samo dla wszystkich…

[16] „Interpress Magazin" („IPM") – czasopismo węgierskie prezentujące teksty edukacyjne i naukowe.

14 października 1978, Warszawa

Od połowy października lub początku listopada miałem dostać pracę w redakcji „Polski". Była mowa o kilku opcjach. Pierwsza: będę etatowym tłumaczem. Warunki: trzy tysiące sześćset złotych pensji, co miesiąc muszę przygotować dziewięćdziesiąt stron maszynopisu, a za nadwyżki płacą jak dotąd, czyli siedemdziesiąt pięć złotych za stronę. Patrzcie ich! Jako ekstern za przekład dziewięćdziesięciu stron dostałbym sześć tysięcy siedemset pięćdziesiąt złotych, a na etacie niecałą połowę tej kwoty. Do tego normowany czas pracy, o każdy dzień urlopu musiałbym składać wniosek, i jeszcze mogliby mnie delegować jako tłumacza, rzecz jasna też za połowę obecnej stawki. Nie mogłem się na to zgodzić. Opcja druga: praca w charakterze dziennikarza. Z wynagrodzeniem cztery tysiące złotych, dwudziestoma pięcioma stronami pensum, a do tego mógłbym pisać, a nie tylko przekładać teksty innych. Trzy dni czekałem na decyzję Interpressu. Niestety, ponieważ nie mam dyplomu, nie przyjmą mnie jako dziennikarza.

Niech to jasna cholera! Na Węgrzech nagradzają moje słuchowiska, tłumaczę literaturę, dramatyzuję dla radia prozę, także dla rozgłośni polskiej, poza tym szanowane tutejsze pisma kulturalne publikują moje teksty, również „Polska" zleca mi tłumaczenie utworów literackich, ale do pracy na etacie się nie nadaję! W porządku, towarzysze, pozostanę wolnym strzelcem! Całe szczęście, że polskie prawo nie zna pojęcia „szkodliwego społecznie uchylania się od pracy". Dawniej zamknięto by mnie w więzieniu albo odesłano do kraju, choć haruję jak wół od rana do nocy. Tyle że za przyzwoite pieniądze. Wygląda na to, że system także z tego powodu traktuje mnie jak wroga.

Trudno, jeszcze się odkuję!

16 października 1978, Warszawa

Święto! Boże! Polskiego kardynała wybrano na papieża! Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Zresztą nie tylko ja… To początek nowej epoki w dziejach ludzkości, bez dwóch zdań!

Ale zacznijmy od początku.

Dzień jak każdy inny. Rano stwierdziłem, że zostało mi w kieszeni trzy złote i czterdzieści groszy, nic więcej. Nie uśmiechało mi się stanie w kolejce w PKO przez półtorej godziny, żeby wybrać coś z naszego konta. A poza tym na dziś obiecano mi w dwóch miejscach honorarium, łącznie tysiąc osiemset złotych.

Poszedłem do pierwszego, gdzie wisieli mi osiem stów. Na placu Trzech Krzyży urzędnik ministerialny oświadczył ze smutkiem w głosie, że mam pecha, bo księgowa jest od tygodnia na chorobowym. Mam przyjść za dziesięć dni. Ale dla pewności lepiej wcześniej zadzwonić. W porządku, podreptałem do redakcji „Oświaty i Wychowania", do pana Zabłockiego. „Przykro mi, ale możemy panu zapłacić dopiero pojutrze". *Nomen est omen* – w Polsce, jeśli komuś nie powiedzie się jakieś przedsięwzięcie, mówią: „Wyszedł jak Zabłocki na mydle". Przyszło mi do głowy, że także w „Kobiecie i Życiu" mogliby już dla mnie mieć jakieś pieniądze. Pani Pośpiech (*nomen est omen*!),

sekretarka, z uśmiechem dała mi do pokwitowania stosowny druczek na odbiór tysiąca złotych. A potem je wypłaciła! Hura! Wiedziałem, że uda mi się uniknąć banku!

Skoro już byłem w pobliżu ambasady węgierskiej, pomyślałem, że wpadnę i wyzeruję wkładkę paszportową na całą Europę, co jest konieczne, gdy człowiek ją wykorzysta.

– Wyjeździł pan wszystko? – zapytała z nutą współczucia w głosie kobieta za okienkiem konsulatu.

– Tak.

– A w przyszłym roku? Będzie chciał jeździć pan? – pytała dalej z dziwną składnią, ale za to z życzliwym spojrzeniem.

– Chciałbym. Ale nie wiem, jak mi się ułoży z podróżami.

Nachyliła się do szyby i niemal szeptem powiedziała:

– Niech pan złoży jak najszybciej wniosek. Im wcześniej, tym lepiej. Wie pan, oni odrzucają teraz osiemdziesiąt procent podań. Ale ja panu tego nie powiedziałam…

– Z jakim uzasadnieniem odrzucają? – zniżyłem głos i się pochyliłem.

– Bez uzasadnienia. Nie wiemy dlaczego. Możemy się tylko domyślać…

Nie mam pojęcia, czemu zawdzięczałem te szczególne względy, ale zrobiło mi się miło. Wzięła mój paszport i na stronie z wkładką przybiła wielką, brzydką, okrągłą pieczęć barwy fioletowej: „Nieważny!".

Wieczór spędziłem sam w domu, nie łaziłem nigdzie, nikogo nie odwiedzałem. Po popołudniowym spacerze z psem miałem ochotę odsapnąć. Kawa, papierosy, książka. Czytałem *Mistrza i Małgorzatę* – chyba po raz piąty. Nigdy mi się nie znudzi. Około szóstej włączyłem węgierską Wolną Europę. Dawali serwis informacyjny. Przerzuciłem się na sekcję polską. Krótkich wiadomości o wpół do siódmej słuchałem jednym uchem. Choć było czego: polska himalaistka Wanda Rutkiewicz, która ruszyła wraz z zachodnioniemiecką ekipą na Mount Everest, dotarła na szczyt. Jako pierwsza kobieta na świecie! *Polish girls are extremely fine* – przypomniało mi się zdanie szwedzkiego policjanta. Miał rację! Żadnej normalnej dziewczynie nie przyszłoby do głowy wspinać się na Czomolungmę, Polce – owszem.

W którymś momencie przerwali audycję. Komunikat specjalny. „Dobry Boże, chyba nie wybuchła trzecia wojna światowa?!" – pomyślałem. Odłożyłem książkę i zamieniłem się w słuch. Połączyli się z korespondentem w Watykanie. Spojrzałem na zegarek: 18.50. Dziennikarzowi łamał się głos, był wyraźnie podekscytowany. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, co się stało. Metropolita krakowski kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża… Całe szczęście, że sprawozdawca powtórzył wiadomość kilka razy, bo zakręciło mi się w głowie i tak cudownie było słyszeć te słowa znowu i znowu. I to, że po raz pierwszy od paruset lat następcą Świętego Piotra został nie-Włoch, i że nowy papież ma dopiero pięćdziesiąt kilka lat, jest wysportowany, młody, będzie żył jeszcze długo, jeśli Bóg pozwoli… Ale że Polak?!

Nie, to niemożliwe! Zerwałem się od biurka, nalałem kieliszek wódki i wzniosłem go ku wiszącemu na ścianie krucyfiksowi.

– Słodki Jezu, dziękujemy ci za nadzieję!

Mimo trzasków i szumów radia na szczęście dało się zrozumieć polskie słowa nowego papieża. Chwyciłem magnetofonik, nie miałem czasu podłączyć go do radia, więc tylko przystawiłem do głośnika i zacząłem nagrywać przez wbudowany mikrofon.

> Najwybitniejsi kardynałowie powołali nowego biskupa Rzymu. Powołali go z dalekiego kraju, ale jednocześnie jakże bliskiego poprzez komunię w chrześcijańskiej wierze i tradycji. Obawiałem się przyjąć ten wybór, ale uczyniłem to w duchu posłuszeństwa względem naszego Pana Jezusa Chrystusa i z całkowitą ufnością względem Jego Matki, Najświętszej Maryi Panny.

Brak kontaktu z ludźmi dał mi się we znaki. Musiałem z kimś koniecznie porozmawiać, takiego wydarzenia nie da się przeżywać w samotności. Zabrałem psa, zbiegłem na dół i popędziłem do budki. Chciałem zadzwonić do Ákosa, Karcsiego, kogokolwiek, przed kim mógłbym wygadać swoje emocje. Sznur od telefonu wisiał jednak bezwładnie – urwany. Do następnego. Też nie działał. Do trzech razy sztuka, pomyślałem, ale automat przy straży pożarnej też był zepsuty. Zauważyłem jednak, że na ulicę zaczynają wychodzić ludzie. W rękach trzymają świece i idą w jednym kierunku.

Do kościoła! To przecież jasne! Dokąd mieliby iść!

Pognałem z psem do mieszkania i po krótkiej chwili znalazłem się z powrotem na ulicy. Ruszyłem w stronę kościoła przy Żytniej. Na miejscu okazało się, że ledwo mogę wejść do środka, tak wielki zgromadził się tłum. Stałem ściśnięty pośród setek nieznanych mi, a jednak serdecznych ludzi, przejętych, niedowierzających, zapłakanych. Księża znakomicie poradzili sobie z organizacją improwizowanego nabożeństwa. Nie mogłem dojrzeć ołtarza, ale słyszałem.

– Módlmy się! – zabrzmiał z głośników baryton. – Bracia i siostry, chwyćmy się za ręce i odmówmy *Ojcze nasz*!

Z lewej i prawej strony wyciągnęły się do mnie dłonie i poczułem coś, czego nie było mi dane doznać nigdy wcześniej: tysiące rąk napełniły mnie ciepłem, siłą, wiarą, nadzieją i miłością tysiąca ludzi. Miałem ochotę spojrzeć w dół i przekonać się, czy aby stoję na ziemi, czy może zacząłem już unosić się ponad nią. W gęstym tłumie nie miało to jednak sensu, więc musiałem uwierzyć, że lewituję. Tak cudownie było w to wierzyć…

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie… – mówiliśmy głośno i z przekonaniem, choć ze ściśniętymi gardłami. Nie do opisania!

Z nadzwyczajnej mszy dziękczynnej wracałem do domu krokiem niemal tanecznym. Najchętniej skakałbym do nieba z radości. Czułem się czysty i silny. W takiej chwili od razu gotów byłbym pójść na barykady i umrzeć.

Wyglądało na to, że cały kraj jest w podobnym nastroju. Niech Bóg błogosławi Polsce i Polakom, którzy zostali wierni tradycji katolickiej i zdolni byli wychować i wydać z siebie postać godną tak wielkiego wyróżnienia! Być może Włosi nabiorą teraz nieco rozumu, a wraz z nimi inne narody Zachodu, wszyscy ci leninowscy „posłuszni idioci", i zaczną w końcu traktować ludzi z naszej części świata tak, jak na to zasługujemy.

Wyobrażam sobie, co musi się teraz dziać w Biurze Politycznym i KC, gorąca linia pomiędzy sekretariatami i Kremlem z pewnością jest rozpalona do czerwoności. Nie zdziwiłbym się, gdyby Breżniewa szlag trafił…

Dobry Boże! Niech tylko uważają na tego człowieka, bo będzie mieć z pewnością wielu śmiertelnych wrogów!

17 października 1978, Warszawa

Partyjny aparat na razie skąpi wypowiedzi. Można powiedzieć, że góra urodziła mysz – władza zdobyła się na krótką depeszę gratulacyjną utrzymaną w stylistyce Orwellowskiego „newspeaku" („nowomowy"). „Na tronie papieskim po raz pierwszy w dziejach jest syn polskiego narodu budującego w jedności i współdziałaniu wszystkich obywateli wielkość i pomyślność swej socjalistycznej Ojczyzny" – cytuje treść listu „Trybuna Ludu". Że niby kardynał, którego prymas Wyszyński traktował jak syna, wznosi teraz jakąś budowlę socjalistyczną? Do tego w Watykanie, jako najważniejszy człowiek Kościoła katolickiego?

Błagam! Towarzysze, wy już naprawdę straciliście resztki rozumu!

22 października 1978, Warszawa

W ubiegłą środę zaniosłem do redakcji „Polski" bieżące tłumaczenia i jak zwykle zostałem dłużej poplotkować ze znajomymi.

I kogo przywiało do biura? Csabę Gy. Kissa[17]. Myślałem, że szuka Ákosa, zacząłem nawet wyjaśniać, że wyszedł na chwilę i niedługo wróci, ale okazało się, że Csaba szukał mnie. „Hm – pomyślałem – pewnie ma dla mnie jakąś wiadomość z domu…"

Ale nie! Powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać. Coś takiego! W jakiej sprawie? Zdziwiłem się trochę, bo wcześniej spotykaliśmy się tylko w większym gronie i specjalnie się ze sobą nie kolegowaliśmy. Szanuję go, to oczywiste, i chylę czoło za to, co robi, ale Csaba nie jest typem brata łaty i rzadko się zdarza, aby ktoś próbował wchodzić z nim w większą zażyłość. Do wszystkich zawsze zwraca się per „pan", trzeba z nim spędzić dużo czasu, żeby się wyluzował. Powiedział, że to poważna sprawa i poprosił o spotkanie. Umówiliśmy się na piątek.

O dziesiątej rano poszedłem po niego do Bristolu, gdzie nocował. Potem wpadliśmy do Związku Literatów po jakieś dokumenty. W kawiarni Csaba przywitał się wylewnie z wysokim, przystojnym mężczyzną, a następnie przedstawił nas sobie. Miałem przyjemność z Bohdanem Zadurą, poetą, jednym z tłumaczy wydanej niedawno antologii wierszy węgierskich. Czytałem też jego prozę, na mojej półce z książkami stoi zbiór opowiadań *Patrycja i chart afgański*. W swoich utworach buduje atmosferę, która

[17] Csaba Gy. Kiss – historyk literatury, politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, współzałożyciel Węgierskiego Forum Demokratycznego, autor książek.

wydaje mi się bardzo swojska i znajoma, dlatego miałem wielką chęć porozmawiać z autorem. I właśnie nadarzała się okazja. Csaba poszedł na górę po papiery, a my zostaliśmy w dwójkę. Gadałem jak najęty, a on wlewał w siebie jeden kieliszek koniaku za drugim, uśmiechał się dobrotliwie, a czasem tylko rzucał cicho jakieś słowo. Zrobiło mi się głupio: facet najpewniej ma dość, nuży go moja paplanina i tylko dlatego nie posyła mnie w cholerę, że jest dobrze wychowany.

Csaba w końcu wrócił i zanim zdążyłem coś powiedzieć, zaprosił Bohdana do nas na wieczór. No ładnie! Biedny introwertyk będzie na mnie skazany!

Gdy szliśmy do redakcji Czytelnika, Csaba powiedział mi, że Bohdan wobec wszystkich jest równie milczący, więc nie mam się czym przejmować. Kamień z serca.

A potem słuchałem go jak oniemiały, gdy wspomniał o mojej skromnej osobie i zaczął opowiadać, co mógłbym osiągnąć i gdzie publikować, jeśli tylko posłucham jego rad. Pomyślałem, jaka szkoda, że nie słyszą go koryfeusze z Interpressu, Csaby bowiem nie interesował mój dyplom, ale umiejętności pisarskie i chęć do pracy. Chciał mnie pozyskać dla SPRAWY, jaką są stosunki polsko-węgierskie. Miałbym pisać reportaże i felietony o wszystkim, co się moim zdaniem wiąże z tym tematem. Zachęcał też, bym przygotował zbiór rozmów podobny do książki Györgya Bekego[18] *Bez tłumacza*. Uzgodniliśmy listę około trzydziestu polskich pisarzy, naukowców i artystów, których warto by przedstawić na Węgrzech. Spisaliśmy nazwiska, a obok każdego także datę urodzenia. Trzeba zacząć od najstarszych, bo w każdej chwili mogą umrzeć, a tym samym zabrać całą swoją wiedzę nieodwołalnie do grobu. Dla przykładu Tibor Csorba[19], István Csapláros czy Ludwik Bazylow mają prawie po osiemdziesiąt lat. Norbert Lippóczy[20], Andrzejewski i Iwaszkiewicz są w podobnym wieku.

Moich wątpliwości związanych z brakiem studiów nie zbył wprawdzie machnięciem ręki, ale też nie przejął się nimi zbytnio.

– Uniwersytet – skonstatował – jest potrzebny tylko po to, by człowiek nauczył się porządkować wiedzę i wiedział, gdzie ma czego szukać. Nie mówię, żebyś rezygnował z aspiracji. Ale jeśli w trakcie studiów zaniedbasz pracę nad sobą, to dyplom na niewiele ci się przyda. Najważniejsze to wiedzieć, co chcesz osiągnąć, i zgodnie z tym dobierać lektury, uczyć się, wchłaniać to, czego naprawdę potrzebujesz.

---

[18] György Beke (1927–2007) – węgierski pisarz, dziennikarz i tłumacz, wyróżniony Nagrodą Attili Józsefa dla literatów, promotor stosunków węgiersko-rumuńskich.

[19] Tibor Csorba (1906–1985) – językoznawca, tłumacz, nauczyciel języka węgierskiego i wykładowca. Autor książek poświęconych uchodźcom polskim na Węgrzech w latach II wojny światowej.

[20] Norbert Lippóczy (1902–1996) – przedsiębiorca, społecznik i kolekcjoner węgierski, propagator przyjaźni polsko-węgierskiej. Swoje życie związał z Tarnowem, gdzie jego rodzina prowadziła winiarnię. Był jednym z założycieli Tarnowskiego Towarzystwa Przyjaciół Węgier. Podczas próby przedostania się na Węgry po wybuchu II wojny światowej został zatrzymany przez Sowietów i uwięziony. Był robotnikiem przymusowym w ZSRS. Swoje doświadczenia wojenne opisał w wydanych w Polsce *Zapiskach z gułagu*.

Zamyślił się na chwilę, po czym dodał, że widzi we mnie ambicję i – co ważne – także wytrwałość i talent pisarski. Chciał się ze mną spotkać, żeby złożyć propozycję, zlecić mi zadania, a potem pomóc w publikacji efektów pracy. Umówiliśmy się, że zacznę stopniowo odrabiać „pensum", a Csaba umieści gotowe teksty – zależnie od ich gatunku – w różnych periodykach węgierskich.

No, otrzymałem zadanie! Mogę też zacząć chodzić na seminarium do Csaby… Na zajęcia Pisty Kovácsa zapisałem się jeszcze na Węgrzech, kiedy to poznaliśmy się w półlegalnym klubie dyskusyjnym Rolniczego Instytutu Badawczego w Martonvásárze[21], przywiedzeni tam wspólną sprawą polską. Zgłosiłem się też na „kursy" do Ákosa, Jakubiuka, Jerzego Roberta Nowaka i Pisty Csaplárosa. Powoli składam sobie niecodzienną katedrę dla celów samokształceniowych!

Wieczorem słuchaliśmy u nas Wolnej Europy, byli Ákos i Bohdan. Patrzyliśmy na siebie jak osłupiali, gdy z głośnika zabrzmiało dzisiejsze przemówienie Jana Pawła II, po polsku, choć nie tylko do Polaków.

> Nie bójcie się, otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi. Dla Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych i politycznych, szerokie dziedziny kultury, cywilizacji, rozwoju! Nie bójcie się! Chrystus wie, co nosi w swoim wnętrzu człowiek. On jeden to wie!
>
> Dzisiaj często człowiek nie wie, co kryje się w jego wnętrzu, w głębokości jego duszy i serca. Tak często niepewny sensu życia na tej ziemi i ogarnięty zwątpieniem, które zamienia się w rozpacz. Pozwólcie więc, proszę was, błagam was z pokorą i zaufaniem! Pozwólcie Chrystusowi mówić do człowieka! On jeden ma słowa życia, tak, życia wiecznego.

Czułem niemal fizycznie, a zdawało mi się, że i słyszę, jak spadają z nas – jak mówił papież, z głębokości duszy i serca – ciężkie kamienie. Wypełniło mnie uczucie niesłychanej wolności. Csaba i Ákos przeżywali to samo, dzieliliśmy się emocjami, niemal krzycząc do siebie. Kalwiński chłód i wstrzemięźliwość Csaby w jednej chwili jakby uleciały pod wpływem Ducha Świętego.

– Chłopaki – potrząsał głową z niedowierzaniem – komuniści tego nie przeżyją!

Niespodziewanie odezwał się Zadura:

– Jasne, że nie. To początek ich końca. Zobaczycie!

– Obyś był prorokiem, Bohdan! – powiedzieliśmy wszyscy trzej naraz.

Byliśmy wstrząśnięci, bo wiedzieliśmy, że cały świat usłyszał słowa Ojca Świętego. Także kraje komunistyczne, w tym Polska, ojczyzna Karola Wojtyły. Czuliśmy, że teraz z serc milionów ludzi spadną kamienie strachu. A jeśli jutro władza ośmieli się z nami zadać, parskniemy jej śmiechem prosto w twarz: „Czego chcesz ode mnie, śmieciu? Nie boję się ciebie, bo nie masz nade mną władzy!". Tyle. Wystarczy uwierzyć, wystarczy wierzyć.

---

[21] Martonvásár – miasteczko w północnych Węgrzech w komitacie Fejér.

Boże, spraw, żeby tak było! Bo jeśli naprawdę przestaniemy się bać, system upadnie. W końcu zbudowany jest na strachu.

Czy możliwe, że faktycznie jesteśmy świadkami upadku?

Pobudzeni nadzieją i radością, wpadliśmy w taką euforię, że upiliśmy się, solidnie, po męsku. Było to szlachetne pijaństwo, jak przed decydującą bitwą, kiedy biją werble, a atmosfera jest wzniosła. Podobnie mogli się czuć dzielni wojownicy wyruszający w bój o świętą sprawę. Niewiarygodne, ile można zdziałać odpowiednio dobranymi, odważnymi słowami!

23 października 1978, Toruń

Zlot młodych pracowników przemysłu budowlanego. Ponoć odbywa się już po raz czwarty, tym razem ze mną w charakterze maszynki do tłumaczenia. Na zawody organizowane przez ZSMP, odpowiednik naszego KISZ-u[22], z Węgier przyjechali trzej uczniowie zawodówki i jeden nauczyciel. Są też przedstawiciele Bułgarii i Czechosłowacji, z pozostałych krajów obozu nie przybył nikt. Polskę reprezentują trzy drużyny: z Bydgoszczy, Kielc i miejscowi. Część praktyczna odbyła się w fabryce prefabrykowanych domów w Grudziądzu. Skomplikowaną konkurencję murarską wygrali Polacy, nie pamiętam już którzy. Cała scena przypominała ujęcia z kroniki filmowej: współzawodnictwo pracy młodych stachanowców.

Po ciężkich zmaganiach fizycznych młodzież węgierska mogła w końcu poobcować z kulturą. Zwiedzaliśmy ratusz, Muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu, a na końcu zakład Elana. Także ostatni punkt programu określam jako kulturalny, bo fabryka dysponuje naprawdę fantastyczną kolekcją i ofertą tkanin. Z przekąsem szepnąłem do ucha rodakom, że z oglądanych materiałów niewiele trafia do polskich domów, no chyba że jako „odrzut z eksportu". Jedna z największych atrakcji miasta Kopernika, pierniki, były za to ogólnie dostępne. Członkowie delegacji dostali na pamiątkę wyjątkowe okazy wielkości tabliczki do rysowania, z lusterkiem zatopionym w cieście, pięknymi zdobieniami. Szkoda byłoby je zjeść – ja swój na pewno powieszę na ścianie. Wygląda trochę kiczowato i może nie jest to oryginalna sztuka ludowa, ale jednak ciekawe rękodzieło.

Nie było łatwo przeżyć tych kilka dni. Każdego wieczoru kwitła przyjaźń między narodami, uczniów posyłano spać, a młodzi towarzysze pili, także za nich. Włos mi się jeży na głowie na wspomnienie rozmów, które musiałem tłumaczyć! Szef delegacji węgierskiej przechwalał się na przykład, jakiego fajnego i wesołego ma brata. Chłopak jest sekretarzem partyjnym w spółdzielni rolnej, ma poletko winorośli i piwniczkę winną, w której organizuje imprezy. Naturalnie dla wybranych: kierownika spółdzielni, naczelnika milicji, przewodniczącego lokalnej rady narodowej, głównego agronoma i całej miejscowej „elity". Jednym ze stałych punktów programu jest rzucanie garścia-

[22] KISZ (Magyar Kommunista Ifjúsági Szövetség) – stowarzyszenie utworzone przez Węgierską Socjalistyczną Partię Robotniczą (MSZMP), zrzeszające młodzież węgierską w latach 1957–1989.

mi dojrzałych pomidorów i brzoskwiń w miejscowego głupka, który z racji niewielkiego zasobu słownictwa nazywany był od dziecka Tłumokiem. Biedakowi każą skakać, aby trudniej było wycelować, równocześnie wołają do niego co chwila: „Daj głos, Tłumok!". Na co on szczerzy się, pląsa niezdarnie, a kiedy ktoś go trafi, wykrzykuje na całe gardło: „Ubudubu-ubududu!". Gdy się znudzą, chłopak może odejść, a gdy matka go umyje, dostaje coś do jedzenia i picia. Zabawa u sekretarza toczy się dalej. Są zawody w rzucaniu talerzem, tańce panienek na stołach i temu podobne. Żony mają oczywiście surowy zakaz nawet zbliżania się do piwniczki, a co dopiero udziału w pijatyce. „Nauczyciel" opowiadał o tym wszystkim jak o najlepszej rozrywce. Polscy aparatczycy z ZSMP śmiali się do rozpuku i dla rewanżu umilali wieczór równie „wesołymi" historiami.

Młodzi towarzysze czuli się znakomicie w swoim towarzystwie. To straszne, że muszę zarabiać, pomagając im wzajemnie się zrozumieć. Jedynym jasnym punktem w tym morzu miernoty był tak zwany wieczorek integracyjny, zabawa pożegnalna w klubie Elana. Grała dobra kapela rockowa, a uczniowie budowlanki wyraźnie cieszyli się z obecności adeptek przemysłu włókienniczego. Polskim gówniarzom udało się przemycić trochę alkoholu i po jakimś czasie tańczący ze sobą siedemnasto- i osiemnastolatkowie potrafili się już porozumieć bez tłumacza. Zerkałem z zazdrością w stronę parkietu – ja byłem w pracy.

Takimi rzeczami musiałem się zajmować w dzień ROCZNICY.

Miałem WTEDY sześć i pół roku.

Popołudnie. Było już dobrze po obiedzie, dwie godziny wcześniej wróciłem do domu ze szkoły przy ulicy Reáltanoda. Droga była prosta: chłopiec wychodził z bramy budynku, skręcał w prawo, potem szedł przez jakieś sto metrów do ulicy Magyar, a tam już prosto do przeciwległej bramy. Brama, podwórze, brama i wychodził na bulwarze Múzeum, po drugiej stronie pasażu. Tam w lewo i kolejnych dwieście metrów do numeru trzy, pod którym mieszkaliśmy. Wchodził na czwarte piętro, po schodach, bo z windy małym dzieciom nie wolno było korzystać.

Mieszkaliśmy od podwórza, czteroosobowa rodzina w pokoju z kuchenką i łazienką. Mama przygotowywała na stole kuchennym ciasto na pączki i równocześnie je smażyła. Aby przeciąg wywietrzył zapach rozgrzanego oleju, zostawiła otwarte drzwi wejściowe, a do tego drzwi i lufcik w łazience. W pewnej chwili z tamtej strony doszły dźwięki głośnego skandowania: „Chcemy godła Kossutha!".

– Mamo, co to jest godło Kossutha? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzi podniosła mnie do góry, stanęła na desce ułożonej na wannie i pozwoliła mi wyjrzeć na dwór. Wysoko umieszczone okienko wychodziło kiedyś na szyb wentylacyjny, ale ponieważ sąsiednie kamienice przy ulicy Magyar zostały w czasie wojny zbombardowane, teraz z lewej i prawej strony widać było ściany ogniowe, na dole leżał gruz, a za rogiem hotelu Astoria można było dostrzec mały skrawek ulicy Lajosa Kossutha. Maszerowali nią demonstranci z uniesionymi transparentami, tablicami, flagami. „Bierzemy przykład z Polaków!" – zabrzmiało z dołu.

– Mamo, kto to są Polacy? – zapytałem z dziecięcą ciekawością.

– Tata ci wyjaśni – odpowiedziała matka. W jednej chwili zaczęła się strasznie denerwować: – Jezu, gdzie on się podziewa?… Dobrze, że chociaż twój brat jest u dziadków w Máriabesnyő – westchnęła.

Oczywiście nie mieliśmy telefonu, zainstalowali nam go dopiero w 1960 roku, po latach czekania, kiedy już mieszkaliśmy przy ulicy Belojanisa. Mama w pośpiechu skończyła smażenie pączków, opłukała naczynia w miednicy, umyła się i włożyła czystą sukienkę.

– Pójdziemy na spacer – oświadczyła.

Minęła piąta po południu, właśnie zakładała mi buty, kiedy wpadła jej siostra, moja matka chrzestna, z roczną córeczką Zsuzsi pod pachą. Często łapała ją w ten sposób i nosiła ze sobą, kiedy mała dostawała spazmów i nie chciała z nią iść. Ciocia Zsuzsa, pokonując trasę trzystu metrów od mieszkania przy Semmelweisa do nas, miała okazję przyjrzeć się wydarzeniom na ulicy.

– Sikorko – wysapała cała czerwona na twarzy – wybuchła rewolucja!

Powiedziała też, że z trudem udało jej się przejść przez ulicę, tylu ludzi maszerowało przez miasto.

– Rewolucja? – spytała z niedowierzaniem mama. – Zsuzsa, nie pleć bzdur, to niemożliwe!

Siostra przekonywała ją jednak, abyśmy zeszli na dół i zobaczyli na własne oczy, co się dzieje.

Przed parkiem wokół Muzeum Narodowego, mniej więcej na wysokości kawiarni, usiadły na parapecie wystawy sklepowej, z małymi dziećmi na kolanach, i patrzyły na falujący tłum. Na ulicy Sándora Bródyego, przed budynkiem radia stał autobus, a może ciężarówka. Niektórzy spośród starszych świadków twierdzą, że wtedy, około szóstej, jeszcze nie strzelano. Inni zapamiętali co innego. Ja też przypominam sobie strzały. To właśnie z ich powodu mama z ciocią popędziły z nami do domu. Ojciec już tam był. Wściekły, że nie zastał nikogo w mieszkaniu.

– Kálmán, strzelają przed budynkiem radia! – wydusiły z siebie siostry unisono.

– Wiem – przytaknął. – Całe miasto demonstruje od wielu godzin. My też poszliśmy z kolegami na plac Bema…

Mama od razu przerwała mu w pół słowa:

– Mam nadzieję, że nie jesteś w nic zamieszany! Pamiętaj, że masz dzieci! Z komunistami nie da się wygrać krzykiem! To oni mają broń!

Ojciec zapalił papierosa. Milczał przez dłuższą chwilę. Siostry zaczęły na zmianę kreślić ponure wizje przyszłości.

Mijały dni, ojca wyraźnie nosiło, z trudem potrafił usiedzieć w domu. Matka groziła mu nieustannie rozwodem, jeśli wyściubi choć nos na ulicę. A jednak musiał wychodzić: po chleb i jedzenie. Miał też dyżur w drukarni „Iskra", mama z tego powodu nie mogła w nocy spać. Przez większość czasu był jednak w domu. Odprowadzał mnie do Bojárów, gdzie zbierały się wszystkie dzieci z sąsiedztwa, dostawaliśmy kartki, kredki,

farbki wodne i kawałki tektury, na których zgodnie z wytycznymi starszych – między innym Gabiego – rysowaliśmy godła Kossutha. Dorośli szeptali między sobą w drugim pokoju, słuchali radia, spierali się. Pan Sanyi Bojár, z zawodu fotograf, prawie nie pojawiał się w domu, uwieczniał swoim aparatem zdarzenia na mieście. Czasem zabierał się z nim też ojciec. Nie mógł znieść, że omija go historia. Myślami był ciągle na ulicach. Także wtedy, gdy Rosjanie ustawili przed naszą kamienicą karabin maszynowy i ostrzeliwali uniwersytet. Tata w tym czasie siedział w piwnicy, gdzie przygotowano dla mnie łóżko z dwóch zsuniętych foteli, i palił jednego papierosa za drugim. Miarowe dudnienie wstrząsało całym pomieszczeniem. Z papierosa co chwilę spadał popiół, bo pogrążony w myślach ojciec zapominał go strzepnąć.

Pamiętam, że byliśmy na górze, w mieszkaniu, gdy zapukał do nas powstaniec, w kurtce wiatrowej, z trójbarwną przepaską i pepeszą na ramieniu, poprosił o szklankę wody. Tata, ku przerażeniu matki, zaprosił chłopaka, który na oko mógł być w wieku studenckim, do środka, kazał zaparzyć mu kawy i poprosił żonę, aby zapakowała coś do jedzenia. Młody człowiek się wykręcał, ale w końcu przyjął wszystko, co mu dano. Zdecydowanie odmówił natomiast piersiówki z palinką.

– W żadnym wypadku – powiedział. – Jeśli mnie z tym złapią, będą nam wpierać, że jesteśmy pijakami i chuliganami.

Ojciec krzątał się po mieszkaniu, przeszukiwał szuflady, aż w końcu znalazł i podał chłopakowi nóż z fioletową rękojeścią, umieszczony w podniszczonym futerale skórzanym. Była to finka harcerska, jeszcze z lat trzydziestych. Powstaniec zachował się honorowo, wręczył ojcu przedziurawioną dwufillerówkę, a potem, wzruszony, włożył finkę za pas.

– Dziękujemy, że walczy pan także dla nas, młody człowieku. – Ojciec uścisnął mu dłoń. – I niech się pan nie przedstawia. Przyjdzie dzień, gdy wyryjemy wasze nazwiska w marmurze.

Niedługo potem ciocia Zsuzsa została wdową. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się stało, ale kojarzę, że trwało chwilowe zawieszenie broni. Przybiegł do nas brat wujka i pytał ojca, pod którym numerem mieszka pan Béla, nasz pediatra rodzinny, bo Laci został ranny… Do końca życia nie zapomnę tego widoku. Zanim rodzice oprzytomnieli z szoku i zakrywając mi oczy, wyprowadzili z pokoju, zdążyłem go zobaczyć. Wujek Laci leżał na stole kuchennym, blady jak ściana, cały we krwi i nieprzytomny. Usłyszałem później, że trafili go siedemnaście razy, kule niemal rozpołowiły jego ciało od pachwiny po ramiona. Obok niego dwa bochenki chleba, podziurawione, zaplamione krwią. Stał w kolejce po pieczywo, wokół ciężarówki zebrał się tłum ludzi, gdy nagle ulicą przejechał rosyjski jeep wojskowy, a z jego okien zaczęto strzelać w sklepowe wystawy, bramy, gdzie popadło. Także w czekających po chleb, wujek nie był jedynym zabitym. Gdy zabierano go z ulicy, w rannym ciele tliło się jeszcze życie, ostatkiem sił przyciskał do piersi dwa bochenki… Pan Béla nie był w stanie mu pomóc mimo najlepszych chęci. Jedyne, co mógł zrobić, to dać ciotce zastrzyk na uspokojenie.

Któregoś listopadowego dnia Zsuzsa zjawiła się u nas cała na czarno, w towarzystwie brata zmarłego. Powiedziała, że nazajutrz o świcie rusza ciężarówka do granicy… Przekonywała nas, byśmy spakowali rzeczy i pojechali z nimi. Matka zgodziła się od razu, tata jednak pokręcił stanowczo głową. Pamiętam dokładnie jego słowa: on nie da się przepędzić z tego kraju nawet siłą.

– Mój ojciec był czystej krwi Szwabem, ja też jestem nim w połowie – argumentował. – Rodzina matki, Martonowie, potrafi udokumentować swoje korzenie aż do dwunastego wieku. Przyszli do nas za okupacji z volkslistą – ojciec chwycił ich za kołnierze i posłał do wszystkich diabłów. Wróciłem do domu z niewoli amerykańskiej – wtedy też mogłem zostać za granicą. Kochani, co by to było za życie, gdybym nie mógł się przejść na Wyspę Małgorzaty, gdy najdzie mnie ochota?

Spierali się dwie godziny, ale tata był nieugięty.

– Mówisz po angielsku, niemiecku i francusku, Kálmán, znasz grekę i łacinę, skończyłeś prawo, ale nie możesz wykonywać zawodu… Szybko byś się przyzwyczaił… Pomyśl o przyszłości swoich dzieci.

Spływało to po nim jak po kaczce.

– Nic nie trwa wiecznie, pod Turkami przeżyliśmy sto pięćdziesiąt lat i pozostaliśmy Węgrami! – Machnął tylko ręką. – Co by z nami było, gdyby wszyscy uciekli stąd przed Osmanami? Zdrajcy istnieli zawsze i będą istnieć, ale przekonacie się, że Węgry powstaną jeszcze z martwych. Naród, który jako jedyny odważył się postawić z bronią w ręku bolszewikom, nigdy nie zrezygnuje z wolności! Wytrzymamy, choćby nie wiem co. To nie potrwa długo. A ja chcę przeżyć ten święty moment właśnie tutaj. Przyszłość moich dzieci opierać się będzie na ich poczuciu przynależności. A tego nie nauczą się nigdzie indziej, tylko tu.

Nie odtwarzam tych słów z pamięci sześcioletniego Attili, ale powtarzano je u nas w rodzinie tak często, że wydaje mi się, jakby zapadły mi w umysł już wtedy. Ojciec zmarł w 1969 roku, jego wielkie serce odmówiło posłuszeństwa. Nie dożył końca systemu i możliwe, że ja też nie dotrwam. Ale dożyją go nasze dzieci albo wnuki. A moim zadaniem jest przekazać im poczucie przynależności. A że będzie to mieszana, polsko-węgierska tożsamość? Mój Boże, tym lepiej! Jeśli na podglebiu szwabsko-węgierskim mógł wyrosnąć prawdziwy, zdrowy patriotyzm, to w wypadku genów polsko-węgierskich szansa jest co najmniej trzykrotnie większa.

Nazwiska „budapeszteńskich chłopców" z pięćdziesiątego szóstego roku zasługują, by ktoś w końcu wykuł je w marmurze. Nie zrobiliśmy tego po dziś dzień, nawet na Zachodzie, gdzie mogła się o to postarać emigracja… Często czuję na sobie pytające spojrzenie z zaświatów: gdzie jest ta tablica, synu?

Przyglądałem się rozbawionym polskim i węgierskim szczylom, ja, „stary" dwudziestoośmiolatek. Co musiałoby się stać, by obudził się w nich ten święty gniew, który kazał chwycić za broń ich rówieśnikom na ulicach Warszawy w czterdziestym czwartym czy Budapesztu w pięćdziesiątym szóstym? A może to my, nasze pokolenie, jesteśmy ostatnimi Mohikanami, których rodzice otrzymali edukację w starych czasach i mieli

nam co przekazać? Węgrzy Arpada – jak uczono ojca – chcieli śladem Hunów i Awarów odzyskać utraconą ziemię. Przez całe stulecia strzegli płomienia, który w końcu poprowadził ich do zwycięstwa. A my ile jeszcze będziemy w stanie go upilnować? Jak długo będziemy wierzyć i w co? Polacy przynajmniej chodzą do kościoła, nie znam rodziny, w której ktoś wziąłby tylko ślub cywilny, nie posyłał dzieci na religię albo do pierwszej komunii, bierzmowania. A teraz mają też papieża! Na Węgrzech niestety jest inaczej. W kościołach można spotkać przeważnie starszych ludzi, parafie świecą pustkami, jeśli w którejś pojawi się gorliwy kapłan, komisja partyjna prędzej czy później przenosi go gdzie indziej. Nasi przywódcy religijni, z nielicznymi wyjątkami, są miękcy jak plastelina. Coraz mniej jest też ślubów kościelnych, a zamiast chrztu często organizuje się uroczystość nadania imienia.

Nie miałbym zatem nic przeciwko temu, aby moim dzieciom to Polacy zaszczepili w sercu patriotyzm i wiarę, aby mogli je przeżywać także po węgiersku!

1 listopada 1978, Warszawa

Wszystkich Świętych. Gdzie jak gdzie, ale w Polsce jest co i kogo wspominać.

Pożyczyłem od Hanki praktikę, kupiłem do niej barwną kliszę, a w zenicie założyłem czarno-białą. Dla pewności zabrałem też flexareta sześć na sześć z filmem ORWO o czułości dwadzieścia DIN. Wybrałem się na Powązki: rano na Stare, po południu na Wojskowe.

Na cmentarzu morze ludzi. Nie było grobu, na którym nie płonęłaby świeca. Bezkresny las migoczących zniczy, jakby ktoś zapalił ściernisko. A nad wszystkim unosiła się mgła o zapachu stearyny. Ciężka i gęsta.

Było już ciemno, gdy dotarłem do Alei Zasłużonych. Po prawej mogiły harcerzy Szarych Szeregów, świętych smarkaczy Armii Krajowej, przeważnie z 1944 roku. Za nimi groby lotników, śmigła na drewnianych krzyżach. Potem znowu dzieci. Żył, żyła lat dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście. Zamiast się bawić na podwórku w żołnierzy, rzucali prawdziwymi koktajlami Mołotowa w czołgi, podobnie jak młodzież budapeszteńska w 1956 roku. Centralny pomnik harcerzy tonął w świecach. Nastoletni chłopcy i dziewczęta w mundurach trzymali wartę honorową. Stali jak skały w szczypiącym zimnie i duszącym dymie.

Dalej pomnik powstańców 1863 roku. Wielka, wysoka i długa ściana z nazwiskami poległych w walce z caratem i zmarłych na wygnaniu syberyjskim. Gdzie u nas można znaleźć taki mur poświęcony pamięci – powiedzmy – bohaterów lat 1848–1849?

Następnie groby legionistów i żołnierzy Piłsudskiego. Na postawnym marmurowym cokole orzeł w koronie z opiekuńczo rozpostartymi skrzydłami. „Cześć bohaterom polskiej armii 1920 roku" – można przeczytać na postumencie. Nie trzeba tłumaczyć: żołnierze stoczyli wtedy bój na śmierć i życie z bolszewickim wojskiem Tuchaczewskiego i uratowali (tylekroć niewdzięczną) Europę przed zarazą komunizmu. Znów

nasuwa się pytanie: gdzie u nas można znaleźć pomnik oddziałów, które rozprawiły się z Republiką Rad? Albo chociaż ofiar czerwonego terroru?

Aleja Zasłużonych. Poległych za ojczyznę…

I znów groby lotników. Symboliczne krzyże pamięci polskich pilotów, którzy zginęli w obronie Londynu. Przy niektórych kopczykach zbierały się większe grupki – ludzie stali w kolejce, by móc zobaczyć nagrobek, dotknąć go. Albo zapalić świecę, położyć kwiaty.

Także do grobu Krzysztofa Baczyńskiego, młodego poety poległego w powstaniu, trudno się było dostać. Ułożone na płycie albo obok tysiące zniczy dawały łunę podobną do promieni słońca. Mój światłomierz pokazał jedną trzydziestą sekundy, z ustawieniem przysłony dwa i osiem dziesiątych. Wyszedłem z kolejki, by zaczekać, aż grób na chwilę się odsłoni, zmieści cały w obiektywie. Ludzie nie zwracali na mnie uwagi, a ja wstydziłem się odezwać. Długo musiałem czekać na odpowiedni moment. W końcu się udało. Strzeliła blokada migawki, zapaliła się lampa. A potem przestraszone spojrzenia wyrwanych z odrętwienia ludzi, niektóre pełne wyrzutu. Poczułem się jak świętokradca.

W czasie spaceru po cmentarzu nie mogliśmy się z Karcsim nadziwić, nazazdrościć. Boże, komunizm komunizmem, ale gdybyśmy choć w połowie potrafili szanować tradycję jak Polacy! Nieodwołalnie nasuwają się kolejne pytania. Gdzie jest u nas pomnik dwustu tysięcy żołnierzy węgierskich, którzy polegli w zakolu Donu i w łagrach[23]? Gdzie miejsce pamięci niekomunistycznych partyzantów na pogórzu Börzsöny? Gdzie centralna kolumna dla setek tysięcy zabitych w czasie pierwszej wojny światowej? I czy ofiary pięćdziesiątego szóstego roku doczekają się swojej? Czy powstanie u nas cmentarz jak Powązki, na którym w sposób symboliczny opowiemy dzieciom historię? A jeśli, to kiedy? Dożyjemy tej chwili? Zdobędziemy się na taką odwagę jak Polacy, by postawić wszystkie te pomniki, których wzniesienie jest naszym psim obowiązkiem? A może letni gulasz kadarowski rozpuścił w nas wszystko, co istotne?

15 listopada 1978, Białystok

Nieludzko wczesna pobudka o wpół do czwartej rano. Nie mogłem spać, bo co godzinę budziłem się w nerwach, że zaśpię, a kolejny pociąg mam dopiero około południa. Do tego osobowy, który dociera do Białegostoku późnym wieczorem. A ja musiałem tam dotrzeć równo z południowymi dzwonami.

Na ulicach panowała niezaprzeczalnie zimowa aura: wilgoć, czerń, przejmujący chłód, wiatr wiejący za kołnierz, od wczoraj wprawdzie nie padało, a mimo to wszystko jakieś lepkie, mokrawe. Na przystanku ludzie o twarzach mumii, spoglądający niewidzącym wzrokiem. Sterani robotnicy w grubych kurtkach. Starsi, młodsi, mężczyź-

[23] Szacuje się, że ok. 400 tys. żołnierzy węgierskich trafiło do niewoli sowieckiej. Wielu było wykorzystywanych do pracy przymusowej w łagrach. Około 60 tys. jeńców węgierskich zginęło na terenie ZSRS.

ni, kobiety. Mam do nich szacunek. Boże, przez całe życie, dzień w dzień zrywać się o świcie, aby dotrzeć do fabryki na szóstą! Twarze, bez względu na wiek, wydawały się sztywne, blade, powieki zwisały sennie, w wielu ustach pety, niektóre jeszcze się ćmiły, inne zgasłe na amen. Siadali, ziewali, drzemali w brudnym tramwaju, który przyjechał niemal pusty. Kobiety zdawały się rozpływać na siedzeniach – jak ptaki, które stroszą pióra i zagrzewają się z szyją schowaną w pierzu. W kolejce podmiejskiej w Gödöllő słyszałem kiedyś, jak surowy ojciec groził swojemu dziecku: „Jeśli się nie weźmiesz za naukę, synu, wyślę cię do pracy i będziesz musiał wstawać bladym świtem przez całe życie!". Czy ci wszyscy biedni ludzie byli złymi uczniami?

• • •

Ciekawe, że pociągi, statki, autobusy i inne środki transportu niosą w sobie namacalne piętno stacji docelowej. Osobowy do Białegostoku nie był pod tym względem wyjątkiem: podniszczony, lekko brudny i zapyziały, ale ciepły. I to nie tylko dlatego, że włączono ogrzewanie. W wagonach panowała atmosfera bliskości, ludzie zachowywali się bardziej naturalnie, byli dla siebie milsi – jakby ich dusze były przeniknięte czymś wiejskim. Słyszałem tylko fragmenty rozmów, ale soczysty zaśpiew, całe mnóstwo zdrobnień, cichszy szelest końcówek, melodyjność, mowa przyprawiona wyrażeniami ukraińskimi i białoruskimi – wszystko to wprowadzało mnie w świat polskich Kresów. Jak barwne mogło być dawniej życie w tym rejonie! Rzecz jasna było też niebezpieczne, przerażająco kruche, często niewyobrażalnie okrutne, ale też bardziej krwiste i zdrowe, bo wypełnione większą tolerancją niż w miejscach, gdzie ludność jest homogeniczna. Przecież na tej ziemi, od Bukowiny i Marmaroszu[24] do Beskidów Wschodnich, potem od Bugu do Kijowa i dalej aż do Mińska i Kowna, żyli i oddziaływali na siebie Polacy, Litwini, Mołdawianie, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Kozacy, Rusini, Huculi, Łemkowie, Turcy, Tatarzy i kto wie, ile jeszcze narodów o różnych religiach, wierzeniach, tradycjach i zwyczajach. Wszyscy tu mówili w co najmniej trzech językach, a bywało, że i w czterech, pięciu. „Gdzie diabeł mówi dobranoc" – ludzie z wielkich miast często określają ten region podobnymi wyrażeniami, a przecież cienie przełomowych wydarzeń z historii Polski są tu obecne na każdym kroku, czasem jeszcze wyraźniej niż w innych zakątkach kraju. Wystarczy poczytać Sienkiewicza… *Laudatio confiniorum*!

Nie da się zaprzeczyć, że impet rozwojowy Europy Zachodniej stracił w tym miejscu nieco na sile, podobnie jak wody wielkich rzek spowalniają w nadmorskich deltach. Potężna arystokracja opływała w bogactwa, które mogłyby przyćmić paryskie salony, ale wystarczyło opuścić zadbane ogrody, by się cofnąć o całe stulecia. Tutejsze pałace przypominają bardziej zamki – ich mieszkańcy musieli często chwytać za broń w obronie życia i mienia. Wojaczka była rzeczą tak naturalną jak zajazdy renegatów

[24] Marmarosz – obszar położony na terytorium Rumunii i Ukrainy, historycznie wchodzący w skład Siedmiogrodu.

czy napady rabusiów. Cena ludzkiej głowy nie była wysoka, ale też żyło się intensywniej niż w innych, szczęśliwszych ponoć, regionach.

Co ciekawe, także w ludziach, którzy opuścili te tereny, pozostała dziedziczona z pokolenia na pokolenie nostalgia, tęsknią za ziemią przodków, nawet jeśli wynoszą się nad swoich ziomków. Mój szwagier Leszek, który jako dziecko spędzał wakacje u dziadków ze strony matki w małej wiosce pod Białą Podlaską, opowiadał mi, że jeszcze dziesięć lat temu na dziewczynę, która kąpała się częściej niż raz w tygodniu, patrzono podejrzliwie. Że niby „swędzi ją to i owo", z pewnością lata za chłopakami, skoro tak często się myje… Nawet dziś w wielu domach obiad podaje się na osobnych talerzach tylko w niedzielę, a w dni powszednie na stole stawia się garnek, z którego domownicy nabierają łyżką.

Sadzę, że już wkrótce przyjdzie mi to wszystko skonfrontować z rzeczywistością – planuję odwiedzić redakcję białostockiego pisma społeczno-kulturalnego „Kontrasty", a naczelny, Andrzej Pawluczuk, będzie moim przewodnikiem. Zamierzam wyruszyć śladami polskich Tatarów, z piórem i aparatem w torbie. W okolicznych wioskach została ich jeszcze garstka. A gruby węgierski przewodnik po Polsce jest w błędzie: najdalej na północ położony meczet w Europie nie znajduje się wcale w Egerze, ale właśnie tutaj. Nie ma wprawdzie minaretu, ale jest za to czynny. Co piątek wypełnia go wspólnota modlących się muzułmanów. O tym właśnie będzie reportaż, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli.

16 listopada 1978, Białystok

Kawiarnia hotelu Crystal tonęła w bordowych pluszach i aksamitach. Wnętrze trochę zapuszczone i brudnawe, a kelnerki z przesadnie ostrym makijażem zlewały się w swoich krwistych kostiumach z otoczeniem. Człowiek instynktownie rozglądał się za lampą z czerwonym abażurem.

Skojarzenie to tylko pozornie może się wydać absurdem. Dochodziła dziewiąta rano, ale z powodu zaciągniętych zasłon – oczywiście czerwonych – w środku nic nie zdradzało pory dnia. Panował tu swoisty bezczas. Dwa stoliki ode mnie wydzierał się krępy pięćdziesięciolatek z grubym karkiem, ostrzyżony na jeża, z rozpiętym kołnierzem i luźnym, niedbale zawiązanym krawatem. Jego mięsista twarz była jeszcze opuchnięta po nocnej libacji, pod przekrwionymi oczami zwisały wory wielkości hotelowych torebek z szamponem. Na różowych uszach włoski jak u świni. Towarzyszyła mu potężna blondwłosa prostytutka. Paznokcie pomalowane na krzykliwą czerwień, choć nie powinna w ten sposób ściągać uwagi na swoje ręce, bo łapska miała jak łopaty. Facet musiał być odważny, skoro spędził noc z kobietą o takich dłoniach…

W pewnym momencie wydarł się od stołu:

– Stasiek, niech cię diabli, zastrzelę jak kundla! – Pomachał do ubranego w fioletową wiatrówkę mężczyzny w podobnym jak on wieku, który zmierzał w ich stronę, chwiejnym krokiem pokonując trasę piętnastu metrów od drzwi do stolika. – Gdzieś się włóczył, do cholery?

– Trochę mnie zmogło, przepraszam – uśmiechnął się do prosiaczka facet o podobnej figurze, tyle że z ulizanymi do tyłu włosami, po czym przysiadł się do nich nieco śnięty. Widać było, kto rządzi w towarzystwie. Drugi mężczyzna podłubał w nosie, wyjął z niego, co mu przeszkadzało, zgniótł i próbował odpstryknąć, ale że konsystencja na to nie pozwalała, wzruszył tylko ramionami i przykleił natręta do stołu.

– Zastrzelę cię, łajdaku, tylko mi przynieś sztucer! – Poklepał po plecach zaspanego kolegę, po czym zwrócił się do kobiety: – Znacie się?

Prostytutka uniosła wzrok.

– Bardzo blisko! – zarżała i wyciągnęła wielgachną dłoń w stronę faceta w fioletowej kurtce.

– Aha! – prychnął szef, marszcząc przy tym brwi. – Już rozumiem, czemu przyłazisz tu tak często! Jest w czym zakisić ogóra, co? A o zgodę poprosiłeś, he?

Kobieta i przylizany gość łypali na siebie niepewnie. Po chwili prosiaczek wyszczerzył na nich swoje pożółkłe uzębienie i zarżał kordialnie.

– Olrajt! Duża dziura, to i miejsca starczy dla nas dwóch, co nie, złotko? – Nachylił się w stronę kobiety i z głośnym cmoknięciem pocałował ją w rękę. – Ciociu! – ryknął w stronę kelnerki, która mogła mieć najwyżej trzydzieści lat i była obdarzona wielkich rozmiarów biustem – dwa koniaki… A ty, Stasiu, na śniadanie pijasz rum, co?

Tamten pokornie skinął głową.

– No proszę… – Prosiaczek mierzył kelnerkę żarłocznym wzrokiem. Miała ponętne kształty, umięśnione, foremne łydki, pośladki jak u konia i sięgające pasa, farbowane na blond włosy, spięte na szyi skórzaną spinką. – Dla Stasia rum.

– Dwa koniaki i rum – podsumowała kelnerka. Po czym spojrzała na faceta parą ciepłych skądinąd, choć teraz chłodnych, piwnych oczu. – Coś jeszcze dla „wujka"?

– O kurna! – wysapał prosiaczek. Nadął policzki, a jego głowa wyglądała jak kawał wyjętej z piekarnika, gruszkowatej golonki. Mrugnął do kolegi. – Te, Stasiu, równa babka nam się trafiła. Następnym razem weźmiemy ją na polowanie!

Kelnerka zabębniła palcami w tacę. Po chwili ni z tego, ni z owego zapytała:

– A dacie mi postrzelać?

Gruby wykrzyknął:

– Jasna sprawa, że damy! Najlepiej z dupy! I to solidnie! Co nie? – Dźgnął siedzącą obok kobietę w bok, ta zaś taksowała kelnerkę zazdrosnym wzrokiem. – Wiesz, co mam na myśli, staruszko! He he he!

Twarz kelnerki nawet nie drgnęła. Musiała być przyzwyczajona do takich scen. Albo jeszcze gorszych. Na prostytutkę nawet nie spojrzała – uważa, że dzieli je różnica klas. Jak mogłem zauważyć – nie bez powodu. W każdym razie, odchodząc od stolika, wycedziła przez zęby:

– Świnie!

Towarzystwo tarzało się ze śmiechu. W pewnej chwili podszedł do nich siwiejący szczupły mężczyzna w skórzanym płaszczu. Skubiąc gęste bokobrody, powiedział:

– Możemy jechać, panie dyrektorze.

Przełożony machnął tylko niespokojnie ręką i kazał mu usiąść. Na stole pojawił się rum i koniak, chudy kierowca nie zamówił niczego. W pewnej chwili prosiaczkowi zaczęło się spieszyć, wychylili kieliszki, zapłacili i poszli.

Spojrzałem na zegarek: miałem czas na jeszcze jedną kawę, redakcja „Kontrastów" znajdowała się o parę minut piechotą, więc do umówionego z Andrzejem spotkania zostało mi dobre pół godziny. Pomyślałem, że skoro i tak poczęstują mnie kawą, po co mam ją pić tutaj, zaraz po śniadaniu. A jednak korciło mnie spróbować, co parzą w stojącym na barze ekspresie Omnia. Nadarzała się rzadka okazja wypić prawdziwą, podwójną małą czarną, a nie typowy w Polsce wrzątek z fusami.

Zamówiłem więc i z rozmarzeniem śledziłem sprężyste ruchy urodziwej kelnerki. Jej koleżanka krzątała się przy kontuarze, ja zaś ze zdumieniem spostrzegłem, że wyciąga normalną szklankę, nasypuje do niej kawy, a potem spuszcza na to wszystko obłoczek pary z ekspresu. Po chwili blond piękność przyniosła mi zamówiony napój do stołu…

– Jezu! – Spojrzałem na nią przerażony. – Przepraszam, ale myślałem, że zrobi mi pani kawę z ekspresu!

– Używamy go do podgrzania wody – wyjaśniła. – Nie umiemy obsługiwać. W centrali powiedzieli, że przyjdą nas wyszkolić, ale od pół roku nikt się nie zjawił. Instrukcji nie ma, tylko po węgiersku.

Na to właśnie czekałem! Raz dwa udało mi się przekonać dziewczyny, że znam się na rzeczy, jeśli tylko pozwolą, pokażę im, jak się parzy kawę. Po maturze też uczyłem się na kelnera w Hungarhotels. To je zaciekawiło. Przyjrzałem się maszynie, temperatura w porządku, ciśnienie też. W jednej z szuflad znalazłem części, które powinny być pod wajchą. W sekundę napełniłem zbiornik, przyjrzałem się, górny filtr był na miejscu, zaczepiłem go, ściągnąłem, chwyciłem za wajchę, a ona zaczęła powoli wracać do pozycji wyjściowej. Ekspres świszczał i gwizdał, kelnerki zaś odsunęły się niepewnie. Najchętniej zrobiłbym to samo, bo cholera wie, czy wszystko faktycznie było na swoim miejscu. Ulżyło mi, gdy z kraniku zaczął kapać delikatny płyn. Wypłynęła ilość potrzebna do przygotowania dwóch filiżanek podwójnej czarnej, z piękną brunatną pianką na wierzchu.

– Tylko tyle? – Wyciągały szyje w stronę maszyny. – To marnotrawstwo!

Dałem do skosztowania. Wypiły po łyku z jednej z filiżanek, a na ich twarzach pojawił się grymas obrzydzenia.

– Jezu, to jakaś trucizna! Sok z wilczych jagód!

– Można rozcieńczyć, jak za mocna! – roześmiałem się. – Wystarczy użyć dyszy, przez którą wypuszczacie gorącą wodę. Oczywiście służy ona do ogrzewania parą wystygłej kawy. Ale wiecie panie, co jest największym marnotrawstwem? Ten wasz „turek" nie ma nic wspólnego z prawdziwą kawą turecką. Nie wystarczy zalać esencji gorącą wodą, bo nawet połowa się nie rozpuści.

Kręciły głowami z niedowierzaniem. Poprosiłem, żeby zebrały kilka porcji fusów z dna brudnych filiżanek, położyły na kaloryferze i zostawiły do jutra, aż wyschną.

Obiecałem, że rano wsypię je do ekspresu i przekonają się, że można z nich zaparzyć wcale znośną kawę.

Na tym stanęło. Wypiłem ze smakiem podwójną czarną i ruszyłem z Andrzejem do Tatarów.

• • •

Maluch Pawluczuka znakomicie się sprawdził jako auto terenowe. Jechaliśmy po niewyobrażalnie kiepskich drogach, za to z cudownym krajobrazem za oknami. Znów mogłem sięgnąć do historii. Tu zaczynały się polskie Kresy, o paręset kilometrów na wschód rozciągają się opiewane w powieściach Sienkiewicza Dzikie Pola. Tatarzy, przeważne krymscy, sprowadzeni przez Jana Sobieskiego, służący polskiej szlachcie, mają też swoje związki z Węgrami: Samuel Murza Krzeczowski w październiku 1683 roku uratował pod Parkanami życie władcy, który ledwie parę dni wcześniej rozgromił Turków pod Wiedniem. Rozprawiwszy się z wojskiem Kara Mustafy, nieco zbyt pewny siebie Sobieski dał się zaskoczyć w okolicach Ostrzyhomia przez oddział nieprzyjaciela. Król znalazł się w śmiertelnym zagrożeniu, kiedy na pole bitwy wtargnął Krzeczowski z sześćdziesięcioma kawalerzystami i skutecznie odpędził napastnika.

Kruszyniany, Bohoniki, Studzianka, Sokółka – polskie wioski zamieszkałe przez Tatarów. Dowiedziałem się, że sam Sienkiewicz miał po dziadku pochodzenie tatarskie. Podobnie jak znany pisarz katolicki Jan Dobraczyński, poeta Harasymowicz i profesor Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego. Wśród tutejszej ludności trudno już dziś znaleźć ludzi o migdałowo wykrojonych oczach czy śniadej cerze, ale wielu z nich nadal praktykuje wiarę przodków, a ich nazwiska wskazują na pochodzenie. Ali i Arslan Bohdanowiczowie, Mahmud Jeljasiewicz, Mustafa i Osman Achmatowiczowie – powtarzałem z lubością egzotycznie brzmiące imiona i zesłowiańszczone nazwiska. Mają dwa czynne meczety, imamów szkolą w Sarajewie i Libii. W całej Polsce jest ich niespełna trzy tysiące, prowadzą ewidencję swojej wspólnoty, mają własne organizacje kulturalne. W Bohonikach nie mogłem nigdzie dostrzec minaretu, zapytałem więc, skąd muezin nawołuje wiernych do modlitwy o pięciu porach dnia. Roześmiali się. Aż tak dobrze im się nie wiedzie, żeby modlić się wspólnie, jak nakazuje kanon. Robią to więc w domach. Poza tym w każdy pierwszy piątek miesiąca spotykają się w osiemnastowiecznym drewnianym meczecie, w którym muzułmański kantor wznosi z galerii przebłagalne śpiewy do Boga. W większej części świątyni, mihrabie, klęczą zwróceni w stronę Mekki mężczyźni, mniejsza zaś, zwana mimbarem, przeznaczona jest dla kobiet. Współcześnie niewielu z nich ma możliwość udać się w pielgrzymkę do świętego miasta.

Nagrałem mnóstwo materiału, mam przed sobą pełne rolki zdjęć. Mógłbym napisać o tym wszystkim krótką książkę, tyle się tego zebrało. A jeśliby mi się udało dzięki zawartym znajomościom podrążyć temat, kto wie, może powstałaby z tego opasła *kniga*.

Obiad zjedliśmy w Kruszynianach, w gospodzie o romantycznej nazwie „Złota Horda". Ciekawe, jak pięknie może skruszeć historia, jeśli damy jej wystarczająco dużo czasu. Polacy ekscytują się krwawymi dziejami walk na Kresach Wschodnich jak najlepszą powieścią przygodową, podobnie zresztą jak my, Węgrzy, traktujemy opowieści z czasów najazdów tatarskich czy niewoli osmańskiej. Tyle że świat już wtedy nie był czarno-biały… Weźmy choćby życie i dzieło mojego ulubieńca, mistrza Balassiego: dzielny obrońca granic, który jednego dnia wyżynał Turków, by następnego układać wiersze miłosne na melodię pieśni anatolijskich. Walczyliśmy ze sobą, ale też z uwagą przyglądaliśmy się swoim kulturom. Nie da się zaprzeczyć: Orient pod wieloma względami wyprzedzał Europę. Matematyka, kartografia, astrologia, narzędzia wojenne, proch strzelniczy, druk książek. Azjatyckie kolczugi i szable damasceńskie albo konie araby cieszyły się wielkim uznaniem wśród żołnierzy chrześcijańskich, a nasi szlachcice – także wywodzący swój ród od Sarmatów Polacy – chętnie nosili ubrania wschodniego kroju, płacili majątek za zdobne obicia albo zdobyty w boju perski dywan. Prototypy najlepszych europejskich instrumentów muzycznych znajdziemy właśnie na Wschodzie. Również tu, wśród polskich Tatarów, kobza brzmi jak u naszych braci csángó[25] albo u ludów tureckich przed setkami lat. Brakuje mi jednak u nich bardziej sportowych ras koni. Gdziekolwiek byłem, widziałem tylko krępe szkapy pociągowe. Nigdzie zaś człowieka o „psiej głowie", który mknąłby na małym, żwawym koniku i strzelał przy tym z łuku w przód, w tył albo na boki. Jakaż by to była atrakcja!

Na kolację zaprosił nas Ahmed Muratowicz, Tatar gospodarujący na ośmiu hektarach. W końcu mieliśmy okazję zakosztować świata, o którym opowiadał mi Leszek! Mąż, żona i sześcioro dzieci mieszkają w domu z białą izbą i sypialną kuchnią, największym pomieszczeniem, które wychodzi bezpośrednio na stajnię z trzema krowami, parą koni, ośmioma kozami, a do tego chrząkającymi w rogu w oddzielonym chlewie świnkami. Poza tym kaczki, gęsi, kury. Zimą drzwi łączące kuchnię ze stajnią zostawia się otwarte: ciepło zwierząt ogrzewa także część mieszkalną. Siatka drobiarska odgradza ludzi od ciekawskich stworzeń, ale nie od ich zapachu – po półgodzinie można jednak do niego przywyknąć i prawie nie czuć. Na kredensie świeci na zielono kocie oko radia, nieco tylko lepszego od najprostszych odbiorników, i mruczy przez cały dzień, wygrywa głucho melodię Programu Pierwszego, oczywiście na falach długich, które można odbierać pewnie na samej Antarktydzie. O urządzenie stoi opartych kilka zaczytanych książek, jedna z nich przykuwa uwagę złotymi, tłoczonymi literami: Koran. Wydanie polskie. Zapytałem, czy mogę przejrzeć. Gospodarz wytarł dłonie w fartuch i sięgnął po tom z namaszczeniem, a potem podał mi ostrożnie. Wydrukowany w Libii, z pietyzmem, dość ciężki. I cały zielony, to znaczy w kolorze proroka, złocenie prawie nienaruszone na geometrycznym wzorze. Dowie-

[25] Czangowie (*węg.* Csángók) – węgierskojęzyczna grupa etniczna zamieszkująca tereny na pograniczu Mołdawii i Rumunii.

działem się, że większość tutejszych ludzi potrafi wypowiedzieć w języku Mahometa już tylko najważniejsze modlitwy, a i to ze słuchu albo na podstawie łacińskiej transkrypcji fonetycznej. Mieliśmy okazję wysłuchać jednej z nich – błogosławieństwa przed posiłkiem.

Podano nam gulasz barani o silnie łojowym aromacie, ale dano od serca, a poza tym gościom nie wypada wybrzydzać. Na szczęście była też piekielnie mocna wódka, jak twierdzili – z ziemniaków. Pawluczuk też skosztował. Miał wprawdzie prowadzić w drodze powrotnej, ale łyczek dla dezynfekcji nie zaszkodził. Gospodarz mrugnął do nas przy toaście:

– Allah litościwy, jeśli wierny jest w potrzebie, ma prawo spożyć nieco alkoholu.

A potrzeba się akurat nadarzyła, bo w gości przyszli giaurzy, z którymi wypada się napić. Żona kręciła głową, patrząc wymownie na męża, ale i ona wychyliła kieliszeczek. Widzieliśmy też, jak szanuje się starszych: dorosłym podano talerze, a zgromadzona po drugiej stronie stołu dzieciarnia dostała tylko wielki gar, a w nim gulasz zmieszany z kartoflami, który jedli łyżką, przesuwając naczynie między sobą. Były też ogórki kiszone – wyławialiśmy je z wielkiego słoja.

Ahmed, który na oko nie różni się niczym od innych chłopów we wsi – nosi dmuchaną kufajkę, filcowe kalosze, czapkę uszankę, a jego oczy są niebieskie i nie przypominają kształtem migdałów – spracowaną dłonią nadając rytm swoim słowom, wyjaśnił nam, dlaczego nikt z nich nie wstąpił do spółdzielni.

– To jest tak: dziadek mojego dziadka gospodarował na swoim. – Nalał wódkę do prostych kieliszków o grubych ściankach. – To prawda, miał najemników, sam nie kopał ziemi, bo walczył. Tak jak mój ojciec. Było tu ze trzydzieści hektarów, kilku robotników, dwie rodziny, a on służył pod Jeljaszewiczem, w 1939 walczył w szwadronie tatarskim. Za okupacji straciliśmy wszystko, musieliśmy zaczynać od nowa. Ale z drugiej strony, żyjemy jak zwykli chłopi i jesteśmy względnie wolni! To znaczy nikt nam nie broni harować! I jest po co! Jeśli państwo albo spółdzielnia potrzebują nasion wysokiej jakości, do kogo się zwracają? Oczywiście że do takich jak my. Nawet sekretarz partii kupuje u nas, ponieważ nasze produkty mają smak, wkładamy w nie serce, nieważne, czy chodzi o zwierzę czy o roślinę. Wiemy, jak to robić, a nie jak w kołchozie. Kto to słyszał, żeby człowiek chodził na pole jak do fabryki?! I takie też są te ich wyroby! Ale i nas próbują nękać! Myśli pan, że nie potrzebujemy traktorów i maszyn? Orka koniem to żadna przyjemność… Tyle że wszystko jest na przydział. Jak kto dobrze ustawiony, to dostanie, jak nie – nie. Ani nawozów, ani środków do ochrony roślin. Próbują też oszukiwać na skupie, obniżają cenę z wydumanych powodów. Myślą, że nas załatwią. Prędzej sami siebie! I swoje miasta, cały kraj. Bo jak się nie opłaca sprzedawać na rynku, uprawiamy dla siebie. Sąsiad marchew, ja ziemniaki, a potem się wymieniamy. A handel niech się wypcha! Widzi pan, ile rzeczy sprzedają już tylko na kartki. Moglibyśmy osiągnąć więcej, gdyby sytuacja była inna. Ale cóż, zdrowie, panu i tak nie wolno o tym pisać!

Niebieskooki Tatar miał rację. Nie pierwszy raz zdarzyło mi się słuchać podobnych skarg. Wyciągnąłem mylne wnioski na podstawie warunków, w których

mieszka. Na szczęście o tym nie wiedział, więc jedynie w duchu zawstydziłem się pochopnej opinii. Dzieci poprosiły o to, by mogły przejść do białej izby na wieczorynkę. Zdjęły buty zimowe i w samych skarpetach weszły do pokoju oglądać *Bolka i Lolka*. Wypiliśmy ostatnią kolejkę, Pawluczuk nie odmówił, choć mieliśmy przed sobą dobrych parę kilometrów jazdy do Białegostoku zaśnieżoną szosą. Uścisnęliśmy dłoń Ahmeda i pocałowaliśmy twardą, spracowaną rękę pani domu, po czym wyszliśmy na mróz.

Zimowe, gwiaździste niebo, spodziewałem się zobaczyć rogal księżyca, ale nie, „łysy" – jak go tu nazywają – widoczny był w trzech czwartych. Powinniśmy byli raczej wsiąść na konia albo do zaprzęgu, a nie kisić się w małym blaszanym autku. Andrzej zgodził się ze mną, ale z braku innych opcji musieliśmy zaufać koniom mechanicznym.

Do Białegostoku dotarliśmy cali i zdrowi. Pożegnałem się z nowym, świetnym kolegą, poranny pociąg do Warszawy odjeżdżał dość wcześnie. Przed snem przeglądałem otrzymane w prezencie „Roczniki Tatarskie". Legendy, baśnie, szkice etnograficzne, proza, reportaż. Zasypiałem z nadzieją, że przyśnią mi się ludzie opisani na stronach periodyku.

17 grudnia 1978, Warszawa

Wczoraj wieczorem po raz pierwszy widziałem na ulicach Warszawy czerwono-białego ikarusa – napis na bocznej ścianie pojazdu informował, że to jazda próbna. Dziwne uczucie widzieć go w innych kolorach niż niebieski, jak w Budapeszcie.

Wygląda na to, że Polacy zaczynają nabierać rozumu. Od kilku lat wypuszczali na ulice stolicy i innych miast autobusy Berliet. Dziwiłem się, dlaczego w metropolii jeżdżą pojazdy o tak niewielkiej przestrzeni pasażerskiej, zaprojektowane raczej do obsługi podróżnych w mniejszych miastach. Powiedziano mi w tajemnicy, że francuska fabryka stała na skraju bankructwa, tymczasem wśród tysięcy zatrudnionych było wielu członków partii komunistycznej. Polscy towarzysze w imię solidarności proletariackiej postanowili uratować miejsca pracy dla swoich frankońskich przyjaciół i złożyli wielkie zamówienie. A że model nie nadaje się do obsługi większej liczby pasażerów? Co z tego?

Teraz czytam w „Trybunie Ludu", że Polska będzie kupować węgierskie ikarusy. Toczą się dyskusje, czy mają to być kompletnie wyposażone maszyny, czy jednak część komponentów powstanie w kraju. Mój szwagier Jacek, były kierowca autobusu, twierdzi, że produkowane w Andrychowie dozowniki do diesli nie są warte złamanego grosza i szkoda byłoby niszczyć nimi sprawdzone silniki węgierskie.

– Wyobraź sobie – dodaje – na ulicach pojawiły się już nowe ikarusy. Wypuszczają z siebie kłęby czarnego dymu! A ludzie myślą, że to wasza wina.

Niewykluczone, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności będę miał w tym temacie coś do tłumaczenia. Wówczas mógłbym szepnąć właściwym osobom do ucha, jak wygląda w praktyce eksploatacja pojazdów w Polsce.

18 grudnia 1978, Warszawa

Czyżby pojawiła się szansa na skończenie studiów?

Ákos z uznaniem przyjmuje moje literackie i reporterskie osiągnięcia, ale przy tym uparcie wbija mi do głowy: „Stary, musisz mieć jakiś dyplom, bo jednak papier to papier!". Myślę, że ma rację – nie jestem aż takim geniuszem, żebym gardził tytułem magistra. Z pewnością pomogłoby mi to w karierze zawodowej. Parę dni temu wspomniał, że jest w dobrych relacjach z Istvánem Patakim, attaché kulturalnym, który mógłby zadziałać w tej sprawie.

– Załatwimy to tak, że „przypadkiem" wpadniesz do redakcji, kiedy będzie u nas z wizytą. Czasem muszę zapraszać tego typu ludzi, jeśli chcę zachować stołek – tłumaczył się. – Poznacie się, powiesz mu, co ci leży na wątrobie, a potem zobaczymy. Naturalnie nie musisz przed nim wychwalać bolszewików, wystarczy, że pozachwycasz się ludową lewicą i w ten sposób zasygnalizujesz przywiązanie do narodu. Oni tolerują László Némethа[26], Illyésa się boją, ale na swój sposób go szanują. O Csoórim[27] nie wspominaj. Jak wiesz, od czasów Karty 77 jest u komunistów na cenzurowanym. Ale nawet jeśli coś z tego wyjdzie, miej się na baczności, stary, bo oni nie dają niczego za darmo!

W końcu i tak ułożyło się inaczej, wydarzenia nabrały tempa. Janusz Termer, naczelny „Nowego Wyrazu", który gościł u siebie Istvána Margócsyego[28] z ELTE i razem planowali węgierski przegląd młodej literatury polskiej, zabrał nas ze sobą na koktajl do ambasady. Ákos zdębiał, bo nie przypuszczał, że dostanę się tam bez jego pomocy. Ja też nie. Ale skoro się już zjawiłem, od razu przedstawił mnie Patakiemu. Attaché z miejsca przeszedł ze mną na „ty" i zapewnił, że już o mnie słyszał. Był jakoś dziwnie, wręcz przesadnie miły i serdeczny, zachodziłem w głowę, czym sobie zasłużyłem na takie rewerencje, skoro spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zrobiłem się nerwowy. Facet zakończył rozmowę krótką konstatacją, że „może wiele załatwić", i zaprosił mnie na kolejne małe przyjęcie, które odbędzie się w przyszły wtorek i będzie na nim pół Ministerstwa Kultury i Oświaty, w tym sam wiceminister. Zobaczą, co mogą dla mnie zrobić.

Ledwie wróciłem do domu, Jola wręczyła mi kartkę z numerem telefonu i nazwiskiem. Mam się skontaktować z panią Jelonek z Ministerstwa Kultury, dzwoniła do mnie w sprawie pracy. Zatelefonowałem. Okazało się, że chcą mnie wziąć na tłumacza w czasie posiedzenia Polsko-Węgierskiej Komisji ds. Kultury. Węgierskiej delegacji będzie przewodzić minister Károly Garamvölgyi.

---

[26] László Németh (1901–1975) – węgierski lekarz i pisarz, eseista oraz tłumacz literatury, uhonorowany Nagrodą Kossutha, największym wyróżnieniem przyznawanym artystom na Węgrzech. W swojej twórczości za warstwę odpowiadającą za świadomość narodu uważał chłopstwo, którego problemy skupiały w sobie ówczesne bolączki Węgrów.

[27] Sándor Csoóri (1930–2016) – węgierski pisarz i opozycjonista. Autor scenariusza m.in. do filmu *Osiemdziesięciu huzarów*. Współtworzył Węgierskie Forum Demokratyczne.

[28] István Margócsy – historyk literatury, adiunkt i kierownik Katedry Historii Węgierskiej Literatury XIX Wieku na Uniwersytecie Lóranda Eötvösa w Budapeszcie.

No, zapowiada się spory ruch w interesie! Wygląda na to, że na wtorkowym koktajlu w ambasadzie pojawię się w charakterze służbowym…

19 grudnia 1978, Warszawa

Czytam książkę Pétera Lengyela[29] *Cseréptörés*. I nie mogę się oderwać! Na kartach powieści opisano, z pewnym przesunięciem czasowym, także moje dzieciństwo. Ten żal, że nie mogłem porozmawiać z tatą jako dorosły człowiek, choć bardzo tego chciałem! I że tak późno dojrzałem, o tyle wolniej niż pokolenie mojego ojca pojąłem, co to odpowiedzialność. Że był czas, gdy kwiaty polne sięgały mi do pasa. Szerokie niegdyś drogi stały się wąskie jak ścieżki. Że dzieciństwo przypomina otwarty wlot lejka, którym wchodzimy do środka. A potem wszystko się kurczy. Przeciwstawne procesy, odwrócone paralele. Mucha ma tę samą wielkość, jak przy brzegu stożka. Tyle że teraz nie może się w nim obrócić. Żyje na tym samym świecie, a jednak gdzie indziej, w innej jego części…

Cóż za cudowna książka! Zachęca wszystkich nas do odkrywania przeszłości. Kim byli dziadek i ojciec, jakimi byli ludźmi, w jaki sposób myśleli i dlaczego właśnie tak? Przecież ja sam też się tym zajmuję! Jak ciężko jest zawrócić we wnętrzu lejka… Człowiek z trudem odnajduje ślady. Bo w życiu każdego pokolenia pojawia się odwieczna *tabula rasa*. To także przekleństwo Węgrów. I jak w tym wszystkim znaleźć jakąś ciągłość?!

Coś jednak możemy zrobić: pisać, pisać, pisać. Sporządzać notatki, prowadzić dziennik, pisać listy, przechowywać zdjęcia, wycinki z gazet, bilety tramwajowe, abonamenty, znaczki. Jeśli nasze dzieci będą chciały dowiedzieć się o nas czegoś po naszej śmierci, posłuchać opowieści, to przynajmniej zostawimy im jakiś punkt zaczepienia. Ktoś kiedyś przekaże im nasze zapiski i powie: „Proszę, to należało do waszego ojca. Jego radości, marzenia, smutki, cierpienia, bunty, walki, kapitulacje, światopogląd". Niech nasze dzieci dowiedzą się, jacy byliśmy niedojrzali, zakochani, rozczarowani. Wszystkiego i tak nie zdołamy im powiedzieć, ale jakąś istotną cząstkę – owszem. Reszty dowiedzą się od znajomych, krewnych, świadków. Jeśli będą świadkowie…

A tak na marginesie: kim będą moje dzieci i kto mi je urodzi? Jola czy może inna kobieta? Albo inne kobiety?

21 grudnia 1978, Warszawa

Wszystko po staremu! Byłem na koktajlu, przedstawiono mnie wszystkim znaczącym personom, dostałem cały stos wizytówek, mam zadzwonić i zobaczą, co da się zrobić… Konkretów brak. Pocieszam się, że jest grudzień, zaraz będą święta, a od nowego roku

[29] Péter Lengyel – pisarz węgierski, tłumacz literatury, laureat Nagrody Kossutha. Autor tekstów z gatunku science fiction, w tym przetłumaczonej także na język polski książki *Druga planeta słońca Ogg*.

zacznę się starać o protekcje. Grunt, że jednak jest jakiś progres. Ákos, który co rano chodzi do ambasady przygotować prasówkę, czasami nie ma na to czasu i wtedy go zastępuję. Płacą nieźle, ale najważniejsze, że mogę pokazać się Patakiemu i samą swoją obecnością przypomnieć mu o złożonej obietnicy.

31 grudnia 1978, Warszawa

Na dworze minus dwadzieścia pięć, w mieszkaniu najwyżej plus pięć. Od samego rana co godzinę radio donosi o zmieniającej się sytuacji energetycznej w kraju. W północnych i wschodnich województwach temperatura spadła poniżej trzydziestu stopni mrozu. Wiatr wieje z prędkością siedemdziesięciu–osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, do tego zamieć lodowatego śniegu. Mój wyżeł tonie w kopcu białego puchu za domem.

Okno jest nieszczelne, nie pomaga obkładanie go szmatami, przez małe szparki wpada śnieg, jakby ktoś wtłaczał go do środka dmuchawą. Przypomina suchy lód. Pod parapetem ze sztucznego kamienia zastyga czasem w formie lodowej waty. Gdy zrobi się cieplej, może będę miał w mieszkaniu sople.

Nie grzeją. W całej Warszawie odcięto dostawy gorącej wody. Obiecali, że wieczorem kaloryfery znów będą ciepłe.

Klimat jak na Syberii czy Kołymie, ale jakoś jednak trzeba się wykąpać przed sylwestrem… Wszystkie większe naczynia, jakie znaleźliśmy w mieszkaniu, stoją teraz napełnione wodą na kuchence gazowej. Pralkę nastawiłem na gotowanie, więc mogę z niej wpompować do wanny wodę o temperaturze dziewięćdziesięciu stopni.

Potrzeba jest matką wynalazków. Postanowiliśmy, że najpierw umyje się Jola, a potem ja. Jak w późnych latach pięćdziesiątych w naszym domu w Budapeszcie, kiedy woda z piecyka starczała tylko na jedną kąpiel, więc chlapała się w niej cała czteroosobowa rodzina. Teraz jednak wyszliśmy na tym lepiej: weszliśmy do wanny w dwójkę i szorowali się nawzajem. Trochę to trwało… Po wszystkim doszliśmy do wniosku, że w normalnych okolicznościach nie przyszłoby nam do głowy rozrabiać na tak maciupeńkiej przestrzeni. System komunistyczny podarował nam tę sylwestrową awarię sanitarną w prezencie!

1979

1 stycznia 1979, Warszawa

Pomimo siarczystego mrozu udało nam się spędzić noc sylwestrową na zabawie. W śniegu sięgającym do kolan po dziesiątej dotarliśmy do lokalu „Pod Nowym Światem", gdzie wejściówka kosztowała tysiąc złotych od łebka. Miało nas być sześcioro, ale znajomi Włodka zrezygnowali z powodu kołymskich temperatur. Ponieważ nie przyszli, zostały nam dwa wolne bilety. Dwa tysiące w błoto. Na szczęście Włodek to łebski facet i od razu dogadał się z szatniarzem, że ten opchnie wejściówki komuś innemu. Facet zażądał czterech stów za usługę. Ale i tak zostało nam dzięki temu w kieszeni tysiąc sześćset.

Siedzieliśmy, jedliśmy, piliśmy i bawiliśmy się, czasem się tylko zastanawiając, jak będzie wyglądał powrót do domu o świcie. Poziom śniegu mogliśmy obserwować przez okno: sięgał na oko do połowy uda, suchy i prószący na wietrze jak mąka. Orkiestra była nędzna, mój szwagier Leszek oszalałby na miejscu, tak bardzo nie trzymali się rytmu.

W końcu przyszedł szatniarz i poprosił nas o bilety, bo udało mu się znaleźć chętnych. Po paru minutach zjawili się nowi stołownicy. Niski, chudy brodacz, na oko trzydziestopięcioletni oraz ładna kobieta w tym samym wieku, z kaskadą brązoworudych włosów sięgających do pasa. Dziewczyna miała lekkiego zeza, ale było jej z tym nawet do twarzy. Szybko się okazało, że to amerykańscy Polacy, facet zresztą już w drugim pokoleniu, i mówił w języku ojczystym z mocnym akcentem. Żona to z kolei krakuska. Artur – bo tak miał na imię – świadomie wybrał kobietę z Polski: chciał się mocniej związać z krajem przodków. Jak mówią, ich dwoje dzieci co roku spędza wakacje u siostry babci ze strony matki na Podhalu, wśród górali. A jesienią zaczyna się histeria – chłopcy nie chcą wracać do Stanów, bo życie w kraju wydaje im się o wiele ciekawsze. Rodzice oczywiście wiedzą, że gdyby nie regularny zastrzyk dolarów, krewni nie byliby skłonni zapewniać dzieciom tak przyjemnych warunków. A tak mogą się zaopatrywać w peweksie albo na wolnym rynku – znacznie droższym niż sklepy państwowe. Dzieci oczywiście nie rozumieją tych subtelności, widzą jedynie pozytywne strony życia w Polsce.

Rozgadaliśmy się, a po północnym toaście Artur zaoferował, że przyśle mi zaproszenie do Stanów, gdzie będę mógł zarobić porządne pieniądze. Zaśmiałem się gorzko. Facet do rana wytrzeźwieje i zapomni o wszystkim, więc po co te obiecanki-cacanki?

„A jednak – przebiegło mi przez myśl – byłoby całkiem zabawnie popracować gdzieś w Ameryce przez pół roku, a na chwilę przed powrotem zapukać do drzwi mojej wrednej matki chrzestnej w New Jersey: – Cześć, Xma, *how are you*? Czy mogę zaprosić cię na obiad?". Już widzę, jak dębieje na mój widok. Od lat nie udało mi się wyprosić u nich zaproszenia. Ciągle wynajdują powody, że nie teraz albo w ogóle. Och, chcesz pracować na czarno? W takim razie nie ma mowy! Jeśli wpadniesz, wiesz, jaką karę będzie musiała zapłacić osoba, która za ciebie poręczyła? Nie pomaga tłumaczenie, że to samo robią dziesiątki tysięcy Polaków i większości się udaje – ciotka jest nieugięta.

Artur robił się z każdym kieliszkiem coraz bardziej natarczywy, więc pozwoliłem mu mówić i wyłączyłem się z rozmowy. Wszyscy zrobiliśmy się senni, więc postanowiliśmy wracać do domu. Najpierw przez pół godziny ubieraliśmy się w szatni, a potem wyszliśmy na syberyjskie mrozy. Na ulicy zero aut czy taksówek, bo po zasypanej jezdni i tak dałoby się jeździć tylko czołgiem. W normalnych okolicznościach droga do domu zajęłaby nam dwadzieścia minut, a tak musieliśmy ją pokonywać przez ponad godzinę. Wiatr gwizdał, śnieżny pył wdzierał się przez najmniejsze szpary w ubraniu, było tak zimno, że przy wciąganiu powietrza smarki zamarzały w nosie i topiły się dopiero przy wydechu. Nie marzliśmy jednak, bo grzał nas alkohol, a przedzieranie się przez zwały śniegu było jak brodzenie w wodzie, więc nawet trochę się spociliśmy.

Temperatura w mieszkaniu wydawała się znośna. Ledwo jednak zdołaliśmy zdjąć płaszcze, poczuliśmy od razu, że musimy się z powrotem ubrać. Nie grzali, termometr pokazywał plus dwa stopnie. Włączyliśmy kuchenką gazową, z nadzieją, że płomienie nie zgasną, gdy będziemy spać, i że się rano obudzimy. Tlenek węgla i tak się ulatnia z powodu złej izolacji.

Słyszę teraz w radiu, że tamtej nocy były minus trzydzieści dwa stopnie. Hu, i w takim mrozie dotarliśmy do domu?!

4 stycznia 1979, Warszawa

Pociągi zamarzły w sylwestra. Dziesiątki tysięcy ludzi utknęło na nieznanych sobie dworcach. W kilku miejscach wojsko ratowało pasażerów ze stojących w szczerym polu składów transporterami i helikopterami.

Jeszcze 31 grudnia zwołano Radę Ministrów i ogłoszono częściowy „stan wojenny". Tragikomiczne w tym wszystkim jest to, że w polskiej konstytucji nie ma pojęcia stanu wyjątkowego – bolszewicy potrafią myśleć wyłącznie w kategoriach walki, bo stan wyjątkowy jest i tak czymś „normalnym" i panuje na co dzień. Dostawy ciepłej wody i ogrzewania zostały wyłączone na mocy rozporządzenia. „Każda dawka energii jest na wagę życia" – lamentował redaktor w radiu. Wezwano wszystkich, by wzięli udział w odśnieżaniu i przez jakiś czas siedzieli w domach ciepło ubrani. Spikerka w telewizji migocze niewyraźnie na ekranie, obraz jest ciemny, pofalowany, czasem drży, to znów zastyga w miejscu – napięcie sieciowe, jak doniósł mi sąsiad elektryk, waha się między sto sześćdziesiąt a sto siedemdziesiąt woltów.

Od wielu dni temperatura utrzymuje się na poziomie co najmniej minus dwudziestu stopni. Odpowietrznik do kaloryferów trzymamy stale otwarty – nadzieja umiera ostatnia. W całej Warszawie od pięciu dni nie grzeją. Także energia elektryczna dociera z przerwami. Radio co pół godziny nadaje komunikat o aktualnej sytuacji. „Zima stulecia " – powtarzają do znudzenia.

Ciekawostka: Bydgoszcz, Toruń i inne duże miasta z terenów, które przez ponad sto lat należały do Prusów, podjęły rzuconą przez Dziadka Mroza rękawicę i w dwa dni rozwiązały problem – wszystko działa, mieszkania ogrzane, transport miejski funkcjonuje normalnie. Wydaje się, że tamtejsi Polacy nauczyli się sztuki organizacji od najeźdźców niemieckich. Tymczasem Warszawa i jej południowo-wschodnie okolice znajdowały się pod zaborem rosyjskim; obowiązywała tu filozofia *siejczas*. Okazała się ona zaraźliwa jak ziewanie. Ot i cała przyczyna.

Nagle wyszło na jaw, jak nieprzebrane ilości węgla znajdują się w kraju. Mimo że jesienią ludzie stali w długich kolejkach po opał, musieli dosłownie polować na niego. A jak już się udało, to też nie było przebacz, mieszkańcy kamienic musieli taszczyć twarde jak skała bryły, jakby wnosili do domu worki cementu. Jeden z naszych znajomych też pali węglem: rąbie go siekierą, rozkrusza i drobi na mniejsze kawałki, byle tylko dało się jakoś wnieść na górę. Teraz jednak mamy węgla w bród! Z Gdańska nie wypuszcza się w morze parowców, pociągami, ciężarówkami – czymkolwiek – dowozi się „czarny diament" do elektrociepłowni. W akcji bierze udział także wojsko.

Partia i rząd wzywają do mobilizacji społecznej, wzmożonej oszczędności energii. Nie próbują ukrywać rozmiarów problemu. Ale że sytuacja jest podobna w całej Europie, na Sycylii spadł śnieg, a mieszkańcy Chicago chodzą w nartach – telewizja i radio trąbią o tym bez przerwy, by pokazać, że inni też są w tarapatach. Nie dodają jednak, że w krajach tych ogrzewanie działa bez szwanku, nie ma stanu wyjątkowego, jest za to prąd i gaz, wszystko chodzi jak w zegarku. Przepaść między dwoma systemami zionie jak nigdy!

Jaroszewicz, przejęty, mówił w telewizji o „poczuciu odpowiedzialności za wielką polską rodzinę". Zastanawiam się, jak się miewają jego najbliżsi. Czy luksusowe wille i dacze premiera też zamarzły? Czy w anińskiej willi, „odziedziczonej" po rodzinie poety żydowskiego Juliana Tuwima, również wieje chłodem? Czy synek aby ciepło ubrany? Mały Jaro, morderca na wolności, który podczas domowej hulanki „w stanie silnego wzburzenia" tak mocno uderzył w twarz kobietę, że ta walnęła głową o schody i zmarła na miejscu. Całe zdarzenie uznano za nieszczęśliwy wypadek, a on, „mały książę", został wysłany na „urlop" do Paryża. Chłopak za wszelką cenę chce być kierowcą rajdowym, więc co roku dostaje podrasowanego fiata, którego następnie rozbija. A sam towarzysz Jaroszewicz jak się miewa? Gdzie akurat przebywa? Może w cieplejszych krajach? Albo na mokotowskim ranczo z podgrzewanym krytym basenem? Krążą pogłoski, że ważni towarzysze mają zainstalowane w domach generatory prądu, aby móc je uruchomić w razie potrzeby. Nietrudno w to uwierzyć.

Partia trąbi o oszczędzaniu energii, tymczasem budynek KC dzień i noc skąpany jest w świetle ogromnych, tysiącwatowych reflektorów. Może i je zasilają generatory?

Wczoraj prawie cztery godziny wystawiałem gębę na mróz, szukając w sklepach grzejnika typu słoneczko. Dopiero w jedenastym dowiedziałem się, dlaczego we wszystkich witrynach wiszą informacje o ich braku.

– Proszę nawet nie próbować – nachylił się do mnie poczciwy sprzedawca. – Przedwczoraj otrzymaliśmy urzędowy zakaz ich sprzedaży. Nie chcę pana denerwować, ale w magazynie mamy tego na pęczki.

Próbowałem gościa skorumpować, ale powiedział, że nie może mi dać ani sztuki pod żadnym pozorem, bo wszystkie musieli zinwentaryzować i zgłosić. Spojrzałem mu głęboko w oczy i spytałem:

– I nie przyszło panu do głowy, żeby nie wpisywać wszystkich na listę? To znaczy, równowartość włożyć do kasy, a odłożone sztuki sprzedać potem z zyskiem…

Byliśmy w sklepie tylko my dwaj. Sprzedawca zmrużył oczy, rzucił mi cenę grzejnika, dubeltową, ja zaś skinąłem głową i po chwili facet przyniósł pudło ze zdjęciem porcelany jeneńskiej. On zainkasował podwójnie, ja dostałem do ręki grzejnik i mogłem wracać do domu. Tak to wygląda w realnym socjalizmie…

W szkołach przerwa zimowa została przedłużona do 6 stycznia. Partia i rząd uznali odśnieżanie za obowiązek patriotyczny. Dobrze, że nie wystawiają z tego tytułu obligacji. Gdzie nie spojrzeć – żołnierze, milicjanci, ciężkie wozy opancerzone walczą ze śniegiem. Brakuje tylko tego, by wezwali na pomoc zaprawionych w zimowych bojach Rosjan. Zresztą ci i tak są na miejscu. Ale jakoś ich nie widać na oblodzonych barykadach.

Telewizja i radio bez przerwy powtarzają, że brakuje prądu i z tego powodu fabryki i zakłady musiały ograniczyć produkcję. Aha, bardzo im to wszystko na rękę! Mają na co zwalić winę za bałagan w gospodarce. Według Gierka pogoda miała wpływ także na spadek PKB o dwa i pół procent. Premier Jaroszewicz podkreślił ponadto, że zobowiązuje wszystkie instytucje państwowe do natychmiastowej inwentaryzacji zapasów węgla.

Pani Hania, kioskarka, stała w bramie naszego bloku oparta o łopatę. Okutana od stóp do głów, wyglądała jak matrioszka. Sprzedając mi dwie paczki caro, zapytała szyderczo:

– Wie pan, co oznacza minus dwadzieścia stopni?

Spojrzałem na nią pytająco.

– Według ostatnich badań to temperatura zamarzania socjalizmu!

6 stycznia 1979, Warszawa

Sobota. Do tego wolna. Czas eksperymentów grzewczych. Po południu zmierzyliśmy w mieszkaniu plus czternaście stopni. Fakt, na zewnątrz mróz zelżał do minus trzech–czterech. Władza nie jest głupia, od czasu do czasu puści trochę ciepła, żeby ludzie nie pyskowali, że od tygodni w domach panuje zima.

Dochodzi ósma. Karcsi z żoną zapowiedzieli się na siódmą, ale z nimi jest jak z Jolą… Zawsze spóźniają się co najmniej godzinę.

Dziś dzień pożegnania: moja żonka jedzie do Włoch. Nie na darmo pociła się miesiącami na próbach baletu – zakwalifikowała się do wyjazdu. Kontrakt potrwa osiem miesięcy, do tego czasu nie wróci do domu. Całymi wieczorami męczyła mnie pytaniem: jechać czy nie? Osiem miesięcy to potwornie długo… Nie rozmawiamy o tym wprawdzie, ale znamy się na tyle dobrze, by wiedzieć, że żadne z nas nie dochowa drugiemu wierności. Ale przecież nie jesteśmy z mydła, nie rozpuścimy się, a jeśli nasza miłość jest naprawdę silna, sprawy cielesne jej nie zniszczą. Tylko wariat nie skorzystałby z podanej jak na tacy okazji zarobku w twardej walucie, do tego przez ładnych kilka miesięcy. W Polsce można przeżyć miesiąc za sto dolarów. A tam przez ten czas da się odłożyć tysiąc. Moglibyśmy wreszcie kupić mieszkanie…

A mimo to nie mogę tak po prostu powiedzieć Joli, żeby jechała. Ale też nie mogę jej zatrzymywać. I tak źle, i tak niedobrze, a cokolwiek doradzę, będę musiał słuchać wyrzutów do końca życia. Zadręczaliśmy się oboje, ona i ja. W końcu postanowiliśmy rzucić monetę: orzeł albo reszka, niech zdecyduje ślepy traf. Padło na wyjazd. Jedzie zatem. A ja już się boję… O nią i o siebie.

10 stycznia 1979, Warszawa

Wyjechała. Mediolan. Włochy. Bazylika. Mafia. Katedra. Purpurowy płaszcz Joli. Błękit przywiezionej ze Szwecji wodoszczelnej torby marynarskiej na lotniskowym wózku. Na tarasie widokowym ziąb jak diabli. Gruby, zamarznięty, lodowaty śnieg. Zamówiłem dwie herbaty i dwie kawy. Samolot Tu-134 w barwach LOT-u kołował do pasa startowego. Pomachałem z nadzieją, że zobaczy. A potem zniknęła w górze.

Wróciłem taksówką do mieszkania bez Joli.

Cóż, piesku, zostaliśmy we dwoje. Kiedy znowu będziemy tu w komplecie?

13 stycznia 1979, Warszawa

Z samizdatowych ulotek wyczytałem poniższe wersy poezji ludowej:

Polska modlitwa, 1979

Ojcze Święty, Janie Pawle Drugi,
módl się, prosimy, za nasze długi,
by ktoś spłacił je za nas w niebie.
W dolarach, markach lub jakoś inaczej,
niech tylko Pan Bóg pośpieszyć się raczy,
bo ojczyzna w palącej potrzebie!

Polska piosenka, 1979

(Na melodię piosenki *Wsiąść do pociągu byle jakiego*)
Wsiąść do rakiety Hermaszewskiego,

nie dbać o szynkę z komercyjnego,
ściskając w ręku kartkę na cukier,
patrzeć, jak Gierek ma wszystko w dupie!

Jak mówi ulica, w Polsce istnieją cztery rodzaje kataklizmów: wiosna, lato, jesień i zima…

14 stycznia 1979, Warszawa

Wiadomości z wczorajszej gazety: w sklepach będzie można kupić wędzoną suchą kiełbasę z kurczaka i wyroby czekoladopodobne – tak napisali, słowo w słowo! Gdyby można było bez problemu kupić wędliny i słodycze, moglibyśmy się nawet ucieszyć z nowego asortymentu. Ale w obecnej sytuacji? Nie zdziwię się, jeśli kiedyś pojawią się też polędwica z ryby, pasztet z żabich wątróbek, mortadela z udka szczupaka, panierowane skrzydełka wieprzowe albo kostki rosołowe z sałatki warzywnej. Notabene, słynnego polskiego kabanosa miałem okazję skosztować dopiero zeszłego lata w Szwecji, ponieważ w Polsce od lat jest niedostępny. W hali targowej w Göteborgu spróbowałem po raz pierwszy krakowskiej białej kiełbasy, która nad Wisłą uchodzi za rarytas.

Obecna, niewesoła atmosfera znajduje odzwierciedlenie w dowcipach:

Jaka jest różnica między sklepem mięsnym przed wojną a teraz? Przed wojną nad wejściem wisiał napis „Rzeźnik", a w środku można było kupić mięso. Teraz wisi napis „Sklep mięsny", a w środku można spotkać rzeźnika.

Starszy pan pyta w sklepie: „Jest karkówka?" „Nie ma". „A udka?" „Nie ma". „Kabanosy?" „Nie ma". „Szynka?" „Nie ma". „W takim razie co jest?" „Ja jestem" – odpowiada sprzedawca.

Albo inny, podobny kawał:

Rzeźnik z rozmarzeniem spogląda w sufit: „Jak to miło sobie powspominać!".

Obywatel wchodzi do mięsnego, zdejmuje płaszcz i podaje sprzedawcy. „Co pan sobie wyobraża?" – oburza się tamten. „O, przepraszam, myślałem, że to szatnia".

I najbardziej przerażający:

Obywatel widzi, że sklep jest całkiem pusty, nie ma niczego poza kaszanką. Prosi więc o kilogram. Na co sprzedawca: „Niech pan najpierw pokaże kartę honorowego krwiodawcy!".

Itepe, itede.

Nie rozumiem Polaków. Dlaczego ten wspaniały naród, który tyle razy udowodnił, że nie da sobą pomiatać, zachowuje się teraz jak pokorne stado owiec? Fakt, w 1976 roku w Radomiu i w fabryce traktorów w Ursusie wybuchły niepokoje, które władza zdławiła z właściwą sobie brutalnością, ale nie udało jej się skłócić robotników i intelektualistów jak w sześćdziesiątym ósmym albo siedemdziesiątym na Wybrzeżu. Jest Komitet Obrony Robotników, działa wielu podziemnych wydawców, gdzieniegdzie powstają oddolne struktury związkowe. Zastanawiam się tylko, czy ci dzielni ludzie,

którzy nadstawiają własne głowy, będą mogli liczyć na solidarność tłumów, gdy nadejdzie moment próby?

Na razie obserwuję wszechobecny, permanentny regres. Gospodarka niedoboru kwitnie w najlepsze, społeczeństwo zaś stagnuje. Czego nie może kupić w sklepie, to nabywa na czarno, kombinuje. Mawiają, że wał trzeba posmarować, żeby się dobrze obracał. No więc smaruje się komu trzeba, a handel wymienny kwitnie. Moja teściowa jest prawdziwą krezuską: prowadzi sklep mięsny! Rodzina jest dzięki temu zaopatrzona we wszystko. Zawsze bowiem udaje się jej odłożyć trochę mięsa do domu i na wymianę: a to dla koleżanki z Wedla za słodycze, a to dla znajomego sprzedawcy elektroniki za kolorowy telewizor Rubin albo jakiś odrzut z eksportu, na przykład więżę hi-fi. Jedna rzecz pozostaje ciągle poza jej zasięgiem – samochód. Tu kończą się możliwości kierowniczki mięsnego. Bo auta nie da się tak po prostu kupić! Najpierw trzeba zdobyć w miejscu pracy talon, potem wpłacić pewną sumę, a następnie poczekać kilka lat. Wcześniej jednak człowiek dostaje wezwanie: jeśli nadal chce nabyć samochód, musi dołożyć do zadatkowanej wcześniej kwoty. Pieniążkami zajmie się kochane państwo. Pozostaje więc wolny rynek, gdzie cena za osobówkę jest dwa–trzy razy wyższa, ale zawsze znajdą się chętni na zakup, albo pewex, gdzie czeka się zaledwie trzy miesiące, a do tego auto może być obcej produkcji. I nikt nie pyta, skąd klient ma walutę. Jeszcze by tego brakowało, w końcu dewiz nie da się nabyć legalnie, więc po co straszyć biednych ludzi? Podobnie jak na Węgrzech, tyle że tam „zielone" są tańsze, a IKKA każe dokumentować ich pochodzenie.

Polacy radzą więc sobie, jak mogą, to dla nich kwestia przyzwyczajenia, dla mnie już zresztą też. Da się przeżyć, jeśli człowiek nieustannie kombinuje, co pozwala zresztą zachować bystrość umysłu i instynkt przetrwania, jak szachy albo brydż. A jednak uważam to za upokarzające i nie jestem w tym poczuciu osamotniony. Przeżycie w Polsce wymaga ciągłego stanu gotowości, niczym w jakiejś dyktaturze południowoamerykańskiej. Wiąże się to z dużym stresem, a ten z kolei trzeba umieć rozładować – przeważnie wódką. Działa jak środek na zapomnienie. Tyle że prędzej czy później zapomnimy też o sobie, a jak tak dalej pójdzie, skończymy jak Rosjanie. Naród ten od czasów Iwana Groźnego próbuje wymazać z pamięci przeszłość, a wraz z nią także teraźniejszość. Nie załapali się na oświecenie, a potem też na inne epoki. Pozostała im prymitywna, okrutna dyktatura, która relatywizuje wszystkie wartości, naród zaś od samego zarania, przez całe stulecia pławi się w odmętach fatalizmu.

Alkoholu w Polsce nigdy nie brakuje, jest dostępny wszędzie i o każdej porze. Od jakiegoś czasu nie można go sprzedawać w sklepach przed trzynastą, ale spod lady lub za dopłatą zawsze się jakoś załatwi. Po dwudziestej drugiej, gdy zamykają w Warszawie trzy wieczorne delikatesy, w co drugiej bramie otwiera się melina. Prowadzą je na ogół dozorcy, czyli zawodowi donosiciele, i to za wiedzą właściwych organów. Można tu dostać wódkę i ogórki, alkohol na szklanki i butelki. Tajniacy też się zaopatrują, tyle że płacą kiepsko albo wcale. Zdarzają się też łebscy taksówkarze z obwoźnym magazynem w bagażniku.

Gazety pełne są odgórnie narzuconej propagandy antyalkoholowej, choć sklepy monopolowe mnożą się jak grzyby po deszczu. Rachuba jest prosta: sprzedaż napojów

wyskokowych przynosi zysk liczony w setkach procent, więc państwo nie zamierza rezygnować ze złotej żyły. A z zarobionych pieniędzy może potem finansować kampanie abstynenckie. Przypominają mi się słowa piosenki Młynarskiego:

Slogan popełnił ktoś w euforii
A ja myślałem – tak to jest
Hotel jest trzeciej kategorii
Slogany – kategorii S.

17 stycznia 1979, Augustów

Scena ze skupu żywca w pobliskiej wiosce. Przed spółdzielnią niekończąca się kolejka, rolnicy stoją na mrozie, okutani po czubek nosa, obok kilka zdezelowanych traktorów, na zardzewiałych przyczepach klatki, obite deskami wozy na oponach samochodowych, z końskich pysków unosi się para. Krowy, świnie, gęsi, kaczki, spętane, uwiązane, zamknięte w klatkach.

Trzech facetów próbuje załadować wielkiego świniaka na platformę wagi. Ale ta się kołysze, zwierzę za żadną cenę nie chce wejść. Być może z kółkiem w nosie dałoby się łatwiej przekonać, a tak dwóch chłopa ciągnie za szyję, a trzeci popycha oburącz zad. Na próżno. Bydlę wybałusza przekrwione oczy, cieknie mu ślina, a tłuste podgardle aż się trzęsie od histerycznego kwiku. W końcu daje za wygraną, ale najpierw postanawia się wypróżnić – grube bobki spadają wprost na dłonie stojącego z tyłu rolnika. Po skończonej toalecie świnia w końcu gramoli się na wagę.

– Patrz, Heniek, forsa ci leci w błoto, podnieś! – rzuca jeden z ciągnących powróz, wskazując spojrzeniem na sporej wielkości łajno.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Ma rację, bo odchody mogą ważyć ze trzy kilo, a w skupie płaci się trzydzieści złotych za kilogram żywca. Rolnik z cierpką miną zatrzaskuje drzwi od klatki na platformie wagowej. Uważnie obserwuje odważniki przesuwane na skali przez kupującego.

– Nie martw się, mała. – Zanurza palce w grubej szczecinie na karku świni. – Niedługo i tak cała zamienisz się w gówno!

Jego żona kręci się w tym czasie obok kierownika skupu wypełniającego rubryki na opieczętowanej kartce papieru. W pewnej chwili wsuwa mu do kieszeni podartej watowej kurtki flaszkę wódki. Ten nawet nie podnosi wzroku, tylko kiwa głową i pisze. Kobieta zerka mu przez ramię, aby odczytać zapisane liczby, a na jej twarzy pojawia się uśmiech zadowolenia. Potem spogląda na tego, który wcześniej wspomniał o forsie w błocie. Podchodzi do niego i tryumfalnie szepce do ucha:

– No! Możesz se podnieść, szwagier, jak ci zależy!

Kierownika wzywają do telefonu. Wchodzi do biura, a potem wybiega i leci na tyły budynku. Słychać trzask drzwi i dźwięk uruchamianego silnika, po chwili na podwórzu pojawia się ognistoczerwony fiat mirafiori i jedzie w stronę bramy. W środku siedzi

kierownik. Chłopi posłusznie odsuwają się na bok, a jeden z nich odruchowo się kłania. Facet z miną łaskawego gospodarza informuje zza opuszczonej szyby, że wróci za godzinę i mają na niego zaczekać.

Z biura wychodzi mężczyzna, który wcześniej zawołał kierownika do telefonu. Zebrani pytają, dlaczego tamten tak się spieszył.

– A bo ja wiem, dzwonił ktoś od sekretarza. – Wzruszył ramionami. – Zawsze leci jak poparzony, wystarczy, że tamci kiwną palcem. Dzisiaj raczej nie wróci.

Pierwszy w kolejce rolnik sięga pod siedzenie wozu i wyciąga ze słomy flaszkę wódki. Częstuje wszystkich. Ludzie przepijają do siebie, stukają się. Każdy bierze po łyku, a potem rękawem kurtki wyciera usta i szyjkę butelki, zanim poda ją dalej. Ostatnich kilka kropel zostaje dla właściciela.

– A niech ich wszystkich diabli wezmą! – oświadcza uroczyście i przystawia flaszkę do wąsatej buzi.

21 stycznia 1979, Warszawa

„Bibuła" – tak mówi się po polsku na papierki do skręcania papierosów. Ale słowo to ma też swoje drugie znaczenie: prasa podziemna, samizdat.

Dostałem właśnie solidną porcję wydawnictw bezdebitowych, do zwrotu. „Zapis", „Biuletyn Informacyjny", niewielką książeczkę o zbrodni katyńskiej, zbiór tekstów Leszka Moczulskiego na temat eurokomunizmu, naiwnych zachodnich intelektualistów, mojego ulubionego gatunku „pożytecznych idiotów", by użyć określenia Lenina. Przechodzi mnie dreszcz zachwytu, gdy czytam to wszystko. Już choćby dlatego warto było się tu przeprowadzić. Jak u licha zdobyłbym podobne rzeczy na Węgrzech?!

Jeden z bardziej wstrząsających artykułów dotyczy sytuacji gospodarczej Polski. Zdaniem autora kraj stał się swego rodzaju kolonią. Sowieci zlecają produkcję za granicą, żeby oszczędzać swój węgiel – każdy kolejarz z łatwością może policzyć, w jakich ilościach wywozi się go dziś z Rosji. Nie muszą też płacić za przetop, bo Huta Katowice zaspokaja potrzeby ZSRS. A Polacy sprzedają im na piękne oczy, to jest za obietnice bez pokrycia. Ze Związku Sowieckiego przyjeżdżają podłej jakości rudy żelaza, z których wyrabia się produkty na rynek polski. Można więc powiedzieć, że Ruscy pomagają. Tyle że ze szwedzkich dostaw rudy powstają towary przeznaczone wyłącznie dla Sowietów. Na oko jednak trudno stwierdzić, co przetapia się na co, więc właściwie nie ma sprawy.

Gazety puchną z dumy: Związek Sowiecki zamówił u nas kolejny nowoczesny statek. On też powstanie ze szwedzkiej stali. Elektronika będzie zachodnia i Polska musi ją kupić za twardą walutę. Po dwóch miesiącach nabywca zareklamuje produkt i zażąda naprawy w ramach gwarancji. Polscy inżynierowie złapią się za głowy: Ruscy wymontowali wszystkie urządzenia do nawigacji i wymienili na swoje. Spiszą tajne protokoły, nikomu nie wolno puścić pary, a stocznia dostanie polecenie wyposażenia statku od

nowa. Sowieci zaś łaskawie obiecają, że nie doniosą światu, jakie badziewie produkuje się w Polsce. Na tyle mogą się zgodzić, by w zamian znów uderzyć po kieszeni „sojusznicze państwo". Sprawa rozejdzie się po kościach.

22 stycznia 1979, Warszawa

„Zwiedzaj świat, kupuj w peweksie!" Tekst reklamy widnieje na każdym rogu, na murach, plakatach, w gazetach. Przekaz jest następujący: podróżuj jak najwięcej, zarabiaj, zdobywaj walutę, a potem przywieź ją do Polski, wydawaj i zasilaj kasę państwa. Władza na wszystko przymyka oko: pozwalamy ci wyjechać, nie pytamy, skąd masz na to pieniądze, nie rekwirujemy masy przemycanych towarów, nie obchodzi nas, jak wymieniłeś zarobki na walutę ani gdzie i za ile pracowałeś na czarno (w końcu okradłeś w ten sposób cholernych kapitalistów, nie nas!). Bylebyś tylko przywiózł forsę do kraju! Co więcej, w peweksie i baltonie kupisz wszystko taniej niż na Zachodzie. A więc ręka rękę myje. (Do pełni szczęścia brakuje tylko Kádárowskiego mrugnięcia okiem).

I nie zastanawiaj się, gdzie wyprodukowano artykuły, które kupujesz za dewizy. Tyle że trudno nie zauważyć, iż w sklepach walutowych coraz częściej sprzedaje się produkty krajowe. Od podstawowych towarów po samochody. Można też nabyć mieszkanie, do tego od ręki, jeśli tylko ma się czym zapłacić. Czytałem niedawno, że za dolary da się zamówić nawet pogrzeb, nagrobek i inne związane z tym usługi. Także luksusowe prostytutki nie przyjmują już złotych…

Na stronach „Trybuny Ludu", organu prasowego PZPR, piszą: „Polonez do kupienia za złotówki!". Znaczy się, auto rodzimej produkcji można nabyć za polską walutę – sensacyjna wiadomość i niecodzienna łaskawość państwa. W tym samym numerze znalazłem pełen optymizmu artykuł o tym, że wreszcie uruchomiono fabrykę telewizorów Polkolor, w której powstają nowoczesne, obsługiwane zdalnie kolorowe odbiorniki. Duma na cały kraj! Urządzenia są tak fantastyczne, że na razie przeznaczono je wyłącznie na eksport. Ale jeśli ktoś bardzo choruje na nowy telewizor, może go mieć za pięćset osiemnaście dolarów, z peweksu. Średnie wynagrodzenie wynosi około trzech i pół tysiąca złotych, co równa się trzydziestu dolarom na wolnym rynku. Mało prawdopodobne więc, by odbiorniki trafiły do domów polskiej klasy robotniczej.

Na stuzłotówkach widnieje patetyczny napis: „Banknoty Narodowego Banku Polskiego są w Polsce prawnym środkiem płatniczym". Jeśli sprzedawca w spożywczym nie przyjmie od ciebie banknotu, może zostać ukarany za wykroczenie. Jednocześnie państwo stale rozszerza sieć i ofertę sklepów dewizowych, w których na widok złotówek nie kiwną nawet palcem. Społeczeństwo zatem, przy aktywnym udziale państwa, dzieli się na tych, którzy mają dolary, i na tych, którzy ich nie mają. Dla tych pierwszych asortyment staje się coraz bogatszy, dla drugich zaś – uboższy. A sytuacja staje się napięta: maszyny, narzędzia, chemikalia i sprzęt, które są niezbędne w rolnictwie i hodowli zwierząt, dostępne są prawie wyłącznie za walutę. Słyszałem anegdotę o rolniku, który żądał za ziemniaki dolarów. Oburzeni klienci chcieli wezwać milicję. Na

co chłop: „Za co mam, do cholery, kupić części do traktora, węgiel, cement i cegły do rozbudowy stodoły? Wy mi płacicie złotówkami, a potem i tak muszę iść do cinkciarzy, wymienić na zielone i dopiero do sklepu. To nie łatwiej sprzedawać od razu za dolary?".

Leszek Moczulski pisze w swojej drugiej opublikowanej książce, że państwo polskie stało się swoistym superkoncernem. Sprzedaż na rynku krajowym stanowi koszt. Podobnie jak pensje dla pracowników, ich wyżywienie i zapewnienie odpowiednich warunków socjalnych. Zyski pochodzą wyłącznie z produktów i usług sprzedawanych na rynkach zagranicznych. Dlatego koncern stara się produkować jak najwięcej na eksport. Wpływy mają być przeznaczone na dalszy rozwój zakładów, gdzie powstają towary na rynki zachodnie. Czarno na białym widać, że konsorcjum to nie jest zainteresowane poprawą warunków wewnętrznych. Jednak jeśli cała obecna mizeria będzie się bardzo rzucać w oczy, może się stać antyreklamą i zaszkodzić biznesowi. Dlatego maluje się na murach piękne hasła, utrzymuje silną straż przemysłową (milicję, wojsko, bezpiekę), aby robotnicy nie wynosili materiałów z fabryki lub – co gorsza – nie myśleli o wywłaszczeniu środków produkcji. Kapitalizm konsorcyjny czy państwowy jest zatem znacznie gorszy niż klasyczny kapitalizm. W tym drugim bowiem pracownicy mogą w pewnym stopniu bronić swoich interesów i protestować. Tymczasem w superkoncernie wszystko jest sztuczne, nawet opozycja, gdyż związki zawodowe to zwykłe „pasy transmisyjne" podporządkowane partii i kierownictwu państwa, czyli zarządowi konsorcjum.

Organem wykonawczym superkoncernu jest rząd, a zarządzaniem, nadzorem i kontrolą zajmuje się partia. Obywatele są jak maszyny, sprowadzeni do roli środków produkcji. I jako takie nie mogą wpływać na wysokość swojego wynagrodzenia. Są całkowicie zależni od koncernu, który dla własnej korzyści stara się oczywiście płacić jak najmniej. Dochód generowany siłą wytwórczą społeczeństwa, nazywamy narodowym, jest w rzeczywistości dochodem superkoncernu. Środki te są rozdzielane przez zarząd według własnego uznania. Aby utrzymać minimalne zdolności produkcyjne społeczeństwa, konsorcjum tworzy podstawę konsumpcyjną. Ta zaś – odczuwamy to na naszej skórze! – kurczy się z roku na rok i ma procentowo coraz mniejszy udział w dochodzie narodowym. Jeśli więc na przykład w tym roku dochód wynosi tysiąc złotych, a baza konsumpcyjna to dziesięć procent tej kwoty, czyli sto złotych, w przyszłym roku zaś produkcja wzrośnie, a dochód osiągnie pułap dwóch tysięcy, to wspomniane sto złotych będzie stanowić tylko jego pięć procent. Zasadne wydaje się pytanie: dlaczego podstawa konsumpcyjna nie rośnie wraz z dochodem narodowym? Odpowiedź jest prosta, dopóki potrzeby i żądania społeczne nie zmuszą rządzących do zwiększenia bazy, po kiego diabła mieliby ją zwiększać sami z siebie? Głupotą byłoby rezygnować z dodatkowego zysku.

Innymi słowy, spotykają się tutaj dwie tendencje:

Pierwsza – dążenie do systematycznego zwiększania dochodu narodowego, co skutkuje wzrostem dochodów superkoncernu, ale jednocześnie towarzyszy temu coraz większy wyzysk społeczeństwa.

Druga – przeznaczanie możliwie jak najmniejszych środków z dochodu na podstawę konsumpcyjną.

Wniosek: Wraz z rosnącym wykorzystaniem siły wytwórczej społeczeństwa otrzymuje ono w zamian coraz mniej.

Marks, a później Lenin podkreślali, że system kapitalistyczny prowadzi między innymi do dwóch zjawisk: akumulacji kapitału, a więc zwiększenia jego koncentracji, a ostatecznie także do skupienia go w rękach zwycięskiego monopolisty, co z kolei skutkuje pełnym i doskonałym wyzyskiem klasy robotniczej. Moczulski zauważa, że klasyczny kapitalizm jest jak dotąd daleki od tej wizji, ale „realny socjalizm" już prawie wprowadził ją w życie.

Na koniec autor wymienia kilka przykładów na poparcie swojej diagnozy. Najprostszym sposobem na zmniejszenie bazy konsumpcyjnej jest podniesienie cen. Jeśli okaże się ono niewystarczające, można wycofać część towarów z rynku wewnętrznego. W ten sposób koszty superkoncernu ulegają obniżeniu. A krajowy środek płatniczy nie ma żadnej wartości nigdzie na świecie, bo konsorcjum drukuje go w niekontrolowanych ilościach. Dla rządzących prawdziwy pieniądz to ten, który pochodzi z zewnątrz, czyli waluta.

Byłem na jednym z tajnych zebrań KPN-u, na którym Moczulski mówił o przyszłości. Poniżej zamieszczam zwięzły ekstrakt jego wystąpienia.

Teoretycy i propagandziści komunizmu twierdzili, że władza polityczna i pieniądze to dwie bardzo od siebie odległe kwestie. Posiadanie jednego albo drugiego wiąże się z przywilejami, ale różnej natury. W dzisiejszym skorumpowanym systemie jesteśmy świadkami specyficznego sojuszu, to znaczy pieniądze i władza stały się braćmi bliźniętami, do tego bliźniętami syjamskimi. Mało tego: wszystko wskazuje na to, że to pieniądz dyktuje warunki władzy. W tym kierunku zmierza nie tylko Zachód, ale również Wschód. Zdaniem Moczulskiego już wkrótce drogi obydwu systemów się skrzyżują, a one padną sobie w objęcia. Moment ten nazywać się będzie transformacją ustrojową. Jeśli stracimy czujność, obudzimy się w pętach globalnego superkoncernu, który będzie narzucać warunki państwom w teorii suwerennym. Przywołał też wizję Orwella: dojdzie do tego, że świnie i ludzie zasiądą przy jednym stole i nie będzie można odróżnić, kto jest kim.

Przerażające! Nawet jeśli wyobraźnia pana Moczulskiego wydaje mi się nazbyt bujna.

Kto na Węgrzech troszczy się o to, aby tego typu ważkie refleksje można było przeczytać chociaż w samizdacie?

„Polak potrafi" – donoszą ogromne plakaty w całym kraju. Dodam od siebie, że także Węgrzy i inne nieszczęsne narody obozu potrafią. Ale co właściwie? Przede wszystkim mam nadzieję, że będą umiały przeszkodzić spełnieniu się przepowiedni Moczulskiego. Bo jeśli nie, cały świat stanie się dłużnikiem finansowych holdingów!

23 stycznia 1979, Warszawa

Wczoraj jednym tchem przeczytałem genialną powieść Tadeusza Konwickiego *Kompleks polski*. Po prostu nie mogłem się od niej oderwać, choć po takiej lekturze człowiek najchętniej strzeliłby sobie w łeb. Piekielna symfonia beznadziei. Dlaczego do cholery

u nas nie pisze się tak prawdziwych książek?! Oczywiście ktoś musiałby je wydać, i to wyłącznie w podziemiu. Powiedziałem zresztą Iványowi, żeby nasi ludzie przyjechali tu na pobyt studyjny! Najwyższy czas, aby również na Węgrzech stworzyć profesjonalne instytucje drugiego obiegu. W przeciwnym razie oddzielą nas od Polski lata świetlne rozwoju.

25 stycznia 1979, Warszawa

W tym roku minie czterdzieści lat od rozpoczęcia przez Niemcy drugiej wojny światowej. W naszej części świata wciąż pozwala się patrzeć na wydarzenia historyczne tylko z jednej perspektywy. Hitlerowcy byli fuj, a stalinowcy cacy! Mimo że obie napaści na Polskę dzieliło ledwie siedemnaście dni. Każe się nam milczeć na temat tajnej klauzuli paktu Ribbentrop–Mołotow. Związek Sowiecki wedle oficjalnej formuły po prostu „skorygował swoje granice" i „wziął w obronę" Rosjan, Białorusinów, Ukraińców i inne mniejszości we wschodniej Polsce. Nikogo nie obeszło, że przy okazji sześć milionów obywateli polskich zostało wbrew swojej woli wtrąconych do innego państwa i reżimu, że całe oddziały żołnierzy polskich aresztował kraj, który nie podpisał konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych. Że w Katyniu i innych miejscach NKWD zabiło strzałem w potylicę tysiące oficerów polskich, że doszło do ludobójstwa – na ten temat cisza jak makiem zasiał. I tak Polska, która nigdy się nie poddała, nie skapitulowała ani przed Niemcami, ani przed Sowietami i wyszła z drugiej wojny światowej po stronie zwycięzców, została przez Zachód „nagrodzona" za wytrwałość i heroizm rzuceniem w objęcia Kremla wraz z dużą częścią dawnych sojuszników Hitlera.

• • •

Kubuś Puchatek znowu spada z drzewa i szepcze: „Pomocy!".

2 lutego 1979, Warszawa

Od kilku dni ślęczę w czytelni Związku Literatów. Przygotowuję się do rozmów. Na tapecie Tadeusz Nowak, Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, ich teksty mają się ukazać na łamach „Tiszatáj".

Strasznie trudno przychodzi mi narzucić sobie dyscyplinę, zwłaszcza w wypadku Nowaka. Przede mną sterty wycinków z gazet, recenzji, wierszy, opowiadań na stronach różnych czasopism. Przyjaźnił się z Lászlo Nagyem[1] i Ferencem Juhászem[2]… A jego książki są po prostu wspaniałe! Zanurzam się nieostrożnie w któryś z wierszy i tonę, po półtorej godziny otrząsam się jak z transu, a przecież powinienem był notować. Ta poezja to miód, czuć w niej świeże powietrze Podhala, zapach świeżo zebranego

[1] László Nagy (1925–1978) – poeta węgierski wyróżniony Nagrodą Kossutha.
[2] Ferenc Juhász (1928–2015) – poeta węgierski, redaktor naczelny literackiego czasopisma „Új Írás".

siana, silną, pełną werwy rękę kosiarza oraz zdrowe trwanie ludu przy wszystkim, co ważne, ludu o hardym, a mimo to gołębim sercu. Przede wszystkim chodzi o wierność tradycji. „W końcu udało mi się stamtąd wyrwać, uciec" – mówi jakby z ulgą w głosie główny bohater *Proroka*. Tyle że wkrótce okazuje się, że jego korzenie zostały jednak tam, a bez nich każdy kwiat uschnie. „Należymy do pokolenia, którego ojcowie, dziadowie, pra- i prapradziadowie pisali ręką" – oświadczył niedawno. Muszę go zapytać, czy jego zdaniem w kolejnym pokoleniu ktokolwiek jeszcze będzie pisać ręcznie. Nie widziałem go nigdy na własne oczy, tylko rozmawiałem przez telefon, a jednak widzę przed sobą wyraźnie twarz, badawcze spojrzenie, które mierzy rozmówcę z podejrzliwością. Pyta, czy w człowieku tym poruszyła się jakaś struna, która może powiązać poetę i czytelnika nicią wspólnych emocji. Piętnaście lat temu ukazały się jego pierwsze opowiadania, *Obcoplemienna ballada*, które Nowak, ten poeta w każdym calu, pisze na dobrą sprawę wierszem (podobnie jak i późniejsze utwory), a do tego twierdzi, że pisanie prozy sprawia mu wielką radość. „Człowiek przynajmniej może się wygadać: poplotkować od serca. Rzecz jasna przede wszystkim o sobie".

No, Szalai, coś dla ciebie! Nowak zdaje się mówić także z twojego serca…

Andrzejewski to zupełnie inny świat. Wywodzi się z warszawskiej rodziny mieszczańskiej, cały swój światopogląd młodzieńczy wyniósł z domu. Po skończeniu znanego z endeckich afiliacji liceum Zamoyskiego studiował polonistykę. Pierwsze zetknięcie z lewicą następuje właśnie w czasach akademickich, podobnie jak w wypadku chłopców ze starych angielskich rodzin, którzy w konserwatywnym Oxfordzie stają się trockistami. Andrzejewski przyjaźnił się z takimi właśnie – używając określenia Lenina – „pożytecznymi idiotami", jak Stefan Żółkiewski, Franciszek Siedlecki czy Ludwik Fryderyk. Jako pisarz zadebiutował na łamach „Wiadomości Literackich", a karierę pisarską kontynuował pod egidą Stanisława Piaseckiego, publikował też recenzje teatralne na łamach „Prosto z Mostu". Tam też ogłosił drukiem w odcinkach swoją pierwszą ważniejszą rzecz – powieść *Ład serca*. W tamtym czasie był jeszcze stosunkowo wierny swoim poglądom z młodości, prezentował się jako gorliwy katolik i czytelnik Mouniera czy Maritaina. Parę lat później historyk literatury profesor Kleiner nazwał go polskim Malraux, *Ład serca* zaś określił jako książkę ideowo bliską dziełom François Mauriaca.

I ten właśnie wybitnie utalentowany człowiek znalazł się po wojnie w redakcji marksistowskiego „Odrodzenia". Poparł nowy system, w 1950 roku podpisał ostatecznie cyrograf, wstępując do partii, w której z miejsca zasypano go odznaczeniami. Za wszystko zbierze potem gorzkie słowa krytyki od Czesława Miłosza, który uczynił go jednym z głównych bohaterów książki *Zniewolony umysł*. W tym czasie jednak był już celebrowanym pisarzem, autorem *Popiołu i diamentu*, a takich neofitów i ochotników jak on system potrafił właściwie nagradzać. (Weźmy za przykład Żukrowskiego i jego *Kamienne tablice*, *Lotną* i inne). Przyjmował też różne funkcje, jak choćby w Światowej Radzie Pokoju.

Partyjniacki, orwellowski „nowy dyskurs" dotknął także jego, pisał schematyczne bzdury, a w latach pięćdziesiątych nie wahał się na poważnie postulować w swoich

tekstach konieczności posługiwania się „myślącym umysłem”… Później w pamflecie *Wojna skuteczna* sformułował definicję „zadufka”, a więc człowieka ślepego na życie i historię. Ktoś taki nie stara się urzeczywistnić socjalizmu, ale pod jego auspicjami realizuje swoje chore wizje, podczas gdy w rzeczywistości napędza go, częściowo lub w całości, reakcyjny temperament. Jest arogancki, obraża się na społeczeństwo, dostaje białej gorączki na myśl o ideałach postępu, a jednocześnie stara się ukryć swój brak kompetencji, niezdarność i słabość pod nadmierną aktywnością polityczną, zawodową i partyjną, wysuwa do przodu własną osobę i oczekuje zaszczytów.

Hm… Z pewnością chciałbym zapytać Andrzejewskiego, jak postrzega obecność „zadufków” w dzisiejszych czasach. Wszak świat jest ich pełen, także Polska.

W 1959 roku opuścił partię, a w 1964 podpisał List 34 w obronie wolności słowa, w którym wybitni intelektualiści, artyści i pisarze wypowiadali się przeciwko próbom anihilacji życia kulturalnego. W 1968 roku publicznie protestował w związku z okupacją Czechosłowacji, a w roku 1976 wraz z setką innych sygnatariuszy skrytykował planowane zmiany w polskiej konstytucji, takie jak umieszczenie w niej stwierdzenia o odwiecznej przyjaźni polsko-radzieckiej (Memoriał 101). W tym samym roku został jednym z członków założycieli pierwszego poważnego zrzeszenia intelektualnej opozycji, Komitetu Obrony Robotników. Obecnie jest jednym z redaktorów podziemnego pisma społeczno-polityczno-literackiego „Zapis”.

Dość złożony, pogmatwany życiorys. Na pozór to wszystko wydaje się czytelne, a jednak takie nie jest. Pytanie, czy naprawdę nienawidzi teraz bolszewików i na dobre opuścił szeregi „pożytecznych idiotów”, czy też jego obecne stanowisko jest tylko przejściowe – wprawdzie nie wiemy, dokąd zmierza, ale wiadomo, od czego wyszedł. Mogę go oczywiście zapytać wprost, najwyżej się obrazi i rzuci mi w twarz, że wielcy ludzie mają prawo do kardynalnych błędów. Ale to nie miałoby sensu, bo cenzura i tak nie przepuści.

Mogę natomiast zaryzykować pytanie o różne wersje jego najbardziej znanej powieści *Popiół i diament*. Pierwszą zaczął pisać w 1946 roku. Zawarł w niej historię znanego z uczciwości prawnika, który zostaje przez Niemców zamknięty w obozie koncentracyjnym i tam staje się znienawidzonym przez wszystkich kapo. Po wojnie próbuje ukryć się pod płaszczem poprzedniej tożsamości, Andrzejewski zaś przez jego dzieje próbuje namalować panoramę ówczesnej Polski. Akcja powieści już wtedy była zdominowana przez postać młodego Maćka Chełmickiego, który jako żołnierz AK dostaje rozkaz zastrzelenia sekretarza partii. Młody człowiek, mający za sobą tragiczne doświadczenia, jest rozdarty między poczuciem obowiązku wynikającego z przysięgi wojskowej a pragnieniem powrotu do normalnego życia. Opublikowana w 1948 roku książka wzbudziła tyle samo zainteresowania, co krytyki. Z jednej strony autorowi zarzucono fałszowanie historii i oczernianie Armii Krajowej, z drugiej zaś – próbę usprawiedliwienia działań komunistów, bo zostali oni na kartach powieści przedstawieni tak, jakby przejęcie przez nich władzy odbyło się zgodnie z wolą narodu. Z kolei twardogłowi partyjniacy zarzucali Andrzejewskiemu, że postać Maćka jest zbyt sympatyczna, a przedstawiona wizja nowej Polski nie dość budująca.

Wydaje się, że Andrzejewski wziął do serca zwłaszcza te ostatnie uwagi. Dokonał samokrytyki, w której publicznie zdystansował się od dawnego siebie, przyznał się do błędów popełnionych w *Popiele i diamencie*, dogłębnie je przemyślał, a cały proces uczynił go tak dojrzałym, że mógł w końcu stać się prawdziwym wyznawcą marksizmu-leninizmu. (Panie i panowie, kto ma słaby żołądek, może w tym momencie zażyć daedalon!) W 1954 roku przerobił książkę, jeszcze bardziej fałszując w niej historię, dodając różne fragmenty ideologiczne, postaci klasowych bojowników i elementy przypominające Orwellowską „nowomowę". Ulepszona wersja doczekała się licznych wydań i trafiła na listę lektur obowiązkowych, co zapewniło autorowi przyzwoity dochód, w tym tantiemy, z których – *sic*! – korzysta także dziś, będąc w opozycji. Następnie, w 1958 roku napisał także scenariusz dla Andrzeja Wajdy do filmu o tym samym tytule, stworzył trzecią wersję tekstu – tym razem w dużej mierze oczyszczoną z wcześniejszych przekłamań.

Moje pytanie brzmi: który Andrzejewski jest prawdziwy? I jakie będą losy tragikomicznej farsy pod tytułem *Miazga*, którą napisał w połowie lat sześćdziesiątych, a potem poprawiał i wydawał we fragmentach w roku 1966 i 1970? Rzecz opowiada o losach społeczeństwa polskiego i żyjących w nim artystów, próbuje nakreślić nową wersję wesela w Bronowicach. Ponownie dyskutuje się tu o polskiej historii w nawiązaniu do klasycznego dzieła Wyspiańskiego, tyle że akcja nie rozgrywa się pod Krakowem, ale w okolicach Warszawy, motyw ślubu i „powrotu do korzeni" pozostaje wszakże ten sam. Zamiast chłopskiej chaty pojawia się dworek arystokratyczny, a żeni się nie zniewieściały intelektualista z rumianą, zdrową wieśniaczką, ale syn wysokiego rangą partyjniaka z mazowiecką robotnicą. (Notabene, miejscem akcji jest pałac w Jabłonnie, w którym odbywają się wszelkiej maści przyjęcia dyplomatyczne i w którym bywałem kilkakrotnie w charakterze tłumacza). Sytuacja stanowi punkt wyjścia do wielu zabawnych scen, z których może wyłonić się całkiem jadowita satyra. Ale czy żarty te będą właściwie wykorzystywane? Co pisarz chce za ich pomocą powiedzieć o sobie i takich jak on? A może będzie poprawiał dzieło w nieskończoność? Czy Andrzejewski ma mocny kręgosłup moralny? Cóż, nie wiem, czy odważę się o to wszystko zapytać. A jeśli tak, czy jego odpowiedzi będą mogły ukazać się na łamach „Alföld" czy „Tiszatáj"?

10 lutego 1979, Warszawa

Wczoraj u teściów zastał mnie telefon od pana Piotrowskiego, osobistego sekretarza Iwaszkiewicza. Sędziwy pisarz oczekuje mnie dziś o trzynastej. A więc moje przygotowania nie poszły na marne.

Wpadłem rano do Hanki, żeby zadzwonić. (Cóż za koszmar, że nie mam telefonu! Trudno się ze mną skontaktować, wiecznie ktoś gdzieś musi zostawiać mi wiadomość, a ja każdego dnia obdzwaniam swoich „agentów" z budki telefonicznej, żeby sprawdzić, czy coś przyszło. Z tego powodu umknęło mi też kilka dobrze płatnych tłumaczeń!) Na szczęście udało mi się złapać kochaną Martę Suchodolską w Dyrekcji Współpracy

z Zagranicą Polskiego Radia i Telewizji i dostałem od niej profesjonalny sprzęt reporterski Uher. Kobieta jest nadzwyczajna – urządzenie mogła wypożyczyć tylko na swoje nazwisko, więc przeniosła je z centrali TV do budynku radia przy Myśliwieckiej, a potem zabrała do kawiarni stowarzyszenia pisarzy i oddała na moje nazwisko w szatni. Nie musiałem więc nosić sprzętu przez całe miasto!

Dziesięć minut przed planowanym spotkaniem pojawiłem się z magnetofonem na ramieniu na pierwszym piętrze Związku Literatów i kiedy mijałem troje rozmawiających ze sobą na klatce schodowej ludzi, rozpoznałem panią Karuzas, szefową działu współpracy zagranicznej. Przywitałem się, kiwając grzecznie głową, nie chciałem przeszkadzać towarzystwu. W tej samej chwili jednak usłyszałem, jak jeden z mężczyzn odwróconych do mnie plecami wymówił moje nazwisko. Pytał panią Karuzas, czy mnie przypadkiem nie zna, bo chciałem się umówić z nim na wywiad, a on nie wie, kim jestem. Kobieta się roześmiała i wskazała na mnie. Gość się odwrócił i zobaczyłem twarz znaną mi ze zdjęć: był to Tadeusz Nowak. Szybko umówiliśmy się na rozmowę – mam przyjść w poniedziałek w południe, bo wtedy jedzą tu obiad. Zdziwiłem się, Nowak zaś uśmiechnął się tylko i potwierdził, że oczywiście mnie zaprasza, bo nie jest dobrze rozmawiać na głodnego, a poza tym prawdziwego Węgra nie puści bez obiadu.

Oczekiwałem więcej od wywiadu z Iwaszkiewiczem. Byłem świetnie przygotowany, ale on udzielał krótkich, rzeczowych, zwięzłych i niewiele znaczących odpowiedzi. Nie udało mi się go sprowokować do żadnych poważniejszych zwierzeń. Zastanawiam się, jaki mógł być powód. Jego podeszły wiek? Doświadczenie starego człowieka, niechęć do burzenia spokojnej tafli wody? A może moja uroda macho i brodata gęba? Czy okazałby mi więcej serca, gdybym był chłopcem o dziewczęcych rysach twarzy? Oczywiście nie robiłem żadnych aluzji do jego skłonności… Wypowiadał poprawne, okrągłe, precyzyjne zdania, konsekwentnie unikał zajmowania jasnych stanowisk. Mówił z namaszczeniem, jak ksiądz. Rozmowa wyszła przyjemna i gładka, czytelnik pięknoduch będzie zachwycony, ale równocześnie strasznie to wszystko drętwe, pozbawione emocji. Można tłumaczyć i drukować bez problemu. Ukaże się na łamach „Nagyvilág", potem puszczą w radiu węgierskim, a Iván przekaże taśmę do Muzeum Literatury. Tyle.

• • •

Udało mi się porozmawiać przez telefon także z Andrzejewskim. Mam zadzwonić w poniedziałek, do tego czasu znajdzie dla mnie jakiś termin.

• • •

Na moim biurku leży kupa nudnych tłumaczeń, dość pilnych. Nie mam pojęcia, kiedy się za to wezmę. A potrzebuję pieniędzy, do cholery!

Moje myśli krążą tymczasem gdzie indziej: wywiad z Iwaszkiewiczem czeka na redakcję, jutro nagrywam z Nowakiem, a potem nad nim też trzeba będzie popracować,

następnie Andrzejewski. W „Kierunkach" czekają na mój tekst o Szwecji, znowu kontaktowali się z „Literatury na Świecie", tym razem w sprawie szkicu o młodych eseistach węgierskich. Muszę napisać recenzje dla PIW-u. Asperján dzwonił, by zapytać, kiedy wyślę mu słuchowisko *Taniec róż*. Csaba Kiss pisze, że mój reportaż o Tatarach w Polsce trafi do „Új Tükör", a materiał o „Kontrastach" ukaże się w „Forrás" w Kecskemécie. Wszystko to wspaniałe wiadomości, które podsycają moją próżność. Z drugiej strony trzeba zapłacić czynsz, oszczędzać na mieszkanie, więc – niestety! – liczy się to, skąd wcześniej przyjdzie honorarium, muszę dać pierwszeństwo pewnym pieniądzom. Literatura, słuchowiska, prace dziennikarskie też przynoszą owoce, ale dopiero po pewnym czasie. Wysyłam, publikują po paru tygodniach, puszczają po kilku miesiącach, płacą jeszcze później, a pensję muszę odebrać na Węgrzech, iść do znajomego kelnera albo pracownika IBUSZ-u, żeby wymienić na zielone, przemycić do Polski, wpłacić na konto walutowe lub zamienić na złotówki po dobrym kursie. Tak to wygląda.

Więc teraz muszę tłumaczyć bzdury, jak niewolnik, ale za to płacą szybko! Na bycie twórczym intelektualistą przyjdzie czas później!

15 lutego 1979, Warszawa

Ocaleliśmy, Wanda i ja. Dostaliśmy od Pana Boga odroczenie. Wanda wybierała się do Budapesztu, umówiliśmy się na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Jerozolimskich, w biurze LOT-u obok Rotundy, okrągłego biurowca Pekao. Mieliśmy kupić bilety na Węgry i zrobić zakupy. Autobus nie przyjechał, miałem dziesięć minut spóźnienia, czułem wstyd i wściekłość, że każę kobiecie czekać na siebie . Okazało się, że Wanda też była na miejscu dziesięć minut po czasie. Na szczęście. W przeciwnym wypadku być może oboje byśmy już nie żyli.

Oszklony gmach Pekao ze stalową ramą wyleciał w powietrze niedługo przed naszym przyjściem. Odłamki szyby spadły także w sąsiednim biurze LOT-u. Szukałem Wandy w tłumie, ledwie parę minut, ale miałem poczucie, jakbym szukał jej latami. Ona i ja. W duchu widzieliśmy się już nawzajem pod kupami gruzu.

W popołudniowym i wieczornym dzienniku podano, że chodziło o wybuch gazu, na mieście – wspomina o tym także Wolna Europa – mówi się o sabotażu. W każdym razie według oficjalnych informacji liczba zabitych wyniosła czterdzieści osiem osób, a rannych zostało siedemdziesiąt. Akurat. Byłem na miejscu niecały kwadrans po eksplozji i to, co zobaczyłem, przypominało prawdziwą hekatombę, ofiar musiało być co najmniej trzy razy tyle. Milicji było więcej niż karetek i strażaków. Zamiast opatrywać rannych, starali się rozpędzać gapiów i odbierać aparaty okazjonalnym fotografom, a potem wyciągali z nich filmy. Dziennikarze musieli mieć pozwolenie i wszystkich dokładnie spisywano. Nie miałem ze sobą aparatu, ale w duchu śmiałem się z funkcjonariuszy. Naprzeciwko znajduje się hotel Polonia, z jego okien można robić całkiem przyzwoite zdjęcia obiektywem dwusetką. A pięćsetką dałoby się wykadrować urwane od kolan kobiece nogi w brązowych kozakach, których właścicielka prawdopodobnie

leżała gdzieś pod ruinami. Obok dwie oderwane głowy, trochę dalej trzecia z ocalałym tułowiem, choć czubek czaszki odcięty jak u tych nieszczęsnych małp, których mózgi wyjadają koneserzy kuchni azjatyckiej. Gdybym dotarł na miejsce o czasie, być może także mojego zmasakrowanego ciała nie pozwolono by fotografować.

20 lutego 1979, Warszawa

Ledwie wróciłem z kilkudniowego pobytu na Węgrzech, przyszedł telegram od Asperjána: mój tekst pod tytułem *Rodzina* zdobył pierwszą nagrodę w konkursie na słuchowisko Sekcji Młodzieżowej Węgierskiego Radia i KISZ-u. Dzwonił również Kiki: nagrał program, także z kawałkami wcześniejszej i późniejszej audycji, żebym mógł się przekonać, w jakim towarzystwie puszczono moje dzieło. Mama zebrała recenzje z gazet. Piszą prawie same dobre rzeczy, niektórzy uznają nawet za najlepszy debiut roku. Powiedziała mi przez telefon, że powinienem wziąć z Instytutu Węgierskiego albo ambasady dzisiejsze wydanie „Népszabadság" i przeczytać dział recenzji, gdzie autor o nazwisku Tibor Hegedüs wychwala mnie pod niebiosa.

Tego mi było trzeba! Poleciałem do biura Malévu, bo piloci przynoszą tam aktualne wydania gazety, tymczasem do ambasady i Instytutu prasa dociera z kilkudniowym opóźnieniem. Pan Borowski, który miał dyżur, od razu dał mi kopię, gdy tylko się dowiedział, po co jej potrzebuję.

Wiem, że to nieskromne, ale nie mogę sobie darować i nie przytoczyć tekstu na mój temat.

> Zawsze z dużą radością piszemy o nowych talentach, które wyłaniają się niespodzianie z cienia, a z tym większą, jeśli nie musimy odpuszczać im pobłażliwie potknięć i utartych sformułowań, bo mamy do czynienia z dziełem dojrzałego człowieka, jak w wypadku Attili Szalaiego, który zdobył główną nagrodę w konkursie ogłoszonym wspólnie przez Sekcję Młodzieżową Węgierskiego Radia i KISZ, do tego wygrał z dużą, znaczącą przewagą. Udowodnił też, że nie trzeba pod pretekstem przynależności do takiej, a nie innej generacji zawierać kompromisów, wyjaśniać, pouczać, moralizować czy w imię tak zwanej autentyczności starać się naśladować modny i współczesny język młodzieży. Należy za to rozumieć sytuację, wiedzieć, gdzie znajdują się ogniska konfliktów oraz w jak różnorodny sposób mogą postrzegać życie osoby należące do tej samej generacji.
>
> A jeśli autor jest nie tylko bystry, ale również obiektywny – i obdarzony doskonałym poczuciem humoru – wszystko to potrafi oddać w okrutnej komedii, która swoim stylem przywołuje na myśl sztuki Eduarda de Filippa, tyle że ze znacznie bardziej złożonym przekazem i skomplikowanym tłem: w *Rodzinie* nie znajdziemy ani neapolitańskiego, ani budapeszteńskiego sentymentalizmu filisterskiego. Wymuszona warunkami koegzystencja ludzi o różnych aspiracjach duchowych, wyznających inne zasady, może stać się tak nieznośna, że codzienne podenerwowanie, zamęt, wrzaski i histeria, połączone z brakiem wyjścia z sytuacji, mogą uruchomić morderczą naturę człowieka i wzbudzić w nim pragnienie fizycznego pozbycia się drugiej osoby. Ukryte, podświadome emocje, które nieoczekiwanie odkrywamy,

subtelnie rozwijają się w tkance hałaśliwego, neorealistycznego obrazu życia, a jego nieodłącznym elementem gatunkowym jest to, że skupia się nie tyle na jednostce, ile na sytuacji i tworzy gęstą, namacalną prawie atmosferę, w której rzeczywiste problemy i urazy postaci musimy oddzielić od ich wybuchowych reakcji, małostkowości, egoizmu, obojętności. W tym właśnie duchu i z odpowiednim wyczuciem tempa Sándor Pós[3] poprowadził swoich aktorów w słuchowisku.

Ceremonia wręczenia nagród odbędzie się na początku marca. Nie planowałem tego wprawdzie, ale pojadę na Węgry z wielką radością. To w końcu nie byle co!

11 marca 1979, Budapeszt

W zeszłą sobotę rano obudził mnie telefon od Wandy. Zaspałem, nie słyszałem budzika. W dwadzieścia minut umyłem się, spakowałem, ubrałem. Ale co z tego, że pobiłem swój życiowy rekord, skoro Borowskiego nie było na lotnisku, więc nie mogłem zostawić mu klucza do mieszkania dla Gosi, zapomniałem bowiem, że powinienem był zrobić to dzień wcześniej. To okropne, jak bardzo stałem się w ostatnim czasie roztargniony.

Swoją drogą Borowski zasłużył na kolejną butelkę johnniego walkera. Tyle razy załatwiał mi już bilet, ratował przed odprawą celną i pomagał na różne sposoby – czasem nie musiałem go nawet o to prosić. Ferike, twój krewny to wspaniały facet! Teraz też eskortował mnie od wejścia do poczekalni, więc całą kontrabandę udało się przemycić bez szwanku, musiałem tylko poradzić sobie z celnikami na Ferihegy[4]. (Powiodło się).

Biedni Koro i Zsuzsa! Tak bardzo czekali na dziecko! Umarło. W siódmym miesiącu. Co za okropność! Swoją drogą András bardzo się ucieszył z płyty Gaja i polskich jazzmanów. Jak zwykle jedliśmy obiad w restauracji MÚOSZ-u[5], gdzie uroczy pan Müller stara się wyczarować pierwszorzędne dania dla tych, których lubi, a że Andrása darzy sympatią, więc zadbał należycie także o jego kumpli. Potem u nich, przy ulicy Benczúra, do rana piliśmy wódkę, słuchając dobrej muzyki.

Asperján, który nie mógł uczestniczyć w ceremonii rozdania nagród w Białym Domu jak rok wcześniej, przesłał mi wiadomości, żebym się z nim skontaktował. Trudno go było złapać, ale wysiłek się opłacił: mam zaadaptować Winnetou na potrzeby radia. Cha cha, kto by pomyślał, że będę pracował nad swoją ukochaną lekturą z dzieciństwa! Po drodze wziąłem książkę z półki – prawie się rozpadała, tyle pokoleń miało ją w ręku, że płócienna oprawa ledwo się trzyma. Mój tata dostał ją jako nastolatek, ładne, stare wydanie ze świetnymi ilustracjami. Byłem poruszony. Nie samą historią opisaną w książce, lecz dziejami tego konkretnego tomu i tym, co mi przypomniał.

---

[3] Sándor Pós (1936–2011) – reżyser węgierski, uhonorowany Nagrodą Mari Jászai.

[4] Ferihegy – międzynarodowy port lotniczy w Budapeszcie. Obecnie nosi imię Franciszka Liszta.

[5] MUOSZ (Magyar Újságírók Országos Szövetsége) – Krajowy Związek Dziennikarzy Węgierskich.

Obrazy z wakacji w Máriabesnyő, gdy zadręczałem kolegów opowieściami o Starym Shatterhandzie i jego towarzyszach. Strzelby na korek, łuki z jesionowych witek, strzały z trzciny, kapelusz dziadka z szerokim rondem, indiańskie nakrycia głowy z piórami. Niemal słyszę, jak Laci Tajcs krzyczy w swojej gwarze z porośniętego krzakami nasypu: „Och, ustrzelę cię, blada twarzy!". Po Karolu Mayu przyszedł czas na poważniejsze lektury: powieści Jamesa Fenimore'a Coopera. Kłóciliśmy się o to, kto z nas będzie Unkasem, ostatnim Mohikaninem…

Podpisali ze mną umowę wstępną, mogłem pobrać dwadzieścia pięć procent z trzydziestu tysięcy honorarium. Oddałem nowe słuchowisko, Csabie wręczyłem wywiady z Iwaszkiewiczem i Nowakiem, Bábie taśmy z rozmowami, z „Új Tükör" odebrałem pieniądze za reportaż o Tatarach. Zdjęcia, które zrobiłem, wypadły całkiem nieźle, byłem zadowolony z materiału.

Co ciekawe, póki byłem w Polsce, pies z kulawą nogą nie interesował się tu moimi sprawami. A teraz nagle człowiek przyjeżdża z daleka, snuje opowieści i wszyscy chcą go słuchać?

13 marca 1979, Warszawa

Przyjechał Pista Kovács. Ostatni raz spotkaliśmy się w Martonvásárze, w klubie Rolniczego Instytutu Badawczego, gdzie mogliśmy się zapoznać z autorami i pracami niedostępnymi w oficjalnej dystrybucji, zakazanymi przez towarzysza Aczéla albo półlegalnymi.

Siedzieliśmy u mnie w trójkę, z Ákosem, i piliśmy wódkę. Przemyśliwaliśmy o tym, co może przynieść „wschodni Golfstrom", poza skórkami od arbuza. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę prognozy dla polskich wód śródlądowych. Tradycyjna uwaga Ákosa, że „sytuacja się pogarsza", rozsierdziła Istvána. Zazdrości Polakom KOR-u, wydawnictw podziemnych, dostępu do bezdebitowych przedruków prasy emigracyjnej, choćby paryskiej „Kultury".

Pista zwrócił też moją uwagę na Wacława Felczaka, o którym opowiadał mi wcześniej Csaba. To musi być wspaniały człowiek. I cud, że jeszcze żyje!

Felczak studiował historię na uniwersytecie w Poznaniu, potem zaczął się interesować historią stosunków polsko-węgierskich w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Ostatnie dwa przedwojenne semestry spędził w Budapeszcie jako student Kolegium Eötvösa. Następnie zjawił się na Węgrzech już jako żołnierz polskiej armii podziemnej, a w latach 1940–1944 był organizatorem budapeszteńskiej bazy kurierskiej, najpierw na linii Warszawa–Paryż, a potem Warszawa–Londyn, przez pewien czas był także jej dowódcą. Podczas wojny stracił czworo rodzeństwa, a po 1945 roku komuniści zabili mu jeszcze jednego brata. Łatwo sobie wyobrazić, jak musiał kochać oba reżimy! W 1948 roku podjął ostatnią podróż kurierską, aby wydostać z totalizującej się już wtedy Polski zagrożoną rodzinę. Został schwytany przez Czechów i przekazany polskim ubekom, którzy już wcześniej wpadli na jego trop. Doświadczył okrutnych tortur, ale nikogo

nie wsypał. W 1951 roku został skazany na śmierć. Całe lata przesiedział w izolatce, czekając na egzekucję. Po jakimś czasie powiedziano mu, że wyrok zamieniono na dożywocie. Siedział do października 1956 roku. Dwa lata później wybitny krakowski profesor historii Henryk Wereszycki zatrudnił go po cichu w Instytucie Historii UJ jako adiunkta. Miał czterdzieści lat, gdy pozwolono mu wrócić do kariery akademickiej. Napisał pracę doktorską na temat porozumienia chorwacko-węgierskiego z 1868 roku, a habilitację z historii Węgier.

Pista i Csaba zaprzyjaźnili się z nim i kilka lat temu udało im się namówić go do kilku wizyt w Budapeszcie w charakterze turysty. Teraz głowią się nad tym, jak przedstawić profesora swoim młodym znajomym, zaufanym studentom – Felczak wciąż się waha. Mówi, że nadal inwigilują go tajne służby. Więzienie odbiło się na jego zdrowiu, gdyby więc znowu trafił tam, mógłby tego nie przeżyć. Ma problemy z płucami, dlatego kupił sobie chatkę pod Zakopanem. Górskie powietrze dobrze mu robi. Do tego w okolicy żyje jeszcze kilku byłych kurierów, którzy wraz z nim przekraczali tatrzańską zieloną granicą, ryzykując życie dla Ojczyzny. Na przykład Stanisław Marusarz, niegdysiejszy czterokrotny mistrz olimpijski w narciarstwie.

Z pewnością mają o czym rozmawiać albo pomilczeć w długie noce wypełnione wspomnieniami. Staśka złapali nie komuniści, lecz gestapo, w 1940 roku. Przesłuchiwali go w Krakowie, skazali na śmierć, ale dzielny facet zdołał im uciec. Przekroczył zieloną granicę – z pomocą dowódcy Felczaka i jego przyjaciół – i do końca wojny ukrywał się na Węgrzech. Potem na powrót zajął się sportem: do wcześniejszych zwycięstw z lat 1932 i 1936 dodał w 1948 i 1952 kolejne medale olimpijskie. Był aktywnym sportowcem przez trzydzieści lat i jeszcze po czterdziestce dawał popalić dwie dekady młodszym od siebie zawodnikom. To nie przypadek, że przylgnął do niego przydomek „Dziadek". Z jego siostry też była niezła agentka! Helena Marusarzówna była najlepszą polską narciarką w latach 1936–1939, siedmiokrotną mistrzynią kraju w zjeździe i slalomie. A poza tym członkinią konspiracyjnej wojskowej służby kurierskiej, podobnie jak jej brat. Na zmianę przechodzili przez przełęcze tatrzańskie i szli do Budapesztu, zabierali pocztę, ratowali ludzi. Helena została schwytana w 1940 roku przez żandarmerię niemiecką na Słowacji i przekazana gestapo. Przez rok poddawano ją straszliwym torturom, ale bezskutecznie, nie pisnęła nawet słowa. Ostatecznie została stracona. Domyślam się, że Stasiek darzy czerwonych tym samym afektem co nazistów.

Tak więc Felczak z Dziadkiem mają o czym rozmawiać albo milczeć u stóp Kasprowego. Boże, jak chciałbym ich posłuchać! Czy spisali gdzieś swoje historie i dzieje Heleny? Może mają je schowane na strychu, w jakiejś dziupli, gdziekolwiek? Powinni to zrobić, w końcu są doświadczonymi konspiratorami. Nie wolno im zabierać swojej wiedzy do grobu!

Umówiliśmy się, że István spróbuje mnie zarekomendować Felczakowi – może się przede mną trochę otworzy. Nie robiłbym z nim wywiadu do czasopisma, ale po to, by zachowało się coś po tym wartościowym człowieku.

15 marca 1979, Warszawa

Dostałem jednego dnia dwa listy od Joli. W drugim z nich pisze, że przedłużyła umowę do września i prosi, żebym się nie gniewał, bo naprawdę bardzo dobrze jej płacą.

Byłem właśnie u teściów i czytałem listy, kiedy zadzwonił telefon. Po drugiej stronie odezwała się Jola. Czyżby wyczuła… Z ekscytacją opowiadałem jej o moich ostatnich sukcesach radiowych, Iwaszkiewiczu, Nowaku, o wszystkim, czym mogłem się pochwalić, a co wróżyło mi świetlaną przyszłość literacką, gdy nagle zostałem brutalnie sprowadzony na ziemię. Powiedziała mi, że niejaki Carmelo Cassalia, włoski menadżer ich zespołu baletowego, jest akurat w Warszawie i mam go odwiedzić w Hotelu Europejskim, bo może mieć dla mnie interes do załatwienia. Zanim cokolwiek mu powiem, mam najpierw przeczytać list, który dołączyła do przesyłki.

Postanowiłem nie litować się nad sobą, choć brak zainteresowania ze strony żony sprawił mi przykrość. Pobiegłem do hotelu, gdzie na szczęście udało mi się zastać faceta.

Okazał się jowialnym olbrzymem około pięćdziesiątki, wyglądem odpowiadał wyobrażeniom o grubych mafiosach sycylijskich. Była jedenasta rano, a on jadł śniadanie w kawiarni w towarzystwie ładnej małej kurewki i jeszcze jednego Włocha. Kumpel mógł mieć koło czterdziestki, zabójczo przystojny, z fryzurą w stylu Alaina Delona. Miałem cichą nadzieję, że nie posuwa mojej żony.

Kiedy wszedłem do środka, zapijali akurat szampanem „Mumm" jajka z szynką. Zaprosili mnie do stolika, ale jakoś nie miałem ochoty się dosiadać. Facet wręczył mi kopertę z dwustu pięćdziesięcioma dolarami. Był w niej także liścik od Joli: wysyła mi pieniądze na wypadek nagłej potrzeby, co prawda oszczędzamy na mieszkanie, mam ich nie wydawać, jeśli nie muszę, ale gryzie ją sumienie, bo sama kupiła sobie mnóstwo rzeczy, więc jeśli bardzo chcę, mogę poszukać na bazarze skórzanej marynarki albo wymarzonej kurtki amerykańskiej. Napisała też, że „doręczyciel" chce kupić diamenty. Ostrzegła mnie, abym nie godził się na podaną przez Włochów cenę wywoławczą. Nawet jeśli zażądam tysiąca dwustu złotych za karat, interes im się opłaci. Facet przyglądał mi się, ja zaś przybrałem minę pokerzysty, choć czułem się jak bohater filmu *Dobry wieczór lato, dobry wieczór miłość* towarzysza Endrego Fejesa[6].

Padrone wypił duży kieliszek szampana. Domyśliłem się, że chce mi powiedzieć coś poufnego, widziałem, jak mruga do przystojniaka. Facet musiał być kuty na cztery nogi, bo najpierw odesłał panienkę do pokoju, a potem prawie szeptem łamaną angielszczyzną wyłuszczył całą sprawę: chce sprzedać większą sumę dolarów, wie od Joli, że teściowa skupuje je po uczciwym czarnorynkowym kursie. Ale najpierw mam sprawdzić, czy da się gdzieś kupić rosyjskie diamenty. Słyszał, że Polacy przywożą je stamtąd bez problemu, a dla nich, ludzi z Zachodu, cena jest niska, nawet jeśli zawiera w sobie koszty polskiego przemytnika. Zaproponował tysiąc złotych za karat lub

[6] Endre Fejes (1923–2015) – pisarz węgierski, laureat Nagrody Kossutha i Nagrody Attili Józsefa. W swoich pracach opisywał życie robotników i ludzi wyrzuconych poza nawias społeczeństwa.

równowartość w walucie. Wiedziałem, że Piotrek i Halina kupowali ostatnio za osiemset. Jola napisała o tysiącu dwustu, marża wynosiła więc czterysta złotych za karat. Oznaczało to, że na sprzedaży dziesięciu karatów możemy zarobić sumę równą pensji mojej żony w kraju. Od ręki…

Nie mrugnąłem nawet powieką, zapytałem tylko, jak długo będą w Warszawie. Jeszcze tydzień. Dobrze. Zgłoszę się za dwa dni. Podaliśmy sobie ręce i wyszedłem.

Miałem farta, Halina obiecała na jutro załatwić konkretną ilość minerałów. Piotrek też popyta wśród kumpli sportowców. Uprzedziłem teściową, że być może będę chciał u niej wymienić kilka tysięcy dolarów. Zdziwiła się, ale tylko trochę.

17 marca 1979, Warszawa

Udało mi się zdobyć diamenty! Fakt, że zatopione w małych złotych pierścionkach, ale w zestawieniu z wartością kamieni tych parę gramów kruszcu nic nie znaczy.

Nie było łatwo. Sprzedawcy oczywiście nie chcieli przekazać towaru bezpośrednio ani Halinie, ani Piotrowi. Wszystko trzeba było organizować w pełnej konspiracji. Taki handel wymaga absolutnego zaufania, nie można niczego dawać obcym, niepewnym osobom, bo to niebezpieczne. Nie mówiąc już o tym, że sam mógłbym na tym stracić grubą kasę.

Pan Cassalia dość szybko dał się przekonać do tysiąca dwustu za karat, ale ociągał się z wypłaceniem mi gotówki z góry. W końcu powiedział, że moja żona jest porządną kobietą i ma nadzieję, że mnie też może zaufać. Zrozumiałem aluzję. Zasugerował mi subtelnie, że Jola jest w całej akcji rękojmią na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Na przykład gdyby ktoś go okantował w rachubach albo kamienie okazały się fałszywe. Wiedziałem, że z pierwszym nie będzie problemu, ale z drugim nie mogłem mieć pewności. Znów przybrałem minę pokerzysty, wziąłem pieniądze, ale serce podchodziło mi do gardła.

Nie było łatwo, ale udało mi się namówić wszystkich sprzedawców – było ich trzech – żebyśmy w czwórkę, Halina z Piotrkiem, ich człowiek i ja, każdy kamień wycenili i sprawdzili u wybranego przeze mnie losowo jubilera. Akcja trochę kosztowała, ale i tak były to grosze w porównaniu ze spodziewanym zyskiem. Wszystkie diamenty okazały się prawdziwe. Zapłaciłem i schowałem towar. W domu opisałem każdą sztukę na karteczce, ile gramów złota, ile karatów, wszystko pomnożyłem przez tysiąc dwieście i podałem równowartość w dolarach wedle aktualnego kursu teściowej.

Włoch wynajął fiata mirafiori i trochę pojeździliśmy po Warszawie, obserwując jak na filmie gangsterskim, czy ktoś nas nie śledzi. Zjedliśmy lody w Zielonej Budce, spacerowaliśmy po Łazienkach, gdzie wręczyłem Cassalii łup zapakowany w kopertę razem z pozostałą sumą pieniędzy. Potem wróciliśmy do hotelu. Tam wypiłem kawę z przystojniakiem, podczas gdy *padrone* sprawdzał w pokoju, czy wszystko się zgadza. Na temat handlu nie zamieniliśmy w Europejskim ani słowa. Cassalia wrócił po około kwadransie.

– *Good boy*! – Uśmiechając się szeroko, wyciągnął do mnie rękę. – Wygląda na to, że w porządku. Napijmy się!

Wychyliliśmy podwójną whisky, a potem każdy poszedł w swoją stronę. Cassalia szepnął mi na odchodnym, że Jola zadzwoni jutro wieczorem, by powiedzieć, że szczęśliwie dojechali. To znaczy: sprawa załatwiona, sprawdził we Włoszech kamienie i git.

Hu, miałem kieszenie wypchane forsą, ale nadal czułem się nieswojo. A jeśli któryś z jubilerów się pomylił? Lepiej o tym nie myśleć…

19 marca 1979, Warszawa

Właśnie wróciłem od teściowej. Dzwoniła Jola, nasi przyjaciele dotarli szczęśliwie na miejsce i bardzo dziękują za oprowadzenie po Warszawie, wszystko się udało.

Moja kochana żonka nie omieszkała dodać, że gdyby wiedziała, jak bardzo zakoleguję się z jej znajomymi, nie wysyłałaby mi pieniędzy. Najwyraźniej bowiem zaradny ze mnie człowiek, czego dowodzi przebieg całej akcji. Co jej miałem odpowiedzieć? Nie ma za co, kochanie, polecam się na przyszłość.

Wyjąłem z kryjówki gruby zwitek sałaty. Wpatrywałem się w niego, gładziłem, przeliczałem z radością. Czułem na sobie dotyk Mamona. Oddech żółtej paszczy kapitału, jak powiedziałby Attila József. Gdybym w ten sposób zarabiał pieniądze przez jakiś czas, mógłbym potem usiąść i tylko pisać, pisać, pisać. Jak Thomas Mann. Eleganckie śniadanie w salonie, od dziesiątej do dwunastej jedna albo dwie stroniczki, obiad, drzemka, lektura, życie towarzyskie. I tak każdego dnia. W ten sposób co roku powstawałaby jedna książka.

Zagnieździł mi się w głowie mały czort. Zapiłem go wódką. Potem jeszcze jedną i kolejną. Najchętniej obiecałbym sobie, że nigdy więcej nie zgodzę się na podobną rzecz. Co, gdybym wpadł i mnie zamknęli? Hm, najwyżej byłbym jak Miklós Munkácsi albo Sergiusz Piasecki – oni też stali się prawdziwymi pisarzami w więzieniu. Albo Rimbaud, handlarz bronią i niewolnikami. Wszędzie można pisać, to tylko kwestia determinacji. No i trzeba mieć magnes w spodniach. Siedzieć na tyłku i pisać. Choćby w więzieniu. Ale gdyby się tak stało, czy Csaba, Pista, Iván, Ákos i inni przyzwoici ludzie chcieliby jeszcze ze mną rozmawiać? Nie sądzę.

A przy tym nie pragnę mahoniowego jachtu z mosiężną poręczą ani rolls-royce'a ze złotymi klamkami, ale zwykłego mieszkania, normalnego życia. Tyle że uczciwą pracą trzeba tyrać na taki luksus do czterdziestki albo pięćdziesiątki, w najlepszym wypadku. Ci, którzy osiągają go wcześniej, przeważnie mają coś za uszami. Albo liżą pięty bolszewikom, albo donoszą, albo są zwykłymi bandytami. Ewentualnie, tonąc w niespłaconych kredytach, wypruwają sobie żyły w pracy. Koniec końców moja diamentowa przygoda to zwyczajny handel, nic innego. W zachodnich demokracjach coś takiego jest na porządku dziennym: tanio kupić, drogo sprzedać, zarobić i być szanowanym członkiem społeczeństwa. Tutaj wszystko jest zabronione, tylko władza może się bogacić. Właściwie nie mam się czego wstydzić – skoro państwo nie działa normalnie, mam prawo je oszukiwać.

Dumałem nad tym wszystkim tak długo, aż dostałem dreszczy. Ulatywało ze mnie napięcie ostatnich dni. Patrzyłem na plik pieniędzy, nie były to judaszowe srebrniki, na swój sposób na nie zapracowałem, ale nie byłem już tak zadowolony jak w chwili, gdy wziąłem je do ręki i zacząłem liczyć.

Ze zgryzoty wydudliłem do końca półlitrową butelkę i trochę się wstawiłem. Na szczęście teściowa poczęstowała mnie obiadem. Na pusty żołądek byłbym już pijany jak prosię.

Cóż, tak się sprawy mają. Jutro zaniosę forsę do banku, żeby na nią dłużej nie patrzeć. Potem schowam głowę w piasek. Kusi mnie, by napocząć drugą butelkę, która chłodzi się przyjemnie w lodówce, ale na biurku mam stertę rzeczy do tłumaczenia na konkretny termin. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby jutro przez cały dzień leczyć kaca.

Jak dotąd trzymam się postanowienia.

21 marca 1979, Tarnów

Nie wiem, co strzeliło do głowy dyrekcji Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie, ale poproszono mnie w trybie pilnym, abym pojechał do Tarnowa i reprezentował kraj w trakcie wieczorku madziarskiego, który odbywa się tam w ramach Dni Młodzieży Rewolucyjnej. Choć Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Węgierskiej imienia Józefa Bema chciało połączyć imprezę z obchodami 15, a nie 21 marca, Instytut się uparł: udzielą wsparcia tylko wtedy, jeśli akcja odbędzie się w rocznicę proklamowania Republiki Rad i „wyzwolenia" w 1945 roku. Znalazłem się w okropnej sytuacji, bo po tym, jak już się zgodziłem pojechać i wygłosić prelekcję, na dzień przed wyjazdem wciśnięto mi do ręki wytyczne z różnej maści frazesami i gotowymi blokami tekstu, które miałem wpleść do referatu.

Trzymajcie mnie! W dostarczonych materiałach była mowa o „prekursorze komunizmu" Petőfim i bojowniku o wolność Bemie, który gdyby żył w naszym stuleciu, z pewnością paliłby z „armat wolności" podczas hiszpańskiej wojny domowej, Petőfi zaś maszerowałby ramię w ramię z Attilą Józsefem, niosąc sztandar Béli Kuna na frontach walki z burżuazją. Bem wprawdzie walczył zawzięcie z wojskiem carskim, ale co tam, w 1945 roku z pewnością – czy to na Węgrzech, w Siedmiogrodzie, czy w Polsce – padłby w objęcia żołnierzy Armii Czerwonej. Boże! Takie bzdury nigdy nie przejdą mi przez gardło. Siedząc w pociągu, przerobiłem nieco pierwszy akapit prelekcji. Wspomniałem wprawdzie z musu, że w ostatnich czasach stało się modne wyliczanie jednym tchem kilku wiosennych wydarzeń – tu wymieniłem trzy przywołane w tekście – ale ponieważ działy się one w różnych okresach i kontekstach historycznych, a jedynie rewolucja lat 1848–1849 ma faktyczny związek z relacjami polsko-węgierskimi, jak również z uwagi na ograniczenia czasowe mojego wystąpienia, zamierzam się podzielić swoimi przemyśleniami wyłącznie na ten jeden temat. „Będzie, co ma być – pomyślałem – jeśli ktoś na mnie doniesie, w najgorszym razie Instytut nie powierzy mi w przyszłości podobnych zadań".

Wyjazd do Tarnowa się udał, a ja tak czy owak chciałem tu przyjechać, żeby zrobić wywiad z panem Norbertem Lippóczym. Jest on założycielem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w tym galicyjskim mieście, a poza tym osiadłym tu Węgrem o spiskich korzeniach, urodzonym w Tállyi. W 1956 roku był w Tarnowie jednym z organizatorów transportów polskiej pomocy humanitarnej dla walczących Węgrów, a potem wraz z grupą zapaleńców założył w mieście towarzystwo, które działa do dziś i urządza ciekawe imprezy.

Rodzina Lippóczych to zresztą niesamowita historia! Choć pan Norbert przeprowadził się do Tarnowa dopiero w 1933 roku (po tym, jak poślubił Polkę, panią Kornelię, i przejął zarządzanie rodzinnym handlem win z okolic Tállyi), jego przodkowie byli obecni w tych stronach już w osiemnastym wieku, kiedy dostarczano tu regularnie skarby Tokaju. Jego dziadek był przez pięćdziesiąt lat burmistrzem Podolińca. Tokajskie wino przywożono furmankami do miasta, gdzie następnie czekało ono, aż poziom wód w Popradzie odpowiednio się podniesie, umieszczano na tratwach, po czym płynęło do Dunajca, a dalej Wisłą do odbiorców. Wraz z pojawieniem się kolei transport stał się łatwiejszy. Pierwsza wojna światowa zerwała tradycyjne relacje handlowe, ale w 1929 roku Norbert Lippóczy senior wskrzesił rodzinną depozyturę w Tarnowie i wraz z synem, który ukończył Akademię Rolniczą, odświeżył kontakty ze starymi klientami. Biznes kwitł do 1939 roku, czyli do wybuchu kolejnej wojny…

Norbert Lippóczy junior próbował we wrześniu 1939 roku uciec z rodziną na Węgry przez Lwów. (Od pana Norberta po raz pierwszy usłyszałem węgierską nazwę miasta: Ilyvó). Tyle że siedemnastego września wojska sowieckie zaatakowały tyły walczących z nazistami Polaków. Lwów został wkrótce zajęty. Dla Lippóczych oznaczało to znaczne przesunięcie „zielonej granicy".

Jednym z pierwszych ruchów Armii Czerwonej była konfiskata pojazdów, więc i samochód Norberta Lippóczyego został natychmiast zabrany. Udało mu się zdobyć powóz. Do prowadzenia najął Żyda, który miał tylko chudego konika. Nikt nie miał serca siadać na koźle, sam właściciel prowadził zwierzę na piechotę. A za nim dreptała rodzina: pan Norbert, jego żona, ich syn i wicedyrektor firmy. Na szczęście udało im się przeżyć bez większego szwanku kilka rewizji, stracili tylko trochę rzeczy osobistych. Któregoś razu zatrzymano ich w celu kolejnej kontroli (i rabunku). Lippóczy i jego zastępca mieli wprawdzie po rewolwerze, ale przezornie wrzucili je do wiejskiego wychodka jeszcze pod Lwowem. Niestety na dnie walizki wicedyrektora Ruscy znaleźli zawieruszoną tam kulę do pistoletu. Zaczęli dokładną rewizję, żądali oddania broni, której nie mogli znaleźć w bagażu. Na nic zdały się tłumaczenia, sołdaci chcieli wiedzieć, gdzie ukryli pistolet. Wsadzono ich do aresztu – a nuż sobie przypomną! Biedacy byli przekonani, że o świcie zostaną straceni. Zwłaszcza że z zatłoczonej celi co jakiś czas wyprowadzano któregoś z więźniów, a potem słyszeli strzały.

Rano przyszła kolej na nich.

– Wy szlachcic? Pan? – warknął przesłuchujący ich śmierdzący oficer sowiecki.

Pan Lippóczy, sądząc, że i tak w całej tej sytuacji jest to bez znaczenia, odpowiedział szczerze:

– Tak, jestem węgierskim szlachcicem.

– Na jedno wychodzi. Zdejmuj obrączkę, a jak masz naszyjnik, to i naszyjnik, twoja żona też niech ściąga. Jeśli coś ukryjecie, czeka was kula w łeb – uśmiechnął się krzywo, puszczając na nich kłęby kwaśnego dymu z machorki. – Opróżniaj walizkę! Dawaj, dawaj, szybko!

Gdy oddali wszystkie kosztowności, po pobieżnym przeszukaniu rzeczy, o dziwo, puszczono ich wolno. Ruszyli w drogę powrotną do Tarnowa. Na pierwszym rozwidleniu czekała niespodzianka: stała tam żydowska furmanka z woźnicą, koniem i ubraniami, porozrzucanymi wprawdzie, ale większość z nich ocalała. Nie zostało im nic więcej. Żyd odprowadził ich do Bugu, pożegnał się i ruszył z powrotem, zatroskany o własną rodzinę.

Skryli się u ukraińskiego chłopa. Łódki ani promy nie kursowały. Gospodarz pocieszał ich, że kiedy rzekę zetnie lód, będą mogli spokojnie przejść na drugą stronę. Mijały dni, a potem tygodnie. Zanim woda zamarzła, granica między terytorium okupowanym przez Niemców a Związkiem Sowieckim została zamknięta. Mimo to zdecydowali się spróbować. Wynajęli sanie, kobieta owinęła się szalikiem, dziecko opatuliła w koc, uszanka na głowę, nędzny płaszcz na ramiona i w drogę. Wyglądali jak czterech mużyków pośród śnieżnej krainy.

Stali w zaroślach nad rzeką. Po drugiej stronie zobaczyli strażnika niemieckiego idącego wzdłuż nasypu. Zaczekali do późnego wieczora. Ledwo wstąpili na lód, usłyszeli *Stoj*!, a potem jakieś trzaski, krzyki i w zaśnieżonym krajobrazie pojawiło się trzech żołnierzy sowieckich. Państwo Lippóczyowie zaczęli tłumaczyć, że właśnie uciekli z drugiej strony. Spodziewali się, że ich zawrócą. Tak też się stało. Tyle że na Ukrainę!

Burżuazyjny feudał Norbert Lippóczy, polsko-węgierski „pan", został aresztowany za próbę nielegalnego przekroczenia granicy. To wtedy rozdzielono go z żoną i synem na niemal czternaście lat. Nie minął miesiąc, a zapadł wyrok, trzeba przyznać, że dość łagodny w tych okolicznościach: pięć lat łagru. Tuż przed końcem odsiadki przyszedł domiar na siedem lat, w tym czasie skończyła się wojna. Jednak o powrocie do domu nie mogło być mowy. Zgodnie z umową podpisaną między PRL a Związkiem Sowieckim do ojczyzny mogli wrócić wyłącznie obywatele polscy pochodzenia polskiego i żydowskiego, ale już nie przedstawiciele innych narodowości, jak na przykład Węgrzy. Dostał więc ściśle wyznaczone miejsce do życia, zaczął pracować w fabryce butów jako cholewkarz.

Potem wyszło na jaw, że jest z zawodu inżynierem. Co prawda rolnictwa, ale i tak dano mu wyższe stanowisko. Dalej był pod ścisłym nadzorem milicji, ale w końcu mógł pisać i odbierać listy. Brzmi to niewiarygodnie, ale awansował na stanowisko głównego inżyniera fabryki i w ten sposób zaczął kierować produkcją. On, były skazaniec… Zakład funkcjonował coraz lepiej. Nie było zastojów, kradzieży, plany udawało

się realizować, wypadków przy pracy prawie wcale. Sugerowali mu, że powinien się zapisać do partii, bo dopiero wtedy stanie się wolnym człowiekiem. Odmowa mogła mieć poważne konsekwencje, ale pan Norbert znalazł sprytny argument. Powiedział, że dopóki nie jest towarzyszem, nie obowiązuje go dyscyplina partyjna, więc jeśli zrobi coś złego, otrzyma mniejszą karę. Wszyscy wiedzieli, że to prawda, więc dali mu spokój. Tylko miejscowy sekretarz podnosił czasem palec wskazujący i kręcąc głową, mówił: *Ech ty chitrij lis, chuj tiebie w żopu…*

Mijały lata, a pan Norbert niestrudzenie wysyłał podania do właściwych organów – bez skutku. Nie chcieli go wypuścić. Dopiero śmierć Stalina pozwoliła mu na powrót do domu. W tym czasie pani Kornelii udało się uzyskać dla męża paszport konsularny. W Tarnowie czekali dorosły już syn i wierna żona. Rodzinna firma była od dawna znacjonalizowana, ale udało mu się znaleźć pracę w zakładach spożywczych, zatrudnił się jako szef działu produkcji octu. Pracował do 1968 roku, kiedy przeszedł na emeryturę.

W 1939 roku, jeszcze przed wyjazdem w stronę granicy węgierskiej, starannie zapakował swoją kolekcję ekslibrisów i wiejskich obrazów na szkle i ukrył je na strychu. Skarby przetrwały wojnę i czekały na niego, podobnie jak członkowie rodziny. Wspomina, że w 1929 roku, gdy odwiedzał z ojcem dawnych klientów, zatrzymali się też w Lipnicach Wielkich na Orawie u proboszcza Karola Machaya, który dobrze mówił po węgiersku. Norbertowi juniorowi bardzo się spodobały obrazy na szkle o tematyce sakralnej umieszczone na chłopskich bramach. Na pożegnanie proboszcz wręczył mu wizerunek Matki Bożej i Świętej Anny. Stał się on pierwszym dziełem w jego ogromnej kolekcji. Dziś składa się ona z około czterystu obrazów, nie tylko z ziem polskich, ale również z Węgier, Słowacji, Siedmiogrodu, Zakarpacia, rumuńskich i serbskich wiosek, Białorusi, Ukrainy, Bawarii, Szwabii i Austrii, ale można w niej znaleźć także kilka z Hiszpanii.

Nie poprzestał na obrazach. Zbierał także ekslibrisy związane z uprawą winorośli i winem. Niedawno przekazał swoją kolekcję – około trzech tysięcy dzieł – Muzeum Rolnictwa w Budapeszcie. To samo zrobił z liczącą dziewięćset woluminów biblioteką literatury fachowej i ocalałymi po przodkach narzędziami winiarskimi. Piękny zbiór malarstwa ludowego na szkle oddał jakiś czas temu do Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie w celu konserwacji i ekspozycji.

Nagrałem ze starszym panem fantastyczny materiał, robiłem zdjęcia, ale dla pewności przyjąłem też od niego profesjonalne kolorowe slajdy sześć na sześć z utrwalonymi obrazami na szkle, aby upiększyć wywiad wysokiej jakości ilustracjami. Rozmawiałem z tym siedemdziesięcioośmiolatkiem przez dobrych kilka godzin, a mimo to sprawiał wrażenie mniej zmęczonego ode mnie. Z drugiej strony – komuś, kto przeżył łagier sowiecki, niestraszna nawet najdłuższa konwersacja z ciekawskim reporterem.

Wszystko to jednak działo się dzisiaj. Tymczasem wczoraj uczestniczyłem służbowo w jeszcze jednym wydarzeniu. Odczytałem swój wykład, nie było żadnego skandalu, co kolejny raz utwierdziło mnie w przekonaniu, że w Polsce o historii nie tylko można, ale też należy opowiadać inaczej niż w kadarowskim bagienku. Po moim uroczystym

wystąpieniu uczniowie miejscowej szkoły muzycznej zagrali koncert dzieł Bartóka[7], a następnie Halina Czerny-Stefańska wykonała etiudy Chopinowskie.

Potem była kolacja. Siedziałem obok zastępcy kierownika Wydziału Kultury Urzędu Miasta Tarnowa. Mało urodziwy facet z haczykowatym nosem, sztucznym uśmiechem i zawiścią w oczach cały czas sztorcował obsługę. Widać było, że się go boją. Od pierwszej chwili szukał ze mną tematów do rozmowy, zadręczał pytaniami natury politycznej, podstępnie, metodycznie starał się wybadać, z kim ma do czynienia. Prawdopodobnie nie mógł pojąć, dlaczego węgierscy towarzysze przysłali tu kogoś, kto nie używa szarego żargonu partyjnego, ale potrafi opowiadać z werwą i biglem. Był wyraźnie zaskoczony, że nie jestem dyplomatą ani nawet szeregowym pracownikiem Instytutu. „No – pomyślałem – jeśli ktoś złoży na mnie donos, to najpewniej on".

Interesował się też panem Lippóczym: co myślę o staruszku, jak go odnajduję. Oczywiście wychwalałem pana Norberta pod niebiosa. Kiwał głową z kwaśną miną – wszystko pięknie, ale dlaczego swoją wyjątkową i cenną kolekcję malarstwa ludowego przekazał instytucji kościelnej, skoro w Tarnowie jest też muzeum regionalne z dużo lepszymi możliwościami ekspozycji. Chciał mnie podpuścić, liczył, że połknę przynętę.

– Szanowny panie – uśmiechnąłem się do niego jak nauczyciel do mało pojętnego ucznia – być może zrobił tak dlatego, że Kościół ma już za sobą okres dzieciństwa i nastoletniości, więc potrafi zadbać o skarby kultury i klasyfikuje jej trochę inaczej, niż chciałaby tego panująca obecnie ideologia. To znaczy, potrafi docenić to, co spełnia definicje klasycznych wartości, niezależnie od tego, kto jest autorem dzieła. Istnieją systemy polityczne i społeczne, które w młodzieńczym zapale oceniania wszystkiego wedle kryteriów ideologicznych zniszczyły wiele cennych okazów sztuki. Dlatego uważam, że pan Lippóczy postąpił słusznie, umieszczając swoją kolekcję o tematyce sakralnej w instytucji prowadzonej przez Kościół.

Zza okularów błysnęło na mnie czujne spojrzenie, zrozumiałem, że facet najchętniej powiesiłby mnie na ścianie zamiast obrazu, a na dokładkę szurnął podbitym obcasem. Żebym poczuł, jak docenia moją wartość.

Pan Lippóczy nie słyszał naszej rozmowy, bo był zajęty po drugiej stronie stołu konwersacją z pianistką. Nie opowiedziałem mu też o tym w czasie dzisiejszego spotkania, nie chciałem go denerwować. Biedak i tak doskonale wie, że z naszego wywiadu nie ukaże się nawet połowa. Mimo to nie owijał niczego w bawełnę. Rozmawialiśmy między innymi o *Mistrzu i Małgorzacie* Bułhakowa i o tym, że rękopisy nie płoną. Obydwaj mieliśmy cichą nadzieję, że to, co on powie, a ja nagram na taśmie i spiszę, ocaleje dla potomnych.

Siedzę w mieszkaniu gościnnym urzędu miasta, dochodzi północ, opieram łokcie na niskim stoliku kawowym, piję dobre wino tokajskie i rozmyślam nad losem tego wspaniałego człowieka. Ma prawie osiemdziesiąt lat. Ile czasu musi upłynąć, aby ktoś go zauważył? I czy dożyje tej chwili?

---

[7] Béla Bartók (1881–1945) – pianista, jeden z najwybitniejszych kompozytorów węgierskich.

8 kwietnia 1979, Budapeszt

Po niedługim czasie znów na Węgrzech. Wariacka pogoda, zimny, burzowy wiatr, słońce świeci, ale nie grzeje.

Spisuję rzeczy do zrobienia. We wtorek razem z bratem Csabą idziemy na pokaz kaskaderski – będzie cała ekipa z *Osiemdziesięciu huzarów*, najlepsi z najlepszych. W środę wezmę udział w audycji radiowej Andrása Görömbeiego[8], wypiję kawę z Asperjánem, a potem muszę się spotkać z Pistą Kovácsem w barze „Fény". W piątek idę do Centralnego Antykwariatu odwiedzić Feriego Kollina i poszukać przedwojennych przewodników i map Polski i Warszawy jako dokumentacji do mojej planowanej powieści. W czwartek wieczorem „robocza kolacja" u Csaby Gy. Kissa. Słowem, terminarz mam gęsto zapełniony.

20 kwietnia 1979, Warszawa

Jest Poniedziałek Wielkanocny. Polacy przynajmniej potrafią należycie celebrować święta. Większość Węgrów obchodzi Wielkanoc na działce za miastem, ludzie obżerają się do rozpuku, bekają, pierdzą, a w poniedziałek urządzają sobie pijackiego dyngusa. W procesjach wielkopiątkowych uczestniczą głównie starsi. Wychodzi na to, że emeryt może śmiało demonstrować religijność, młodsi już nie. Wśród znajomych mam też kilku trzęsiportków: jeżdżą na msze na drugi koniec miasta, ślub kościelny po kryjomu, dwoje świadków i rodzice, albo w wiejskiej kapliczce, żadnej hucznej zabawy, wesele dopiero po cywilnym. Jeśli chrzest, to cichy, a oficjalnie tylko urzędowa uroczystość nadania imienia…

Co innego Polska! Tu święta czuje się w powietrzu. I to z wyprzedzeniem. Czerwoni nie śmią nawet pisnąć. Tłumy na procesjach, mszach i drogach krzyżowych, wielopokoleniowe rodziny z dziećmi, niemowlętami na ręku. W Wielką Sobotę na Węgrzech człowiek nie uświadczy widoku wystrojonych kajtków pędzących do kościoła. Tutaj idą całą czeredą, z koszykami przyozdobionymi koronkową serwetką, a w środku jaja na twardo, szynka wielkanocna i chleb – niosą je poświęcić. W niedzielę cała rodzina zasiada do wspólnego śniadania. Myślę, że także w domach partyjniackich… W Polsce to komuniści ukrywają swoje przywiązanie do tradycji religijnych, tymczasem u nas szary obywatel ukrywa się z nim przed czerwonymi.

Dziś rano, po przeszło godzinie lotu trzęsącym, przestarzałym samolotem Ił-18, musiałem przestawić zegarek o godzinę do przodu. Gdy nakręcałem wskazówki, myślałem, że mnie o nią okradli. O tym, że w czasie podróży na Węgry dostałem godzinę w prezencie, oczywiście dawno zapomniałem. Wrażenie podróży w czasie wzmacniał

[8] András Görömbei (1945–2013) – pisarz i poeta, węgierski historyk literatury, wykładowca akademicki, członek Węgierskiej Akademii Nauk, laureat Nagrody Kossutha. W swojej twórczości zajmował się tematyką ludową.

chłód wyciskający łzy z oczu. Przydałyby mi się rękawiczki i czapka, bo rano padał tu jeszcze śnieg. W Budapeszcie zazieleniły się już lipy, w Warszawie wśród mizernych pąków wciąż hula mroźny wiatr.

Godzina do przodu, pora roku wstecz. Po barwach Budapesztu szarość Warszawy. Kádár i jego ekipa, owszem, karmią ludzi pożyczonymi pieniędzmi, ale towarzysz Gierek nabrał przynajmniej tyle samo kredytów co wujek János, a jakoś tego nie widać. W co, do cholery, pakują całą tę forsę? Czy rozkrada ją nomenklatura? A może przelewają sobie na konta w bankach szwajcarskich? Albo wszystko zabierają Ruscy? Ponieważ gospodarka niedoboru stała się zjawiskiem trwałym, ulice są szare, witryny sklepowe zniszczone, wszystko marnieje i rozpada się w pył, nawet neony podobne jeden do drugiego. Wszędzie ta sama czcionka, do znudzenia. Nigdzie nawet śladu światowej klasy polskiej sztuki plastycznej i oryginalnej grafiki – ani na ulicach, ani na wystawach sklepów.

Helenkę pokropiłem już w progu po szyi, żeby przypadkiem nie zgubiła choć jednego ze swoich stu kilogramów. Podarowała mi pisankę. Teść ugościł mnie jak króla: dostałem po kawałku każdego dania, myślałem, że pęknę. I wcale nie dlatego, że teściowa pracuje w mięsnym i ma dostęp do tych wszystkich przysmaków, ale że są święta i trzeba je godnie uczcić. Polska rodzina może na co dzień żywić się pierogami ruskimi i chlebem ze smalcem, ale na Wielkanoc, Boże Narodzenie, imieniny, wesele, chrzciny itp., choćby się mieli zabić, na stole lądują rarytasy, po których sam Krúdy oblizywałby palce.

Napychałem się więc ze smakiem. Wznosiliśmy toasty małymi kieliszkami wódki. Miecio postanowił pokazać „klasę".

– Gdybyś wiedział, synu, jaki wspaniały program dawali w telewizji na święta!

I zaczął wymieniać: każdego dnia inny western, dwa wojenne filmy akcji (jeden rosyjski), amerykańskie science fiction…

Hm! Iście wielkanocna tematyka. Cóż, lud niech celebruje po swojemu, a władza po swojemu. Przejrzałem dodatek telewizyjny „Trybuny Ludu". Najlepsze filmy zostały ustawione tak, aby ich początek zbiegał się w czasie z rozpoczęciem głównej mszy albo procesji. Także rano. „Spryciuchy" – powiedziałby stary dobry pan Kohn z Szegedu. Powstrzymałem się od złośliwości wobec teścia – święto to święto.

Tymczasem Helenka szczebiotała o tym, co właśnie jem, nie szczędząc przy tym słowiańskich zdrobnień, jakby nazywała potrawy pieszczotliwymi imionami.

– Pyszna ta szyneczka, prawda? – Kiwała głową, poprawiając okulary. – Udało mi się kupić za dziewięćdziesiąt złotych. A tu karkóweczka, spróbuj! Cielęcinka, szczupaczek w orzechach… Tata przyniósł pięciokilowego indyczka, zjedz koniecznie, nadziewany grzybkami, pycha. Nie skosztowałeś jeszcze marynowanych kurek i kani!

Teść wszedł jej w paradę.

– W domu na Węgrzech też tak jecie? – zapytał z dumą, oczekując pewnie, że będę piał z zachwytu nad każdym zjedzonym kęsem.

„Nie ma się czemu dziwić – pomyślałem – w końcu ludzie tutaj nie wiedzą, co to znaczy wejść do sklepu i poprosić o dziesięć deko dowolnej wędliny na śniadanie. Jeśli pojawia się jakiś delikates, kupuje się od razu kilo".

– Wy, młodzi ludzie – machnął ręką – doczekacie takich czasów, że do głowy wam nie przyjdzie urządzać święta z wielką pompą!

Powiedziałem mu, że już doczekaliśmy. Na Węgrzech możemy przebierać w jedzeniu, tam nikt nie pyta w sklepie, czy jest kawa albo piwo, ale czy jest konkretny gatunek, określona marka. A co do świętowania, to faktycznie powoli o nim zapominamy. Pracujemy na dwóch, trzech etatach, w weekendy jedziemy porobić na działce i niezbyt często chodzimy do kościoła. Taplamy się w tym naszym pogańskim bagienku, w letniej temperaturze.

– I dlatego tutejsze świąteczne jedzenie smakuje inaczej – powiedziałem mu szczerze.

Godzina lotu na północ, a jaka różnica! A gdybyśmy spędzili kolejną godzinę w powietrzu, lecąc w tym samym kierunku, skandynawska ziemia powitałaby nas jeszcze większą obfitością. Na Węgrzech i w Polsce człowiek ciągle jeszcze pozna na bazarze, jaka jest pora roku. W Szwecji już nie. Tam nawet w styczniu na stoiskach czerwienią się arbuzy, przez cały rok dostępne są wszelkiego rodzaju towary, które u nas uchodzą za nowalijki, pierwsze jaskółki wiosny. Sprzedaż określonych produktów nie jest podyktowana porami roku, ale popytem i podażą. Jeśli na przykład w Meksyku mają w styczniu dużo arbuzów, a w sierpniu owoce nie obrodzą na Węgrzech czy w Bułgarii, pan Svensson (szwedzki Kowalski) może zimą pluć czarnymi pestkami do woli, a latem już nie za bardzo.

Roztkliwiłem się. Co się stanie z wiosennym, pełnym ekscytacji oczekiwaniem na młodą rzodkiewkę albo chrupką, delikatną zieloną cebulkę, jeśli jakimś cudem do nas też kiedyś zawita „normalność"? Mama nie wróci już z targu z wypiekami podniecenia na twarzy i nie powie: „No, dzieciaki, zgadnijcie, co wam przyniosłam!".

Wstawiłem normalność w cudzysłów. Nie bez powodu! Tamtejszy świat też nie jest normalny. A przecież László Németh i inni mieli kiedyś plan… Nazywał się Ogród Węgry[9], a na dobrą sprawę mógłby też istnieć Ogród Polska. Niestety wątpię, czy w całym tym ogólnym spsieniu, nieważne, czy mówimy o poletku Kádára, Gierka, Honeckera, Husáka albo jakiegoś innego czerwonego czy o krajach kapitalistycznych, wizja ta dałaby się urzeczywistnić. Na naszej planecie już prawie wszyscy są tak czy inaczej popsuci.

Podziękowałem za ucztę, teściowa zapakowała mi jeszcze dodatkową wyżerkę, żebym nie głodował w domu, wziąłem psa i przeszedłem kilka ulic sprawić dyngusa także szwagrom. Gośkę polałem perfumami, swoje gardło zaś skropiłem wódeczką.

22 kwietnia 1979, Warszawa

Wczoraj o dziewiątej rano nie dało się już dostać „Życia Warszawy". Bo tylko w nim napisano o tym, co reszta prasy przemilczała.

---

[9] Ogród Węgry (*węg.* Kert-Magyarország) – stworzona jeszcze przed drugą wojną światową i rozwinięta w czasie wojny koncepcja ruchu ludowo-narodowego, opartego na kulturze rolniczej i przywiązaniu do ziemi. Twórcami programu byli m.in. pisarz László Németh i krzewiciel kultury ludowej Imre Somogyi (przyp. tłum.).

W redakcji Ákos podsunął mi pod nos gazetę. Krótka notatka na drugiej stronie, w rubryce mniej istotnych wiadomości: w Nowej Hucie pod Krakowem nieznani sprawcy podłożyli ładunki wybuchowe pod pomnik Lenina. W wyniku detonacji zginęło pięć osób, a pomnik został poważnie uszkodzony, do tego podmuch powietrza wybił okna okolicznych budynków. Milicja prowadzi dochodzenie.

Zmarszczyliśmy czoła. Hm, w lutym warszawska Rotunda, a teraz to. A może jeszcze coś, o czym nie wiemy. Ciekawe… Papież ma przyjechać za sześć tygodni. Warszawa spodziewa się dwóch, a nawet trzech milionów pielgrzymów. Gdzie zatrzyma się ten tłum ludzi? Co będą jeść? Kto nie zrobi wcześniej zakupów, ten będzie wyjadał kit z okien. Boże, biednemu człowiekowi to zawsze wiatr w oczy! Czy aby nie po to te eksplozje, żeby odwołać wizytę papieża? Mamy kilku znajomych w podziemiu, ale żaden z nich nie posunąłby się do czegoś takiego, jestem pewien. Przypadek z pomnikiem Lenina może być równie dobrze prowokacją bezpieki. Gdyby opozycja miała wysadzić jakiś monument bolszewicki, zrobiłaby to w czasie, kiedy nikt nie przebywa w pobliżu. Narażać ludzi z powodu głupiego Lenina? Nie, to zdecydowanie nie w naszym stylu – ani naszych przyjaciół!

Do tego kraj nękają surowe zimy, nawałnice śnieżne, gwałtowne odwilże i straszne powodzie wiosenne. Brakuje już tylko letniej suszy. Plus wszystkie „błogosławieństwa" socjalizmu. Oto bogaty kraj, który nie może wylizać się z choroby. Kiedy już poczuje się lepiej, ktoś zawsze wtrąci go z powrotem do łóżka. „Wicher silne drzewa głaszcze, hej…"? Ile jeszcze są w stanie znieść Polacy? A ile Węgrzy? Pożyczki kiedyś się wyczerpią i nadejdzie siedemdziesiąt siedem lat chudych, dobrzy towarzysze! Poza tym nie rozumiem, czy Zachód nie widzi, że jego pieniądze służą w istocie konserwacji systemu? A może właśnie zadłużenie jest tą cudowną bronią, która raz na zawsze i bezkrwawo wymaże komunizm z mapy świata?

W Iranie kradzież każe się ucięciem ręki. Kultura europejska już dawno zniosła tego typu barbarzyńskie prawa. Co zatem mamy zrobić z dłonią, która raz po raz wpędza nas w chorobę? Mamy czekać, aż uschnie? Nie oszukujmy się, to krew z naszej krwi, kość z naszej kości: panami Polski i prześladowcami Węgier są Polacy i Węgrzy! Jeśli będziemy stać bezczynnie jak owce, uschniemy wraz z nimi! Owszem, pasterze w tym wypadku są zdrajcami, których należy osądzić i wyrzucić na śmietnik historii. A potem w więziennych pasiakach mogą sobie rozbijać te ich pomniki w drobny mak. Pięknie byłoby popatrzeć, jak zasuwają z młotkiem i kilofem.

Podkładanie ładunków nie ma jednak żadnego sensu.

23 kwietnia 1979, Warszawa

Sobotnia wrzawa w sklepie spożywczym. Jest wpół do ósmej, ale dział z napojami i słodyczami ciągle zamknięty. Podobnie jak mięsny. Wszystkie trzy otworzą o dziesiątej – informuje napis ołówkiem na zatłuszczonym papierze. Do tego trzeba stanąć w ogonku po koszyk, bo wystawiają nie więcej niż piętnaście–dwadzieścia. Czysta przyjemność, a potem do nabiału i tak stoi się w osobnej kolejce.

Ale opłacało się tu dzisiaj zajrzeć! Przywieźli dwa rodzaje herbaty granulowanej i pyszny pasztet kielecki. Trzeba się cieszyć z małych rzeczy…

Jak zwykle jednak przydarzyło się coś, co popsuło mi tę drobną przyjemność. Włożyłem do koszyka pudełko „rafinowanego" cukru w kostkach, ale kasjerka tryumfalnie wyjęła je i odłożyła na bok. Okazało się, że był na kartki.

– Myślałem, że cukier można kupić też bez kartek, tylko kosztuje więcej – warknąłem.

– To źle pan myślał – odpowiedziała sucho. – To jest zwyczajny spożywczy, gdyby pan nie wiedział. U nas bez kartek można kupić tylko cukier granulowany za dwadzieścia cztery złote. Cukier w kostkach bez kartek dostanie pan tylko w delikatesach, jeśli koniecznie panu trzeba!

Koniecznie! Ścisnęło mnie w gardle, a żołądek zaczął niemal tańczyć ze zdenerwowania. Cholera! Wystarczy, że człowiek przegapi jakąś informację w prasie codziennej i zaraz przytrafi mu się tego typu przygoda, bo nieustannie zmieniają przepisy związane z zaopatrzeniem. Komunikat przy kasie też wyglądał na świeżo powieszony. Z ciekawości podszedłem go przeczytać. Okazało się, że od pierwszego bez kartek można sprzedać tylko pewną ilość towarów. Kiedy limit się wyczerpie – szlaban. Sęk w tym, że określona przepisami granica w każdym sklepie jest ustawiona inaczej, więc chętny na zakup artykułu powinien rozejrzeć się po mieście, czy przypadkiem gdzieś nie zostało jeszcze trochę ogólnie dostępnych produktów. Super! Jak się komuś uda wyrwać z pracy, może sobie chodzić od sklepu do sklepu – choćby cały dzień – i polować na towary.

Jeśli zatem człowiek nie czyta codziennie najnowszych informacji, musi się liczyć z tym, że co i rusz odchodzi z kwitkiem. Z kolei szukając wiadomości o zaopatrzeniu, choćby z nudów przegląda kłamliwe artykuły o tematyce politycznej i chcąc nie chcąc, wchłania różne treści, jeśli nie ma się wystarczająco na baczności.

Jak mówił Franz Kafka: „Prasa to chmura kurzu i śmieci" – przy czym on, rzecz jasna, wypowiadał się w ten sposób o gazetach zgniłego kapitalizmu. Jak w takim razie określiłby te socjalistyczne?

Dzisiejsza polska polityka kulturalna i system dystrybucji informacji stoją na tragicznym poziomie. Dzienniki mimo to rozchodzą się w ciągu kilku minut, z wyjątkiem centralnego „organu" partii, „Trybuny Ludu", i wojskowego „Żołnierza Wolności". (Notabene, już same tytuły zawierają w sobie fałsz, podobnie jak na Węgrzech „Népszabadság" – „Wolność Ludowa"). Po numery popołudniowego szmatławca, „Ekspresu Wieczornego" (odpowiednik naszego „Esti Hírlap"), przed kioskami ustawiają się kolejki. Ciekawszych czasopism, takich jak katolicki „Tygodnik Powszechny", z ambicjami intelektualnymi, czy nawet uważana za swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa PZPR-u „Polityka", nie da się zaprenumerować, ewentualnie tylko wtedy, gdy któryś z przedpłatników umrze. A w kioskach egzemplarze tych momentami naprawdę ciekawych tytułów są prawie niedostępne. Do tego nakłady ciągle maleją. Od trzech lat nie jestem w stanie wykupić prenumeraty wartościowych miesięczników, takich jak „Literatura na Świecie", periodyk Związku Literatów „Twórczość" czy „Miesięcznik

Literacki". Od czasu do czasu udaje mi się przekupić kioskarkę, żeby odłożyła mi pojedynczy numer.

Książki? Szkoda gadać! Im lepsze, ciekawsze dzieło, tym niższy nakład. Często nawet nie trafia na półki, bo wszystko wykupują pracownicy księgarni. Nawiasem mówiąc, liczba egzemplarzy jest w Polsce podawana we wszystkich publikacjach, inaczej niż na Węgrzech, gdzie dane te są tajne, chyba po to, by nie urazić autora. W wypadku pisarzy węgierskich nie da się stwierdzić, ile egzemplarzy danej książki zostało wydrukowanych. Niedługo wydawcy będą zatrudniać psychologa, by otoczyć specjalną opieką naszych znerwicowanych ludzi pióra! Można się jednak pokusić o porównanie dzieł tłumaczonych z języków obcych, bo tu dane są ogólnodostępne, także na Węgrzech.

Weźmy zatem kilka tytułów z popularnej literatury iberoamerykańskiej:

Mario Vargas Llosa, *Pantaleon i wizytantki*

Węgry – trzydzieści pięć tysięcy, Polska – dwadzieścia tysięcy

Mario Vargas Llosa, *Zielony dom*

Węgry – trzydzieści tysięcy, Polska – dwadzieścia tysięcy

Gabriel García Márquez, *Zła godzina*

Węgry – trzydzieści trzy tysiące trzysta, Polska – dwadzieścia tysięcy.

Mógłbym wymieniać dalej – stosunek byłby podobny. Tymczasem na Węgrzech żyje zaledwie dziesięć milionów ludzi, w Polsce przeszło trzydzieści pięć. Logicznie rzecz biorąc, te same książki powinny tu być publikowane w trzykrotnie większym nakładzie. Jak inaczej nazwać tę sytuację, jak nie świadomym ogłupianiem społeczeństwa?

Jakby tego było mało, że utrudniają ludziom dostęp do wartościowych lektur, to jeszcze podstępnie przeredagowują niektóre książki. Oto najnowszy przykład, polityczna powieść przygodowa Fredericka Forsytha *Psy wojny*. Zeszłego lata w Szwecji dostałem od Edit egzemplarz w oryginale i dosłownie nie mogłem się od niego oderwać, przeczytałem całość w jeden dzień. Niedawno przeglądałem przekład polski. Zdziwiłem się, że go tu wydano, bo w książce jest pewien wątek sowiecki z niezbyt przychylnie nakreślonym obrazem kremlowskich służb specjalnych. Z ciekawości od razu kupiłem powieść. Przejrzałem ją i szybko się okazało, że brakuje około jednej trzeciej oryginalnego tekstu. Wszystko, co dotyczyło Związku Sowieckiego i ukazywało go w złym świetle, zostało po prostu usunięte. Gdyby tylko wycięli te pasaże! Ktoś jednak bezczelnie podopisywał całe partie między ocalałymi fragmentami! Owszem, gdyby nie one, cała historia rozeszłaby się w szwach. We frontyspisie malutkim drukiem napisano: „Skróty zostały zatwierdzone przez autora".

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądał cały proces. Wydawca zwrócił się uprzejmie do autora, a może jego agenta z pytaniem, czy ze względu na brak papieru i skromne możliwości druku mogą opublikować utwór w skróconej formie, na tylu i tylu arkuszach. Biznes to biznes, więc agencja się zgodziła – pod warunkiem, że honorarium zostanie bez zmian. Przy tym Brytyjczycy mogli nie mieć pojęcia, co polscy towarzysze wyrzucili z książki. Nie śmiem nawet pomyśleć, że autor mógł zdawać sobie z tego sprawę. Ludzie w tamtym świecie nie mogą być przecież takimi draniami! A co, jeśli

mogą? Czyżby zadziałał tu słynny brytyjski cynizm polityczny? Zasada, wedle której Anglia ma wyłącznie interesy, a nie przyjaciół… Chciałbym to wiedzieć, bo jeśli tak, to nigdy więcej nie wezmę do ręki książek Forsytha!

• • •

W ostatnim czasie podróżuję między Polską a Węgrami jak obywatel Zachodu po Europie. Na szczęście pogranicznicy to dość prymitywna rasa ludzi i najczęściej czują respekt przed moim paszportem konsularnym. Nie tak jak Szwedzi, dla których nawet bordowy kolor dokumentu wydał się podejrzany. Ci tutaj myślą, że jestem jakimś ważnym dygnitarzem. Są więc w stosunku do mnie dość pobłażliwi, co wychodzi mi na dobre.

Zastanawiam się, czy dożyję czasów, w których będziemy mogli podróżować po świecie z taką pewnością siebie jak Amerykanie? Albo z zadowoloną miną Niemców z RFN-u? *Und Morgen die ganze Welt…* – w przeszłości próbowali podbić świat swoją bronią i prawie im się to udało, dzisiaj robią to przy pomocy pieniędzy i wydaje się, że już odnieśli sukces. A my? Jak do cholery możemy to osiągnąć? Z pewnością nie bronią ani pieniędzmi. Jedyna możliwa odpowiedź to: naszą kulturą. Wyjątkową, niepowtarzalną, oryginalną sztuką ludową, przeszczepionym na grunt europejski Orientem, wspaniałą muzyką. Teraz jednak jesteśmy jak ten młody nieśmiały człowiek w towarzystwie, który siedząc przez cały czas w kącie, stara się zwrócić na siebie uwagę. Wydaje nam się, że świat wprawdzie nic o nas nie wie, ale kiedyś, powodowany ciekawością, zainteresuje się egzotycznym skrawkiem ziemi…

24 kwietnia 1979, Warszawa

Człowiek siedzi na piętnastej kondygnacji czternastopiętrowego budynku, wsłuchuje się w warkot silnika windy i wchłania zgiełk i zapach wielkiego miasta za oknem. Otacza go czysta rzeczywistość. Jest w niej ukryta wielka siła, która sprawia, że kłęby zaplątanych zdań rozpadają się na kawałki i lecą to w jedną, to w drugą stronę po linijkach kartki – jak sczepione ze sobą chrząszcze.

Nie idzie mi pisanie fikcji. Wzdragam się przed mówieniem nie wprost, przed mową symboli, bo czuję, że pociąga mnie surowa rzeczywistość w całym swoim zmysłowym dramatyzmie. A jednak muszę przyjąć jakąś pozę, jeśli pragnę tworzyć. Na mojej twarzy zmieniają się więc jak w kalejdoskopie wyraz świętości i szatański grymas. Przeciąganie liny między Kastorem i Polluksem, gwiazda odbita w kałuży i odblask bajora na Drodze Mlecznej. Odwieczny wyścig między dwoma biegunami, nieustanne rozwadnianie konstruktywnych myśli. Zamkniętego w butelce dżina wiozą wozem, korek od ciągłych wstrząsów strzela, ale dżin wystawia tylko język do oczekującego cudów Aladyna.

Kafka ma rację, gdy mówi, że reprezentacja w sztuce to tylko odprysk wrażenia. Jakie wrażenie ma na myśli? Przeżyte, a może tylko wyobrażone przygody? Czy temu

niemiecko-czeskiemu Żydowi, który uosabiał istotę Europy Środkowej, przyszło kiedyś do głowy, że w określonych przypadkach zwyrodnienia wyobraźni dają się wyleczyć jedynie rzeczywistym doświadczeniem? Żądze zrodzone z widzianych obrazów drażnią moje ciało jak swędzący pęcherz. Pod przymkniętymi powiekami przesuwa się trójwymiarowa taśma filmu, zapis tego, co możliwe. Zmysłowe kino miraży, odurzone komórki nerwowe unoszą się jak brokat w rozdzierających ciemność promieniach wyimaginowanego projektora, aż w końcu wybija bezpiecznik i w zaciemnionej sali panuje nagle stan swoistej nieważkości. Marzyciel siedzi sam jak palec, seans się skończył. Wchodzi na powrót do rzeczywistego świata i ślepnie. Podnosi się z rozedrganego łóżka i przez długie minuty szoruje w łazience zimne, spocone ciało.

Koniec. Samotność, która sączy się do serca po cichu, zostawia na nim trwalszą warstwę lodu niż ta dopadająca nas czasem z siłą nawałnicy.

27–28 kwietnia 1979, Przemyśl

To tutaj mój dziadek został inwalidą wojennym. Kaprala 31 Węgierskiego Pułku Piechoty z Veszprém[10] Zsigę Springenzeissa trafił w oko odłamek i spowodował kataraktę oraz rozerwał błonę bębenkową w lewym uchu. Na pocieszenie dziadek został zdemobilizowany i otrzymał Mały Srebrny Medal Waleczności. A potem poślubił Irén Marton, z którą spłodził mojego ojca, ojciec zaś mnie. Gdyby dziadek Zsiga został tu na wieki, nie przyszedłbym na świat i nigdy nie przyjechałbym w to miejsce.

W ruinach twierdzy, imponujących i strasznych, znajdowały się bunkry dla wojsk monarchii. Trzy metry ziemi, pod nimi zaś kolejne trzy betonu, kilka ukrytych pod powierzchnią pięter jak wielka termitiera. Kazamaty, stajnie, baraki w podziemnych betonowych klatkach. Niewiarygodny, okropny, ale też olśniewający widok.

Chodziliśmy z Engelmayerem po ruinach trzeciego co do wielkości systemu fortyfikacji w Europie przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, zaraz po Antwerpii i Verdun. Miejsce to było świadkiem nie byle jakich wydarzeń, może się bowiem „pochwalić" przeżyciem trzech oblężeń, z których drugie nadaje się do *Księgi rekordów Guinnessa*. Trwało sto siedemdziesiąt dwa dni, a obrońcy – monarchia i jej sojusznicy – zostali całkowicie odcięci od świata. Verdun co prawda bronił się dłużej, ale też nigdy nie był otoczony ze wszystkich stron.

W lokalnym opisie czytamy, że twierdza powstała jeszcze w czasie wojny krymskiej (1853–1856), kiedy to stosunki między Cesarstwem Austrii a Rosją uległy znaczącemu pogorszeniu. Zadaniem systemu fortyfikacyjnego była ochrona Bramy Przemyskiej, czyli terenu u zbiegu Kotliny Sandomierskiej i Karpat, gdzie główna droga handlowa z Rosji i Polski na Węgry przechodzi przez Przełęcz Dukielską. Pod koniec dziewiętnastego wieku znaczenie tego obszaru nadal rosło, kiedy to Przemyśl stał się ważnym

[10] Veszprém – miasto w środkowo-zachodniej części Węgier.

węzłem kolejowym na linii Wiedeń–Lwów. Budowę fortyfikacji rozpoczęto w 1873 roku, ale planowanego systemu umocnień nigdy nie ukończono. W 1914 roku miasto było otoczone potrójnym pierścieniem wałów obronnych, ale tylko jeden, zewnętrzny, był w tym czasie kompletny. W momencie wybuchu pierwszej wojny światowej miał długość czterdziestu pięciu kilometrów i składał się z siedemnastu większych fortec otoczonych kilkoma mniejszymi jednostkami. Centralny kompleks liczył dwadzieścia jeden fortów, a jego wewnętrzna część – dwanaście. Stacjonowało tu około stu czterdziestu tysięcy żołnierzy, w skład wyposażenia zaś wchodziło do piętnastu tysięcy koni, ponad tysiąc armat i cztery tysiące wozów.

Pierwsze oblężenie rozpoczęło się 17 września 1914 roku. Prawie stutysięczna armia rosyjska zaatakowała system fortów, aby wycofać się 10 października po stracie około dziesięciu tysięcy żołnierzy. Po stronie obrońców twierdzy liczba poległych sięgała pięciu tysięcy. Po miesiącu Rosjanie wrócili. Tym razem nie koncentrowano się na ataku, lecz na próbie zagłodzenia miasta. Przemyśl bronił się do połowy marca 1915 roku. Następnie, po nieudanej, okupionej wielką daniną krwi próbie ewakuacji obrońcy się poddali za zgodą dowództwa wiedeńskiego, wcześniej jednak wysadzili w powietrze większość umocnień, przez co system fortyfikacji stał się w dużej mierze bezużyteczny. Rosjanom nie było dane długo świętować zwycięstwa: po przerwaniu frontu pod Gorlicami, w pierwszych dniach czerwca zostali wypędzeni z miasta i okolic przez wojska austro-węgierskie i niemieckie.

W jednej z większych fortec opodal Siedlisk, zachowanej w stosunkowo dobrym stanie, eksplorując korytarze i pomieszczenie wychodzące z otoczonego grubymi betonowymi ścianami dziedzińca, natrafiliśmy na długi ciąg kazamat. Pod jedną ze ścian znajdował się rząd siedzeń z otworami. Po chwili zorientowaliśmy się, że w tym miejscu musiała być kiedyś podziemna latryna. W myślach ujrzałem dziadka Springenzeissa, jak siedzi tu ze spuszczonymi spodniami w towarzystwie kompanów niedoli. Biedacy załatwiają potrzeby, a ziemia trzęsie im się pod nogami, tynk spada na głowy. Naciągają w pośpiechu gacie i biegną zająć swoje pozycje…

Nie mieliśmy latarki ani innego sprzętu, który pozwoliłby nam zapuścić się dalej do tajemniczych przejść i tuneli. Nie znaleźlibyśmy tu jednak żadnych ciekawych przedmiotów, bo Polska powojenna uważała forty za bezużyteczne z militarnego punktu widzenia i większość z nich została zburzona lub pozostawiona na pastwę okolicznej ludności, szukającej tu materiałów budowlanych. Ruchome konstrukcje metalowe powstały w śląskich hutach. W 1923 roku, podczas burzenia fortu w Bolestraszycach dokonano przerażającego odkrycia, o którym opowiedział nam dyrektor miejscowego muzeum…

Gdy z parteru budynku usunięto gruz, odsłoniły się zardzewiałe drzwi żelazne, których nie było na planach fortyfikacji. Wrota udało się otworzyć z wielkim trudem. Za nimi znajdowały się wąskie, prowadzące w głąb wału schody. Jeden z robotników wyjął latarkę i postanowił zejść na dół. Ci, którzy zostali na górze, usłyszeli po chwili przerażający ryk, a śmiałek wyskoczył z podziemi z błyskiem szaleństwa w oczach,

jakby gonił go sam diabeł. Z mężczyzny nie udało się wydobyć ani słowa wyjaśnienia, więc mistrz, ubezpieczany przez paru robotników, ruszył tą samą drogą na dół. Na końcu schodów zaczynał się długi korytarz z rzędami drzwi po obu stronach, za nimi zaś znajdowały się małe, zatęchłe betonowe cele. Tunel przechodził w ogromną halę ze studnią pośrodku. Stąd w różnych kierunkach prowadziły jeszcze dwa węższe korytarze. W lochach leżały zardzewiałe wiązki drutu kolczastego, zielone łuski nabojów, puszki po konserwach, postrzępione mundury i koce. Armia szczurów uciekała przed snopami świateł.

Otwierali kolejne żelazne drzwi w korytarzach. Przy jednej z cel mistrz stanął jak wryty. Pod szarą betonową ścianą, na przykrytej szmatami pryczy, między beczkami i skrzyniami siedziała skulona postać mężczyzny, niemal nagiego, ze skosmaconą, długą brodą i chudego jak kość. Człowiek zakrył dłońmi uszy, jęknął cicho i drżał. To tego widoku tak bardzo się przeląkł pierwszy z przybyłych tu robotników.

Wezwano policjanta i prokuratora. Dopiero wieczorem odważono się wynieść człowieka na zewnątrz, aby nie oślepł po tak długim czasie spędzonym w ciemności. Nie udało się jednak nawiązać z nim żadnego kontaktu, wydawał z siebie tylko nieartykułowane dźwięki i nie potrafił odpowiedzieć na najprostsze pytania. Zabrano go więc do szpitala, gdzie tej samej nocy zmarł.

W tym czasie w innej celi znaleziono ludzkie szczątki. Śledztwo policyjne wyjaśniło zagadkę. 22 marca 1915 roku, kiedy forty miały zostać wysadzone w powietrze przed kapitulacją, dowództwo zapomniało o dwóch rosyjskich jeńcach wojennych uwięzionych w lochach. Jednemu z nich udało się wydostać z celi, uwolnił więc drugiego, a woda ze studni i ogromne zapasy konserw pozwoliły im przeżyć.

W czasie porządkowania zapomnianej kwatery natrafiono też na szokujące zapiski. Jeden z jeńców przez długie miesiące, dopóki pozwoliły mu na to zapasy świec i nafty, prowadził dziennik na odwrocie kartek księgi rachunkowej. Potem zapanowała ciemność… Skryba zmarł wcześniej, drugiego więźnia uwolniono po ośmiu latach. Został z niego wrak człowieka i po kilku godzinach od wyjścia na wolność on też odszedł ze świata żywych w miejsce, o którym nie wiemy nic.

Przemyśl ma jeszcze inną legendę związaną z wielką wojną, do tego legendę węgierską. W całym mieście krążyły pogłoski, że oficer madziarski, niejaki pułkownik Molnár, ukrył gdzieś skarb, zanim żołnierze monarchii poddali miasto i system fortyfikacji. Chodziło o kasę pułkową i kosztowności oficerów, szeregowców i całego sztabu. Pieniądze, waluta, złoto, srebro, zegarki, cenne bibeloty… W 1923 roku ubrani po cywilnemu oficerowie węgierscy myszkowali po mieście w poszukiwaniu ukrytych bogactw, a pewien Austriak zaproponował nawet, że za odpowiednią sumę pieniędzy wskaże miejsce. Nic jednak nie znaleziono. Ludzie przestali w końcu wierzyć, że poszukiwania przyniosą skutek, machnęli na to ręką, a potem zapomnieli.

W 1966 roku, gdy remontowano dom u zbiegu Sowińskiego i placu Na Bramie, wymieniano również przegniłe stropy. Podczas rozbiórki pod podłogą mieszkania, które zajmował niegdyś dowódca 8 pułku 23 korpusu armii pułkownik Molnár,

odnaleziono rzeczony skarb. Wyraz ten należałoby jednak wziąć w cudzysłów, bo nie chodziło o dobra materialne, ale o dokumenty o wielkiej wartości dla historyków i badaczy militariów. Odkryto bowiem całe archiwum pułku, święty obrazek do noszenia w kieszeni, kopie rozkazów codziennych, egzemplarze wydawanych w Przemyślu gazet węgierskich, prywatną korespondencję pułkownika i pistolet automatyczny małego kalibru. Molnára rzecz jasna nie można już było przesłuchać ani pociągnąć do odpowiedzialności za niewykonanie rozkazu zniszczenia archiwów pułku, ponieważ wkrótce po poddaniu twierdzy trafił do niewoli i niedługo potem zmarł w Krasnojarsku.

Dziesiątki tysięcy żołnierzy węgierskich wykrwawiło się w Galicji i spoczywa na zarośniętych pokrzywami, chwastem i dzikimi krzewami cmentarzach wojennych. Do Przemyśla dotarliśmy z Ákosem przez Gorlice i z dużym trudem odnaleźliśmy schowane na stromym zboczu groby, mimo że Austriacy i Niemcy zadbali o postawienie poległym godnych pomników jeszcze w czasie wojny. Tyle że w opinii historyków marksistowskich była to „brudna wojna imperialistów", więc mogiły stoją zaniedbane.

„Gdy ruszałem do Galicji, płakał za mną nawet las" – śpiewał mi dziadek Springenzeiss-Szalai jeszcze w latach sześćdziesiątych. A potem ciągnął: „Niechaj łez nie roni matula, gdy mi serce rozpłata kula, konwalie wyrosną na mym grobie, dziewczyny zapłaczą w żałobie". Czy można się dziwić, że zaczęliśmy z Ákosem nucić tę piosenkę, odkrywszy stary cmentarz wojenny, w którego zaroślach rozwinęły się właśnie dziesiątki kwiatów konwalii? I że nie wstydziliśmy się naszych łez?

Przyjechaliśmy tu w jeszcze innej sprawie. Do Ákosa, który skończył etnografię, zwrócił się znajomy dyrektor lokalnego muzeum z prośbą o pomoc w ocenie odkrytego niedawno znaleziska. O co chodziło? Na jednym z miejskich wzgórz znajdował się zaniedbany park, w którego miejscu planowano wybudować osiedle. Przy kopaniu fundamentów natrafiono na mogiły koczowniczego plemienia z mniej więcej dziewiątego wieku. W środku znaleziono groty strzał, strzemiona, okucia pasów, sprzączki, fragmenty ceramiki i inne drobne przedmioty. Dyrektor przyjął nieśmiałe założenie, że chodzi o Węgrów. Poszliśmy obejrzeć to miejsce. Nie ulegało wątpliwości, nawet dla naszych laickich oczu, że mieliśmy do czynienia z kulturą materialną Madziarów. Zaproponowaliśmy, aby muzeum zwróciło się do ekspertów z Budapesztu lub Debreczyna, my możemy tylko trzymać kciuki.

Dyrektor odetchnął z ulgą, po czym rzucił nam lekko zmartwione spojrzenie.

– Co powiedzą na to Słowacy? – zapytał nie do końca retorycznie. Z wykopalisk bowiem jasno wynikało, że znajdowała się tu wioska będąca stacją węgierskiej straży granicznej, której zadaniem było alarmować o zbliżającym się ze wschodu, zwłaszcza zaś z Halicza, niebezpieczeństwie. Mogli to być Rosjanie albo Pieczyngowie i trzeba im było stawić czoło jeszcze przed Duklą. Ale żeby po drugiej stronie Karpat, na północ od ziem uznawanych w Pradze i Bratysławie za czysto słowackie, i to od niepamiętnych czasów, mogła istnieć wioska węgierska? Czy to nie zakrawa na skandal?

Powiedzieliśmy mu, że po publikacji prac na ten temat odezwą się prawdopodobnie także „naukowcy" z Czechosłowacji, którzy uznają odkrycie za mistyfikację albo

stwierdzą, że znaleziska te pochodzą z czasów Rzeszy Wielkomorawskiej. Doradziliśmy, aby się tym nie przejmował. W końcu nauka to nauka, a nie domena polityki.

Tymczasem zdążyliśmy już otworzyć trzecią butelkę wódki. Pan dyrektor dostał od nas nie tylko potwierdzenie swoich domysłów, ale również wyjaśnienie, dlaczego Węgrzy mówią na Polaków *lengyel*, a nie używają – jak w większości języków – słowa wywodzącego się z rdzenia „Pol – Polanin" albo „Lech – Lechita". Opowiedział nam, że w bliskim sąsiedztwie węgierskiej wioski odkryto także ślady polskiej osady z tego samego okresu. Co więcej, na polskim i węgierskim cmentarzu znaleziono przedmioty użytkowe pochodzące z obu wiosek. Wszystko wskazuje więc na to, że mieszkańcy żyli ze sobą w zgodzie, nie natrafiono na żadne dowody walk czy konfliktu. No proszę! A żyjący tu Polacy nie nazywali siebie Lechitami, ale Lędzianami, czyli ludźmi gospodarującymi na lędzie – karczowisku przeznaczonym pod uprawę. Nic dziwnego, bo w tamtych czasach tereny te porastał gęsty las. Węgierscy sąsiedzi zapamiętali ich pod tym imieniem i wprowadzili je do swojego języka, dostosowując tylko nieco wymowę. Z początku używali więc określenia *lengyán*, które z czasem przekształciło się w *lengyel*…

Z radością stuknęliśmy się kieliszkami.

W drodze powrotnej do domu w porannej mgle prawie się zderzyliśmy ze stadem łosi. Ponieważ mieliśmy jeszcze małego kaca, w pierwszej chwili pomyśleliśmy, że to omamy. Ale że obydwaj roimy to samo? Zwierzęta były majestatyczne, wielkości koni, migały w gęstym mleku to szarą, to znów brązową barwą. Nie spieszyły się. Niuchały i prychały w naszą stronę, jakby chciały nas odgonić. Po chwili uspokoiły się i przestały zwracać uwagę na auto. Pozwoliły nam się w siebie wpatrywać. Na drodze było pusto, więc Ákos wyłączył silnik i przez długie minuty podziwialiśmy piękny widok. W końcu jedno z cieląt zarżało i ruszyło przez rów w kierunku lasu.

Były to ponadczasowe chwile. Mogły się wydarzyć w dowolnym stuleciu.

6 maja 1979, Warszawa

Denerwuje mnie, że nie mam wyższego wykształcenia – coraz więcej możliwości ucieka mi z tego powodu sprzed nosa. Ile razy pojawia się szansa na jakąś ciekawą pracę, okazuje się, że bez dyplomu ani rusz. Jako ekstern, okazjonalny współpracownik, proszę bardzo – mogę pisać eseje na poważne tematy, tłumaczyć, publikować własne utwory. Chwalą mnie, płacą, czasem nawet wpadają w zachwyt, jak dobrze napisane, ale kiedy w grę wchodzi zatrudnienie, od razu proszą o dowód ukończenia szkoły wyższej.

Znakomitym przykładem absurdu całej sytuacji jest historia, która mi się przydarzyła, gdy miałem dwadzieścia dwa lata. Jeden z moich przyjaciół dostał się na kierunek historia i język węgierski na Uniwersytecie Loránda Eötvösa w Budapeszcie. Był tytanem intelektu, ale też nie stronił od imprezowego życia. Okazało się, że zaliczą mu jeden z egzaminów na koniec roku, jeśli napisze pracę o wspaniałej poezji Balassiego. Kolega nie miał ochoty przystępować do trudnego egzaminu, podczas którego mogli go zapytać o wszystko, ani pisać eseju, który wymagał długich, cierpliwych studiów

bibliotecznych. Przy tym wiedział, że byłem w twórczości Balassiego zakochany od czasów liceum. Od słowa do słowa dogadaliśmy się, że postawi mi łącznie trzydzieści piw w określonym przedziale czasowym, jeśli napiszę pracę, którą zaakceptuje jego profesor. W tydzień stworzyłem dwudziestoparostronicowy tekst, Laci złożył go pod własnym nazwiskiem, a kilka dni później przywitał mnie z serdecznym uśmiechem i zaprosił do knajpy, aby zacząć spłacać zaciągnięty u mnie dług.

– Stary omal nie padł z wrażenia! – powiedział podekscytowany. – Niewiele jednak brakowało i byłaby wtopa, bo zaczął ze mną długą konwersację na temat tego, co napisałeś. A ja wiedziałem tylko to, co było w pracy, którą zresztą uczciwie przeczytałem. Gdyby zaczął wchodzić w szczegóły, byłbym spalony. Ale na szczęście skończyło się dobrze i dostałem piątkę, spójrz, wpisali mi do indeksu. Masz u mnie trzydzieści piw, licznik startuje.

Laci był wtedy na czwartym roku Wydziału Nauk Humanistycznych. Rok później napisał magisterkę, przy której też najął mnie jako murzyna.

Od tamtej pory staję na głowie, żeby przyjęli mnie na studia. Po maturze pani Faludyné, moja partyjna wychowawczyni, i András Domány, szkolny sekretarz młodzieżówki socjalistycznej, wystawili mi negatywną opinię, w której stwierdzili, że tak niepokorna osoba jak ja nie powinna kontynuować nauki. Wilczy bilet obowiązywał dwa lata, mimo że na egzaminie wstępnym na anglistykę i hungarystykę zdobyłem maksymalną liczbę punktów. Potem, wychodząc z założenia, że może łatwiej będzie mi dostać się na studia ścisłe, przez dwa lata starałem się o stypendium zagraniczne na kierunek rybołówstwo słodkowodne na Akademii Rolniczej w Olsztynie. Każdego roku przyjmowano dwóch cudzoziemców. Organizowano trzyetapowe egzaminy wstępne, od lutego do końca kwietnia, co miesiąc jedna tura. Pierwsza, do której zgłosiło się prawie stu chętnych, miała na celu sprawdzić nasze umiejętności matematyczne, biologiczne i chemiczne, i odbywała się na Uniwersytecie Nauk Rolniczych w Gödöllő, podobnie jak druga, na którą zaproszono już tylko dwudziestkę najlepszych, a trzecia, w trybie indywidualnej rozmowy kwalifikacyjnej, była przeprowadzona w Ministerstwie Oświaty.

Przy pierwszym podejściu w 1971 roku udało mi się znaleźć wśród czterech szczęśliwców, z których dwóch miało pojechać do Polski na studia. Ale wybór padł na kogoś innego. Spróbowałem ponownie w następnym roku. Okazało się, że już na pierwszym egzaminie wyłoniła się silna, czteroosobowa grupa. Było to dość mieszane towarzystwo, w większości żądne przygód. Należeli do niego młodszy brat znanego aktora – chłopak o ambicjach artystycznych, zawodowy kelner z maturą, pewien erudyta po liceum pijarskim i moja skromna osoba. Poza mną wszyscy podchodzili po raz pierwszy, więc miałem wśród nich status „weterana". Notabene, od dziecka jestem zapalonym wędkarzem, znam doskonale faunę wodną, a polskiego uczyłem się już wtedy od trzech lat, zdałem w 1972 roku egzamin z języka na poziomie średniozaawansowanym (jako jedyny z naszej czwórki), do tego pilnie wkuwałem łacińskie i polskie nazwy ryb słodkowodnych. W końcu to właśnie nasza czwórka przeszła do ostatniego etapu. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej w ministerstwie miałem zresztą okazję błysnąć dodatkową

wiedzą ku wielkiemu zdziwieniu komisji. Na końcu umówiliśmy się z pozostałą trójką, że urządzimy fest balangę na cześć tych, którzy zdobędą stypendium.

Około dwóch tygodni później listonosz przyniósł mi powiadomienie: niestety nie mogą mnie przyjąć z powodu braku miejsc, ale sugerują, abym złożył papiery do Gödöllő, gdzie wystarczyłoby mi trzynaście lub czternaście punktów ze zdobytych na egzaminie dwudziestu (czyli maksymalnego wyniku). Zapewniali, że przyjmą mnie z radością. Było to marne pocieszenie dla kogoś, kto wybierał się już w marzeniach do Polski! Do tego studia w Gödöllő w pełnym wymiarze godzin wydawały się nierealne – mój młodszy brat chodził jeszcze do liceum, a matka, wdowa ze skromną pensyjką sekretarki, nie byłaby w stanie wszystkich nas utrzymać. Co innego Olsztyn – tam dostałbym stypendium. Tyle że się nie udało.

Zadzwoniłem do pozostałych. O dziwo, cała trójka dostała to samo powiadomienie o braku miejsc… Hm, co u licha? Umówiliśmy się w piwiarni i postanowiliśmy wspólnie rozwiązać zagadkę. Zadzwoniliśmy z mieszkania byłego „pijara" do właściwego referenta w ministerstwie i zapytaliśmy podstępnie, czy w tym roku wszystkie miejsca do Olsztyna zostały już obsadzone. „Kompetentny" towarzysz w pierwszej chwili stracił czujność i odpowiedział szczerze: „Tak, oczywiście, ale kto pyta i dlaczego?". Wymieniłem nazwiska całej naszej czwórki i wyjaśniłem, że dostaliśmy informację o braku miejsc i nie wiemy, jak to możliwe, że nas nie przyjęto, skoro wszyscy przeszliśmy do ostatniego etapu. Kiedy facet pojął, z kim ma do czynienia, zmienił ton i zaczął wykrzykiwać, że nic nam do tego, jaką decyzję podjęło ministerstwo, i że mamy się pogodzić z faktami. Ale… Nie zdążyliśmy o nic więcej zapytać, bo referent rzucił słuchawką. Natychmiast zaproponowałem, żebyśmy poszli do ministerstwa, złożyli pismo choćby do szefa resortu, donieśli na biurokratyczną klikę do KC, poskarżyli się samemu Kádárowi i tym podobne. Jednak kumple dość szybko machnęli na to ręką, stwierdzili, że nie ma co się kopać z koniem, żyjemy w takim, a nie innym systemie i kropka.

Postanowiłem jednak nie dawać za wygraną i odwiedzić referenta. Pomyślałem, że jeśli wybiorę ścieżkę oficjalną, nigdy mnie do niego nie wpuszczą, bo musiałbym podać swoje nazwisko w recepcji. Na szczęście firma mojej matki w tym czasie wykonywała w ministerstwie prace remontowe. Zdobyłem więc przepustkę jako pracownik Stołecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego nr 2. Wszedłem. Znalazłem właściwy pokój. Zapukałem. Referent siedział za swoim biurkiem. Przedstawiłem się grzecznie i lekko drżącym, ale stanowczym tonem zapytałem, jak mam rozumieć całą sytuację. Towarzysz najpierw poczerwieniał jak burak, potem zrobił się purpurowy i zaczął na mnie krzyczeć, żądał wyjaśnienia, w jaki sposób dostałem się do budynku. Machnąłem mu przed nosem wejściówką i powiedziałem, że to on powinien mi odpowiedzieć na moje pytanie. Że niby co sobie wyobraża?! Oszukują dziesiątki młodych entuzjastów, kusząc ich perspektywą zagranicznego stypendium, a ci uczą się, zakuwają przed egzaminem jak głupi, a potem się okazuje, że nazwiska czterech najlepszych zna tylko komisja, a na podium trafiają inni. Odrzuceni zaś nie mają nawet prawa dowiedzieć się, dlaczego tak się stało. Co za brudna, podstępna gra!

Towarzysz namyślał się przez chwilę, może się zastanawiał, od kogo dostałem przepustkę i że warto na mnie uważać, a nuż mam jakichś wpływowych znajomych. W końcu przemówił nieco cichszym tonem, choć dalej był cały czerwony. Obydwa miejsca zostały obsadzone i kropka. Potem wyjaśnił mi sprawę bardziej szczegółowo. Czy słyszałem o czymś takim jak order za umacnianie władzy robotniczo-chłopskiej? Tak? W takim razie powinienem wiedzieć, że jeśli ktoś dostał podobne odznaczenie, to jego dzieci mogą być przyjęte na dowolne studia bez egzaminu. I właśnie w tym roku znalazło się dwóch chętnych na stypendium w Polsce. Zastrzegł przy tym, że mam nie mówić nikomu, że wiem to od niego, bo i tak wszystkiego się wyprze. Tyle. Do widzenia.

Wyszedłem z jego biura na miękkich nogach. Czyli o to chodziło… Czułem się, jakby ktoś rozjechał mnie walcem. Kiedy jednak wróciłem do domu, znów stałem się sobą, pełnowymiarowym człowiekiem, powstałym z martwych niczym postać z kreskówki. Jeszcze wam pokażę! A właśnie że będę studiował w Olsztynie!

Następnego dnia poprosiłem o tygodniowy urlop bezpłatny w moim ówczesnym miejscu pracy, Instytucie Badań Gospodarki Wodnej, w którym zatrudniłem się jako pomocnik tylko dlatego, że kierownik wydziału inżynier Béla Csermák, były oficer wojskowy po Ludovice[11], obiecał mi, że w odróżnieniu od innych podobnych instytucji nie będę musiał tyrać u nich przez dwa lata za śmieszną pensję, żeby mogli mi wystawić rekomendację na studia. Spakowałem plecak, wsiadłem w samolot do Warszawy, a stamtąd autostopem do Olsztyna.

O świcie stanąłem przy wylotówce do Gdańska, wczesnym popołudniem, koło drugiej dowlokłem się przed bramę parku Akademii Rolniczej. Był wyjątkowo ciepły, wiosenny dzień. Miałem na sobie dżinsy, białe, kiedyś gimnastyczne, tenisówki, kraciastą koszulę flanelową, do tego broda, dość długie włosy, wypłowiały, sfatygowany wojskowy plecak, na którego klapie widniała spora, narysowana długopisem pacyfka – z takim wyglądem mogłem z miejsca zaciągnąć się do armii Che Guevary albo do komuny hipisowskiej. W recepcji zapytałem, w którym budynku mieści się rektorat. Wszedłem na pierwsze piętro i spojrzałem na tabliczki przy drzwiach. Od razu zapukałem do sekretariatu rektora. Dwie dystyngowane panie w średnim wieku spojrzały na mnie zza biurek. Przywitałem się grzecznie i powiedziałem, co mnie sprowadza. Nie, nie byłem umówiony, ale jeśli pan rektor jest akurat w gabinecie, może mógłby mnie przyjąć, bo właśnie przyjechałem z Budapesztu, do niego, w bardzo ważnej sprawie.

Nie zrobiło to na nich wrażenia. Próbowały mnie spławić na wszelkie sposoby, odsyłały do działu współpracy zagranicznej, gdzie miałem uzyskać pomoc. Ja jednak się uparłem i ani myślałem ustąpić. Prawdopodobnie skończyłoby się na niczym, gdyby w pewnej chwili nie otwarły się obłożone poduszką drzwi po prawej stronie

[11] Akademia Wojskowa Cesarzowej Ludwiki (Magyar Királyi Honvéd Ludovika Akadémia) – węgierska akademia wojskowa działająca w latach 1872–1945. Pierwotnie, na początku XIX w., funkcjonowała jako szkoła kształcąca kadrę oficerską, założona z fundacji cesarzowej Austrii oraz królowej Węgier i Czech Marii Ludwiki Habsburg-Este.

i nie ukazał się w nich jowialny pan z sumiastym wąsem, w okularach w czarnych oprawkach, dość pulchny i podobny do Imrego Nagya z czasów, gdy był premierem za rewolucji 1956 roku. Rektor wręczył kobietom jakieś papiery, a potem spojrzał na mnie i zapytał, o co się spieramy.

– Prosto z Budapesztu? Do mnie osobiście? W bardzo ważnej sprawie? A z kim mam przyjemność? – Patrzył z rosnącym zaskoczeniem, ale w jego oczach dostrzegłem też szczere zaciekawienie. – Hm, dobrze, mogę panu poświęcić pięć minut. Proszę wejść.

W czasie długiej podróży miałem możliwość przygotować się do rozmowy, więc opowiedziałem mu dość zwięźle, ale przy tym precyzyjnie, co mnie sprowadza. Dwa podejścia do egzaminów, przekręty, protekcje. Szczerze, dosadnie i prosto wyłożyłem mu całą historię. Rektorowi zaparowały okulary. Zdjął je, zaczął wycierać, odchrząknął, a potem zapytał:

– Napije się pan kawy albo herbaty? A może koniaku?

Ledwo zdołałem wydukać, że jeśli to nie problem, poproszę o kawę. Mężczyzna dał znać sekretarkom, po czym podszedł do komody i postawił na niej dwa brzuchate kieliszki i brandy. Ja zaś śmiało wyciągnąłem z plecaka przywiezioną na wszelki wypadek brzoskwiniową palinkę z Kecskemétu. Kupiłem ją po znajomości, była przeznaczona na eksport. Rektor zaczął się krygować. Ja zaś, uniósłszy się honorem, odparłem, że w takim razie nie mogę przyjąć koniaku.

– A więc – zaczął – jechał pan autostopem całą drogę w nadziei, że ja, osoba, której nigdy wcześniej pan nie spotkał, doradzę, w jaki inny sposób może się pan dostać na kierowaną przeze mnie uczelnię.

Roześmiał się od serca i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Niesłychane! Nigdy w życiu nie spotkałem takiego wariata! Witamy w Polsce!

Stuknął się ze mną, wychylił koniak, po czym zasypał mnie pytaniami. Skąd znam język polski? Kiedy po raz pierwszy tu przyjechałem? Opowiedziałem mu wszystko w pigułce. O ojcu, Wandzie, mojej pierwszej podróży autostopem w 1968 roku, o przygodach, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że muszę się nauczyć polskiego. A także o tym, że niedaleko stąd, w okolicach Olsztynka, wziął mnie do auta Polak, który w czasie drugiej wojny światowej był uchodźcą na Węgrzech. Nie rozumiałem, dlaczego gdy się zatrzymał, wyskoczył z samochodu i rzucił się w stronę flagi węgierskiej, którą machałem przy drodze, ucałował ją, a dopiero potem podał mi rękę… Przez dwa dni razem z całą swoją rodziną karmił mnie i poił, udzielił noclegu w małym domku nad jeziorem, nie chciał wypuścić w dalszą podróż, a na końcu jeszcze wcisnął mi kieszonkowe. Przysiągł sobie bowiem, że za całe dobro otrzymane od Węgrów będzie się starał odwdzięczyć każdemu z moich rodaków, którego spotka…

Rektor słuchał uważnie moich opowieści, a potem zaczął się krzątać jak mały samochodzik. Polecił sekretarkom, aby dały mi pokój w domu gościnnym akademii i zapewniły bloczki na stołówkę. Powiedział też, że dysponuje dwoma miejscami rektorskimi rocznie, z których jedno przyzna mnie, jeśli tylko dostanie zgodę z Warszawy. Ponieważ jestem obcokrajowcem, nie może podjąć tej decyzji samodzielnie. Ale – mrugnął do

mnie – ma dobrych znajomych w Ministerstwie Oświaty i wierzy, że się uda. Miałem do niego przyjść następnego dnia około południa, wtedy powinien już coś wiedzieć.

Nie wiem, do kogo dzwonił, ale wszędzie traktowano mnie jak gościa honorowego. Dostałem osobny pokój, właściwie mały apartament z aneksem kuchennym i łazienką, w jakim gości się przyjezdnych wykładowców. Popołudnie spędziłem na zwiedzaniu „kampusu". Za przewodnika miałem młodego asystenta, który pokazał mi laboratoria, stawy hodowlane, obory dla młodych zwierząt i wiele pięknych akwariów. Zapytałem go, czy jest gdzie wybrać się wieczorem do miasta na imprezę. Powiedział, że owszem, ale trudno stamtąd wrócić w nocy, ewentualnie taksówką, jeśli się jakaś trafi. Akademia ma jednak swój własny klub i to niezły. Tego wieczoru wyświetlali akurat *Żółtą łódź podwodną* w dekaefie… Na Węgrzech naturalnie słyszeliśmy o filmie z Beatlesami, co więcej, ścieżka dźwiękowa była dostępna na płycie, ale o projekcji samego filmu nie było mowy. A tu proszę, w mieście wojewódzkim można go obejrzeć w klubie uczelnianym!

Oczywiście skorzystałem z okazji. Na sali była nas może setka, nie zorganizowano wprawdzie dyskusji, ale przy stolikach klubowych rozmowy przy piwie toczyły się do północy, a w tle puszczano dobry rock. Gdybym nawet wcześniej nie miał ochoty tu studiować, po czymś takim z pewnością zmieniłbym zdanie. Co więcej, od swoich nowych znajomych dowiedziałem się, że oprócz stypendium można też dorabiać myciem okien, sprzątaniem i innymi małymi fuchami. Przy uczelniach działa spółdzielnia studencka, która zajmuje się pośrednictwem tego typu pracy dla młodzieży. Innymi słowy, nie musiałbym prosić o pieniądze owdowiałej matki, a kiedy zsumowałem w głowie wysokość polskiego stypendium i możliwości zarobkowe, wydało mi się, że byłbym w stanie się utrzymać.

Następnego dnia rektor w zadowoloną miną oznajmił, że prawie na sto procent może mi zaproponować miejsce od jesieni. Rozpoczął w tej sprawie oficjalną korespondencję i obiecał, że poinformuje mnie o wynikach w ciągu dwóch tygodni. Najchętniej pocałowałbym go w rękę. Ledwo mogłem się powstrzymać, by nie wyskoczyć z jego gabinetu na jednej nodze i nie odtańczyć tańca indiańskiego, w takim też nastroju ruszyłem w drogę powrotną do domu.

A po dwóch tygodniach dostałem oficjalny list z informacją, że przyznano mi jedno z miejsc rektorskich w Olsztynie. Na piśmie widniała ostemplowana deklaracja przyjęcia, zgoda ministra, wszystko jak trzeba. Była też instrukcja, co powinienem załatwić i do kiedy. Polskie Ministerstwo Oświaty oczekiwało od właściwego resortu na Węgrzech potwierdzenia, choćby jednym zdaniem, że nie sprzeciwia się on pobytowi studyjnemu kandydata w Polsce, i zwrócenie się z taką prośbą było jednym z kroków, jakie należało podjąć na wstępie. Kolejnym warunkiem było wystawienie przez władze węgierskie zwykłego paszportu zamiast trzymiesięcznej wkładki w dowodzie osobistym, co pozwoliłoby mi na dłuższy pobyt za granicą.

Udałem się do Instytutu Kultury Polskiej w Budapeszcie, aby poprosić o przysięgłe tłumaczenie dokumentów. Zachowali się bardzo rzetelnie, ich człowiek przygotował przekład w jeden dzień. Napisałem zgrabne, precyzyjne podanie z opisem moich planów,

dołączyłem oryginalne polskie dokumenty i ich tłumaczenia, włożyłem wszystko do eleganckiej koperty, zabrałem ze sobą pieniądze na znaczki opłaty skarbowej. Byłem tak podekscytowany, że niemal biegłem do ministerstwa. Szybko się okazało, że działem wymiany zagranicznej kierował ten sam towarzysz, u którego przed miesiącem składałem skargę z powodu niesprawiedliwej rekrutacji. Pomyślałem jednak, że teraz nie ma to znaczenia, mogą mnie pocałować w nos, zostałem przyjęty w Olsztynie, a Węgrzy nie muszą płacić za moje studia nawet grosza, więc po co mieliby stawiać przeszkody?

Referent przywitał mnie chłodno, zanurzył się w lekturze przekazanych dokumentów, a na jego twarzy pojawiła się znana mi już barwa purpury. Po chwili zaczął na mnie krzyczeć tym samym gniewnym tonem, jak ostatnio. Co ja sobie wyobrażam?! Co to za indywidualne załatwianie spraw?! Jak śmiałem pomijać urzędy państwa węgierskiego i ośmieszać je, żebrząc (nigdy nie zapomnę tego słowa w jego ustach) u Polaków o miejsce na studiach?!

Cierpliwie wysłuchałem tyrady, nie oponowałem, miałem nadzieję, że towarzysz słono się zawiedzie, bo ja nie pozwolę na takie traktowanie, choćbym miał poruszyć niebo i ziemię.

Myliłem się.

W pewnej chwili na twarzy urzędnika pojawił się szatański uśmieszek i równocześnie uleciał z niego cały gniew. Był spokojny.

– Proszę mi powiedzieć – zaczął powoli, serdecznym niemal głosem – jak wygląda pana sprawa z wojskiem? Damy panu pozwolenie pod jednym warunkiem: jeśli przyniesie nam pan zaświadczenie z okręgowej komendy uzupełnień o odroczeniu obowiązku służby albo odstąpieniu od niego. Proszę się stawić ponownie z odpowiednim dokumentem. Żegnam pana, młody człowieku!

Zimny prysznic. Ale że w tym czasie byłem już na dobre opętany ideą studiowania w Polsce, pomyślałem, że może armia się nade mną zlituje. Zebrałem w myślach wszystkie argumenty – kiedy skończę uczelnię, będę miał dwadzieścia siedem lat, a zgodnie z obowiązującymi przepisami to ostatni rok, w którym można mnie powołać do wojska. Niech więc poczekają do tego czasu. Węgierska armia ludowa mogła się przecież obyć beze mnie tych kilka lat…

Zrobiłem kopie wszystkich dokumentów, aby dołączyć je do podania. Umówiłem się telefonicznie z urzędnikiem komendy uzupełnień w piątej dzielnicy Budapesztu. Dwadzieścia cztery godziny po wizycie w ministerstwie stałem już przed drzwiami do gabinetu dowódcy z teczką pełną papierów. Podpułkownik przyjął mnie, ale nawet nie spojrzał w papiery. Powiedział, że poinformowano go już o mojej sprawie, wczoraj rozmawiał z ludźmi z Ministerstwa Oświaty. Wszystko w porządku, mogę jechać na studia, gdzie mi się podoba, ale najpierw muszę odbyć dwa lata służby wojskowej. Zdumiony, zapytałem, czemu nie jedenaście miesięcy – jak wszyscy, którzy planują zdawać na uczelnię. Uśmiechnął się kpiąco: mój przypadek jest ponoć szczególny, nie obejmuje mnie procedura urzędowa, dlatego nie mogę liczyć na taryfę ulgową. Dwa lata i kropka. Oddał mi teczkę, kładąc na niej karteczkę z czerwonym paskiem.

Spojrzałem – wezwanie do stawienia się w wojsku za dwa tygodnie. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że karteczka cały czas leżała na jego biurku, napisana z wyprzedzeniem, na wszelki wypadek.

Wyszedłem na plac Engelsa w nastroju niemal samobójczym. Siedziałem przez prawie godzinę na ławce obok popsutej, rozbitej fontanny i patrzyłem przed siebie. Potem spojrzałem na latarnię. Albo się powieszę, albo zabiję ich! Bydlaki! W jakim okropnym miejscu przyszło mi się urodzić?!

Tej nocy upiłem się jak świnia, wściekle i rozpaczliwie. Następnego dnia napisałem list do rektora w Olsztynie, ze szczegółami opisałem wszystko, co mi się przydarzyło. Wciąż tliła się we mnie nadzieja, podziękowałem jeszcze raz za życzliwość, wysiłek i pomoc, poprosiłem też o zarezerwowanie mi miejsca za dwa lata. Byłem już w koszarach od dwóch tygodni, kiedy nadeszła odpowiedź. Rektorowi było przykro, że tak się potoczyło. Równocześnie prosił o wyrozumiałość, nie może mi obiecać przyjęcia na studia z dwuletnim wyprzedzeniem, bo w przyszłym roku przechodzi na emeryturę. Jeśli chciałbym się ubiegać ponownie, mam się skontaktować z jego następcą, przy czym rzecz jasna nie wiadomo jeszcze, kto nim będzie. Życzył mi powodzenia, wytrwałości i silnych nerwów.

Tych ostatnich szczególnie było mi trzeba, aby znieść całą sytuację. Nie bałem się wojska, byłem sprawnym fizycznie, wysportowanym facetem, który nie daje się łatwo złamać. Po prostu nie chciałem służyć jako żołnierz komunistom. Pogodziłem się jednak z tą myślą, pocieszałem się, że to nie koniec świata, przejdę trening bojowy, nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie moment, gdy będę mógł wykorzystać umiejętności jak chłopaki na ulicach Budapesztu w 1956 roku. Gdy spytano mnie, w jakiej jednostce najbardziej chciałbym służyć, powiedziałem, że u kapitana Furkó, w słynnej brygadzie spadochronowej z Szolnoku[12]. Czemu? Bo kto się sprawdzi w tej jednostce, może potem unieszkodliwić dziesięciu chłopa w podmiejskiej knajpie, znałem faceta, który tam służył, wiem, o czym mówię. Oczywiście wylądowałem gdzie indziej, w Budaörs[13], w kompanii zabezpieczającej tamtejsze lotnisko. I tak mijała mi służba: dwadzieścia cztery godziny na warcie, dwadzieścia cztery odpoczynku, dwadzieścia cztery w stanie gotowości, a potem od początku. Kotom, rzecz jasna, odpoczywać nie dawano. Skrobaliśmy kawałkami żyletki zaschnięty mocz z pisuarów, rękoma szorowaliśmy sedesy, czyściliśmy kafelki szczoteczkami do zębów i zapałkami, tego rodzaju „treningi" były dla nas codziennością. Starsi żołnierze, znudzeni, wymyślali nam najróżniejsze bzdurne zadania, podczas gdy sami tyli z bezczynności jak świnie. Po ośmiu miesiącach wytrwałej symulacji w końcu zostałem zwolniony z aktywnej służby z powodu „nerwicy wegetatywnej", ale przez kolejnych dziesięć musiałem jeszcze wspierać siły zbrojne Węgierskiej Republiki Ludowej, ganiając głównie ze szmatą do podłóg. W tym czasie kompania tylko dwa razy była na strzelnicy. Każdy dostał dziewięć kul. Mieliśmy trafić

[12] Szolnok – miasto w środkowych Węgrzech.
[13] Budaörs – miasto w komitacie peszteńskim, położone obok Budapesztu.

w środek dolnej krawędzi tarczy. Z AK-47 można było oddać trzy pojedyncze strzały, po których następowały tak zwane krótkie serie. To znaczy po sześć nabojów naraz. Śmieszne! To było całe nasze szkolenie… Błagam! Szeregowy marynarz amerykański wykonuje takie zadania codziennie przed śniadaniem. Podobnie zresztą jak rosyjski.

Tyle. System naprawdę się postarał, bym kochał go szczerą miłością.

• • •

Teraz jednak pojawiła się nowa nadzieja, na warszawskiej PWST otwierają kierunek krytyka dramatu. Poszedłem tam i poprosiłem o szczegółową informację. Historia dramatu, dzieje teatru, dramaturgia, filozofia, literatura światowa, wykłady z dwóch tysięcy lat kultury scenicznej. Fantastycznie! Od razu zawróciłem do sekretariatu i poprosiłem o formularz zgłoszeniowy. Skrupulatna urzędniczka zwróciła mi uwagę, że koniecznie muszę przynieść zaświadczenie z ambasady, bo inaczej nie będą mogli przyjąć mojego podania. Przypomniała mi się olsztyńska historia – tam też potrzebowałem dokumentu z węgierskiego ministerstwa… Ojoj. Żołądek natychmiast podskoczył mi do gardła.

Tak się złożyło, że wczoraj rano zastępowałem Ákosa w ambasadzie. Byłem tam o szóstej rano, żeby zrobić prasówkę. Towarzysz Hárs, attaché prasowy, odebrał ją ode mnie o dziewiątej. Korzystając z okazji, zapytałem, czy może jest attaché kulturalny Pataki. Zajrzałem do niego i powiedziałem o swoich planach. Dziś rano miałem już w ręku podstemplowany papier: zgadzają się, bym studiował w Polsce.

Ach, więc jednak się udało!

Jutro pobiegnę złożyć papiery. A potem do biblioteki wypożyczyć książki do egzaminu. Mam miesiąc na przygotowanie. Czuję, jak rozpiera mnie energia!

7 maja 1979, Warszawa

„Kierunki" proszą o dziesięć akapitów wprowadzenia do współczesnej prozy węgierskiej oraz trzy wiersze naszych młodych poetów. „Znak" wysłał mi do tłumaczenia tekst Pilinszkyego[14]. „Literatura na Świecie" chce eseju o Péterze Nádasu[15]. I sześciu akapitów o najciekawszych problemach kultury i literatury węgierskiej.

Proszę ich wszystkich o przełożenie terminów, bo nie mam teraz czasu – muszę się uczyć, przygotowywać do egzaminu. Chodzi w większości o miesięczniki, więc powinni się zgodzić na złożenie tekstów w czerwcu–lipcu, bo każdy numer powstaje dwa albo trzy miesiące. A w „Kierunkach" mam znajomego redaktora, więc nie powinno być problemu z obsuwą.

---

[14] János Pilinszky (1921–1981) – poeta węgierski. W swojej twórczości często odwoływał się do bolesnych doświadczeń drugowojennych, m.in. w utworze *Ravensbrücki passió*. Laureat licznych nagród pisarskich.

[15] Péter Nádas – przedstawiciel nurtu pisarstwa postmodernistycznego na Węgrzech, członek Akademii Literatury i Sztuki im. Széchenyiego, laureat Nagrody Kossutha.

12 maja 1979, Warszawa

Któregoś razu mój kumpel Karcsi chciał wyrzucić do kosza starą linijkę. Z gatunku tych mocnych, drewnianych. Zapytałem, czy mogę ją zatrzymać. Nie tylko lubię takie przedpotopowe cacka, ale też zaczynam się starzeć i w wieku prawie trzydziestu lat coraz częściej dostrzegam u siebie efekt Prousta. Stara linijka mojego przyjaciela podziałała na mnie jak moczona w herbacie magdalenka…

W czwartej klasie podstawówki musiałem kiedyś przepisać sto razy „nie będę rozmawiać na lekcji". Pierwszorzędna tortura! Przy trzydziestym zdaniu dziecko zaczyna boleć ręka, ścięgna przedramienia napinają się, a palce trzymające pióro drętwieją i męczą się bardzo szybko. Po pięćdziesiątej linijce coraz częściej wkradają się błędy, mimo że pisze się w kółko pięć tych samych słów. Następnie piszący przestaje liczyć zdania i traci rachubę. Po osiemdziesiątym powtórzeniu zapala się światełko w tunelu i odtąd już idzie jak po maśle. W końcu dzieciak spogląda z dumą na swoje dzieło, prostuje się i z zadowoleniem rozciąga poddane mękom stawy w dłoni. A więc udało się i nie było wcale tak strasznie! W takich chwilach do głowy przychodzi myśl, jak przyjemnie jest pisać wypracowanie, nawet dłuższe niż sto jednakowych zdań, bo nie odczuwa się przy tym bólu. No jasne, przecież tworzenie dla przyjemności to zupełnie co innego niż skrobanie liter za karę. A poza tym nawet karne przepisywanie tego samego wiąże się z pewną radością, to znaczy z uczuciem ulgi, kiedy się skończy…

Jakaś szatańska myśl podkusiła mnie, aby po ostatnim „Nie będę rozmawiać na lekcji" nie stawiać kropki, tylko przecinek, a potem dopisać: „no chyba że ktoś do mnie coś powie, bo niegrzecznie jest nie odpowiedzieć". Uśmiechnąłem się zadowolony z własnej bezczelności. Spojrzałem na zapisaną kartkę: co jeszcze można by zrobić z rzędem identycznych zdań, żeby nie brzmiały tak monotonnie? Zacząłem umieszczać przy wyrazach różne znaki przestankowe. „Nie będę rozmawiać na lekcji. Nie będę rozmawiać na lekcji? Nie będę rozmawiać, na lekcji. Nie będę rozmawiać na lekcji?!" – i tym podobne.

Poczciwa pani Gálné, nasza nauczycielka, wzięła ode mnie kartkę, spojrzała na nią i widziałem, jak wstępuje w nią gniew. Ochłonęła jednak zdumiewająco szybko. Uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że po plecach przeszły mi ciarki. Kazała mi wejść na podium – w tamtych czasach w salach lekcyjnych były takie podwyższenia – i powiedziała:

– Jesteś bezczelny, chłopcze, ale masz wyobraźnię, to trzeba przyznać. Umiesz być przekorny, a to oznacza, że będzie z ciebie kryminalista albo pisarz. Niezależnie od tego, którym z nich się staniesz, nie zaszkodzi ci mała nauczka. Wyciągnij ręce i zegnij palce! Dostaniesz po łapach za arogancję i piątkę za pomysłowość.

Pach, pach, zaświszczała linijka, a ja ledwo byłem w stanie chwycić dzienniczek z oceną w obolałe dłonie. Wróciłem na swoje miejsce, sycząc cicho i próbując swoim dziesięcioletnim umysłem ogarnąć złożoną naturę świata. Nie pamiętam już dokładnie,

co mogło mi chodzić po głowie, ale wiem, że gdy tylko odzyskałem czucie w palcach, ostrzem cyrkla wydrapałem na ławce podłużny romb. Następnie połączyłem linią przekątną jego dwa najbardziej odległe wierzchołki, do lewego pola przepołowionej figury wpisałem literę „G", a do prawego słowo „pani". Potem otoczyłem rysunek promieniami i polałem go atramentem. (Pisaliśmy za pomocą maczanych w niebieskim płynie stalówek, butelka z atramentem znajdowała się pośrodku każdej ławki). Kawałkiem serwetki wytarłem nadmiar cieczy i w ten sposób uwieczniłem na drewnianym blacie informację dla przyszłych pokoleń.

Pista Nokta, mój sąsiad, obserwował to wszystko z uśmiechem, a w końcu szepnął:

– Ty głupku, nie tak się ją rysuje! – Po czym wprawnym ruchem wymalował z tyłu zeszytu znacznie wierniejszy schemat narządu.

– Skąd niby wiesz, jak wygląda cipa? Na dodatek jej cipa? – syknąłem.

Oczy Pisty zapaliły się.

– Podglądałem siostrę, jak się myła. Nieźle, co? – odwarknął kolega.

– Nie widziałem, jaką ma Gálné, ale na pewno kanciastą, bo jest głupia!

Nokta namyślał się przez chwilę.

– Powiedzmy – uśmiechnął się złośliwie – że nie nakabluję na ciebie, jeśli dasz mi swoje sklejone chrząszcze.

Zacząłem się zastanawiać. Skoro Gálné ukarała mnie za parę znaków przestankowych tak boleśnie, że ledwo mogłem narysować na ławce symbol zemsty, Bóg jeden wie, co mi za niego grozi, może nawet upomnienie od dyrektora. I to rzecz jasna bez piątki w dzienniku za pomysłowość i fantazję. A do tego policzek albo dwa od ojca w domu. Niechętnie wyciągnąłem spod pulpitu pudełko od zapałek, otworzyłem je, by pożegnać się z parą schwytanych na słonecznej ścianie szkoły chrząszczy, i wręczyłem okup Piscie.

Mój kolega z ławki pogrążył się w obserwacji zwyczajów godowych owadów i nie zauważył przechodzącej akurat obok pani Gálné. Zdawałem sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, ale że chrząszcze nie należały już do mnie, przesunąłem tylko dyskretnie książkę na ławce i zakryłem swoje dzieło. Postanowiłem nie ostrzegać Nokty, bo w końcu przed chwilą szantażem wyłudził ode mnie robaki.

– Co to do diabła jest? – Nauczycielka zabrała mu pudełko. Wtedy dotarło do mnie, że może jednak powinienem był coś szepnąć, bo teraz, aby ocalić skórę, mógłby mnie wsypać i dostałbym drugi raz linijką po łapach. Pista jednak wstał powoli, jakby z ociąganiem, i powiedział, głośno i wyraźnie:

– To są pierdolące się chrząszcze, proszę pani.

Gálné wstrzymała oddech.

– Coś ty powiedział?!

Nokta powtórzył grzecznie:

– Pierdolące się chrząszcze.

Nauczycielka zrobiła się czerwona jak piwonia.

– Nigdy więcej nie używaj tego słowa!

Nokta spojrzał na nią niewinnie.

– Jakiego? Chrząszcze?

Gálné zrobiła w tył zwrot i wzięła z biurka linijkę. Trzasnęła nią biednego Pistę po łapach.

– Skąd masz te… hm… chrząszcze?

Nokta wzruszył ramionami.

– A, od jednej takiej cipy z kolonii.

Myślałem, że zbliża się mój koniec i kolega zacznie sypać. Poprzysiągłem sobie, że po szkole sprawię mu manto w Ogrodzie Károlyiego.

Purpurowa twarz pani Gálné nagle zbladła. Wypowiadała słowa cicho, machając rytmicznie linijką:

– Co ty powiedziałeś, chłopcze? Chodź tu!

Długi drewniany przyrząd nie wróżył Piscie nic dobrego. Nokta chwycił za flakonik z atramentem.

– Jeśli mogę, łyknę sobie wcześniej dla kurażu – powiedział i nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, podniósł buteleczkę do ust i wypił jej zawartość jednym haustem.

Pani Gálné zamarła i rzuciła się w jego stronę. Wydała przy tym okrzyk, od którego śmiech w klasie ucichł jak w czasie transmisji kabaretu radiowego, gdy strzeli bezpiecznik. Nokta uśmiechnął się do mnie ciemnoniebieskimi ustami, odsłaniając rząd lazurowych zębów.

– Miałeś pietra, co?

W butelce z atramentem zostało kilka kropel. Po tym wszystkim i ja musiałem go spróbować, nie było wyjścia. Uśmiechnąłem się potem do Pisty na niebiesko. Byliśmy kwita, mogliśmy podać sobie ręce.

Sprawa nie skończyła się na upomnieniu, Nokta dostał naganę. Wezwano do szkoły rodziców. Nikt się jednak nie pojawił. W końcu przyszła jego dziewiętnastoletnia siostra. Była ubrana dość wyzywająco, na nogach kabaretki, na ustach mocna szminka, a wrażenia dopełniały jeszcze krzykliwie umalowane oczy. Wyglądała na trzy razy starszą, niż była w rzeczywistości. Powiedziała, że ojciec nie mógł przyjść, bo przez cały dzień roznosi węgiel i drewno, chodzi z wózkiem po dzielnicy, koszami taszczy opał do mieszkań wielopiętrowych domów, a wieczorem jest zmęczony albo pijany. Matka z kolei choruje na płuca, jest wiecznie przygnębiona, jeśli w ogóle może utrzymać się na nogach, to co najwyżej schodzi do piwnicy zrobić pranie, ale to rzadko, najczęściej po prostu leży w łóżku. A czym zajmuje się ona? Nikomu nic do tego. Pista? Jakoś sobie poradzi. Do tej pory zawsze przechodził z klasy do klasy, więc o co chodzi?

Nokta, który był ze mną w jednej klasie do końca podstawówki, a potem na zawsze zniknął z mojego życia, nigdy więcej nie musiał wyciągać ręki, ani po razy, ani na zgodę. A pani Gálné, jeśli się nie mylę, nigdy w życiu nie było dane sprawdzić, jak smakuje atrament.

17 maja 1979, Warszawa

List do Pani Z.

Proszę mi wybaczyć, że niepokoję Panią w Jej podyktowanym dostojnym wiekiem odosobnieniu, ale właśnie zwątpienie w możliwość cichej starości sprawiło, że chwyciłem za pióro i kreślę teraz tych kilka linijek na papierze. Przy okazji naszego ostatniego spotkania zarysowała mi Pani wizję ciszy, z jaką wiąże się starość, wyrażając przy tym przypuszczenie, że być może traci słuch i dlatego wszystko wydaje się takie spokojne.

Pragnę Pani zadać pytanie, chociaż wiem, że w swojej odpowiedzi przyzna mi Pani rację: czy jeśli pominiemy kwestię pogarszającego się słuchu, starość jest doprawdy taka cicha? Proszę nie mieć mi za złe, że wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości i dobrego wychowania piszę o starości właśnie w odniesieniu do Pani. Choć wiem, że kobieta do końca życia pozostaje damą i z przykrością znosi uwagi na temat swego wieku, proszę, aby ten jeden raz zrobiła Pani wyjątek. Proszę położyć dłoń na sercu (czuje Pani jeszcze jego bicie?) i odpowiedzieć szczerze, czy dni Pani naprawdę wypełnia cisza?

Widzę, jak się Pani zastanawia i instynktownie wsłuchuje w otoczenie. A potem na Pani szlachetnej, budzącej szacunek twarzy pojawia się uśmiech i mówi Pani: „Ależ nie na tym cała rzecz polega! Nie chodzi o to, jakie dźwięki do nas dochodzą". Uwaga! Śmiertelnie poważnie proszę, aby przemyślała Pani tę kwestię dokładnie, a wówczas, zaręczam, zda sobie Pani sprawę, że jednak tu leży sedno problemu! W hałasie. Nie inaczej.

Wkrótce zrozumie Pani, dlaczego tak myślę. Gdyby siedziała Pani ze mną tu, nad brzegiem Śniardw, kilkanaście kilometrów od najbliższego miasteczka i w odległości długiego spaceru od wsi Niedźwiedzi Róg, gdzie spoza ściany żółtego, gdzieniegdzie już wiosennie zielonego sitowia prześwituje błękitna tafla jeziora, za mną zaś pyszni się obfitością sosnowy las – powiedziałaby Pani, że w tym miejscu panuje cisza. Tymczasem wcale tak nie jest. Powietrze wypełniają szepty, wibracje, pluski, śpiew ptaków, brzęczenie owadów, krzyki ptactwa wodnego. A jednak nazwalibyśmy ten stan ciszą. Wrażenie to mógłby spotęgować nadchodzący wieczór – natura faktycznie milknie każdego dnia na krótką chwilę. W takich momentach możemy zrozumieć ludzi głuchych od urodzenia. Tych spośród naszych sióstr i braci, dla których dźwięk jest czymś tak nieuchwytnym jak dla słyszącego człowieka sekretna mowa nietoperzy. Widzimy tylko małego potwora z rozdziawionym pyskiem, jego delikatne półprzezroczyste uszy pokryte siecią delikatnych żyłek poruszają się, wibrują, jakby chciał z nich strzepnąć kurz. Wydaje i odbiera dźwięki, które dla nas są niesłyszalne. Czym może być pojęcie ciszy w świecie złożonym z takich nieuchwytnych dla człowieka sygnałów?

Domyślam się, że w Pani głowie pojawiło się już pytanie: po co te aluzje? Dokąd zmierzam w swoim liście? Już śpieszę z odpowiedzią. Otóż, Droga Pani, dla naszego pokolenia nie istnieje już coś takiego jak cisza rozumiana w tradycyjnych, ludzkich kategoriach. Cisza zniknęła z natury. Nie wzrusza to Pani? Że niby cisza przestała istnieć już dawniej? Twierdzę, że jednak nie. To Pani pokolenie doskonaliło maszyny wynalezione przez ojców, dziadów, pradziadów i wynalazło jeszcze nowsze. Żeby rozwój toczył się dalej, bez wytchnienia.

Uczono nas, abyśmy szanowali tradycję, a przy tym nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że tradycja też sama zamieniła się w nieustającą mechanizację. Wszyscy oszaleliśmy na punkcie techniki, w naturalny sposób uzależniliśmy się od urządzeń, które stają się powszechne, powodują coraz więcej hałasu, nie wspominając o brudzie. Doszliśmy do etapu, w którym zniszczenie maszyn doprowadziłoby najpewniej do anihilacji nas samych, tak bardzo związało nas z nimi nasze wrodzone i bezdenne lenistwo.

Czy wie Pani, co mi się przydarzyło? Przez minutę czułem się jak w jakimś cudownym, pierwotnym stanie, ukołysany falą tysiąca odmian ciszy, a potem usłyszałem coraz bliższy szmer, który wbijał się we mnie niczym zardzewiały nóż w serce. Zza koron dwudziestometrowych sosen wyłonił się samolot rolniczy, a potem zniknął za horyzontem. Przysięgam na wszystkie świętości, Droga Pani, że gdyby było to w mojej mocy, strąciłbym natręta jak muchę.

Tak się sprawy mają. Teraz już Pani rozumie, prawda? Na tej nędznej planecie nie ma już prawie miejsc, w których dziecię Boże mogłoby osiąść z dala od cywilizacji ludzkiej. A przynajmniej od jej dźwięków. Dlatego też wątpię, czy dane będzie Pani zażyć cichej starości. Jestem całkowicie przekonany, że pojęcie to ma we współczesnym świecie rację bytu wyłącznie w przenośni. Jeśli podziela Pani moją opinię, to znaczy, że się zrozumieliśmy.

W ostatnich słowach pragnę życzyć Pani odrobiny ciszy. Choćby takiej, której mogłem doświadczyć, zanim maszyna wzniosła się nade mną w powietrze. I proszę uważać, aby nie obudziła się pani któregoś dnia z uszami nietoperza. Wówczas może Pani na zawsze porzucić myśl o cichej starości. Radziłbym Pani cieszyć się raczej z pogarszającego się słuchu.

Całując Pani dłoń, pozostaję wiernym Pani wielbicielem,
(……)

PS Proszę, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji przekazała Pani moje wyrazy szacunku panu K.B., któremu tak wiele zawdzięczam.

2 czerwca 1979, Warszawa

Jest! Przyjechał! Ósmy cud świata! Jan Paweł II, Karol Wojtyła, Polak. Pierwszy papież z państwa komunistycznego, z Polski, i pierwszy, któremu komuniści wyraźnie ustępują.

Wyobrażam sobie, co się musiało dziać za kulisami! Ile listów i poufnych szyfrogramów wymieniono z Moskwą i jakie gorące rozmowy odbywały się z Breżniewem, na którego neandertalskim czole marszczyły się szczotkowate brwi! A jednak koniec końców nie mieli odwagi powiedzieć „nie”… Cała sytuacja jest zresztą absurdalna, bo papież jest obywatelem polskim, więc choćby z tego powodu należy go wpuścić do kraju. W jego wypadku odebranie obywatelstwa nie wchodzi w grę, jak się to praktykuje wobec niektórych dysydentów (*casus* Szelényiego na Węgrzech).

A teraz stoją z zaciśniętymi pośladkami, my zaś cieszymy się z przyjazdu Ojca Świętego, którego sama obecność dodaje nam siły i otuchy.

· 1979 ·

Z parafii księdza Andrzeja na Żytniej dostałem wejściówkę na dzisiejszą mszę na placu Zwycięstwa. W mieście pozamykane są ulice, ale tym razem nikogo to nie irytuje – w końcu nie chodzi o wizytę Breżniewa…

À propos Leonida! Powstał już żart na temat papieża. Gierek telegrafuje do Moskwy: *Habemus papam*! Breżniew odpowiada: *Habemus klapam*! Zlatynizowany polski termin oznacza bankructwo. Boże, chciałbym, żeby tak było!

W każdym razie w powietrzu wyraźnie czuć, że coś się wydarzy. Nikt nie wie, co to będzie, ale udziela się nam wszystkim atmosfera wyczekiwania. Po mieście krąży plotka, że towarzysze uspokajają się nawzajem, iż lepszy Wojtyła w Rzymie niż jako następca Wyszyńskiego w Polsce. Mam nadzieję, że jeszcze się przeliczą i to gorzko!

Byłem podekscytowany i nie mogłem zdecydować, czy wyjść na ulice, czy może zostać w domu przed telewizorem. Spodziewałem się, że transmisja będzie zmanipulowana, ale jednak można w niej zobaczyć momenty, których nie miałem szansy dostrzec z chodnika. Byłem przekonany, że kamery rządowe będą się starały pokazać jedynie cząstkę nieprzebranego tłumu. Na własne oczy widziałem przedstawicieli wszystkich pokoleń, oni jednak planowali puszczać ujęcia starszych osób, księży, zakonnic. Oczywiście trudno wyciąć z relacji zdumiewająco dużą liczbę milicjantów – byli wszędzie. Nie wspominając o tajniakach ubranych po cywilnemu. Jasne, że na pierwszy rzut oka nic ich nie wyróżnia, chyba że gęby, ale rozpoznanie ich to kwestia intuicji. Zapewne posypią się nagany i dyscyplinarki, zwłaszcza wobec mundurowych, bo nie zachowywali nawet pozorów dystansu: stali twarzami do tłumów, ale gdy tylko nadjeżdżał konwój papieski, odwracali najpierw szyję, a potem cały tułów. Okazuje się, że milicjanci to też ludzie. To, że nie mogli się powstrzymać, czyni ich odrobinę sympatyczniejszymi.

W końcu Polska to kraj, w którym prawie każdy chrzci swoje dziecko, także żołnierze, milicjanci, sekretarze partyjni czy inni utytułowani dygnitarze. Prawda ta wyraża się w popularnym żarcie: „Do czego podobny jest polski partyjniak?" „Do rzodkiewki – z wierzchu czerwony, w środku biały". Coś w tym jest!

Rano oglądałem w domu telewizję. Informowano, że papieski samolot linii Alitalia wykonał dodatkowe okrążenie nad krakowskim lotniskiem, a około dziesiątej wylądował na warszawskim Okęciu. Gdy tylko papież przybył do Polski, zabiły wszystkie dzwony, w całym kraju, w każdej świątyni. Także tu, w Warszawie – niesamowite uczucie wiedzieć, że od Bałtyku po Tatry, od Odry do Bugu, wszędzie rozbrzmiewa uroczyste *Te Deum*. Prymas Wyszyński wszedł do Ojca Świętego na pokład i po chwili w drzwiach maszyny pojawił się Jan Paweł II. Gdy tylko zszedł ze schodków, a Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa, szykował się do uniżonych salutów, papież, cały w bieli, przyklęknął i ucałował ojczystą ziemię.

Nastąpił długi ciąg powitań. Ojciec Święty w towarzystwie kardynała Casarolego i prymasa wsiadł do otwartej białej limuzyny. Ktoś zawołał: „Papamobile". Świetne wyrażenie, myślę, że od dzisiaj na zawsze już przylgnie do tego pojazdu. Resztę programu pokazano w krótszych relacjach, nie było transmisji na żywo, a jeśli nawet, to z kilkuminutowym opóźnieniem, na wypadek, gdyby coś trzeba było przyciąć, poprawić, ocenzurować.

Gdy dochodziła trzecia po południu, byłem już od dłuższego czasu na ulicy. Starałem się odpowiednio wcześnie dotrzeć do sektora wskazanego na wejściówce na papieską mszę świętą, która miała się odbyć na placu Zwycięstwa. To, co się działo na mieście, jest nie do opisania! Ludzie wyglądali jak natchnieni Duchem Świętym: gdy komuś zdarzyło się kogoś potrącić, od razu grzecznie przepraszał, wszyscy uprzejmi, uśmiechnięci – jakby w nocy przeniesiono nas do innego kraju. Wszedłem w jedną z bocznych ulic od Krakowskiego Przedmieścia, żeby odsapnąć i zapalić. Spojrzałem: wszystko zastawione autobusami. Pielgrzymi. Obok stali zakonnicy i klerycy. Coś mi jednak nie grało. Co drugi z nich trzymał w ustach peta. Do tego jakoś dziwnie poprawiali na sobie habity i sutanny, jakby nie byli przyzwyczajeni do szat księżowskich. Przyjrzałem się uważniej. Tak, te twarze, oczy, gesty… Z początku nie byłem pewien, ale czułem, że to jednak prawda, wszyscy ci ludzie to tajniacy! Jezu Chryste, coś niewiarygodnego! Kto mi uwierzy?

Z trudem znalazłem przydzielone mi miejsce. Rozglądałem się w prawo i lewo, ale wszędzie wokół same obce twarze. Choć umówiłem się tu z paroma znajomymi, nikogo z nich nie mogłem dostrzec. Może byli sprytniejsi i przedarli się bliżej ołtarza? Rzecz jasna nie miało to żadnego znaczenia, wokół siebie czułem tę samą spokojną, przyjazną atmosferę co na ulicach. Ludzi była masa, w życiu nie widziałem na żywo takich tłumów. Eleganccy panowie, studenci w obdartych ciuchach, wiejskie kobiety ze spracowanymi dłońmi, rodziny robotnicze z gromadką dzieci, a nawet kloszardzi z uduchowionym wyrazem twarzy. Ci ostatni, co warto podkreślić, absolutnie trzeźwi! Było gorąco, wiele osób przyniosło ze sobą bidony z wodą, parasolki, niektórzy czekali na mszę, siedząc na rozłożonych kocach albo krzesełkach kempingowych.

Kilka minut po czwartej dało się wyczuć poruszenie, słychać było głośny szum od strony ulicy Królewskiej. W ciągu kilku chwil nadchodzi wiadomość: jedzie, jedzie! Nie widzieliśmy go wprawdzie, ale wiedzieliśmy, że papież najpierw podjechał do Grobu Nieznanego Żołnierza, pomodlił się, a następnie wpisał do księgi pamiątkowej. Co dokładnie, o tym dowiemy się później. Nagłośnienie nie było złe, ale na szczęście starszy pan obok mnie trzymał też w dłoni niezniszczalnego sokola z dwoma przyklejonymi taśmą paluszkami. To, czego nie dało się usłyszeć z trzeszczącego głośnika przymocowanego do latarni, bez problemu docierało do mnie z relacji na żywo w Polskim Radiu.

I w końcu przy ołtarzu pojawił się On. Miałem ze sobą lornetkę myśliwską, więc przynajmniej mogłem coś zobaczyć, bo poza tym raczej tylko słyszeliśmy docierające stamtąd dźwięki, tak daleko byliśmy od centrum wydarzeń. Ogromny, kilkunastometrowy krzyż piął się ku niebu, a na nim zawieszona była ogromna stuła kapłańska. W pobliżu ołtarza stali w rzędzie przywódcy państwa, dostojnicy Kościoła katolickiego, przedstawiciele innych obrządków chrześcijańskich, członkowie korpusu dyplomatycznego. Pośrodku setek tysięcy ludzi jedna mała wysepka – jakie to uczucie patrzeć stamtąd na cały ten tłum?

Jan Paweł II w złotym habicie podszedł do mikrofonu.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Umiłowani Rodacy, Drodzy Bracia i Siostry, Uczestnicy eucharystycznej Ofiary, która sprawuje się dziś w Warszawie na

placu Zwycięstwa! – Papież rozpoczął mszę świętą. Mówił powoli, zrozumiale, ciepłym, męskim głosem. Wszyscy staliśmy i biliśmy brawo, jeśli nie możemy zrobić nic więcej, niech chociaż oklaski wzniosą się ku niebu, nieprzerwane. Ojciec Święty cierpliwie czekał, potem zaczął znów mówić. Słuchaliśmy oczarowani. Przyszła mi do głowy myśl: jak dobrze, że syn Karcsiego Tara nagrywa wszystko w domu z radia na magnetofon. Trzeba będzie tego odsłuchać kilka razy, bo nie da się ogarnąć całości. Choćby dlatego, że tam, na miejscu, słuchaliśmy duszą, a nie umysłem. A to dopiero początek. Przez cały tydzień każdego dnia papież będzie wygłaszał nawet kilka przemówień, i właśnie po to, by do nas dotarły. Boże, czy będę w stanie to wszystko śledzić?

Jego słowa pełne są zaszyfrowanych wiadomości. Na przykład wspomnienie Świętego Stanisława, biskupa krakowskiego, od którego męczeńskiej śmierci upływa w tym roku dziewięćset lat. Czego dokonał ten człowiek? Przeciwstawił się nieludzkiej władzy i zapłacił za to życiem. Papież mówił o godności, której kluczem jest Jezus Chrystus. Bez niego nie możemy zrozumieć siebie, naszego posłannictwa, sensu istnienia, ale również całej kultury. Bez niej pozostajemy głusi i niewrażliwi na przesłanie historii, bez Chrystusa nie da się zrozumieć dziejów narodu polskiego.

– Chrystus jest otwartą księgą przyszłości naszego życia, przyszłości polskiego życia – stwierdził i dodał, że wystarczy wiara wielkości ziarna gorczycy, aby człowiek mógł nią przenosić góry. Każde zasiane ziarno, każda grudka ziemi, w której dojrzewa, mają znaczenie, podobnie jak wszystko, co składa się na Polskę – wspomniał, okazując hołd swojemu Mistrzowi. Prymas Wyszyński wypowiedział bowiem te same słowa w Częstochowie w tysięczną rocznicę chrztu państwa polskiego.

– Wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi! Tej ziemi! Amen! – zakończył papież.

Dla wszystkich było jasne, o jakiej ziemi myślał! Rozległy się brawa i okrzyki, uśmiechaliśmy się do siebie, powtarzając z uczuciem wyzwolenia słowa, które Ojciec Święty wypowiedział w chwili swojego wyboru: „Nie lękajcie się!".

A potem zabrzmiał dawny polski hymn:

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!

Ja też śpiewałem z przejęciem, do tego po węgiersku. Pieśni nauczyłem się od ojca. Twierdził, że została przetłumaczona przez Jókaiego w drugiej połowie dziewiętnaste-

go wieku. Stojący obok mnie facet z radiem nie mógł wytrzymać i zapytał, w jakim to języku nucę te drogie każdemu Polakowi słowa. Wyjaśniłem mu. Do oczu napłynęły mu łzy i mnie ucałował.

– Polak, Węgier dwa bratanki… – wykrztusił. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale napierający tłum oddzielił nas od siebie.

Oto po trzech i pół dekady komunizmu Polska i cały jej naród odzyskały podmiotowość, obudziła się w nich świadomość, że nie ma się czego bać. Ludzie rozglądali się wokoło i widzieli, ilu ich tu przyszło. I że tyle milionów, w Warszawie i reszcie kraju, jeśli tylko zechce, jeśli wyrazi swoją wolę, to… Zło można pokonać! Ma ono bowiem nad nami władzę, jeśli się boimy. Ale teraz przestaliśmy się bać! (Pytanie: kiedy władza zda sobie z tego sprawę, jak wielka będzie jej histeria, załamie się czy będzie walczyć niczym osaczony szczur?)

Katharsis. A ja mogłem w nim uczestniczyć razem z Polakami. Bogu niech będą dzięki!

A wiecie, bliźni moi, co w tym wszystkim najlepsze? Że naprawdę się nie lękam. Ani trochę. Od dzisiaj przestałem się bać!

Wieczorem wpadłem do teściów odebrać psa. W telewizji pokazywali tylko zbliżenia, nigdzie nie było widać setek tysięcy ludzi na ulicach, którymi przejeżdżał papież, na ujęciach z mszy świętej też tylko ołtarz, bliskie plany, jakby nie było tłumów, morza ludzi rozciągającego się aż po horyzont. I co się stało? Mój teść komunista odszedł od ekranu i włączył odbiornik radiowy, żeby złapać Watykan. Rozgłośnia Stolicy Apostolskiej transmitowała na cały świat różaniec odmawiany przez Jana Pawła II razem z wiernymi w Warszawie. Helenka zadała mu jakieś prozaiczne pytanie, na co Miecio:

– Nie zawracaj mi teraz głowy, nie słyszysz, kto mówi?

Wyszedłem od nich poruszony. Wybaczyłem dziś wiele ojcu mojej żony za to, że dołączył do szeregu polskich towarzyszy rzodkiewek… Hm, z wierzchu czerwony, w środku biały?

3 czerwca 1979, Warszawa

Drugi dzień Tygodnia Wolności. Zaczęło się jak w Starym Testamencie, pod znakiem szabatu, a dziś jest niedziela, do tego Pięćdziesiątnica. Święto jednak potrwa tak długo, jak długo papież będzie przemierzać polską ziemię. Władza zdobyła się na gest: dla zachowania spokoju w najbliższym czasie każdy dzień będzie niedzielą. Zrozumieli najwyraźniej, że i tak nikt nie ma teraz głowy do pracy, bo albo towarzyszy papieżowi w pielgrzymce po kraju, albo śledzi ją w radiu czy telewizji.

Dziś rano Ojciec Święty spotkał się z młodzieżą w kościele Świętej Anny w Warszawie, sanktuarium studenckim, a następnie odleciał helikopterem z placu Zwycięstwa do kolebki polskości, Gniezna. Mimo wszelkich starań redakcji i tym razem widać było setki tysięcy witających go ludzi, kamera musiała uchwycić powiewające flagi biało-czerwone i watykańskie, święte obrazy i sztandary. Śpiewy, kwiaty, msze, modlitwy. Tu także odbyło się spotkanie z młodymi, powiernikami przyszłości.

Piękna, letnia pogoda skłoniła ludzi do wyjścia na spacer, i to nie tylko psiarzy, których w okolicy jest mnóstwo. Na ogół nie snobują się na hodowców ras czystej krwi, tak jak ja, ale trzymają w domach czworonogi zrodzone z pokątnych aktów miłości. Tylu mieszańców co tutaj człowiek nie uświadczy nigdzie indziej, a jeśli już, to z pewnością nie takich jak polskie „pieski". Najlepsze tłumaczenie tego słowa na węgierski to chyba *kutyuli*. Przez podobieństwo do wyrazu *kutyulék* – „groch z kapustą". Bo szczenięta z Polski to przeważnie mieszanka pałacowego pinczera i ratlerka. Niektóre z nich wyglądają naprawdę strasznie, ale łączy je jedno: są kochane przez swoich właścicieli najszczerszą miłością. Zgodnie z teorią mojego kolegi, wybitnego poety Krzysztofa Karaska, ta szczególna „rasa" wzięła się stąd, że prości ludzie postanowili naśladować arystokrację. Widzieli małe, szlachetnie pokraczne pieski piszczące w ramionach królowych lub pałętające się przy ich nogach, i zapragnęli czegoś podobnego. Oczywiście nie stać ich było na kupno zwierzęcia czystej rasy, zawsze jednak można było pod pretekstem spaceru spiknąć ze sobą dobrze urodzonego pinczerka i mieszaną sukę. A potem rodziły się małe potworki: ni to psy, ni to wydry, bezkształtne, z krzywymi zębami i koślawymi łapami… W tygodniu przed każdym sklepem można spotkać kilka tego typu kreatur czekających na swoich państwa. Wiele z nich chodzi na spacery samotnie: właściciele wypuszczają je na klatkę schodową, one zaś schodzą na parter, włóczą się między blokami, załatwiają potrzebę, czytają najświeższe wiadomości pozostawione na drzewach i krzakach, a potem cierpliwie czekają, aż ktoś łaskawie otworzy im drzwi do budynku. Nigdy nie zetknąłem się z tym, aby jakiś piesek zabrudził klatkę. Owszem, zdarzały się ślady po kotach, ale to wszystko. Te kundle są nad wyraz dobrze wychowane.

Ja też wyszedłem z Moneyem na spacer. Pół Warszawy wyległo do parków, ludzie siedzieli na ławkach z odbiornikami tranzystorowymi w dłoniach. Na falach eteru słuchali wiadomości o Ojcu Świętym, a potem omawiali je w spontanicznie gromadzących się grupkach. Również miałem ochotę podzielić się z kimś przemyśleniami. Karcsi i jego rodzina lubią mojego pieska, wybrałem się więc do nich. Zszedłem Tamką w stronę Wisły, pod pałacem Ostrogskich pogładziłem spojrzeniem złotą kaczkę w koronie, kołyszącą się pośrodku fontanny – jak zwykle przyszło mi do głowy, że to do niej wybiera się postać z węgierskiej piosenki[16] – a potem przeciąłem długi, cienisty park i dotarłem do rzeki.

Poczęstowali mnie obiadem. Słuchaliśmy radia, od czasu do czasu oglądaliśmy telewizję, gadaliśmy długo i czuliśmy w sercach pokój. Wyszedłem po kilku godzinach, bardziej z poczucia przyzwoitości niż z chęci. Zatrzymywali mnie i z przyjemnością zostałbym dłużej, ale było późno, a ja miałem w sobie tyle herbaty, że nie wiedziałem, czy doniosę ją do domu. W połowie drogi z zazdrością patrzyłem na Moneya, któremu wolno sikać gdzie dusza zapragnie.

[16] Chodzi o piosenkę dla dzieci *Kis kacsa fürdik* (Kaczuszka w kąpieli), w której tytułowy ptak myje się w jeziorze przed podróżą do Polski, gdzie mieszka jego mama (przyp. tłum.).

4 czerwca 1979, Warszawa

> Szczególnej wagi nabiera fakt, że Papież przybywa do Ojczyzny, kiedy obchodzimy 35-lecie Polski Ludowej – pisze „Trybuna Ludu". – Nasz prestiżowy gość przyjechał do swojego kraju w tym wyjątkowym momencie, kiedy przygotowujemy się do wielkiej rocznicy. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat Polska przeszła historyczne zmiany. Rozwój gospodarki, zasadnicze reformy społeczne, edukacja i przekazanie narodowi dóbr kultury nie tylko wyeliminowały zacofanie ekonomiczne, bezrobocie, analfabetyzm i ucisk szerokiej masy ludności, ale także skierowały nasz kraj na ścieżkę nieznanego wcześniej postępu. Polska Ludowa stała się ojczyzną dla wszystkich swoich obywateli i utorowała Polakom drogę do wzięcia większej odpowiedzialności za losy kraju. W takich właśnie okolicznościach papież przybywa do ziemi ojczystej…

Cóż za okropny język w porównaniu z przemówieniami i słowami Ojca Świętego! Do tego nazywają go „prestiżowym gościem"! I stają na głowie, byle tylko rozmyć, rozproszyć krystalicznie czyste i jednoznaczne myśli Jana Pawła II i podlać je własnym ciężkostrawnym sosem. Bredzą coś o uniwersalizmie katolickim, byle tylko zestawić go z uniwersalizmem socjalistycznym, czyli *de facto* z internacjonalizmem. Że niby ten ostatni jest wyższego rzędu, bardziej nowoczesny, bo opiera się nie tylko na wycinku kultury, ale na całości. Dodają przy tym koncyliacyjnie, że oba rodzaje uniwersalizmu mogą się uzupełniać „w twórczy sposób", a nawet można je połączyć „w pewnych ważnych dziedzinach życia społecznego dla osiągnięcia owoców w interesie ogółu". Boże, tyle bzdur w jednym zdaniu! Rozłożyłem gazetę na stole, żeby obierać na niej ziemniaki. A z kilku stron zrobiłem Moneyowi podkładkę pod miskę z wodą.

Sekretarze prasowi Ojca Świętego muszą mieć niezły ubaw, czytając te banialuki na Jasnej Górze, dokąd Jan Paweł II poleciał swoim papakopterem – kolejne nowe słowo, powstałe na bazie papamobile. Z różnych serwisów informacyjnych – Polskiego Radia, Wolnej Europy, Głosu Ameryki, BBC – dowiedziałem się, że tam też witały go setki tysięcy ludzi. W rozpoczętej o jedenastej rano mszy świętej wedle niektórych szacunków uczestniczyło prawie milion wiernych.

Boże, poszedłbym z nim i za nim wszędzie!

To prawdziwy cud, że on istnieje! Prawdziwy cud!

5 czerwca 1979, Warszawa

Rano Ojciec Święty odprawił mszę na Jasnej Górze w intencji zakonów żeńskich w całym kraju. W godzinach porannych i popołudniowych uczestniczył w posiedzeniach plenarnych Konferencji Episkopatu Polski. W ciągu dnia trzykrotnie odprawiał nabożeństwa. Mówił o tak wielu sprawach, że nie sposób wszystkiego spamiętać. Miejsce Kościoła we współczesnym świecie i w Polsce, wielowymiarowa rola i zadania zakonów, powołanie ludzi nauki – to ostatnie było tematem spotkania z profesorami

KUL-u. Westchnąłem tylko: tu Kościół ma własny uniwersytet, tymczasem u nas nawet o szkoły ciężko…

Ach, wy moi pogańscy Węgrzy!

7 czerwca 1979, Warszawa

Jan Paweł II po pożegnaniu z Jasną Górą udał się w swoje rodzinne strony. Wieczorem przybył helikopterem do Krakowa, skąd Pan powołał go na tron Świętego Piotra. Papakopter wylądował około osiemnastej na Błoniach. Papież był wyraźnie przejęty na widok witających go tłumów. „Jestem wam wdzięczny, jeżeli mnie jeszcze trochę uważacie za swojego" – powiedział. „Chrystus pisze swoje wezwania na żywym sercu człowieka. A moje serce było i nie przestało być związane z wami, związane z tym miastem, z tym dziedzictwem, z tym »polskim Rzymem«. Wierzcie mi, że niełatwo jest opuścić Kraków" – mówił, choć dopiero co przybył do swojego pięknego miasta…

Powitał go metropolita krakowski kardynał Franciszek Macharski, człowiek, którego obok prymasa Wyszyńskiego papież uważał zawsze za swojego mistrza. W katedrze wawelskiej spotkał się z hierarchami diecezji, a następnie otwartym papamobile przejechał przez morze niestrudzenie wiwatujących ludzi do pałacu arcybiskupiego przy Franciszkańskiej 3. Macharski starał się zadowolić byłego ucznia – specjalnie dla niego otworzył pokoje, w których kardynał Wojtyła mieszkał i pracował w latach kierowania archidiecezją. To stąd wyruszył do Rzymu na konklawe tak niedawno, nie mając pojęcia, że nie wróci tu już jako arcybiskup. Papież mógł spać w swoim dawnym łóżku, choć nie dano mu szans na odpoczynek: przed pałacem, pod jego oknami zebrał się tłum młodych ludzi. On zaś stanął w oknie i rozmawiał z nimi. W letni wieczór odmówił wraz z zebranymi modlitwę *Anioł Pański*. A potem musiał pojawiać się jeszcze parę razy, aż do chwili, gdy bezpośrednim tonem i z humorem, jak w czasie swoich dawnych „włóczęg" z młodymi, poprosił wiernych, aby pozwolili mu pójść spać, bo „papież też jest tylko człowiekiem, potrzebuje więc trochę odpoczynku". Następnie dodał: „Trudno być papieżem w Rzymie. Ale w Krakowie byłoby jeszcze gorzej, bo musiałbym cały czas stać przy tym oknie i nie miałbym czasu ani spać, ani myśleć… Prosicie o słowo albo dwa, a więc – dobranoc" – uśmiechnął się do nich po raz ostatni tego dnia, około północy.

Boże, do jakiego kraju sprowadził mnie los? Czy siedzę, czy stoję, od kilku dni czuję się lżejszy, jakbym unosił się w powietrzu. Papież powiedział, że też jest tylko człowiekiem. Doprawdy?

8 czerwca 1979, Warszawa

Wczoraj Ojciec Święty objechał te miejsca archidiecezji krakowskiej, na które znalazł czas w swoim napiętym programie. Wszędzie witały go nieprzebrane tłumy. O dziesiątej rano przybył w papamobile do Kalwarii Zebrzydowskiej, a następnie udał się

do sanktuarium, gdzie się modlił i wygłosił przemówienie. Stamtąd poleciał helikopterem do rodzinnych Wadowic. Wylądował na boisku, udał się na rynek i wszedł do kościoła parafialnego, w którym 18 maja 1920 roku otrzymał na chrzcie imię Karol.

Wszędzie świętowano jego przyjazd: w Wadowicach, Kalwarii, Oświęcimiu, Nowym Targu. W tym ostatnim wzniesiono piękny ołtarz polowy, wyrzeźbiony przez jego ukochanych mieszkańców Podhala. Po mszy świętej papież objechał swoim pojazdem sektory. Dziesiątki tysięcy ludzi śpiewało mu rzewną piosenkę: „Góralu, czy ci nie żal…".

9 czerwca 1979, Warszawa

Dziś rano Ojciec Święty odprawił wraz z biskupem Ablewiczem mszę przy ołtarzu w Nowej Hucie, obok kościoła Cystersów. Papieżowi asystowali liczni hierarchowie z zagranicy, w tym kilku kardynałów, między innymi Alfred Bengsch z Berlina, Joseph Gray z Edynburga, Franz Koenig z Wiednia, Joseph Ratzinger z Monachium, Hyacinthe Thiandoum z Dakaru i Agostino Casaroli z Watykanu. Wierni powitali owacjami czeskiego prymasa kardynała Františka Tomáška i w ten sposób oddali mu hołd za bohaterską walkę w obronie Kościoła, szczególnie dotkliwie prześladowanego po stłumieniu Praskiej Wiosny.

W ciągu dnia papież odwiedził cmentarz Rakowicki w Krakowie, aby pomodlić się przy grobie rodziców. Po południu zaś spotkał się z redakcją „Tygodnika Powszechnego", najbardziej wyjątkowego, odważnego i uczciwego tygodnika katolickiego nie tylko w Polsce, ale w całym obozie socjalistycznym, jak również z pracownikami miesięcznika „Znak".

Może teraz czasopisma nie będą już miały tak wielkich problemów z zaopatrzeniem w papier?

10 czerwca 1979, Warszawa

Wczoraj wieczorem Jan Paweł II w wypełnionym po brzegi kościele Franciszkanów w Krakowie obejrzał oratorium poświęcone męczeństwu skłóconego z królem Świętego Stanisława. Po powrocie do swojej rezydencji – pałacu arcybiskupiego – ponownie przemówił z okna pokoju i pożegnał się z tłumem wiernych modlitwą *Anioł Pański*. Ludzie jednak nie chcieli się rozejść. W końcu o północy okno papieskie otworzyło się ponownie, ale Ojciec Święty już się w nim nie pojawił, puszczono tylko jego słowa z magnetofonu: papież zaprosił obecnych do wzięcia udziału w ostatniej, mającej się odbyć tego dnia, mszy na krakowskich Błoniach.

Polacy ze złamanym sercem żegnali Ojca Świętego na lotnisku w Balicach. Władza komunistyczna może odetchnąć, że wreszcie wyjechał. Doszło jednak do dwóch wydarzeń, a konkretnie dwóch pocałunków, które powinny dać jej do myślenia. Jeden z nich został złożony na papieskim pierścieniu i to nie przez byle kogo. Gdy Jan Paweł II żegnał się z ochroniarzami rządowymi i podawał im rękę, jeden z goryli nie mógł wytrzymać,

padł na kolana i ucałował dłoń papieża. Scenę tę mogliśmy zobaczyć w telewizyjnej transmisji na żywo. Myślę, że jej nie powtórzą, a w każdym razie nie w wieczornych wiadomościach i podsumowaniach wizyty. Mogę się też założyć, że nawrócony tajniak został natychmiast zwolniony. Być może wkrótce spotka go śmiertelny wypadek. Drugi pocałunek złożył sam Ojciec Święty. Gdy prymas Wyszyński odprowadzał go do samolotu, objęli się, a papież powiedział: „Żegnam Polskę, żegnam moją Ojczyznę". Potem ukląkł, nachylił się i ucałował ziemię.

Gest ochroniarza był wyraźnym sygnałem, że także wśród najbardziej zaufanych ludzi władzy zdarzają się słabe ogniwa. Przypomina się postać biblijnego łotra. A w papieskim pocałunku kryło się przesłanie: ta ziemia jest święta i należy do was, rodacy, nawet jeśli teraz czujecie się na niej jak więźniowie. Musicie jednak wytrwać, jestem z wami i Bóg jest z wami.

Kilka minut przed szóstą wieczorem samolot papieski odleciał do Rzymu. Wyłączyłem telewizor, by nie słuchać komentarzy. Chciałem jeszcze trochę poszybować w przestworzach.

Przez prawie godzinę gapiłem się przed siebie niewidzącym wzrokiem, rozpamiętując Tydzień Wolności.

Dochodziła ósma, gdy przypomniałem sobie, że dziś są moje urodziny. Jola we Włoszech, a oprócz niej prawie nikt tu nie wie, że zbliżyłem się o kolejny rok do trzydziestki. Nie miałem ochoty wznosić toastów w samotności. Mój wzrok padł na krucyfiks wiszący nad drzwiami. Napełniłem po kieliszku, dla siebie i Jezusa, zwróciłem się do Zbawiciela i poprosiłem Go, aby pozwolił dożyć końca tego nieszczęsnego systemu. Gdy brałem się za drugi kieliszek, by opróżnić go na chwałę Pana, Chrystus na krzyżu zdawał się do mnie uśmiechać.

Nigdy wcześniej nie odmawiałem modlitwy *Anioł Pański* przed snem. Od teraz zacznę.

21 czerwca 1979, Warszawa

Jestem po egzaminie wstępnym na studia, pisemnym i ustnym. Za tydzień, najpóźniej dziesięć dni, będę znał wyniki. Wszystko poszło dobrze, gdy minęła pierwsza trema, zabrałem się za rozwiązywanie zadań i na końcu sprawiało mi to nawet przyjemność. Byłem pewny siebie, zdecydowany i przygotowany. To samo na ustnym. Czułem się podobnie jak w zeszłym roku w Poznaniu na egzaminie z języka polskiego i literatury: wszyscy byli zadowoleni – i komisja, i ja. Dziekan Jerzy Koenig miał wyraźną ochotę wyściskać mnie na zakończenie.

25 czerwca 1979, Warszawa

Ákos miał rację: bolszewicy nie dają nic za darmo. Towarzysz attaché kulturalny próbował mnie zwerbować, na spotkaniu był obecny również sekretarz prasowy.

Znów byłem w ambasadzie zrobić prasówkę, a gdy skończyłem, towarzysz Hárs powiedział, że Pataki chciałby ze mną porozmawiać i przeszliśmy do małej sali konferencyjnej. Przyszedł Pataki, kazał przynieść kawę, po czym wyciągnął na stół pudełko papierosów z panoramą Budapesztu i napełnił nam kieliszki koniakiem „Budafok". Następnie zaczął gadać, wyraźnie krążąc wokół meritum sprawy – jak kot wokół gorącej kaszy. Mówił o tym, że słyszał o mnie wiele dobrego, że mam wielki talent, czeka mnie świetlana przyszłość i tym podobne. Ponoć łatwo nawiązuję kontakty, świetnie piszę i umiem zdobywać zaufanie ludzi, a do tego dałem się poznać jako człowiek ciekawy świata. Nawiązałem dużo znajomości i jestem dobrze zorientowany. Najwyraźniej miał niezłych informatorów, bo wiedział o mnie całkiem sporo, w niektórych sprawach aż za dużo. Na przykład, że Jola pracuje za granicą i wyjechała tam z zespołem baletowym. Wymienił też nazwiska członków węgierskiego związku pisarzy, którym organizowałem spotkania z Andrzejewskim, Brandysem, Konwickim i innymi intelektualistami opozycyjnymi. Następnie przeszedł do sedna. Twierdził, że niebezpiecznie sobie pogrywam, ale z drugiej strony można by jakoś wykorzystać moje znajomości dla dobra ojczyzny. Wyjaśnił pokrótce, o co chodzi. Oni, zawodowi dyplomaci, nie mają dostępu do środowisk, w których ja, jak widzą, poruszam się swobodnie. Dzięki temu mam dostęp do informacji, które mogą być ważne także dla Węgrów. Zbieranie ich i regularne przekazywanie ambasadzie byłoby więc w gruncie rzeczy przejawem patriotyzmu. Odbywałoby się czasem w formie rozmowy, innym razem pisemnie. Poza tym nie byłaby to tylko praca dla idei, ale mógłbym też liczyć na wynagrodzenie. W końcu zapytał, co o tym sądzę.

Nie dałem tego po sobie poznać, ale oblał mnie zimny pot. Proponowali mi rolę kapusia! W żadnych okolicznościach nie zgodziłbym się na tego typu zdradziecką działalność, ale nie wiedziałem, jakie będą konsekwencje odmowy. A przecież musiałem im odmówić…

Przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie zgrywać idiotę. Przyznałem, że jestem otwartą, ciekawą świata osobą, ale też strasznym gadułą, do tego ekstrawertykiem, który nie umie dochować tajemnicy i nawet przez sen potrafię coś wypaplać, wystarczy zapytać mojej żony. Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy, oferowane mi zadanie to bardzo odpowiedzialna praca, ponieważ to, co powiem, może wpływać na życie innych ludzi. Ja zaś nie tylko w tej konkretnej sprawie, ale ogólnie nie czuję się zbyt dojrzałym człowiekiem.

Zapytali, czy to znaczy, że odmawiam.

– Tak.

– Cóż, trudno, jak nie, to nie. – Wymienili się spojrzeniami. – Szkoda.

Wyciągnęli jakiś papier z leżącej przed nimi teczki. Był to formularz podbity pieczęcią. Tekst: „Ja, niżej podpisany, niniejszym się zobowiązuję do zachowania w tajemnicy treści spotkania związanego z bezpieczeństwem państwa. Miejsce, data. W przeciwnym wypadku zgodnie z paragrafem, ustępem (tu następował ciąg cyfr, liter i kodów) może być na mnie nałożona kara. (Miejsce na pieczątkę i podpis)". Towarzysz Pataki podsunął mi kartkę i poprosił, bym potwierdził pisemnie, że zapoznałem się z treścią dokumentu.

Teraz byłem już naprawdę spocony. Podpisać? Im? Cokolwiek? Mowy nie ma! Diabli wiedzą, do czego to potem wykorzystają. I co kryje się za tymi wszystkimi złowieszczymi paragrafami!

Odmówiłem. Powiedziałem, że niczego nie podpiszę. Z przyjemnością zapomnę o treści naszej rozmowy, ale podpisać nie mogę. Zmarszczyli brwi, znów wymienili spojrzenia, po czym wzruszyli ramionami. W porządku. Jak nie, to nie, ale spotkanie mam tak czy owak traktować jako poufne. Jakby się nigdy nie odbyło. Bo jeśli pisnę choć słowo, czekają mnie poważne konsekwencje. Gdybym jednak zmienił zdanie, ich drzwi są zawsze otwarte…

Nie mogłem się doczekać, aż będę mógł wyjść z ambasady. Nie sądzę, by jeszcze kiedykolwiek powierzyli mi jakąś pracę. Ákos musi znaleźć innego człowieka do robienia prasówki, jeśli Karcsi nie będzie miał czasu.

Rany! Skąd ten facet tyle o mnie wiedział? Przecież nigdy mu o sobie nie opowiadałem, nie byliśmy w tak bliskich relacjach. Nawet maszynistki, której dyktowałem teksty przeglądu, nie wtajemniczałem w swoje sprawy. Ákos i Karcsi wiedzą o mnie prawie wszystko, ale czy mogę ich o cokolwiek podejrzewać? Bzdury! Już prędzej któryś z członków delegacji pisarzy doniósł, kogo gdzie zabrałem, z kim rozmawiałem. Któryś z gości mógł mnie poprosić, bym mu coś pokazał, kogoś przedstawił, a potem opowiedział o tym publicznie i tym sposobem mnie wydał. A może wśród Polaków są informatorzy, którzy raportują władzom polskim, te zaś przekazują sprawy dalej. Albo jedno i drugie. Ale kim ja właściwie dla nich jestem? Nikim! Czy to możliwe, by poświęcali mi aż tyle uwagi? Nie sądzę. Pozostaje jednak fakt, że wiedzą o mnie zdumiewająco dużo. Czy mi się to podoba, czy nie, muszę postępować ostrożniej.

30 czerwca 1979, Warszawa

Wczoraj dzwoniłem do PWST, żeby zapytać o wyniki egzaminu. Na dziś zapowiedzieli ich ogłoszenie. Usłyszałem, że jeśli się niecierpliwię, mogę przyjść na uczelnię, gdzie wywieszono już listę, albo poczekać na zawiadomienie listowne.

Oczywiście, że poszedłem! Spojrzałem na przeszkloną tablicę. Znajdował się na niej spis nazwisk. Po lewej przyjęci na studia, po prawej ci, którym się nie udało. Przestudiowałem obie listy pięciokrotnie, za każdym razem wolniej i z większą uwagą, ale na żadnej nie znalazłem swojego nazwiska. O co chodzi?! Przypomniał mi się stary sprośny dowcip, w którym chłopak pyta dziewczynę, czy jest już w środku, a gdy ta odpowiada, że nie, chłopak mówi: „Dziwne, na zewnątrz też nie…".

Poszedłem do sekretariatu. Pani za biurkiem była bardzo miła, wykręciła numer na tarczy telefonu, po czym zaczęła z kimś rozmawiać urwanymi zdaniami. W końcu się rozłączyła i poprosiła, bym pofatygował się na górę. Dziekan Koenig na mnie czeka.

A niech to – *déjà vu*! Dziekani bywali dla mnie życzliwi, ale ostatecznie nic z tej ich dobroci nie wynikało, przeważnie z przyczyn od nich niezależnych. Podobnie było i tym razem.

Okazało się, że mój wniosek o przyjęcie na studia rozpatrywano osobno. Pan Koenig otworzył wyciągniętą z szuflady teczkę. Nie przypadkiem wybrano go na dziekana akademii teatralnej, wszystkie gesty wykonywał z ekspresją zawodowego aktora. Wyjął z pliku dokumentów kartkę i pokazał mi ją. Była to rekomendacja podpisana przez towarzysza Patakiego i opatrzona pieczęcią ambasady.

– Załączył to pan do swojego podania, prawda? – Spoglądał na mnie zza szkieł okularów.

– Tak…

– Pięć dni temu szofer ambasady przywiózł nam to… – Wręczył mi inny, podobny dokument, z tym samym podpisem i pieczątką. Tyle że treść była całkiem inna. Wycofano wcześniejszą zgodę, a moje plany studyjne określono jako „niezgodne z interesem Węgierskiej Republiki Ludowej".

– Nie chcę pana indagować, ale ciekawi mnie, co takiego się stało. – Pan Koenig nachylił się nieco nad biurkiem. Przyszło mi na myśl, że to chwila prawdy! Powiem mu, a jeśli informacja trafi z powrotem do służb węgierskich, przynajmniej o jednym człowieku będę wiedział z pewnością, że jest konfidentem.

– Próbowali mnie zwerbować, ale odmówiłem – odparłem krótko.

W spojrzeniu dziekana dostrzegłem błysk.

– Rozumiem – powiedział wolno i cicho. – Tym bardziej mi żal, że nie mogę pana przyjąć… Niech to szlag!

Zamyślił się na chwilę, przetarł okulary, westchnął, odchrząknął, a potem poprosił o zwrot obu dokumentów.

– Proszę mnie posłuchać, mogę mieć kłopoty, jeśli opowie pan komuś o naszej rozmowie. Nie powinienem pokazywać panu drugiej „rekomendacji". Ale i pan był ze mną szczery. Więc wiąże nas pewien układ.

Stary, przebiegły dramaturg! Cóż, miał rację: jeśli wygada komuś, że cofnięto mi zgodę z powodu odmowy współpracy z bezpieką, wpadnę w tarapaty, podobnie jak on, gdybym to ja zaczął rozpowiadać, że pokazał mi poufny dokument. Musimy zatem kryć jeden drugiego.

Tyle w temacie studiów. Chrzanić uniwersytety! Istnieje mnóstwo świetnych kursów językowych, co dwa lata będę się zapisywać na jeden z nich, a po dziesięciu będę mówił siedmioma, wy sukinsyny! Albo spakuję się i wyjadę z baraku „demokracji ludowych". Daleko! Do Kanady, Australii albo Nowej Zelandii, żeby nigdy w życiu już was nie oglądać!

1 lipca 1979, Warszawa

Nowele minutowe
(Hommage à Örkény)

Gest

– Ma pan ogień? – zapytał opartego o mur chłopaka.

– Nie palę – odpowiedział tamten, zaciągając się mocno papierosem.

– Przepraszam… – Ukłonił się i zniknął w ulicznym tłumie.

• • •

Dyscyplina

Miał wyjątkowo posłusznego psa.

– Do nogi! – rozkazał. Pies, prężąc brzuch, przywarł do łydki swojego pana.

– Siedzieć! – Pies warował jak przyklejony do ziemi.

Z zadowoleniem spojrzał na wiernego towarzysza, a potem zrobił krok, wprost pod koła nadjeżdżającego ekspresu.

• • •

Porządek

Sekretarz na krześle każdego z uczestników posiedzenia położył czubkiem do góry pinezkę. Zebrani spojrzeli na ascetyczną, nieznoszącą sprzeciwu twarz sekretarza, po czym zajęli swoje miejsca z cichym westchnieniem. Jedynie podsekretarz stał skonfundowany. W reakcji na gromiące spojrzenie sekretarza rozłożył nieśmiało ramiona i z rumieńcem wstydu na twarzy powiedział:

– Przepraszam, ale na moim krześle nic nie ma…

Sekretarz zmroził wzrokiem stojącego w drzwiach woźnego. Ten drżącą ręką wyjął z małego pudełka pinezkę i położył ją na krześle podsekretarza.

– Dziękuję – wydukał tamten i ze spuszczonym spojrzeniem usiadł na swoim miejscu.

Sekretarz kiwnął głową, wyciągnął elegancki notes w skórzanej oprawie i wpisał nazwisko podsekretarza na listę osób do odznaczenia, woźnego zaś dodał do spisu zasługujących na naganę.

• • •

Nauka

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Matki! – Dziecko musnęło wargami probówkę, a następnie umieściło w niej bukiet kwiatów.

• • •

Hobby

– Pluton… baaa-czność!

Obcasy uderzyły o siebie z donośnym hukiem.

– Ładuj broooń!

Raz-dwa i z dokładnością zegarka tuzin kul trafił do magazynku.

– Na ramię… broooń! – wykrzykiwał dalej oficer. – Cel: skazany! Baczność! Ognia!…

– Chwileczkę – wtrącił się prokurator.

Oficer spojrzał na niego pytająco, po czym opuścił szablę.

– Co się stało?

– Choleha – mruknął, grasejując, prokurator i zaczął dłubać w aparacie – znów mi się zaciął ten cholehny film!

W ciszy podwórza rozległ się metaliczny dźwięk naprawionego suwaka.

– Phoszę kontynuować! – powiedział prokurator i przystawił aparat do twarzy.

• • •

Katharsis

– Najwyższy czas oczyścić się duchowo i cieleśnie – powiedział, po czym, mrucząc słowa modlitwy, schował się w bębnie pralki automatycznej.

• • •

Władza

– W moim państwie panuje taka zgoda – chwalił się dyktator – a ludzie tak bardzo się kochają, że sam muszę sobie pluć do zupy!

• • •

Przysłowie (1)

X wykopał temu drugiemu dołek. Kiedy skończył, na dnie zrobił jeszcze małą jamkę i włożył do niej młotek i kilka żelaznych palików. Następnie zasypał je starannie ziemią, a spód dołka wyścielił miękkimi poduszkami. Myślał następująco:

– Jeśli wpadnie ten drugi, w porządku, zdechnie tu sam. Jeśli jednak, jak mówi przysłowie, to ja wpadnę, to po pierwsze – nie uderzę się, a po drugie – bez trudu wygramolę się na górę.

• • •

Przysłowie (2)

Y nie znosił swojego współlokatora i jego kocura, zwłaszcza zaś śmierdzących odchodów i nocnych koncertów w okresie godowym. Pewnego dnia zwierzę zdechło.

– Co mi z tego, że kocur kopnął w kalendarz – złościł się Y – skoro jego pan żyje i ma się świetnie?!

Pan Bóg, który zamierzał właśnie postawić krzyżyk na współlokatorze, pokręcił tylko głową, a ołówek w jego dłoni zadrżał. Od tamtego czasu współlokatorowi dopisuje zdrowie, a niedawno sprawił sobie kociaka.

Kto nie umie się cieszyć z małych rzeczy…

5 lipca 1979, Warszawa

Czytałem w „Expressie Wieczornym", że pewien dziany gość wyciągnął z banku wszystkie oszczędności, zapakował dolary do aktówki i wstąpił do baru na jednego. Pech chciał, że facet do wieczora upił się jak prosię. Pieniądze wprawdzie leżały w teczce nieruszone, ale w drodze do domu mężczyzna dostał zawału, upadł i leżał jakiś czas w krzakach. Człowiek, który go znalazł, najpierw ogołocił biedaka z forsy, a dopiero

potem poszedł do najbliższej budki telefonicznej i wezwał pogotowie. Nieszczęśnik przeżył, ale majątek przepadł jak kamień w wodę.

Gorki napisał gdzieś o Czechowie, że przed nim nikt nie potrafił opisać, co napędza człowieka na tym Bożym świecie. „Zmagają się w nas dwa przeciwstawne dążenia – do bycia lepszym i do lepszego życia. Harmonijne połączenie tych dwóch tendencji jest niemożliwe".

Czego dowodzi opisana powyżej historia.

31 lipca 1979, Warszawa

Powieść Josepha Hellera *Paragraf 22* przeczytałem w trzech językach. W oryginale to arcydzieło. W węgierskim tłumaczeniu również. Po polsku – ze względu na kiepski przekład – brzmi przeciętnie.

To być może jedyna szczerze napisana książka o drugiej wojnie światowej. W końcu Yossarian jest zwyczajnym tchórzem, boi się i ma w nosie hasła na temat ojczyzny, bohaterstwa, chwały, gdy przychodzi się zmierzyć ze śmiercią. Trzęsie się o własne życie jak ostatni siuśmajtek. Jeść, pić, bzykać – to jedyne, co ma dla niego sens. Innymi słowy, chce żyć i za wszelką cenę uniknąć udziału w wojnie.

Jest mięczakiem. Czego właściwie szuka w Europie jako żołnierz? Przyjechać na wycieczkę, zwiedzać – proszę bardzo. Ale ryzykować życie dla spraw całkowicie obcych i niezrozumiałych? Co to, to nie.

Jego tchórzostwo ma w sobie coś sympatycznego. Widzi, że z wyjątkiem chorych psychicznie wszyscy wokół mają pełne majtki. Nikt się jednak nie przyznaje, ludzie kręcą, zwodzą, a niektórzy nawet zbijają kapitał na własnym lęku. On nie: rozbrajająco szczerze wyznaje swój strach.

Przy tym bycie tchórzem nie jest wdzięcznym tematem w literaturze o drugiej wojnie światowej. W większości dzieł na ten temat ludzie lękliwi giną z jakąś przedziwną prawidłowością. Wydaje się, że przywilej przetrwania piekła należał tylko do postaci z marmuru. A opiewani bohaterowie, którym przecież także zdarzały się chwile słabości, nie lubią, gdy ktoś o tym wspomina.

Jednym z moich ulubionych „sztandarowych" bohaterów jest niezłomny partyzant komunista. Wysłany w trudną misję, bez mrugnięcia okiem znosi tortury gestapowskie, a „w jego spojrzeniu czai się wiara w lepszą przyszłość". Akurat. Także ci, z których nie udało się nic wydusić, bali się jak cholera. Na myśl o bólu fizycznym wpadali w tak wielkie przerażenie, że tracili zmysły, jeszcze zanim cokolwiek można było z nich wyciągnąć. Schwytani, mogli stać się bohaterami niezłomnymi tylko po osiągnięciu tego stanu. Ich oczy zalewały krew i łzy, nie było w nich nadziei na lepsze jutro. Do głowy by im nie przyszło postąpić heroicznie – zmusiła ich do tego sytuacja. Nawet w umyśle szaleńca pojawia się przebłysk rozsądku. A ten nakazuje uciekać, przeżyć za wszelką cenę. Nie mówię, że dotyczy to wszystkich, ale większości przypadków. Ach, ilu ludzi byłoby gotowych zdradzić, gdyby w nagrodę ktoś zapewnił im wolność! Oni jednak nie mieli na nią szans,

wiedzieli o tym i dlatego nie dali się złamać. Sypanie kolegów nie miało sensu, bo śmierć i tak była nieuchronna. Lepiej więc było umrzeć z godnością obłąkańca. Cała reszta to ckliwe bajeczki. Wielka w tym zasługa Hellera, że oszczędził nam salonowych legend.

Najwyższy czas, by także w Europie opisano wreszcie historię drugiej wojny światowej bez upiększeń i kokieterii. Dopóki tak się nie stanie, zostaje nam *Paragraf 22*. Nieoceniona książka.

2 sierpnia 1979, Warszawa

Tola, redaktor rosyjskiej wersji czasopisma „Polska", przyniósł dziś do biura Ákosa flaszkę wódki. Cóż, panowie pociągają sobie także w pracy… Karcsi miał pecha: przytaszczył z Sezamu sześć litrów mazowszanki i oranżadę, które chciał zabrać do domu, ale szybko opędzlowaliśmy jego zakupy jako przepitkę. Podkradliśmy mu też kiszone ogórki, bo wymagała tego urządzona *ad hoc* libacja. Postanowiliśmy, że wszystko odkupimy.

Tola, który uparcie nazywa siebie petersburskim Rosjaninem, to szatan wcielony, ktoś w rodzaju Iwana Gorczewa[17]: może grać na pianinie, może też wlać w siebie cysternę wódki i trzymać pion, a potem adorować z subtelnym wdziękiem kobiety. Taką ma naturę, że gdziekolwiek się zjawi, w kilka sekund zamienia się w duszę towarzystwa.

Zabawiał nas dziś sprośnymi piosenkami. Najpierw po rosyjsku, następnie po polsku. My zaś, z przekrwionymi oczami, odurzeni wódką, zaczęliśmy je tłumaczyć na węgierski.

Oto kilka przykładów:

Pieśń budowniczych Kolei Bajkalsko-Amurskiej

Szyny kładzie ma brygada,
przyjedź mała, będziesz rada!
Póki pociąg nie zagwizda,
niech uciechę ma twa pizda!

Wersja pierwsza:

Jöjj el hozzám, gyöngyvirágom,
síneket rak a brigádom!
Míg a mozdony föl nem füttyent,
Dákónk téged jól megprüttyent!

[17] Bohater powieści Jenő Rejtő, *A tizennégy karátos autó* [*14-karatowe auto*], potomek rosyjskich emigrantów, niepoprawny awanturnik i hazardzista. Zakochany w córce francuskiego ministra, natychmiast się jej oświadcza. Młoda dama się zgadza, jednak ojciec stawia Iwanowi warunek: wyrazi zgodę na małżeństwo dopiero po odbyciu służby w Legii Cudzoziemskiej. Ma nadzieję, że jakiś zbłąkany pocisk dogoni niechcianego narzeczonego w piaskach Sahary i problem zniknie sam. Nie wie, że tego bezczelnego i upartego Rosjanina nie da się pozbyć – Iwan Gorczew ani nie płonie w ogniu, ani nie tonie w wodzie… (przyp. red.).

Wersja druga:

Síneket rak a brigádom,
jer hát, lelkem, alig várom!
Jár a mozdony dugattyúja,
mint pinádban dákónk rúdja!

Komsomolskie współzawodnictwo pracy

Niech ta hala brzęczy,
Jak wściekły pszczeli rój!
A my na to wszystko
kładziem taki chuj!

Dohoghatnak gyárak,
zúghat műhelycsarnok,
lófasznál egyebet
tőlünk úgysem kaptok!

Na pierwszego maja

Na fladze godło jak znamię,
Wielki młot i sierpa ramię,
Oraj albo metal kuj,
Będzie za to tylko chuj!

Fenn a zászlón országcímer,
pöröllyel, sarlóval ível,
légy bár munkás avagy paraszt,
így is, úgy is csak lófaszt kapsz!

Po jakimś czasie odezwała się w nas duma węgierska i poczuliśmy, że wypada odwdzięczyć się kilkoma rodzimymi pieśniami. Odtwarzam z pamięci przekład dwóch z nich:

Átbaszták a szart a kerítésen,
Megbaszták a hites feleségem,
Ha még egyszer meg tudják csinálni,
Le hagyom a faszom amputálni!

Ktoś wyjebał moją żonę ślubną,
Na podwórku śmierdzi obce gówno,

Jeśli ktoś to powtórzy raz jeszcze,
Kutasa dam amputować, wierzcie!

Oraz:

Nem eszik a pina lencsét,
Se barackot, se cseresznyét,
Hússal él az, mint a kánya,
Hol megeszi, hol kihányja!

Nie je pizda soczewicy
Ni moreli, ni czereśni,
Mięsem żywi się jak kania,
Raz wypluwa, raz pochłania!

Znów dostaliśmy do przełożenia na wszystkie języki jakieś żałosne przemówienie Breżniewa. Nie ma w nim choćby kropki czy przecinka, z którymi moglibyśmy się zgodzić, a jednak musimy tłumaczyć, bo to nasza praca. Przygotowaliśmy się do niej, tworząc cytowane powyżej wiersze.

Zanim rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, Tola zapytał na odchodnym:

– Wiecie, panowie, jak można wytrzymać życie w tym systemie?

Uśmiechnęliśmy się, wzruszając ramionami.

– Przywyknąć albo dać się wydymać!

Tej zasady się trzymamy. Przyszła mi do głowy jeszcze jedna rodzima „mądrość", wedle której inteligent węgierski ma do wyboru dwie drogi: jedną jest alkoholizm, a druga wiedzie donikąd…

12 sierpnia 1979, Stegna

Nie byłem jako turysta na polskim wybrzeżu od 1971 roku. Owszem, przy okazji tłumaczeń dla różnych delegacji miałem okazję rzucić okiem na Bałtyk, ale że tego typu fuchy trafiają się prawie wyłącznie od jesieni do wiosny, na ogół pojawiałem się tu w grubym płaszczu. Dzięki Piotrkowi Waślickiemu, który pożyczył mi na tydzień malucha – w zamian za wykonanie lub opłacenie paru małych reparacji – mogłem wyjechać na krótki urlop bez żadnych zobowiązań.

Stegna to mała urocza dziura. Pełna starych budynków, willi, domów letniskowych dawna spokojna wioska rybacka wyraźnie przekształca się w kurort. Gdyby nie rozpanoszył się tu socjalizm, byłaby jak szkatułka na klejnoty. Wciąż można tu zobaczyć wiele chałup z murem pruskim, to znaczy konstrukcji o drewnianym szkielecie, wypełnionym białym budulcem. Taki jest też kościół, sklasyfikowany jako zabytek i wykonany z czarnych belek przetykanych cegłą klinkierową. Naprzeciw stoi plebania. Proboszcz to wysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku, ma sporego wilczura z szarą sierścią, na szczęście sukę, więc po paru minutach znajomości oba psy, Money i ona, puściły

się w przyjacielską pogoń. Ksiądz zaprowadził mnie na kwaterę. Mieszkam u miłego starszego małżeństwa w małej „kawalerce" na tyłach domu, pokoik ma na oko piętnaście metrów. Prysznic, WC, aneks kuchenny. Wyposażony w zużyte, przypadkowo pozbierane meble, ale czysty. I co ważne, nie mają nic przeciwko mojemu pieskowi. Dowiedziałem się, że gospodarz jest emerytowanym kolejarzem, byłym maszynistą lokalnej kolejki wąskotorowej. Od razu sugerował mi, że warto się przejechać w otwartym wagonie pociągu do Nowego Dworu Gdańskiego, Sztutowa albo Mikoszewa. Ja jednak nie myślę teraz o żadnych wycieczkach, cieszę się na myśl, że pobędę sam. Nie zamierzam przez kolejny dzień czy dwa kontaktować się ze znajomymi prawnikami i artystami, którzy imprezują tu od rana do nocy, więc nie orientowałem się nawet, gdzie jest ich ośrodek. Lubię chodzić własnymi ścieżkami – dlatego ucieszył mnie adres parafii, który dostałem od kolegi z zupełnie innych kręgów. Jeśli będę chciał się pointegrować, znajdę ich.

Rozpakowałem się i przebrałem się z ciuchów cywilnych w swój mundur amerykański, głównie ze względu na jego „lekki krój", założyłem koszulę khaki z krótkimi rękawami, podwinąłem nogawki spodni treningowych z licznymi kieszeniami, na bose stopy wsunąłem szwedzkie chodaki, na ramię zarzuciłem torbę fotograficzną i ruszyłem na plażę.

Musiałem przejść prawie dwa kilometry lasem sosnowym zastygłym w wydmach. Rezerwat przyrody – ostrzeżenie zaznaczone w kilku miejscach białymi pasami na czerwonym tle. Money dostał fisia z radości, tak bardzo nowe było to dla niego doświadczenie, patrzyłem, jak analizuje niesione przez wiatr zapachy z nosem uniesionym wysoko niczym prawdziwy pointer. Z tego podniecenia zapomniał przeczytać wiadomości zostawione na pniach drzew, kompletnie zapamiętał się w jodowej bryzie morskiej unoszącej się w powietrzu w ciepłe letnie popołudnie.

Dotarliśmy do pokrytej niemal białym piaskiem, szerokiej i ciągnącej się daleko w obie strony plaży. Ludzi prawie żadnych, choć pogoda ciepła. Nie powiem, żeby mi ich brakowało. Falująca woda migała turkusowo, fale lizały brzeg spienionymi grzbietami. Na horyzoncie majaczyło kilka statków, na mocno błękitnym niebie kołysały się białe obłoki. „Ach, niebieskości, chwało, światłości, gwiaździsta nieba dziedzino… Cuda rodząca, statki niosąca, bezmierna morska dolino…" – przypomniały mi się strofy Balassiego utrwalone na papierze w pobliskim Braniewie, gdy poetę olśnił widok podobny do tego, który miałem przed sobą.

Money też był pod wrażeniem: nigdy wcześniej nie widział tak ogromnej wody. Do tego uwielbia pływać. Wszystkie komórki jego ciała drżały z podniecenia, nos poruszał się jak u królika, pies unosił do góry wielkie płatki uszu i spoglądał na mnie spod pomarszczonego czoła. „Mogę podejść i obejrzeć z bliska?" – nie było trudno rozszyfrować mowy jego ruchów. Dałem mu znak przyzwolenia. Pies skoczył w stronę brzegu dzikim galopem i z miejsca dał nura do wody. Spiętrzone fale traktował jak przeszkody do pokonania i skakał ponad nimi wysokimi susami. Zanurzył się aż po brzuch, a potem stanął z wywalonym jęzorem, spojrzał na mnie, dysząc, zanurzył nos w wodzie i zaczął chłeptać. Nie widziałem go nigdy jedzącego cytrynę, ale wyobrażam sobie, że mógłby wyglądać

podobnie. Z mordą wykrzywioną w kwaśnym grymasie wypluł wodę, krztusił się, kasłał i prychał, gapiąc się w morze zdezorientowany. W końcu zamrugał do mnie desperacko, ja zaś w tym czasie brodziłem już po kostki w wodzie. Jego pysk zdawał się mówić: „Zaraz, zaraz, jak to możliwe? Taka piękna i tak strasznie gorzka?! Zrób coś z tym!".

Uśmiechnąłem się do biednego pieska, pokiwałem głową, próbując go pocieszyć. Byłem na siebie zły, że nie przygotowałem się na tę scenę. Jakie cudowne zdjęcia można by mu zrobić! Mówi się trudno. Nie chciałbym, żeby Money znienawidził morze, więc zrzuciłem z siebie ubranie, chwyciłem pływający patyk i bohatersko wlazłem do wody, która mogła mieć siedemnaście–osiemnaście stopni. Pies zdążył się już zorientować, że morze nie nadaje się do picia, za to świetnie da się w nim pływać, aportował więc z radością rzucany mu kawałek drewna. Mnie wystarczyło dziesięć minut w Bałtyku, jemu najwyraźniej potrzeba było więcej czasu. Podczas gdy ja co rusz wychodziłem na brzeg, on brodził w gorzkiej, zimnej zupie, niuchał wyrzucone na brzeg odpadki, wodorosty, małże, glony, martwe ryby. Pomyślałem, że można by go nauczyć szukania bursztynów…

Zauważyłem przy plaży coś w rodzaju bufetu, a przy nim tłumek ludzi. Czas wracać. Wcześniej jednak kupiłem wodę mineralną, a ponieważ mieli tylko gazowaną, musiałem najpierw wytrząść bąbelki ze sporej wielkości kubka, żeby dać się napić także Moneyowi. Na początku był nieufny, ale w końcu wybębnił całą zawartość.

Przez niemal godzinę szukałem miejsca, w którym wyszliśmy z lasu sosnowego na wydmach. W końcu to pies wskazał mi drogę. Przyglądałem się kilku identycznym ścieżkom prowadzącym do brzegu, aż w końcu to on zatrzymał się przy jednej z nich, zarył nosem w piasek, a potem jak ciągnięty na sznurku ruszył pewnie między drzewa. Oglądał się jakby od niechcenia, czy idę za nim. Oczywiście to była właściwa ścieżka, jego węch okazał się bezbłędny.

Wczesną kolację zjedliśmy w domu. Money położył się na trawie w ogrodzie i natychmiast zasnął. Biedak był wyraźnie zmęczony. Nie tyle może zabawą na plaży czy kąpielą, ile sześciogodzinną jazdą warkoczącym fiatem Waślickiego. Ja zresztą też nie czułem się jak świeżynka. Rozłożyłem więc oparty o ścianę leżak, postawiłem obok niego wypłowiały taboret z popękaną farbą, na nim zaś umieściłem papierosy, popielniczkę i kupiony w peweksie koniak „Napoleon" i zabrałem się za lekturę nowej książki Tadeusza Konwickiego, wydanej przez podziemną Niezależną Oficynę Wydawniczą.

Po pierwszych dwudziestu stronach odłożyłem jednak skądinąd świetnie się zapowiadającą *Małą Apokalipsę* i obiecałem sobie, że nie będę jej czytać na urlopie. Byłem w zbyt dobrym nastroju, żeby wracać do szarej i frustrującej rzeczywistości. Do świata upokarzających kolejek i braku perspektyw na przyszłość. Jeszcze w trakcie pobieżnego kartkowania zwróciła moją uwagę dygresja na temat Romualda Traugutta, przywódcy powstania styczniowego 1863 roku. Trzeba wiedzieć, że od pierwszej chwili insurekcji każdy zdrowo myślący człowiek miał świadomość, iż w danej sytuacji politycznej rzucanie się na rosyjskiego niedźwiedzia jest przedsięwzięciem beznadziejnym. Także Traugutt nie miał co do tego złudzeń. „Nie wiem, czy to ma sens. Ale wiem też, że nie mamy innego wyjścia" – oświadczył i ruszył do boju. Istnieje granica, po której

przekroczeniu trzeba zabrać głos i działać, w przeciwnym wypadku bowiem naród przestanie istnieć. Musimy ponosić ofiary, bo to też daje nam siłę, nie tylko zwycięstwo. Należy wysłać jasny komunikat do narodu, ale również do okupantów i ich namiestników oraz płatnych zdrajców. Dlatego też wydarzenia w Berlinie w 1953 roku, podobnie jak rewolucja węgierska z 1956 roku czy Praska Wiosna, miały swój sens. Zastanawiam się, kiedy w Polsce nadejdzie moment, gdy ludzie powiedzą: „Nie mamy innego wyjścia"?

Postanowiłem dać sobie spokój z podobnymi myślami w obawie, że sięgnę z powrotem po książkę. Tymczasem mam też inną lekturę. Podręcznik sternika żeglarskiego. Zacząłem czytać, ale szybko zmorzył mnie sen. Trudno, odpoczywać też trzeba umieć…

Obudziłem się cały zmarznięty. Słońce już prawie zaszło i w cieniu lasu sosnowego zrobiło się dość chłodno. Moją skórę pokrywał biały proszek – sól morska. Prysznic i mycie zębów odłożyłem na rano. Przywołałem pieska i poszliśmy spać!

8 września 1979, Warszawa

Sobota. Nie ma wody. To znaczy zimna jak cię mogę, ale kran z ciepłą suchy i krztusi się dychawicznie. Trwa wielka ludowa kąpiel. Polska się myje.

Budapeszt, bulwar Muzeum 3, piąte piętro, drugie drzwi. Pokój, kuchnia, łazienka, garderoba. Żeliwny piec obłożony muskowitem. Obok, w koszyku, paczki cuchnących olejem gazowym podpałek „Tüker", trociny ze śladami mazutu w woskowanym papierze i cynowy, obły pojemnik na węgiel z uchwytem u góry, w środku łopatka i pogrzebacz. W łazience stał piecyk, na dole – żeliwna komora spalania, nad nią miedziany cylinder, w którym podgrzewało się wodę. Długa na dwa metry, szeroka i wysoka emaliowana wanna z nóżkami w kształcie lwich pazurów. Z cylindra wystawał porcelanowy kran, a nad nim – zakrzywiona główka prysznica. Białe kafelki na ścianie przedstawiały wymalowane na niebiesko sceny rodzajowe. W środy i soboty stary podgrzewał bojler, rodzina kąpała się dwa razy w tygodniu. Najpierw ja z moim bratem, potem mama, a na końcu ojciec. Przeważnie w tej samej wodzie. Gdy wyciągaliśmy korek, spływająca ciecz miała barwę szarozieloną.

Ledwo pamiętam tamte czasy. Miałem dziewięć lat, kiedy przeprowadziliśmy się na ulicę Belojanisa. „Dawna Zoltána" – dodawał mój ojciec, gdy ktoś pytał o nowy adres. W pobliżu znajdował się były Dom Partii z ery Rákosiego[18]. W okolicy kwaterowano

[18] Mátyás Rákosi (1892—1971) – komunistyczny polityk węgierski, w latach 1945–1956 sekretarz generalny Węgierskiej Partii Pracujących, w latach 1952–1953 premier Węgier. W czasie II wojny światowej deportowany do ZSRS, gdzie współprowadził akcję uświadamiającą wśród żołnierzy węgierskich. W 1947 r. swoimi działaniami eliminującymi opozycję (tzw. taktyka salami) doprowadził do oddania władzy na Węgrzech komunistom. Skupił w swoich rękach pełnię władzy. Wprowadził represje wobec ludzi niesprzyjających reżimowi komunistycznemu, które wyrażały się aresztowaniami na ogromną skalę obywateli węgierskich. Terror, który zaprowadził na Wegrzech, nie podobał się Chruszczowowi. Pretekstem do pozbawienia władzy było żydowskie pochodzenie Rákosiego. Znienawidzony przez Węgrów, po wkroczeniu Armii Czerwonej na Węgry zbiegł do ZSRS, gdzie pozostał do końca życia.

wtedy wyłącznie tajniaków, lecz po tym, jak główni dygnitarze przenieśli się do „Białego Domu" na placu Mari Jászai, a ich mieszkania opustoszały, pozwolono się w ten rewir twardogłowych bolszewików przeprowadzić także innym elementom. Moja biedna matka na próżno tłumaczyła w listach siostrze, dysydentce w Ameryce, że ojciec nie wstąpił do partii, nie został funkcjonariuszem – ciocia Zsuzsa raz wierzyła jej na słowo, innym znów razem powątpiewała: opuszczała kraj w przekonaniu, że nieuprzywilejowany człowiek nie mieszka w tej okolicy. Nasze lokum przy Belojanisa miało duży pokój od ulicy, obszerny hall, korytarz, łazienkę, służbówkę, kuchnię i spiżarnię, łącznie siedemdziesiąt sześć trudno ustawnych metrów kwadratowych. Iście ortopedyczna struktura mieszkania wzięła się stąd, że pierwotnie, wraz z sąsiednim, dwukrotnie większym, tworzyło ono jedność, klasyczny mieszczański przybytek o powierzchni stu czterdziestu metrów.

Ale nie o tym chciałem pisać. W nowym miejscu zamiast pieca żeliwnego znajdował się piec kaflowy. W służbówce, która stała się królestwem moim i brata, stała mała czarna koza, a w łazience był tradycyjny piecyk. Kąpiel dwa razy w tygodniu, po staremu. W pozostałe dni tylko szybka toaleta, miednica na taborecie do mycia tułowia, a potem ta sama miska na podłogę i szorowanie nóg. Czy nam się podobało czy nie, tyłek musiał wytrzymać dwa, trzy dni bez wody.

Dwa lata później z powodu ryzyka zawalenia założono nowe stropy. Tata pomalował tramy mahoniową farbą, a między nimi zawiesił hamak – nam, dzieciom, szczególnie podobało się to miejsce, bo mogliśmy przypinać pinezkami cokolwiek chcieliśmy do drewnianej konstrukcji.

Potem przyszedł czas na kolejną przeprowadzkę. Na czas generalnego remontu przeniesiono nas do zastępczego lokum. Trafiliśmy na pierwsze piętro narożnej kamienicy przy ulicy Edego Paulayego, tuż nad restauracją „Mewa". Cztery duże okna wychodziły na ulicę Bajcsyego-Zsilinszkyego z jednego wielkiego pokoju o stu metrach kwadratowych i pięciu wysokości. Mama kupiła gdzieś trzeszczący, wysłużony stół do ping-ponga, który dało się bez problemu rozłożyć i wokół którego mogliśmy skakać do woli. Meble z pokoju, który w przeszłości służył pewnie za salę balową, po prostu zniknęły. Mój brat potrafił tak długo jeździć po mieszkaniu na swoim małym trójkołowym rowerze, że nie trzeba go było zabierać na spacer, taki był zmęczony. Z pokoju przechodziło się łukowato sklepionym korytarzem bez okien do dużego hallu z rzeźbionym marmurowym kominkiem, tak dużym, że mój brat i ja mogliśmy wejść do paleniska przez ozdobne drzwiczki. Urządzenie zostało niestety zaślepione od góry, więc nie mogło służyć pierwotnemu celowi. Wyglądało za to pięknie. Na parapecie stała ulubiona pamiątka rodzinna: skrupulatnie wykonany model okrętu flagowego Kolumba, „Santa Marii". Nigdzie indziej nie prezentował się tak dobrze. Korytarz był spory, a kuchnia miała około trzydziestu metrów kwadratowych i pokrywały ją bajecznie malowane kafelki. Ta część mieszkania również sprawiała wrażenie wydzielonej z małego pałacyku miejskiego. Za drzwiami do kuchni znajdował się kącik o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, a w nim zardzewiały kocioł węglowy dawnego

pieca. W całym mieszkaniu były też kaloryfery, tylko nieużywane. Pomieszczenia były ogrzewane przez dwa emaliowane piece „Luna", które jednak nie były w stanie rozprowadzić ciepła po całej ogromnej przestrzeni. Łazienka również wyłożona kafelkami, z cudowną, elegancką wanną na lwich łapach i – oczywiście – z piecykiem, z którego woda spływała przez porcelanowy kran. Kąpiel w środy i soboty.

Kuchnia też była imponująca. Ogromny zabudowany piec, ozdobiony białymi glinianymi kaflami, ciężkie żelazne płyty z wyciąganymi fajerkami, wszystko połączone z systemem grzewczym i zbiornikiem na wodę, do tego misternie skonstruowane odprowadzanie dymu. Wszystko wykonane z miedzi i kunsztownie kutego żelaza, część kuchenną okalała mosiężna poręcz, a na porcelanowych gałkach drzwiczek były niebieskie wypustki. Także tego urządzenia nie dało się uruchomić z powodu zatkanego komina. Musieliśmy gotować na nędznej, podłączonej naprędce kuchence gazowej. Czasami w kuchni lub łazience odpadały kafelki. Z ukrytych za nimi tuneli wyłaziły pięciocentymetrowe czarne karaluchy. Nie dało się ich wytrzebić, działająca pod nami restauracja „Mewa" stanowiła dla robaków świetną pożywkę. O ile pamiętam, w domu ani razu nie przeprowadzono dezynsekcji. Ojciec w przypływie dobrego nastroju czasami zabierał nas na obiad lub kolację. Ale nigdy do Mewy, choć była najbliżej.

Po czterech latach wróciliśmy na Belojanisa. Świeży zapach farby, nawoskowana podłoga, nowe płytki w kuchni i łazience. I cud: bojler gazowy! Mogliśmy się kąpać, ile razy i jak długo chcieliśmy, bez obaw, że zaraz skończy się ciepła woda. Ach, towarzysz Majakowski z pewnością napisałby o tym wiersz… Wszystko było dobrze, dopóki nie przyszedł pierwszy rachunek za gaz – od tego czasu matka pukała po dziesięciu minutach pluskania się w wannie, warcząc z surowością ministra finansów, że mamy kończyć, bo skóra nam zejdzie od nieustannego mycia.

Wracając do sobotniego braku wody – możemy spojrzeć na cały problem jako na jeden z negatywnych aspektów socjalistycznej gospodarki planowej. Piętnastokondygnacyjne bloki osiedla Za Żelazną Bramą, podobne do kolonii wielkich pudełek na zapałki i mieszczące po czterysta lokali każdy, wzniesiono około dziesięciu lat temu i od tego czasu są zamieszkane. Teoretycznie jest tu wszystko, czego potrzeba do codziennego, wygodnego życia: gaz, prąd, centralne ogrzewanie, ciepła i zimna woda, zsypy na śmieci, sześć wind w każdym bloku, a na parterze kiosk, w którym można kupić papierosy, proszek do prania, gazety czy szczoteczkę do zębów. Podkreślam – teoretycznie. W rzeczywistości bowiem ciśnienie gazu daje często malutki zaledwie płomień, prąd wysiada na całe godziny, centralne ogrzewanie działa w kratkę. Kaloryfery na wyższych piętrach trzeba prawie codziennie odpowietrzać, w nieodrobaczanych zsypach harcują prusaki, na betonowych ścianach miriady mrówek faraona, połowa wind nie jeździ, a w kiosku można dostać najwyżej parę bezużytecznych artykułów, bo papier toaletowy czy chusteczki figurują wyłącznie w cenniku.

A co wspólnego ma z tym wszystkim woda? Cóż, wydaje się, że dużo. Rozpytywałem wśród znajomych i niestety okazało się, że choć gorąca woda dostępna jest codziennie, ogólnopolskim dniem kąpieli pozostaje sobota. Jak w dawnych czasach na wsi albo u nas

w domu w Budapeszcie. Daje się to wyraźnie we znaki, gdy człowiek przebywa z innymi w zamkniętych, ciasnych przestrzeniach. Starzy warszawiacy kiwają tylko głowami: po wojnie zostało w stolicy ledwie dwieście do trzystu tysięcy dawnych mieszkańców, zdecydowana większość dzisiejszej ludności przyjechała ze wsi. Są tu od jednego czy dwóch pokoleń, a dalej kultywują tradycję porządnej kąpieli wyłącznie w soboty.

Mój przyjaciel Pawluczuk opowiadał mi, że w Białymstoku, w miejscu, gdzie stoi dziś ich osiedle, jeszcze dziesięć lat temu były przedmieścia z drewnianymi chałupami z ogródkiem, szopą i wychodkiem. Zabudowę wyburzono, postawiono nowe, wygodne bloki z wielkiej płyty, do których przesiedlono także byłych mieszkańców z tych terenów. Niedługo po przeprowadzce jego żona Marta, nauczycielka języka polskiego, wyszła przed dom i natknęła się na dziesięcioletnie dziecko stojące ze spuszczonymi spodniami nad metalowym kubłem na śmieci. „Co ty tutaj robisz?" – zapytała zdziwiona. „Sram" – odpowiedział chłopiec. „Tutaj?! Macie przecież toaletę, prawda?" Dziecko wybałuszyło na nią oczy: kto to słyszał, żeby człowiek wypróżniał się w mieszkaniu?

Ach… Oczywiście podobne historie zdarzają się też na Węgrzech. Podróżowaliśmy kiedyś po kraju autostopem, pieszo albo czym się dało, by poznać codzienną rzeczywistość węgierską. W małej wiosce w komitacie Szabolcs znaleźliśmy nocleg w uroczym gospodarstwie. Małżeństwo w średnim wieku nakarmiło nas i napoiło, pościeliło w dużym pokoju, ale myć się już musieliśmy pod studnią z żurawiem – było w końcu lato. Poszedłem za potrzebą do wychodka, w którego drzwiach wycięto otwór w kształcie serca. Chciałem sięgnąć po papier. Okazało się, że w środku nie było choćby kawałka strony wyrwanej z „Szabad Föld" albo „Népszabadság", a jedynie stos liści kukurydzianych. Wrzasnąłem do kumpla, żeby przyniósł mi trochę papieru. Gospodyni, która pracowała akurat w ogrodzie, usłyszała to i nie czekając na reakcję kolegi, zawołała: „A weź sobie pan liścia kukurydzy i podetrzyj". Mój wredny przyjaciel zatrzymał się w połowie drogi z rolką papieru toaletowego. Nie podał mi go, tylko śmiał się i droczył ze mną. Cóż, zrobiłem, co radziła gospodyni, ale nikomu nie życzę takiego doświadczenia.

Kolejna kwestia to baseny i pływalnie. Jakie to błogosławieństwo, że Kotlina Panońska aż kipi od wód termalnych! Pod tym względem widać wyraźną różnicę: na Mazowszu, nawet jak jest woda, to zimna. *Ergo* musi zostać podgrzana, by napełnić nią basen. Polaków nie stać na luksus codziennego opróżniania zbiorników i czyszczenia ich. Wieczorem wlewają jedno czy dwa wiadra chloru i tyle. Nie wiem, jak często woda jest zmieniana, ale widzę, że w wielu pływalniach prawie nie widać dna i wcale nie dlatego, że jest głęboko… W Warszawie istnieje niewiele miejsc, gdzie można popływać. Tam, gdzie jest to możliwe, bilety wystawiane są na godziny, przy czym człowiek nie może wybrać się tam w dowolnej chwili, kupić wejściówki i pójść się popluskać. Wszędzie obowiązują abonamenty. Wpisuje się konkretną godzinę na cały tydzień lub miesiąc, powiedzmy od 16.30 do 18.30 we wtorki i piątki. A jeśli z jakiegoś powodu nie możesz przyjść w wyznaczonym terminie, pieniądze przepadają.

A skoro już jesteśmy przy wodzie, to nie wiem, która rzeka jest brudniejsza – Wisła czy Dunaj. Tak czy owak nic nie tłumaczy okropnego stanu, w jakim znajduje się tutejsza

infrastruktura do sportów wodnych. Warszawa jest prawdopodobnie jedyną stolicą europejską, przez którą przepływa duża rzeka, a która nie posiada nabrzeży z prawdziwego zdarzenia. Po obu stronach Wisły biegnie asfaltowa droga, a zbocza prowadzące od jej krawędzi do brzegu pokrywają dzikie zarośla. Na liściach krzewów, drzew, chwastów i pokrzyw zalega szlam, który osiada przy wyższych stanach wody, a po wyschnięciu wiruje w powietrzu, niesiony przez wiatr. W gałęziach można znaleźć wszystko, od nylonowych worków po szczątki utopionych zwierząt. Nikt ich nie usuwa, nie sprząta do czasu następnej powodzi. Wzdłuż brzegu walają się potłuczone i całe butelki, puszki, papiery, ekskrementy, śmierdzące odpadki. Po stronie śródmiejskiej tego typu widok można zobaczyć zaledwie pięćset metrów od centrum, od tak zwanego *city*.

Trudno wyobrazić sobie taflę Dunaju bez kajaków, kanu, tratw, łódek, motorówek, pontonów i pomostów. Na Wiśle bardzo rzadko można dostrzec wiosłującego człowieka. Zdobią ją za to pogłębiarki, szalandy, wyeksploatowane dźwigi kołyszące się na zardzewiałych żelaznych dachach statków. Na brzegu samotny wędkarz, Bóg raczy wiedzieć, na co liczy, a wyżej, w krzakach, grupki meneli i alkoholików. Przygnębiający widok.

Znajomy powiedział mi, że jeszcze w dziewiętnastym wieku planowano regulację rzeki i zabudowę warszawskich nabrzeży. Jednak zbuntowana prowincja imperium carskiego nie przedstawiała w oczach Petersburga aż tak wielkiej wartości, by w nią inwestować. W niepodległej Polsce okresu międzywojnia także przygotowywano się do projektu, ale dwie dekady wolności okazały się za krótkie. Po wojnie prawie w każdym planie pięcioletnim komuniści zapowiadali przynajmniej uporządkowanie brzegu, ale jak dotąd nikt nawet nie machnął łopatą. Mamy więc obraz nędzy i rozpaczy.

Nawiasem mówiąc, pijacy gromadzą się nie tylko nad Wisłą, można ich spotkać w dużych grupach w każdym parku miejskim. W dzielnicy Grochów jest piękny park z jeziorkami, kanałami, drewnianymi mostkami, po wodzie wśród lilii pływają łabędzie i łagodne, jedzące niemal z ręki kaczki. Idylla. Brzydkie ogrodzenie oddziela zieleniec od fabryki słodyczy, ochrzczonej datą 22 lipca, kiedy to w 1944 roku proklamowano w Lublinie powstanie PRL-u. W parku znajduje się porośnięte drzewami i krzewami romantyczne wzniesienie schodzące ku tafli wody. Miejsce to jest przestrzenią miejscowych pijaków. Konsumpcja jest tak wielka, że obrotny człowiek może na tym skorzystać. Tak właśnie robi mężczyzna znany w okolicy jako Pan Kropelka. Jest to facet w nieokreślonym wieku, może mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Tak mniej więcej wyglądał Brudny Fred z powieści Jenő Rejtő. W poszarpanej torbie nosi kieliszki, które wypożycza chętnym. Rozmiarem niezbyt się od siebie różnią, ale trudno byłoby znaleźć choćby dwie sztuki z jednego kompletu. Myślę, że wyszperał je w jakimś koszu. Za to nigdy nie brakuje mu klientów! Bo w Polsce szanujący się pijak pamięta o zachowaniu pozorów kultury, w każdej sytuacji. „Elegancko" – mówią, sięgając po oferowane im kieliszki. W zamian nalewają też ich właścicielowi. W efekcie Pan Kropelka jest przez cały dzień wstawiony, choćby nie miał grosza w kieszeni.

Do tego nie pracuje sam! Towarzyszy mu starszawa podmiejska prostytutka o ksywie Twojamać. To znacznie bardziej skomplikowana osóbka. Wczesnym popołudniem

robi zakupy: trochę kaszanki, smalcu, chleba, kiszonych ogórków i kilka butelek czystej – najtańszej wódki o lekkim aromacie ropy naftowej. Do tego parę flaszek mocno siarkowanego jabola. (Wytwarza się go przez zmieszanie przecedzonego soku z jabłek z odrobiną alkoholu, a potem konserwuje różnymi tanimi truciznami, butelkuje i oklejа romantycznymi etykietami). Kobieta pracuje na dwie zmiany. Podczas pierwszego okrążenia przemierza rewir Pana Kropelki z jedzeniem i piciem. Sprzedając towar, może ocenić, komu akurat kończy się alkohol. I wtedy właśnie zaczyna się drugi obchód, wraca do spragnionych konsumentów i oferuje im napoje za akceptowalną dopłatą. Klient „niedopity" płaci z pocałowaniem ręki, nie musi nawet podnosić się z ziemi po dokładkę. A potem znów zjawia się Pan Kropelka ze swoimi kieliszkami.

Obydwie usługi doskonale się uzupełniają. Rzecz jasna Twojejmaci nic by nie kosztowało oferowanie także kieliszków, ale w ten sposób pozbawiłaby chleba Pana Kropelkę i tym samym przyczyniłaby się do wzrostu bezrobocia. Dziwię się, że do tej pory nie założyli spółki, a przynajmniej spółdzielni, którą mogliby nazwać „Pod Niesforną Mrówką". Konkluzja: interes się kręci i stanowi dowód na to, jak rynek potrafi sam się regulować. I jeszcze coś – na Węgrzech w tego typu sferach ludzie tykają do siebie jak do szwagra. W Polsce jest inaczej. Do Twojejmaci wszyscy się zwracają „proszę Pani", ona zaś odpowiada uprzejmie „proszę Pana".

Przypomina mi się, że w 1968 roku w Ustce widziałem podobnie zaradnego faceta, który sprzedawał na plaży kiszone ogórki. Na ramieniu dźwigał pręt, z którego na dwóch łańcuchach zwisały emaliowane wiadra. Szedł tak wzdłuż brzegu, a że były wakacje, imprezowało się, więc i ludzi było multum. W parę chwil rozeszły się nie tylko ogórki, ale także woda po nich, po pięć złotych za szklankę. Zwłaszcza że do najbliższego bufetu trzeba było iść dwa kilometry plażą. Cóż, świat należy do ludzi przedsiębiorczych!

Słyszałem niedawno, że rząd węgierski wydał rozporządzenie, zgodnie z którym każdy, kto spożywa alkohol w miejscu publicznym – na ulicy, w parku, na klatce schodowej, w drzwiach itp. – może zostać ukarany mandatem do trzech tysięcy forintów. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby podobne przepisy wprowadzono w Polsce. Tutaj bowiem nie pija się w przeznaczonych do tego miejscach. Brakuje tanich knajp, barów, winiarni. Alkohol poza kawiarnią czy restauracją można kupić dopiero po trzynastej. Wieczorem sytuacja też wygląda marnie, większość knajp zamyka się o dziesiątej i do dyspozycji ludzi pozostają wyłącznie drogie lokale gastronomiczne, których – nie wiedzieć czemu – jest tak mało, że jeśli po południu nie zarezerwujesz stolika, to szansa na wolne miejsce jest nikła.

Podsumowując – zostają parki, ulice, bramy, okolice sklepów. Gdyby wprowadzono zakaz picia w miejscach publicznych, ludzie pociągaliby z butelek schowanych w torebce jak Amerykanie. Coraz bardziej powszechne staje się picie w domach. To nic, że żona się wścieka, gdy mąż przyprowadza do mieszkania wesołego kompana od kieliszka, niech dzieci biorą przykład…

Skoro już mowa o zakazach, muszę wspomnieć też o plażowiczach. Skądinąd cudownie nieśmiali Polacy potrafią bez wstydu rozebrać się do majtek, slipek czy stanika,

by cieszyć się słońcem w parkach publicznych. Jak również w miejscach, które można by porównać do okolic pomnika Petőfiego w Budapeszcie. I gdyby tylko młodzi ludzie zdejmowali ubrania! Oni właściwie stanowią mniejszość, bo przeważnie opalają się panie w niezbyt gustownej satynowej bieliźnie, często w bardzo dojrzałym wieku i o niekoniecznie miłych dla oka ciałach. Myślę, że te nieskromne zachowania powinno się jakoś sankcjonować – wszystko ma swoje miejsce i czas. Jak ktoś ma ochotę zażyć promieni słonecznych, niech idzie na plażę, a jeśli już musi to robić w parku miejskim, niech założy chociaż strój kąpielowy.

Mam dziś nastrój do zrzędzenia. Dlaczego? Ano, jest sobota i ciepłej wody jak nie było, tak nie ma. Przyszło mi na myśl, że w tygodniu widziałem na wystawie sklepu ze sprzętem elektronicznym ogromny czajnik błyskawiczny o mocy dwóch tysięcy watów. Pomyślałem, że kupię sobie taki. Zimnej wody mam pod dostatkiem. Napuściłbym jej do wanny, włożył spiralę grzejnika i za dziesięć minut miałbym gotową kąpiel. To irytujące, że na razie muszę to odłożyć, cholera wie na jak długo.

9 września 1979, Warszawa

Słoneczna, prawie letnia niedziela. Nie mogłem usiedzieć w domu, choć powinienem pracować nad opowiadaniem Iwaszkiewicza. Tłumaczenie sprawia mi ogromną radość. Opisy tego starego człowieka są niesamowicie zmysłowe, niemal czuję zapach wiekowego dworku i jego otoczenia, w którym toczy się akcja. Biedny, umierający koń Biłek, tytułowy bohater, każdy z nas mógłby nim być na starość. Właściciel, który też ma swoje lata i jest znużony egzystencją, uczy się od zwierzęcia – koń z całych sił próbuje trzymać się życia. Piękny tekst, warto się nim smakować i dopieścić, aby po węgiersku brzmiał równie urokliwie jak w oryginale.

Tymczasem na dworze świeciło słońce, a kto mógł wiedzieć, jaka pogoda będzie jutro? Money niespokojny, wąchał wpadające do mieszkania przez okno powietrze i próbował na wszelkie sposoby dać mi do zrozumienia, że byłby szczęśliwy, gdybyśmy poszli na dłuższy spacer. Nie powiem, mnie też uśmiechała się ta myśl. Sprawdziłem ciśnienie w kołach roweru, trochę dopompowałem, założyłem koszyk, w nim coś do picia, wodę, kanapki – i wyszliśmy.

Choć była niedziela i dochodziła dziesiąta przed południem, targ przy Hali Mirowskiej tętnił życiem. Pasaż handlowy był wprawdzie zamknięty, ale wzdłuż jego ścian stało wielu okazjonalnych sprzedawców. Niesamowite, co mieli w ofercie! Tuż za rogiem na przykład stała babcia z dwiema siatkami towaru. Pęknięte włączniki światła, używane gniazdka, metrowe kawałki kabli – to był cały jej asortyment. Na co liczyła? Obok niej inna kobieta wystawiła na sprzedaż zatłuszczony garnitur, dwie laski i pomięty zielony kapelusz. Byli też tacy, którzy trzymali w ręku jedynie dwa pęczki zgniłych rzodkiewek albo bukiet kwiatów. Ktoś inny kucał nad dwoma koszykami grzybów, a sąsiad układał w zardzewiałym wiadrze kilka przyschniętych astrów, naprzeciwko człowiek z paroma workami pomidorów i garścią drobnej

cebuli czekał na chętnego kupca. Cyganka sprzedająca sztuczne myszy popychała małe zwierzątka po blacie obskurnego stołu kempingowego. „Myszki, patrzcie, jakie śmieszne!" Pomiędzy nimi spacerował staruszek w czapce tyrolskiej i z opuchniętą twarzą, dmuchając w ceramiczne figurki ptaszków i koni. Woda we wnętrzu ptaka zaczynała bulgotać i rozlegały się trele. Z kolei wprawiany w wibracje na sucho konik piszczał tak głośno, że pękały bębenki w uszach. Dziadek przypominał mi ślepego, przynajmniej na pozór, akordeonistę – samouka spod hotelu Forum przy Marszałkowskiej, który wygrywa nieustannie te same trzy dekadenckie melodie, bo tylko tylu się nauczył.

Pędziliśmy przez centrum miasta. Jeśli się dało – po chodniku, jeśli nie – po jezdni, Money kłusował obok mnie po trawie, z językiem do ziemi. Ludzie gapili się na nas jak na występ cyrkowców. Czasem słyszałem ich pełne uznania uwagi: „Spójrz, jaki świetnie wyszkolony pies!". Co na to powiedzieć? Mieli rację.

Cyganie na Rutkowskiego. Akordeon, gitara, banjo, wiolonczela. Urokliwe, nie przeczę, ale byłoby milej, gdyby nie wiązało się z natarczywym żebraniem. Bo albo jeden, albo drugi muzykant przestaje grać i podtykając odwrócony instrument pod nosy przechodniów, domaga się pieniędzy. Wchodzą do okolicznych barów i kawiarni, czy to się gościom podoba, czy nie, i grając z całą parą, przechodzą od stołu do stołu. W tym czasie ich kobiety i dzieci włóczą się po placu Defilad i polują na łatwowiernych lub żądnych egzotycznych wrażeń turystów, oferują im wróżby. W ruch idą karty, otwierają się dłonie. Jedna całkiem ładna cygańska mamuśka karmi piersią zawinięte w chustę dziecko i równocześnie, jakby od niechcenia, przepowiada ludziom przyszłość. Ma piękną, kreolską, nieskazitelną skórę, bujne piersi, kiedy dziecko odrywa usta, ukazują się zgrabne brązowe sutki. Mężczyzna, któremu wróży, wpatruje się w ten nagle odsłonięty widok z otwartymi ustami i nie sądzę, by zapamiętał cokolwiek z tego, co młoda Cyganka powiedziała mu na temat przyszłości.

Wszędzie stragany z kwiatami. Nie tylko w centrum. Gdy jechałem w stronę Wisły, by dać się wyhasać pieskowi, widziałem pod mostem Poniatowskiego cały tłumek staruszek z wiaderkami pełnymi kwiatów. To cudowna sprawa w Warszawie! O każdej porze każdego dnia tygodnia można gdzieś kupić bukiecik. Jeśli pogoda jest ładna, także na ulicy. Nie mam pojęcia, skąd się tego nauczyli, ale prawie każdy umie przygotować piękną wiązankę. Zwyczajna kobiecina na rogu potrafi wyczarować takie cudo, na które węgierski kwiaciarz tylko gapiłby się z niedowierzaniem.

Zostawiliśmy za sobą most i sunęliśmy dalej praską stroną, bo to ją od południa lepiej oświecało. Money był szczęśliwy, skakał, pędził, zachowywał się jak szczeniak. Najchętniej wskoczyłby do Wisły, ale nie pozwoliłem mu, bo rzeka jest brudna. Dzikim kaczkom to widocznie nie przeszkadza, bo przy brzegu pływają ich całe stada.

Do domu wróciliśmy o szóstej wieczorem. Czułem przyjemne zmęczenie w kończynach, mój pies zresztą też, bo po wypiciu pół litra wody padł na materac i od razu zasnął. Ale gdy tylko włożyłem mu do miski jedzenie, jego wielkie uszyska z miejsca się podniosły.

Zajrzałem do Iwaszkiewicza, choć nie miało to większego sensu. Ruch i przejażdżka wyczerpały mnie, miałem jednak lekkie wyrzuty sumienia, że przez cały dzień zbijałem bąki. Pan Bóg siódmego dnia odpoczywał i wedle mądrości ludowej niedzielna praca nie jest błogosławiona – starałem się pocieszać. Tyle że wczoraj, to jest w sobotę, też nic nie robiłem… Równowaga została zatem zachwiana!

„Nie rozpaczaj: jeden z łotrów został zbawiony. Nie pozwalaj sobie: jeden z łotrów został potępiony!" – tak uczy Święty Augustyn o szukaniu złotego środka. Niech mi Pan Bóg przebaczy, ale życie z tą dewizą musi być potwornie nudne!

12 września 1979, Warszawa

Moja mała tancereczka przyjechała z Włoch. Po ośmiu miesiącach. Piękna, elegancka, wygląda jak ktoś, kto nigdy nie żył w socjalizmie. Nawet jej ruchy są inne. Swobodna, pewna siebie, uśmiechnięta. Na lotnisku pchała przed sobą na wózku wielkie walizy. Zapewne pełne ciuchów – w końcu jest kobietą.

Dziwna sytuacja! Czułem, jakbym znów musiał ją zdobywać. Jak nowo poznaną kobietę. Oczywiście wiem, że nie żyła tam w celibacie, ja zresztą też nie, więc nie będziemy o tym rozmawiać, jeśli nie musimy. Ale i tak mamy sobie dużo do opowiedzenia, w końcu osiem miesięcy rozłąki to kawał czasu.

Przywiozła kupę forsy. Wprawdzie dalej nie stać nas na mieszkanie, ale już na malucha tak. Nie mam nic przeciwko, brakuje mi życia z autem, którego zasmakowałem, gdy miałem służbowy samochód w przedsiębiorstwie kolportażu Művelt Nép. Moskwicz 412 w wersji kombi stał pod domem, jakby należał do mnie.

W przyszłym tygodniu zamierzamy zamówić auto. Kupujemy za walutę, więc dostaniemy je w ciągu miesiąca. Ustaliliśmy też, że na pierwszą dłuższą wycieczkę wybierzemy się do Budapesztu.

19 października 1979, Warszawa

W sobotni wieczór czekaliśmy niecierpliwie na *Stąd do wieczności*, ekranizację wielkiej powieści wojennej Jamesa Jonesa. O wskazanej godzinie zasiedliśmy przed ekranem z paluszkami i piwem, ale czekała nas niemiła niespodzianka. W ramach specjalnego wydania dziennika nadano przemówienie towarzysza Gierka ze Szczecina.

Nie mógł się nachwalić Związku Sowieckiego i wezwał trzeźwo myślącą klasę robotniczą do zdecydowanego potępienia jakichkolwiek prób krytykowania „sojuszniczego narodu" przez „chodzącą na pasku Zachodu" opozycję. No ładnie! Mało brakuje, żeby nawet za opowiadanie dowcipów politycznych zostać zwiniętym przez panów w czarnych samochodach!

A skoro mowa o żartach, aktualne nastroje dobrze oddaje kilka poniższych anegdot:

Do sklepu mięsnego wchodzi klient. Towaru brak, na jednym haku wisi tylko pół pęta nędznej kiełbasy. Klient wskazuje na wędlinę.

– Jak długo ją tu macie?

– Musi starczyć dla całego osiedla – odpowiada sprzedawca.

– Jak to?

– Każdy dostaje po kawałku.

Facet rozgląda się po sklepie i kiwa głową. Widzi w plastikowej skrzynce za ladą kilka sztuk kaszanki.

– No, jeśli nie ma niczego innego – wzdycha – poproszę pół kilo kiszki.

Sprzedawca nachyla się i marszczy brwi:

– A mogę najpierw zobaczyć pana kartę honorowego krwiodawcy?

(Wydaje mi się, że przytaczałem ten dowcip już wcześniej. Trudno, *repetitio est mater studiorum*).

Nie byłem w stanie zanotować, o czym gadał Gierek. W języku polskim istnieje na takie frazesy bardzo trafne określenie – „wodolejstwo"! Innymi słowy: czcza gadanina, pieprzenie, Orwellowski „newspeak"…

Następnie wyświetlono film. Rozsiadłem się z ulgą w fotelu. I gorzko się zaśmiałem w myślach: trzeba przyznać, że towarzysze są przebiegli! Przed ekranami w sobotni wieczór na stówę zasiadły miliony widzów, tak jak ja. Pies ze złamaną nogą nie oglądałby Gierka, gdyby wcześniej zapowiedziano transmisję. Ludzie tkwili więc przed telewizorem w oczekiwaniu na film. A niech ich wszystkich szlag!

12 grudnia 1979, Warszawa

Dwa tygodnie temu została oddana do użytku linia kolejowa o szerokim rozstawie szyn do Huty Katowice. Ma to pozwolić na zaoszczędzenie pieniędzy, nie trzeba będzie przeładowywać na granicy rudy żelaza od Rosjan. Podobno surowiec jest bardzo złej jakości i wymaga dużej ilości paliwa, aby wytopić z niego żelazo. Edzio, mój przyjaciel inżynier, twierdzi, że zawartość żelaza w szwedzkiej rudzie wydobywanej w Kirunie przekracza sześćdziesiąt procent, podczas gdy w tej sowieckiej sięga zaledwie jednej trzeciej. Stal można by wyprodukować ze szwedzkiego materiału przy znacznie mniejszym zużyciu energii, więc nie byłoby konieczne oszczędzanie na transporcie i przeładunku. Ale w kraju, w którym Breżniew otrzymał w 1974 roku od Gierka legitymację robotniczą z numerem jeden, wszelkie narzekania są daremne.

Mówi się, że Ruscy nie są w stanie sprzedać swojej nędznej rudy nikomu poza krajami obozu socjalistycznego. Dostarczana jest bez przeładunku, prosto z Kriwego Rogu na Ukrainie. Edek twierdzi, że tuż po wydobyciu jest jeszcze w miarę dobra, tyle że po drodze z czymś ją mieszają i w ten sposób obniżają jakość. Z kolei polski węgiel i siarka wywożone są na wschód. Chodzi o to, by ogromna Huta Katowice, zatrudniająca kilkadziesiąt tysięcy osób, była w pełni zależna od dostaw rosyjskich. Wyrabianą tu stal wykorzystuje się do produkcji statków, traktorów, taboru kolejowego, których największym odbiorcą jest oczywiście Związek Sowiecki. Dostarcza on nieprzetworzone surowce, a otrzymuje w zamian zaawansowaną technikę. Rozliczenie odbywa się w tak

zwanych rublach transferowych, którymi można płacić wyłącznie w krajach „obozu", bo nigdzie indziej nie mają one żadnej wartości. Rosjanie wrzucają więc pieniążek do automatu i odbierają gotowy towar i jakąś resztę. Automat nazywa się Polska… „Robimy dla nich statki, a oni w zamian zabierają nam węgiel" – zauważa kwaśno Edek.

À propos szerokiego rozstawu. Słyszałem na ten temat wspaniałą anegdotę, z „pewnego źródła", to znaczy od urodzonego w Leningradzie redaktora sowieckiej mutacji magazynu „Polska", naszego przyjaciela Toli z Interpressu. Otóż, kiedy planowano budowę pierwszej linii kolejowej w Rosji, gorliwi czynownicy zapytali cara batiuszkę o to, jak mają ułożyć tory. I natychmiast przedstawili mu propozycję patriotyczną. „Ponieważ u nas wszystko jest większe niż w innych częściach świata, także szyny powinny mieć szerszy rozstaw" – zasugerowali. Na co car: „Na chuja, panowie!". Pokorni słudzy zrozumieli, że o tyle większy ma być rozstęp. Ułożyli więc szyny o dziesięć centymetrów dalej od siebie.

– Cóż – dodał Tola – człowiek, od którego brano miarę, nie mógł być typowym Rosjaninem…

I jeszcze o Hucie Katowice. Niedawno słyszałem następujący dowcip:

Do pracy w kombinacie zgłasza się facet.

– Na czym się pan zna? – pyta kadrowy.

– W zasadzie na niczym.

– Ale pisać i czytać pan umie?

– Nie umiem.

– Przykro mi, ale w takim razie nie możemy pana zatrudnić.

Parę lat później ten sam człowiek wchodzi do jubilera w towarzystwie narzeczonej.

– Wybierz sobie coś, żabko!

Kobieta wynajduje różne błyskotki. Kasjer podlicza:

– Łącznie sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Facet sięga do kieszeni i wyjmuje z niej gruby pęk banknotów spiętych gumką.

– Tu będzie z osiemdziesiąt.

Z drugiej kieszeni wyciąga skarpetę, a w niej kolejne, zwinięte banknoty.

– Tu jest pięćdziesiąt.

Rozpina koszulę i wyjmuje pieniądze z wiszącego na szyi skórzanego woreczka.

– Hm, jeszcze pięćdziesiąt.

Jubiler przygląda się z niedowierzaniem.

– Nie byłoby panu łatwiej wypisać czek?

Na co facet:

– Panie, gdybym umiał pisać i czytać, zasuwałbym teraz z łopatą w Hucie Katowice!

30 grudnia 1979, Warszawa

Siedzę przed maszyną do pisania od godziny, ale nawet jej nie dotknąłem. Mam tekst do przetłumaczenia na węgierski, muszę go skończyć jeszcze w tym roku. Sam sobie

wyznaczyłem termin – chrześcijańska przesądność nakazuje nie przekładać pracy, bałaganu na nowy rok, bo to przynosi pecha. Tyle że jestem akurat w poetyckim nastroju przed sylwestrem, a ta porcja biurokratycznej papki, za której przełożenie mi płacą, jest jak trampolina. Rzucam się na nią i odbijam, tak bardzo mnie nudzi i odpycha. „Nasza partia i nasz rząd" – w każdym akapicie, co najmniej raz… Ale muszę to skończyć dzisiaj. Jutro czas na przygotowania do wieczornej balangi, będziemy zbijać bąki, odpoczywać, więc pracy nawet nie tknę.

Wczoraj w nocy śniło mi się, że strzelam z łuku. Krúdy wyjaśnia, że „jeśli kto trafi do celu, to wkrótce spotka go wielkie szczęście". A ja trafiłem! Strzała utkwiła w pachwinie pulchnego cherubina unoszącego się w rogu framugi drzwi. Dlaczego właśnie tam? Nie wiem. Sennik Krúdyego nic nie mówi na ten temat. W każdym razie rano wypełniłem kupon totolotka. By dać Panu Bogu szansę…

A na razie – dalej, nawiń papier na wałek maszyny, dwie kartki, pomiędzy nie kalkę, i weź się do roboty, bo za to ci płacą, stary. Gdybym miał, łyknąłbym aviomarin. To jak daedalon na Węgrzech – łagodzi odruch wymiotny.

1980

1 stycznia 1980, Warszawa

Balowaliśmy w Stodole. Grali świetną muzykę na żywo, bluesa i rocka, trochę soulu, przed północą na scenie pajacował przez godzinę Rosiewicz. Ten genialny śpiewak-błazen, polski Fred Astaire, musi mieć żółte papiery, skoro jeszcze go nie zamknęli. Wystarczy opisać jeden skecz. Wychodzi na scenę w dżinsach i T-shircie, na którym ma napisane wielkimi literami „JA". Opowiada długo o codziennych mitręgach i absurdach, po każdej historii zadaje pytanie: „I kto jest temu winien?". Orkiestra podgrywa tusz, on się odwraca: na plecach ma napisane „ROSIEWICZ". Własne nazwisko. Dowcip ma jednak podwójne dno. Kto jest w takim razie winny? „Ja, Rosiewicz" – może brzmieć odpowiedź. Ale jeśli wypowiemy te słowa niedbale, jedno po drugim, wyjdzie nam „Jaroszewicz"! Premier czerwonych…

Na sali histeria śmiechu, burza oklasków.

W końcu ożyły zawieszone w kątach sali telewizory. Pokazał się na nich ozdobny zegar. Duża wskazówka dogoniła małą, zlała się z nią i zabrzmiało pierwsze z dwunastu uderzeń. Czekałem na hymn, ale nie zagrali. Orkiestra gruchnęła za to przeciągłe, bluesowe fanfary. Na ekranach pojawił się Gierek, jednak po paru sekundach czyjaś litościwa ręka wcisnęła guzik i telewizory zgasły. Pomyślałem, że ktoś tu musi mieć jaja, nie ma co! Spytałem nawet Edka, czy nie będzie z tego jakiejś draki. Podstarzały inżynier i estetyk filmu zaśmiał się drwiąco:

– Jak się stoi po pas w gównie, nie należy się szarpać, bo się człowiek utopi! – I machnął ręką, niemal wylewając kieliszek dobrego, sowieckiego szampana. – Banda jest na wykończeniu. Typek, który wyłączył telewizję, to szczwany lis. Od niego mam teraz wszystkie nowinki. Jestem skłonny mu wierzyć, bo był w klubie sekretarzem ZSMP, czyli trochę „nasz", ale równocześnie „ich", bo awansował na członka partii.

Mamy więc rok 1980. Od złowieszczej orwellowskiej daty dzielą nas już tylko cztery lata. Pytanie pana Amalrika: „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?", pozostaje na razie bez odpowiedzi. Nasza mała paczka wznosiła jednak z nadzieją toasty za skórę rosyjskiego niedźwiedzia.

20 stycznia 1980, Warszawa

Czuję to w kościach. W komórkach. Zamarzam, a kryształowe igły lodu przebijają błony mojego ciała. Z szybkiego zamrożenia człowiek może się wybudzić, z powolnego nie… W jakim świecie żyjemy?! W poczuciu chronicznego braku perspektyw. Jakbyśmy uczestniczyli w ostatecznej wyprzedaży. Aż w końcu przyjdzie plajta, potop. Doprawdy dziwny to handel: sprzedawcy nie zależy, by sprzedać, nabywca ma w nosie, czy coś kupi. Nic nie ma realnej wartości, a równocześnie każda rzecz kosztuje. Widzisz? Nie? No widzisz!

W Europie Środkowo-Wschodniej w ciągu ostatnich przeszło stu lat kłamstwo, oszustwo, dezinformacja i szatańskie pojęcie „ogólnej względności" nabrały form instytucji. Towarzyszyło temu upowszechnienie prasy. Wydaje się, że proces wkroczył teraz w swoją ostatnią fazę. Bo jak tu mówić o nadwyżce wartości, skoro ich już nie ma? Jedynie apologeci fantaści szukają jeszcze stałego punktu odniesienia. Jesteśmy jak rozbita armia, której nikt właściwie nie pokonał, nieprzyjaciel nie pojawił się nawet w zasięgu wzroku. Byliśmy jednak pewni jego istnienia. Przekonani, że nadszedł moment konfrontacji, ruszyliśmy do boju, a było to tak dawno, że nikt już dokładnie nie pamięta kiedy. Coś jakby sen. Mgła. Bańka wody. Stoimy w miejscu, a przecież zdawało nam się, że idziemy. W rzeczywistości nie zrobiliśmy nawet kroku. Domyślamy się tylko własnego istnienia i obecności wroga. Nie umiemy jednak rozpoznać prawdziwej twarzy, ani swojej, ani jego. Z taśm i winylów odsłuchujemy okrzyki wojenne i coraz trudniej nam rozpoznać w nich nasze głosy. Staramy się nadać twarzy hardy wyraz, zapomnieliśmy jednak, jak to się robi, zawodzą nas postarzałe mięśnie, ćwiczymy jeden przed drugim pozy tryumfu podpatrzone na starych fotografiach. Oczywiście dobrze nam w tym nienaturalnym położeniu. Ogłaszamy wszem wobec, że przetrwaliśmy, choć na dobrą sprawę nie wiemy, co nam zagrażało. Przyczyna usuwa skutek i odwrotnie. Czujemy obrzydzenie i szukamy piękna, potem zaś, przesyceni pięknem, wkładamy głowę w stryczek i wykopujemy taboret. Staliśmy się własnymi wrogami. A może byliśmy nimi od początku, tylko szwankuje nam pamięć?

Jakże często używamy dziś podmiotów zbiorowych! Trzeciej osoby! Kiedy doszło do tego, że MY zmieniło się w WY, a WY w ONI? Każda z form odnosi się przecież do nas! Bo MY to także ONI. Nasze błędy, fatalnie nieudane życie, wszystko, czego wzdragamy się uznać za własną winę, a co boli, drażni, frustruje i wpędza do grobu – wszystko to przypisujemy IM. Zapominamy o zasadzie wzajemności. W końcu dla drugiego człowieka każdy z nas jest tym drugim. Jeżeli ucieleśnienie Dobra widzimy tylko w NAS samych, a Zła w innych, ONYCH, czy w konsekwencji nie rozpadniemy się aby na dwie części? Zastanówcie się, przyjaciele, czy schizofrenia może być twórcza? Nie sądzę. Co najwyżej w sztuce, a i to pośrednio. W surowej rzeczywistości możemy być NAMI i NIMI jedynie równocześnie. Gdzie zatem szukać nieprzyjaciela? Odpowiedź jest prosta: w samych sobie. W każdej minucie życia jesteśmy dla siebie wrogiem i druhem zarazem, bez względu na to, czy czynimy dobro czy zło. Zależy wyłącznie od nas, w którą stronę przechyli się szala.

Gdybym jeszcze wiedział, czemu ludzkość od tysięcy lat nie może pojąć tej prawdy! Spisano ją przecież pismem klinowym, runami, w alfabecie Egipcjan, Greków, Rzymian i Majów, słowami mędrców, którym ja mógłbym czyścić buty. Czy możliwe, by na świecie było tylu idiotów? Aż tyle autodestrukcji?

Gdybym mógł, powiązałbym prawo wyborcze z cenzusem. Otrzymałby go ten, kto rozumie powyższe zdania. Boże, o ileż piękniejszy byłby wtedy świat!

24 stycznia 1980, Warszawa

PAP donosi z Moskwy:

> We wczorajszym wydaniu Izwiestii potwierdzono, że Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, biorąc pod uwagę nasilające się żądania radzieckiej opinii publicznej, pozbawiło Andrieja Sacharowa tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej i innych wysokich odznaczeń państwowych; równocześnie Rada Ministrów Związku Radzieckiego odebrała mu wszystkie otrzymane odznaczenia i ordery. Gazeta podkreśla, że Sacharow od wielu lat prowadził działalność wywrotową przeciwko ustrojowi sowieckiemu i w pełni zlekceważył napomnienia, w których ostrzegano go przed konsekwencjami niedopuszczalnych czynów. W ostatnim okresie zaś jawnie wzywał państwa imperialistyczne do ingerencji w wewnętrzne sprawy Związku Radzieckiego. Zaangażowany w podżeganie do dalszego wyścigu zbrojeń, były akademik został wraz z rodziną wysiedlony z Moskwy przez odpowiedzialne organy.

Cóż za subtelne sformułowanie: „wysiedlony"! Ciekaw jestem, gdzie zadołują biednego Sacharowa. W gułagu czy w psychuszce?

Oto, jak kończy jeden z twórców sowieckiej bomby wodorowej…

Powołując się na agencję Tanjug, PAP zdementował doniesienia o ciężkiej chorobie Tity. Wprawdzie faktycznie trafił on do szpitala i przeszedł operację, ale stan zdrowia pierwszego obywatela Jugosławii ulega systematycznej poprawie. Dzień później dostaliśmy więcej szczegółów: partyzantowi Josipowi amputowano lewą nogę. Podobno ma się na tyle dobrze w lublańskiej klinice, że przyjął odwiedziny żony i dwóch synów…

Skoro tak oszczędnie dozują informacje, staruszek zapewne stoi nad grobem. Trzymam kciuki za lekarzy, oby pociągnął jeszcze trochę. Operowanie dyktatorów to ryzykowna sprawa!

31 stycznia 1980, Warszawa

Trwają w najlepsze przygotowania do VIII Zjazdu PZPR, choć należałoby raczej powiedzieć, że odbywa się heca wedle z góry ustalonego scenariusza. Wszędzie trąbią, o czym to nie będzie się dyskutować, a prawda jest taka, że wszystko już przedyskutowano, aktorzy wkuwają role, personel techniczny ustawia światła, sprawdza mikrofony, szykuje bufet.

Mam ten luksus, że z racji zawodu nie muszę czytać gazet, słuchać radia ani patrzeć w telewizor, by wiedzieć, jak się skończy ten „dramat". Całymi dniami stukałem w maszynę – i to za niezłe pieniądze – tłumacząc dla prasy węgierskiej materiały z mającego się rozpocząć kongresu. Pod kluczem, z obstawą w warszawskiej siedzibie partii, tak zwanym Białym Domu. Fuchę załatwił mi Związek Tłumaczy. Zabawnie było czytać i pisać o przyszłości w czasie przeszłym: sytuacja w naszym kraju jest taka i taka, podkreślił, zaznaczył, stwierdził, dodał towarzysz X, Y z kolei miał zastrzeżenia do tezy przedmówcy, co wywołało burzliwą dyskusję. I tu zaczynał się opis polemiki, wszystko w dziwacznej konwencji „powiedział, choć dopiero powie". Tak więc zjazd jeszcze się nie zaczął, a już znam nazwiska wybranych wedle socjalistycznej formuły dygnitarzy, jak również konkluzje, uchwały i treść dokumentu końcowego. Dowiedziałem się też, że partia podziękuje Piotrowi Jaroszewiczowi za sumienną i ofiarną pracę na rzecz komunizmu i pozwoli mu przejść na zasłużoną emeryturę. Nazywany popularnie Czarnym Piotrusiem premier odchodzi więc do lamusa. Czy także jego syn, Czerwony Książę, będzie się musiał pożegnać ze swoimi rajdówkami? Co mnie to właściwie obchodzi? Jednego komucha zdjęli, drugiego awansowali, wart Pac pałaca, a pałac Paca. Najlepsze jest to, że Gierek został ponownie „wybrany" na pierwszego sekretarza jeszcze przed rozpoczęciem zjazdu! A Edward Babiuch, niespodzianka, zastąpił Jaroszewicza. Hm, kim do licha jest ten Babiuch? Nigdy dotąd o nim nie słyszałem. Doprawdy cudnie ma się demokracja w realnym socjalizmie, skoro z góry znamy wyniki przeszło-przyszłych głosowań!

Rzecz jasna musiałem się zobowiązać do milczenia, jeśli pisnę choćby słówko, obetną mi głowę! Gdybym nie daj Boże przemycił coś na zewnątrz, postawią mnie przed sądem i przysolą taki wyrok, że aż mi pójdzie w pięty – taką perspektywę nakreślił antypatyczny gość w czarnej kurtce skajowej, który codziennie przynosił materiały i odbierał moje przekłady. W pokoju, gdzie pracowałem, przez cały czas siedział znudzony typ o twarzy bladego kata i nie odrywał nosa od gazety. Pilnował mnie. O skopiowaniu czegokolwiek nie mogło być mowy. Gdy tylko przerywałem stukanie w maszynę, od razu podnosił swoje wodniste spojrzenie. Do WC mogłem wyjść tylko z pustymi rękami i po opróżnieniu kieszeni. Odtwarzam więc wszystko z pamięci. Na szczęście tego typu gorące informacje zapadają w umysł natychmiast, niczym plotka.

Gdy wracałem wczesnym popołudniem do domu z teczką pełną papierów i próbowałem utrwalić kluczowe informacje z tekstów, przyszła mi do głowy tęskna myśl: był pewien cudzoziemiec o imieniu Woland, który w towarzystwie asystenta w pepitkowej marynarce i nadprzyrodzonej wielkości kocura Behemota odstawiał pierwszorzędne numery dla widowni partyjnej. Myślę, że przyszedł już czas, by wystąpił w naszych stronach!

Ech, gdyby tak opowiedzieć o tym na Węgrzech, w klubie „Csarnok"! Sęk w tym, że aby tam pojechać, muszę wpierw naprawić auto. Nasz maluch jest wprawdzie na gwarancji, ale po paru miesiącach jazdy zaczęło dochodzić do zwarć w akumulatorze i na razie nie ma szans na jego wymianę. W serwisie kazano nam się wpisać na listę, powiadomią nas listownie, kiedy przyjdzie nasza kolej. Niedawno pękła też dętka, nie

do zreperowania, czekaliśmy dwa tygodnie, aż sprowadzą nowe, a potem i tak musieliśmy dwa razy stawać w kolejce, bo każdemu sprzedają najwyżej po sztuce…

Niedługo niczego już nie będzie można dostać.

Brakuje chleba, pomału kończą się igrzyska. Oferta kulturalna kurczy się proporcjonalnie do wzrostu liczby milicjantów na ulicach. I poziomu zadłużenia państwa. Jeszcze nie tak dawno pół Węgier zjeżdżało do polskich kin, by obejrzeć zachodnie filmy albo coś z awangardy. Teraz, wertując dodatek do „Życia Warszawy", naliczyłem w programie osiemdziesiąt produkcji sowieckich, dwadzieścia dwie z demoludów (w tym dwie węgierskie), sześć enerdowskich kryminałów i trzy przedpotopowe komedie francuskie. Wyświetlane tu filmy amerykańskie, angielskie i włoskie nadają się raczej do muzeum kinematografii. Wielkich polskich reżyserów – Wajdy, Skolimowskiego, Zanussiego, Borowczyka, Piwowskiego i innych – nie puszcza się wcale. Podobno niedługo ma wejść *Constans*, nowy Zanussi. Wtajemniczeni twierdzą, że to odważna rzecz, więc są jakieś problemy z cenzurą. No to wysterylizują pieska!

Jeszcze o kongresie PZPR. Wczoraj wieczorem usłyszałem w Wolnej Europie o zdarzeniu sprzed dziesięciu dni. Nieznani sprawcy wypuścili na dworcu wrocławskim parędziesiąt kundli ze schroniska, ubranych w kaftaniki z napisem „Jestem delegatem na VIII Zjazd PZPR". Wszystko działo się w godzinach szczytu, między czwartą i piątą po południu, gdy na stacji co chwila przystają składy pośpieszne i podmiejskie. Po zatłoczonych peronach biegali milicjanci, z czapką w jednej, z pałką w drugiej garści, uganiający się za stadem wystrojonych piesków. Spanikowane zwierzęta puściły się w dziki slalom pomiędzy nogami i bagażem podróżnych, skamląc, ujadając, z podkulonym ogonem zwiewały przed obławą milicyjną. Dworcowa publiczność zanosiła się na ich widok od śmiechu.

Odwiedziłem dzisiaj dzielnicową bibliotekę, by poszukać czegoś na ten temat w starszych gazetach. Nigdzie nawet wzmianki. Czekają pewnie na raport milicyjny, by napisać o rozbiciu bandy kudłatych wywrotowców…

Stefan Kisielewski stwierdza w swoich podziemnych zapiskach, że komuniści są jak plemię afrykańskie, które nie widzi związku między kopulacją a porodem. Dodam od siebie, że gdyby tak faktycznie było, czerwoni próbowaliby to przekonanie narzucić wszystkim. Jeśli kiedyś powinie im się noga, to właśnie z tego powodu.

15 lutego 1980, Warszawa

Już po wszystkim. Zakończył się kongres partii. Odszedł Jaroszewicz, przyszedł Babiuch, Gierka wśród burzliwych owacji wybrano ponownie na pierwszego sekretarza. Dobry Boże, gdybym choć raz wiedział z góry, jakie liczby padną w totku, tak jak poznałem przebieg zjazdu przed jego rozpoczęciem!

Swoją drogą życie w Warszawie dostarczało w tych dniach nie lada przeżyć. Nigdy nie widziałem na ulicy tylu milicjantów naraz. Nie było zaułka, w którym człowiek nie natknąłby się na co najmniej dwóch. Przy każdym pomniku kręcił się jakiś szaroniebieski mundurowy. Najwięcej pod Pałacem Kultury i Nauki. Jakżeby inaczej, w końcu główne

show odbywało się w Sali Kongresowej. Na każde drzewo czy krzak w otaczającym Pałac parku przypadało po paru tajniaków. Cały plac i budynek były oświetlone niczym centrum Las Vegas. Nie pomyślałbym, że zwieźli aż tyle reflektorów. Po przeciwnej stronie, na dachach bloków przy Emilii Plater dzień i noc dyżurowali snajperzy. Hm, wszystko po to, by bronić władzy ludowej… Pytam się, przed kim? Chyba nie przed ludem?

18 lutego 1980, Warszawa

Znowu siedzę jak ten dureń w autoserwisie. Dopiero co kupiliśmy ciemnoniebieskiego malucha i od razu musiałem odstawić go do mechanika. Łącznie trzy razy w ciągu jednego tygodnia! Przyjaciele i znajomi pocieszają mnie, że to standard. W najbliższych miesiącach dowiem się pewnie, że wszystko jest do wymiany, więc powinienem trzymać sztamę z majstrami (to znaczy dobrze im posmarować) i prędzej czy później zrobią nam autko jak z zachodniej fabryki.

To samo dotyczy innych artykułów. Od półtora roku szukam kogoś skłonnego naprawić mi magnetofon MK 2500, produkowany na licencji Grundiga. Gwarancja oczywiście wygasła. Aktualnie męczy się z nim jeden zawzięty fachowiec prywaciarz.

Niecałe trzy tygodnie temu kupiliśmy do auta radiomagnetofon „Skald". Wczoraj oddaliśmy go do serwisu, bo bez przerwy wciągał taśmy. Montaż, demontaż, urwanie głowy. Przed trzema miesiącami skończyła mi się gwarancja na adapter do wieży hi-fi na licencji Lenco – sprzęt padł dzisiaj. Parę dni temu uszło nam powietrze z koła – okazało się, że źle zamocowano dętkę i opona wyłamała wentyl u nasady. Gwarancja jednak nie obejmuje takich przypadków. Od dwóch miesięcy, czyli w zasadzie od chwili odbioru malucha, czeka na wymianę przełącznik pod kierownicą. W serwisach go nie ma, trzeba się wpisać na listę. Jest do kupienia na niektórych stacjach benzynowych, ale czemu miałbym płacić, skoro mam prawo dostać za darmo?! Wczoraj przepaliła się prawa tylna lampa. Reperują ją od drugiej po południu. Nie mogą znaleźć przyczyny zwarcia od ponad dwóch i pół godziny.

Mam kilka pytań. Dlaczego licencjodawcy pozwalają, by w zakładach socjalistycznych produkowano na odczep się artykuły z ich marką i psuto w ten sposób renomę firmy? Czemu projekt i wykonanie rodzimych towarów podporządkowane są zawsze realizacji planu, a nie kryterium jakości? Towarzysze rzucają liczbami, ile to sztuk zjechało z taśmy, ale to, że produkt nie chce działać, nikogo nie obchodzi.

Zauważyłem, że wszystkie te upodlające przejścia w sklepach, serwisach i urzędach wyprowadzają mnie z równowagi dużo bardziej niż Polaków. Czasami patrzą na mnie ze zdziwieniem, nie pojmując, o co właściwie się wściekam i dlaczego rzucam. „Normalka" – machają ręką i czasem dodają, że nie ma sensu się wkurzać i psuć sobie nerwów, gdy człowiek i tak nic nie poradzi. Zachodzę w głowę, skąd u licha wszyscy ci ludzie biorą czas na bieganie po mieście, załatwianie, stanie w kolejkach. Jola i ja mamy wolne zawody, więc dla nas to nie problem. Ale większość pracuje przecież od i do! Najpewniej wpadają do biura, podpisują listę i szorują z powrotem do urzędu. Trudno w to uwie-

rzyć, ale petentów przyjmuje się tu w standardowych godzinach pracy, nie dłużej. Jeśli zatem ktoś ma sprawę w radzie dzielnicy, musi wybierać: urlop albo dezercja z roboty. Rozumiem, że podobne praktyki stosuje się też u nas, ale nie w tak ostentacyjny sposób. Koniec końców sam już nie wiem, dlaczego mnie to dziwi i czemu tak się unoszę…

21 lutego 1980, Warszawa

Ślicznie: Stany Zjednoczone postanowiły w ramach sankcji po sowieckiej interwencji w Afganistanie zbojkotować letnią olimpiadę w Moskwie. Rozległy się pomruki oburzenia! „Trybuna Ludu" rzuca z pianą na ustach oskarżenia o imperializm, zewsząd słychać urażone głosy. Tutejsze władze są szczególnie wściekłe, chodzą bowiem słuchy, że Polska dostała lukratywne kontrakty na remont i wykończenie stadionów. Podobno wszystkie obiekty miały być pomalowane polskimi farbami, a to nie byle jaki biznes. Oczywiście jeśli kontrahent zapłaci. A tak się składa, że Ruscy używają obietnic zamiast twardej gotówki, innymi słowy – figi z makiem, zwanej potocznie „rublem transferowym". Polski przemysł chemiczny kupuje ogromne ilości materiałów za dewizy, choćby do produkcji statków. Jeśli więc towarzysze mają w sercach krztynę patriotyzmu, powinni być radzi, że nie muszą malować Moskwy – za darmo.

22 lutego 1980, Warszawa

Rozmawiałem z Pawluczukiem, obiecał wysłać mi w końcu esej na temat życia literackiego Białostocczyzny i okolic Augustowa, obecności Białorusinów, Ukraińców, Karaimów i innych „egzotycznych" pisarzy w kulturze polskiej. Twierdzi, że już kończy i tekst będzie gotowy na początku marca. Uwierzę, gdy zobaczę. Csaba Gy. Kiss i redakcja czekają na niego od miesięcy. A ja muszę go jeszcze przetłumaczyć.

Andrzej Wróblewski zaczął solidnie działać w Lublinie. Zebrał się znakomity zespół, może jeszcze w tym roku uda im się uruchomić nowy kwartalnik pod nazwą „Akcent". Chcą się zajmować kulturą naszego małego środkowoeuropejskiego regionu. Z węgierskich „tuzów" zaprosili do rady redakcyjnej Pistę Kovácsa i Csabę Gy. Kissa, a ponieważ miastem partnerskim Lublina jest Debreczyn, zamierzają nawiązać współpracę z pismem „Alföld". Nie rozumiem tylko, dlaczego proszą mnie o pośrednictwo w tej sprawie, skoro Csaba i Pista mają kontakty w redakcji „Alföldu". Nieważne, zapytać zawsze mogę. Na zachętę Andrzej od razu zamówił u mnie tekst o młodej poezji węgierskiej. Pista napisałby to lepiej, muszę z nim pogadać. Jeszcze by mnie kto posądził, że się wymądrzam za plecami poety.

23 lutego 1980, Warszawa

Zastanawiam się, czy po odsunięciu Jaroszewicza nadal będą krążyć dowcipy na jego temat. Tak czy inaczej żal go było oglądać w telewizji. Nie żebym chciał bronić byłego

premiera – zrobią to za mnie inni – ale losy aparatczyków wprawiają mnie czasem w melancholię. Skoro nawet „wielki Stalin" miał po śmierci adwokatów, wiernych naśladowców, Jaroszewiczowi też należy się jakiś apologeta. Także za Gomułką się wstawiano, znaleźli się chętni przywdziać togę i perukę, zrehabilitować, przemilczeć błędy, podkreślić i docenić – na początku cicho – zasługi towarzysza „Wiesława" dla ojczyzny, narodu, światowego proletariatu. Dlaczego więc mielibyśmy się obawiać o innego serwilistę Moskwy? Czarny Piotruś, jak nazywa go pobożny lud, przegrał swoją partię. Pamiętajmy przy tym, że w Piotrusia grają dzieci i gdyby Jaroszewicz trzymał się swojej roli, nie straciłby tak wiele. On jednak zagrał w pokera i to takiego, w którym za błędy płaci się głową. Ostatni blef premiera polega wszakże na tym, że przeżyje egzekucję. Swoją drogą, cóż to są za widowiska: łby potępieńców wpadają do koszy, tryska krew, deski teatralne posypuje się grubą warstwą trocin – wstrząsający spektakl. Trupy osuwają się z pieńków, ktoś krząta się wokół nich z zasłoną, nie widać wyraźnie, co się dzieje. Choć właśnie teraz robi się ciekawie! Z osieroconego kołnierza – patrzcie! patrzcie! – wyłania się świeżo odcięta łepetyna. Wydaje się, że to hydrę, nie człowieka, skrócono o głowę.

Mówiąc krótko, dekapitacja poszła na marne. Hydry wypuszczają nowe kończyny, jeśli trzeba, także łeb, nie da się ich zgładzić mieczem. Gdy jednak pozbawimy je naturalnego środowiska, prawdopodobnie wcześniej czy później wydadzą ostatnie tchnienie. Sęk w tym, że nie można robić tego powoli, bo wtedy aklimatyzują się w nowych warunkach. Rację miał Kossuth, a nie biedak Széchenyi[1]. Hydrę należy uśmiercić szybko, rewolucyjnymi środkami, nawet jeśli jej krew przyjdzie nam opłacić swoją. Nie wierzę w żadne „bezkrwawe rewolucje". Gdyby Jezus w nie wierzył, nie przybito by go do krzyża i nie powstałoby chrześcijaństwo.

Hydra bolszewicka nie tylko stale odżywa, ale jest też nienażartą bestią. W beatlesowskim filmie *Żółta łódź podwodna* występuje wiecznie głodne żyjątko morskie. Na początku łapie małe rybki, a gdy te się skończą, poluje na większe. Z czasem zaczyna brakować również ich, a że stworzenie rośnie i wzbiera w nim apetyt, pochłania całe morze, do ostatniej algi. Wiedzione rozkazem burczącego brzucha, wypija następnie oceany, pałaszuje lądy, bierze na ząb całą kulę ziemską. W końcu zostaje w kosmosie samo jak palec. Widzi swój ogon i chaps, bierze go do pyska. Gdy koniuszek ust znika w jego ustach, robi się cicho, stworzenia już nie ma. Genialne! Tak się kończy każda niepohamowana ideologia.

No, na dzisiaj dość o Jaroszewiczach, hydrach i Związku Sowieckim.

---

[1] István Széchenyi (1791–1860) – węgierski arystokrata, pisarz i jeden z największych reformatorów. Stał na czele ruchu wolnościowego, utracił wpływy na rzecz Lajosa Kossutha. Kontynuował jednak działalność polityczną i doszedł do rangi ministra w pierwszym autonomicznym rządzie węgierskim. Jeden z fundatorów Węgierskiej Akademii Nauk. Autor nowatorskich rozwiązań gospodarczych, transportowych i społecznych, które opisywał w swoich książkach. Z jego inicjatywy wybudowano m.in. most łączący dwie części Budapesztu – dziś znany jako most Łańcuchowy. Troska o losy ojczyzny sprawiła, że podupadł na zdrowiu psychicznym. Popełnił samobójstwo w szpitalu psychiatrycznym w austriackim Döbling.

24 lutego 1980, Warszawa

Chciałem napisać, że byliśmy wczoraj w „starej, poczciwej" Stodole, ale dotarło do mnie, że budynek ma ledwie dziesięć lat. Niby przestronny i nowoczesny, ale do dawnego się nie umywa. Co się stało z tą ciasną, cuchnącą, zadymioną, niebiańską meliną, w której siadywaliśmy na beczkach przy ciężkich, nieoheblowanych stołach? Gdzie się podział niski, wybrzuszony strop z belek i dokąd uciekli prawdziwi studenci?

Dzisiejszych bywalców Stodoły można nazwać co najwyżej „uczącą się młodzieżą" – a i to z pewną przesadą! Mógłbym się założyć, że przynajmniej połowa tych ludzi, jeśli nie więcej, w życiu nie słyszała o czymś takim jak wyższa edukacja. Niestety także druga połowa, studiująca, nie wystawia sobie najlepszego świadectwa: snobują się na słuchaczy uniwersytetu, ale w gruncie rzeczy to amatorzy dyskotek. Ożywione manekiny z wystawy sklepowej. Jeśli przyjrzeć się bliżej ich ubraniom, całej tej niedbałej elegancji, okazuje się, że noszą ciuchy, na które musieliby wydać dwuletnie stypendium. Przysłuchawszy się rozmowom młodych, szybko dostajemy wyjaśnienie: pracują i stąd mają pieniądze. Rzecz jasna nie w kraju, ale na Zachodzie! Każde wakacje czy ferie spędzają w Europie Zachodniej albo w USA, gdzie można przez ten czas wyciągnąć tysiąc dolarów, czyli sto tysięcy złotych. Pracowity student ma więc odłożony tysiączek na każdy miesiąc roku akademickiego i może się poświęcić wyłącznie nauce i zabawie, trwonić forsę zarobioną w pocie czoła na zmywaku, plantacji truskawek albo z miotłą w ręce. To jednak zdarza się rzadko. Przysłowie, które mówi, że pieniądz najlepiej liczyć, a żonę bić, straciło na aktualności, teraz pieniądzem należy obracać, a z żoną się rozwieść. Jeśli nasz student ma trochę oleju w głowie, kupuje za granicą to, czego w Polsce nie ma, i rzuca na tutejszy rynek, daruje w ten sposób swoim stu tysiącom złotych nowe życie.

Nie mam najmniejszego zamiaru potępiać tych młodych, ich postawa świadczy w końcu o zaradności życiowej. Niepokoi mnie tylko, że już wkrótce wszelkie rozmowy dorastającej inteligencji będą dotyczyć spraw materialnych. Czuję, że nie łączą ich żadne idee, a jedynie wspólne zmartwienia. Beatnicy i hipisi działali w świecie względnie uniwersalnych wartości i nie przypadkiem wywodzących się z tej grupy muzyków i artystów, dwudziestolatków przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nazywa się dziś „wielkim pokoleniem". Mieliśmy wspólne ideały, a o forsie zaczynaliśmy myśleć na poważnie około trzydziestki. Minęła ledwie dekada i nie tylko młodzi w wieku studenckim, ale już i nastolatkowie oglądają się ciągle za zarobkiem, interesem.

Czy dożyjemy tego, że nawet przedszkolaki chętniej posłuchają informacji giełdowych niż bajki, a ich lepkie paluszki będą uderzać w klawisze komputera zamiast tarmosić zabawkę?

Jest jeszcze inne ciekawe zjawisko, tak zwani wieczni studenci. Do dobrego tonu należy teraz kończenie cztero- czy pięcioletnich kierunków w dekadę. Dziekanka, urlop zdrowotny – każdy powód i wykręt dobry, byle tylko utrzymać status studenta. To się opłaca! Bo przez cały okres nauki jest się zwolnionym z podatków, korzysta się

z ulg i wolnych wakacji. A do tego można dłużej cieszyć się młodością, co wydaje się na pierwszy rzut oka fajną sprawą, ale z drugiej strony człowiek od tego dziecinnieje. Póki jesteś studentem, wybacza ci się ciągłe imprezy, lekkomyślność, lenistwo. Po trzydziestce jednak stajesz się już śmieszny. Małżeństwo i założenie rodziny to coś, co dzisiejsi młodzi zdają się odkładać bez końca na przyszłość. Rośnie liczba trzydziestolatków, którzy ciągle żyją na mamusinym wikcie, mieszkają z rodzicami, mają zawsze podane do stołu, uprane, wyprasowane, posprzątane. Pozują na niezależnych biznesmenów, gonią za karierą, choć sami nie wypraliby sobie choćby skarpet ani nie usmażyliby jajecznicy. Pod wieloma względami stają się coraz bardziej infantylni. Jeśli tak dalej pójdzie, zamienimy się w Amerykanów, którzy nawet po czterdziestce zachowują się jak nastolatkowie.

Rany, przecież młodzi Węgrzy z epoki reform mieli po dwadzieścia lat, gdy wchodzili do rządu i byli już światłymi, odpowiedzialnymi przywódcami! Strach pomyśleć, jak bardzo świat cofnął się w rozwoju!

Mimo wszystko bawiliśmy się świetnie w towarzystwie tej „zapóźnionej" młodzieży w ciągle jeszcze renomowanym warszawskim klubie…

3 marca 1980, Budapeszt

Mój stosunek do Budapesztu i Węgier przypomina relację krewnego z dalekiego miasta i rzadko widywanych bratanków czy siostrzeńców: „Aleś, Istvánku, urósł, od kiedy cię ostatnio widziałem!". Poza tym w porównaniu z dość szarą i monotonną Warszawą węgierska stolica robi wrażenie miasta zachodniego …

Asperján znowu mnie wkurzył, gdy zażądał znaczących poprawek do *Jodeł*, mojego słuchowiska z wątkiem 1956 roku. Już drugi raz to robi! Gdybym przyjął wszystkie jego sugestie i rady, tekst zamieniłby się w politycznie słuszne gówno, obłudną szmirę pełną przemilczeń i przeinaczeń, tymczasem moim celem było pokazać, o ile to możliwe, że niewypowiedziane słowa zatruwają nasze życie, wprowadzają stan niepewności w najbardziej nawet zżytych rodzinach i kręgach przyjaciół, uniemożliwiają szczery dialog między ojcem i synem. Jeśli nikt nie podzieli się z młodym pokoleniem prawdą o swoim losie, będzie ono skazane na te same błędy, które popełniali rodzice.

O czym mówią *Jodły*?

Skoro i tak całe przedsięwzięcie może spalić na panewce, przynajmniej tutaj opiszę sztukę w paru słowach.

Grupa uczniów przed maturą, między trzecią i czwartą klasą liceum. Dla wielu z nich to mogą być ostatnie wakacje w życiu, bo nie pójdą na studia (z własnej albo cudzej woli), za rok zaczną pracę i zamiast dwóch miesięcy laby dostaną dwa tygodnie urlopu. Jeden z rodziców, Géza, człowiek z odpowiednimi układami, proponuje młodzieży spływ tratwą po Cisie, od granicy sowieckiej aż po Szeged. Wyruszają w dziesięć osób, Géza, jego syn Tamás z dziewczyną Évą i jeszcze pięciu chłopaków i dwie dziewczyny. Młodzi chodzą do jednej klasy. Géza planuje na trasie postoje

w miejscach, które łączą się z węgierską historią i kulturą. Odwiedzą pomniki i przypomną sobie związane z nimi wydarzenia. Będzie to swojego rodzaju „trening" tożsamości narodowej.

Pogoda jest piękna, przez cały dzień można siedzieć na tratwie w samych kąpielówkach. Już pierwszego dnia Éva zauważa pod lewą łopatką Gézy ciemną wypukłość. Zaciekawiona, pyta o nią. Mężczyzna odpowiada, że to ślad po wypadku z dzieciństwa. Tamás jednak zdradza dziewczynie, że chodzi prawdopodobnie o szrapnel z czasów rewolucji 1956 roku. Rana zarosła, a ojciec nie chce wyciąć odłamka, choć czasem miewa z jego powodu bóle. Éva parę razy próbuje namówić Gézę, by opowiedział o tamtych wydarzeniach i swoim udziale. Także Tamásowi nie daje to spokoju, ale w końcu tylko macha ręką: stary milczy jak grób, nic się z niego nie wyciągnie! Pozostali również dają się ponieść wyobraźni, każdy ma swoją opinię, choć tak naprawdę nie mają pojęcia o rewolucji. Na tratwie toczą się coraz gorętsze dyskusje, o wolności i odkrywaniu prawdy historycznej, czemu sprzyjają odwiedzane miejsca pamięci związane z powstaniami Rakoczego, zrywem 1848 roku oraz innymi wydarzeniami.

Akcja słuchowiska rozgrywa się w dwóch przestrzeniach czasowych. W drugiej z nich cofamy się do października i listopada 1956 i śledzimy losy Gézy. Dowiadujemy się, jak uciekł z domu, gdzie, kiedy i w czym brał udział, gdy miał tyle samo lat co teraz jego syn i reszta młodych. Słuchacz może się domyślić, że chłopak nie uczestniczył w walkach, bo nie był w stanie pociągnąć za spust i zabić człowieka. Wydarzenia te pozostawiły mu jednak bolesną pamiątkę – szrapnel. I całe mnóstwo pytań.

To właśnie od nich stara się teraz uciec, choć na większość i tak dostał już odpowiedź. Brak szczerości wywołuje nieufność u młodych, wywodzących się na domiar złego z rodzin o różnych tradycjach. Chętnie usłyszeliby jego opowieść, on jednak nie ma do tego odwagi. Przeciągająca się dyskusja, przykra i bezcelowa, na tyle zatruwa atmosferę, że po dotarciu do Szolnoku wszyscy mają serdecznie dość wycieczki. Każdy idzie w swoją stronę, także Tamás wybiera towarzystwo Évy i Géza zostaje sam. Stoi na brzegu Cisy, patrzy na pustą tratwę, którą nie udało się dopłynąć do zamierzonego celu, za jego plecami rozciąga się płaski krajobraz nizinny, w oddali widać jodły. Rozczarowany, chwyta siekierę i zaczyna ze złością i łzami w oczach rąbać tratwę na kawałki.

Koniec.

Czuję, a nawet więcej – jestem pewien, że sztuka miałaby piorunujący efekt. Jasne, że emisja wiązałaby się z dużym ryzykiem, nie jestem idiotą, zdaję sobie sprawę, w jakim świecie żyję. Ale czy to oznacza, że mam ją wykastrować?! Niech już lepiej sobie leży na dnie szuflady!

Na szczęście mam też zlecenie od Ivána Báby – adaptacja opowiadań Pastuszka dla radia. No, przynajmniej one są politycznie bezpieczne. Choć z drugiej strony, gdybym był w skórze towarzysza Aczéla, zastanowiłbym się dwa razy, czy w najlepszym z możliwych ustrojów, socjalizmie, mogą istnieć peryferia? Jeśli dopuścimy taką

ewentualność, zniszczeniu ulegnie pewien wytrwale tworzony sielankowy obraz rzeczywistości. No chyba że istnienie peryferii złożyć na karb zgniłego kapitalizmu i jego kreciej roboty. Tak czy inaczej, Pastuszek może się jednak okazać problematyczny, bo wszyscy jego bohaterowie lawirują na marginesie społeczeństwa, w realiach rodem z powieści Endrego Fejesa czy ballady *Villa Negra*.

14 marca 1980, Warszawa

Z początku myślałem, że to koszmarna pomyłka. Niestety, okazało się, że nie: osiemdziesiąt siedem osób zginęło dziś w katastrofie lotniczej w pobliżu warszawskiego lotniska. Ił-62 „Mikołaj Kopernik" wracał z Nowego Jorku. Na pokładzie była znana piosenkarka Anna Jantar, reprezentacja amerykańskich bokserów amatorów… Nikt nie przeżył. W radiu powiedzieli, że w czasie lądowania eksplodowała lewa turbina i maszyna straciła sterowność.

Wieczorem okazało się, że z moich znajomych stewardess żadna nie leciała tym samolotem, ani Halina Jozajtis, ani Elka Szeratics. Później, gdy odczytywali nazwiska, jedno wydało mi się znajome. Ela Grabowska, poznałem ją na imprezie u Haliny… Boże, była taka młoda!

Nie bez powodu modlę się za każdym razem, gdy lecę do Budapesztu albo Warszawy…

17–21 marca 1980, Słupsk

Ranowie, Wieleci, Obodryci, Kaszubi – plemiona słowiańskie zamieszkujące Księstwo Pomorskie w czasach, gdy my, Węgrzy, przybyliśmy do Kotliny Panońskiej. Czy nasi przodkowie wiedzieli o ich istnieniu, a jeśli tak, to co? A może ich mglista wiedza kończyła się na Lędzianach i Wiślanach? Ma rację Thomas Mann, że studnia przeszłości jest niezwykle głęboka… Wikingów, nazywanych też Waregami, nasi wodzowie mogli znać bardzo dobrze, w końcu za panowania Almosza[2] i Arpada rządzili oni jeszcze w Kijowie. W tym czasie należał też do nich praktycznie cały obszar bałtycki, na polskim dziś wybrzeżu, od Wolina po Łebę, zakładali małe i większe osady o charakterze wojskowym czy kupieckim. O mieszkańcach Pomorza Węgrzy w jedenastym wieku mogli więc nie tylko słyszeć, ale też zetknąć się z nimi osobiście w okolicach Kijowa. Niewykluczone, że stało się to już wcześniej, jeszcze w okresie osadnictwa w Etelköz[3]. Tym bardziej że wikingiem – podobnie jak Węgrem – był w zasadzie każdy, kto się za takiego uważał, a zatem teoretycznie także Słowianin. Albo potomek Sarmatów.

---

[2] Almosz (Álmos, ok. 820–895) – wódz plemion, z których wywodzą się Węgrzy. Ojciec Arpada, założyciela dynastii Arpadów.

[3] Etelköz – terytorium zamieszkiwane przez Węgrów przed przybyciem do Kotliny Panońskiej, położone między Donem a Dunajem.

Pijemy z Wieśkiem Rembielińskim w jego gospodarstwie, jakieś dziesięć kilometrów na zachód od Słupska, a spożyta wódka skłania nas do coraz śmielszych hipotez historycznych. Na moją uwagę o „potomku Sarmatów" Wiesiek podnosi głowę:

– Wierzysz w to, że przodkami Polaków, a przynajmniej ich części, byli Sarmaci?

Jakżeby inaczej, zapalam się i próbuję wyłuszczyć mu swoją teorię. Brzmi ona następująco: Sarmaci byli takim samym plemieniem konnych koczowników, wschodnich nomadów jak Hunowie, Awarowie czy Węgrzy, wyrośli zresztą na wspólnym korzeniu scytyjskim. Pojawili się w Kotlinie Panońskiej w pierwszym wieku naszej ery, zawarli sojusz z Hunami i żyli tu jeszcze za czasów awarskich. Następnie część z nich przesiedliła się do północnych Włoch, inni zostali wchłonięci przez ludność miejscową, a jeszcze inni – Roksolanie i Jasowie – wyruszyli zgodnie z legendą na Północ i przeszli Karpaty. Historycy są zdania, że od tego czasu ślad po nich zaginął. Ja uważam inaczej. Prześledźmy choćby marszrutę zaciężnych oddziałów pomocniczych armii rzymskiej (*auxiliares*) w czasach stopniowego rozkładu imperium! Tysiące z nich dotarły do Odry! W tym także synowie tak odległych ludów jak Galowie, Celtowie, Walijczycy, a w pierwszym rzędzie naturalnie także Sarmaci! W zbiorze dokumentów z połowy dziewiątego wieku Geograf Bawarski pisze o zamieszkujących okolice Gniezna Polanach, że odziani w kościane pancerze wodzowie tego dumnego i walecznego plemienia hodowców bydła niechętnie schodzą z konia, latem sypiają w wojłokowych namiotach o drewnianej konstrukcji, zimą zaś w chatkach na brzegach rzek i jezior. Rządzą twardą ręką swoim ludem, który mówi w innym niż oni języku. Mało tego, niemiecki mnich nazywa Bałtyk Morzem Sarmackim. Jego opis Polan mógłby być równie dobrze charakterystyką Węgrów. Słowianie jednak nigdy nie byli konnymi nomadami. A poza tym dlaczego Bawarczyk miałby kłamać, skoro był mnichem? Inne jego prace mamy traktować jako wiarygodne, a tej jednej nie?

Ciągłość tradycji huńsko-awarsko-węgierskiej jest uważana za fakt we wszystkich naszych legendach. Dopiero w dziewiętnastym wieku zaczęli ją kwestionować poplecznicy Wiednia. Ciekawe, że działo się to w tym samym czasie, gdy zachodni, a głównie niemieccy historycy wyśmiewali szlachtę polską za jej przekonanie o korzeniach sarmackich. No jasne! W obu wypadkach chciano nam odebrać prawo do dawnej, znakomitej przeszłości. Oficjalnie w imię nauki. O jaką naukę tak naprawdę chodzi, zdradził najlepiej jeden nasz minister kultu Ágoston Trefort[4], który w latach siedemdziesiątych minionego wieku miał powiedzieć – tu cytuję jego słowa Wieśkowi – iż Węgrom potrzeba teraz krewnych europejskich, ten więc, kto czyni trudy, by ich znaleźć (czytaj: ugrofiniści), otrzyma wszelkie wsparcie, ten zaś, kto głosi „fantasmagorie" (o tradycji huńsko-awarsko-węgierskiej), niech nie liczy na nic. Jedną teorię poparto, drugiej zakazano – toż to czysta polityka, a nie żadna nauka!

[4] Ágoston Trefort (1817–1888) – polityk węgierski, od 1872 r. minister religii i edukacji, w latach 1876–1878 minister rolnictwa, przemysłu i handlu, prezes Węgierskiej Akademii Nauk.

I tu właśnie wychodzi szydło z worka! Proszę, Węgrzy przybywają, by osiąść na nowej ziemi, a ściślej mówiąc – odzyskać włości Attyli[5] i kagana Bajana[6], walczą z każdym, kto im się nawinie pod rękę, z wyjątkiem sąsiadów zza północnych rubieży. W tamte rejony się nie zapędzają, nie organizują ekspedycji. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: tradycja była dla nas rzeczą świętą. A wedle niej za miedzą mieszkali pobratymcy. A że mówili obcą mową? I co z tego? Jasowie, Roksolanie, Massageci, wszyscy oni posługiwali się językami z rodziny irańskiej, a jednak Hunowie, Awarowie i Węgrzy uważali ich za braci. Bułgarzy mówią po słowiańsku, ale znaczna część ich genów, kultury, muzyki wskazuje mimo wszystko na korzenie tureckie. I jakoś nikt tego nie kwestionuje. A tak w ogóle, kto był Węgrem, a kto Polakiem? Otóż ten, kto się za takiego uważał. Nie decydował język, ale obyczaje. Także w wypadku Polaków mogło dojść do wyparcia jednej mowy przez drugą: sarmacki mężczyzna walczył, a jego słowiańska żona wychowywała w domu dzieci. Wystarczyły dwa pokolenia, by ich potomkowie mówili wyłącznie po słowiańsku.

– Weźmy przykład mojego psa – dworuję sobie – który jest wprawdzie wyżłem angielskim, ale jednak Węgrem, a do tego mieszka w Polsce! I nauczył się obu języków!

À propos. To niesłychane, że my, Węgrzy, zachowaliśmy naszą mowę. Tak więc uważam, że jesteśmy krewniakami. Przez tysiąc lat łączyła nas z Polakami jedna z najdłuższych granic w Europie i nie dochodziło tu do żadnych poważniejszych spięć. Było za to wiele małżeństw mieszanych, koligacji rodzinnych, wspólnych interesów militarnych, wzajemnej pomocy w trudnych sytuacjach. I niech ktoś wreszcie zbada, dlaczego Polacy tak mocno się wyróżniają na tle innych Słowian, jeśli chodzi o mentalność, zwyczaje, temperament!

– Tak, tak, te nasze krewkie babki na przykład! Herodot twierdził, że Sarmatki walczyły i polowały u boku mężczyzn – puszy się Wiesiek, jakby i jemu jedna z nich przypadła w udziale.

– Jakżeby inaczej, pisze też, że przypominały mu Amazonki. Te bowiem, nim wyszły za mąż, walczyły zupełnie jak mężczyźni! Być może stąd się bierze u Polek ten ich charakterek – mrugam do niego ironicznie.

Rozumie przytyk, sam przecież uciekł przed żoną na odludzie, do kupionego za grosze gospodarstwa poniemieckiego. On, warszawski doktor praw, jeszcze do niedawna prowadził mały zakład, obsługiwał wtryskarki. A potem nagle zapragnął uwolnić się od żony, której wszystkiego było wiecznie mało, kupił opuszczoną farmę, spakował najpotrzebniejsze rzeczy i przyjechał tutaj. Zakład przejęła kobieta, z którą teraz się rozwodzi. On zaś kupił kilka książek o hodowli owiec i zamierza wynająć sobie rozległe pastwisko, a potem wypędzać na nie małe stadko. Na razie trzyma pięć sztuk, na pokaz. Do tego kaczki, gęsi, kury. Sześciohektarowe gospodarstwo naprawdę robi

[5] Attyla (406–453) – wódz Hunów.

[6] Bajan I – stał na czele Awarów, ludu wywodzącego się z Azji Mniejszej i zasiedlającego w VI i VII w. obecne tereny Węgier.

wrażenie: otoczone lasem i wzniesieniami, do tego dom z klinkierowej cegły, z zabudowanym poddaszem, całość może mieć dobrych dwieście metrów kwadratowych. Poza tym obora z muru pruskiego na czterdzieści krów, ceglane, pokryte dachówką chlewy, nawet drób ma kurniki murowane. Budynki są trochę zniszczone, widać, że od czasów niemieckich nikt ich nie naprawiał, co najwyżej używał. Ale przy odrobinie wysiłku można je wyremontować. I właśnie to zamierza zrobić Wiesiek. Jest tu sam od dwóch miesięcy. W strasznych warunkach. Dom, zamieszkiwany wcześniej przez starych, niedołężnych ludzi, zagracają pokryte wiekowym kurzem, skrzypiące i ciężkie rzeźbione meble, wszystko aż lepi się od brudu, w zlewie piętrzą się nieumyte naczynia, niektóre zaczynają pleśnieć. Widok klozetów też nie do opisania. Gospodarz pierze w wiadrze i miednicach koszule, gacie i skarpety, a następnie rozwiesza je na sznurach w całym domu. Na gwałt potrzeba tu kobiecej ręki.

Notabene żona Wieśka pytała nas parę dni temu, czy wiemy, co się z nim dzieje, bo od tygodni nie ma żadnych wiadomości, rozwód rozwodem, ale martwi się o męża, zaszytego w głuszy pięćset kilometrów od Warszawy, „gdzie diabeł mówi dobranoc", jak powiedzieliby Polacy. Przyszedł mi do głowy sprośny pomysł, gdy w przerwach od rozpoczętego po południu pijaństwa robiłem zdjęcia okolicy i budynkom pełnym rupieci malarskich. Cykałem wstrząsające socjoobrazki, aż w którymś momencie w obiektyw wlazł mi Wiesiek – w starych szturmówkach, podartej kurtce watowanej, gumofilcach i kretyńskim berecie idealnie komponował się z tutejszym krajobrazem. Oczywiście celowo robi z siebie wioskowego lumpa. Skoro tak, pomyślałem, walnijmy z grubej rury: powiedziałem, żeby przyniósł jakąś owcę i poudawał zoofila. Zaczął rechotać i spytał, po jaką cholerę.

– No, uwiecznimy na zdjęciu dla mieszczuchów, jak ci mija życie – wzruszyłem ramionami, chichocząc razem z nim.

Nie dał się namawiać: złapał jedną z owiec, tylne pęciny włożył sobie w gumiaki i zsunął spodnie, ja zaś zdjąłem ich tak, by akt wyglądał wiarygodnie.

– Pokaż to zdjęcie mojej drogiej małżonce! – zanosił się od śmiechu Wiesiek. – Ale nie przy dzieciach, bo jeszcze wezmą na serio…

Obaliliśmy trzy półlitrówki, rozkładając na czynniki pierwsze nasze mity i prastare historie. Koło północy przeszło całe obrzydzenie do brudnej kanapy, która przypadła mi za posłanie. Szarawą, zatęchłą poduszkę owinąłem ręcznikiem, wśliznąłem się do śpiwora i pogrążyłem we śnie. Money nie zważał na czystość: zwinął się w kłębek na wyliniałym kocu przy moim łóżku.

Rano Wiesiek uraczył nas chłodzonym w studni piwem, zjedliśmy i ruszyliśmy łowić pstrągi w potoku. Niestety nie pamiętam jego nazwy. Znalazłem się w dzikim, sielankowym otoczeniu, krystalicznie czysta woda, sięgająca czasem po kolana, to znów po uda, szemrała wśród głazów morenowych. Na sam jej widok wyparowały ze mnie resztki kaca. Money pił wielkimi haustami, najchętniej zanurzyłby się cały, ja jednak kazałem mu zostać na brzegu. Wiesiek łowił sportowo: raz po raz zarzucał wędzisko, pieczołowicie zmieniał sztuczne muchy. Nie złapał niczego. Ja zresztą też. Czekałem

tylko na moment, gdy oddalimy się od siebie na tyle, bym mógł założyć na haczyk coś lepszego. W końcu skryłem się za zakrętem potoku. Wylazłem na brzeg, co było dobrym pomysłem, bo w zimnej wodzie zaczęły przemarzać mi nogi, i to mimo sięgających ud gumiaków i wełnianych skarpet. Grzejąc zdrętwiałe kończyny, podnosiłem kamienie przybrzeżne i wybierałem spod nich robaki. Następnie znalazłem dość duży i na oko głęboki wir. Zapuściłem w niego haczyk z wijącą się glistą. Po kwadransie miałem w torbie pięć pstrągów długich na łokieć. Usiadłem na rozpalonym od słońca kamieniu i wyciągnąłem papierosa.

Nie zdążyłem go dopalić, gdy ujrzałem brnącego w moją stronę Wieśka.

– No co jest, poddałeś się?

– A co, złapałeś coś?

– Miałem jedną okazję, ale schrzaniłem zacięcie… – Klapnął koło mnie zadyszany. Poszperał w torbie. – Napijmy się piwa, a potem spróbujemy znowu.

Zapalił papierosa, łyknął piwa. Po chwili zorientował się, że mój pies obwąchuje wbity między kamieniami kołek i zielony sznurek od worka. Nachylił się i pociągnął.

– A niech mnie! – zdumiał się. – Czemu się nie chwalisz? Na jakie muchy to złapałeś?

– Na nieloty. – Pokazałem mu puszkę po konserwie, pełną tłustych, wijących się dżdżownic. – O takie, kolego!

– Ożeż ty! To karalne! A do tego niesportowe! – obruszył się mój przyjaciel.

– Ale za to skuteczne! – wyszczerzyłem zęby. – Ale jeśli nie chcesz jeść niesportowo złowionego pstrąga, twoja sprawa…

Zakazał mi na przyszłość „kłusowania". Całą drogę do domu się boczył, ale w końcu pozwolił przyrządzić rybę po mojemu. Zaoferował, że na tę wyjątkową okazję wyszoruje dużą patelnię. Ja jednak poprosiłem, by napalił w kominku, bo pstrąga upieczemy na ruszcie. Na szczęście miał w domu folię aluminiową. Natarłem ją masłem, ryby posypałem vegetą, nadziałem pietruszką i trawą cytrynową i zawinąłem w kawałki folii. Podpałka sosnowa szybko zamieniła się w żar, umocowałem nad nią zardzewiały, lepki od zaschniętego tłuszczu rożen, a na nim pstrągi. Po dwudziestu minutach mogliśmy rozpakować smakowicie pachnące zawiniątka. Nasze żony przypuszczalnie dostałyby zawału, widząc, w jakich warunkach przygotowaliśmy sobie żarcie, my jednak zjedliśmy ze smakiem po dwie rybki na głowę. Piątą, której nie daliśmy rady w siebie wmusić, pokroiłem dla Moneya.

– I mówią, że w Polsce ludzie głodują! – Wiesiek pokręcił głową. – A tu proszę, nawet pies zajada się wykwintną rybą!

Fakt faktem. Ludziom na wsi łatwiej tu przetrzymać kryzys. Ponad osiemdziesiąt procent ziemi zostało w rękach prywatnych i jeśli tylko coś się uprawia, gospodarz się wyżywi. Trzeba jednak wiedzieć, że w obecnej sytuacji niewielka ilość plonów czy mięsa trafia do miasta. O maszyny rolnicze trudniej niż o samochód. Czasem latami czeka się na głupi traktor. Są za to konie. I to najwięcej w Europie: półtora miliona. Nie są może najwydajniejszym narzędziem, ale to dobrzy kompani do pracy, na utrzymanie rodziny wystarczy. Nawozy są przeważnie naturalne, bo te sztuczne, podobnie

jak środki ochrony roślin, sprzedaje się na talony albo w peweksie za dewizy. Ma to swoje zalety, bo produkty są zdrowe, ich konsument nie zamieni się po czasie w chodzące laboratorium. Odpowiedzialne za skup spółdzielnie nie przejmują się zbytnio warunkami w umowie, płacą rolnikom zgodnie z dyrektywą „z góry". Ci, rzecz jasna, starają się podpłacić kierownika punktu, by tanio bo tanio, ale przyjął od nich także nędznej jakości towar.

Są też poważniejsi przedsiębiorcy, tak zwani badylarze (w języku węgierskim najlepiej chyba pasowałoby do nich żargonowe określenie *zöldségpecér* – jarzyniarz). Specjalizują się w warzywach z przydomowego ogródka, głównie pomidorach, ale wielu uprawia też kwiaty pod folią albo w szklarni. Zdarzają się wśród nich handlarze jajami czy hodowcy drobiu. Pozostaje zagadką, skąd mają pieniądze na większe inwestycje. Wedle popularnej plotki znaczna część badylarzy to emerytowani bezpieczniacy albo ich krewni. Do tego stoją za nimi ludzie z handlu zagranicznego. Osobiście znam paru takich gości z grupy myśliwych Piotrka. Niedaleko Warszawy, w okolicach Grójca rosną ogromne prywatne sady owocowe; u kilku gospodarzy widziałem tak wielkie chłodnie, że u nas wystarczyłyby małej spółdzielni rolniczej. Przyjeżdżają do nich po towar ciężarówki z firm zachodnioniemieckich i z Sovtransavto. Klientów załatwia szwagier właściciela, przedstawiciel handlowy Horteksu, eksportera z branży przetwórczej… Znam też jednego kwiaciarza. Ma piękne gerbery i róże, regularnie przyjeżdża po nie transport z Holandii. Jego kuzyn jest dyplomatą w ojczyźnie wiatraków, a dokładnie – radcą gospodarczym w ambasadzie polskiej. Ten z Grójca jeździ volvo, a kwiaciarz mercedesem. Akurat ta warstwa społeczeństwa nie przejmuje się zbytnio kryzysem gospodarczym. W końcu nawet aparat partyjny zaopatruje się u nich…

Efekt? Chłopi część produktów przeznaczają na własny użytek, wymieniają się nimi między sobą, a część na sprzedaż. W życiu nie jadłem tyle cielęciny co teraz w Polsce, kraju, gdzie mięso sprzedaje się na kartki! A do tego nie muszę nawet wychodzić z domu. Raz w tygodniu zjawia się miła pani ze wsi, „babcia", i chodząc z wielkimi siatami od klatki do klatki, oferuje świeżą cielęcinę, wołowinę, kaczki, gęsi, kury. Sprzedaje po cenach o piętnaście–dwadzieścia procent wyższych niż sklepowe.

Mój pies pałaszował więc pstrągi w samowystarczalnej wiosce.

Nazajutrz Wiesiek pojechał pertraktować w sprawie owiec, mnie zaś „wcisnął" na cały dzień miejscowemu leśnikowi, który nazywa się tak samo jak doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa – Brzeziński. Człowiek zapakował mnie do kosza starego junaka i zawiózł do swojej bazy, ulokowanej w poniemieckiej, zjawiskowo pięknej leśniczówce nad brzegiem niewielkiego, za to głębokiego jeziora. Niecierpliwie wyczekiwałem końca śniadania – jajecznicy zakrapianej wódką – bo nawet urok i serdeczność pani domu nie mogły mnie odwieść od myśli o szczupakach. Na szczęście gospodarz musiał pójść do lasu rozmówić się z ekipą drwali, ja zaś z miejsca wskoczyłem do małej, zwrotnej łódki i skierowałem się w miejsce, gdzie wedle zapewnień leśnika ryby biorą najlepiej. Rzuciłem kotwicę niemal w samym środku jeziora. Moneya zostawiłem na brzegu, nakazawszy mu, by zajął się sobą i czekał.

Zabawa była przednia! W bajkowej scenerii próbowałem najpierw łowić „na dorożkę", ale że skutek był marny, przerzuciłem się na żywą przynętę, skazałem przy tym na tortury kilka biednych, drobnych karasi. Podziałało: w godzinę złapałem trzy szczupaki o kapciowatych łebkach, każdy z nich ważył co najmniej dwa kilo. Pewnie złowiłbym więcej, ale mój zdyscyplinowany skądinąd wyżeł miał już dość samotności na plaży i zdecydował się do mnie przypłynąć. Na nic zdały się krzyki, pies zbliżał się do łódki. Sęk w tym, że na jeziorze osiedliła się pokaźna rodzina łabędzi i samiec, przywitawszy intruza głośnym wrzaskiem, postanowił czynnie bronić swojego stada. Nie miałem czasu do namysłu. Przeciąłem żyłkę, w mgnieniu oka podniosłem kotwicę i rzuciłem się do wioseł. Łabędź miał mnie w nosie, skupiony całkowicie na psiej łepetynie. Zanim zdążyłem podpłynąć, z rozpostartymi szeroko skrzydłami, skrzecząc i sycząc, zaczął uderzać ostrym, twardym dziobem w czaszkę wierzgającego łapami, spanikowanego Moneya. Pies skamlał i krwawił, ja się wydzierałem, łabędź jednak atakował dalej jak w amoku. W końcu podpłynął na tyle blisko, że mogłem walnąć go wiosłem po grzbiecie aż rozległ się trzask. Ptak zawył i w bohaterskim odruchu zdążył jeszcze dziabnąć drewnianego „napastnika". Szczęśliwie dla nas wszystkich kolejnym uderzeniem zdołałem skłonić go do ucieczki, choć pióro wiosła nie wyszło z pojedynku bez szwanku.

Trudno. Wyłowiłem biednego psiaka. Na pomarszczonej skórze czoła miał dwie rany, a do tego rozdarte ucho. Okazało się, że to nic poważnego, jedynie widok krwi napędził mi strachu. W ferworze walki nie dostrzegłem pani Brzezińskiej, która usłyszawszy pierwsze wrzaski, wybiegła na pomost i stąd obserwowała całą scenę. Zapewniłem ją, że odkupię wiosło albo naprawię złamane pióro, gdy wyschnie i jeśli dostanę narzędzia, ona jednak machnęła tylko ręką i zaczęła opatrywać łeb na wpół przytomnego wyżła. Wzięła z apteczki lidokainę w spreju i ściegiem dzierganym zaszyła pieczołowicie rany Moneya. Zrobiła to przy użyciu końskiego włosia, odkażonego uprzednio spirytusem. Stwierdziła, że to naturalny materiał, który rozłoży się sam, gdy rana się zabliźni i nie trzeba go będzie wyciągać jak sztucznych nici chirurgicznych. Wyjaśniła mi potem, że skończyła szkołę pielęgniarską i w młodości, podczas wojny zdarzało jej się zaszywać ludzi, stąd ta umiejętność. Dowiedziałem się też, że przyjechała tu spod Lwowa, wysiedlona w 1946 roku jako Polka, wraz ze swoim przyszłym mężem. Wciąż jeszcze tęskni za stronami rodzinnymi i z ulgą przyjęła fakt, że trafiła do „wystygniętego domu". Niemieccy właściciele opuścili go rok przed jej przyjazdem. Jedna z kuzynek musiała bowiem wprowadzić się do mazurskiego gospodarstwa, gdzie – używając metafory – na kuchni skwierczała jeszcze porzucona zasmażka…

Na kolację zjedliśmy szczupaki z nadzieniem orzechowym. Gospodyni gotuje obłędnie. Przyszedł też Wiesiek z zapasem wódki. Koło północy zacząłem przemyśliwać, jak dobrze mi zrobi otrzeźwiający leśny marsz do domu. Pan Brzeziński nie był jednak z tych, co puszczają gości samych w nocną głuszę. Ponieważ był już solidnie zawiany, nie wsiadł na motor, ale wyprowadził ze stajni konia. Zaprzągł rozklekotaną dwukołową bryczkę i przewiózł nas nią przez las. U Wieśka wypiliśmy jeszcze strzemienne-

go, jak Polacy nazywają nasz węgierski *János-áldás*. (W dawnych czasach, kiedy gość szykował się do odjazdu i miał już nogi w strzemionach, gospodarze częstowali go ostatnim kieliszkiem). Zauważyłem, że leśnikowi kleją się oczy, gdy siedział na koźle. Uprzedził moje pytanie:

– W takich przypadkach lepiej jechać bryczką, bo koń nawet śpiącego dowiezie do domu, a motor co najwyżej do najbliższego rowu. – To powiedziawszy, z opadającą raz po raz głową zniknął w ciemności nocy.

Zostały mi tu jeszcze dwa dni, jestem wprawdzie w kraju socjalistycznym, ale to miejsce jest mimo wszystko znośniejsze niż miasto. Na jutro Wiesiek obiecał całodzienną wycieczkę brzegiem Słupi. Mówi, że to piękna, miejscami porywista jak strumień górski rzeka, jedynie na paru odcinkach zagrodzona elektrownią czy śluzą. Szkoda, bo to ostatnia woda w Polsce, którą łosoś próbuje przebić się na tarło.

Czas się położyć, Money już to zrobił, sapie teraz na kocu przy moich nogach, ze świeżymi szwami na czole. Wiesiek też już dawno chrapie, słychać go z drugiego pokoju. Gaszę lampę i po paru minutach widzę wszystko bez sztucznego światła. Okno, przy którym pisałem, a w którego poświacie kreślę jeszcze tych parę linijek, fosforyzuje srebrzyście jak ekran telewizora – pokazuje mi w czerni i bieli zatopiony w świetle księżyca krajobraz. Nie istnieje lepszy program! Także dźwiękowiec stanął na wysokości zadania: słyszę pohukiwanie płomykówki, ciche odgłosy owiec w zagrodzie, a gdzieś w oddali jakby kłótnię psa z księżycem.

Jestem tu szczęśliwy.

Przed zaśnięciem poproszę Wszechmogącego, aby przeniósł mnie we śnie do dziewiątego wieku i pozwolił zobaczyć, jak wtedy wyglądały tutejsze okolice. Może uda mi się wprosić na pokład smoczej łodzi Waregów, zmierzającej do Rusi Kijowskiej. Kto wie, czy nie zdążyłbym tam jeszcze skłonić głowy przed księciem Arpadem.

24 marca 1980, Warszawa

Wczoraj odbyły się w Polsce wybory. Całe miasto było pełne podziemnych ulotek, wzywano w nich, by nie wybierać kandydatów FJN, odpowiednika naszego Patriotycznego Frontu Ludowego. Kilkudziesięciu znajomych, których pytałem, powiedziało, że bali się zbojkotować głosowanie, ale za zasłonką w lokalu wyborczym skreślili wszystkie nazwiska lub nabazgrali coś na karcie. Innymi słowy, oddali nieważny głos. W późnowieczornym dzienniku podano właśnie, że z blisko dwudziestu pięciu milionów uprawnionych w wyborach wzięło udział dziewięćdziesiąt osiem i dziewięć dziesiątych procent, głosów nieważnych było trzynaście tysięcy. „Naturalnie" dziewięćdziesiąt dziewięć i pięćdziesiąt dwie setne procent wyborców poparło kandydatów Frontu. Według szacunków KOR-u frekwencja była znacznie niższa (siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu procent). Ale jakie to ma znaczenie?! Gdyby nawet do wyborów nie poszedł nikt, oficjalne wyniki byłyby takie same. Z łatwością jestem w stanie wyobrazić sobie, że zostały ustalone odgórnie na długo przed otwarciem lokali

(wystarczy sobie przypomnieć postanowienia zjazdu PZPR). Państwowa gospodarka ledwo zipie, ale czerwonym to nie przeszkadza – *the show must go on!* Niebotyczna bezczelność!

25 marca 1980, Warszawa

Wieczorem planowałem wstąpić do Mirka Chojeckiego po nowe bibuły. Gdy przystanąłem pod bramą, by dopalić papierosa, mignęła przede mną znajoma twarz i usłyszałem szept:

– Spierdalaj, kocioł!

Mój znajomy, Wojtek. Zobaczyłem, że na pierwszym rogu przechodzi przez ulicę i znika w bezpiecznej ciemności pod przepaloną latarnią. Ruszyłem powoli za nim. Miałem nosa: stał, prawie niewidoczny, w bramie, z twarzą schowaną w kurtce z kapturem. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że Mirka aresztowali, a w jego mieszkaniu siedzą tajniacy i czekają na ewentualnych gości, by ich także przymknąć. Na szczęście zadziałał łańcuszek alarmowy, Wojtek na zmianę z kolegami dyżurował pod domem i ostrzegał znanych mu ludzi przed niebezpieczeństwem.

– Miałeś farta, że przyszedłeś z psem, inaczej chyba bym cię nie poznał – nawijał dalej Wojtek, z którym dotąd spotkałem się raptem kilka razy w towarzystwie Mirka i faktycznie zawsze był ze mną Money. A więc to jemu, wyżłowi, zawdzięczam, że noc spędzę w domu, a nie w jakiejś brudnej celi. Swoją drogą, zastanawiam się, czy mój pies też trafiłby do aresztu czy zarobiłby kulkę w łeb zaraz w progu mieszkania?

Niech to szlag! Zamknęli szefa NOW-ej, choć na razie nie wiemy, w jakim stopniu ucierpiało samo wydawnictwo, co się stało z powielaczami itp. Pozostaje nadzieja, że nie nastąpi teraz reakcja łańcuchowa.

20 kwietnia 1980, Warszawa

Kierownictwo Lapkiadó Vállalat gościło w koncernie partyjnym RSW „Prasa-Książka-Ruch" i poproszono mnie na tłumacza. Zastępcy dyrektora generalnego towarzyszyły dwie kobiety w średnim wieku. Jedna z nich była główną kadrową, druga sekretarzem związkowym. Polscy towarzysze urządzili dla nich imprezę objazdową: Warszawa, Bydgoszcz, Toruń, Gdańsk, Olsztyn, a do tego wieczorna biba w późnośredniowiecznym zamku w Golubiu-Dobrzyniu.

Trzeba oddać węgierskim towarzyszom, że od początku czuli się nieco skrępowani feudalną pompą i fanfaronadą gospodarzy, opowieściami o ogólnym dobrobycie, których prawdziwość mogli zweryfikować na ulicy i za tak zwaną fasadą. Przedstawiciele RSW wznosili się na wyżyny samochwalstwa: mają tyle a tyle wydawnictw, szeroko zakrojoną działalność, tysiące kiosków w całym kraju, a w nich do kupienia czego dusza zapragnie: prasa, książki, broszury, pasty do zębów i prezerwatywy, spinki do włosów i proszki do prania. Zysk liczy się w miliardach złotych, które prawie w całości zasilają

kasę PZPR – dodawali z szelmowskim uśmieszkiem. Węgrzy potakiwali z uznaniem, ale we własnym gronie nie mogli się nadziwić panującym w Polsce zwyczajom, bezpardonowej arogancji aparatczyków i uznanym za oczywistość przywilejom. Szczególnie złe wrażenie zrobił na nich sklep na ostatnim piętrze DT Centrum, zamknięty dla większości klientów, w którym można było kupić niedostępne gdzie indziej towary. „U nas takie miejsca istniały w latach pięćdziesiątych" – szeptali do siebie, choć w końcu skusili się na kilka pamiątek. Później, gdy jechaliśmy na północ, czekała ich kolejna niespodzianka: na granicach województw witali nas przywiezieni w czarnych wołgach, ubrani na ludowo mężczyźni i kobiety, częstujący gości chlebem i solą oraz nieodłącznym kieliszkiem wódki. „Czy oni nas mają za ministrów albo kogoś w tym rodzaju?" – pomrukiwał szef delegacji, próbując robić dobrą minę do złej gry.

Reszta pobytu potoczyła się jednak według podobnego schematu, to znaczy żadnych rozmów merytorycznych, a jedynie wystawne obiady i kolacje, pokazowe zwiedzanie miast. Szefowie oddziałów wojewódzkich RSW i „śmietanka" lokalnej nomenklatury uznali przyjazd delegacji węgierskiej za świetną okazję do hulanek i swawoli.

Największa z tych dzikich imprez odbyła się na zamku w Golubiu-Dobrzyniu. Wyruszyliśmy tam z Torunia i dotarliśmy po zmroku. W nocnej scenerii ujrzeliśmy romantyczny obrazek: przed bramą stało na warcie dwóch rycerzy z pochodniami. Dyrektor muzeum zamkowego, ubrany w brzęczącą zbroję, wygłosił na cześć gości i towarzyszącej im obstawy mowę powitalną w „staropolszczyźnie", następnie zaś wyciągnął w ich stronę ogromny kodeks w twardej oprawie i oświadczył, że bramę może przekroczyć tylko ten, kto wpisze do księgi swoje imię, tego bowiem wymaga „tradycja kulturowa". Węgrzy spoglądali na siebie bezradnie w świetle pochodni, a następnie zaproponowali, że złożą podpisy w środku, bo na zewnątrz będzie im trudno. Rycerz-dyrektor był jednak nieugięty: obowiązek trzeba spełnić tu i teraz, inaczej ich nie wpuści! Po czym uniósł ciężką okładkę kodeksu. Okazało się, że było to pudełko z przegródkami, w nich zaś spoczywały różnobarwne wódki. „Tradycja kulturowa" polegała więc na tym, że każdy musiał wypić jedną buteleczkę.

Biedni Krzyżacy, którzy wznieśli ten zamek na początku czternastego wieku! Biedna Anna Wazówna, siostra króla Zygmunta III Wazy, która odnowiła go trzy stulecia później w stylu renesansowym! Gdyby słyszeli te bzdury! O tradycji kulturowej zakrapianej partyjną wódką! Zdegustowany byłby pewnie i Napoleon Bonaparte, który w swoim czasie urządził tu szpital polowy… A co by powiedział sławny abstynent Adolf Hitler, który zainstalował w zamku ośrodek szkoleniowy Hitlerjugend?

W końcu weszliśmy do środka. Ustawione na podwórzu stoły uginały się od nadmiaru potraw: wędlin, ryb, wędzonych delikatesów, warkoczy kabanosów. Słowem, artykułów, które przeciętny Polak od lat zna tylko ze słyszenia. W jednym z rogów obracał się na ruszcie olbrzymi baran, pieczony od prawie dwóch dni i nadziewany, jak nam powiedziano, indykiem, indyk zaś kapłonem, a kapłon gołąbkiem. Pod imponujących rozmiarów pieczenią żarzył się stos węgielków, wszystkiego zaś doglądał osiemdziesięcioletni na oko, pomarszczony staruszek, ubrany w parciane chłopskie

łachy i mlaskający źle dopasowaną tanią protezą. Jeden z gospodarzy wyjaśnił nam, że to jedyny człowiek w okolicy, który zna się na rzeczy, bo przed wojną służył u państwa we dworze.

Delegacja węgierska, jak wspomniałem, składała się z mężczyzny i dwóch kobiet, do tego ja w roli tłumacza oraz szef protokołu RSW – kuty na cztery nogi trzydziestolatek, ryży playboy. Łącznie pięć osób. Miejscowych potentatów było około trzydziestu, prawie sami faceci. Zlecieli się niczym sępy do gnijącego mięsa.

Kolejną atrakcją wieczoru był występ miejscowego zespołu pieśni i tańca. Około dwudziestu urodziwych dziewcząt i tyle samo chłopaków. Towarzystwo przy stole klaskało, potem piło, znowu klaskało, do tego durnowate, wyświechtane toasty. Zdarzył się też pewien nieprzyjemny incydent. Jeden z porządkowych, około trzydziestoletni chłopak o wyglądzie ubeka, przywalił na odlew staruszkowi od rożna. Biedakowi wypadła proteza i wpadła wprost w żarzące się węgle. Okazało się, że dziadek zwędził ze stołu pęto kabanosa i schował je za pazuchą. Nie uszło to jednak uwadze czujnego młodego gwardzisty. Starzec, sepleniąc, zaklinał się na wszystko: w życiu niczego nie ukradł, chciał tylko wziąć kabanos dla wnuka, bo mały nigdy go nie jadł, a smaku i zapachu nie da się opowiedzieć. Jeden z polskich dygnitarzy zapewnił go dobrotliwie, że dostanie nową protezę i możne sobie zabrać kabanos. Gorliwemu ubekowi szepnął natomiast parę słów na ucho, a ten z lekkim uśmiechem na ustach odmaszerował w swoją stronę. Skonsternowanych Węgrów przeproszono za zajście, a operetkowy pokaz tańców ludowych mógł rozpocząć się na nowo.

Obżarstwo, toasty i owacje trwały więc w najlepsze w atmosferze postępującego pijaństwa. Węgrzy od pewnego momentu już tylko markowali picie, taka ilość alkoholu była ponad ich miarę. Ja miałem ułatwione zadanie, wymawiałem się pracą, tłumacz przecież musi być trzeźwy. Zobaczyliśmy, że męski skład zespołu oddala się ubrany już „po cywilnemu", kobiety zaś zostały na miejscu, w strojach ludowych. Towarzysz wojewoda podszedł do mnie chwiejnym krokiem, z lisim uśmiechem na twarzy.

– Proszę powiedzieć naszemu przyjacielowi, że może sobie wybrać dziewczynę… Na zamku są pokoje hotelowe, zostaniemy tu na noc – wychrypiał mi w twarz, zionąc przy tym wódą.

Czułem się zakłopotany, bo siedziały z nami Węgierki. Słyszałem, że czasem rozmawiają z Polakami po rosyjsku, więc nie mogłem blefować, musiałem przetłumaczyć słowo w słowo. Nasz dyrektor zesztywniał, on też poczuł się zmieszany, panie wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Po chwili kadrowa zapytała prowokacyjnie:

– A co to za dyskryminacja?! Dla nas nie ma chłopaków? – Kobiety sięgnęły po torebki, wstały od stołu, widać komentarz był tylko żartem. Ich szef odzyskał rezon i oświadczył spokojnym tonem:

– Na dziś skończyliśmy. Proszę wezwać kierowców, chcemy wrócić do Torunia.

Wojewoda nie krył zawodu, a ja się przekonałem, że uczciwe tłumaczenie było słusznym posunięciem, bo po chwili przeszedł na rosyjski. Zachęcał gości, by zostali, i upewniał się, czy aby dobrze wszystko zrozumieli. Węgrzy jednak stali na swoim.

Polscy towarzysze odprowadzili ich do drzwi, dotknięci do żywego. A nazajutrz przyjechał się z nimi pożegnać tylko zastępca kierownika miejscowego RSW. Jego przełożeni zapewne nie przerwali balangi i spali teraz jak kłody w upojeniu alkoholowym.

Gdańsk zaliczyliśmy bez większych perturbacji. Ale potem przyszedł Olsztyn! Już samo to, że na rogatkach województw nie czekał na nas pies z kulawą nogą, wydało mi się podejrzane. Nasz ryży playboy próbował skontaktować się z gospodarzami przez radiotelefon, ale nikt nie odbierał. Wjechaliśmy do miasta i ruszyliśmy wprost do siedziby partii. W biurze pierwszego sekretarza zastaliśmy zaskoczoną naszym przyjazdem sekretarkę. Z wyraźnym trudem wydukała, że cała partyjna śmietanka województwa pojechała poprzedniego dnia na polowanie i jeszcze nie wrócili. Playboy zrobił się purpurowy i zadzwonił na komendę milicji. Okazało się, że komendanta nie widziano tam od wczoraj. Najwyraźniej on też pojechał do lasu. Węgrów wysłano więc na szybkie zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Po godzinie zajechały czarne wołgi. Zapewniono nas, że od teraz wszystko będzie zgodnie z planem i zaproszono na obiad. Znaleźliśmy się na obrzeżach miasta w karczmie rybnej. Z zewnątrz miejsce nie wyglądało zachęcająco, główna sala też sprawiała wrażenie zapyziałej, przypominała nieco wagon restauracyjny trzeciej klasy. Poprowadzono nas przez kuchnię do saloniku.

Tam zaś czekała co najmniej tak samo wielka uczta jak w Golubiu-Dobrzyniu. Za pełnym delikatesów stołem stało długie na całą ścianę akwarium, a w nim karpie, szczupaki, sandacze, najróżniejsze gatunki ryb. Kto miał zaszczyt trafić do tej sali, mógł wybierać z rybnej oferty.

Miejscowi notable byli już na miejscu, wszyscy po nocnym polowaniu. Większość z nich zalana w trupa, bez jakiejkolwiek kontroli nad sobą. Naszego dyrektora posadzono między mną a playboyem, przy akwarium, które mieliśmy za plecami, naprzeciwko zaś siedział wojewódzki sekretarz partii, a przy nim, po dwóch stronach, Węgierki. Towarzysz sekretarz był pijany do niemoty, spowolniony w gestach, oczy miał przekrwione od niewyspania, a pod nimi worki świadczące o hulaszczym trybie życia, wiek nieokreślony – mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i sześćdziesiąt pięć lat. Chudy, niski, zakonserwowany alkoholem typek z pomarszczoną jak cytryna gębą. Po prawej stronie miałem lokalnego komendanta bezpieki. Był to niezły drab, też już pięknie napruty, choć jeśli sądzić po posturze, niełatwo go było upić. Cóż, prędzej czy później każda wątroba powie: dość! Nawet jeśli ktoś przeszedł szkolenie w KGB.

Rozmowa się nie kleiła, mimo że nasz playboy stawał na głowie, by przełamać nieprzyjemną ciszę. Rzucał tematy, które Węgrzy skłonni byliby może podjąć, ale sekretarz nie zwykł dopuszczać do głosu nikogo oprócz siebie. Koniecznie chciał przybliżyć gościom kontekst historyczny miejsca. Zwrócił się więc do osiłkowatego tajniaka:

– Pułkowniku kochany, niechże pułkownik opowie węgierskim towarzyszom o tych terenach! Niech wiedzą, gdzie jesteśmy! Powiedzcie im, towarzyszu, w jaki sposób te ziemie wróciły do socjalistycznej macierzy!

W jego durnym umyśle to Niemcy zagarnęli Prusy Wschodnie komunistycznej Polsce, a utrata Warmii, Mazur, Pomorza i całego wybrzeża była haniebną zbrodnią

śmierdzących feudałów. W demokracji ludowej typu sowieckiego podobna niegodziwość nigdy by się nie zdarzyła!

Pułkownik nie dał się długo namawiać. Wstał i opowiadał, jak to faszystowskie sukinsyny poddały miasto bez jednego wystrzału, Rosjanie jednak nie chcieli im uwierzyć! Przetrząsnęli więc dom po domu i wykurzyli Szwabów z Olsztyna. Innymi słowy, cywilów wygnali precz, splądrowali, co się dało, a resztę spalili albo wysadzili w powietrze. Przyszło mi do głowy pytanie retoryczne: Skoro w mieście nie było już żadnego żołnierza niemieckiego, po jaką cholerę było strzelać i podpalać?

Bezpieczniak ciągnął swoją historię. On też walczył na pierwszej linii, przeszedł całe Prusy Wschodnie, oczyszczał teren dla repatriantów polskich.

– Jeden parszywy nazista wymachiwał mi przed nosem niemowlakiem, że niby jak tu z chorym dzieckiem na mróz?! Nie certoliłem się z nimi, zrobiłem to, co oni nam, złapałem obsranego bachora, małego hitlerka, za nóżki i walnąłem nim o ścianę jak kotem! A do Niemców: „Won, bo zastrzelę, wy nazistowskie kurwy!".

Strasznie się rozpalił własną opowieścią, pluł na wszystkie strony jadem i śliną. Playboy pociągnął mnie nerwowo za marynarkę za plecami dyrektora:

– Ani mi się waż tłumaczyć, bo ci nie zapłacimy! Jasne?

Próbowałem lawirować, ale Węgrzy domyślili się, o czym mówi pułkownik i jakim stylem. Poprosili, bym przełożył słowo w słowo, i zapewnili, że mnie nie wsypią swoją reakcją. Potakiwali tylko z poważnymi minami jak ktoś, kto całym sercem zgadza się z rozmówcą.

Gdy bezpieczniak dokończył „bohaterską" historię, a towarzysze pokrzepili się nową kolejką, jedna z Węgierek powiedziała do mnie z kamienną twarzą i grzeczną stanowczością:

– Attila, proszę uprzedzić towarzysza sekretarza, że jeśli nie przestanie obmacywać nas pod stołem, zrobimy awanturę!

Nie miałem wyboru, musiałem w możliwie delikatny i uprzejmy sposób przełożyć ostrzeżenie. Pomarszczona twarz spojrzała na mnie lodowato:

– Co ty cyganisz, do kurwy nędzy? Na pewno tego nie powiedziały!

Przełknąłem jakoś to nagłe przejście na ty i bez cienia emocji powtórzyłem prośbę kobiet. Sekretarz mrugnął do mnie i dał znak, że chce mi coś powiedzieć na ucho, więc mam się nachylić w jego stronę nad stołem. Tak też zrobiłem. Wtedy on niespodziewanie chwycił mój krawat i pociągnął z taką siłą, że aż zaszurałem po podłodze, straciłem równowagę i całą piersią zaryłem w talerz z sałatką jarzynową.

– Oduczę cię kłamać, zasrańcu! – zarechotał tryumfalnie i poklepał z zadowoleniem obie Węgierki po udach. – Patrzcie, jak teraz wygląda, he he he! Tak kończy tłumacz oszust!

Po tej akcji całkiem już straciłem kontrolę nad sobą. Było mi wszystko jedno, miarka się przebrała. Wstałem, nachyliłem się nad stołem i chwyciłem knypka za poły marynarki, przeciągnąłem go po blacie i nie wypuszczając z rąk, zanurzyłem mu łeb w odkrytym akwarium. Gdy trzymałem go pod wodą, usłyszałem za plecami szczęk

metalu. To tajniak odbezpieczał pistolet. Widząc mój „zamach" na sekretarza, postanowił chwycić za broń. Na szczęście został szybko obezwładniony. Puściłem faceta i odsuwając na bok każdego, kto stanął mi na drodze, wyszedłem do łazienki. Goły od pasa w górę, czyściłem koszulę, gdy w drzwiach pojawił się playboy z RSW. Czerwony jak burak wycedził przez zęby:

– Zdajesz sobie sprawę, że to twoja ostatnia fucha u nas?! Co ty, kurwa, wyprawiasz? O honorarium zapomnij i ciesz się, jeśli wyjdziesz z tego cało!

Odpowiedziałem mu spokojnym, lodowatym tonem:

– Możesz mnie pocałować w dupę, jeśli ci pozwolę. Nie jestem twoim fagasem, chłystku.

Delegacja węgierska czekała już na zewnątrz, by gremialnie stanąć w mojej obronie.

– Spokojnie – zwrócił się do mnie szef. – Nie zostawimy tego tak, nie martw się. Co ci chcą zrobić?

Powiedziałem mu. Wtedy on oświadczył playboyowi po rosyjsku, że nie życzy sobie, by tłumacz miał jakiekolwiek nieprzyjemności, mają mi zapłacić i zostawić w spokoju. I że są zniesmaczeni wydarzeniami na zamku i całą serią niestosownych awantur. Chłopak karnie pokiwał głową. W drodze do Warszawy dyrektor skonstatował:

– Widzę, że w tym kraju niebawem dojdzie do jakiejś większej draki, zobaczysz. Wracaj na Węgry, zanim będzie za późno.

Nie wiem, co robił w czterdziestym piątym, za Rákosiego, w pięćdziesiątym szóstym i później, ale w jego głosie czułem autentyczny niepokój. Chciałem mu powiedzieć, że ja, przeciwnie, z niecierpliwością czekam na jakąś burzę, ale ugryzłem się w język… A poza tym, dlaczego niby na Węgrzech jest lepiej? Bo mamy pełne sklepy? To prawda. Ale tu przynajmniej można sobie poujadać. Albo przeczytać o czymś ważnym w samizdacie, obejrzeć w dekaefie film, którego nie puszczą nigdzie indziej od Łaby po Władywostok, o takim życiu kulturalnym jak w Polsce ludzie z innych demoludów mogą tylko marzyć. A to nie koniec listy. Spojrzałem na sympatycznego skądinąd węgierskiego towarzysza i dałem sobie spokój z wyjaśnianiem.

Nazajutrz wypłacili mi honorarium zgodnie z umową, choć wydało mi się dziwne, że zrobili to jeszcze przed odjazdem delegacji. Dyrektor RSW osobiście przeprosił Węgrów za olsztyński incydent, panie dostały w ramach rekompensaty po wielkim bukiecie róż. Szef delegacji zapytał, kto zapłacił za kwiaty.

– Nasze przedsiębiorstwo – odpowiedzieli zdziwieni polscy towarzysze.

– W takim razie nie możemy ich przyjąć – poinformował Węgier.

Elegancka, boleśnie celna igiełka.

– Mówię ci, kolego, wracaj do kraju, póki nie jest za późno – powtórzył dyrektor wydawnictwa.

Podziękowałem i obiecałem, że się zastanowię.

Na lotnisku, gdy goście wsiedli już do podstawionego przed poczekalnią dla VIP-ów autobusu, playboy zwrócił się do mnie, szczerząc zęby:

– Tym razem ci się upiekło, stary. Ale że masz słabe nerwy i nie nadajesz się na tłumacza, w przyszłości nie licz na nas. A teraz poszukaj sobie transportu do miasta. – I odszedł.

Było mi wszystko jedno. Przypomniałem sobie pomarszczoną gębę sekretarza puszczającego bąble w akwarium. Niemal parsknąłem głośnym śmiechem… Przynajmniej jednemu z nich pokazałem, gdzie jego miejsce.

20 maja 1980, Warszawa

Wypuścili Chojeckiego i paru innych KOR-owców. Z inicjatywy Jana Józefa Lipskiego od 7 do 17 maja grupa ludzi prowadziła głodówkę – domagała się uwolnienia więźniów politycznych. Strajkowali w parafii Świętego Krzysztofa w podwarszawskiej willowej Podkowie Leśnej, gdzie proboszczem jest dzielny ksiądz Leon Kantorski. Z Wolnej Europy dowiedział się o tym jeden Węgier, Tibor Pákh. I właśnie od niego dostałem cynk o całej akcji, gdy przyjechał dołączyć do Polaków.

Ja zostałem w mieście, bo miałem cykora. Nie starczyło mi nawet odwagi, by wsiąść do wukadki. Co poradzić, brakuje mi determinacji do walki. Jest mi wstyd, brzydzę się sobą, mam ochotę napluć sobie w twarz. Jestem mocny tylko w gębie, całą nienawiść do systemu potrafię co najwyżej przelać na papier. Do tego po kryjomu, na kartkach dziennika.

Kiedy w końcu zdobędę się na to, by w sposób widoczny wystąpić przeciw nim?

9 lipca 1980, Warszawa

Od pierwszego znowu podnieśli ceny mięsa i wędlin, których i tak prawie nie można dostać! W odpowiedzi robotnicy wszczęli strajki w warszawskiej fabryce traktorów w Ursusie, w sanockim Autosanie i tarnowskim Ponarze. Władza się zlękła, następnego dnia ogłoszono, że doszło do pomyłki, a podwyżka dotyczy „tylko" wybranych towarów. Pracownicy nie dają się nabrać na partyjne zapewnienia, twardo obstają przy swoim. „Plaga" się roznosi: stanął Świdnik, a potem kolejne zakłady, prasa kłamie, RWE donosi, że cały Lublin strajkuje. Dziś dowiedziałem się, że świdniccy łącznościowcy zażądali podniesienia dodatku rodzinnego, i to do poziomu milicji i wojska.

Wygląda na to, że Polacy mają dość ustępowania władzy. Czyżby wzięli sobie do serca skierowane z Warszawy do całego świata słowa papieża: „Nie lękajcie się, tu, na tej ziemi"? Mógłbym zacytować Pismo Święte: „Kto ma uszy, niechaj słucha…". Władza jest silna tak długo, jak długo czujemy przed nią strach. Jeśli potraktujemy ją protekcjonalnie, wyśmiejemy, machniemy na nią ręką, straci pewność siebie. Polacy nie chcą się dłużej cofać i jakby faktycznie przestali się bać. Ciekaw jestem, jak długo wytrzymają. I czy w ogóle ruszą do przodu? Naturalnie pojawia się też pytanie, gdzie kończy się cierpliwość władzy i kiedy zaczną strzelać. Jola powtarza mi teraz: „Chciałeś żyć w ciekawych czasach, no to masz!". Zapowiada się gorące lato…

4 sierpnia 1980, Warszawa

W odpowiedzi na sowiecką interwencję w Afganistanie sześćdziesiąt trzy państwa zbojkotowały moskiewską olimpiadę. Nie było Amerykanów, Kanadyjczyków, zachodnich Niemców, ale też Chińczyków, u których rewolucja kulturalna rozpanoszyła się tak bardzo, że ostatnio nie uczestniczą w zawodach międzynarodowych…

Mówi się trudno, reprezentacje osiemdziesięciu jeden krajów postanowiły jednak się zmierzyć. Polacy i Węgrzy zdobyli po trzydzieści dwa medale, tyle że my wywalczyliśmy siedem złotych, a oni tylko trzy. Ruscy oczywiście zdobyli najwięcej, a zaraz po nich ludzie roboty z NRD.

Kto przyglądał się tej quasi-olimpiadzie, od początku musiał czuć obrzydzenie. Naturalnie każdy kibicuje swoim i zagrzewa ich do walki, ale to, co wyprawiała widownia rosyjska, przechodzi wszelkie pojęcie. Jeśli ktokolwiek był lepszy od ich sportowców, z trybun rozlegało się buczenie. Dziś igrzyska dobiegły końca, a z prasy sączą się obłudne komentarze.

Wszystko dlatego, że Władysław Kozakiewicz ośmielił się postawić. Ten dwudziestosiedmioletni tyczkarz, który już w maju ustanowił rekord świata, szybując na wysokość pięciuset siedemdziesięciu dwóch centymetrów, walczył jak lew z Rosjaninem Konstantinem Wołkowem. Podobnie jak drugi Polak, Tadeusz Ślusarski. W finale aż iskrzyło od emocji. Kibiców polskich była garstka, a tych, którzy przyszli na stadion „Łużniki", bez reszty zdominowała publiczność rosyjska. Nie dość, że z trybun odzywały się ohydne pokrzykiwania, wyzwiska, gwizdy i buczenie, to jeszcze organizatorzy stawali na głowie, by rozproszyć polskich chłopców: co i rusz otwierali albo zamykali wielką bramę areny, czym wywoływali w chwili startu naszych silne podmuchy wiatru. A jednak na przekór wszystkim tym intrygom i wrzaskom Kozakiewicz przeskoczył pięćset siedemdziesiąt osiem centymetrów. Jako jedyny. Na domiar złego wyraźnie rozsierdzony Wołkow skończył na trzecim miejscu, za Ślusarskim.

Kolejni zawodnicy strącali drążek umieszczony na wysokości pięciuset siedemdziesięciu ośmiu centymetrów. Gdy do skoku szykował się ostatni, Kozakiewicz, ludzie zamarli w wyczekiwaniu. Postawny Polak przeżegnał się szybkim ruchem, wziął rozbieg, wbił tyczkę w podłoże, wzbił się do góry i prześlizgnął nad poprzeczką. Gdy lądował na materacu, stadion zawył jak dźgnięty nożem. Władek skoczył na nogi, spojrzał do góry, zobaczył, że przeleciał, roześmiał się, uniósł ramiona, a następnie, widząc wściekłość widowni rosyjskiej, skrzyżował zgiętą w łokciu lewą rękę z prawą, zaciśniętą w pięść, i pozdrowił rozszalałe tłumy znanym w świecie gestem. Innymi słowy, pokazał im tak zwany dziób pingwina, wielkiego, nieziemskiego wała!

Stadion zamilkł, ale po chwili wybuchł jeszcze głośniejszym rykiem. Kozakiewicz pomachał im na pożegnanie, wyszczerzył zęby i opuścił bieżnię jak gdyby nigdy nic. Polskiemu sprawozdawcy odebrało mowę, w popłochu zaczął bredzić od rzeczy, że niby chłopak naciągnął sobie bark, tego, prawda, nic się nie stało, a w każdym razie nie to, co wszyscy widzieliśmy.

Jest lato, gorąc, na osiedlu wszystkie okna otwarte na oścież i kto żyw, oglądał transmisję z Moskwy. Naraz na ulicach rozległ się okrzyk zachwytu, było słychać, jak cały kraj pękał ze śmiechu i klaskał polskiemu skoczkowi. Wkrótce zaczęto też nazywać charakterystyczne skrzyżowanie rąk, które u nas oznacza to samo co w Polsce, gestem Kozakiewicza.

Reperkusje nie dały na siebie czekać. Medalisty nie można posłać do ciupy na oczach całego świata, sytuacja była więc niezręczna dla polskiej władzy. Do tego nieprzyjazny gest zamieściły na okładkach wszystkie gazety… Oczywiście z wyjątkiem tych sowieckich i polskich, gdzie nie miało prawa pojawić się choćby jedno zdjęcie. Mimo to wybuchł skandal. Nie dość, że połowa kraju strajkuje, to jeszcze olimpijski niedźwiadek marszczy brwi z oburzenia, a wraz z nim sam Breżniew. To groźne spojrzenie znalazło swój wyraz w nocie protestacyjnej ambasadora Borysa Aristowa do polskiego kierownictwa, w którym żądał on anulowania wyniku Kozakiewicza i odebrania mu medalu za „niesportowe zachowanie".

Nastroje są takie, że jeśli ekipa Gierka zdecyduje się na ten krok, z miejsca rozpęta się tu rewolucja. Stawiam więc wszystkie pieniądze, że mu się upiecze.

5 sierpnia 1980, Warszawa

Niedługo minie miesiąc od rozpoczęcia strajków. Mieczysław Jagielski, członek Biura Politycznego KC, ugrzeczniony aparatczyk o twarzy pokerzysty, objechał wszystkie fabryki Lublina, prawie wszędzie obiecał podwyżki i amnestię dla protestujących, próbował też udobruchać załogi perspektywą nowych wyborów do rad zakładowych. Mało tego: przyrzekł w imieniu partii, że w gazetach rządowych wydrukują przeprosiny za wcześniejsze wstrętne i obraźliwe wypowiedzi pod adresem strajkujących.

Oczywiście żadnych ekspiacji nie było. Ja w każdym razie niczego takiego nie znalazłem w prasie. Rozpisywano się natomiast o tym, że gospodarkę da się skonsolidować jedynie podniesieniem wydajności pracy, poprawą wskaźników jakościowych, zaostrzeniem dyscypliny, lepszą organizacją. Nikt jednak nie kwapi się z odpowiedzią na pytanie, dlaczego kraj znalazł się w takim, a nie innym miejscu. Sądzę, że tylko chwilowo. Za jakiś czas towarzysze pozamieniają się funkcjami, znajdą kilka kozłów ofiarnych (osoby te zostaną wysłane „za karę" na ambasadora albo na inną posadkę i w ten sposób usuną się z widoku) i wszystko zacznie się od nowa albo potoczy dalej stałym biegiem. Nie trzeba być przesadnie mądrym, by dostrzec, że komunizm w taki czy inny sposób związał z władzą sporą warstwę ludzi; w gospodarce zmagającej się z ciągłym deficytem nie jest to zresztą takie trudne, wystarczy odpowiednio rozdawać przywileje. Na Węgrzech mawia się czasem: „Nie narzekajcie, ludzie, bo możecie stracić i tę odrobinę, którą macie". Tutaj też słychać ostatnio coraz częściej podobne rady.

Oczywiście, że powinno się ich oderwać od stołków, ale to nie takie proste! Partia nie jest bowiem zakonem ludzi połączonych ideą, ale na swój sposób sprawnie dzia-

łającą grupą interesów, syndykatem dyrektorów, urzędników, oficerów milicji i wojska, płatnych i dobrowolnych agentów, prowokatorów, sprzedajnych intelektualistów, uprzywilejowanych brygadzistów, przewodniczących rad i kołchozów, sekretarzy partyjnych i ich zauszników, prowincjonalnych nominatów politycznych. Jeśli zarzucić im, że dopuścili się takiego czy innego przestępstwa, z miejsca podniosą krzyk. Tak? Skoro oni są winni, to cały kraj jest winny, w końcu każdy ma coś za uszami, więc lepiej nie sądź, abyś nie był sądzony. (Wiem, że to obłęd, ale cytuję Biblię za Rakowskim, który miał czelność wycierać nią sobie gębę). Człowiekowi chce się rzygać, gdy słyszy te wszystkie pienia o miłości do ojczyzny, odpowiedzialności obywatelskiej wobec kraju. To oni wraz z całym tym systemem spartolili wszystko, a jeszcze ośmielają się prawić umoralniające kazania swoim ofiarom.

W takich momentach przypomina mi się zawsze stary dowcip. W tramwaju siedzi dystyngowany pan, a naprzeciwko zalany w trąbę, brudny i obleśny facet, który nawet na krześle nie może utrzymać równowagi. Gość w pewnej chwili puszcza obfitego pawia wprost na ubranie eleganta. Wzburzony obywatel zaczyna urągać na czym świat stoi, bluzga i wyzywa pijaka od najgorszych. Tamten uśmiecha się z pogardą i mówi: „Czy pan siebie słyszy? Przyganiał kocioł garnkowi!".

16 sierpnia 1980, Warszawa

W Warszawie skończyła się trzydniowa impreza – tyle czasu strajkowała stołeczna komunikacja. Byłem przyjemnie zaskoczony, że ludzie nie pomstowali, ale zaczęli chodzić pieszo, na ulicę wylegli rowerzyści, kierowcy, jeśli tylko mogli, chętnie podwozili autostopowiczów. Taryfy nie dało się złapać za żadne skarby, chyba że prywatną, przedsiębiorstwo taksówkarskie też przystąpiło do protestu. Panowała iście świąteczna atmosfera, w ostatnich latach nie zdarzyło mi się widzieć tylu uśmiechniętych twarzy.

Równocześnie słyszymy, że karnawał ogarnął też inne miasta, partii zaczyna brakować aparatczyków do gaszenia pożarów.

Wczoraj przed południem RWE poinformowało, że od rana strajkuje gdańska Stocznia imienia Lenina. Komitet protestacyjny żąda przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy. Oboje byli na czarnej liście już od 1970 roku, brali wtedy aktywny udział w tragicznie zakończonych manifestacjach, a później zainicjowali powstanie podziemnych Wolnych Związków Zawodowych. Wśród żądań jest też postawienie pomnika ofiarom zarządzonej przez Jaruzelskiego masakry oraz – naturalnie – podniesienie pensji i zrównanie zasiłku rodzinnego z wysokością dodatku, jaki dostają milicjanci.

Według wczorajszych doniesień radiowych także gdyńska Stocznia imienia Komuny Paryskiej i inne zakłady w Gdańsku przerwały pracę, dziś z kolei podają, że w Trójmieście ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, a na przewodniczącego wybrano Lecha Wałęsę.

Ciekawe, w jaki sposób krążą teraz te wszystkie informacje… Wczoraj w południe władze zablokowały bowiem połączenia telefoniczne i teleksowe z Gdańskiem i okolicami. Towarzysze zapewne znów szykują jakieś wielkie świństwo. Boże, oby tylko nie doszło do powtórki roku 1970!

Kim jest ten Wałęsa? Skąd się w takich ludziach bierze siła, odwaga i determinacja? Z komentarzy dowiadujemy się, że to człowiek doświadczony, żaden żółtodziób. Nowe nazwiska do zapamiętania: Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Bogdan Lis, Andrzej Gwiazda. To im podobni piszą dziś historię!

Mówi się, że to ludzie wierzący, głównie Wałęsa. Jeśli Bóg jest z nim, kto stanie przeciw niemu? To wiele wyjaśnia. Towarzysze będą mieli okazję, by powtórzyć sobie lekcję, na razie wydają się bezradni wobec faktu, że organizację obrony praw pracowniczych tworzą głęboko wierzący działacze. Najwyraźniej nie mieści im się w głowie, że związek zawodowy może być dziełem nielewicowców i niekomunistów. Jak to możliwe? Cóż, w końcu Karol Marks też nie przekroczył nigdy progu żadnej fabryki czy choćby proletariackiego mieszkania. Jego filozofia nie mogła się więc zrodzić w duszy robotnika. A potem tezy tego gagatka przejęli ludzie pokroju Lenina! Cały prąd umysłowy, cały „-izm", powstał zatem w głowie nadętego pawiana intelektualisty! Także uczeń nie był gorszy od mistrza: Włodzimierz Iljicz nie przepracował podobno nawet dnia. Zachodzę czasem w głowę, kto u licha sponsorował tych wszystkich typów, skoro bez stałych dochodów, odziedziczonego majątku czy zapomogi socjalnej mogli prowadzić mieszczańskie w gruncie rzeczy życie i w tym samym czasie buntować masy przeciwko burżuazji. I dlaczego władze były tak głupie, że nie zamknęły ich raz na zawsze w więzieniu? Ilu zmartwień oszczędziłoby to światu!

18 sierpnia 1980, Warszawa

Nie jestem w stanie notować codziennie, choć teraz każdy pominięty dzień czy godzina to grzech.

Proboszcz parafii Świętej Brygidy ksiądz Henryk Jankowski odprawił wczoraj mszę przed bramą gdańskiej stoczni. Po uroczystości w miejscu, gdzie w 1970 roku partia strzelała do górników, ustawiono duży drewniany krzyż jako tymczasowy pomnik. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, reprezentujący już blisko trzydzieści zakładów i prawie sto tysięcy pracowników, ujął swoje żądania w dwudziestu jeden punktach. Wezwano też organy władzy, aby na czas strajków wprowadziły zakaz sprzedaży alkoholu. Równocześnie zapewniono personel komunikacji miejskiej i służby zdrowia, że protest odbywa się także w ich imieniu, niech zatem nie strajkują, by nie sparaliżować miasta. Jednostki MSW w tym samym czasie wzmacniają i zacieśniają blokadę wokół nadmorskich metropolii. Stanęła też rafineria, w związku z czym zaczyna brakować paliwa. W Warszawie formują się już długie kolejki przy CPN-ach. Benzyny teoretycznie nie wolno sprzedawać do kanistrów, ale to też da się załatwić – jak wszystko – łapówką. Na razie.

19 sierpnia 1980, Warszawa

W mieście pojawiły się fałszywe ulotki. Podobno także w Gdańsku jest tego pełno. Wzywają w nich do powrotu do pracy. Autorów zdradza jedno sformułowanie: „odpowiedzialność obywatelska". Bezpieka ma nas za idiotów – to przecież styl „Trybuny Ludu".

Wieczorem Gierek głędził w telewizji. Pierwszy sekretarz potępił przerwanie pracy, wspominał coś o „anarchistycznych i nieodpowiedzialnych elementach antysocjalistycznych", które „zwodzą uczciwych robotników". Na końcu uderzył się lekko w piersi. „Popełniliśmy błędy w kierowaniu gospodarką" – powiedział i skrytykował biurokratyzm „oderwanych od mas" centralnych związków zawodowych, równocześnie twardo odrzucił choćby myśl o powstaniu wolnych syndykatów. Wezwał też do zaniechania strajków, poprosił o kredyt zaufania dla partii, bo „kraj potrzebuje wewnętrznego spokoju", tylko w ten sposób może się rozwijać.

Jeśli strajkujący oglądali telewizję, niejednemu pewnie otworzył się nóż w kieszeni. Ja sam miałem ochotę sięgnąć po starą broszurę partyjną z przemówieniami Gierka, także tym z 1970 roku, gdy na Wybrzeżu złożył w imieniu partii samokrytykę i prosił o zaufanie. Mam pewne podejrzenia, że w dzisiejszym orędziu wykorzystał całe ustępy z tamtego tekstu, i to słowo w słowo. Bardzo to wszystko wiarygodne, nie ma co.

Mylimy się, kłamiemy, mylimy się, kłamiemy, ale i tak to do nas należy władza, więc mordy w kubeł, bydlaki, i ufajcie nam, ale to już!

20 sierpnia 1980, Warszawa

Dziś Świętego Stefana, na Węgrzech błogosławi się nowy chleb.

Tu zaś za ostrymi słowami Gierka nie poszły – chwała Bogu! – żadne szybkie i brutalne działania milicji. Polityka twardej ręki wydaje się więc tylko sloganem, no chyba że… Chyba że władza zaczęła zabawę w chowanego i ten pozorny chaos i osłabienie to tylko część dłuższego scenariusza. Bo jednak dochodzi do jakichś zajść, represje nie ustały całkowicie. W tych dniach zawrócono na przykład do Warszawy jednego KOR-owca, wyłapuje się też członków opozycji, którzy próbują przedrzeć się do Gdańska. Zamknięto między innymi Jacka Kuronia i Adama Michnika.

Tymczasem stanął także matecznik Gierka – Śląsk, solidarny z Trójmiastem, gdzie klęską zakończyły się parodniowe negocjacje wiceministra Pyki, urzędnik wrócił do stolicy z niczym.

Nasilająca się groźba interwencji milicyjnej i wojskowej najwyraźniej dała się odczuć na Wybrzeżu, o czym świadczą zaskakujące skądinąd słowa Wałęsy, w których dystansuje się od KOR-u i twierdzi, że organizacja ta nie stoi za strajkiem. KOR z kolei nie bez powodu zebrał w Warszawie podpisy sześćdziesięciu czterech czołowych intelektualistów pod listem, w którym popiera postulaty MKS-u i wzywa władze do merytorycznych negocjacji. Dopiero teraz staje się dla mnie jasne, jak wiele działa w Polsce podziemnych inicjatyw społeczno-obywatelskich: a to Komitet Samoobrony Chłopskiej,

a to znów NSZZ Rolników Indywidualnych czy inne podobne stowarzyszenia występują w tych dniach z poparciem dla strajkujących robotników.

Wieczorem słucham w Wolnej Europie, że znów aresztowano kilkunastu działaczy KOR-u oraz całą redakcję podziemnego pisma „Robotnik".

23 sierpnia 1980, Warszawa

Wszystko wskazuje na to, że zbliża się chwila prawdy, w kraju wrze, w Szczecinie już blisko sto zakładów przerwało pracę. W Gdańsku napięcie sięgnęło zenitu. Wczoraj wicepremier Mieczysław Jagielski, który zdobył już pewne doświadczenie w pokerowych zagrywkach ze strajkującymi w Lublinie, po raz pierwszy spotkał się z przedstawicielami MKS-u. Nie wpuszczono go jednak na teren stoczni. Robotnicy nie godzą się na żadne rozmowy merytoryczne do czasu, aż zostanie uruchomione połączenie telefoniczne między Trójmiastem a pozostałą częścią kraju. Jagielski z kolei warunkuje negocjacje odsunięciem od stołu Anny Walentynowicz, Lecha Wałęsy i innych „radykałów", z którymi nie chce pertraktować. Zażądał też, by zawieszono strajk w komunikacji miejskiej. Jasne, media rządowe mogłyby z miejsca przedstawić to jako namacalny sukces władzy! Komitet strajkowy nie chce iść na ustępstwa i twardo obstaje przy swoich postulatach. Sytuacja jest patowa.

Wiadomość z dzisiejszego wieczoru: przy gdańskim MKS-ie ukonstytuowała się rada ekspertów. W jej skład weszły takie osobistości opozycji, jak Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki oraz działacze znienawidzonego KOR-u, klubów inteligencji katolickiej i konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Stało się to, czego komuniści obawiali się może najbardziej: robotnicy i intelektualiści, a także chłopi stanęli ramię w ramię. Tyle było gardłowania o jedności narodu, no to mają, proszę! Banda obłudnych technokratów, duchowi spadkobiercy Quislinga, którzy z lubością nazywają siebie „awangardą klasy robotniczej", nie są już w stanie ogrywać naiwnego, a bywa że i niedoinformowanego ludu pracy. Jeśli sojusz się utrzyma, nikt nigdy nie da się nabrać na ich pienia.

Wieczorem z wyraźnym oporem towarzysze postanowili jednak ustąpić. Usiedli do stołu rozmów, a do MKS-u przystąpiło w reakcji na to kolejnych czterysta zakładów.

Gdańszczanie nie poprzestają na słowach, zaczynają działać. Jeden ze stoczniowych konstruktorów, Bogdan Pietruszka, przedstawił projekt pomnika ku czci ofiar grudnia 1970. Słusznie, jeśli uda się go szybko postawić, powstanie mocny, jasny symbol, a w razie przegranej nie będzie go tak łatwo usunąć jak prowizorycznego, drewnianego krzyża, który stoi teraz w tym miejscu, narażony na nocne ataki „nieznanych sprawców" i „chuliganów". Żelazobeton to jednak co innego…

27 sierpnia 1980, Warszawa

24 sierpnia kilkanaście tysięcy osób wzięło udział w mszy odprawionej w Stoczni imienia Lenina i przed jej bramami. Cóż to mógł być za widok! Używam trybu warun-

kowego, bo w telewizji nie było o tym nawet wzmianki. Nie szkodzi, my i tak wiemy! I widzimy to wielkie wydarzenie oczyma duszy!

Także KC PZPR odprawił swoją liturgię: jak słusznie przewidziałem, dokonano zmian personalnych w rządzie i w kierownictwie partii. Odsunięto Babiucha, a premierem został Józef Pińkowski. Też mi zamiana! Plenum opowiedziało się za podjęciem rozmów z robotnikami, a pierwszy sekretarz powołał sztab negocjacyjny z Pińkowskim na czele. Gdański MKS ponownie uzależnił rozpoczęcie pertraktacji od przywrócenia połączeń telefonicznych z Wybrzeżem. Organa zatrzymały kolejnych KOR-owców: w radiu podano nazwiska Seweryna Blumsztajna, Mirosława Chojeckiego, Wiesława Kęcika, Jacka Kuronia, Jana Lityńskiego, Zbigniewa Romaszewskiego, Henryka Wujca i Adama Michnika. Robotnicy zareagowali żądaniem natychmiastowego uwolnienia więźniów politycznych. Wygląda na to, że sojusz inteligencko-robotniczy stał się rzeczywistością!

I Bóg dał, że wczoraj przywrócono połączenia telefoniczne, a rozmowy mogły się rozpocząć. Francuska centrala związków zawodowych CDFT wysłała MKS-owi dziesięć tysięcy franków wsparcia. Towarzysze zaczynają już nucić ulubioną śpiewkę o „ingerencji w sprawy wewnętrzne kraju". Tymczasem całe Wybrzeże, od Trójmiasta po Szczecin, stoi, strajkują górnicy i hutnicy na Górnym Śląsku, dziesięć tysięcy robotników podkrakowskiej Nowej Huty, jak również zakłady w Łodzi. W samym tylko Gdańsku przerwało pracę pięćset fabryk i przedsiębiorstw.

Telewizja wyemitowała wprawdzie homilię prymasa Wyszyńskiego, ale tylko fragmenty i wbrew wcześniejszym zapowiedziom, że nie będzie żadnej cenzury. Moskiewska agencja TASS donosi w ostrym tonie o sytuacji w Polsce, jak refren powtarza zbitkę „siły antysocjalistyczne".

Robotnicy nie dają się zastraszyć, są hardzi i konsekwentni. Poszli tylko na jedno ustępstwo: zamiast „wolny" zgodzili się nazwać swój związek „samorządnym". Zdaniem rządzących człowiek w ustroju socjalistycznym jest przecież z natury wolny, więc jakby to wyglądało, gdyby związek zawodowy nadał sobie dodatkowo taką nazwę? Że niby inne syndykaty nie są wolne? Niech już im będzie, towarzyszom.

30 sierpnia 1980, Warszawa

Chodzą słuchy, że ambasador sowiecki Borys Aristow zażądał od Gierka natychmiastowego użycia siły przeciwko strajkującym. Podobno pierwszy sekretarz zdecydowanie odmówił. Możliwe jednak, że to tylko cicha propaganda partyjna, by się przypodobać stojącemu nad przepaścią pierwszemu sekretarzowi.

Papież Jan Paweł II przyjął wczoraj polskich pielgrzymów i modlił się razem z nimi za ojczyznę. Niedawno napisał też do prymasa Wyszyńskiego list, w którym wyraził nadzieję, że Konferencja Episkopatu Polski i cały Kościół polski, jak wiele razy w przeszłości, tak i teraz będą wspierać naród w jego staraniach o zapewnienie sobie chleba powszedniego, sprawiedliwości społecznej i godnego życia. Ze słów Ojca Świętego

bije jasny przekaz: stańcie w jednym rzędzie z Polakami, nie zostawiajcie ich samych w tej szlachetnej walce, wpierajcie ich na duchu! Nie mogę się nadziwić, że ze strony komunistów nie rozległy się od razu wrzaski o świeckim państwie, reakcyjnych elementach kościelnych, które lekkomyślnie mieszają się w politykę. Co się odwlecze, to nie uciecze, jak tylko złapią oddech, na pewno to nadrobią.

W Szczecinie podpisano dzisiaj porozumienie między rządem i strajkującymi. Gdańsk, do którego przyjechał właśnie światowej sławy reżyser Andrzej Wajda, przyjął rozejm z zadowoleniem, ale Wałęsa obstaje przy swoim: bez uwolnienia więźniów politycznych nie będzie zawieszenia broni. Waha się też Biuro Polityczne PZPR: co się stanie, jeśli pójdą na ustępstwa? Jak bardzo tryumf robotników podkopie autorytet partii? Wszystkie te rozważania snują w chwili, gdy cały naród widzi, że król jest nagi.

Późnym popołudniem KC akceptuje w końcu tekst porozumienia. Jagielski może wracać na Wybrzeże, by je podpisać.

Nie wiem, jak zostanie to przyjęte w Gdańsku i w reszcie kraju. Ludzie powinni się w zasadzie cieszyć, bo bestia ugięła kark. Sęk w tym, że czerwoni nigdy jeszcze nie dotrzymali żadnej umowy tylko dlatego, że ją podpisali. Kiedy przestawali czuć na sobie bezpośredni przymus, wyrzucali papierek do kosza i mieli go w nosie. Innymi słowy, tylko wtedy można liczyć, że dotrzymają słowa, jeśli będzie się na nich wywierać nieustanny nacisk. Jest to możliwe, choć niesłychanie męczące. Oni zresztą zdają sobie z tego sprawę. Będą się więc starali omijać meritum sprawy, odsuwać w czasie realizację zobowiązań, powoływać się przy tym na setki czynników, do tego dojdą „obiektywne trudności", naród się zmęczy, a wtedy oni uderzą na nowo.

Gdyby tak dobry Bóg uchronił nas tym razem przed takim scenariuszem!

31 sierpnia 1980, Warszawa

A więc stał się cud!

W Gdańsku podpisano porozumienie!

Boże, jak wspaniale było widzieć i słyszeć Jagielskiego, gdy po każdym z odczytanych dwudziestu jeden postulatów wypowiadał słowa: „Akceptuję, podpisuję"! I tak też zrobił. To samo Wałęsa – wielkim, kiczowatym, choć teraz już cudownie symbolicznym długopisem z wizerunkiem papieża złożył zamaszysty podpis pod dokumentem. Rozległ się hymn, widać było łzy w oczach ludzi, więźniowie polityczni zostaną wypuszczeni, mamy wolne związki zawodowe, można już pisać ich statut, wkrótce ruszy proces rejestracji. Długopis z papieżem wpłynie na życie milionów!

Kraj świętuje, ale też jakby trochę się zasępił w obawie, że znów nadejdą szare, wypełnione walką dni. Nawet jeśli partia dotrzyma słowa, co nie jest pewne, sytuacja nie zmieni się z dnia na dzień. Przed Kościołem stoi teraz naprawdę wyjątkowe zadanie: podtrzymać w ludziach nadzieję. Bo wierzyć nie tylko można, ale i trzeba.

Dobry Boże! Jak się to wszystko ułoży i czy w ogóle? Czy Moskwa może coś takiego przełknąć? Przecież ten proces się nie zatrzyma, ferment będzie się szerzył (a w każdym

razie może) także w innych krajach, dotkniętych – jak określił to Miłosz – zniewoleniem umysłu. A jeśli właściciele niewolników połączą siły, a Zachód znów umyje ręce, wtedy…

Staram się za wszelką cenę odpędzić złe przeczucia. Zamierzam mimo wszystko uwierzyć w sukces! Kto wchodzi na ring niepewny swego, ten jest już w połowie przegrany. Powtarzam więc sobie napomnienie Jana Pawła II, z którego czerpię teraz siłę: „Nie lękajcie się! Nie lękajcie się tu, na tej ziemi!".

7 września 1980, Warszawa

Gierek przechodzi do historii. W nocy z 5 na 6 września zebrało się VI Plenum KC PZPR. A były pierwszy sekretarz nagle się rozchorował. Pewnie na własne życzenie albo na rozkaz partii. Kogo wybrali na jego miejsce? Czyżby, niespodzianka, dotychczasowego wielkiego nadzorcę aparatu bezpieczeństwa, Stanisława Kanię? Piękny sygnał, co? Do tego niezbyt zawoalowany…

„Akceptuję, podpisuję" – dźwięczą mi w uszach wypowiedziane w Gdańsku słowa Jagielskiego. Podpisał w imieniu partii i rządu. A teraz grzecznie i po kolei usuną ze stanowisk wszystkich, którzy porozumieli się z robotnikami i narodem, i zacznie się zwodzenie. Partia „zwiera szeregi", przegrupowuje się, zamienia, wymienia, podmienia – staje na głowie, by tylko nie dotrzymać obietnic.

Podskórnie czuję, że nadchodzą bardzo ciężkie czasy. Mówię Joli, że powinniśmy zrobić zapasy, kupić mąkę, cukier, sól. Ona się śmieje.

– Jesteś jak mój ojciec – stwierdza. – Chyba nie myślisz, że będzie wojna?

– Kto wie – odpowiadam. – Może wybuchnąć rewolucja albo powstanie. Nawet wojny nie da się wykluczyć. Jeśli przyjdą udzielić nam „bratniej pomocy", zwłaszcza Ruscy ze wschodu i Niemcy z zachodu (choć to wschodni Niemcy), to jak znam was, Polaków, może być z tego wielka jatka. Na tyle wielka, że świat będzie musiał zająć stanowisko. I to już nie będą wewnętrzne sprawy kraju…

Żona pyta drwiąco, czy nie na to właśnie czekam.

– Zawsze narzekałeś, że urodziłeś się za późno i nie mogłeś walczyć w pięćdziesiątym szóstym. Teraz może ci się przydać to, czego nauczyłeś się w wojsku. A tak się zżymałeś na tę armię, mówiłeś, że to stracony czas.

Ma rację… Przynajmniej umiem obsługiwać kałacha. Nawet teraz, po dziesięciu latach od przejścia do cywila, w dowolnej chwili i z zamkniętymi oczami potrafiłbym go złożyć i rozłożyć. Tyle że sam już nie wiem, czy naprawdę chciałbym skorzystać teraz z tej wiedzy. Co innego gadanie, a co innego twarda rzeczywistość…

21 września 1980, Warszawa

Niedzielny obiad u teściów. Powietrze aż wibruje od napięcia. Tata, zacięty komunista, z brzękiem stawia na stole talerze, Helenka pałaszuje z apetytem, dworując sobie przy tym z męża w sobie tylko właściwy, kobiecy sposób.

– Komu zawdzięczamy ten posiłek, a komu nasz powszedni chleb? Twojemu Panu Bogu, rzecz jasna, to on na niego zarobił, czyż nie? – cedzi przez zęby Tata.

– Nie, mój drogi, razem na niego zarobiliśmy, ty i ja, ale to dzięki mnie mamy w zupie mięso. – Helenka tryumfuje. – A bez Boga ani ty, ani ja nie osiągnęlibyśmy niczego…

Okazało się, że poszło o niedzielną mszę. Polskie Radio pierwszy raz od czterdziestu lat transmitowało ją na swojej antenie. Po kilku dekadach przerwy nadano bezpośrednią relację z kościoła Świętego Krzyża. Na Dwójce, falach średnich i z trzaskami, ale kto by się tym przejmował? Najważniejsze, że puścili! Domagano się tego w postulatach gdańskich, partia i rząd wydały więc zgodę. Głos Kościoła może trafić do chorych, niepełnosprawnych czy innych, którzy nie mogą uczestniczyć w mszy. Na mocy dekretu prymasa Wyszyńskiego powstała redakcja odpowiedzialna za transmisję. Wczoraj delegat Urzędu do spraw Wyznań i sekretarz Konferencji Episkopatu Polski podpisali w tej sprawie jedenastopunktowe porozumienie i dzisiaj msza mogła już zabrzmieć w eterze. Swoją drogą jest to ciekawy precedens, partia zresztą pozostaje czujna: transmisja idzie wprawdzie na żywo, ale dziś zdarzyło się najpewniej po raz pierwszy i ostatni, że mszę nadawano bez zaakceptowanego wcześniej scenariusza. Od teraz wszystko trzeba będzie przygotowywać z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, teksty kazań trzeba będzie przedkładać do oceny, a w czasie nabożeństwa nie wolno będzie zmienić ani słowa.

Helenka nie wie o tym wszystkim i zapewne nie bardzo ją to obchodzi, ale się cieszy, że może być na mszy chociaż duchem, do coniedzielnych wizyt w kościele brakuje jej bowiem zapału. Tak czy inaczej wysłuchała dziś nabożeństwa rozanielona, a Tata w tym czasie krzątał się po mieszkaniu bez wyraźnego celu, ciągle o coś pytał, komentował i złościł się, że nie może włączyć telewizji. (Notabene zupełnie bez powodu, większość czasu i tak spędzał w kuchni i żaden program na dłużej nie przyciągnąłby jego uwagi).

I o to się właśnie pogryźli. My zaś, w asyście szwagra i szwagierki, śmialiśmy się z nich i zachęcaliśmy do zawarcia zgody. Bez skutku. Gdy zbieraliśmy się do wyjścia, oni wciąż posykiwali jedno na drugie.

29 września 1980, Warszawa

Skończyły się strajki. PZPR wydaje się jakaś przykulona po sierpniowych ustępstwach. Czy aby nie jest to pozycja drapieżnika, który szykuje się do ataku? Zapędzonego w kozi róg szczura, gotowego na wszystko? *Fights like a cornered rat* – mówi przysłowie angielskie. Trwa okres podszytego sceptycyzmem wyczekiwania. Co się teraz stanie? Czym zaowocuje cudowna narodowa solidarność, a czym Solidarność jako związek? A może Anna Walentynowicz, Lech Wałęsa i inni sami zaczną jeździć w wielkich, czarnych limuzynach? Czy rosną im już smocze pazury?

Mamy nowy rząd, kierownictwo partii postawiło na ofensywę kadrową. Wygląda na to, że przejaśnienie było chwilowe, a na niebie znów zbierają się chmury, horyzont pokrywa się z wolna czernią.

Na pierwszego sekretarza wybrano Stanisława Kanię, byłego szefa bezpieki. Czerwona inkwizycja szykuje swój nowy katechizm. I te hasła, które zaczynają nam wciskać! Partia ponad wszystko, niczym święta, która jako jedyna jest w stanie nas ocalić… Słuchając tych autolaudacji, człowiek ma wrażenie, jakby przemawiał do niego sam Muhammad Ali: jestem najpiękniejszy, najlepszy, najsilniejszy, a kto się ze mną nie zgadza, tego spiorę na kwaśne jabłko. Ceną za wolność odczuwania są wciąż te same emocje.

Pod koniec tygodnia Lech Wałęsa poinformował przedstawicieli władzy, że jeśli do środy nie wprowadzą w życie ustalonej części porozumień, Solidarność przystąpi do strajku ostrzegawczego.

Dziś jest poniedziałek.

30 września 1980, Warszawa

Skończyłem dziś *Rok 1984* Orwella. Czytałem go już drugi raz. A może lepiej powiedzieć, że dopiero drugi, choć stał na półce od lat, w sąsiedztwie innych anglojęzycznych książek. Być może dlatego nie sięgnąłem wcześniej, bo wiedziałem, jak ponura to rzecz. Sądzę, że dla nas, którzy na co dzień żyjemy w zmaterializowanej wizji pisarza, lektura ta jest jeszcze bardziej wstrząsająca niż dla gnuśnych ludzi Zachodu, niezdolnych pojąć z niej czegokolwiek do chwili, aż ktoś wyciągnie do nich kudłatą, brudną łapę i powie: *Dawaj czasy*!

Biedny Orwell! Był jak prorok starozakonny, który darmo krzyczał i bił na alarm, jego współwiercy pozostali głusi na wołania i uznali go za wariata i fantastę. Kim byli ci ludzie? Używając trafnego określenia Lenina, można ich nazwać „pożytecznymi idiotami" – to intelektualiści zachodni, którzy w beznadziejnym zaćmieniu umysłu stawali w obronie Związku Sowieckiego… Większość z nich po dziś dzień nie jest zdolna pojąć, co się dzieje! Nie widzą, że *newspeak*, nowomowa, wypuszcza coraz to nowe pędy, a pączki *doublethinku*, dwójmyślenia, rozwijają się w najlepsze. Nie wspominając już o tym, że w niemal każdym domu jarzy się jakiś „telescreen". Fakt, na razie tylko emituje fale, nie nagrywa, nie odbiera, jeszcze nie jest interaktywny. Ale gdy czytam nowinki naukowe, czuję, że już niedługo.

Jedno z pamiętnych zdań Orwella brzmi: „Rzeczywistość istnieje w umyśle ludzkim i nigdzie poza nim". Jeśli więc chcemy kontrolować rzeczywistość, musimy zawładnąć umysłem ludzkim. Innymi słowy, trzeba zdecydować, jakie informacje mają do niego dotrzeć. Temu służy system mass mediów. Jeśli odpowiednio często wtłacza się do świadomości ludzi koncentrat przychylnych władzy wiadomości i blokuje jednocześnie inne źródła wiedzy, sprawa wydaje się wygrana. Wiedział o tym już szatański Goebbels i zapewne nie ma różnicy także w tym wypadku, bo socjalizm od narodowego socjalizmu oddziela bardzo wąska granica. Także podstawowa barwa ich sztandarów jest zbieżna, a i mania rządzenia światem łączy obie te doktryny. Tyle tylko, że naziści okazali się co najwyżej ambitnymi uczniami w porównaniu z bolszewią, która wybiła pięć razy więcej ludzi w imię jedynie słusznej ideologii.

Krótko mówiąc: najważniejsza jest propaganda, władza mediów. Te zaś potrafią otumaniać na tyle, że w końcowym rozrachunku przestajemy wierzyć własnym oczom i doświadczeniom, a zaczynamy przyjmować wizję, którą wbija się nam do głów przez radio, telewizję, gazety. W przeciwnym wypadku dyktatorzy nie obawialiby się tak bardzo wolnej prasy. Ekipa Gierka trzyma się więc kurczowo swoich narzędzi komunikacji, bo bez nich największy nawet terror nie jest wart złamanego grosza.

11 października 1980, Warszawa

Czesław Miłosz otrzymał tegoroczną Nagrodę Nobla. Przekaz jest jednoznaczny. Poplecznicy reżimu w mediach i prasie jak na komendę stanęli do wyścigu w domysłach na temat „uwarunkowań politycznych" tej decyzji. Że niby Zachód w perfidny, choć przejrzysty sposób miesza się w wewnętrzne sprawy Polski, „w szerszym aspekcie" ingeruje w politykę całego bloku wschodniego, a tym samym daje swoim „pozornie tylko z literaturą związanym wyrokiem" impuls „ruchom wywrotowym". Przedstawiciele Akademii Szwedzkiej stracili cierpliwość i pierwszy bodaj raz w historii nagrody postanowili ujawnić informację o kulisach swojej decyzji: kandydatura Miłosza była ponoć rozważana od czterech lat.

Czort wie, czy to prawda, ale z całą pewnością zareagowali odpowiednio.

14 października 1980, Warszawa

Rozwiązała się Centralna Rada Związków Zawodowych. Czołowi aparatczycy „słabują" jeden po drugim. Jakaś dziwna epidemia grasuje w ich szeregach.

Wahania cen stają się codziennością. W ten sposób partia próbuje straszyć swój lud, choć wedle oficjalnego hasła to właśnie w rękach ludu spoczywa władza!

Wczoraj wieczorem byliśmy w kinie. Na filmie *Constans* Krzysztofa Zanussiego. W końcu go puścili. To pierwszy ze znanych mi filmów polskich, który nie pozostawia nawet płomyka nadziei. Przesłanie: uczciwi ludzie wymierają jak pradawne gady. Nie rozumiem, jak mądry i wierzący człowiek może wygłaszać takie tezy? Przecież Pismo Święte zapowiada, że nawet po apokalipsie będzie życie.

Związek Sowiecki oddał hołd bohaterom polskim poległym w czasie drugiej wojny światowej. Złożyli tonę wieńców. Także w Katyniu, miejscu jednego z najbardziej odrażających mordów masowych w historii nowożytnej. Przyboczni Stalina zabili tu wiele tysięcy polskich oficerów i podoficerów, policjantów i urzędników oraz powołanej pod broń inteligencji, a potem zrzucili całą winę na Niemców. Dodatkowej grozy całej zbrodni przydaje fakt, że Zachód im uwierzył. A nawet jeśli nie, to w Poczdamie, w Norymberdze ani później nie pisnął o tym słowa. Dziś zatem świętoszkowaci oprawcy składają wieńce. Chce mi się rzygać.

Polska jesień – Praska Wiosna. Przyjdzie jeszcze czas na polską zimę i polską wiosnę… A potem spece od mokrej roboty „obronią socjalizm" także nad Wisłą. Zachód,

dłubiąc w nosie, sformułuje jakiś proteścik. I będzie sobie oglądał, jak na ekranie kinowym, nową masakrę w wykonaniu Związku Sowieckiego. Trochę się potłumaczy, powymądrza i potępi. W końcu wygłosi piękny nekrolog.

Spójrzmy: między kwietniem a sierpniem 1968 roku upłynęły cztery miesiące. Kremlowskie młyny mielą powoli. W trzech etapach. W pierwszym pozwalają masom dać upust emocjom, a jeśli te nie wzburzą się na tyle, by faktycznie stracić kontrolę nad sobą, pomaga się im nieco i w końcu muszą się pojawić jakieś „siły antyrewolucyjne". W drugim etapie podcina się zbuntowanym ludziom skrzydła, odkłada realizację wymuszonych obietnic, zapewnia, że będą one spełniane stopniowo, „jeśli warunki pozwolą", i że „wymaga to spokoju". Naród żyje więc w nieustannej niepewności, stara się poskromić nerwy, aby władza przypadkiem nie wycofała się z danego słowa właśnie z uwagi na niepokoje. Ludzie nawołują do umiaru, rezygnują z odważnych kroków. Kupiony w ten sposób czas władza wykorzystuje do osłabienia ruchów „antyrewolucyjnych" i odzyskania straconych pozycji. Czasami pomaga też punktowe użycie siły przeciwko „radykalnym, nieodpowiedzialnym elementom", bo można potem wprowadzić obostrzenia. Faza trzecia: jeśli użyte wcześniej narzędzia okażą się nieskuteczne, miejscowa partia albo przynajmniej któraś z jej frakcji wzywa Sowietów na pomoc w zdławieniu „kontrrewolucji". I na kolejne dwadzieścia lat zostaje zapewniony spokój. Nowo mianowane kierownictwo natychmiast spełnia część wcześniejszych żądań i zyskuje w ten sposób stabilizację. Historia krwawych wydarzeń zostaje od razu zafałszowana, cały materiał trafia do tajnych archiwów, a szerokiej publiczności serwuje się oficjalną, partyjną wersję.

Słowem, walec jedzie dalej. A najlepsze jest to, że oni nawet z przemielonego mięsa potrafią wyczarować żywy organizm. Co prawda twór ten jest bardziej przerażający niż Frankenstein, ale co z tego, skoro żyje, rusza się, wykonuje rozkazy pana. Jedyna nadzieja w tym, że w końcu nawet homunkulus się zbuntuje! Jaką rewolucję zgotuje nam *homo sovieticus*?

21 października 1980, Warszawa

Prawie sto tysięcy ludzi zebrało się na placu Trzech Krzyży. Kardynał Wyszyński wygłosił bezbarwne kazanie – bardzo się pilnował, by nie powiedzieć czegoś, co „zaostrzy sytuację".

Robiłem zdjęcia. Z okna na drugim piętrze secesyjnego budynku na rogu Wilczej i placu rozciągała się oszałamiająca panorama, obiektyw objął całą przestrzeń, z kościołem i ustawionym od strony Alei Ujazdowskich białym orłem z koroną na szyi. (Skoro już nie można założyć mu jej na głowę!) Pod nim wierna poświęcona kopia jasnogórskiej Czarnej Madonny, jeszcze niżej podium dla Episkopatu, obok zakonnice, bracia i ministranci. A w tle ciężka bryła gmachu Komitetu Centralnego, na którego dachu powiewa oświetlony reflektorami czerwony sztandar. Cóż za ujęcie!

„Trybuna Ludu" opublikowała wczoraj fragment przemówienia Honeckera. „NRD jest w każdej chwili gotowe udzielić wsparcia polskim towarzyszom". Jeszcze tego

brakowało! Mieliby tu przyjść żołnierze niemieccy, do złudzenia przypominający wermachtowców, bo takie mundury nosi się w Enerdowie! I w ogóle, żołnierz niemiecki na polskiej ziemi! Dobry Boże!

W dzisiejszym wydaniu cytują z kolei Ceauşescu. Wypomina partii i polskiemu kierownictwu błędy i ostrzega przed „konsekwencjami oderwania się władzy od mas". I kto to mówi?!

PZPR przypomina nakręcaną maszynkę, od tygodni raz po raz wystosowuje protesty przeciwko ingerencjom w polskie sprawy. Naturalnie głównymi oskarżonymi są Wolna Europa i Głos Ameryki, choć właściwie wszystkie zachodnie agencje są teraz przedstawiane jako zorganizowana sieć agentów. Równocześnie każdego dnia wszelkimi możliwymi kanałami sączą się informacje, że polska opozycja znajduje się pod ich wpływem i oczywiste staje się działanie „sił antysocjalistycznych, podminowujących zdrową konsolidację".

Ta sama „Trybuna Ludu" przytacza wściekłą, utrzymaną w tonie potępienia wypowiedź Sándora Gáspára, sekretarza Centralnej Rady Węgierskich Związków Zawodowych, na temat istnienia wolnych i niezależnych organizacji robotniczych. W dzisiejszym numerze poświęcono tej kwestii aż trzy artykuły. W każdym z nich próbuje się dowieść, że przymiotnik „niezależny" jest nie do pogodzenia z fundamentami myśli socjalistycznej. Partia i związki mają bowiem stanowić organiczną całość i nie wolno przerywać łączącego je „pasa transmisyjnego". Jest też rzekomo niewyobrażalne, aby ludzie wierzący mogli stworzyć związek zawodowy z prawdziwego zdarzenia. Zdaniem autora tekstu jest to czysty anachronizm.

A jednak zebrane na placu Trzech Krzyży tłumy, przywiedzione tu pielgrzymującym po kraju obrazem Czarnej Madonny, wznosiły transparenty z napisem: „My chcemy Boga!". Tymczasem partia, przekonana o własnej boskości, wali w stół i krzyczy: „Chcę, byście wierzyli we mnie!". Toż to anachronizm w czystej postaci! Czy to przypadkiem nie komuniści i ateiści wygłaszali mądrości, wedle których nie Bóg stworzył sobie wiernych, ale prymitywny lud, przerażony niepojętymi dla siebie siłami natury, wymyślił sobie Boga? Wyjaśnijcie mi to, towarzysze!…

7 listopada 1980, Warszawa

O wpół do szóstej nieoczekiwanie wpadł do mnie Ákos.

– Alarm na Aurorze! – Zaśmiał się. – Słuchaj, masz w domu zapas filmów?

– Mam trochę kolorowych i kilka rolek czarno-białych. A co?

– No, bracie. – Pyknął fajkę i uniósł krzaczaste brwi. – Tu masz wszystko napisane, czytaj!

Podał mi niebieskawe odbitki maszynopisu, słabo czytelne, najpewniej dziesiątą kopię oryginału. Trzy strony. Lech Wałęsa wzywał do strajku, jeśli w poniedziałek, 10 listopada, Sąd Najwyższy nie potwierdzi statutu wolnych związków zawodowych i nie zarejestruje Solidarności zgodnie z porozumieniem gdańskim. Z tekstu dało się

wyczuć nastrój mobilizacji, który mógł się zakończyć nie tylko strajkiem, ale nawet powstaniem. Jeśli więc w poniedziałek sąd zacznie lawirować, w środę o szóstej stanie cały kraj. Nie tylko fabryki, zakłady i urzędy, ale również komunikacja, słowem – wszystko. Z wyjątkiem sklepów spożywczych, szpitali, przychodni i pogotowia.

O wpół do ósmej zaczął się dziennik. Obszerna relacja z moskiewskich uroczystości. Pod wielkimi hasłami ku czci rewolucji październikowej odbył się pokaz siły Armii Czerwonej. Z trybun honorowych kierowano gromiące spojrzenia w stronę świata i machano wesoło do zebranych tłumów Rosjan. Potem były informacje z Polski: w całym kraju obradują władze wojewódzkie z udziałem przedstawicieli KC. Zapewne wydają polecenia na wypadek, gdyby w poniedziałek nie zarejestrowano jednak Solidarności, a w środę przyszło to, co nieodwołalne. Jeszcze wystąpienie Stanisława Kani w Katowicach. Straszył wojną domową i obcą interwencją, mówił o siłach antysocjalistycznych i ich kontrrewolucyjnych planach.

Wolna Europa podaje, że w Gdańsku już strajkuje służba zdrowia, na miejscu pertraktuje z nimi minister.

8 listopada 1980, Warszawa

Kupiłem jeszcze dwadzieścia rolek filmu, nie chcę, by wielka Historia zastała mnie z pustymi rękami. W poniedziałek przed dziesiątą rano będziemy czekać pod Sądem Najwyższym na decyzję. Muszę tam być, i to na czas, bo zapewne zwalą tam tłumy ludzi.

Żona Ákosa szyje opaski w barwach polskich i węgierskich na wypadek strajku czy innych nieprzewidzianych wypadków. My, grupa czterech czy pięciu warszawskich Węgrów, założymy po jednej na każdą rękę. I pójdziemy tam jak legia madziarska – nieważne ilu, liczy się udział, wierność naszym chwalebnym tradycjom. Ustaliliśmy między sobą system alarmowy, miejsca spotkania. Powoli czujemy rewolucyjny zapał. Starszy syn Ákosa Andrzej ma już taką wprawę w konspiracji, jakby robił to od zawsze. Rodzice się o niego martwią, ale co mogą poradzić, skoro sami są zaangażowani w opozycji. Proszą tylko, aby informował ich, co planuje, dokąd idzie, gdzie go mają szukać.

Mieszają się we mnie dwa uczucia: z jednej strony pragnienie rewolucji, chęć postawienia sprawy jasno, nawet jeśli poleje się krew, a z drugiej – nadzieja na pokojowe rozwiązanie. Z całą pewnością jednak chciałbym zobaczyć, jak czerwoni sikają w gacie ze strachu przed linczem, przed wyrównaniem rachunków. A potem pomachać im i posłać w cholerę! Do Moskwy, Pekinu, dokąd chcą, byle jak najdalej stąd! Niech pozwolą nam normalnie żyć! Dość eksperymentów na żywym organizmie społeczeństwa!

10 listopada 1980, Warszawa

Udało się! Zarejestrowali! Od dzisiaj Solidarność działa w pełni legalnie! I to na dzień przed świętem polskiej niepodległości! Co prawda obecnie nie wolno oficjalnie obchodzić rocznicy daty, gdy Polska po stu dwudziestu trzech latach zaborów, 11 listopada

1918 roku, wróciła jako byt polityczny na mapę Europy, ale to dziś nieważne! Jeszcze trochę i wywalczymy sobie jutrzejsze święto! Rejestracja Solidarności jest wspaniałym przyczynkiem do tego!

Wałęsę wyniesiono z gmachu Sądu Najwyższego na ramionach. Dziesięciotysięczny tłum wiwatował na wieść o decyzji. Z dachów okolicznych domów powoli znikali snajperzy. Zauważyłem ich rano i zacząłem mierzyć teleobiektywem pięćsetką. Jeden z nich chyba mnie zauważył, mimo że stałem w gęstym tłumie, bo wycelował w moją stronę lufę karabinku. Odruchowo skłoniłem głowę, ale zdążyłem parę razy wcisnąć spust aparatu. On swojego nie, na szczęście…

Pojawili się też Éva Terényi i Barna Varró, radiowcy i dziennikarze „Népszabadság", wpadliśmy na siebie i zabrali mnie jako tłumacza na konferencję prasową. Świetna okazja, by zobaczyć z bliska Wałęsę. Udało się, siedział parę metrów ode mnie, przy stoliku z Bogdanem Lisem, uśmiechnięty, rozluźniony odpowiadał na pytania. Mówił z prędkością karabinu maszynowego, strzelał z biodra, za każdym razem celnie. Trafiony, zatopiony. Brylował. Miał na wszystko gotową odpowiedź. Po prostu geniusz! W parę minut podbił serca nawet sceptycznych dziennikarzy. Również Éva i Barna dali mu się oczarować. Ciekaw jestem, czy cokolwiek z tego zachwytu przemycą do naszej gadzinówki partyjnej!

Umówiliśmy się z Ákosem, że bez względu na decyzję sądu wieczorem się napijemy. Nie mogę się doczekać, muszę wyrzucić z siebie dzisiejsze emocje, posłuchać, dowiedzieć się czegoś od nich. Właśnie o to chodzi: żadnej krwi, małymi kroczkami być może uda się w końcu spuścić z komunistów parę – tym więcej będzie jej dla nas!

Pierwsze, co muszę jutro zrobić, to przełożyć podróż do Londynu. Planuję ją od wiosny, kombinuję, jak tu wyjechać na parę miesięcy i popracować na czarno, zarobić porządne pieniądze, bo inaczej nigdy nie uda nam się wyjść na prostą. Ale nie mogę teraz uciec, boję się, że ominą mnie historyczne wydarzenia. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Mam już paszport konsularny na całą Europę, a w nim angielską wizę wjazdową (z zaproszeniem), tymczasem po raz drugi odkładam podróż na później. W sierpniu z powodu strajków, a teraz…

Jola ukręci mi łeb! Już słyszę, jak mówi: „Ty głupku, myślisz, że bez ciebie nie będzie rewolucji? A nawet jeśli, nic ci do tego, nie mamy pieniędzy, więc rusz tyłek, kochanie, i jedź do pracy!". No jasne, ona siedzi w Lugano i zasuwa na czarno, a mnie nie chce się stąd wyjeżdżać – co za „skandal"…

18 listopada 1980, Warszawa

Wczoraj przyjechał Iván Bába. Nie mogliśmy się nagadać, nawymieniać wrażeniami. Byliśmy u Ákosa w redakcji „Polski", stamtąd poszliśmy odwiedzić Karaska w radiu. Krzysztof podśmiewywał się z cenzorów, bardzo są teraz potulni, witają się grzecznie z dziennikarzami, jakby stale przepraszali, że żyją. Powiedział też, że linie podziału stają się coraz wyraźniejsze, namacalne, co zresztą czujemy i my, cały ten ferment,

wyczekiwanie na „wielki skok". Na czwartą umówiliśmy kolejne spotkanie, tym razem w Związku Literatów. Karasek spróbuje się dowiedzieć, gdzie można zobaczyć *Robotników '80*, trzygodzinny dokument o sierpniowych strajkach.

W klubie studenckim Hybrydy pokazują wystawę *Rejestracja*. Znakomite zdjęcia sprzed sądu, i ja tam byłem dziesiątego. Twarze, falujące tłumy na Ogrodowej. Z dumą pokazuję Ivánowi jedną fotografię: moja skromna osoba, balansując na parapecie jednego z okien budynku, celuje teleobiektywem w dachy domów. Ktoś mnie uchwycił w momencie, gdy mierzyliśmy się wzrokiem ze snajperem. Opowiedziałem Ivánowi, że mam zrobione w tamtej chwili zdjęcie: dupek w moro obiera cel, prawdopodobnie moją głowę. Potem zasypałem go informacjami, wszystkim, co wiem albo o czym słyszałem – niech zabierze „bakcyla" i roznosi go na Węgrzech, niech przekaże ludziom prawdę o tym wielkim kraju.

Wpadliśmy na Szpitalną 5, do warszawsko-mazowieckiej centrali Solidarności. Mrowisko wydaje się oazą spokoju w porównaniu z tym, co tam się działo. Ludzie biegali rozgorączkowani, każdy coś załatwiał, wpadał i wypadał. Dzwoniły telefony, stukały maszyny do pisania – jak przed zamknięciem numeru w redakcji dziennika. Zmęczone, ale promienne twarze, czuć było, że to w nich naród pokłada teraz nadzieje. Strzępy rozmów, urwane zdania. Wojtek Kamiński łypał na nas pośpiesznie, wyraźnie nie miał czasu, jest teraz prawą ręką Michnika. Próbował studzić nastroje:

– Chłopaki, ostrożnie, nie można na nich ruszyć jak czołg, bo kiedy poczują się słabo, „pójdzie Kania, przyjdzie Wania!".

Słuchają go, ale tylko jednym uchem. Dżin o imieniu Nadzieja uciekł z butelki i teraz nie da się już popuszczać powietrza wentylem.

Karasek zabrał nas na *Robotników '80*, ja jednak po jakimś czasie zostawiłem pozostałych, bo widziałem już film, a poza tym chciałem do wieczora przełożyć coś na szybko dla Ivána, żeby mógł jutro zabrać na Węgry. Może nie zarekwirują na lotnisku. W Polsce raczej nie, ale tam, na Ferihegy?

Trzeba pamiętać, że ekipa Kádára mąci i łże, bo boi się polskiej zarazy.

20 listopada 1980, Warszawa

Kupiłem bilet lotniczy do Londynu. Na 30 listopada.

Kiedy wiosną postanowiłem, że dobrze byłoby zarobić nieco grosza za granicą i zacząłem załatwiać paszport na wszystkie kraje Europy, zaproszenie i inne formalności, nie wiedziałem jeszcze, co przyniesie historia. Teraz jednak nie mam najmniejszej ochoty opuszczać Polski.

Mimo to jadę, bo bardzo, ale to bardzo potrzebujemy pieniędzy – postanowiliśmy z Jolą, że dopiero we własnym mieszkaniu pomyślimy o dziecku. Nie będziemy się z nim włóczyć z jednej prowizorki do drugiej. Na co nas stać teraz? Na wynajem kawalerki na poddaszu, przerobionej zresztą z suszarni. Pokój pięć metrów na cztery, połączony z tak zwaną amerykańską kuchnią (aneks o powierzchni dwóch metrów

kwadratowych!), półtorametrowy przedpokój, malutka łazienka z WC – wszystko. Dwa łóżka, biurko, kanapa na trzy osoby, dwa fotele i stolik, telewizor ze stojakiem, wieża hi-fi i upchnięte na półkach książki zajmują tyle miejsca, że w mieszkaniu ledwo można się poruszać. Wychowywanie dziecka w takich warunkach byłoby nieodpowiedzialnością. A do tego właściciel w każdej chwili może nam wypowiedzieć umowę albo podnieść czynsz i wtedy będziemy się gnietli na dziesięciu metrach u teściów. Potrzebujemy własnego mieszkania, bez dwóch zdań. Dlatego historia historią, ja ruszam do Londynu!

Przygotowałem się dobrze do podróży. Edek Ipnarski, który w Anglii pracuje co roku przez dwa miesiące, poradził mi to i owo. Znam ceny, wiem, ile można zarobić, za ile wynająć pokój, ile kosztują przejazdy komunikacją. Za jego namową kupiłem rometa, pięćdziesiąt centymetrów sześciennych, mały motorower o gokartowych kółkach, na którym wyglądam wprawdzie jak małpa na hulajnodze, ale pojazd ma swoje zalety. Do pięciolitrowego zbiornika wchodzi galon benzyny, co zdaniem Edka wystarczy na tygodniową jazdę do pracy i z powrotem, nawet na drugi koniec miasta, jeśli zajdzie taka potrzeba. Za cenę jednego biletu na metro mogę więc kupić paliwo na tydzień, a to już duża oszczędność. Kolejny plus to dwa koła. Do ruchu lewostronnego podobno łatwiej się przyzwyczaić, jeżdżąc na jednośladzie, niż kiedy człowiek wsiada od razu do auta.

Znajomi pytają, czy nie boję się jechać w ciemno do obcego kraju. Czego miałbym się bać? W Szwecji jakoś sobie poradziłem, mimo że tam też nikt mi nie pomagał, a mimo to ostatecznie przygoda się udała. Dość dobrze znam angielską kulturę i literaturę, językiem władam na poziomie czytelnika gazet, co może mi się stać? Jeśli chodzi o pracę, nie będę wybrzydzać, wezmę każdą, za którą zapłacą. Najpewniej będzie to jakaś budowa. Mogę wiercić, strugać, reperować, mam do tego smykałkę – z moim młodszym bratem, który jest technikiem budowlanym, odnawialiśmy razem kilka mieszkań, znam się na tym.

A poza tym ciągnie mnie tam ciekawość. Jestem „produktem" ery beatników i hipisów, muzyka angielskich zespołów była dla mnie fundamentalnym doświadczeniem pokoleniowym, zaczytywałem się w powieściach o historii Anglii i cieszę się na myśl o miejscach, które zobaczę. Dodatkowo napędzają mnie słowa towarzysza Stalina: „Nie ma większego zagrożenia dla opresyjnej władzy niż ludzka ciekawość". Ach, gdyby faktycznie dało się w ten sposób doprowadzić rządzących do pasji, zaraz sięgnę po czerwoną płachtę!

2 grudnia 1980, Warszawa

Niewdzięczny jest los przywódców komunistycznych. Edwarda Gierka usunięto dziś także z Komitetu Centralnego, VII Plenum PZPR zrobiło z niego pokazowo chłopca do bicia. Obciążono go winą za wszystko, co się wydarzyło i wydarza w kraju: to on wywołał kryzys gospodarczy, społeczny i kierowniczy. Plują więc na niego,

biczują, mało brakowało, a wysłaliby go na szafot. Dziwi mnie tylko, jak wielu towarzyszy rozpycha się teraz łokciami, donosi na innych, wyrywa się do przodu, aby tylko wspiąć się jak najwyżej po czerwonej drabinie. Choć przecież pamiętają, jak brzydko kończyli poprzednicy, szczęśliwi, że ocalili chociaż głowę. Banda biedaków i szkodników.

5 grudnia 1980, Warszawa

Rozwiązano Centralną Radę Związków Zawodowych, bo tylko w ten sposób zdaniem towarzyszy można powołać nową. Wolna Europa donosi, że wzdłuż wschodniej granicy Polski gromadzą się wojska sowieckie.

W pięknym momencie wyjeżdżam do Londynu, nie ma co! Ale klamka zapadła, jutro mam samolot…

6 grudnia 1980, Londyn

Mikołajki – urodziny taty. Dostał na imię Kálmán, a dopiero na drugie Miklós. Boże, gdyby żył, czytałby teraz list od syna z Anglii, którą czcił i o której marzył! Znakomicie mówił po angielsku, z podobną pasją jak mój przyjaciel Péter Szeratics. Ja też być może zdołałbym osiągnąć ten poziom, ale musiałbym tu żyć przez długie lata, bo, jak mawiał ojciec, „nie mam dość ołowiu w dupie", żeby siedzieć i wkuwać. Miał rację. Polskiego też nauczyłem się dopiero w Warszawie, ale za to błyskawicznie, język wsiąkł we mnie jak w gąbkę. Jeśli chodzi o angielski, nie mam problemów ze słownictwem, ale raczej z mówieniem: brak mi rutyny i prawie nie rozumiem ludzi na ulicy. Przynajmniej czytanie mi wychodzi, a to też duża przyjemność. Gdziekolwiek idę, zawsze przyglądam się napisom, choćby szyldom czy reklamom, nieważne, mruczę je sobie pod nosem, smakuję słowa, czasem wypowiadam na głos. Muszą mnie tu mieć za wariata. Trudno, nastawiam ucha i jeśli zostanę tu dłużej, za parę miesięcy będę śmigał po angielsku!

Z Heathrow odebrał mnie Jerzy Jurkiewicz, architekt wnętrz, który ma tu żonę. Czterdziestoletni facet związał się w Warszawie z Polką z Londynu, wdową po zamożnym restauratorze greckim. Pobrali się i teraz mieszkają tu razem.

Szliśmy labiryntem żółtych, miękkich dywanów, ruchomych schodów i chodników, w tłumie gęstym jak mrowisko. Prosto do metra. Brudne, pomazane sprejem wagoniki, obskurne stacje, cała przestrzeń pokryta reklamami. Nie mogłem się doczekać, aż wyjdziemy znowu na powierzchnię, bo chciałem przyjrzeć się z bliska potężnemu, dziesięciomilionowemu miastu-ogrodowi, złożonemu, może z wyjątkiem City i okolic, przeważnie z segmentowych willi oraz zabudowy szeregowej, nieprzekraczającej trzech kondygnacji.

Hammersmith Station. Stacja Młot Kowalski – przetłumaczyłem sobie nazwę. Zobaczyłem w końcu zwartą zabudowę krwistych ceglanych domków ciągnących się na

całej długości ulicy, przed każdym z nich maciupci ogródek, a na tyłach trochę większy, z symbolicznymi raczej furtkami wysokości ogrodzenia. Jurek powiedział, że nie pójdziemy na razie do Elżbiety, ale prosto do mojej gospodyni, Polki o imieniu Monika. Mówił o niej tak ciepło i bezpośrednio, że zaraz przyszło mi do głowy, że może być jego kochanką. Taszczyliśmy moją wielką walizę, przemierzając ulice znane z filmów. Ogarnęło mnie dziwne uczucie: przede mną zdawały się ożywać obrazy z ekranu kinowego. Wrażenie to wzmogło się jeszcze, gdy ujrzałem pierwszy autobus piętrowy i ruch samochodów jak w odbiciu lustrzanym. Jurek ostrzegł mnie, bym zawsze uważał przed wejściem na jezdnię, ludzie z Europy kontynentalnej odruchowo spoglądają w lewo, czy coś nie nadjeżdża. Tu zaś, jeśli faktycznie nadjedzie, to z prawej strony.

Wchłaniałem głodnymi zmysłami krajobrazy, dźwięki, zapachy – wszystko było nowe i interesujące. Skręciliśmy już w trzecią ulicę po wyjściu z metra, a ja nie widziałem jeszcze żadnego policjanta. Spytałem nawet Jurka, jak to możliwe, tak bardzo chciałem zobaczyć postawnej postury bobbiego. Powiedział, żebym się nie martwił, będzie jeszcze okazja, jest ich tu wielu, ale dziwnym trafem zjawiają się tylko wtedy, gdy człowiek ich potrzebuje. Wyćwiczone w krajach komunistycznych ludzkie spojrzenie jest przyzwyczajone do widoku co najmniej kilku gliniarzy na każdym skrzyżowaniu.

Przy parku skręciliśmy w końcu w ulicę Addison Gardens. Przy niej także stały przyklejone do siebie murami domki. Weszliśmy przez jedną z furtek. Monika okazała się pulchną, wiecznie roześmianą, na oko trzydziestopięcioletnią kobietą. Przywitała nas serdecznie i pokazała przygotowane dla mnie na półpiętrze „włości". Jest to pokoik o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych z łóżkiem, stolikiem, dwoma krzesłami, małym kolorowym telewizorem i radiomagnetofonem. Ustawiony w rogu pomieszczenia parawan oddziela niewielki aneks, wyposażony w kuchenkę elektryczną, przelewowy podgrzewacz wody – coś na kształt bojlera – i zlew z jedną komorą. Na ścianie przy drzwiach wisi licznik prądu ze szparą do wrzucania pieniędzy. Działa na pięćdziesięciopensówki, jedna moneta zapewnia dopływ energii na jakiś czas. Potem obejrzałem łazienkę. Bojler gazowy, wanna, bateria prysznicowa, umywalka, sedes. Również za gaz płaci się bilonem. Ze spocznika prowadzi wejście do drugiej toalety – ta na szczęście jest bezpłatna. Przy drzwiach wisi aparat telefoniczny, również na monety. Ma swój numer, pod który można się dodzwonić. Monika dodała, że gdybym chciał mieć własny telefon, podłączą mi go w ciągu jednego dnia, do wszystkich pokoi bowiem dochodzi kabel. (W ciągu jednego dnia?! U nas czeka się pięć lat, minimum! Coś takiego!) Na półpiętrze znajduje się drugi pokój, taki sam jak mój, mieszka w nim Zosia, Polka, z którą będę dzielił toaletę. Cena za pokój wynosi 15 funtów tygodniowo. Za prąd i gaz każdy płaci wedle własnej potrzeby. Dobra wiadomość: można tu palić, Monika i Zosia też kurzą papierosy.

Monika, landlady, mieszka na parterze w przyjemnym, średniej wielkości apartamencie. Ma w nim pokój od ulicy, z którego trzema schodkami można zejść do kuchni z jadalnią, stąd zaś przejść do przedpokoju, gdzie znajdują się wejścia do łazienki i sypialni, a na końcu także do salonu. To z niego wychodzi się do ogrodu przez

rozsuwane drzwi z grubego szkła, zajmujące całą jedną ścianę. Przy ładnej pogodzie można je zostawić otwarte i połączyć salon z zadbanym, zieleniącym się ogródkiem, otoczonym z trzech stron gustownym, prostym parkanem. W pewnej chwili pojawił się jasny, pręgowany kocur i zaczął się ocierać o nasze nogi. Wabi się Jakub, dla przyjaciół Kuba. Gospodyni zaproponowała kawę. Zwierzę – nie wiedzieć czemu – usilnie starało się wskoczyć mi na kolana, potem domagało się pieszczot, a potem ni z tego, ni z owego usnęło na moich nogach. Monika nie mogła uwierzyć własnym oczom: podobno sierściuch jest bardzo nieufny wobec ludzi. Odparłem bezczelnie, że zapewne wyczuł dobrego człowieka… Nie było czasu na pogaduchy, musieliśmy iść do Jurków na imprezkę zapoznawczą. Wyciągnąłem butelkę tokajskiego aszú, litrową flaszkę żytniej i opakowanie „łapówkowych" warszawskich śliwek w rumie i czekoladzie (teściowa zapłaciła za ten wedlowski rarytas mięsem) i włożyłem wszystko do torby z peweksu. Drugą butelkę wina dałem Monice, a co tam! Małe lizusostwo wobec gospodyni nie może mi przecież zaszkodzić.

Wizyta u Jurków była bardzo krótka. Ela chodziła najeżona, czuć było napięcie między małżonkami. Prędko się stamtąd zmyłem, bo nie miałem najmniejszej ochoty asystować utarczkom rodzinnym. Miałem mapę, umiałem więc trafić do domu.

Na miejscu Monika powiedziała, że dzwonił do niej Jurek i poprosił, by to ona zabrała mnie jutro swoim golfem na lotnisko, gdzie miałem odebrać motorower. Okazała się bardzo pomocną gospodynią: od razu zadzwoniła do znajomego, notabene kolejnego Polaka, który żyje tu od czasów wojny i dorabia do emerytury, sprzedając ubezpieczenia. Zapewniłem ją naiwnie, że mam polisę na swój romet, zawartą jeszcze w Warszawie. Roześmiała się szczerze:

– No i co z tego, nie możesz mieć dwóch?

Mężczyzna znalazł model w katalogu i wycenił go na dwieście pięćdziesiąt funtów. Tyle dostanę, jeśli przypadkiem go ukradną. Hm… Czy miałem to traktować jak zachętę? Poprosiłem o chwilę do namysłu, a potem oddzwoniliśmy do agenta.

Policzyłem szybko w myślach. Za motor dałem pięć tysięcy złotych, na czarnym rynku to czterdzieści dolarów albo dwadzieścia sześć funtów. Polska polisa kosztowała dwa tysiące złotych, czyli szesnaście zielonych, *ergo* jedenaście funtów, plus kolejnych piętnaście za transport. To razem daje pięćdziesiąt dwa funty. Za tutejszą roczną polisę muszę zapłacić dwadzieścia funtów. Inaczej mówiąc, wydatek siedemdziesięciu siedmiu funtów mógłby zaprocentować dwustu pięćdziesięcioma – w wypadku kradzieży motoru. Monika popatrzyła na mnie znacząco:

– Pojeździsz nim dwa, góra trzy miesiące, potem ktoś go gwizdnie, a za pieniądze z ubezpieczenia kupisz sobie siedmio- czy dziesięcioletni używany samochód, mam znajomego sprzedawcę, który cię nie oszuka. I co?

Rewelacja! A i w Polsce może coś wyciągnę w ramach ubezpieczenia. Fantastyczny interes. Kocham cię, Londynie! Kocham was, zaradni Polacy! Ustaliliśmy ze starszym panem, że jutro prosto z lotniska wpadniemy do niego podpisać umowę.

W tym roku Mikołaj już do mnie zapukał!

7 grudnia 1980, Londyn

Z rometem wszystko w porządku, ja też mam się świetnie. Zaczęło się od tego, że musieliśmy skombinować kaski, bo tu wymaga się ich także na motorower. Na szczęście jeden z kumpli Moniki pożyczył mi swój, który pasował nawet na mój wielki łeb. W cargo wydano nam motor, przynieśliśmy w małym kanistrze mieszankę paliwa do jednośladów, napełniłem zbiornik i za drugim naciśnięciem pedału silnik zapalił. Ustaliliśmy, że Monika pojedzie z przodu i będzie pilnować, by nie zboczyć z drogi, a ja uczepię się jej jak rzep psiego ogona. Nie znaliśmy miasta, a przecież w trakcie jazdy nie da się spoglądać na mapę, do tego poruszając się w ruchu lewostronnym. Ipnarski miał rację, faktycznie łatwiej jest się przyzwyczaić do zmiany kierunku, jeżdżąc na dwóch kółkach, choć i tak miałem z tym pewne problemy. Monika zresztą też. Sądzę, że biedaczce wyrwało się z serca parę przekleństw, nim trafiliśmy do gościa od ubezpieczenia, który mieszkał parę przecznic od niej. Czemu? Bo musiała być nieustannie skupiona na drodze, a jeszcze od czasu do czasu patrzyła na mapę. Trasę na Heathrow i z powrotem ma obcykaną, bo tam prowadzą tylko autostrady i ekspresówki, które dobrze zna. Tyle że motorowerem nie wolno na nie wjeżdżać! Spędziliśmy więc prawie dwie godziny, tłukąc się bocznymi ulicami do domu. Całe szczęście, że w Londynie była pogoda marcowa – sucho, słonecznie, nie za zimno.

Załatwiłem ubezpieczenie i wreszcie mogę odpocząć. Strasznie mnie zmogła ta pierwsza przejażdżka londyńska na motorze. W samym środku słonecznego popołudnia zasnąłem jak małe dziecko.

8 grudnia 1980, Londyn

Powołując się na CNN, radio BBC i inne stacje przekazały potworną wiadomość: w Nowym Jorku jakiś niezrównoważony dupek zastrzelił Johna Lennona. Trudno uwierzyć, że odszedł. Wieczorem kręcę gałką odbiornika, wszystkie rozgłośnie puszczają kawałki Beatlesów i solowe numery Lennona. Przyznaję bez wstydu: opłakałem tę śmierć. Znam na pamięć każdą jego piosenkę, każdy utwór. *Imagine* – akurat tego nikt z nas nie potrafił sobie wyobrazić…

9 grudnia 1980, Londyn

Jurkiewicz się sumituje: niestety wygląda na to, że może mi załatwić pracę dopiero w pierwszym tygodniu stycznia, teraz, w okresie gonitwy przedświątecznej, nie ma żadnych zleceń. Wpadłem z tego powodu w lekką depresję, bo przypomniała mi się Szwecja, gdzie przez miesiąc ślęczałem bezczynnie, kończyły mi się pieniądze i szlag mnie trafiał na myśl, że wrócę do domu z niczym. Policzyłem, na jak długo wystarczy mi oszczędności, i wyszło, że ledwie do połowy stycznia.

Bóg jednak istnieje! W chwili, gdy zacząłem już gryźć paznokcie z wściekłości, zapukała Monika. Zapytała, czy znam się na stolarce. Tak? W takim razie na początek zleciłaby

mi wykonanie boazerii w przedpokoju, chciałaby też zamontować porządny wywietrznik, trapezowy, a po bokach półki. Pomierzyłem wszystko, spisałem listę materiałów, pojechaliśmy do sklepu z narzędziami, policzyliśmy koszty i zrobiliśmy zakupy. Od Jurka dostałem sprzęt, który był mi potrzebny, i mogłem zacząć pracę. Monika zaproponowała półtora funta za godzinę. A potem, śmiejąc się, dodała, że bumelka nie wchodzi w grę, bo gospodyni – znaczy się ona – jest cały czas w domu, a zatem: *Big Brother is watching you*!

„A niech mnie sobie pilnuje" – pomyślałem, szczęśliwy, że mam dwie zdrowe ręce i trafiła mi się fucha, za którą powinienem być wdzięczny!

Wieczorne wiadomości niezmiennie donoszą na pierwszym miejscu o Polsce. Nie wiem, skąd biorą informacje, ale brzmi to bardzo ciekawie. Dziś na przykład przekazali widzom wieści z „wiarygodnych źródeł dyplomatycznych": na spotkaniu przywódców Układu Warszawskiego w Moskwie generał Jaruzelski oświadczył, że władze polskie same poradzą sobie z Solidarnością, kiedy społeczeństwo się zmęczy. Znaczy się, aż będzie miało dość napięcia oraz sterowanej odgórnie gospodarki deficytu i przestanie popierać „buntowników", nawet z wściekłości. A wtedy uderzą komuniści, jeśli dobrze rozumiem. Także Kania podobno ostrzegł Breżniewa, że przedwczesna interwencja wywołałaby gniew i gorycz społeczeństwa, a może nawet ogólnokrajowe powstanie. Hm, niezłą mają fantazję ci informatorzy BBC! Naturalnie nie muszą się mylić. Jeśli weźmiemy pod uwagę atmosferę panującą w Polsce… Dobry Boże, jeśli Układ Warszawski się w to wmiesza, nad Wisłą naprawdę może pójść na noże! Ja tymczasem siedzę tysiące kilometrów na zachód jak jakiś dekownik!

Nie, muszę przerwać pisanie, bo zwariuję na samą myśl, że tam, w Polsce, wybuchnie rewolucja, a ja się nie załapię, jak w 1956 roku. Wtedy miałem wymówkę, bo byłem sześcioletnim dzieciakiem, ale teraz?! Co miałbym powiedzieć moim polskim braciom? Że tyrałem akurat na czarno w Anglii, więc nie mogłem przelać za nich krwi?!

Idę spać z nadzieją, że nad Wisłą nie zaczną powstania przed moim powrotem.

10 grudnia 1980, Londyn

Na jakiś czas mam zapewnioną robotę, a w przyszłości może nawet znajdę coś lepiej płatnego niż praca u gospodyni, a jednak nie mogę sobie znaleźć miejsca. Jestem bliski szaleństwa, kiedy słyszę w BBC, że każdy serwis rozpoczyna się od słowa *Poland*… Wiadomości są zredagowane dobrze, poprawnie, ale te komentarze! Po wczorajszym dzienniku odbyła się dyskusja analityków na temat sytuacji nad Wisłą. „Specjaliści"! Nie było wśród nich choćby jednego Polaka, bo i po co, skoro oni, zachodni mędrcy, wiedzą lepiej! Nie mogę tego pojąć, dlaczego dysponując dokładnymi, precyzyjnymi informacjami, nie potrafią wyciągać właściwych wniosków. Nasuwa się tylko jedna odpowiedź: nie chcą! Być może oceniam pochopnie, ale to szacowne towarzystwo sprawia wrażenie takich samych tchórzy, jak ich poprzednicy w Jałcie, Poczdamie czy w latach 1956 i 1968. Nic się nie zmieniło, taka sama mentalność jak kiedyś: nie chcieli umierać za Gdańsk i wygląda na to, że teraz też nie są na to gotowi. Dotąd będą dzielić

włos na czworo, aż któregoś dnia ktoś wybije kolbą karabinu szybę w oknie ich domu, podstawi im pod nos włochatą rękę z brudnymi paznokciami i krzyknie: *Dawaj czasy*!

Rano wyjąłem listę nazwisk i adresów zebranych w Budapeszcie i Warszawie, a następnie zacząłem obdzwaniać po kolei wszystkie kontakty. Najpierw Istvána Siklósa[7] z węgierskiej sekcji BBC, bo Iván polecił go mojej uwadze jako pierwszego. Odebrał. Brzmiał bardzo entuzjastycznie, zwłaszcza gdy powiedziałem mu, skąd przybywam. Od razu zaprosił mnie do siebie na jutro. Organizują bowiem na antenie dyskusję z udziałem kilku intelektualistów węgierskich, właśnie na temat Polski. Zaproponował, bym wziął w niej udział. Naturalnie od razu się zgodziłem.

Następnie próbowałem z lepszym lub gorszym skutkiem dodzwonić się do pozostałych: Györgya Schöpflina[8], Györgya Gömöriego[9], Györgya Fodora, Tamása Szalaiego, Györgya Fischera, Béli Szásza[10], Győző Határa[11], Mátyása Sárköziego[12], László Cs. Szabó[13] i László Dörnyeiego, jak również redaktora Jana Paszkowskiego z sekcji polskiej. Temu ostatniemu zapowiedziałem, że będę jutro i zapytałem, gdzie go mogę znaleźć. Roześmiał się: po wyjściu z windy, w drodze do Węgrów i tak będę musiał przejść przez jego korytarz. Po szóstej będzie w biurze, mogę do niego spokojnie wpaść. Niestety nie wszyscy byli równie otwarci. Fischera z kolei nie udało mi się zastać, bo gdzieś wyjechał, i kazano mi zadzwonić kiedy indziej. Bill Lomax, znany sprawozdawca węgierskich wydarzeń 1956 roku, ma być dostępny dopiero w styczniu.

---

[7] István Siklós (1936–1991) – węgierski poeta i tłumacz, uczestnik powstania węgierskiego 1956 r. Wyemigrował do Anglii, gdzie pracował w BBC, w latach 1980–1989 kierował sekcją węgierską.

[8] György (George) Schöpflin (1939–2021) – węgierski polityk i wykładowca akademicki, żyjący przez wiele lat w Wielkiej Brytanii, gdzie pracował m.in. w BBC. W latach 2004–2019 eurodeputowany do Parlamentu Europejskiego.

[9] György Gömöri – polonista i hungarysta, historyk literatury, wykładowca akademicki i poeta. Podczas studiów języków polskiego i węgierskiego na ELTE, wstąpił w 1956 r. do Koła Petőfiego. Po upadku rewolucji wyemigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował studia na Oxfordzie. Wieloletni wykładowca języka polskiego i języka węgierskiego, literaturoznawca.

[10] Béla Szász (1910–1999) – węgierski dziennikarz i pisarz, w latach trzydziestych XX w. członek Węgierskiej Komunistycznej Partii. W 1932 r. skazany na karę pozbawienia wolności. Następnie na emigracji. Powrócił na Węgry w 1946 r. Z ramienia László Rajka pracował w resortach spraw zagranicznych i rolnictwa jako sekretarz prasowy. Aresztowany w 1949 r. i poddany śledztwu z torturami w pokazowym procesie oskarżonego o zdradę państwa Rajka, którego w ten sposób Rákosi odsunął od władzy. Skazany na 10 lat pozbawienia wolności, zwolniony i zrehabilitowany w 1954 r. Wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie pracował m.in. w sekcji węgierskiej BBC. W 1956 r., podczas ponownego pochówku Rajka i współdziałaczy z nim zamordowanych wygłosił mowę pożegnalną.

[11] Győző Határ (1914–2006) – węgierski architekt, pisarz, tłumacz i filozof, laureat Nagrody Kossutha, wieloletni pracownik sekcji węgierskiej BBC. W swoich pracach sprzeciwiał się działaniom władz węgierskich. Wydalony ze Związku Pisarzy Węgierskich i w 1950 r. skazany na ponad 2 lata pozbawienia wolności. W 1956 r. wyemigrował do Wielkiej Brytanii.

[12] Mátyás Sárközi – węgierski pisarz, dziennikarz i tłumacz, uhonorowany Nagrodą Kossutha. Po ucieczce z Wegier w 1956 r. pracownik sekcji węgierskiej BBC i Radia Wolna Europa. Ukończył studia na Uniwersytecie Londyńskim. Był redaktorem magazynu „Magyar Tükör" w Anglii.

[13] László Cs. Szabó (1905–1984) – doktor nauk ekonomicznych, węgierski pisarz i krytyk literacki. Od 1949 r. wiódł życie na emigracji, pracownik sekcji węgierskiej BBC.

Trudno, zapisałem sobie, kto i kiedy ma czas, a co do reszty, zobaczymy. Na razie cieszę się z jutrzejszej rozmowy. Muszę sobie wymyślić jakiś pseudonim, bo nie mogę wystąpić pod własnym nazwiskiem. Ludzie obrywali za znacznie mniejsze przewinienia, choćby zespół muzyczny Illés, któremu przez dwa lata zabraniano koncertów tylko dlatego, że pozwolili sobie na delikatną krytykę sytuacji w kraju. Ja tymczasem wezmę udział w audycji politycznej. Za coś takiego mogą mnie nawet zamknąć.

Trzeba się przygotować! Nie wystarczy, że jestem *up to date* w polskich sprawach, tu nie będzie miejsca na czczą gadaninę, każde słowo ma swoją wagę. Przez całe popołudnie i wieczór kręciłem gałką radia, skakałem po kanałach telewizji. Robiłem sobie trening, notowałem.

Dzisiaj Miłosz odebrał w Sztokholmie Nagrodę Nobla… Być może poproszą mnie o opinię także w tej sprawie, dlatego słuchałem związanych z tematem wiadomości.

To już trzeci Polak nagrodzony w kategorii literatury. Sienkiewicza wyróżniono w roku 1905 za *Quo vadis*, Reymonta w 1924 za *Chłopów*, a teraz dostał Miłosz, nie za konkretne dzieło, ale – jak napisano w uzasadnieniu – „za bezkompromisową wnikliwość w ujawnianiu zagrożenia człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów". I bądź tu mądry, człowieku! Próbuję ułożyć sobie w głowie to mgliste, skomplikowane zdanie, ale mi nie wychodzi.

W wystąpieniu poprzedzającym odbiór nagrody Miłosz powiedział, cytuję niedokładnie, że jego obecność w tym miejscu może służyć za argument dla tych wszystkich, którzy sławią daną od Boga, cudownie złożoną, nieobliczalność życia. Ciekawe, że odwołuje się do Boga człowiek, który tak często krytykował sprzężony z patriotyzmem głęboki katolicyzm polski i używał przy tym z lubością określenia „ciemnogród", epitetu o negatywnych konotacjach, stworzonego w okresie oświecenia przez Stanisława Kostkę Potockiego. Tymczasem, jak mogliśmy zobaczyć w telewizji, laureat miał wpięty w klapę marynarki znaczek patriotycznej i pobożnej Solidarności. Przy czym pod jednym względem pozostał jednak wierny sobie: do Sztokholmu zaprosił z Polski wyłącznie ludzi, których na podstawie różnych ich wypowiedzi można uznać za bliższych liberalizmowi i lewicy aniżeli narodowym konserwatystom, a którzy także w obrębie Kościoła ciążą bardziej ku jego mniej ortodoksyjnemu skrzydłu – mam tu na myśli Jerzego Turowicza, Stefana Kisielewskiego, Stanisława Barańczaka, Jacka Woźniakowskiego czy Mirosława Chojeckiego. Nie żebym miał z tym jakiś problem, wymienionych panów szanuję, a niektórych nawet podziwiam, niech nam rozkwita choćby i sto kwiatów, ale osobiście wolę jasne stawianie spraw. Brzydzę się kompromisami, „hamletyzowanie" wydaje mi się zawsze podejrzane. Nie można być tylko trochę w ciąży. A skoro już wspomniałem Boga, także Pismo Święte mówi: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie", a ludzi letnich Pan Bóg wyrzuca z ust swoich.

Postanowiłem jednak nie wdawać się jutro w dywagacje o Miłoszu. Najwyżej powiem coś mało kontrowersyjnego, by nie wywoływać sporów.

11 grudnia 1980, Londyn

Ze wzruszeniem przemierzałem Westminster, kierując się w stronę wielkiego gmachu między ulicami Aldwych i Strand. Nie bez powodu: miałem przekroczyć próg znanej na całym świecie i szanowanej instytucji, której nazwa urosła do rangi symbolu. Na szczęście wyszedłem z domu wcześniej, dotarłem więc na miejsce przed czasem i mogłem przez parę minut podziwiać siedzibę „symbolu" oraz oswoić się z myślą, że zaraz do niej wejdę.

Budynku Bush House nie da się pomylić z żadnym innym. Wygląda bardziej jak gmach giełdy niż biuro BBC World Service. Jak mogłem przeczytać w przewodniku, na początku istotnie służył jako centrum handlu. W 1929 roku brytyjsko-amerykańska spółka przypieczętowała jego los biurowca. Przyjaźń obu narodów symbolizują umieszczone przy wejściu rzeźby. Choć obecnie ich wymowa została rozszerzona na wszystkich, którzy posługują się angielskim. Potwierdza to napis na fasadzie: *Dedicated to the friendship of English-speaking people* (Poświęcone przyjaźni ludzi mówiących po angielsku). Pomyślałem z dumą, że też należę do tego towarzystwa.

W recepcji wiedziano już o mnie, moje nazwisko figurowało na liście. Byli bardzo uprzejmi, ale nie dali żadnych instrukcji, dokąd mam iść. Nie chciałem wyjść na prowincjusza, więc nie pytałem, tylko rozglądałem się za jakimiś wskazówkami. I znalazłem. Wiedziałem zatem, jaki guzik wybrać w windzie. Kiedy z niej wyszedłem, zobaczyłem zaraz tabliczkę ze strzałkami, najpierw do Polish, a potem do Hungarian Section. Bingo!

Przechodząc korytarzem, czytałem wizytówki na drzwiach, znalazłem też pokój Paszkowskiego, do którego planowałem wstąpić po programie. W końcu dotarłem do węgierskiej części biura i udało mi się znaleźć osobę, której szukałem: Istvána Siklósa. Przywiązuję ogromną wagę do pierwszego wrażenia. Przyjął mnie siwawy mężczyzna, uderzająco podobny do Pétera Polónyiego, mojego mentora z budapeszteńskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Okazał się intelektualistą o cichym głosie, o jakich zwykło się mawiać: „człowiek uduchowiony". Przynajmniej na takiego wyglądał. Posadził mnie i poczęstował kawą – z biurowego automatu. To też dla mnie *novum*: u nas we wszystkich redakcjach pracuje jakaś pani Małgosia, która przynosi kawę i szklankę wody mineralnej. Tu panuje pełna samoobsługa. Opowiedziałem mu zwięźle, co robię w Londynie, kim jestem, skąd przyjechałem. On też, lakonicznie, ale zdradził o sobie to i owo. Wiedziałem od Ivána, że jest poetą, wyemigrował w 1956 roku i już tu skończył uniwersytet, studiował sanskryt. Okazał się dobrym organizatorem i założył Klub Csombora Szepsiego, zrzeszający miłośników literatury. Tam też wydał w 1968 roku swój pierwszy samodzielny tomik. Podarował mi nawet egzemplarz z dedykacją. Dość zamknięty człowiek, małomówny, ostrożny. Z wyraźną ulgą oddał mnie w ręce kolegów, którzy wpadali co chwila do pokoju, a z którymi chciałem porozmawiać o sprawach polskich.

Byli to László Cs. Szabó, György Schöpflin i Mátyás Sárközi. Uważany w Londynie za speca od Polski György Gömöri ostatecznie z jakichś powodów nie mógł przyjść.

Choć akurat na niego bardzo liczyłem, gdyż jest polonistą i byłem strasznie ciekawy jego wspomnień z 1956 roku. Będzie jeszcze okazja się spotkać, w końcu zostaję tu na parę miesięcy.

Patrzyli na mnie jak na rzadki okaz zwierzęcia: Węgier z Polski! Do tego z dzisiejszej Polski! Zachęcali mnie do opowieści, wypytywali, czułem się prawie jak autochton z egzotycznej krainy wydany na pastwę etnologów, którzy każą mu mówić o plemiennych zwyczajach, wierzeniach, jedzeniu i życiu seksualnym.

László Cs. Szabó był bardzo otwarty, to z nim w ciągu paru minut znalazłem wspólny język. Jakbym rozmawiał z ojcem. Co zdanie, to brylant, a przy tym ani cienia zadęcia, wyższości, akademickiej flegmy, był wszystkiego ciekaw i zadawał dobre pytania. Co za człowiek! Przyjaciel Attili Józsefa i Györgya Faludyego, redaktor kulturalny z krwi i kości, węgierskie radio nie miało drugiego takiego od czasu, gdy przed wojną kierował w nim działem literackim. W 1936 roku dostał Nagrodę Baumgartnera. Tę samą, co Attila József – poprzedniczkę Nagrody Kossutha. Tyle że tą drugą odznaczano znacznie częściej niezasłużenie niż tą pierwszą. Cs. Szabó z pewnością zasłużył. Wiele razy słuchałem go na antenie BBC i Wolnej Europy. Jeśli dobrze pamiętam, dwa lata temu w „Nagyvilág" ukazał się jego *Dziennik Dickensa*, dzięki czemu mógł wrócić na rodzimy rynek wydawniczy. Czułem jednak, że faktycznie nigdy nie stał się emigrantem, był doskonale zorientowany w życiu umysłowym Węgier, jakby tuż przed rozpoczęciem audycji wstał od stolika w którejś z budapeszteńskich kawiarni literackich.

Był też György Schöpflin, syn Aladára, czołowego krytyka z kręgu „Nyugatu", który jako jeden z pierwszych odkrył w Endrem Adym[14] wizjonera i geniusza, a miał też duży udział w dostrzeżeniu talentu Móricza[15]. (Kochany profesor Madocsay, jak to dobrze, że na lekcjach węgierskiego uczył nas nie tylko tego, co w podręczniku!) György jest politologiem, równolatkiem Ákosa Engelmayera, to znaczy urodził się tak samo jak on w 1939 roku. Po wojnie, jeszcze jako dziecko znalazł się z rodziną w Londynie. Sprawia wrażenie człowieka świetnie zorientowanego, ze wszystkim na bieżąco. Oczywiście jako wykładowca Instytutu Europy Wschodniej na Uniwersytecie Londyńskim nie może bujać w obłokach, musi zachować ostrość umysłu, by nie dać się wprawić w zakłopotanie studentom. A jednak od pierwszej chwili coś mi w nim przeszkadzało: na każdą kwestię miał od razu wyrobione zdanie, poparte kilkoma, czasem luźno tylko związanymi z tematem faktami, które – jak sądzę – miały oczarować słuchacza, przekonać go, że ma do czynienia z prawdziwym erudytą. Tych mniej czujnych udawało mu się zresztą zmylić. Ja też na początku uległem temu urokowi i widziałem błysk zadowolenia w jego oczach.

I jeszcze Mátyás Sárközi. Dwa lata starszy od Schöpflina, ale w Anglii dopiero od 1956 roku. Uniwersytet skończył już w Londynie, studiował najpierw literaturę, później

[14] Endre Ady de Diósad (1877–1919) – czołowy węgierski poeta i dziennikarz przełomu XIX i XX w., arystokrata.

[15] Zsigmond Móricz (1879–1942) – węgierski pisarz, dziennikarz, korespondent wojenny.

także politologię. Był redaktorem RWE, potem szefem działu w sekcji węgierskiej BBC. Jest wnukiem Ferenca Molnára. Prowadzi tu wydawnictwo Fehér Holló, założone jeszcze na Węgrzech przez matkę Mártę Sárközi (Molnár). Od razu mu się pochwaliłem, że czytałem znakomite zapiski jego dziadka z frontu galicyjskiego pierwszej wojny światowej i że miałem przyjemność odwiedzić wiele z opisanych tam miejsc.

Właśnie zaczynaliśmy rozmowę o dziejach innych znanych członków jego rodziny, gdy w drzwiach pokoju pojawiła się czyjaś twarz i wykwintną angielszczyzną zaprosiła całe towarzystwo do studia. W korytarzu Siklós zapytał, jak mają mnie przedstawić słuchaczom dyskusji o aktualnej sytuacji w Polsce. Spojrzałem na niego podejrzliwie: czy nie ustaliliśmy, że będę występował pod pseudonimem? Pokręcił głową przeczącą:

– Nie powiedziałeś mi tego wczoraj.

– Wszystko jedno, ale zrozumcie, panowie, że ja chcę wrócić za żelazną kurtynę i nie zamierzam dobrowolnie wsadzać głowy pod gilotynę!

Naradzali się przez chwilę, po czym Cs. Szabó rzucił filuternie:

– Przedstawmy go pod nazwiskiem Márton Cs. Szepsi, jak naszego wędrowca, autora *Europica varietas*! Przed przyjazdem do Anglii on też podróżował po Polsce!

Siklós zatelefonował ze studia. Nie słyszałem dokładnie, o czym rozmawiał, ale gdy odłożył słuchawkę, przekazał mi werdykt: BBC ma negatywny stosunek do pseudonimów. Anonimowe wypowiedzi podważają wiarygodność stacji, a ta jest tutaj bardzo istotna. Sorry, to nie Monachium i Wolna Europa, tam mogłoby to przejść, tutaj niestety nie.

Próbowałem tłumaczyć, że na razie mam w planach powrót do socjalistycznego kraju, gdzie udział w audycji radia zachodniego może mieć bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Przypomniałem im o znanym londyńskim wywiadzie zespołu Illés, właśnie na falach BBC, po którym grupie na lata zakazano występów, odwołano koncerty w Budapeszcie i innych miastach. Nie uległem dalszym namowom i ostatecznie postanowiłem nie brać udziału w dyskusji. Usiadłem zatem w pomieszczeniu technicznym i mogłem przysłuchiwać się rozmowie przez grubą przeszkloną ścianę.

Zaświeciła się lampka z napisem *On air* i program poszedł w eter. Zaczęli od roku 1956 i związków Poznańskiego Czerwca z rewolucją węgierską. Szybko jednak doszli do wniosku, że sytuacja jest dziś całkiem inna, dlatego nie pójdziemy śladem Polaków. Panowie prawili takie mądrości, że aż mnie ogarnęła senność – w dzisiejszej Polsce z argumentacją w stylu „z jednej strony tak, ale z drugiej siak" nie zdążyliby nawet zacząć zdania. Bieg wydarzeń przewalcowałby ich w mgnieniu oka. Ale nie to było najgorsze. Wkrótce bowiem zabrzmiała seria tak niebotycznych bzdur, że tylko czekałem, aż runie na nas sufit albo bezpieczniki spalą się ze wstydu. „Jezu! – wyrwało mi się – jak można być tak niedoinformowanym?" Pomijam już, że przekręcali nazwiska, mylili funkcje, byli nieprecyzyjni. Było widać, że wiadomości czerpią z gazet i mediów elektronicznych, a potem powielają je bezkrytycznie. Korespondenci agencji prasowych mogą być przecież nieobiektywni albo nie rozumieć sensu wydarzeń, nawet jeśli są na miejscu? W końcu sami też nie znają realiów Europy Wschodniej, wychowali

się w zupełnie innym środowisku i postrzegają, a potem opisują rzeczywistość oczyma swoich nie najmądrzejszych polityków. Oczywiście nasi emigranci mają pod tym względem lepsze rozeznanie niż jakikolwiek Anglik czy Francuz, nie wspominając już o Amerykanach, przodujących w konkursie głupoty. Beztroscy Węgrzy w studiu nie ustępowali im jednak w mędrkowaniu, pouczając Polaków, jak mają postępować. Oni bowiem wiedzą lepiej…

Stałem za przeszkloną ścianą i czułem złość. Robiłem notatki. Rany, przecież naprzeciwko, w drodze do ich biura, mieści się sekcja polska. Wystarczyłoby zakolegować się z jej redakcją, powymieniać opinie i w programie węgierskim nie padałoby tyle komunałów i niedorzeczności!

Czerwona żarówka *On air* zgasła i panowie wyszli ze studia.

– I jak się panu podobało? – zapytali uprzejmie.

Ja zaś, z łobuzerskim, młodzieńczym impetem, wygarnąłem im z miejsca, co myślę: to i to było w porządku, ale tak poza tym raczyli panowie wygadywać dyrdymały! Przepraszam, ale wydaje się, że nie rozumieją panowie kilku podstawowych kwestii! I nie chodzi o to, że ja o czymś wiem, bo mieszkam tam, gdzie mieszkam. Można być równie dobrze zorientowanym, żyjąc tutaj. Mają panowie na wyciągnięcie ręki „pewne źródło informacji", o którym tyle się mówi, setki tysięcy polskich imigrantów, organizacje, prasę, a za ścianą jeszcze redakcję polską BBC, gdzie – jak sądzę – chętnie wdrożyliby panów w tematy, do których mam zastrzeżenia. Wystarczy się z nimi zaprzyjaźnić, dopytać, zorientować się, zanim zacznie się rozprawiać o polskiej sytuacji. Tak byłoby uczciwiej…

Atmosfera z miejsca zrobiła się chłodna. Co on sobie wyobraża, mały przybłęda! Przyjeżdża tu z Warszawy i myśli, że pozjadał wszystkie rozumy? Ośmiela się podważać zdanie elity emigracji węgierskiej? Tak zapewne myśleli. Na głos jednak powiedzieli mi, że mam oczywiście rację, mogliby się skonsultować w pewnych kwestiach z Polakami, ale w BBC mechanizm jest inny. Tu redaguje się wedle pionowego, nie zaś poziomego schematu. Punktem wyjścia, podstawą, jest centralny system informacyjny BBC, z którego otrzymują sprawdzane kilkukrotnie wiadomości, na nich się opierają. Zapytałem, skąd biorą kontekst? Własną wiedzę? Znajomość historii? Z newsroomu BBC? Wolne żarty… Redaktorzy serwisów codziennych nie zajmują się przecież publicystyką. To inny gatunek dziennikarstwa. Tu się wykonuje pracę wychowawczą, wybierając fakty z morza informacji! Redakcje, autorzy i goście działów opinii muszą doskonale poruszać się w temacie, o którym mówią. To oni tłumaczą słuchaczom tło wydarzeń, relacje społeczne, modele zachowania, uwarunkowania historyczne… I tego właśnie zabrakło w audycji albo zostało źle wykonane.

Panowie tłumaczyli się, ale bez przesadnego zapału. W gruncie rzeczy poczuli się urażeni. Niestety także tu, w Londynie, doświadczam, że Węgrzy żywią w sobie niezrozumiałe poczucie wyższości, na każdym kroku pojawia się jakiś *besserwisser*, samozwańczy znawca sąsiadujących z nami narodów, nie wyłączając z tego grona – wbrew całej tradycji „dwóch bratanków" – także Polaków. Również duża część arystokracji

węgierskiej cechowała się tego typu otępieniem – i stąd wziął się Trianon. Propagandziści Kádára zacierają ręce, widząc, co się tu dzieje. Dostają w prezencie silną amunicję. Spójrzcie, nawet w eleganckich zachodnich salonach odradza się Polakom strajków, bo to może postawić władzę w trudnej sytuacji i zmusić ją do odwetu. Wesołe bajdurzenie…

Ciekaw jestem, czy Gömöri ma podobne poglądy i wiedzę? Na podstawie jego tekstów mogę wnosić, że nie. Postanowiłem, że jednak powinienem się z nim spotkać w Cambridge. Przeszło mi przez myśl, że może celowo nie wziął udziału w dzisiejszej dyskusji? Czyżby on też miał dość zarozumialstwa połączonego z niewiedzą? To się okaże.

Nasza rozmowa utknęła w martwym punkcie i wszyscy zaczęli się rozchodzić w pośpiechu. Zapewniali naturalnie, że się odezwą i mnie jeszcze zaproszą. Cs. Szabó polecił mi Gyulę Borbándiego[16] z Monachium, redaktora naczelnego „Új Látóhatár". Mam się z nim skontaktować i może mógłbym napisać coś o Polsce dla jego pisma. Puścił oko: tam można publikować pod pseudonimem. Sárközi powiedział, że zadzwoni i zaprosi mnie na kolację, to pogadamy.

Obiecanki cacanki. Podpadłem im już na wstępie. Siklós zapytał, czy ma mnie odprowadzić do wyjścia. Powiedziałem, że nie ma takiej potrzeby. Zapukałem do Paszkowskiego. Wyszedł, nie mógł na mnie zaczekać. Przekazał mi przez sekretarkę, żebym zadzwonił innym razem.

Szkoda. Chętnie ponarzekałbym do ucha na moich beztroskich rodaków.

17 grudnia 1980, Londyn

Wczoraj znowu wielkie wydarzenie w Polsce: na placu przed gdańską Stocznią imienia Lenina odsłonięto pomnik w formie trzech ogromnych krzyży z kotwicą ku czci strajkujących robotników, poległych dokładnie dziesięć lat temu od ognia żołnierzy i oddziałów specjalnych milicji. To niewiarygodne, jeśli się weźmie pod uwagę, że Polska jest taką samą republiką ludową jak Węgry czy inne kraje satelickie ZSRS. Trudno też uwierzyć, że czerwona władza zdecydowała się dotrzymać sierpniowych obietnic, wśród których było także postawienie pomnika. A do tego wszystkiego ministrem obrony jest obecnie ten sam człowiek, członek Biura Politycznego PZPR, Wojciech Jaruzelski, który dekadę temu wydał rozkaz użycia broni. Jakby tego było mało, na monumencie wypisano strofy z wiersza Miłosza, w których zawarty jest jednoznaczny przekaz dla rządzących. Zacytuję je tutaj w oryginale i w przekładzie na węgierski mojego skromnego autorstwa:

Który skrzywdziłeś człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,

[16] Gyula Borbándi (1919–2014) – węgierski pisarz, dziennikarz, historyk i politolog. W latach 1951–1984 pracował w Radiu Wolna Europa w Monachium. Wieloletni redaktor naczelny węgierskiego emigracyjnego czasopisma „Új Látóhatár", laureat Nagrody Széchenyiego.

[…]
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Te, ki bántottad az egyszerű embert,
sorsán, sebén csak szórakozni tudtál
[…],

ne lelj nyugalmat. A költő emlékszik.
Megölheted – új támad helyébe.
És feljegyeztetnek tettek és szavak.

Ci, którzy znają cały wiersz, a jest ich niemało, mogą dopowiedzieć:

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy.
I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta.

Jobb lenne neked egy téli virradat.
És kötél és ág, teher alatt hajló.

Im się wydaje, że będą rządzić wiecznie. Nie nauczyli się niczego z historii. Nikt przecież nie wie, kiedy zdmuchnie go wichura dziejowa i nastanie wspomniany świt zimowy, gdy poczuje na szyi ciasny uścisk pętli. Nie mam wątpliwości, że ten moment przyjdzie. Przypomina o tym także gdański pomnik, w którego odsłonięciu uczestniczyło wczoraj całe kierownictwo Solidarności oraz znaczący przedstawiciele władz kościelnych i państwowych. (Na marginesie: powstrzymam się na razie od krytyki Miłosza – jego wiersz naprawdę mną wstrząsnął).

Przed dziesięciu laty Polskę ogarnęła fala protestów w związku z planowaną podwyżką cen żywności i artykułów pierwszej potrzeby. 14 grudnia 1970 roku do strajku przystąpiły liczne zakłady, fabryki i przedsiębiorstwa w Gdańsku, a zaraz potem także w Gdyni, Elblągu i Szczecinie, ludzie wyszli na ulice. W kolejnych dniach wysłane przeciwko robotnikom oddziały milicji i wojska zastrzeliły blisko czterdzieści osób, było też bardzo wielu rannych. Odsłonięty właśnie pomnik stoi zaledwie parę metrów od miejsca, w którym polegli z rąk dyktatury pierwsi trzej stoczniowcy wychodzący przez bramę zakładu.

Brutalna interwencja dała do myślenia także ówczesnemu kierownictwu partii, a zastępujący Gomułkę na stanowisku pierwszego sekretarza Edward Gierek obiecał wybudować pomnik ofiarom „nadużyć władzy". Oczywiście nic takiego się nie stało, ale mieszkańcy nadmorskiej metropolii, Trójmiasta, nie zapomnieli o tragedii. W każdą rocznicę masakry przechodnie składali tu kwiaty, zapalali znicze, nie zważając na czujne spojrzenie dyktatorskich oczu.

Słyszałem, że Wałęsa już rok temu wzywał ludzi, by na kolejną rocznicę przynieśli ze sobą po kamieniu, by postawić pomnik w formie kamiennego kopca. Nikt wtedy nie przypuszczał, że nie będzie takiej potrzeby. Kiedy w sierpniu rozpoczął się w stoczni strajk, a wkrótce potem powstał międzyzakładowy komitet protestacyjny z udziałem okolicznych fabryk, na pierwszym miejscu listy żądań znalazło się upamiętnienie ofiar Grudnia. 17 sierpnia przed główną bramą zakładu odprawił mszę ksiądz Jankowski, proboszcz solidarnościowej parafii Świętej Brygidy, po czym w miejscu tragicznych zdarzeń wyrwano kilka płyt chodnikowych, wykopano dół i wbito weń wielki drewniany krzyż. W tym czasie był już gotowy projekt trwałego pomnika autorstwa Bogdana Pietruszki, jednego ze stoczniowych konstruktorów. Symboliczne przesłanie monumentu jest jasne i czytelne dla każdego Polaka. Kotwica z trzonem uformowanym w kształt litery „P" stała się w czasie drugiej wojny światowej emblematem niezłomnego podziemia polskiego. Znak ten jest więc sam w sobie obrazem nadziei i niepodległości. Na pomniku poprzeczna belka nadaje mu kształt krzyża – to odniesienie do wiary. Trzy zrośnięte ze sobą elementy konstrukcji przypominały, że tragedia wydarzyła się w Trójmieście. Pietruszka i jego zespół w krótkim czasie stworzyli makietę – stała ona na stole, przy którym przywódcy robotników podpisali w sierpniu z władzą dokument końcowy porozumień. Postawiono ją następnie przy bramie głównej, a obok niej puszkę, do której każdy mógł wrzucić datek na budowę pomnika.

Ostatecznie nadano mu kształt ogromnych, czterdziestodwumetrowych krzyży, w które wkomponowano jednak także pierwotnie zaprojektowane kotwice. Zostały one wmurowane wraz z reliefami w korpus wielkich słupów jako symbol narodowej solidarności oraz starcia społeczeństwa z władzą, a wykonali je pracownicy stoczni. W ścianie monumentu wyryto także złowróżbny wiersz Miłosza. Od niedawna noblisty.

Wczoraj w Gdańsku padał śnieg. Sroga pogoda nie odstraszyła jednak nikogo: na przyfabrycznym placu i pobliskich ulicach zebrało się ćwierć miliona ludzi. Według doniesień BBC także telewizja państwowa relacjonowała na żywo uroczystość. Mszę odprawiał krakowski arcybiskup Franciszek Macharski, jeden z mentorów Jana Pawła II. Daniel Olbrychski czytał fragmenty Starego Testamentu w przekładzie z hebrajskiego autorstwa Miłosza. Zabrzmiały między innymi słowa z *Psalmu 29*, wyryte na postumencie pomnika: „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju". Krzysztof Penderecki specjalnie na tę okazję skomponował utwór *Lacrimosa*. Nikt nie wstydził się łez, spływających po twarzy z kropelkami stopniałego śniegu.

Był też obecny przewodniczący komunistycznej Rady Państwa Henryk Jabłoński z kilkoma innymi towarzyszami. Myślę, że czuł ulgę, widząc kordon milicji, oddzielający ich od nieprzebranego tłumu. W jego towarzystwie – jak można się było przekonać na zbliżeniu kamery – nikt nie ocierał łez.

Oglądałem transmisję z Moniką, moją gospodynią, u niej w salonie. I też mieliśmy mokre twarze, mimo że w Londynie nie śnieżyło. A już na pewno nie w mieszkaniu.

19 grudnia 1980, Londyn

Wiadomość z Warszawy: zgodnie z postanowieniem KC PZPR Gierek, Jaroszewicz, Łukaszewicz, Szydlak i jeszcze kilku wysoko postawionych komunistów zrzekli się mandatów poselskich. Wielka rzecz! Jasne, że się zrzekli, spróbowaliby tylko odmówić! W końcu to partia ich wybrała, a nie lud. Gierek zresztą „rozchorował się na serce". W wypadku pozostałych nie silono się już nawet na zmyślone choroby. Bo i po co? Kiedy sytuacja się ustabilizuje, być może będą mogli wrócić. A jeśli nie, okrzepną sobie na hojnej emeryturze w luksusowych mieszkaniach, daczach. I podziękują losowi, że partia nie zrobiła z nich kozłów ofiarnych, nie kazała przyznać się do „błędów i wypaczeń" w inscenizowanej awanturze, jak to mają w zwyczaju czerwoni.

Boże, jak ja im nie wierzę, oni kłamią nawet wtedy, gdy zadają pytania. Dobrze chociaż, że ich nadęte, bigoteryjne twarze znikną teraz z ekranów i gazet. Oczywiście pojawią się inne. Doświadczenie pokazuje, że popularne w narodzie polskim jedenaste przykazanie: „Szanuj szefa swego, bo możesz mieć gorszego", niestety na ogół się sprawdza. I proszę, oto wyłania nam się „spawacz", jak nazywają schowanego za ciemnymi szkłami Jaruzelskiego. Człowiek, o którym nie można nawet powiedzieć, że źle mu z oczu patrzy. Ilu nieszczęsnych durniów dało się na to nabrać! Choćby tu, w Londynie, niejeden świeżo upieczony imigrant wygaduje, że to – było nie było – wojskowy, a tacy są przynajmniej obliczalni, lubią porządek, że mogło być znacznie gorzej… Aha, ale niech mi ktoś do licha powie, kto kazał dziesięć lat temu strzelać na Wybrzeżu? Przecież dopiero co postawiono ofiarom pomnik!

26 grudnia 1980, Londyn

Już na kilka dni przed świętami chodziła mi po głowie wiecznie aktualna *Opowieść wigilijna* Dickensa. Gdziekolwiek szedłem, w całym Londynie widziałem drzwi przyozdobione wieńcami z jemioły. Gorączkowe przygotowania do Bożego Narodzenia rzuciły mi się w oczy zaraz po przyjeździe, Monika mówi, że to tutaj standard, zabawa zaczyna się już w październiku. Siedmiomilionowa metropolia, złożona w dużej części z prowincjonalnej zabudowy szeregowej, przyoblecze się na ten czas w czerwono-zieloną szatę.

Warto odnotować, że większość z tych charakterystycznych domków wybudowano jeszcze w minionym stuleciu, w epoce wiktoriańskiej, choć także w kolejnych dziesięcioleciach czerpano obficie z jej wzorców i wznoszono na pozór jednakowe miasta-ogrody. Jeśli jednak przyjrzeć się z bliska przyklejonym do siebie budynkom, dostrzeżemy, że każdy z nich jest inny. Co je łączy, to oryginalna szerokość szesnastu stóp i sześciu cali, od której nie ma wyjątku, oraz rozmiary okien. W sklepach budowlanych po dziś dzień można kupić gotowe futryny wzorowane na wiktoriańskim, imperialnym modelu. Wymontowuje się starą szybę i w trymiga wstawia nową. Będzie pasować co do milimetra. To samo dotyczy drzwi, okucia ościeżnic, klamek, zamków i zawiasów. Pod osłoną zamka kryje się naturalnie nowoczesny mechanizm,

ale zanim się ją podniesie, człowiek odruchowo szpera po kieszeniach, szukając starego, ozdobnego klucza. Jeśli za coś cenię Anglików, to za ich niezłomny konserwatyzm. Czerwone autobusy piętrowe, czarne budy taksówek, tu wszystko jest ponadczasowe.

Do pewnego stopnia także garderoba. Wystarczy koło południa przespacerować się po City. Niewiarygodne, ale człowiek może tu spotkać bankiera czy urzędnika w meloniku, cylindrze, żakiecie, fraku albo z brodą *à la* Franciszek Józef, śpieszącego z czarnym parasolem w ręce po lunch do ulubionego baru. (Parasol – jakikolwiek – warto zawsze nosić tu ze sobą, bo w ciągu zaledwie jednego dnia człowiek może doświadczyć wszystkich pór roku i związanych z nimi opadów. Nie przypadkiem ulubionym tematem rozmów wyspiarzy jest pogoda).

To prawda, że zimy są tu na ogół łagodne i nawet jeśli zrobi się chłodniej, prawdziwy Anglik nie zakłada płaszcza zimowego. Z przerażeniem patrzyłem, jak wielu z nich także w temperaturze bliskiej zeru paradowało w marynarce, koszuli czy podkoszulku, mało tego, niejeden uczeń miał na sobie krótkie spodenki, choć również grube podkolanówki. Wystające kolana były jednak całkiem sine. Od razu pojąłem, dlaczego wywołaną zwyrodnieniem stawów krzywicę nazywa się na Węgrzech „angielską chorobą"…

Przyzwyczajony do szarości i monotonii przybysz z Europy Wschodniej może dostać oczopląsu także w dzień powszedni, ale w czasie gorączki przedświątecznej cała ta feeria kolorów, świateł i błysków, wystrojone do obłędu okolice centrów handlowych z pewnością przyprawią go o zawrót głowy. Jurek i Monika zabrali mnie na największy jarmark bożonarodzeniowy, organizowany co roku ku czci Dickensa w salach San Francisco Cow Palace, a potem jeszcze na imprezę adwentową w Bay Area, gdzie człowiek przenosi się do wiktoriańskiego Londynu i scenografii żywcem wyjętej z *Opowieści wigilijnej*. Scenografia? Co ja mówię… Londynu nie trzeba zbytnio dekorować, by w mgnieniu oka cofnąć się w czasie o półtora wieku. Niedawno widziałem wystawę fotograficzną pod tytułem *Now and then* (Teraz i dawniej) – pokazywano na niej pary zdjęć przedstawiających ulice i place miasta, przy czym obok ujęć z przełomu stuleci widniały wykonane dokładnie z tej samej perspektywy fotografie współczesne. Okazuje się, że niewiele się zmieniło. Anglicy są z tego bardzo dumni. A ja zielenieję z zazdrości. Ale czemu się dziwić, skoro ostatni najeźdźca wkroczył na ziemię angielską w 1066 roku!

Dickensowski jarmark jest organizowany od 1970 roku – szczyt popularności osiąga w czasie czterech weekendów adwentowych. Istny obłęd, każdy powinien go choć raz zobaczyć! Do tego ta cudowna atmosfera – rodzinna, luźna, słowem, niezbyt typowa dla zdystansowanych Anglików. Panuje tu magiczny klimat i nie ma się co dziwić, że nawet zatwardziały Scrooge dał się porwać temu pięknemu świętu.

U nas – na Węgrzech i w Polsce – dzieci piszą listy do Świętego Mikołaja, licząc, że przyniesie im prezenty 6 grudnia. Najczęściej chodzi o małe podarunki, przeważnie słodycze, które poczciwy brodacz wkłada do wystawionych w oknie butów. Przed Bożym Narodzeniem wychodzi kolejny list: tym razem do Jezuska. Ten już przynosi konkretniejsze prezenty. Wszystko to ma swoją logikę, bo – jak mądrze powiedział

syn mojego znajomego po odbyciu kilku lekcji religii – „Jezus jest szefem biskupów, Mikołaj więc jest jego podwładnym".

Hierarchia niebiańska w anglosaskim świecie wierzeń przedstawia się podobnie, choć tu dzieciarnia pisze listy wyłącznie do Mikołaja. A jeśli w domu jest kominek (a często jest), to służy on za skrzynkę na listy. Oczywiście płonącą. Gdy lista prezentów zajmie się ogniem i spali, należy ułożyć nową, skromniejszą. Jeżeli jednak przeciąg porwie ją kominem do góry, z pewnością trafi do celu, to znaczy na biegun północny. Jurek dodaje złośliwie, że jest tu pole do manipulacji: kochający rodzic, jeśli nie chce kupić dziecku wymarzonej zabawki, może zwęzić wylot kominka, a wtedy list spłonie jak liszka w ognisku, bo przewiew będzie za słaby. Jeżeli życzenie jest do przyjęcia, wówczas otwiera szeroko zawór, a papier nawet nie zdąży się zająć, tak szybko unosi go cug w kominie.

Zgodnie z tradycją 24 grudnia rodziny wspólnie ubierają choinkę i śpiewają pieśni świąteczne. Wieczorem częstują się ciastkami, dorośli piją porto, a potem wszyscy udają się na spoczynek i zostawiają przy łóżku – specjalnie w tym celu zakupione – wielkich rozmiarów skarpety. Przed świtem Mikołaj wypełnia je prezentami. Wolno do nich zajrzeć dopiero po powrocie z bożonarodzeniowego nabożeństwa, w porze przed obiadem. Obowiązkowym elementem menu jest indyk z kasztanowym nadzieniem i pudding.

Moje święta upłynęły w oprawie międzynarodowej. Jurek oczywiście spędził je w domu, a nie u kochanki, Monika zaś nie pozwoliła mi zostać samemu i zabrała do starszego małżeństwa Polaków, dla których była niemal jak córka. Mężczyzna, który walczył w armii polskiej na Zachodzie, po wojnie został w Londynie, gdzie utrzymywał się jako plastyk, z musu, choć nie brakowało mu talentu. Kobiecie udało się wyemigrować po 1945 roku i dobrze zrobiła, komuniści bowiem w wielu przypadkach „nagradzali" wywózką i więzieniem nawet zwyczajne sanitariuszki, pielęgniarki czy nieuzbrojone kurierki w powstaniu warszawskim, a tym właśnie zajmowała się ciocia, jak nazywała przyjaciółkę mamy Monika. Również mężczyzna zaraz na wstępie poprosił mnie serdecznie, bym zwracał się do niego per „wujku".

Mają piękny dom w Ealing[17], jednej z najliczniej przez Polaków zamieszkanych dzielnic Londynu, małą willę otoczoną dzikim, zielonym ogrodem. Z zewnątrz wygląda jak typowy angielski dom, z architekturą przypominającą wiejski *cottage*, w środku jednak panuje na wskroś polska atmosfera. Składają się na nią meble, dekoracje, obrazy i kilimy na ścianach, szable i pokryta patyną broń, jak również zadbana bogata biblioteka. Coś jak połączenie dziewiętnastowiecznego dworku szlacheckiego z kamienicą mieszczańską. Także stół świąteczny zdobiły tradycyjne akcenty: wieczerza z dwunastu postnych dań i jedno wolne miejsce – na wypadek, gdyby przyszedł Chrystus w stroju wędrowca. Śpiewaliśmy piękne kolędy polskie, ciocia zapodawała dźwięk i akompaniowała nam na pianinie.

Pan domu wyczytał z kalendarza, kiedy powinna pojawić się pierwsza gwiazdka, bo na zachmurzonym niebie angielskim nigdy byśmy jej nie ujrzeli. To właśnie ona

[17] Dzielnica Londynu.

wyznacza początek rytuałów wieczoru wigilijnego. Wyciągnięto opłatek, z którego każdy z nas odłamał po kawałku, a potem dzielił się z innymi i życzył wszystkim tego, co najlepsze. (Moi dziadkowie rozkrawali jabłko na tyle kawałków, ilu było gości, i w podobny sposób rozdawaliśmy je sobie nawzajem). Ponieważ w takich chwilach wypada pamiętać o nieobecnych członkach rodziny, Monika złożyła przez telefon krótkie życzenia rodzicom w Konstancinie, ja zaś zadzwoniłem do Joli, która była u swoich, a potem jeszcze do mamy do Budapesztu.

Pomodliliśmy się i pobłogosławiliśmy, po czym zajęliśmy miejsca przy stole przykrytym obrusem, spod którego wystawały źdźbła sianka, wspomnienie żłóbka betlejemskiego. Zestaw postnych dań wigilijnych był taki sam jak w całej Polsce: śledź na kilka sposobów, galaretka rybna i karp pieczony. (Anglicy nie jedzą tej ryby, na szczęście jednak Londyn jest miastem wielokulturowym, a że inne nacje spożywają karpie, można je tu dostać bez problemu). Następnie bezmięsny bigos z grzybami leśnymi i wędzoną dymem śliwką. (Angole stronią także od grzybów, bo jeden z władców zatruł się nimi na śmierć, dlatego też w tutejszych parkach i lasach można spotkać tylko zbieraczy z Polski, Włoch i Francji, miejscowi zaś ze zgrozą zaglądają im w koszyki). Podano też barszcz, a do niego uszka z nadzieniem – jakżeby inaczej – grzybowym, leciutkie pałeczki z ciasta maślanego, podsmażone pierogi z kapustą i zeszkloną cebulką. A do tego nieodłączny cieniutki kompot z suszu, który swój różowy odcień zawdzięcza przede wszystkim śliwce wędzonej. No i kutia, której nazwę wymawia się tak samo jak węgierskie *kutya* (pies), choć z poczciwym czworonogiem nie ma nic wspólnego – to przysmak z dawnych polskich Kresów, pochodzący z kuchni litewskiej i białoruskiej, podobny trochę do naszego *mákos guba* – mielony mak wymieszany z miodem i kilkoma rodzajami owoców suszonych. I ja dołożyłem do tej uczty swoje parę groszy: upiekłem u Moniki placek orzechowy według przepisu mojej drogiej babci z rodziny Kovácsów. A żeby gościnna Anglia nie poczuła się zlekceważona, na stole pojawiło się też kilka kawałków indyka. (Za niego zabraliśmy się jednak dopiero po pasterce w polskim kościele w Ealing, niczym bigoci katoliccy, choć Kościół od dłuższego czasu nie narzuca już postu w Wigilię, a tylko go zaleca).

Naturalnie nie zabrakło też wódki, choć gospodarze szybko przerzucili się na czerwone wino. Zebrałem pochwały za ciasto, jak również za ostatnią butelkę tokajskiego aszú, przywiezioną najpierw z Budapesztu do Warszawy, a stamtąd tutaj. Od starszych państwa dostałem książki i czek na sto funtów, abym mógł sobie kupić podstawowe narzędzia. Myślę, że Monika podpowiedziała im ten bardzo praktyczny pomysł na prezent, nie mogę bowiem stale latać do Jurka po wiertarkę, wyrzynarkę i tym podobne. Moja gospodyni natomiast zaskoczyła mnie kaskiem – bez niego, jak się okazało zaraz na początku, nie mogę jeździć rometem. Stokrotne dzięki! Wreszcie będę mógł oddać ten pożyczony. Ja zaś podarowałem małżeństwu i Monice po egzemplarzu węgierskiej książki kucharskiej przetłumaczonej na angielski i wydaną przed paru laty w Warszawie antologię naszej poezji. (Tym samym pozbyłem się wszystkich przywiezionych z domu zapasów).

1981

22 stycznia 1981, Londyn

Nie mam czasu na robienie notatek. Pracę zaczynam o siódmej rano, haruję dziesięć–dwanaście godzin dziennie, żeby jak najszybciej skończyć zamówienie i rozpocząć następne. Nie są to prace godzinowe, ale usługi za konkretną stawkę, zwykle malowanie, nanoszenie powłok ochronnych, tapetowanie, sprzątanie po poprzednim lokatorze. Na ogół banalnie prosta robota, ale trzeba ją wykonać i już. Idę obejrzeć mieszkanie, mierzę, wyceniam i podaję kwotę. A potem już nie ma odwołania. Często się okazywało, że przy wstępnej wycenie czegoś nie zauważyłem, na przykład ściana wydawała się prosta do odnowienia, a tu spod starej tapety wyłania się niemiła niespodzianka, która dokłada mi pracy. Do tego w tej branży nie ma wolnych weekendów, muszę tyrać w soboty i niedziele, dopóki nie skończę albo nie skonam ze zmęczenia. Wsiadam na motor i jadę do domu, wrzucam monetę do automatu w łazience, myję się, zjadam coś na zimno i do łóżka. Czasami przyjmuję zaproszenie Moniki do wspólnego oglądania telewizji, choćby wiadomości.

Skończyłem wczoraj jedną większą robotę, rozliczyłem się, schowałem forsę do kieszeni i pomyślałem, że skoro nie mam nowego zamówienia, pobumeluję przez kilka dni, odpocznę, połażę po mieście, nabiorę sił. Obudziłem się późnym przedpołudniem, a że nic mnie nie goniło, wyczyściłem narzędzia, umyłem rometa, wytarłem – motor świecił się jak psu jaja. Monika zaprosiła mnie na obiad. Zjadłem i poczułem się ociężały, wszedłem więc z powrotem do pokoju i zasnąłem.

Jurkiewicz obudził mnie wczesnym wieczorem. Powiedział, żebym się spakował, bo jutro zaczynamy kolejną fuchę. Okazało się, że dostał zlecenie w Maidstone i to nie byle jakie: mamy wyremontować w jakimś pałacyku tak zwany pokój muszlowy, czyli łazienkę. Wystrój wnętrza powstał dwieście lat temu, całe pomieszczenie zdobią ornamenty ułożone z różnego rodzaju muszelek, część z nich jest zniszczona, wytarta, niekompletna, trzeba naprawić wzory, obrazy, mozaiki. Jurek zamówił już materiał, wszystko czeka na miejscu, łącznie z narzędziami. Zauważył moje zmieszanie.

– No co, słyszałem, że niezły z ciebie fachura! – Spojrzał na mnie zachęcająco. – Nie martw się, stary, wszystko ci pokażę, będziesz robił to, co ja, tak że luz.

No dobrze, nie ma się co martwić na zapas, owszem, jest to wprawdzie skok na głęboką wodę, ale najwyżej pomacham trochę nogami i nauczę się pływać. Faktycznie, zręczności mi nie brakuje, tyle że nie jestem takim artystą jak Jurek, który zna mnóstwo technik, bo skończył nie tylko ASP, ale i architekturę. Ale jeśli wytłumaczy mi, co mam zrobić – w porządku. Spakowałem wszystko, co uznałem za potrzebne, narzuciłem płachtę na stojący w podwórzu motor, a potem jeszcze obejrzałem z nimi wieczorny serwis BBC. Potem poszedłem do swojego pokoju. Spanko, bo jutro czeka mnie podróż i praca.

28 stycznia 1981, Maidstone

Znajdujemy się około osiemdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Londynu, w hrabstwie Kent, które nieprzypadkowo nazywa się „ogrodem Anglii": krajobraz wygląda jak sceneria kolejki dziecięcej, stworzona przez szalonego modelarza hobbystę. Wszystko jest niesamowicie zielone, widać starannie uprawiane pola, kępy lasów-parków, zabudowania na stokach wzgórz przypominają domki z bajek. Rzeka Medway wije się w tym pejzażu atramentowobłękitna, przecina położone na dwóch wzniesieniach, stutysięczne miasto.

Mieszkamy w samym Maidstone, w skromnym, małym pensjonacie. Rano pierwszego dnia miałem okazję przekonać się, co oznacza nazwa *Bed and breakfast* – łóżko było jeszcze w porządku, ale śniadanie?! Dali nam dwa trójkątne tosty z cienkiej kromki prostokątnego niby-chleba, masło, które zmieściłoby się na czubku noża, taką samą ilość dżemu i dzbanek z herbatą i kawą o przejrzystej konsystencji (łyżeczkę widać było na dnie filiżanki). I to ma ci wystarczyć do południa! Dla pracownika biurowego może i tak, ale dla robotnika – nędza.

Jeździmy autobusem do pałacu, który znajduje się około dziesięciu kilometrów od miasteczka, przystanek zaś jest usytuowany naprzeciwko głównego wejścia. Jest to trudna do opisania budowla, łącząca elementy klasycyzmu i neogotyku, przed zniszczoną fasadą okrągły placyk, a na nim porośnięta mchem, nieczynna fontanna ozdobiona kariatydami, wokół zaś zaniedbane rabatki. Droga dojazdowa prowadzi przez mostek z grubych, zamszonych kamieni, po jego obu stronach zieleni się długa tafla jeziora pełnego kaczek i kokoszek, a życie wre w najlepsze także w przybrzeżnych szuwarach. Wszędzie słychać ptasie trele i krzyki. Wokół pałacu rozciąga się wzorowany na sztuce antycznej park, trawnik jest równiutko skoszony, a na grubych pniach dębów i sosen połyskują czasem czerwonawe futerka wiewiórek.

Pierwszego dnia zjawił się właściciel. Przystojny Arab przed czterdziestką przyjechał grafitowym lamborghini. Miał na sobie tyle złota, że w Polsce można by za to żyć po królewsku przez dwadzieścia lat. Jest synem szejka z Abu Zabi. Posiadłość nabył niedawno, jak mówi – na weekendowe imprezy. A ponieważ budynek jest w dość opłakanym stanie, chciałby go wyremontować i to możliwie szybko i starannie, cena nie gra roli, zapłaci, ile będzie trzeba. Facet nie wyglądał mi na Tuarega, który wczoraj opuścił pustynię. Mówił w nienagannej oksfordzkiej angielszczyźnie bez akcentu. Sza-

nowny tatuś, kiedy tylko wzbogacił się na handlu ropą, najwyraźniej wysłał potomka na studia do Londynu.

Oprowadzał nas po pałacu z nienachalną, ale zauważalną dumą. W prawie każdym pomieszczeniu pracowało kilka osób. Okazało się, że nie widzieliśmy ich samochodów przy wjeździe, bo były zaparkowane na tylnym podwórzu.

W końcu dotarliśmy do pokoju muszlowego… Właściwie należałoby go nazwać salą! Niech skonam, jeśli pomieszczenie to nie ma co najmniej osiemdziesięciu metrów kwadratowych! Wszystko utrzymane w kiczowatej stylistyce: część podłogi pokryta majolikami, część wyłożona pseudoantyczną mozaiką, do tego pełno wszelkiej maści potworów morskich, syren i innych stworzeń, a w samym środku całego przepychu wielka postać Neptuna z trójzębnym harpunem. Na ścianach i suficie zamiast sztukaterii skomplikowane wzory ułożone z muszli o różnych rozmiarach i pochodzeniu. Gdzieniegdzie puste miejsca – to właśnie je mamy wypełnić. Malowidła, naniesione na nielicznych przestrzeniach wolnych od ozdób, dałyby się opisać słowami Illésa jako „niema miłość", to znaczy „niebieski, zielony, barwa i obrót". Koszmar! Dowiedzieliśmy się, że miejsce to było i ma zostać także w przyszłości główną łazienką, pomieszczeniem klasy *master*… Wczoraj przywieźli wielką złoconą wannę, istne dzieło sztuki, naturalnie w kształcie muszli, na oko można by powiedzieć, że jeśli nawet nie siedemdziesiąt siedem, to z pewnością cztery czy pięć rajskich hurysek zmieści się w niej bez problemu, razem z gospodarzem. Na razie stoi zafoliowana, ale wystające pokrętła i zawory nie pozostawiają wątpliwości: chodzi o przyrząd z hydromasażem wykonany na indywidualne zamówienie. Krany również złocone, woda popłynie z sokolich głów. Pomyślałem, że tego też nie kupili w zwykłym supermarkecie. Pasuje doskonale do monstrualnego otoczenia.

Szybko opanowałem technikę przyklejania muszli, ale moje nogi zapłaciły za to swoją cenę: „łazienka" ma około pięciu metrów wysokości, ja zaś codziennie setki razy wchodzę i schodzę po drabinie, więc wieczorami regularnie chwytają mnie skurcze w łydkach i stopach. Gdybym to ja planował urządzenie wnętrza, z pewnością zrezygnowałbym z całego tego kiczu i wybrał prosty, elegancki wystrój. Przeklinam pod nosem cholernych bogaczy, którzy płacą grubą forsę za tego typu bezguście, Jurek za to tylko się śmieje:

– Nie twoja w tym głowa, stary, najważniejsze, że płacą, i to dobrze.

Przy wieczornym piwie w pubie widziałem jednak, że on też masował intensywnie stopy.

Dlatego właśnie wyzłośliwiamy się na „królów, książąt, hrabiów" i zajmujących ich miejsce nuworyszy. Niech idą w diabły! Dziś też dali nam popalić. Wspinaliśmy się po drabinach, pełzaliśmy po rusztowaniach jak chrząszcze po ścianie, kieszenie pełne muszli, past, szpachtli, klejów, szmat, gąbek i cholera wie czego jeszcze, z lokalnej stacji przygrywała muzyka, gdy nagle rozległ się wystrzał. Co u licha? Wybuchło powstanie?

Zbiegliśmy na przylegający do parteru taras, gdzie stała już grupka robotników i przyglądała się widowisku. Na kamiennym mostku i obok roiło się od ludzi, prawie wszyscy ze strzelbami w rękach, celowali w podrywające się z krzykiem z tafli jeziora

ptactwo, głównie dzikie kaczki. Łagodne, przyzwyczajone do spokoju zwierzęta, ociężałe od niezmąconej dotychczas egzystencji, machały rozpaczliwie skrzydłami, unosiły się w powietrze, niektóre zaś po chwili padały na ziemię rażone śrutem. Wszyscy „myśliwi" byli ubrani w stroje cywilne, ich auta – bentleye, rolls-royce'y, porsche, maybachy i tym podobne – stały zaparkowane wzdłuż podjazdu. Kobiety w szpilkach i żakietach, mężczyźni w garniturach i półbutach. Wyglądało to tak, jakby postanowili zatrzymać się na chwilę – *by the way* – i zapolować.

Wkrótce okazało się, że tak właśnie było. Nasz oksfordzki Tuareg wybierał się na weekendowe przyjęcie do któregoś z bogatych krewnych, a ponieważ posiadłość w Maidstone była akurat po drodze, zaprosił towarzystwo na lunch połączony z małą rozrywką. Zamówił obsługę (nagonkę, strzelby, barek ustawiony przy moście) i załatwił kaczki. Okazało się, że nie wyhodowano ich tutaj ani nie zalęgły się same na jeziorze. Od dwóch tygodni przynosił je tu z własnej hodowli pewien rolnik. Naturalnie w z góry określonym celu. Żeby dranie mogli postrzelać. Zabawa trwała nie więcej niż godzinę. Później oddano strzelby, naganiacze zebrali martwe ptaki i wrzucili do furgonetki z chłodnią. Nie widziałem nigdzie psów, co oznacza, że zestrzelone nad jeziorem kaczki zostały w wodzie, podobnie jak te, które trafiono na dużej wysokości. Towarzystwo napchało się kanapkami, wypiło kilka drinków i ruszyło w dalszą podróż.

Krew się we mnie zagotowała, taką już mam naturę. Mnie też zdarza się polować. Ale jak można urządzać taką jatkę?! Kto chce być myśliwym, niech się najpierw dowie, czym to się je. A potem niech się odpowiednio ubierze i nauczy szanować las, pola, dziką przyrodę! Cel należy odpowiednio wystawić do strzału, odnaleźć ranne zwierzęta i je dobić, żeby nie cierpiały. Tymczasem cała ta maskarada była obrzydliwym marnotrawstwem, zabawą urządzoną dla bandy bezdusznych, aroganckich idiotów!

Im dłużej pracuję dla tych ludzi i przyglądam się z bliska ich breweriom, tym bardziej skłaniam się ku poglądom lewicowym, o czym powiedziałem kwaśno Jurkowi. Ale od razu przyszło mi na myśl, że komuniści nie są wcale lepsi – kiedy tylko doszli do władzy, od razu stała się z nich czerwona szlachta… Znam setki takich historii! Jeden z drugim postawi sobie daczę, opodal niej ambonę, a potem strzela z dwudziestu metrów do na wpół oswojonych dzików, jeleni, saren. Siedzi taki drań o grubym karku w swojej leśniczówce, żre, pije, beka, pierdzi, a potem przychodzi myśliwy, pokazuje na zegarek i mówi: pora ruszać. Wsiadają do UAZ-a, jadą do lasu, partyjny półgłówek włazi na ambonę i sadza gruby zad na ławce. Zanim zdąży odsapnąć, przychodzi locha, bo myśli, że dostanie jeść. Aparatczyk strzela, czasem trafia, czasem nie, ale od tego jest myśliwy, żeby mu pomóc. A potem nikt nie pyta, czyja kula zabiła dzika. Po niecałej godzinie w lesie towarzysz się upija, pobekuje z zadowoleniem i każe się wieźć do domu, a leśnicy wysyłają mu po paru dniach gotowe, oprawione trofeum. On zaś może się chwalić, że sam upolował. Kittenberger[1]

[1] Kálmán Kittenberger (1881–1958) – podróżnik i zoolog węgierski, zafascynowany florą i fauną Afryki, pasjonat łowiectwa i jego propagator. Ze swoich wypraw przywiózł tysiące nowych okazów gatunków

i Zsigmond Széchenyi[2] przewracają się w grobach. Jeśli takie indywidua nazywają siebie myśliwymi, to kim byli oni?

Noblesse oblige – do czego właściwie zobowiązuje szlachectwo? Czy sama szlachta potrafi jeszcze odpowiedzieć na to pytanie? Nie sądzę. A jeśli tak, nie wyciągają z odpowiedzi żadnych wniosków. Niedobitki arystokracji sprzedają majątki karierowiczom partyjnym albo muszą je oddać lumpenproletariuszom. Sprawdza się wizja Orwella z *Folwarku zwierzęcego*: nie wiadomo już, czy przy stole siedzą ludzie czy świnie.

5 lutego 1981, Londyn

Minęły dwa miesiące, odkąd tu jestem. Pracuję po dziesięć, dwanaście godzin dziennie na budowach i przy remontach. Przeważnie z Polakami i – podobnie jak moi koledzy – na czarno. Zaczynam się czuć jak ślepy na jedno oko wśród niewidomych, pozostali ledwo dukają po angielsku, a ja radzę sobie całkiem nieźle i powoli zaczynam rozumieć też gwarę cockney.

Jurek obiecuje, że załatwi mi robotę u prawdziwego przedsiębiorcy imieniem Tom, dla którego przygotowuje projekty i który zatrudnia na czarno polskich pracowników, ale tylko najlepszych fachowców, żadnych amatorów. Mówi, że jestem „złotą rączką", a do tego przyzwyczaiłem się do ruchu lewostronnego, mam prawo jazdy na ciężarówkę, więc mogę ją prowadzić, jeśli zajdzie potrzeba. Wszystko wskazuje na to, że faktycznie im się przydam. Od przyszłego miesiąca Tom być może zatrudni mnie jako foremana, będę zajmował się zaopatrzeniem. Jurek widział, jak układam glazurę i podłogi, jak wykonuję stolarkę, maluję i wykańczam, i uważa, że robię to wzorowo. On, zahartowany w socjalistycznej „szkole przetrwania", która z natury wymaga pomysłowości, traktuje to jako normalną rzecz, ale ostrzegł mnie też, że tu patrzą podejrzliwie na każdego, kto twierdzi, że zna się na więcej niż dwóch profesjach. Co mam poradzić na to, że jeszcze na Węgrzech, razem z bratem elektrotechnikiem łapaliśmy się z musu każdej chałtury i w efekcie nauczyliśmy się fachu na poziomie wykwalifikowanego robotnika? A do tego mam taką naturę, że ciekawi mnie wszystko, chcę zawsze wiedzieć, jak co działa i z czego jest zbudowane. Mój przyjaciel plastyk, Rafał Strumiłło, cytował często Michała Anioła: „Rzeźba jest gotowa w bryle kamienia, trzeba tylko odłupać to, co niepotrzebne…".

Mam zatem pracę i nadzieję, że tak zostanie, a może nawet trafi się coś lepszego. Mimo to nie czuję się dobrze. Szlag mnie trafia, kiedy słyszę, że każdy serwis BBC zaczyna się od słowa *Poland*. Relacje są robione rzetelnie, ale komentarze?! Słuchałem wczoraj pewnej dyskusji analityków na temat sytuacji nad Wisłą. Eksperci! Nie było wśród nich ani jednego Polaka, bo i po co, skoro oni, mądrzy ludzie Zachodu, i tak

zwierząt i roślin, nieznanych wcześniej węgierskiemu odbiorcy, które przekazał do zbiorów Węgierskiego Muzeum Narodowego.

[2] Zsigmond Széchenyi (1898–1967) – węgierski arystokrata, pisarz, z zamiłowania myśliwy. Jeździł na polowania po całym świecie.

wiedzą lepiej! To samo w sekcji węgierskiej… Nie mogę tego pojąć: jeśli mają pod ręką dokładne, sprawdzone informacje, a do tego specjalistów pochodzących z danego kraju, czemu ich nie wykorzystują? I dlaczego, do diabła, nie potrafią wyciągać właściwych wniosków? Odpowiedź jest tylko jedna: bo nie chcą!

Nie zamierzam wydawać pochopnych sądów, ale cały ten poczciwy naród wydaje mi się tak samo tchórzliwy i niemoralny jak w Teheranie, Jałcie, Poczdamie, w pięćdziesiątym szóstym czy sześćdziesiątym ósmym. Nic się nie zmieniło, ich mentalność jest taka jak dawniej: nie chcieli umierać za Gdańsk i wszystko wskazuje na to, że nie są do tego skłonni także dziś. Jedynie mydlą oczy tą swoją głupią, liberalną, importowaną z Ameryki „poprawnością polityczną". Będą się w niej taplać, aż któregoś pięknego dnia usłyszą, jak ktoś wali w szybę kolbą kałacha, a w oknie pojawi się włochata łapa i usłyszą krzyk: *Dawaj czasy*! Wtedy nabiorą rozumu raz dwa! I będą się mogli wypchać swoją cyniczną mądrością, wedle której państwa nie mają przyjaciół, tylko interesy.

22 lutego 1981, Londyn

Wiadomość dnia: wczoraj, w sobotę wieczorem, w Radiu Wolna Europa w centrum Monachium wybuchła bomba przy ścianie budynku na skraju Ogrodu Angielskiego. Zamach uderzył głównie w sekcję czechosłowacką i spowodował poważne zniszczenia w redakcjach. Czterech radiotelefonistów zostało rannych, z czego dwóch w stanie ciężkim odwieziono do szpitala. Szkody materialne pierwszego uderzenia przekraczają milion dolarów. Podobno wybuch był słyszalny w połowie miasta, a w promieniu kilometra z okien powypadały szyby. Już pierwsze komentarze wskazują na atak terrorystyczny. Niektórzy łączą go z osobą szwajcarskiego maoisty Brunona Bréqueta, inni widzą w tym rękę niemieckich Czerwonych Brygad. Niewykluczone jednak, że sprawcą był komunistyczny gangster o pseudonimie Carlos, który jest ścigany międzynarodowym listem gończym.

Zadzwoniłem do pana Laciego Cs. Szabó, żeby się dowiedzieć, co z sekcją węgierską. Wczoraj wieczorem rozmawiał z Borbándim, zastępcą dyrektora – żaden z Węgrów nie ucierpiał. Kamień spadł mi z serca, także ze względów osobistych: najpóźniej w drodze powrotnej do Polski chciałbym zajrzeć do Monachium, gdzie Borbándi jest redaktorem naczelnym „Új Látóhatár".

9 marca 1981, Londyn

„W Poznaniu odbyło się wczoraj pierwsze inauguracyjne spotkanie NSZZ Rolników Indywidualnych »Solidarność«" – donosi londyński „Dziennik Polski". Organizacja ta starała się o rejestrację od sierpnia zeszłego roku, gdyż władze najzwyczajniej w świecie odmawiały uznania, że chłopi prowadzący prywatną działalność również mają prawo do obrony swoich interesów. Mało im było, że opierali się kolektywizacji i przynosili wstyd komunistom, że osiemdziesiąt sześć procent gruntów rolnych w Polsce pozostało w rękach prywatnych?! A teraz mają czelność zakładać własny związek?!

Owszem, towarzysze, mają czelność. Jakkolwiek egzotycznie to brzmi w waszych czerwonych uszach. Czy aby nie trąbicie od rana do wieczora, że władza należy do robotników i chłopów? No to macie: i jedni, i drudzy domagają się teraz tej władzy, by mieć wpływ na swój los. Tak długo odkładaliście merytoryczne rozmowy z ruchami wiejskimi, aż nie pozostało im nic innego, tylko strajk. A jeśli w kraju, w którym większa część produkcji żywności pozostaje w rękach prywatnych rolników, chłop zaprotestuje i wstrzyma dostawy do skupu, całe zaopatrzenie szlag trafi, a z półek sklepowych raz-dwa znikną i tak skromne zasoby towarów. Ponadto od zeszłego roku nie działa już strategia napuszczania na siebie robotników, chłopów i inteligencji. W drugiej połowie stycznia w Rzeszowie rozpoczął się strajk, załogi fabryk solidarnie przerwały pracę i protest zaczął się rozprzestrzeniać jak pożar, by w ciągu kilku dni ogarnąć cały kraj. Wałęsa poparł żądania rolników i dwukrotnie spotkał się z ich przywódcami. Partia i rząd toczyły pianę z ust, ale w końcu musiały się poddać. W podkarpackich Ustrzykach Dolnych (małej miejscowości w Beskidach Wschodnich, do tego rzut beretem od granicy sowieckiej!) podpisano porozumienie, w którym zezwolono na powstanie „zielonej" Solidarności, poszerzono prawa samoorganizacji osad wiejskich, poprawiono sytuację lokalnych szkół i umożliwiono nauczanie w nich religii.

Poznański dokument jest teraz określany jako „konstytucja dla wsi". Przewodniczący rolniczych NSZZ, dwudziestotrzyletni rolnik Jan Kułaj, który ledwie dwa lata temu wstąpił do ZSL-u, partyjnej przybudówki PZPR, był jednym z liderów rzeszowskiej akcji protestacyjnej. To on podpisał lutowe porozumienia z delegacją rządową.

W ten sposób Solidarność, której członków jest ponoć dziesięć milionów, została wzmocniona przez bez mała trzy miliony „zielonych" związkowców. Porachujmy przez chwilę! Opierając się na źródłach znalezionych w bibliotece Instytutu Sikorskiego w Londynie, dokonałem dziś po południu następujących wyliczeń. Liczba członków PZPR na początku ubiegłego roku wyniosła trzy i jedna dziesiąta miliona. Wedle niepotwierdzonych danych od tamtego czasu opuściło ją osiemset tysięcy ludzi. (Solidarność twierdzi, że aż trzydzieści trzy procent z nich to robotnicy!) Najnowsze informacje wskazują, że Polska liczy około trzydziestu ośmiu milionów mieszkańców, a ponad sześćdziesiąt procent ludności mieszka na wsi. Średnia liczba dzieci w rodzinie wynosi dwa i cztery dziesiąte, przy czym w rodzinach wiejskich rodzi się ich tradycyjnie więcej niż w miastach. Odsetek kobiet w społeczeństwie wynosi pięćdziesiąt dwa procent, to znaczy, że na stu mężczyzn przypada ich sto siedem. Liczba osób w wieku produkcyjnym (od osiemnastu do sześćdziesięciu pięciu lat) wynosi prawie dwadzieścia dwa miliony, z tego trzynaście należy do Solidarności, a około trzech to członkowie PZPR lub jednej ze stowarzyszonych z nią partii. Reszta to bezpartyjni i niezrzeszeni, nieletni, dzieci lub emeryci. Przeciwników systemu jest więc niemal czterokrotnie więcej niż zwolenników. Albo nawet więcej, bo relacje te mogą być podobne wśród uczniów szkół średnich i osób niezaangażowanych.

Tak się sprawy mają! Warto byłoby dokonać podobnej analizy we wszystkich krajach obozu socjalistycznego – myślę, że byłoby to bardzo pouczające.

18 marca 1981, Londyn

Jurek w końcu załatwił mi pracę u Toma. Angielski przedsiębiorca zarządza kilkoma zleceniami, chodzi o remonty i przebudowy. Dał mi do dyspozycji trzyipółtonowego leylanda, przedstawił mnie swoim dostawcom i powierzył mi zaopatrzenie, to znaczy dostawę zamówionego towaru ze sklepów budowlanych, przede wszystkim do dwóch największych zamówień, przy Hatch Endzie i Alymar Road. Pierwsze z nich to renowacja osiemnastopokojowej parterowej willi w stylu bungalowu z dużym ogrodem, drugie dotyczy dwukondygnacyjnego, równie dużego i nieco ponurego domu z czerwonej cegły. Nie byłem zbytnio zdziwiony, gdy się okazało, że właścicielami obu są Arabowie.

Robotnicy to przeważnie Polacy. Zostałem ich foremanem, to jest szefem zmiany – trudne zadanie! Lubię precyzję, a do tego szybko się uczę, więc od razu się zorientowałem, że wymaga się tu dobrze wykonanej pracy, a nie partaniny, bo wieści szybko się rozchodzą i złego majstra nikt drugi raz nie zatrudni. A poza tym: *when in Rome, do as the Romans do*, to znaczy: będąc w Rzymie, zachowuj się jak Rzymianie! Niestety nie wszyscy to rozumieją.

Na przykład na Hatch Endzie pojawił się gość o imieniu Heniek, warszawiak. Facet po trzydziestce, tęgawy, przyjechał parę dni temu. Nie mówił po angielsku. Twierdził za to, że jest technikiem budowlanym. Wyjaśniłem mu, że akurat odnawiamy drzwi i framugi, dałem narzędzia i materiał. Pokazałem też, jak się to robi. Po pierwsze, zdzieramy poprzednie warstwy farby aż do surowego drewna za pomocą nitromorsu. Ostrzegłem go, że galaretowata substancja jest żrąca jak diabli, więc wolno jej dotykać tylko w gumowych rękawicach. Czego nie usunie, to ściągamy opalarką. Następnie wyrównujemy pęknięcia, zachowując rzeźbienia, a potem całość wygładzamy. Na końcu wszystko pokrywamy środkiem konserwującym i grzybobójczym. Dopiero wtedy kładziemy pierwszy podkład. Szlifujemy i nakładamy drugi. Na sam koniec idzie lakier – znakomita rzecz, gęsty jak śmietana, nie ścieka ani się nie rozmazuje. Po dziesięciu minutach zaczyna tężeć, a kiedy całkowicie wyschnie, tworzy na powierzchni warstwę, która przypomina folię. Takich rzeczy u nas się nie kupi!

Heniek mruknął, drapiąc się po głowie:

– Po cholerę się z tym tak certolić, nie wystarczy trochę wyrównać tam, gdzie najbardziej odstaje, zaszpachlować, polakierować i gotowe? Praca poszłaby znacznie szybciej!

Odpowiedziałem mu:

– Nie, tutaj robi się to inaczej, stary, nie kłóć się, płacą ci za godziny, więc się postaraj i rób tak, jak chcą, dobrze?

– W porządku.

Wróciłem po kilku godzinach i co widzę? Heniek lakierował już trzecie drzwi. Oczywiście nie zrobił tak, jak prosiłem. Kazałem mu odłożyć na bok spartolone sztuki i wykończyć pozostałe według wcześniejszych instrukcji albo iść w cholerę. A tamtych troje miał zacząć od nowa, kiedy wyschną. I tak wyświadczyłem mu przysługę, że nie powiedziałem o tym Tomowi, bo z miejsca by go zwolnił. Heniek jednak, zamiast się cieszyć, jeszcze narzekał, że jakiś baran z Węgier wymądrza mu się nad głową.

Przeciwieństwem Heńka jest Janek, góral. Tęgi blondyn o mocnych dłoniach i nogach jak u konia pociągowego. Potrafi harować jak wół. Jak dziarski chłop, który po całym dniu koszenia ma jeszcze siłę tańczyć w gospodzie. Pracuje spokojnie, nieśpiesznie, ale bez przerwy. Nadawałby się na stolarza, ale z braku laku wykańcza domy. Nie przeszkadza mu to, nie narzeka, tylko zasuwa cały dzień z łopatą albo taczką. On też nie mówi po angielsku, ale najwyraźniej się tym nie przejmuje. Pozwolono mu pomieszkiwać na placu budowy, którego nie opuszcza nawet na moment. Jedzenie, proste posiłki, przynoszą mu inni, pija tylko wodę. Każdy zarobiony grosz odkłada – w Polsce chce zbudować dom, bez tego nie ma mowy o ożenku, takie u nich panują zwyczaje. Młodzi górale zgłaszają się bardzo wcześnie do wojska, byle tylko odbyć służbę i móc wystąpić o paszport na Zachód. Większość z nich jeździ do Ameryki i wracają stamtąd, dopiero gdy uzbierają na samodzielne życie. Dlatego przed trzydziestką pobierają się tylko ci, którzy mają zamożnych rodziców. Janek się do nich nie zalicza, więc pozostaje mu harówa. Przez pierwszy tydzień czyścił ze śmieci i gówna basen, aby glazurnicy mogli go odnowić. Ostatnio robił nasyp wzdłuż płotu za tylnym ogrodem. Będzie tędy jeździć kolejka wąskotorowa. Niedawno przyszli ludzie z firmy projektowo-budowlanej i pokazywali katalog. Kompletne wyposażenie: od lokomotywy parowej po holownik spalinowy, bajkowa ciuchcia z małymi wagonami, które mogą pomieścić dwójkę paroletnich kajtków, jednego za drugim. Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości: w tym domu też będzie mieszkał jakiś cholernie bogaty Arab, a kolejka przeznaczona jest dla jego bachorów.

Jankowi skończyła się u nas robota. Dostał od kogoś adres nowej fuchy i poprosił, żebym z nim tam pojechał, bo sam miał trudności z orientacją w mieście. Pojechaliśmy metrem, bo ciężarówką trudno się tam dostać. Miejsce okazało się knajpą grecką. Praca polegała na czyszczeniu warzyw, zmywaniu naczyń, sprzątaniu. Właściciel zrobił wielkie oczy, gdy Janek zapytał, czy może mieszkać w magazynie na zapleczu. Stały tam stare skrzynie po warzywach, na których mógłby urządzić sobie posłanie, do mycia wystarczyłby mu kran z ciepłą i zimną wodą na podwórzu, a za potrzebą chodziłby do toalety dla personelu. Powiedział też, że może pracować na dwie zmiany, bo i tak nie wychodzi do miasta. Grek wzruszył ramionami: niech mu będzie. Przy pożegnaniu Janek poprosił mnie o numer telefonu, żeby miał do kogo zadzwonić w razie kłopotów. Za dwa miesiące wraca do domu i już teraz zapytał, czy pomógłbym mu trafić na lotnisko. A potem zamknął się w swoim dobrowolnym więzieniu na tyłach greckiego baru. Harda góralska postać, jakby żywcem wyjęta z *Emigrantów* Mrożka.

Boże, jacy twardzi potrafią być ludzie! I ile potrafią przeżyć!

20 marca 1981, Londyn

Wiadomość, która zniesmaczyła nawet BBC: wczoraj do Bydgoszczy przyjechał wicepremier Stanisław Mach, by wziąć udział w posiedzeniu Rady Wojewódzkiej. Na spotkanie została zaproszona także delegacja mieszkańców i przedstawicieli lokalnej Solidarności, na których czele stał szef regionu Jan Rulewski. Ludzie ci bez żadnego powodu zostali

brutalnie pobici i wypędzeni z budynku przez milicję. Mogliśmy zobaczyć wstrząsające zdjęcia z całego zajścia. To jednak cud, że dziennikarze do nich dotarli.

Napięcie czuje się w powietrzu, i to nawet w Londynie. Władza staje się coraz bardziej arogancka, w związku z czym robotnicy utwardzają swoje stanowiska, a media rządowe trąbią, że „z powodu działalności elementów radykalnych" nie da się prowadzić normalnych rozmów. A przecież w Bydgoszczy to czerwoni sprowokowali całą sytuację. Zaprosili przywódców miejscowej Solidarności na posiedzenie, a potem nie pozwolili im zabrać głosu. W odpowiedzi delegaci odmówili opuszczenia sali, więc wezwano jednostki ZOMO. Rozwścieczeni milicjanci rozpędzili gości, zranili przy tym poważnie ich przywódców – Jana Rulewskiego, Michała Bartoszczego i Marcina Łabentowicza. Zdarzenie to wywołało falę oburzenia w całym kraju, Solidarność natychmiast ogłosiła gotowość strajkową. Wałęsa, Jurczyk, Bujak i Celiński po raz kolejny zasiedli do stołu negocjacyjnego z Mieczysławem Rakowskim, redaktorem naczelnym „Polityki", a od niedawna członkiem rządu. Można by pomyśleć, że znany jako partyjny liberał Rakowski przemówi ludzkim głosem. Otóż nie! Skrytykował Solidarność, zarzucił związkowi potęgowanie napięcia, groził interwencją zewnętrzną, przypomniał o manewrach „Sojuz '81" i ostrzegł, że jeśli dojdzie do rozlewu krwi, to na nich spadnie wyłączna odpowiedzialność przed „trybunałem historii". To jakby powiedzieć do niewolnika: siedź cicho, bo jeśli przeciągnę cię batem, to tylko dla rozładowania gniewu, w który sam mnie wpędziłeś swoim marudzeniem!

A prowokacja – bo jak inaczej nazwać to zdarzenie? – pozostała oczywiście bez winnego. W ten sposób określiło całe zajście także przywództwo Solidarności, twierdząc, że rozkaz przyszedł z szeregów betonu partyjnego jako wyraz niezadowolenia z powodu rozmów rządu generała Jaruzelskiego z opozycją. Może w tym coś być. Pewne jest, że bieg wypadków potwierdza brak jednomyślności wewnątrz PZPR. Toczą się w niej zawody o to, która opcja weźmie górę. Jeśli zdecydują się na użycie siły, może być z tego dramat. Niektórzy tutejsi analitycy – przeważnie starzy emigranci, byli żołnierze, ale też kilku inteligentnych patriotów – argumentują, że armia polska, nawet komunistyczna, nie zostanie skierowana przeciwko narodowi, bo przynajmniej część żołnierzy odmówi wykonania rozkazu. Ci sędziwi panowie mają dość romantyczne wyobrażenie o całej sytuacji. Zdają się nie zauważać, że prawie wszyscy główni oficerowie LWP byli szkoleni w Związku Sowieckim. Chociaż… W dziewiętnastym wieku, kiedy Polski nie było na mapie świata, wielu polskich dowódców ówczesnych powstań także uczyło się wcześniej w akademiach wojskowych zaborców – w Rosji, Prusach czy Austrii.

Jaruzelskiemu nie powierzyłbym nawet psa. Uważam go za rzadki gatunek przebiegłego janczara. Obym się mylił, ale wydaje mi się, że stara się zmęczyć społeczeństwo. Coraz częściej za przerwy w dostawach i inne problemy obwinia Solidarność. Po jakimś czasie ludzie naprawdę mogą mieć dość „pełzającej rewolucji". I prędzej czy później zapragną porządku, przewidywalności, silnej ręki, która położy kres anarchii. A wtedy towarzysz generał łaskawie przyjmie to zadanie na swoje barki. Do tego czasu

zaś będzie próbował przy użyciu bezpieki i innych dostępnych narzędzi podgrzewać atmosferę i doprowadzić naród do skraju wytrzymałości. Być może przeciąga linę z Moskwą – Kreml wymachuje nad nim mieczem Damoklesa, grożąc, że jeśli generał nie zaprowadzi porządku, nadejdzie „bratnia pomoc".

Hm… Mój przyjaciel Jacek, który niedługo wraca do Polski, ma na to powiedzonko: „I tak źle, i tak do dupy". Próbuję go pocieszać frazesem o nadziei, która umiera ostatnia. Odpowiada mi na to kwaśno: „A my co? Zarobimy po kulce, zanim ona umrze?".

25 marca 1981, Londyn

Od dłuższego czasu chodziło mi po głowie, że powinienem kupić sobie auto. U Toma mam wprawdzie do dyspozycji trzyipółtonowego leylanda z otwartą platformą, ale co rano muszę go odebrać z parkingu, a wieczorem odstawić z powrotem. Nie mogę też korzystać z niego w weekendy. Cóż, mam teraz luksusową pracę, z wolnymi sobotami, jakbym był tutejszy. Nie przyjechałem tu jednak zbijać bąków, jeśli tylko pojawia się robota, gotów jestem pracować codziennie i do upadłego. To się nazywa samowyzysk. Tyle że jeśli już nadarza się jakaś fucha – a nadarza się często – którą można wykonać podczas weekendów, muszę jakoś dowieźć sprzęt, materiały, narzędzia, drabinę itp. Nie jestem w stanie zapakować ich na swojego rometa. Muszę więc prosić Monikę, żeby mnie podwiozła, a wieczorem wracam komunikacją miejską lub – jeśli to możliwe – śpię na miejscu, a w niedzielę znów korzystam z pomocy mojej gospodyni. Jest wprawdzie urocza i zawsze się zgadza, ale nie mogę w nieskończoność nadużywać jej uprzejmości.

Miałem dwie opcje. Albo kupić samochód, który zabiorę ze sobą do Polski, albo zdecydować się na coś tymczasowego i sprzedać auto przed wyjazdem. Zacząłem przeglądać ogłoszenia i zdecydowałem się na drugi wariant. Szybko się zorientowałem, że pojazdy z kierownicą po lewej stronie są znacznie tańsze. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek wybrać, zadzwonili do mnie Amir i Sashdi, którzy serwisowali akurat golfa Moniki, a którym zdradziłem swoje plany. Powiedzieli, że mają na zbyciu siedmioletniego białego volkswagena garbusa 1200 w doskonałym stanie technicznym za jedyne sześćset funtów, ale – jak twierdzili – cenę można opuścić na pięćset lub mniej, bo wóz jest na sprzedaż od ponad dwóch miesięcy, a właścicielowi zależy, by się go pozbyć przed wyprowadzką za granicę. Z autem jest tylko jeden problem: szyna przedniego siedzenia pasażera się złamała, fotel jest więc przytwierdzony na stałe i nie da się go przesuwać. Można go jedynie wymienić, oni zaś zaoferowali, że znajdą odpowiedni model na szrocie. Do tego wada jest dodatkowym argumentem w negocjacjach.

Okazało się, że garbus należy do Amerykanina, który przez dwa lata robił w Londynie doktorat, a teraz przygotowuje się do powrotu do Stanów. Facet okazał się dziwakiem, zwalistym, odchowanym na fast foodzie trzydziestoletnim brodaczem o wyglądzie intelektualisty. W wynajmowanej kawalerce piętrzyły się sterty książek, między nimi zaś talerze z resztkami jedzenia, zatłuszczone szklanki, a w zlewie nieumyte naczynia z dwóch tygodni, krótko mówiąc, ogólny chlew i bałagan. Patrząc na jego

brudne, grube jak denka od butelek okulary w czarnych oprawkach, zastanawiałem się, ile ten facet jest w stanie przez nie dostrzec z otaczającego go świata. I jak może wyglądać wnętrze jego auta?

„Przekonajmy się…" – pomyślałem. Zeszliśmy na dół, gdzie stał zaparkowany garbus. Pierwotnie biały, teraz wydawał się raczej szary. A w środku?! Na dywanikach warstwa piachu i kurzu na dwa palce, tapicerka zachowała na szczęście fabryczną, mysią barwę. Wszystko się kleiło. Radio wymontowane, na jego miejscu ziała pusta dziura bez osłony. Siedzenia pokryte plamami. Przedni fotel pasażera faktycznie unieruchomiony, a co gorsza, auto jest trzydrzwiowe, więc jeśli ktoś chciał wsiąść do tyłu, mógł to zrobić tylko od strony kierowcy. Miałem więc o co się targować. Silnik w porządku, bo Amir i Sashdi zajęli się nim należycie. Ruszył od razu, na pół obrotu i z ładnym, czystym dźwiękiem, jak przystało na garbusa. Zrobiłem nim jedno większe koło. Dobrze ciągnął, hamulce działały bez zarzutu. Celowo nie przyhamowałem na progach zwalniających, żeby sprawdzić stan zawieszenia, stabilizatorów i amortyzacji. Wszystko okej. Zapytałem, ile chce za maszynę. Powiedział, że pięćset. Zacząłem wymieniać wszystkie mankamenty. W końcu, niemal prosząc mnie, żebym kupił wóz, zszedł do trzystu pięćdziesięciu funtów. Podaliśmy sobie ręce i samochód należał do mnie.

Od razu zabrałem go do Amira na przegląd i sprzątanie. Kosztowało mnie to kolejną stówę, ale było warto. Następnego dnia czekał czysty i odstawiony jak na wesele. Nie mogłem się powstrzymać i z miejsca poprosiłem chłopaków o adresy kilku szrotów. Wszystkie były na przedmieściach. Wziąłem do ręki mapę i w drogę!

Odwiedziłem trzy, widziałem parę siedzeń, ale żadne nie przypadło mi do gustu. Pomyślałem, że nie warto się spieszyć, ale cierpliwie poszukać odpowiedniego fotela. Ruszyłem z powrotem do centrum, ale inną trasą. Droga, którą wybrałem, wiodła przez podejrzane okolice, zwane przez Amerykanów *slums*, a przez Anglików *rookery*. Wcześniej widziałem coś podobnego tylko na filmach. Zawalone domy z dyndającymi na framugach drzwiami czy ramami okiennymi, szkielety schodów, mnóstwo pordzewiałych aut, wspartych na cegłach, bez kół, wypatroszonych, do tego dziurawe niczym sito jezdnie i wszędzie sterty śmieci. Jak okiem sięgnąć – żadnego białego człowieka, o na wpół rozwalone ogrodzenia opierali się ubrani w kolorowe ciuchy czarno- lub brązowoskórzy goście, wszyscy z puszką czy butelką w ręku i papierosem czy innym skrętem w ustach. Przyglądali mi się uważnie. Instynkt kazał mi wcisnąć pedał gazu, żeby jak najszybciej się stąd wydostać, ale nie było to takie proste: przed maskę wchodzili mi co chwila pijani albo najarani faceci, którym najwyraźniej nigdzie się nie spieszyło, a w innym miejscu, tuż przed moimi kołami, grupka czarnoskórych urządziła sobie wprost na jezdni boisko do gry w piłkę.

Musiałem się zatrzymać. Nie odważyłem się zatrąbić. W końcu łaskawie zauważyli, że stoją mi na drodze. Jeden z nich podszedł tanecznym krokiem do okna mojego auta.

– *Hi, man, have you got a routch*? – nachylił się z uśmiechem.

Jasne, że miałem papierosa, jak mógłbym nie mieć! Starałem się powstrzymać drżenie ręki, kiedy wyciągałem paczkę w jego stronę. Wziął całą.

– *Thanks, brother* – wyszczerzył się do mnie, po czym znów wyciągnął różową dłoń. – *Match*?

Musiałem się pożegnać z zapałkami. Kiwnął do kolegów, a ci zeszli z jezdni. Ruszyłem z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Dziękowałem Bogu, że się udało, i równocześnie przeklinałem sam siebie, że w ogóle przyjechałem w te okolice. W schowku miałem jeszcze paczkę papierosów, a w aucie była elektryczna zapalniczka, więc nie pozbawiłem się możliwości palenia.

Ledwo udało mi się wywinąć, dwie przecznice dalej, na terenie wielkości boiska piłkarskiego zobaczyłem stos zezłomowanych samochodów. Mimo że ze strachu wciąż miałem mokro w majtkach, ciekawość i skąpstwo wzięły górę. Pomyślałem, że w takich miejscach wszystko można kupić taniej, więc może warto rozejrzeć się za zapasowym fotelem…

Bez wahania wjechałem na podwórze szrotu. Było późne popołudnie, ale wciąż prażyło słońce, a spod kół unosił się do góry czerwony, rdzawy pył. Naprzeciw bramy stał drewniany domek z tarasem, na który prowadziło kilka schodków. Na górze, w bujanym fotelu siedział ważący ze sto pięćdziesiąt kilo czarnoskóry facet w znoszonym, brudnym dżinsowym kombinezonie. Na nosie ciemne ray-bany, w mięsistych wargach do połowy wypalone cygaro, a w dłoni puszka piwa. Drewniany fotel zatrzeszczał pod ciężarem jego ciała. Obok drugi ciemnoskóry jegomość, dwumetrowy, też w starym kombinezonie, okularach przeciwsłonecznych i z puszką w ręce. Z tranzystorowego radia dobiegały dźwięki rytmicznego rythm'n'bluesa. Obraz jak z westernu. Czy to znaczy, że ja byłem ten Dobry, a tamci dwaj to Zły i Brzydki? Ojoj…

Naprężyłem nieco mięśnie, żeby nie wzięli mnie za mięczaka, wysiadłem z auta i pewnym siebie tonem zapytałem, czy znajdę tu jakieś siedzenie do garbusa. Osiłek nie odezwał się ani słowem, a jego kolega z fotela wskazał tylko leniwym ruchem dłoni w stronę złomowiska.

Cóż, pomyślałem, trzeba zagrać *va banque*. Muszę zostawić tu samochód, a kiedy wrócę – jeśli w ogóle wrócę – albo będzie stał na miejscu, albo nie, a wtedy także mojego trupa przetopią na surówkę w którejś z angielskich hut. Ewentualnie w indyjskiej, bo Brytyjczykom nadal opłaca się eksportować złom do dawnych kolonii i tam się go pozbywać nieswoimi rękami. Teraz jednak nie miało to znaczenia, wziąłem podręczną skrzynkę z narzędziami i ruszyłem w stronę cmentarzyska starego żelastwa.

Miałem farta! W ciągu kwadransa znalazłem zielonego garbusa 1300, powgniatanego jak nieboskie stworzenie z tyłu i z przodu, jego wnętrze było jednak w stanie praktycznie nienaruszonym. I co w nim było? To, czego szukałem: przykurzone, ale poza tym dobre siedzenia w podobnym do moich szarym kolorze i z podwyższonym oparciem! Najpierw pomyślałem, że warto byłoby wymontować też tylną kanapę, ale w końcu machnąłem ręką.

Wyniosłem przednie siedzenia na plac przed tarasem. Moje auto stało na miejscu, podobnie jak dwóch czarnoskórych. Wyglądali jak na zatrzymanej klatce filmu. Zapytałem o cenę.

– Pięćdziesiąt za każde – odezwał się facet z cygarem na bujanym fotelu. Zakołysał się parę razy, nic więcej. Wymieniliśmy kilka krótkich zdań i zeszliśmy do dwudziestu za sztukę. W zacienionej części tarasu zauważyłem piętrzący się stos radioodbiorników samochodowych. Znowu tylko kiwnięcie ręką, znaczy się, mogę obejrzeć, jeśli chcę. Podszedłem zobaczyć. Mieli też głośniki. Para czarnoskórych nawet się nie odwróciła, kiedy ich mijałem. Po krótkiej chwili wyłowiłem radio „Panasonic" z czterema wyjściami. Wróciłem i znalazłem jeszcze dwa głośniki do zamontowania na przednich drzwiach i dwa do tyłu. Zaniosłem je do auta. Podłączyłem radio do akumulatora, zapaliły się światełka. Wszystkie głośniki miały komplet przewodów, sprawdziłem styki, odezwało się głośne syczenie. Znalazłem też metrowy kawał druta, podpiąłem do anteny. Ledwo poruszyłem gałką, odezwały się dźwięki, idealnie czyste. Przypadkowo złapałem tę samą stację co oni. Z radości zacząłem kołysać biodrami w rytm bluesa. Jak się cieszyć, to od serca! Skoro do tej pory nie stało mi się nic złego, czego mam się bać? Zapytałem nieruchomych gości, czy daliby mi jakąś kasetę do wypróbowania. Osiłek syknął coś do kolegi na fotelu, tamten kiwnął ręką, a drugi wszedł do środka budynku i wrócił z kasetą. Włożyłem ją do magnetofonu: zaskoczyła i z głośników odezwała się Aretha Franklin. Odtwarzacz nie wciągał taśmy. Zorientowałem się, że jest też opcja przewijania. Przesunąłem więc trochę do przodu i do tyłu, czekałem, czy chwyci. Udało się. Sprzęt działał bez zarzutu!

Znów rzucili pięćdziesiąt funtów na wejście, tym razem zbiłem do trzydziestu. Czyli razem siedemdziesiąt. Dałem im forsę, starając się nie pokazywać, ile mi jeszcze zostało. Grubas schował pieniądze do kieszeni kombinezonu. Ja w tym czasie wyjąłem papierosa, ale zorientowałem się, że mogę zapalić tylko przy włączonym silniku. Dłoń przewyższającego mnie o głowę kolesia pojawiła się przed moim nosem tak nieoczekiwanie, że cofnąłem się odruchowo i niemal padłem na ziemię. Tymczasem on tylko podał mi zapalniczkę.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Wysoki poklepał mnie serdecznie po plecach, ale z taką siłą, że aby utrzymać równowagę, musiałem się oprzeć o podłokietnik bujanego fotela („Poklepał go przyjaźnie po ramieniu, a następnie podniósł i otrzepał z kurzu" – jak pisał Rejtő). Przynieśli taboret i wcisnęli mi do ręki puszkę piwa.

– *Here's to you* – wznieśli swoje w moją stronę.

– Zapal sobie spokojnie, białodupcu – powiedział gruby. I z miejsca stali się rozmowni. Przekrzykując się nawzajem, nie mogli się nadziwić mojej lekkomyślności. Że ja, biały, zapuściłem się w te okolice. Zaczęli się nawet zakładać między sobą, kiedy narobię w portki i ucieknę. Ale gdy tylko się zorientowali, że jestem albo kompletnym wariatem, albo nie wiem, gdzie mnie licho przyniosło, zapałali do mnie sympatią. Zapytali, kim jestem i skąd przyjechałem. Opowiedziałem im pokrótce. Słyszeli oczywiście o Polakach, w końcu w samym Londynie mieszka ich jakieś czterysta tysięcy.

Na temat Węgrów jednemu z nich przyszedł do głowy rok 1956. Drugi wykrzyknął:

– Puskás!

Oto dwa pojęcia flagowe naszego kraju: rewolucja i Ferenc Puskás!

Rosjan skwitowali trzema słowami:

– *Red is bad!* – A potem dorzucili jeszcze dwa: – *Fuck them*!

Tyle w temacie popularności komunizmu wśród proletariuszy angielskich.

Zakolegowaliśmy się tak bardzo, że osiłek w końcu pomógł mi wymontować z auta przednie siedzenie pasażera. Okazało się, że otwory w szynie montażowej volkswagena 1300 są rozstawione inaczej niż u mnie, więc Amir i jego kumple będą musieli jakoś to rozwiązać. Jedno siedzenie poszło do tyłu, a drugie obok mnie, ale bezpośrednio na podłogę. Załadowałem magnetofon i głośniki i chciałem się pożegnać, kiedy badyl wskazał mi ręką, abym zaczekał. Zaczął szukać czegoś pod tarasem, po czym wyjął kompletną antenę motorową.

– Widziałem, jakie gówno masz w samochodzie – powiedział, podając mi ją.

Nie chcieli ode mnie pieniędzy.

To tak *à propos* uprzedzeń.

27 marca 1981, Londyn

Jak donoszą nieoficjalne źródła, na początku marca Jaruzelski, który nie przypadkiem kumuluje ostatnio w swoim ręku funkcje – jest ministrem obrony, premierem, brakuje mu tylko tytułu pierwszego sekretarza PZPR! – przedstawił towarzyszom w Moskwie projekt „zaprowadzenia porządku". W polskiej konstytucji nie istniej pojęcie „stanu wyjątkowego", jest tylko „stan wojenny", więc taka też może być nazwa całego przedsięwzięcia – mądrzą się komentatorzy. Wśród londyńskich Polaków zyskuje popularność teoria, że generał w ten przebiegły sposób próbuje przygotować wojsko do obrony kraju przed interwencją zewnętrzną. W argumentacji tej pobrzmiewa przekonanie, że typ w ciemnych okularach to jednak szlachcic z pochodzenia, jego rodzina pieczętowała się herbem – *nomen est omen* – Ślepowron, on zaś nie zapomniał o swoich korzeniach i być może szykuje się do roli współczesnego Konrada Wallenroda. […] Boże, jak miło byłoby uwierzyć w ten romantyczny scenariusz! Poeci laureaci mogliby potem opiewać bohaterskie czyny generała!

Jednak inni zdają się rozwiewać chmurki optymizmu z siłą mroźnego wiatru syberyjskiego. W Polsce, Czechosłowacji i NRD rozpoczęły się wspólne ćwiczenia wojsk Układu Warszawskiego pod nazwą „Sojuz '81". Dowódca zjednoczonych armii marszałek Kulikow pręży swój gruby kark w jednej z największych polskich baz żołnierzy sowieckich w Legnicy. W czasie spotkania w cztery oczy z Jaruzelskim zapowiedział, że manewry zostają wydłużone na czas nieokreślony. Wałęsie z kolei powiedziano do ucha, że generał zgodził się już na przyjęcie „rozwiązania" obmyślonego na Kremlu: 24 marca ma zostać wprowadzony stan wojenny. Przywódca Solidarności zwołał natychmiast jej przywódców i razem opracowali scenariusz awaryjny, oparty na ogłoszeniu strajku generalnego oraz przeniesieniu regionalnych centrali kierowniczych z biur do niektórych dużych zakładów lokalnych.

W IX Plenum KC PZPR wzięli udział „konsultanci" sowieccy i to w liczbie trzydziestu. Pierwszy sekretarz Kania zadeklarował im, że partia opowiada się za kompromisem

ze społeczeństwem, ale nie za wszelką cenę – niech sobie każdy wytłumaczy tę frazę, jak umie. Co ciekawe, polskiemu kierownictwu złożyła wizytę delegacja Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego Ministerstwa Obrony ZSRS, a jej członków było również trzydziestu. Oni rzecz jasna także przyjechali na „konsultacje" – prawdopodobnie w sprawie wprowadzenia stanu wyjątkowego. Niemal słyszę, jak wydają polecenia: kogo i kiedy aresztować, kogo rozstrzelać, a kogo wysłać na Syberię. Nasi drodzy towarzysze Sierow i Andropow zapewne także maczają w tym wszystkim palce.

24 kwietnia 1981, Londyn

Z wizytą do Warszawy przyjechała delegacja sowieckiej partii komunistycznej pod przewodnictwem głównego ideologa Kremla Michaiła Susłowa. Człowiek dostaje dreszczy na sam jego widok – gdziekolwiek się pojawi, tam zwykle nie zostaje kamień na kamieniu. W małej księgarni obok katedry Świętego Pawła udało mi się zdobyć trochę książek na jego temat. Już na początku lat trzydziestych, mając zaledwie trzydzieści lat, zasiadał w komitecie nadzorującym stalinowskie czystki na Ukrainie. Miał niespełna czterdzieści lat, gdy został członkiem Komitetu Centralnego KPZS. Podczas wielkiej wojny ojczyźnianej organizował deportacje muzułmanów, a następnie wprowadzał rządy sowieckie w zajętej Litwie. Wysłał do gułagów niewyobrażalną liczbę ludzi. Miał wtedy powiedzieć, że jeśli będzie to konieczne, na Litwie nie zostanie choćby jeden Litwin, za to będzie tu Związek Sowiecki. Mówi się, że Stalin robił z nim, co chciał, rzekomo nawet kopał w tyłek dla zabawy. On jednak przeżył wodza, a jego pozycja rosła. Analitycy twierdzą, że odsunięcie marszałka Żukowa, jednego z „bohaterów" drugiej wojny światowej, a następnie ministra obrony, było także jego sprawką. Breżniew zawdzięcza mu objęcie po Chruszczowie stanowiska pierwszego sekretarza.

Ta odrażająca figura w lipcu 1956 roku przekazała kierownictwu partii na Węgrzech, że w jej szeregach jest zbyt wielu Żydów, towarzysza Rákosiego należy wprawdzie pozostawić na stanowisku, ale trzeba wprowadzić do kolektywu także Kádára, bo to działacz nieżydowski, „człowiek z ludu". A z tego typu „kadrami" łatwiej będzie ostudzić panujące w naszej ojczyźnie nastroje. A potem – cóż za koincydencja! – przebywał w Budapeszcie od 24 do 31 października. Nie jest wykluczone, że masakra przed parlamentem 25 października została urządzona na jego cześć.

Po co tym razem przyjechał do Warszawy?

13 maja 1981, Londyn

Szok. Serce świata stanęło. Około wpół do szóstej czy trzy kwadranse przed wgramoliłem się do swojego garbusa, w którym grało radio. Nagle „wiadomość z ostatniej chwili": o godzinie 17.17 Ojciec Święty został postrzelony na placu Świętego Piotra w Rzymie. Z okazji Dnia Matki Bożej Fatimskiej wykonywał właśnie drugie okrąże-

nie swoim papamobile, błogosławił tłumom, wyciągał do nich ręce. W pewnej chwili uniósł podaną mu małą jasnowłosą dziewczynkę, a potem oddał ją rodzicom. Wtedy rozległy się strzały – jak donoszą serwisy – trzy lub cztery. W drodze do domu zmieniałem stacje, czasem podawali więcej informacji, często jednak sprzecznych. Byłem tak przybity, że ledwo mogłem prowadzić. Nie musiałem nawet pukać do Moniki, stała przed drzwiami ze łzami w oczach.

– Boże jedyny, słyszałeś?

Z wieczornych wiadomości dowiedzieliśmy się, że tylko osoby w najbliższym otoczeniu Ojca Świętego zrozumiały od razu, co się stało. Największą przytomnością umysłu wykazała się zakonnica imieniem Lucia, która natychmiast rzuciła się na zabójcę, stojącego ledwie kilka metrów od papieża, i znacznie ułatwiła zadanie watykańskim ochroniarzom. Jan Paweł II nie krzyknął, jedynie bolesny grymas na jego twarzy wskazywał, że został trafiony, a potem osunął się w zakrwawionej białej sutannie w ramiona osobistego sekretarza, Stanisława Dziwisza. Został przetransportowany do kliniki Gemelli w stanie zagrożenia życia. Według naocznych świadków przez cały czas był przytomny i modlił się po polsku.

Około północy podano, że papież przeszedł prawie pięciogodzinną operację. Został trafiony czterema kulami, ale tylko jedna rana była naprawdę poważna: pocisk utkwił obok kręgosłupa, zaledwie kilka milimetrów zadecydowało, że przeżył.

W zamachu ranni zostali również Amerykanka i Jamajka. Zabójca to dwudziestotrzyletni Turek Ali Ağca. Oczywiście jeżeli to jego prawdziwe imię. Już teraz wydaje się pewne, że mimo młodego wieku dysponuje bogatą kartoteką zawodowego przestępcy. Podobno zabił redaktora naczelnego gazety tureckiej. Trafił za to do więzienia, ale uciekł i już wtedy miał powiedzieć, że któregoś dnia zabije papieża. Teraz też z dumą przyznał się do zbrodni.

Większość komentatorów od razu wskazuje na Związek Sowiecki jako zleceniodawcę, inni wspominają o bułgarskich tajnych służbach, ale sądzę, że nie ma to znaczenia. Mógł to być równie dobrze polski wywiad. Jedno jest pewne, za całą sprawą stoją komuniści! Na giełdzie potencjalnych winowajców są też Iran, Chomeini, a nawet CIA. Nonsens! Wystarczy wymienić trzy litery: KGB! Kto organizował i kto wykonał plan, jest sprawą drugorzędną. W tych stronach załatwia się to tak, że najpierw wynajmą kogoś do zabicia określonej osoby, a potem sprzątną samego zabójcę, żeby nie było świadków. Według AFP Ağca jest członkiem skrajnie prawicowej organizacji. I co z tego? Działał na zlecenie czerwonych, to jasne jak słońce. A teraz z Kremla płynie potok dezinformacji. W końcu zamachowiec nie może być lewicowy, musi być co najmniej faszystą! Dam sobie rękę uciąć, że ekipa Breżniewa formułuje w tej chwili telegram, w którym zwracając się do papieża per „pan", wyraża głębokie poruszenie i potępia sprawcę. W tym samym czasie pewnie piją szampana i wysyłają agentów do kliniki Gemelli, aby dodali parę kropel kurary do kroplówki Ojca Świętego.

Jestem bardzo zmęczony, muszę położyć się spać. I pomodlić, żebym nie miał koszmarów.

17 maja 1981, Londyn

Na falach Radia Watykańskiego Jan Paweł II odmawiał modlitwę *Regina Caeli* z łóżka szpitalnego. Szczególnie poruszające były jego słowa: „Ze wzruszeniem dziękuję wam za modlitwy i wszystkich was błogosławię. Modlę się za brata, który mnie zranił, a któremu szczerze przebaczyłem. Tobie, Maryjo, powtarzam: *Totus tuus ego sum*". Jestem cały twój.

Na szczęście czuje się lepiej, miejmy nadzieję, że faktycznie najgorsze ma już za sobą. Jego mistrz, kardynał Wyszyński, jest natomiast ciężko chory. Jeśli ci dwaj wielcy Polacy odejdą w tym samym czasie, nie ma sprawiedliwości na świecie!

1 czerwca 1981, Londyn

Odszedł Prymas Tysiąclecia. Człowiek zdolny paść na kolana przed swoim uczniem, Janem Pawłem II. Został wczoraj pochowany w Warszawie. Zdaniem wielu tak ogromnego konduktu nie widziano w Polce od czasu pogrzebu marszałka Piłsudskiego. Co zaskakujące, władza komunistyczna zarządziła trzydniową żałobę narodową. A może nie powinno mnie to dziwić? Za każdym razem, gdy rządzący nie radzili sobie z narodem, zwracali się do prymasa, by ostudził nastroje. Nienawidzili go, a jednocześnie liczyli na jego autorytet, którego tak bardzo mu zazdrościli. A teraz są w kropce. Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa, Stanisław Gucwa, marszałek sejmu, całe zastępy ministrów, aparatczyków, Czyrek, Barcikowski i inni stali wokół katafalku. Także wicepremier Rakowski, który oznajmił ze świętoszkowatą miną: „Nie trzeba długo czekać, by jego nazwisko trafiło na listę największych Polaków. Stało się to bowiem już za jego życia".

Absurd! Mówią to ludzie, którzy dwoili się i troili, byle tylko Paweł VI wysłał niepokornego kardynała na emeryturę. On zaś w tym czasie wystarał się, aby podobnie patriotycznie nastawionego biskupa Wojtyłę uczynić metropolitą krakowskim. Stąd, jak się wydawało, prowadziła prosta droga do prymasostwa. Okazało się jednak, że można zajść jeszcze wyżej, aż po tiarę papieską. Uważany przez władze za najgroźniejszego po Wyszyńskim hierarcha nie zajął miejsca swojego mistrza, ale stał się jego zwierzchnikiem. Gdy wybrano go na papieża, powiedział: „Nie lękajcie się!". A teraz wyzwoleni z okowów strachu przywódcy, z Lechem Wałęsą na czele, składają na oczach całego świata wieńce z napisem: „Niekoronowanemu Królowi Polski".

Władza komunistyczna pozwoliła radiu i telewizji na transmitowanie ceremonii żałobnej na żywo. Msza święta odbyła się na placu Zwycięstwa – obsypanym kwiatami, wypełnionym setkami tysięcy ludzi. W miejscu, które komuniści ochrzcili na cześć własnego tryumfu, a którego nazwa nabrała teraz nowego znaczenia. Trumna z Wyszyńskim stała przed tym samym ołtarzem, przy którym w 1979 roku modlił się Jan Paweł II. Ojciec Święty wysłał „ministra spraw zagranicznych" Watykanu kardynała Casarolego, aby odprawił mszę (notabene po polsku), a metropolita krakowski

kardynał Macharski odczytał papieską homilię. Kondukt ruszył z placu do katedry Świętego Jana Chrzciciela. Ciało prymasa spoczęło w krypcie bazyliki.

Choroba nowotworowa postępowała bardzo szybko. W marcu miał jeszcze siłę, aby mediować między Jaruzelskim a Wałęsą, kiedy bydgoscy przywódcy Solidarności zostali brutalnie pobici przez milicję, a widmo strajku generalnego, mającego być protestem przeciwko incydentowi, zawisło w powietrzu. W tym samym czasie Breżniew bezterminowo przedłużył ćwiczenia wojsk Układu Warszawskiego „Sojuz '81" na terytorium Polski. Nie musieliby do nas wchodzić, byli na miejscu, przed nosem. A związek zawodowy nie musiał wcale wzywać do powszechnego buntu, bo agenci władzy mogli go wywołać sami prowokacją tajnych służb. I powód do interwencji byłby gotowy. Mówi się, że to Wyszyński przekonał Wałęsę, aby powstrzymał rozgniewane masy przed akcjami o charakterze ogólnopolskim. A półtora miesiąca później, już umierający, musiał po raz ostatni dodać otuchy rodakom. 13 maja, kiedy Ali Ağca postrzelił papieża, nie mógł już występować publicznie, ale przekazał swoje słowa na taśmie, te zaś dotarły do uszu Polaków. Doczekał jeszcze nadejścia dobrych wiadomości z Rzymu, że stan Jana Pawła II się poprawia. Kilka dni później milionowy tłum towarzyszył prymasowi w ostatniej drodze.

Nabożeństwo za duszę Wyszyńskiego odbędzie się dziś wieczorem w polskim kościele w północnym Londynie. Ja też tam będę, na Devonia Road w Islington.

16 czerwca 1981, Londyn

Z braku innych zajęć poszedłem dziś rano do małej księgarni opodal katedry Świętego Pawła. Polecili mi ją znajomi globtroterzy. Można tam, jeśli pokaże się paszport kraju komunistycznego, dostać bezpłatnie pewną liczbę książek określonej wartości. Większość w języku angielskim, ale jest też sporo tytułów po polsku, a nawet kilka węgierskich. Towarzysze żachnęliby się, że dzięki darmowej literaturze wpadłem w sieć CIA, ale trącał ich pies! Sprzedawcy nie prosili o nic w zamian. Z pewnością jeszcze ich odwiedzę. Życzliwy sklepikarz, który starannie zapisuje, komu z biednych imigrantów jakie książki wydał, widząc mój zapał i ciekawość, jak również i to, że połasiłem się na wszystkie pozycje polityczne – sowietologów, Sołżenicyna i tym podobne – zapewnił mnie, że w przyszłości mogę liczyć na kolejne książki, bylebym tylko nie mówił, że nie jestem tu pierwszy raz. Nikt i tak nie kartkuje rejestru nazwisk wstecz, a sklepu doglądają studenci, co tydzień inny, więc na pewno mnie nie rozpoznają i mogę poprosić o repetę.

Przeglądając regały, znalazłem kilka pozycji na temat roku 1956 na Węgrzech, co przypomniało mi, że dziś mija rocznica egzekucji Imrego Nagya. Jakby los zaplanował mi ten dzień: odwiedziłem londyńskie biuro Solidarności, gdzie spotkałem polskiego emigranta Tadeusza Jarzembowskiego, który dokonał niesamowitej rzeczy. Próbował zorganizować uzbrojone oddziały ochotników, by pomóc rewolucji węgierskiej! Tu, w Londynie, w Anglii!

Powiedział mi, że w 1956 roku był już obywatelem Anglii, dwudziestokilkuletnim młodym chłopakiem, po szkoleniu wojskowym w Polsce i służbie w armii brytyjskiej, miał więc w ręku określony fach. Rodzice zaszczepili mu w umyśle tradycje przyjaźni polsko-węgierskiej. Według jego ojca, który dużo z nim rozmawiał na temat losu uchodźców polskich na Węgrzech w czasie drugiej wojny światowej, obowiązkiem każdego pokolenia jest nieustanne wzmacnianie tego sojuszu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Tamtej jesieni Tadeusz poczuł, że nadszedł czas, aby pójść śladami przodków. Jego inicjatywa napotykała wielkie trudności, ale się nie poddał, tyle tylko, że w pewnym momencie było już za późno. Kiedy przybył do Wiednia ze swoim oddzialikiem złożonym z londyńskich i paryskich Polaków oraz kilku rzutkich Anglików, był już 4 listopada. Nie mieli gdzie się stawić, aby przynajmniej symbolicznie pomóc węgierskim bojownikom o niepodległość. Kolejne miesiące spędził na organizowaniu akcji pomocowych Węgrom i protestów przeciwko okupacji sowieckiej. Teraz oczywiście nie opuszcza londyńskiego biura Solidarności, ma gorącą linię z prawą ręką Wałęsy, Bogdanem Lisem. Zwierzył mi się z błyskiem w oczach, że jeśli Ruscy wejdą do Polski, pojedzie z nimi walczyć, bo czuje, że jest jeszcze w dobrej formie. Zapytał też, co ja zrobiłbym w tej sytuacji. Odparłem bez wahania:

– Przyłączę się do ciebie, Tadek, to przecież oczywiste!

Uścisnął mi rękę swoją silną, pewną grabą. Pomyślałem, że lepszego dowódcy w oddziale partyzanckim nie mógłbym sobie wymarzyć.

Poprosiłem, by opisał ze szczegółami swoją akcję z 1956 roku, chciałbym to opublikować w polskim i węgierskim samizdacie. Obiecał, że to zrobi.

29 czerwca 1981, Londyn

Na mocy podpisanych w ubiegłym roku porozumień postawiono w Polsce drugi po gdańskim, duży pomnik ofiar pacyfikacji komunistycznych. Odsłonięto go wczoraj przed budynkiem Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, nazwanego na cześć wielkiego poety polskiego. Jak donosi BBC, w uroczystości wzięło udział prawie ćwierć miliona ludzi. Pomnik składa się z dwóch ogromnych, dwudziestometrowych stalowych krzyży, połączonych ze sobą i owiniętych sznurami, oraz umieszczonego obok nich kamiennego bloku z głową orła z godła polskiego, zwróconą w kierunku instalacji. Jeden z krzyży symbolizuje rok 1956, a na drugim wypisano jedno nad drugim lata 1968, 1970, 1976, 1980 i 1981. Jako przypomnienie dat, kiedy władza proletariacka zwróciła się przeciwko robotnikom i przelała ich krew. Po prawej stronie pomnika widnieje wspólne hasło łączące wszystkie fale protestów: „O Boga, za wolność, prawo i chleb".

Więcej niż z krótkiej relacji BBC można się było dowiedzieć z dzisiejszego wydania londyńskiego „Dziennika Polskiego". Postawienie pomnika było swego rodzaju katharsis, ale wydarzyło się też wiele innych rzeczy. Zorganizowano wiele wystaw, sesji naukowych, wieczorów literackich, wybito z tej okazji kilka medali pamiątkowych i wydano publikacje tematyczne. Jedną z najbardziej doniosłych inicjatyw był

spektakl Teatru Nowego z Poznania pod tytułem *Oskarżony: Czerwiec '56*. W kilku punktach miasta powieszono tablice pamiątkowe, między innymi w miejscu tragicznej śmierci młodego Romka Strzałkowskiego podczas rozpędzania protestów w 1956 roku. Trzynastoletni chłopiec był wśród robotników maszerujących w kierunku Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, a gdy idąca przed nim kobieta padła raniona kulą, dzieciak podniósł upuszczoną przez nią flagę i poniósł ją dalej, aż sam został śmiertelnie ranny. Ulicę, na której doszło do zdarzenia, teraz nazwano jego imieniem; została także powieszona stosowna tablica.

(Nasuwa się pytanie: na jak długo? Kiedy przyjdzie noc, gdy „nieznani sprawcy" zniszczą, zamalują czarną farbą lub wysmarują fekaliami te monumenty?) Swoją drogą, to ciekawe, że każde takie wydarzenie ma swoje dziecięce ofiary. Nie trzeba daleko szukać: mali bohaterowie z powstania warszawskiego 1944 roku i węgierskiego października 1956! Można na ich cześć powiesić tablice podobnej treści, warszawiacy oddali życie w walce z brunatnym, poznaniacy i budapeszteńczycy zaś z czerwonym totalitaryzmem…

Byłem głęboko poruszony artykułem w „Dzienniku Polskim". Arcybiskup Jerzy Stroba odprawił mszę przed Zakładami Cegielskiego, przemawiał też metropolita krakowski kardynał Franciszek Macharski. O dziesiątej rano zawyły syreny poznańskich fabryk i zakładów, wszystkie dzwony w mieście sygnalizowały rozpoczęcie nabożeństwa żałobnego. Głos zabrali: Stanisław Matyja, uczestnik czerwcowych protestów robotniczych, i Lech Wałęsa. Arcybiskup Stroba poświęcił pomnik, po czym odczytano nazwiska ofiar – w tym samym czasie z wieży Zamku Cesarskiego spuszczono ogromną wstęgę, na której również widniała lista poległych. Na koniec nabożeństwa odczytano telegram Jana Pawła II do zgromadzonych. Londyński dziennik przytacza jego fragment:

> Módlmy się za tych, którzy mieli odwagę upomnieć się o poszanowanie praw człowieka i zapłacili za to najwyższą cenę. Krew polskich robotników, przelana na ulicach Poznania, razem z krwią tylu Polaków i Polek, którzy złożyli życie na ołtarzu Ojczyzny i Kościoła, niech będzie dla wszystkich moich Rodaków znakiem i wezwaniem do odważnego i odpowiedzialnego zespolenia się wokół najwyższych wartości, wokół człowieka, jego godności, wokół Narodu, Ojczyzny, jej teraźniejszości i przyszłości!

Siedziałem jak na szpilkach. I zadawałem sobie ze wstydem pytanie: „Co ja tu do cholery robię?!".

Sąsiad Moniki, pięćdziesięcioletni Irlandczyk, jest wziętym stolarzem. I oczywiście gorliwym katolikiem, miłośnikiem polskiego papieża. Z entuzjazmem śledzi wydarzenia w Polsce. Rozmawialiśmy długo, interesowały go moje relacje z życia za żelazną kurtyną. Podczas gdy Anglicy kiepsko rozumieją nasze dowcipy, on zdawał się je łapać. Poczęstował mnie świetnym ciemnym piwem i słodową whisky, a kiedy powiedziałem, jak bardzo jestem zły na to, że jeśli wybuchnie w Polsce wojna o niepodległość, to mnie tam nie będzie, próbował mnie pocieszyć dość oryginalnym pomysłem. Niedawno wpadł na to, że od swoich znajomych może załatwić pewną ilość semteksu, a jeśli Rosjanie wejdą do Polski, na znak protestu wysadzimy londyńskie biuro Aerofłotu.

– Nie chcę zabijać cywilów – zaprotestowałem.

On jednak zapewnił mnie, że nie byłoby ofiar śmiertelnych, podjechalibyśmy nocą na motocyklu, rzucili małą bombę przed drzwi biura i gotowe. Potem należałoby z jakiejś budki zatelefonować do gazety i powiedzieć, dlaczego to zrobiliśmy. Cóż, na coś takiego bym się pisał! Ale mimo wszystko wolałbym, aby nie doszło do udzielenia „bratniej pomocy".

30 czerwca 1981, Londyn

Młodszy brat Moniki, Jacek, który pracował tu przez kilka miesięcy, wraca do domu. W Niemczech chce kupić używaną furgonetkę – w Anglii trudno znaleźć nawet samochód osobowy z kierownicą po lewej stronie, a poza tym auta są droższe niż w RFN-ie.

Dałem się namówić, żeby z nim pojechać. Dzięki potwierdzeniu od Moniki mogłem złożyć w Home Office podanie o kolejne sześciomiesięczne „zaproszenie", a jeśli się zgodzą, dostanę również wizę powrotną do Anglii. Dzięki niej mógłbym pojechać z Jackiem do Düsseldorfu po auto, a stamtąd, skoro już byłbym na kontynencie, skoczyłbym odwiedzić Jolę w Lugano. W drodze powrotnej wpadłbym do Monachium. Mam do pomówienia z Gyulą Borbándim z redakcji „Új Látóhatár" – Laci Cs. Szabó powiedział mu już, że ma kandydata do pracy w charakterze, hm, dziennikarza emigracyjnego czy kogoś w tym rodzaju…

Muszę to jeszcze przemyśleć i uzgodnić z Jolą. Na razie planuję zostać w Londynie przez kolejne pół roku. A potem zobaczymy.

12 lipca 1981, Londyn

Jarzembowski dostarczył mi tekst o 1956 roku, w formie opowiadania. Przełożyłem go w trymiga, jakby gonił mnie termin. Chcę mieć tłumaczenie pod ręką na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja położyć je na biurku jakiegoś przedsiębiorczego redaktora.

Oto historia:

Tadeusz Jarzembowski

Londyn, 1956[3]

Czytałem artykuł z rosnącym podnieceniem i czułem wypieki na twarzy. Gazeta drżała mi w dłoni. W końcu! Wreszcie jakiś konkret! Koniec z beznadziejnym łowieniem wiadomości w prasie… W głowie burza myśli – „zgłaszać mogą się tylko wyszkoleni spadochroniarze…" – to znaczy, że się nie nadaję, cholera!

Na korytarzu zadzwonił telefon.

[3] Z powodu braku dostępu do tekstu oryginalnego relacja została przetłumaczona z języka węgierskiego (przyp. tłum.).

– Panie Tadziku, do pana! – Usłyszałem głos dozorczyni.

– Tadek? Mówi Witold Swianiewicz. Czytałeś?

– Oczywiście! Spotkajmy się na Marble Arch, przy wejściu do metra.

Tyle. Nic więcej nie powiedzieliśmy. Nie było potrzeby. Ostatni raz widzieliśmy się przed trzema miesiącami, ale od razu wiedziałem, o co chodzi. Słyszałem jego płomienne przemówienie na wiecu w Portsmouth, wygłoszone na wieść o rewolucji. Witold?! Ten nieśmiały, zamknięty w sobie Witold! Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

Wybiegłem z domu jak poparzony, zapinając w biegu wojskowy kombinezon, w którym jeździłem na motorze. Wyglądałem w nim dość bojowo. Miałem nadzieję, że zrobię na facetach lepsze wrażenie. Przedarłem się przez miasto. Na triumphie, mojej małej dumie. Najcudowniejszej rzeczy, jaka spotkała mnie w życiu. Zostały mi jeszcze trzy miesiące zmywania talerzy po godzinach, żeby go spłacić. Z pensji stażysty w biurze projektowym nie mógłbym sobie pozwolić na taki luksus. Zakręty brałem wyćwiczonymi, płynnymi ruchami. Po kilku efektownych slalomach pomiędzy wolniejszymi samochodami wykonałem precyzyjny obrót z poślizgiem i stanąłem tuż obok Witolda. Czekał już na mnie, zniecierpliwiony, przestępując z nogi na nogę na chodniku. Jego leszczowata postać nie napawała mnie zbytnim optymizmem. Jak zwykle mimowolnie dostosował swoje tempo do mojego i z miejsca zaczął perorować. Moje towarzystwo zawsze skłaniało go do wynurzeń. Ja zaś, swoim zwyczajem, sadziłem coraz większe kroki. Nawet w takiej sytuacji nie mogłem się powstrzymać, żeby go trochę przećwiczyć. Witold w zamyśleniu dostosował się do mnie i przyśpieszył. Tak bardzo zapamiętał się w mówieniu, że nie dostrzegł pułapki. W końcu przemierzaliśmy chodnik w tak groteskowy sposób, że nie uszło to uwagi przechodniów. Szliśmy już prawie w szpagacie, gdy wreszcie zorientował się, o co chodzi. Jak zwykle, potwornie się rozzłościł:

– Tadek, do cholery, nie wygłupiaj się!

W gazecie nie podano dokładnego adresu, więc zajęło nam dobry kwadrans kluczenia po okolicy, zanim w końcu dotarliśmy na miejsce. Tłum młodych ludzi tłoczył się na schodach małego biura. Przedarłem się między nimi, pomagając sobie stanowczymi gestami, a nie bez znaczenia był też mój budzący respekt kombinezon i czerwony beret. Z energicznym zapałem odgoniłem zgromadzonych przy biurku studentów, którym zmęczony, spocony mężczyzna stanowczo odmawiał wpisania na listę. Przybrawszy zdecydowany ton, poprosiłem o informacje. Po raz pierwszy w życiu pomógł mi obcy akcent. Człowiek przyznał, że nie spodziewali się takiego odzewu i zainteresowania i że na razie nie mogą obiecać niczego konkretnego. Pewne jest, że mogą przyjmować wyłącznie przeszkolony personel, zwłaszcza byłych spadochroniarzy i komandosów. Kłamałem jak najęty. Zełgałem, że należałem do klubu spadochronowego w Polsce. I że przeszedłem kurs wojskowy. A poza tym dobrze znam broń rosyjską. Do tego jako Polak potrafię się lepiej dogadać z Węgrami niż Anglicy… Ten facet we wszystko mi uwierzył! Studenci patrzyli z zazdrością, gdy zapisywał mój adres. Powiedział, żebym czekał cierpliwie. Nie mogli mi niczego obiecać.

Wyszedłem stamtąd w dość podłym nastroju. Witold stał pośrodku grupy młodych ludzi.

– Mówią, że gówno z tego będzie. Chodź, na Elizabeth Street organizują się podobno bataliony studenckie.

Pobiegliśmy tam natychmiast. Znowu tłumy młodzieży. Głównie akademickiej. Prawnik po czterdziestce w pasiastym garniturze. Za stołem mężczyzna o wyglądzie wojskowego, budzący autorytet, głosem przyzwyczajonym do wydawania komend, ale jednak grzecznym, zaczął mnie przepytywać.

– Ile naboi wchodzi do magazynku pepeszy?

Odpowiedziałem poprawnie, choć nigdy nie miałem w ręku takiej broni. Ale zapamiętałem, co mówili byli partyzanci na obozach harcerskich po wojnie, i ziarna tych opowieści – jak się okazało – padły na podatny grunt. Zapytał też o T-34. Powiedziałem wszystko, co wiem. Czyli znacznie więcej niż przeciętny student angielski. Patrzyli na mnie z rosnącym uznaniem.

Przyjęli mnie. Do dziś nie wiem, jak się nazywała ta organizacja, jeśli w ogóle miała jakąś nazwę. Chodziliśmy po ulicach, zbierając pieniądze na broń. Z blaszanymi skrzyneczkami w ręku wykrzykiwaliśmy hasła wprost do uszu gości eleganckich restauracji francuskich w Soho. Chętnie wspomagali nas datkami. Żaden z nas nie kręcił się nigdy wcześniej po tego typu dzielnicach. Dawali też przechodnie i taksówkarze. Tylko kurwy stały obrażone, że nie podchodziliśmy do nich z kwestą.

– Co jest, chłopcy, my się dla was nie liczymy?

Rosły we mnie podniecenie i zapał.

• • •

W naszym „biurze" roiło się od ludzi. Wolontariusze, sympatycy, ciekawscy. Wielu z nich przynosiło pieniądze. Niektórzy tygodniówkę, ale bywali też tacy, którzy kładli na stół miesięczną pensję. Do tego dobre rady i oryginalne pomysły. Pojawiali się weterani z międzynarodowych brygad z czasów wojny hiszpańskiej. Przychodzili życzyć nam powodzenia. W ich spojrzeniach kryły się tęsknota, szacunek i jakiś rodzaj smutku. Wpadł też stary człowiek, który przyniósł nam całą kolekcję broni siecznej i kłującej, przepraszał przy tym, że może ofiarować tylko tyle.

– Może się przydać w walce wręcz – wydukał niepewnie. – Ale lepiej sprzedać. Możecie wytargować przyzwoitą cenę, chłopcy.

Wiec w Hyde Parku. Sami go zorganizowaliśmy. Pojawiły się tysiące ludzi. Po przemówieniach demonstracyjnie przeszliśmy przez miasto do ambasady radzieckiej. Policja gorączkowo zamykała ogromne bramy z kutego żelaza „Drogi milionerów". Za nią znajdowała się placówka. Rzuciliśmy się w jej stronę. Policja wezwała posiłki, przyjechała straż na koniach. Obywatele angielscy dość energicznie nacierali na mundurowych, ale nie wdawali się z nimi w bójki. Tradycyjny szacunek dla porządku powstrzymuje ich przed używaniem przemocy. Witold i ja wyróżnialiśmy się w tłumie agresją, i jeden z konnych zaczął nas wskazywać palcem oddziałom szturmowym. Jeszcze tego brakowało, by nas aresztowali! Musieliśmy zniknąć. Zdawszy sobie sprawę, że nic więcej nie zdziałamy, bo poczciwi ludzie zachowują się wprawdzie głośno i napierają z werwą, ale przy tym unikają ostrej konfrontacji – zdjąłem swój rzucający się w oczy beret i dałem drapaka. Zauważyłem jednak, że tłum przyciska do żelaznego ogrodzenia delikatną dziewczynę. Usłyszałem jej krzyk. Odezwał się we mnie duch rycerza, naprężyłem mięśnie i z pomocą ramion, w asyście potężnego robotnika

portowego udało mi się zrobić dla biedaczki przejście. Odwróciła się, żeby mi podziękować. Jill! Jedoczesne uczucie bólu, goryczy i tkliwości ścisnęło mi gardło.

– Tadzinek – powiedziała cicho.

Zdrobniała, intymna forma mojego imienia brzmiała zawsze tak ciepło i egzotycznie w ustach angielskiej dziewczyny. Trzymaliśmy się za ręce bez słowa. Wróciła ze mną na Elizabeth Street. I została.

• • •

W „biurze" pracowała też Janina Potocka. Energiczna, gotowa na wszystko kobieta. W morzu Anglików było nas troje Polaków. Witold i nasza dwójka zażądaliśmy podjęcia konkretnych działań. Dni mijały jeden po drugim i wkrótce mogło się okazać, że jest za późno. Krążyły pogłoski o majętnych sponsorach, którzy byli gotowi wydać spore sumy na zakup broni. Niektórzy zaklinali się, że udało im się dotrzeć do takiego źródła. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze skromne wyposażenie nie zrobi szczególnego wrażenia na armii radzieckiej, ale też byliśmy przekonani, że jeśli na Węgrzech pojawi się większa grupa Brytyjczyków i część z nich polegnie albo trafi do niewoli, może to poruszyć tutejszą opinię publiczną. Przynajmniej do tego stopnia, że niemrawy rząd w Londynie będzie musiał zająć jednoznaczne stanowisko. Postanowiliśmy wysłać na początek trzy osoby. To byłby konkret, który pomógłby nam w zebraniu większej ilości pieniędzy. Moglibyśmy powiedzieć, że nasi już tam są. Oczywiście od razu zgłosiłem się na ochotnika. Zgodzili się. Następnego dnia mieliśmy jechać do Austrii. Poprosiłem Janię, żeby sprzedała mój motocykl, książki, ubrania, wszystko, na czym można zarobić, a uzyskaną w ten sposób kwotę przekazała na fundusz zbrojeniowy.

Pojechałem do konsulatu austriackiego po wizę. Dyplomaci byli uprzejmi, ale nie chcieli uwierzyć, że bezpaństwowiec pochodzenia polskiego wybiera się w celach turystycznych do ich kraju. Rozłożyli ręce: zakazano im wydawania wiz młodym mężczyznom. Pospiesznie wróciłem do „biura" i próbowałem przekonać szefów, by pozwolili mi jechać do Niemiec, a stamtąd przez „zieloną granicę" przedostać się do Austrii i dołączyć do pozostałych dwóch. Spieraliśmy się o to przez godzinę. Jeden z naszych od samego początku protestował przeciwko nominowaniu mnie do roli „baranka ofiarnego", argumentując, nie bez racji, że zaangażowanie mojej osoby jeszcze bardziej skomplikuje i tak już delikatną sprawę. Wreszcie „komisja" wybrała na moje miejsce kogoś innego. A konkretnie Petera Pierce'a, montażystę filmowego. Chudego, młodego trenera judo. Byłem zrozpaczony. Aby mnie trochę udobruchać, zasugerowali, że mogę zostać oficerem szkoleniowym „organizacji", a jeśli się zgodzę, przysięgają, że wyślą mnie w następnej ekspedycji. Na razie miałem dokonywać selekcji ochotników, odrzucając smarkaczy i zawodowych łajdaków.

Po wyposażeniu w stroje maskujące, plecaki i inny ekwipunek pierwsza trójka wyjechała w tajemnicy na akcję. Wszystko, co było potrzebne, kupiliśmy im w demobilu.

Przyznam, że zazdrościłem draniom.

Odebrałem od Janii kluczyki od motoru i pojechałem z Johnem Brownem załatwić kilka rzeczy. Gniew i frustracja odebrały mi rozum, prowadziłem jak wariat drogowy. John siedział z tyłu, przyklejony do moich pleców jak pijawka, i nic nie mówił. Dopiero gdy

dojechaliśmy, zauważyłem, jaki jest blady. Napędziłem mu niezłego stracha. Było mi głupio. Zachowałem się jak jakiś smarkacz.

• • •

W piątek wieczorem zamówiliśmy dwa autobusy od jednej z zaprzyjaźnionych firm, która na własny koszt udostępniała nam swoje pojazdy. Potem zwołaliśmy pierwszych stu ochotników z listy, żeby ich przetestować. Zgłosiło się znacznie więcej osób, co służyło naszej sprawie i przydawało wagi całemu przedsięwzięciu. Poza tym od razu wytworzyła się atmosfera rywalizacji. Uprzejmym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem odesłałem do domu niektórych ochotników, trójkę szczególnie upartych kazałem siłą wyrzucić z autobusu. Młody sierżant rezerwy bez wahania wykonał mój rozkaz.

W nocy dotarliśmy do dzikiego, gęsto porośniętego terenu. Wysiedliśmy i od razu zarządziłem wymarsz. Tempo. Po paru godzinach położyliśmy się spać w kotlinie. Przed świtem znowu postawiłem wszystkich na nogi. Dwóch zaprotestowało. Nie wdawałem się w dyskusję, zostawiłem ich na miejscu. Jeden się obraził, drugi jednak pobiegł, by do nas dołączyć. Maszerowaliśmy cały dzień z krótkimi przerwami. Niektórzy zostawali w tyle, odpadali. Sami musieli wymyślić, jak wrócić do Londynu. W nocy zaczęło padać. Wstaliśmy rano zziębnięci i przemoczeni, ale nastroje były dobre. Chłopaków napędzała duma, że mimo wszystko są w stanie wytrzymać trening. Przed niedzielą większa grupa zrezygnowała. Nasze ścieżki się rozdzieliły. Było im wstyd i przepraszali. Pozostałych ćwiczyłem dalej bez litości.

Zapanowała wśród nas atmosfera wytrwania za wszelką cenę. Kantowałem: potajemnie jadłem cukierki z cukrem gronowym, pozostałych tymczasem zmuszałem do zabójczego tempa. Wyczerpanie zaczęło dawać się we znaki moim angielskim podopiecznym, zwykle opanowani i kulturalni, zaczęli po pewnym czasie przejawiać bardziej ludzkie i praktyczne cechy. Obserwowałem ich nieustannie i dokonywałem w myślach selekcji, pozostawiając tych najbardziej zdeterminowanych, zdyscyplinowanych, przydatnych. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo prymitywna metoda wyboru, ale świadomie zdawałem się na instynkt. W tamtych okolicznościach po prostu nie mogłem wymyślić niczego lepszego.

Na umówione z kierowcami autobusów miejsce spotkania dotarliśmy stosunkowo późno, w nocy z niedzieli na poniedziałek. Byliśmy wszyscy potwornie zmęczeni. Odczytałem listę nazwisk i wskazałem tych, których wybrałem. Na placu boju zostało czternastu, z którymi zdecydowałbym się w ciemno na każdą przygodę, a do tego trzydziestu, którzy się nadawali. W autobusie wszyscy od razu zasnęli. Ja też. Obudziłem się na Elizabeth Street. W domu szybko wziąłem prysznic, założyłem czyste ubranie i poszedłem do biura.

Po południu wezwał mnie szef. Ojcowskim tonem ostrzegł, że moje obowiązki zawodowe mogą ucierpieć w wyniku działalności po godzinach pracy. Wyjaśnił, że jestem sam w obcym kraju i byłoby lepiej, gdybym zajął się budowaniem swojej przyszłości tutaj, a nie innymi sprawami. Ratowanie świata powinienem zaś zostawić tym, którym pozwala na to sytuacja życiowa i rodzinna. Wiem, że chce dla mnie dobrze, więc przeprosiłem za kłopoty, choć bez wielkiej skruchy. Wyszedłem od niego z przeświadczeniem, że żaden z nas nie przekonał drugiego do swoich racji.

• *12 lipca 1981, Londyn* •

Wieczorem poszedłem na Elizabeth Street, aby sporządzić raport z treningu wytrzymałościowego. W domu padłem nieprzytomny do łóżka i spałem chyba z dziesięć godzin.

• • •

Chodziliśmy dalej po luksusowych pubach, zbierając pieniądze na broń. Kierownicy i właściciele knajp przyjmowali nas serdecznie. Goście byli hojni, zwłaszcza późnym wieczorem, gdy mieli już porządnie w czubach. Sporo osób pytało, gdzie się można zgłosić na ochotnika.

Afera z Kanałem Sueskim pomieszała nam szyki. Ograniczono sprzedaż benzyny, a moje zapasy nie wystarczały na wszystkie podróże. Któregoś razu skończyło mi się paliwo i silnik zgasł. W jednym z pubów pewien facet pozwolił mi przetankować kilka litrów ze swojego auta. Był to naprawdę szlachetny gest. W tamtym czasie ludzie woleli oddać krew niż benzynę.

• • •

W piątek znów wsiedliśmy do autobusów, tym razem większą grupą. W sobotę dołączył do nas Polak. Zakończył służbę w stopniu kapitana. Był partyzantem. Miał na sobie spłowiały, mocno znoszony płaszcz, a na nogach o parę numerów za duże buty. Poprosiłem go, aby na pierwszym postoju powiedział chłopakom kilka prostych, prawdziwych słów od serca. Zrobił to z ochotą. Przemawiały przez niego skromność i powaga. Po godzinnym marszu dopadł go skurcz w łydce, czuł się tym strasznie upokorzony. Było mi go żal, przekroczył już pewnie trzydziestkę, więc nie należał do najmłodszych. Wyznaczyłem trasę po szerokim łuku, jemu zaś zaproponowałem, żeby wybrał krótszą drogę na przestrzał. Po co miał się forsować w swoich wielkich, nieodpowiednich do treningu butach.

Spotkaliśmy się po południu. Zarządziłem odpoczynek. Usadowiliśmy się wygodnie na zboczu wzniesienia. Kapitan kazał się zgłosić tym, którzy przeszli szkolenie wojskowe. Wybrał dwójkę i razem ruszyli w stronę gęsto porośniętej stromizny po przeciwległej stronie. Mieli nam zademonstrować, jak należy się czołgać, aby nie zostać dostrzeżonym przez przeciwnika. Naszym zadaniem było wskazać, który z nich gdzie się ukrył w wysokiej trawie. Na nasze gwizdnięcie mieli wstać i tym samym wskazać swoją pozycję. Siedzieliśmy jak widownia w teatrze. Dałem sygnał. Cała trójka rzuciła się w zarośla. Para Anglików zostawiała za sobą w gęstej roślinności wyraźne ślady jak motorówka na powierzchni wody. Kapitana nie można było dostrzec. Gdy gwizdaliśmy, za każdym razem podnosił się w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewaliśmy. Powtarzaliśmy parę razy, zawsze z tym samym skutkiem. Chłopaki patrzyli na niego z wyraźnym podziwem. Wygłosił potem swoją łamaną angielszczyzną krótkie przemówienie o realiach wojny partyzanckiej. Zauważyłem, że świadomie starał się opowiadać te najbrutalniejsze historie. Kilka twarzy pobladło. Spodziewałem się, że niektórzy zaczną wymiotować. Kapitan zakończył wystąpienie, wzywając tych, którzy liczą na klasyczny sposób walki z poszanowaniem prawa międzynarodowego, aby wycofali się z całego przedsięwzięcia. Nie było dyskusji, każdy sam musiał podjąć decyzję. Po twarzach było widać, że co trzeci z obecnych zaczął się intensywnie zastanawiać. Cóż, lepiej, żeby zrejterowali teraz niż w konfrontacji z czołgami rosyjskimi.

Reszta wyjazdu przebiegła według ustalonego scenariusza. Znów udało mi się wyłonić trzydziestu trzech ludzi, na których mogłem polegać.

• • •

W poniedziałek po południu wezwał mnie szef i oznajmił, że jestem zwolniony. Rzekomo zrobił to dla mojego dobra, żebym nabrał rozumu. Wyglądało na to, że jest mu naprawdę przykro. Na pożegnanie wcisnął mi do ręki pięć funtów na zakup broni. Była to połowa mojej tygodniówki. A więc jednak nie jest człowiekiem z kamienia…

• • •

Z Węgier nadchodziły złe wiadomości. Obawiałem się, że zanim uda nam się wszystko zorganizować, rewolucja dobiegnie końca. Prasa angielska była zajęta kryzysem sueskim. Czułem też, że w „komitecie" niektórzy świadomie starali się opóźnić nasz wyjazd. Przy Elizabeth Street zjawił się nagle Peter Pierce. Wściekły. Okazało się, że ostatecznie nigdzie ich nie wysłano. Zostali potajemnie odwiezieni do ośrodka szkoleniowego dla ochotników rezerwistów, gdzie grupka „wtajemniczonych" trenerów urządziła im intensywne, szybkie szkolenie bez wiedzy kierownictwa organizacji. Twierdził, że niemal ogłuchł od nieustannego strzelania, ale też zalewała go krew, bo cała zabawa miała jego zdaniem na celu odkładanie misji w czasie. Najgorsze było to, że nie wiedzieliśmy, kogo podejrzewać o dywersję. Postanowiliśmy odejść z Elizabeth Street. Zebrała się nas grupa około piętnastu osób, w tym Jania, Shirley i jedna Węgierka, Gitta Kovács. „Komitet" nie chciał nam dać ani grosza ani przekazać listy ochotników. Po krótkiej kłótni wyszliśmy z pustymi rękami.

• • •

Wynajęliśmy wspólnie nędzne, zapuszczone mieszkanie, byle tylko zminimalizować wydatki. Zatrudniłem się jako pomocnik barmana. Pensję odkładałem do wspólnej kasy. John Brown mieszkał z rodzicami, ale przynosił nam połowę swojej tygodniówki. Jania i Shirley też miały jakieś swoje prace. Podobnie jak pozostali.

• • •

Zjawili się Peter i Gitta. Nie mogliśmy z nich wyciągnąć, co udało im się załatwić. Patrzyli na nas tajemniczo, ale ich miny nie wróżyły niczego dobrego. Wiadomości o walkach na Węgrzech były coraz rzadsze. Zgłosił się kolejny Węgier. Okazało się, że w czasie wojny służył w SS jako volksdeutsch. Tłumaczył, że był w Waffen SS, a to nie to samo… Peter najchętniej zabiłby go jak natrętną muchę.

• • •

W telewizorze u sąsiadki zobaczyliśmy kolumny uchodźców węgierskich. Maszerowali ze zniszczonymi, przedziurawionymi flagami. Ze łzami w oczach śpiewali swój hymn. Mówili, że to koniec, powstanie upadło w całym kraju. Gitta wybuchła płaczem. Jania patrzyła w okno. Niski sierżant rezerwy, snajper Stokes zaklął ordynarnie i głośno. Chris

Cunningham, poeta z Oksfordu, zbladł i usiadł zapadnięty w sobie, jakby nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Wyszedłem z pokoju i padłem na swoją pryczę, odwracając twarz w stronę ściany. Zdjęcie Jill rozmywało się powoli przed moimi oczami. Usłyszałem skrzypienie drzwi. Szybko zakryłem mokre policzki dłonią.

I co, moi drodzy rodacy? Słyszał ktokolwiek z was tę historię?

25 lipca 1981, Düsseldorf

Wyruszyliśmy z Jackiem w podróż po Europie. Dzięki potwierdzeniu od Moniki udało mi się zdobyć w Home Office wizę powrotną do Anglii po wcześniejszym przedłużeniu pozwolenia na pobyt o kolejnych sześć miesięcy. Mam już wszystkie rodzaje wiz, belgijską, zachodnioniemiecką, szwajcarską, austriacką. Brakuje mi tylko francuskiej.

Z tą ostatnią były problemy, resztę załatwiłem niemal od ręki. Planowałem, że popłyniemy promem do Ostendy, stamtąd do Düsseldorfu, gdzie Jacek kupi używaną furgonetkę, pożegnamy się, on wyruszy w dalszą drogę do Polski, a ja na południe do Szwajcarii. Odwiedzę Jolę w Lugano, a potem pojadę do Francji zobaczyć Dolinę Loary z jej bajkowymi zamkami i pałacami, a w końcu spędzę też kilka dni w Paryżu i zaliczę obowiązkową trasę turystyczną, do tego Trianon, cmentarz Père-Lachaise, Montmartre itp. Stamtąd zamierzałem dostać się do Calais i promem do Anglii. Niestety żabojady pokrzyżowały mi plany!

Poszedłem do ambasady francuskiej po formularze. Zobaczyłem, że wystawiają też wizy tranzytowe, dużo tańsze od zwykłych. Fakt, tylko na trzy dni. Zdecydowałem się jednak złożyć wniosek. Pomyślałem, że będę ostrożny, postaram się nie łamać przepisów (parkowanie, ograniczenia prędkości), a kiedy przekroczę termin (a wiedziałem, że go przekroczę), to w końcu co mi mogą zrobić? Zawsze mogłem znaleźć cwanego mechanika, który – za małą łapówkę – dałby mi numer rejestracyjny jakiegoś zepsutego auta i w ten sposób miałbym usprawiedliwienie. A poza tym, co mi groziło? Wydalenie z kraju? I tak miałem w planach powrót do Anglii. Krótko mówiąc, zacząłem z lekkim sercem wypełniać wniosek o wizę tranzytową. Powinienem raczej powiedzieć wnioski! Okazało się, że dokument liczy dwadzieścia stron. Z niedowierzaniem wertowałem plik formularzy. Oprócz moich danych osobowych, daty wjazdu i wyjazdu oraz opisu środka transportu miałem podać też cel podróży do Francji. W niezliczonych rubrykach pytano mnie o nazwisko ojca, miejsce i rok urodzenia, do jakiej partii politycznej należał, w jakich latach, na którym froncie, w jakiej armii i stopniu służył w czasie drugiej wojny światowej, czy był w niewoli, a jeśli tak, to gdzie, jak długo itp. Następnie to samo na temat dziadków ze strony ojca i matki, od czasów pierwszej wojny światowej…

Czy oni do reszty powariowali?! Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To jakiś żart! Podszedłem do okienka z informacją i zapytałem, czy aby na pewno muszę wypełnić wszystkie rubryki. Czarnoskóry urzędnik o twarzy nutrii odpowiedział

z wymuszonym, choć grzecznym uśmiechem w strasznej, nosowej angielszczyźnie. Dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego obywatelem drugiej kategorii, ponieważ nie mówię po francusku. Powiedział, że muszę podać wszystkie dane, bo takie są przepisy i nie ma od nich wyjątku. W porządku, przyjąłem to do wiadomości. Zapytałem następnie, ile trzeba czekać na wizę tranzytową. Trzy tygodnie, może miesiąc. Namyśliłem się przez chwilę, po czym na jego oczach zgniotłem formularz i dobrze wymierzonym rzutem umieściłem go w koszu na śmieci. Urzędnik patrzył na mnie z rozdziawioną buzią, a ja wypiąłem dumnie pierś i syknąłem mu prosto w twarz:

– Trianon!

Po czym wyszedłem. Nie mam więc wizy francuskiej i zamiast do Calais, będę musiał wrócić z Lugano do Ostendy. Zmieniłem też trasę podróży. Skoro już tak się złożyło, ze Szwajcarii pojadę do Monachium odwiedzić redakcję „Új Látóhatár", gdzie pod pseudonimem Ernő Gyulai pracuje Gyula Borbándi, zastępca sekcji węgierskiej Radia Wolna Europa. Polecono mu mnie jeszcze, gdy mieszkałem na Węgrzech, a osobną rekomendację wystawił też Laci Cs. Szabó. Nadęci Francuzi mogą się wypchać!

Podróżujemy zatem moim volkswagenem garbusem. Wyposażonym w kupione od złomiarzy fotele, magnetofon „Panasonic" i cztery głośniki. Istna dyskoteka, gdy podkręcam potencjometr i basy, brzmi jak prawdziwe hi-fi. Jazda w lewostronnym ruchu jest trochę uciążliwa, ale coś za coś. To zresztą ciekawa sprawa. Z początku musiałem się nieźle napocić, by przywyknąć do angielskiego systemu, ale w końcu się udało. Co więcej, po jakimś czasie potrafiłem w ułamku sekundy przestawić się po całodziennej jeździe za umieszczoną po prawej stronie kierownicą leylanda na kontynentalnego garbusa. Na tyle skutecznie, że po zjechaniu z promu w Ostendzie odruchowo skierowałem samochód na lewy pas. Dziarscy policjanci belgijscy pokiwali głowami ze zrozumieniem, zobaczywszy angielskie tablice rejestracyjne, i dali mi znać, abym zjechał czym prędzej na prawo.

Szybko wróciłem do dawnych nawyków i popędziliśmy bezpiecznie w kierunku Düsseldorfu. Gandawa, Bruksela, Lowanium, dobre autostrady i zanim się obejrzeliśmy, byliśmy już na granicy z Niemcami. Na obrzeżach miasta kupiliśmy mapę, a Jacek nabył obszerny katalog handlowy i pojechaliśmy do małego, taniego pensjonatu. Ponieważ był już wieczór, mieliśmy dużo czasu na zapoznanie się z ofertą dealerów używanych samochodów. Zakreśliliśmy parę miejsc i po kilku niemieckich piwach położyliśmy się spać.

Wcześnie rano wyruszyliśmy pod zaznaczone adresy. Znajdowały się w większości na peryferiach miasta, tyle że raz na północy, innym znów razem na południu lub wschodzie, więc musieliśmy kilkukrotnie przecinać Düsseldorf wzdłuż i w poprzek. Jacek, który trochę szprecha, był naszym mitfahrerem. Na ulicach panował niespotykany ruch, rzędy aut jechały jedno za drugim, ale ku naszemu zdziwieniu nie tworzyły się korki. Gdy dojechaliśmy do trzeciego z dealerów, po kilku godzinach kursowania w tę i we w tę, byliśmy już trochę zmęczeni, na szczęście Jackowi udało się znaleźć tu odpowiedni pod względem finansowym i technicznym samochód Volkswagen Cara-

van. Biały „ogórek", jak się go nazywa, był w zaskakująco dobrym stanie i po krótkich negocjacjach cenowych dobito targu. Wystawianie dokumentów zajęło pół godziny i mogliśmy jechać. Jezu! Cała dokumentacja, przepisanie pojazdu na innego właściciela, pozwolenie na eksport – wszystko to w zaledwie trzydzieści minut! U nas trzeba by z tym chodzić do pięciu urzędów, banków, na pocztę, uiścić różne opłaty w sześciu miejscach, sprawa ciągnęłaby się tygodniami. Tutaj wszystko odbywa się od ręki. Czy my, ludzie zza żelaznej kurtyny, dożyjemy w ogóle takich czasów?

Podczas gdy Jacek był zajęty wypełnianiem papierów, uciąłem sobie pogawędkę z jednym starym mechanikiem, który całkiem dobrze mówił po angielsku, języka nauczył się w niewoli. Zabawne, że mówił dokładnie z takim akcentem, jak aktorzy wcielający się w Niemców w filmach anglosaskich. (Z niezrozumiałych dla mnie powodów niemieccy bohaterowie gadają ze sobą zawsze po angielsku. Wystarczyłoby podłożyć napisy). Zapytałem, jak to możliwe, że w takim wielkim mieście jak Düsseldorf, mimo ogromnego ruchu, prawie nie ma korków. Odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie: sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniach jest podłączona do centralnego komputera, kamery i czujniki wszędzie monitorują przepływ pojazdów, a serwer wybiera optymalną zmianę świateł, aby ruch przebiegał sprawnie. Dla nas, ludzi ze Wschodu, to istne *science fiction*! A tutaj – codzienna rzeczywistość…

Jacek chciał koniecznie wyruszyć w dalszą drogę do Polski. Po krótkim namyśle zdecydował się jechać jeszcze dziś wieczorem. Zostałem sam w hotelu. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wybrać się do centrum miasta, ale ostatecznie górę wzięło zmęczenie. W sklepiku na rogu kupiłem sobie kolację i kilka puszek heinekena, wziąłem prysznic i pykałem pilotem po kanałach telewizora, szukając wiadomości o Polsce. W końcu się udało, ale na podstawie samych obrazów nie byłem w stanie za wiele zrozumieć, a z komentarzy po niemiecku ani słowa. Z tekstu pisanego czasem potrafiłem coś wydedukować, ale gdy ktoś zaczynał nawijać w tempie naturalnym dla języka mówionego – to już ni chu chu. Postanowiłem pójść spać, bo czekała mnie bardzo długa podróż, a towarzystwa będzie mi dotrzymywać tylko radio samochodowe.

27 lipca 1981, Lugano

Pierwsza noc w Lugano. A właściwie druga, jeśli liczyć noc mojego przyjazdu. Przejechałem szmat drogi, żeby tu dotrzeć.

Z Düsseldorfu wyruszyłem w jaskrawym porannym słońcu. Poczucie samotności rozpraszałem, słuchając radia, a kiedy nie mogłem znaleźć odpowiedniej muzyki, ratowałem się kasetami. Krajobraz wzdłuż autostrady był dość nudny. Mijałem za to miasta, które przywoływały w pamięci dawne lektury. Kolonia, Bonn, Koblencja, Wiesbaden, Moguncja, Mannheim, Heidelberg, Karlsruhe, Baden-Baden, Fryburg. Każde z nich warte odwiedzenia, ale niestety nie miałem na to czasu.

Na dwu-, ale często też trzypasmowych autobahnach co i rusz musiałem zjeżdżać na skrajny prawy pas, niekiedy pomiędzy dwie ciężarówki, ponieważ mój garbus rozwijał

prędkość maksymalnie do stu dwudziestu kilometrów. W Niemczech nie istnieją właściwie ograniczenia prędkości na autostradach, więc co chwila widziałem w lusterku zbliżające się szybko światła, a po paru sekundach mijające mnie auto albo motocykl były już daleko z przodu, ja zaś czułem się, jakbym stał w miejscu. Hm, w wypadku karambolu, z pasażerów tych pojazdów zostałaby co najwyżej mokra plama. Dlatego też w myślach nazwałem ich dawcami organów.

Był już wieczór, gdy dotarłem do granicy. Niemieccy kontrolerzy przepuścili mnie od razu, szwajcarski strażnik, spojrzawszy na moją brytyjską tablicę rejestracyjną, machnął tylko ręką, żebym jechał. Chwileczkę! Odezwał się we mnie znany ludziom z naszych stron skurcz graniczny, to uczucie ściskania w żołądku i skok adrenaliny, które wymuszają właściwą systemom totalitarnym dyscyplinę: przekroczenie granicy wymaga przynajmniej sprawdzenia dokumentów. Przeleciało mi przez myśl, że mogą mnie zatrzymać gdzieś w szczerym polu i nie będę w stanie wytłumaczyć braku pieczątki wjazdowej w paszporcie. Zatrzymałem się więc, wysiadłem z auta i podałem strażnikowi dokumenty. Spojrzał na mnie zdziwiony i zapytał po angielsku, czego chcę. Wyjaśniłem mu. Spodziewał się niebieskiego paszportu brytyjskiego, tymczasem dostał ode mnie bordową książeczkę z wytłoczonym godłem komunistycznym i gwiazdą pięcioramienną. Zaczął zadawać pytania. Powiedziałem mu, że jestem Węgrem mieszkającym w Polsce, obecnie przebywam legalnie w Anglii i zamierzam tam wrócić. Oficer wszedł do biura zamyślony. Po jakimś kwadransie pojawił się znowu z podstemplowanym paszportem w dłoni. Domyśliłem się, że moje nazwisko zostało wpisane do centralnego rejestru komputerowego alpejskiej krainy czarów. Potrzebne mi to było jak dziura w bucie…

Zatankowałem jeszcze po niemieckiej stronie, zakładałem, że w Szwajcarii paliwo jest droższe. Jak się przekonałem, nie tylko paliwo. Na stacji benzynowej napełniłem termos czterema dużymi kawami z automatu. Napój okazał się potworną lurą. Byłem na to przygotowany: wyjąłem słoik z neską i doprawiłem ciecz o barwie herbaty kawą rozpuszczalną. Jak na tamte warunki – smakował bosko. Po kilku kilometrach stanąłem, nalałem sobie z termosu i wypaliłem dwa papierosy. Zapadał zmrok. Nie czułem senności, więc jechałem dalej. Około czwartej nad ranem dotarłem do Berna. Byłem już nieźle wykończony po dwunastu godzinach i prawie ośmiuset kilometrach jazdy. Potrzebowałem odpoczynku, bez dwóch zdań. Czułem, że ubranie się do mnie klei i śmierdzę, ale patrząc na ceny pensjonatów po drodze, utwierdzałem się w przekonaniu, że nie mam ochoty na zbytnie wydatki. Pomyślałem, że w takim kraju jak Szwajcaria z pewnością znajdę na dworcu porządną umywalkę, przy której doprowadzę się trochę do ładu. A potem wyjadę kawałek za miasto, stanę na najbliższym postoju i położę się spać w aucie. Kierowałem się więc do centrum zgodnie ze strzałkami z napisem „Bahnhof".

Hm, szwajcarskie dworce kolejowe… Powiem tyle: są to miejsca, w których można by jeść z posadzki. Znalazłem łazienkę, w której za parę franków można było wziąć prysznic. Coś niebywałego! I ta apteczna czystość! Wziąłem prysznic, zmieniłem bie-

liznę i poczułem się jak nowo narodzony. Do tego stopnia, że bez wyrzutów sumienia wszedłem do jednego z dworcowych barów, zjadłem trzy rogaliki i wypiłem prawdziwe espresso, nie zważając na cenę. Mogło być wpół do szóstej i miasto zaczynało się budzić. Miałem ochotę na krótki spacer. Niedaleko stacji zobaczyłem kościół, prowadziła do niego ulica pełna sklepów. Naturalnie zatrzymałem się przed pierwszą witryną ze sprzętem fotograficznym. Łakomie wpatrywałam się w wystawione gadżety, dla mnie absolutnie niedostępne, gdy nagle usłyszałam:

– Szasza?

Dziś już mało kto pamięta moją ksywkę z lat szkolnych. Jedynie dawni koledzy z klasy. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, odwróciłem się z rozdziawionymi ustami. Musiałem się przesłyszeć!

Przede mną stał Tibi Tompos, kumpel z ostatniej ławki pierwszego rzędu, trzy miejsca ode mnie. Nie pojawił się na dziesięcioleciu matury, słyszeliśmy, że zwiał za granicę. Nikt nie rozumiał dlaczego, bo przyjęli go na medycynę, a to niewielu się udawało. Jako nastolatek był znakomitym perkusistą jazzowym, przystojnym, prawie dwumetrowym facetem, grał dobrze w kosza i piłkę nożną, nauka przychodziła mu z niesłychaną łatwością. Miał oryginalne pomysły, na przykład pewnego razu postanowił dla żartów nauczyć się szydełkować i w końcu radził sobie lepiej niż dziewczyny, które szalały na jego punkcie.

A teraz stał przede mną we własnej osobie, o szóstej rano w samym środku Berna i uśmiechał się.

– To ty? Jak się tu znalazłeś? – Podszedł i uścisnęliśmy się serdecznie.

– A ty? Nie chcesz chyba powiedzieć, że tu mieszkasz?

Okazało się, że tak. Pracuje jako lekarz w miejscowej klinice i przygotowuje się do egzaminu specjalizacyjnego. Nie mogłem w to uwierzyć… Poszliśmy z powrotem na dworzec, bo o tej porze tylko tam mogliśmy się napić kawy. Tibi oczywiście namawiał mnie, bym został u niego parę dni. Z ciężkim sercem musiałem odmówić: mam zaplanowany każdy dzień podróży, jeśli zaburzę swój harmonogram, trudno mi będzie załatwić wszystko, co planuję. Dlatego jedyne, na co się mogłem zgodzić, to zaproszenie na kawę w barze dworcowym. Opowiedziałem mu pokrótce, jakie wiatry mnie tu przywiały i co się ze mną działo od czasu matury. Okazało się, że on też jeździł po Polsce stopem razem z bratem i kolegami. Znajomy lekarz wynalazł mu chorobę, dzięki której został zwolniony z jedenastomiesięcznej służby wojskowej i mógł zacząć studiować już od jesieni 1969 roku. Po drugim roku wybrał się na wakacyjną włóczęgę po Europie Zachodniej i postanowił nie wracać. Udało mu się osiąść w Szwajcarii. Mówi, że to były ciężkie czasy. Przez cały pierwszy rok uczył się niemieckiego. Żeby móc kontynuować naukę na tutejszej uczelni, musiał zdać materiał z dwóch lat studiów, po niemiecku. Równocześnie wkuwał i pracował. Był barmanem w klubach nocnych, grał też w zespole, nie pamięta, kiedy spał. Skończył uniwersytet, czesne opłacał z własnych zarobków. Tibi jest rosłym chłopem, krzepę ma jak wół, a o sile woli nawet nie wspominam. Teraz przygotowuje się do egzaminu ze specjalizacji. Czy tęskni za domem? Nie myśli o tym. Wcześniej czy

później pozwolą mu podróżować na Węgry, choć pewnie nie stanie się to prędko. Jako lekarz w Szwajcarii może zarabiać przyzwoite pieniądze, a on chce po prostu dobrze żyć. Jeździć po świecie, ale już nie autostopem i nie z plecakiem, ale z kartą kredytową. Potem, śmiał się, gdy się zestarzeje, wróci na emeryturę na Węgry. Kupi sobie willę nad Balatonem i będzie żeglował. Do tego czasu komunizm być może upadnie. A jeśli nawet nie, twarda waluta otwiera u czerwonych wszystkie drzwi. A emerytura lekarska w Szwajcarii jest wyższa niż miesięczne apanaże pierwszego sekretarza…

Hm. Kto by pomyślał, że ten niebieski ptak Tompos potrafi planować z taką dyscypliną? I że za fasadą luzu kryje się twardy jak diament charakter?

Na pożegnanie życzyłem koledze, by jego plan pięćdziesięcioletni zakończył się sukcesem. Być może nigdy się już nie zobaczymy, ale zapewniłem go, że w chwilach zwątpienia będę go sobie brał za przykład. Na twarzy Tibiego pojawił się dawny zawadiacki uśmiech i powiedział, żebym dał spokój, on w końcu nie robi nic specjalnego. Czy któryś z nas pomyślałby, że spotkamy się po latach ot tak, przypadkiem, w tak odległym miejscu? *Never say never*! Nigdy nie mów nigdy!

Spotkanie z Tomposem trochę mnie ożywiło, ale półtora dnia bez snu coraz mocniej dawało mi się we znaki. Gdy w końcu zajechałem na postój, już ledwo widziałem szosę przed sobą. Zaparkowałem, skorzystałem z toalety, umyłem się, wyszorowałem zęby, rozłożyłem fotele garbusa i gdy tylko przyłożyłem głowę do siedzenia, od razu zasnąłem.

Słońce prażyło w najlepsze, gdy obudziłem się koło południa, w tej samej pozie, w której zasnąłem. Byłem trochę zdrętwiały, ponieważ fotel samochodowy to jednak nie wygodne łoże małżeńskie. Znów odwiedziłem budynek na postoju. Była w nim toaleta i prysznic, ten ostatni na monety. W środku papier toaletowy, mydło w płynie, papierowe ręczniki. Przy każdej muszli klozetowej szczotka. Wszystko lśniło, jakby pięć minut temu była tu ekipa sprzątająca. Nigdzie jednak nie widziałem obsługi. Potem się dowiedziałem od włoskiego kierowcy ciężarówki, że serwis przyjeżdża dwa razy dziennie, czyszczą kabiny i uzupełniają utensylia.

– Czegoś podobnego nie zobaczy pan nigdzie na świecie. Nikt niczego nie psuje, nie brudzi, nie kradnie – powiedział.

I trudno mu było nie wierzyć, w końcu gość był po pięćdziesiątce i pewnie przejechał już ze swoją naczepą pół globu. Co za kraj, co za ludzie! Kierowca dodał, że pochodzi z Mediolanu, ale od dłuższego czasu rozgląda się tu za pracą, żeby dociągnąć dziesięć lat do emerytury. Najchętniej we włoskiej części Szwajcarii, bo tam by się czuł swojsko. Zasugerował, że jeśli chcę lepiej się przyjrzeć Szwajcarii, powinienem zjechać z autostrady, a nie będę żałował.

Posłuchałem jego rady. Wioski i miasta wyglądają tu jak makieta pejzażu z kolejki dziecięcej. Człowiekowi się wydaje, że zza najbliższego wzgórza zaraz wyjedzie mała ciuchcia. (I bywa, że faktycznie wyjeżdża, nierzeczywista, jak z obrazka). Wszystko jest *tüchtig*, czyste i świeże, domy sprawiają wrażenie, jakby ktoś je dopiero co pomalował. Intensywnie zielone pola i lasy przypominały bardziej park posiadłości ziemiańskiej. Czy ci ludzie strzygą także trawę na pastwiskach?! Jasne że tak! Od czego mają krowy?

À propos, widziałem, jak na skraju jednej z wiosek rolnik zjeżdżał z pola traktorem, do którego przymocowana była brona. Zatrzymałem się w dość dużej odległości, zapaliłem papierosa i patrzyłem. Jego dom z pelargoniami w oknach wyglądał jak pensjonat. Podwórze wylane betonem. Zatrzymał ciągnik, zszedł z niego w nieskazitelnie zielonym kombinezonie i gumowcach, wyciągnął żółty wąż na kołowrotku i od razu wymył szlauchem traktor i bronę. Potem wprowadził maszynę do zadaszonej szopy. Brudna woda spływała z podwórka specjalnym syfonem. Za domem stała duża stajnia, także przyozdobiona kwiatami w donicach. Można by ją uznać za budynek mieszkalny. Obok duży blaszany zbiornik, pewnie na gnojówkę. Wiatr wiał w moją stronę, ale nie czułem zapachu obornika. Pewnie coś do niego dodają, skoro jest tak sterylny.

Nie dziwię się już, że Szwajcarzy, którzy odsłużą wojsko, mogą całą broń i ostrą amunicję zabrać ze sobą do domu. Kto by się wahał stanąć w obronie ojczyzny, w dowolnej chwili i w pełnym rynsztunku, gdy ta ojczyzna wygląda tak, a nie inaczej?!

Pstryknąłem parę zdjęć, odczekałem chwilę, czy aby ktoś do mnie nie podejdzie i nie zaprotestuje, ale nikt nie przyszedł. Wróciłem na autostradę, czas mnie gonił. Zapadał zmierzch, gdy dotarłem do tunelu Świętego Gotarda. Wyczytałem z mapy, że czeka mnie siedemnastokilometrowa droga wnętrzem góry. Przejazd oddano do użytku niespełna rok temu. Czytałem gdzieś, że Szwajcarzy (hm, słowo to podobno oznaczało pierwotnie właściciela bydła mlecznego) wybudowali w tunelach także schrony atomowe. Po kilku kilometrach gardło jezdni poszerzyło się i zobaczyłem z boku miejsca parkingowe, przeznaczone dla tych, którzy z jakiegoś powodu muszą się zatrzymać. Widziałem też po obu stronach ogromne drzwi, prowadzące najwyraźniej gdzieś dalej. Ponieważ nie dostrzegłem znaków zakazu parkowania czy robienia zdjęć, stanąłem i cyknąłem kilka fotek, postawiwszy aparat na dachu auta, bo w półmroku musiałem ustawić dłuższy czas naświetlania. Pamiętam, że w tunelu były jeszcze jedno lub dwa tego typu miejsca parkingowe, ale nie zatrzymywałem się już więcej.

Z wnętrza góry wyjechałem wprost na most rozpięty nad doliną. Pode mną ziała kilkusetmetrowa przepaść, otoczona fioletowymi cieniami wzniesień. Oszałamiający widok. Było na tyle jasno, że mogłem jeszcze porobić zdjęcia. Zajęty fotografowaniem, nie zauważyłem, jak zatrzymał się za mną cywilny mercedes i wysiadło z niego dwóch jegomościów. Podetknęli mi pod nos coś w rodzaju odznaki policyjnej i zaczęli mówić wyśmienitą angielszczyzną. Poprosili o dokumenty. Zapytałem, w czym problem, czy może zaparkowałem w złym miejscu? Odparli, że to jeszcze nie przewinienie, ale bardziej interesowałoby ich, dlaczego robiłem zdjęcia w tunelu. Nie, nie jest to zabronione, jak wyjaśnili, ale dziwne. Następnie życzyli mi szerokiej drogi. Hm… Czyli jednak pilnują swojego kraju. Istnieje zatem nie tylko *Big Brother*, ale również *Gross Bruder*!

Gdy dotarłem do Lugano, minęła dziesiąta. Zatankowałem i kupiłem plan miasta. Znalazłem miejsce pracy Joli. Był to hotel w eleganckiej dzielnicy (a czy są tu inne?), który mienił się światłami jak za dnia, naprzeciw znajdował się spory, otoczony krzewami parking. Mój biedny, sterany podróżą garbus wyglądał gorzej, niż kiedy kupowałem go od amerykańskiego studenta. Cały brudny i ubłocony, jakbym wrócił z jakiegoś

rajdu. Na przedniej szybie jedyne czyste miejsce zostało zakreślone ruchem wycieraczek. Gdy chwyciłem za klamkę, w dłoniach został mi szarawy pył. Samochody wokół błyszczały. Nie były może drogie, ale za to wypucowane. Moje autko było brudne, bo w górach od wczesnego wieczora padał deszcz i jadące przede mną ciężarówki wyrzucały spod kół całe potoki brei.

Przyjrzałem się także sobie. Dżinsy, trampki, pomięta koszula, cała twarz kleiła się od potu, gdy potarłem ją ręką. Pasowaliśmy do siebie, ja i mój samochód. Spojrzałem na hotel. Przy wejściu portier w liberii – wątpię, by mnie wpuścił. Jola pracuje jako barmanka w klubie nocnym, kończy o drugiej. Miałem dwa wyjścia, albo zadekować się gdzieś w okolicy, albo poprosić ją o klucz i zaczekać w mieszkaniu. Ta druga opcja wymagała jednak, abym wszedł do środka, a z moim wyglądem nie wchodziło to w grę. Westchnąłem i zacząłem przeszukiwać walizkę. Wyciągnąłem z niej czyste białe dżinsy, świeżą koszulę, letnią marynarkę, krawat i beżowe półbuty. Wpakowałem się na przednie siedzenie pasażera i zacząłem ścierać pot wilgotnymi chusteczkami, zużyłem ich chyba z tuzin, zanim jako tako doprowadziłem się do porządku. Potem dezodorant i tonik. Francuska toaleta – jak powiedziałby mój kumpel Peti Szeratics – to znaczy odświeżanie ciała bez użycia wody, samymi perfumami. Powąchałem się pod pachami i stwierdziłem, że w porządku. Inny mój znajomy, mazurski traper Rafał Strumiłło, uznałby, że pachnę jak gówno w lesie sosnowym.

Doprowadziwszy się do stanu używalności, chciałem już zamknąć samochód, gdy obok mnie zatrzymał się radiowóz. Wyszedł z niego policjant, spojrzał na moją tablicę rejestracyjną, po czym zagadał uprzejmie po angielsku. (Jak dotąd we współczesnej *lingua franca* byłem w stanie porozumieć się tu ze wszystkimi, od pracowników stacji benzynowych po kelnerów, od celników po gliniarzy).

– Widzę, że właśnie pan przyjechał – powiedział i życzył mi miłego pobytu. Następnie dodał, iż zapewne wiem, że Lugano to miejscowość wakacyjna, obowiązuje tu więc przepis, który zabrania jeździć po mieście brudnym samochodem. Wytłumaczył mi, że dwie przecznice dalej, jakieś dwa kilometry stąd, jest całodobowa myjnia. Doradził też, abym skorzystał z niej jak najszybciej, bo w ciągu dnia mogę dostać mandat. Byłem skonsternowany – do Szwajcarii trzeba jednak przywyknąć…

Nie widziałem Joli od listopada zeszłego roku. Ktoś mógłby pomyśleć, że po takiej rozłące ludzie rzucają się sobie na szyję. Nie w tym wypadku. Moja żona uwijała się za ladą barową, podawała drinki, szczebiotała do gości po włosku i po francusku. Służbowa spódnica i bluzka dobrze na niej leżały, ale czy można się dziwić, skoro była wcześniej modelką?! (Miałem cichą nadzieję, że ten uśmiech na twarzy to też tylko część jej pracy). Na stołkach przy kontuarze siedzieli wyluzowani goście, każdy z nich w znacznie lepszych ciuchach niż moje, na małej scenie w rogu wiła się półnaga seksbomba, cała sala pulsowała w rytmie zmysłowej muzyki. Przy stolikach mieszane towarzystwo, kobiety i mężczyźni, w wielu miejscach wiaderka z kruszonym lodem, z których wystawała szyjka od butelki szampana.

Znalazłem wolny stołek przy barze, usiadłem. Czekałem, aż Jola mnie zauważy.

Kątem oka dostrzegła, że pojawił się nowy klient, postawiła na kontuarze dwa kieliszki i zanim zdążyła się zorientować, do kogo mówi, uśmiechnęła się, rzucając wyuczone:

– *Buona sera, come stai…* – Dopiero po chwili się połapała. – *Nyuszika*! – wykrzyknęła po węgiersku. – Przyjechałeś? – zapytała już po polsku i mimowolnie nachyliła się, żeby mnie pocałować.

Siedzący przy barze gapili się na nas, niektórzy szczerząc zęby, inni z zazdrością. Jola, zmieszana nieco, obróciła się na pięcie i nalała mi tonik, wiedząc, że go lubię.

– Chyba nie pijesz, musimy jeszcze wrócić do domu, ja też jestem autem – zaszczebiotała. – Nie gniewaj się, ale to nie miejsce na amory. Będzie jeszcze czas, od jutra mam wolne. Siedź sobie, powiedziałam *padrone*, że przyjechałeś, możesz coś zamówić, a ja dopiszę do swojego rachunku.

Po czym wróciła do swojej krzątaniny. Musiałem pogodzić się z faktem, że jest w pracy. A jednak… Nie mogłem opanować uczucia zawodu.

Poprosiłem o kawę i kanapkę. Z braku lepszego zajęcia zacząłem rozglądać się po barze. Tancerkę na rurze zastąpiła inna. Miała zjawiskową figurę i piękny biust, choć na moje oko silikonowy. Rozebrała się. Jej ruchy były tak pełne erotyzmu, że zacząłem czuć mrowienie między nogami. Ludzie patrzyli na nią z zachwytem. Aż do chwili, gdy najpierw stanęła plecami w stronę publiczności, w samych majtkach, a następnie odwróciła się, pokazując… penisa! Rany, czułem, że robię się cały czerwony, choć w półmroku nikt nie mógł dostrzec mojej twarzy. Cholera, podnieciłem się na widok faceta! Rzecz jasna inni też dali się nabrać, ale miejscowi oklaskiwali go jak w ekstazie. Jola zapewniała mnie później, że to równa babka.

– Całkiem normalna, tyle że trochę pedałowata – wyjaśniła. Używała przy tym rodzaju żeńskiego.

– Ty – stwierdziłem – ale ona ma kutasa! Lepiej chyba korzystać z formy nijakiej! Jaki przydatny jest w podobnych przypadkach język węgierski – dodałem – w którym nie ma rodzajów gramatycznych.

Widziałem hostessy pracujące przy stolikach. Im bardziej wstawiony był któryś z gości, tym droższe zamawiały drinki. Przeważnie szampana i to z tych lepszych. Wznosiły z nimi toasty, ale zauważyłem, że nie piły za dużo. Wśród obsługi też same kobiety, poza kasjerem, który miał dwa metry i ledwo mieścił się w marynarce. Napakowany, wyrzeźbiony facet. Nie warto z nim zadzierać. Hostessy dla siebie zamawiały najczęściej koniak albo whisky. Przyglądałem się całej tej grze, szukając ukrytego sensu. Bingo! Jola naturalnie jest wtajemniczona w intrygę: z butelek z taką samą etykietą nalewała albo zwykłe, prawdziwe brandy, albo herbatę wymieszaną z sokiem o tej samej barwie. Dla dziewczyn było to drugie, choć inkasowano, rzecz jasna, jak za alkohol.

Wieczór dobiegał końca i znaleźliśmy się na parkingu. Tu już przywitaliśmy się normalnie, jak para kochanków, i nagle poczuliśmy oboje, że chcemy jak najszybciej dotrzeć do domu. Opowiedziałem Joli historię z myjnią. Roześmiała się: faktycznie, zdarzają się tu mandaty za brudny samochód. Wsiadła do naszego małego fiata, ja do garbusa, i ruszyliśmy w stronę najbliższej automyjni.

Wynajmuje ładną, malutką kawalerkę, w której panuje typowy dla niej artystyczny nieład, podobny do tego w naszym warszawskim mieszkaniu. Wygląda jednak na to, że moja żona pracuje tu legalnie i zarabia przyzwoicie. Pełna lodówka, telewizor, na parapecie spory radiomagnetofon, ma wszystko, czego potrzeba do normalnego życia. Przed drogą powrotną będzie chyba musiała kupić przyczepę, tyle nagromadziła tu rzeczy. Moje londyńskie warunki są w porównaniu z tym dość spartańskie.

Byliśmy oboje zmęczeni, więc obowiązek małżeński załatwiliśmy szybko. Padałem z nóg, a jednak nie mogłem zasnąć. Za dużo wrażeń. Zostawiłem swoją żonę pogrążoną w słodkim śnie i wykradłem się do kuchni, żeby pisać. Sącząc zimne piwo, przelewałem na papier swoje myśli, aż w końcu nad ranem zaczęły mi ciążyć powieki. Znak, że trzeba iść spać!

2 sierpnia 1981, Lugano

Przedwczoraj odbyliśmy ośmiogodzinną podróż garbusem do Genewy, wczoraj jechaliśmy tyle samo z powrotem. Odwiedziliśmy Gośkę, siostrę Joli. Leszek, szwagier, jest na kontrakcie ze swoją bluesowo-rockowo-jazzową kapelą, grają w trzech klubach, które zmieniają co drugi dzień, a w każdym inną muzykę. Spędziliśmy u nich noc. Gosia niedługo wraca, Leszek przyjedzie dopiero na święta. Wtedy cała nasza rozjeżdżona rodzina spotka się w Warszawie, tak uzgodniliśmy. Chyba że… chyba że Układ Warszawski przyjedzie zrobić w Polsce porządek. W takiej sytuacji trudno przewidzieć, co będzie dalej.

Wszystko może się wydarzyć. Od czasu do czasu słucham BBC, Głosu Ameryki, Wolnej Europy, można je tu złapać bez problemu, nikt nie zagłusza. W Polsce nędza i ogólny rozgardiasz, pod koniec lipca w rządzie zasiadało już czterech generałów. Jeśli tak dalej pójdzie, to cały przekształci się w jedną wielką juntę! Mówią też o cenzurze: zgodnie z nowelizacją ustawy przepisy w tej kwestii mają być jawne i konkretne, a nie zależeć od doraźnych decyzji władzy, co wolno puścić, a czego nie. Naturalnie, jeśli będą przestrzegać zasad, czego nie byłbym taki pewny. Redakcje jednak będą miały prawo zaznaczać, gdzie interweniował cenzor. Mogą nawet zostawić puste miejsce na tej części strony. Myślę, że będzie to wymagać odwagi. Zastanawiam się, ile gazet zdecyduje się na taki krok. Do tego znowu przykręcili śrubę – o dwadzieścia procent zmniejszyła się ilość mięsa i wędlin przysługujących na kartkę.

Wszystko to z tutejszej perspektywy wydaje się kompletnie absurdalne. Jak wzięte z księżyca. Waham się. Dyskutowaliśmy z Jolą gorączkowo, czy zostać za granicą, czy wracać. Przyszedł mi na myśl Tompos. Jeśli ktoś ma dużo silnej woli i samozaparcia, nie ma rzeczy niemożliwych. Na początku z pewnością czekałaby nas „szkoła przetrwania", ale potem… Głowiliśmy się nad tym, każde po swojemu. Trudna sprawa. Ostatecznie odłożyliśmy decyzję. Zgodziliśmy się jednak, że Szwajcaria nie będzie naszą nową ojczyzną. Co za dużo, to niezdrowo!

Któregoś razu, gdy wróciliśmy akurat do domu, zaparkowałem na jednym z miejsc

przeznaczonych dla gości. Tuż obok kontenera do selekcji odpadów. (Tak, moi drodzy, śmieci organiczne osobno, plastik osobno, kolorowe i białe szkło oddzielnie. Widzieliście coś podobnego?) Stanął przede mną mężczyzna w nieskazitelnie czystym kombinezonie. Zaczął coś wyjaśniać po włosku, ja jednak nie zrozumiałem, więc poprosiłem Jolę o tłumaczenie. Pokazał mi plamę oleju o średnicy pięciu centymetrów rozlaną na asfalcie. Że niby wyciekła z mojego auta, on zaś łaskawie ją wyczyści, ale następnym razem będę musiał płacić. Doradził, byśmy oddali samochód do przeglądu mechanikowi, ponieważ takie brudzenie jest niedopuszczalne. Obiecaliśmy, że to zrobimy. Jola znalazła w mieszkaniu kilka plastikowych talerzy i wetknęła mi je do ręki. Miałem je umieścić pod autem, w miejscu, skąd wyciekał olej. Tak też zrobiłem. Rano na talerzu połyskiwały trzy tłuste krople. Zajrzałem pod spód i okazało się, że miska olejowa przeciekała lekko przy korku spustowym. Dokręciłem śrubę. Następnego dnia talerz był czysty. Dozorca niech się wypcha!

Po południu spacerowaliśmy po pięknym parku nad brzegiem jeziora Lugano. W jednym miejscu zebrał się tłumek. Zaciekawiło nas to. Ujrzeliśmy wielką szachownicę, a pionkami byli żywi ludzie, ubrani w kostiumy, uzbrojeni. Dwóch szacownych dżentelmenów poruszało się po niej, zapowiadając głośno kolejny krok. Istne przedstawienie! Bicie figur przypominało trochę szermierkę. Przegrywającego ściągali z planszy sanitariusze w kostiumach. Skoczek wyglądał jak krakowski Lajkonik, facet miał do pasa przymocowanego konia, w ręku kopię i nią strącał rywala. Wieża też była wymyślona z dowcipem: facet stał w cylindrycznym walcu, który w chwili zbicia figury zapadał się z dymem, gość zaś podnosił całą strukturę i opuszczał z nią szachownicę. Odsunąłem się trochę, by nie dmuchać stojącym obok mnie w twarz, i zapaliłem papierosa. Nie miałem gdzie wyrzucić peta, więc sięgnąłem po swoją starą sztuczkę. Okruszyłem z końcówki popiół, zgniotłem filtr w małą kulkę, a potem upuściłem dyskretnie na ziemię. Po chwili jakiś pan poklepał mnie po ramieniu i powiedział coś po włosku. Kręcę głową, że nie rozumiem. W jego dłoni był mój niedopałek. Spróbował po angielsku:

– *Excuse me, sir, you've lost something.*

Znaczy, informował mnie, że coś zgubiłem. Płonąłem ze wstydu jak Reichstag. Jola śmiała się, zakrywając dłonią usta.

Cóż, tak to tutaj wygląda: nie ma brudnych samochodów, żadnych plam po oleju ani rzucania petów gdzie popadnie, śmieci się segreguje i dlatego wszystko jest takie czyste. Ale to jeszcze nic. Przyjaciółka mojej żony, która załatwiła jej pracę, mieszka z mężem w Zurychu. Mężczyzna jest w połowie Węgrem, a w połowie Słowakiem, przyjechał z Koszyc, jest specjalistą od oprogramowania komputerowego. Raz dwa znalazł stałą pracę, która odpowiadała jego kwalifikacjom, bo świetnie włada nie tylko angielskim, ale też niemieckim. Jego adaptacja do nowych warunków była jednak wyjątkowo ciężka. Pierwsza praca. Biuro, komputery. Co dwie godziny piętnastominutowa przerwa, wszyscy wychodzą na taras na wspólne picie kawy, papierosa. Na tarasie nie ma krzeseł. Nasz rodak z Koszyc nie wyszedł, ponieważ nie był ani kawiarzem,

ani palaczem. W pewnej chwili podchodzi do niego szef i pyta, dlaczego nie korzysta z przerwy. Tamten tłumaczy. Na co przełożony: „Proszę mimo to wyjść, rozruszać kończyny, trochę się pan przewietrzy i praca będzie szła lepiej".

Po kilku tygodniach udało mu się zaprzyjaźnić z jednym kolegą. Pomyślał, że zaprosi go na piwo po pracy, aby scementować znajomość. Szwajcar się zgodził, nasz ziomek po pracy ruszył więc do najbliższego pubu, ale widzi, że tamten za nim nie idzie, tylko pyta: „Możemy pójść jutro?". „Dlaczego? Czemu nie teraz? Śpieszysz się gdzieś?" „Nie, tylko wiesz, żona i dzieci czekają, muszę być w domu za dwadzieścia minut". „Słuchaj, tu jest budka telefoniczna, zadzwoń do niej, że wrócisz później". Kolega zrobił minę, jakby ktoś naubliżał jego matce. „Nieee, u nas nie ma takich zwyczajów!"

Wkrótce dostali mieszkanie w trzypiętrowej eleganckiej kamienicy. Za sąsiadów mieli szwajcarską niższą klasę średnią. Kilka tygodni po tym, jak się wprowadzili, pewnego sobotniego poranka krzątał się przy aucie, kiedy podszedł do niego sąsiad. Po krótkiej wymianie uprzejmości mężczyzna przeszedł do rzeczy. „Czy może mi pan powiedzieć, co pan robi wieczorami w dni powszednie, że nawet po północy świeci się światło?" Nasz przyjaciel odpowiedział zdumiony: „Lubię sobie poczytać". Sąsiad westchnął i powiedział: „Przepraszam za śmiałość, wydaje mi się to jednak niewłaściwe. Można posiedzieć dłużej w piątek albo sobotę, bo potem jest czas się wyspać. Ale w dni powszednie?! Pana pracodawca z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że codziennie przychodzi pan senny do pracy. Taka osoba jest w oczywisty sposób mniej wydajna…".

I tak dalej, słyszałem masę podobnych historii. Precyzja, dokładność, przejrzystość, wszystko uporządkowane, ale że ktoś może wściubiać nos do mojego życia prywatnego i ustawiać mnie pod pręgierzem, to już za dużo. Moje wnioski są być może pochopne, ale to, co tu widziałem, napełnia mnie podejrzliwością. Już w Szwecji nie do końca rozumiałem, dlaczego okna nie są zasłonięte. Można zajrzeć do prawie każdego domu, jakby właściciel chciał pokazać, że nie ma żadnych tajemnic. Trudna sprawa z tymi przeprowadzkami do innego kraju. Nawet z bliskimi nam Polakami nie zawsze łatwo jest się dogadać. Więc lepiej dobrze się zastanowić, zanim człowiek zdecyduje się na wyjazd. Ileż prawdy jest w napomnieniu Mihálya Tompy[4], wyśpiewanym później przez Kati Kovács[5], że kto zmienia ojczyznę, powinien też zmienić serce!

Wiem coś o tym…

5 sierpnia 1981, Monachium

Przy Oertlinweg 4 załadowałem auto, udało mi się porządnie obciążyć garbusa, ale trudno, przód dzięki temu trzymał się lepiej jezdni, a silnik i tak jest z tyłu. W redakcji wydawnictwa „Új Látóhatár" mieszczą się też magazyn i drukarnia, uzupełniłem

[4] Mihály Tompa (1819–1868) – poeta węgierski. W swojej twórczości nawiązywał do tradycji ludowej.

[5] Kati Kovács, właśc. Katalin Anna Sarolta Kovács – piosenkarka węgierska, zdobywczyni Nagrody Franciszka Liszta i Nagrody Kossutha.

więc swój bagaż o kilka numerów pisma i dostałem parę świetnych książek. Gyula Borbándi i József Molnár to wspaniali ludzie, mógłbym z nimi rozmawiać całymi dniami albo tygodniami.

Borbándi zapytał, czy mam gdzie spać. Wyraził nadzieję, że nie, bo zaprasza mnie do siebie. Zacząłem się krygować, że nie chcę być obciążeniem, przyjechałem tylko na dwa dni i szkoda pościeli, on jednak tylko się roześmiał. W głębi ducha oczywiście byłem zadowolony z takiego obrotu rzeczy, bo przynajmniej mogłem z nim dłużej porozmawiać i nie było to też bez znaczenia dla mojego coraz chudszego portfela. Zabrał mnie na obiad do pobliskiej piwiarni. Wypytał o wszystko jak na egzaminie. Musiałem opowiedzieć ze szczegółami – co, kiedy, z kim, jak i dlaczego. Słyszał o mnie, wie, że mam żyłkę do dziennikarstwa. Gdybym przywiózł jakieś teksty, chętnie by je zobaczył, a potem opublikował, jeśliby okazały się dobre. (Nie przywiozłem, głupek. A planowałem zabrać przynajmniej tłumaczenie relacji Jarzembowskiego z 1956 roku. Fakt, że nie zdążyłem go przepisać na maszynie, ale mógłbym to zrobić tutaj). Potem przeszedł do sedna: Jakie mam plany? Czy chcę zostać na Zachodzie? Bo jeśli tak, miałby dla mnie ofertę. Nie chodzi o pracę fizyczną. Spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział powoli: chciałbyś pracować w RWE? W sekcji węgierskiej przydałby się teraz ktoś od Polski.

Dobrze, że siedziałem. Zaparło mi dech. Zapewnił, że nie muszę od razu odpowiadać, ale też nie mogę zwlekać, bo okazja może minąć. Jeśli się zgodzę, dopniemy wszystko raz-dwa. Możemy nawet jutro zorganizować spotkanie przy Oettingenstrasse 67. Chwila, chwila, potrzebowałem złapać oddech! W zakłopotaniu zacząłem opowiadać mu o żonie, że muszę najpierw z nią o tym porozmawiać, nie mogę sam decydować. Bo jeśli ktoś dostaje pracę w Radiu Wolna Europa, musi liczyć się z tym, że do końca życia nie wróci za żelazną kurtynę. Pokiwał głową, zgadza się, chyba że ktoś chce zakosztować życia w więzieniu komunistycznym. Ale cóż, coś za coś. Zacząłbym jako stażysta, dobrze, że znam angielski, polski to tylko dodatek, ale musiałbym się szybko nauczyć niemieckiego. Żona? Powiedziałem, że skończyła grafikę, parę lat pracowała jako modelka, mówi po francusku i włosku. Stwierdził, że dobrze się składa i że znajdą też coś dla niej, mogłaby na przykład zacząć jako grafik w drukarni. Na początku nie będzie łatwo, ale pensja w radiu jest stała i nie najgorsza. Za jakieś pięć lat możemy stanąć pewnie na nogach i żyć na poziomie niższej klasy średniej. A jeśli okażę się pojętny i pracowity, to może jeszcze lepiej. Gdybyśmy chcieli potem wyjechać do Stanów, z radiową przeszłością możemy łatwo uzyskać obywatelstwo. Zaproponował też, abyśmy jutro obejrzeli Ogród Angielski, gdzie mieści się RWE, możemy też zajrzeć do środka.

Zakręciło mi się w głowie. Wszystko działo się za szybko. W duchu zganiłem Cs. Szabó, że mnie o wszystkim nie uprzedził, choć najwyraźniej wiedział, w jakim celu wysyła mnie do Monachium. Miałbym czas, aby jakoś przemyśleć propozycję, obgadać ją z żoną. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to poprosić o czas. I oczywiście bardzo chciałem zobaczyć budynek RWE, ale tylko z zewnątrz i z odpowiedniej odległości. Dopóki

nie podejmę decyzji, uważam, że wchodzenie do środka mogłoby być dla mnie niebezpieczne. W wypadku decyzji odmownej nie chciałbym, aby jacyś tajniacy w Warszawie czy Budapeszcie pomachali mi przed nosem zdjęciem, na którym wchodzę do rozgłośni. Borbándi roześmiał się:

– To bardzo możliwe, fotografowie na garnuszku czerwonych chętnie zbierają takie „pamiątki".

Rozumiał moją ostrożność. Dopóki nie zdecyduję, nie wejdziemy do środka.

6 sierpnia 1981, Monachium

W nocy ledwo mogłem zasnąć. W myślach ukazywały mi się najprzeróżniejsze scenariusze. Przypuśćmy, że w to wejdę. Na emigracji mógłbym się trochę powymądrzać, żyć przyzwoicie, mówić o swojej nienawiści do komunistów, z czasem wywalczyć dla siebie jakiś program o tematyce węgiersko-polskiej, bez cenzury opowiadać o naszych tysiącletnich relacjach, analizować je od podszewki, organizować rozmowy ze śmietanką emigracyjną, wypełniać białe plamy, tworzyć w ten sposób jakieś wartościowe dziedzictwo. A może to tylko iluzja? Ile razy żałowałbym, że nie wróciłem? Z biegiem czasu przestanę tu być rzadkim zwierzęciem, coraz bardziej się upodobnię do starych emigrantów, którzy – jak miałem okazję się przekonać – mają coraz mniej żywego kontaktu z rzeczywistością w ojczyźnie, choć wierzą święcie, że są ze wszystkim na bieżąco… Przypomniał mi się mój biedny ojciec, który mógł wyjechać w pięćdziesiątym szóstym z rodziną, ale nie chciał tego zrobić, świadomy, że oszalałby, gdyby nie mógł poczuć pod stopami budapeszteńskiego chodnika. W mojej głowie migotały plastyczne obrazy, domy, ulice, ludzie, twarze, widziałem czarujące zakątki Budapesztu, Warszawy, Krakowa, babcię w Máriabesnyő uśmiechającą się z otwartymi ramionami na werandzie małego wiejskiego domu. Wyłoniły się przede mną krajobrazy węgierskie przemieszane z polskimi, wszystkie te cudowne nocne rozmowy, przyjaciele, znajomi, los, z którym czuję się związany. Za wysoka cena! Zrezygnować z tego wszystkiego na zawsze? Nikt mi przecież nie obieca, że dożyję końca parszywego komunizmu i za tych parędziesiąt lat będę mógł znowu zobaczyć to, co porzuciłem! Czy wróciłbym tam jeszcze? Nie! Przecież to, co zostawiłbym za sobą, ulegnie zmianie, przeminie, podobnie jak niektórzy ludzie, a tych, którzy zostaną, może wcale nie rozpoznam, tak jak oni mnie! Nie będziemy się mogli odwołać do wspólnych wrażeń, a rozmowy też dotyczyć będą wyłącznie czasów sprzed mojego dysydenctwa…

Hu, niełatwe równanie do rozwiązania. O świcie doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie asekurancko powierzyć decyzję Joli. Odpowiedzialność będzie mniejsza i spadnie na nas oboje. Jeśli powie, że zostajemy, to zostaniemy. Po porannej kawie poprosiłem Borbándiego, żeby pozwolił mi zatelefonować do żony do Lugano.

– Oczywiście, zadzwoń – powiedział.

Było wpół do jedenastej, gdy chwyciłem za słuchawkę, o tej porze powinna być już na nogach po nocnej zmianie. Odezwała się nieco sennym głosem. Nie chciałem tracić

czasu, wyłożyłem jej więc w pigułce, jaką dostałem ofertę. Po drugiej stronie zapanowała długa cisza. Wymamrotała coś niezrozumiałego, słyszałem, jak zapala papierosa i popija, pewnie pierwszą poranną kawę.

– No więc, skarbie – zaczęła niepewnie – dobrze, że siedzę!…

– Powiedziałem dokładnie to samo, kiedy złożono mi propozycję – odpowiedziałem. – To nie jest decyzja z rodzaju: czy mam dzisiaj włożyć niebieskie czy czarne skarpety…

Wahała się, poprosiła o czas do namysłu. Na siódmą idzie do pracy, mam do niej wtedy zadzwonić, do tego czasu przemyśli sprawę. Na tym stanęło.

Borbándi zabrał mnie do Ogrodu Angielskiego. Miał coś do załatwienia w RWE, powiedział, że znam drogę na Oertlinweg, są tam koledzy, którzy mnie wpuszczą, a on przyjdzie przed szóstą wieczorem. Widziałem, jak wchodzi przez bramę długiego budynku w kształcie litery L. Patrzyłem w jego okna – ode mnie zależało, czy za którymś z nich będę pracował przez kto wie ile kolejnych lat. Skłamałbym, gdybym powiedział, że serce nie biło mi szybciej na tę myśl. Zacząłem się zastanawiać, roić sobie, bawić się myślą, a co jeśli… Ale żeby nie dać się do końca zbałamucić obrazom, które nastręczała mi fantazja, wstałem z ławki, na której zdążyłem już wypalić, jeden po drugim, trzy papierosy, i ruszyłem w stronę miasta.

Miałem trochę czasu na szybkie zwiedzenie przynajmniej najważniejszych miejsc w Monachium, ale dokądkolwiek wiodły mnie nogi, w głowie kołatało mi tylko to jedno wielkie pytanie.

Na co mi była świadomość, że w tym mieście Hitler dokonał swojego piwnego puczu, a w 1938 roku wielkie mocarstwa podpisały tu układ, którego rezultatem była aneksja części Czechosłowacji, głównie obszarów zamieszkanych przez Niemców sudeckich, przyłączenie jej do Trzeciej Rzeszy! Marienplatz przy innej okazji z pewnością wydałby mi się zachwycający ze swoim Nowym Ratuszem z koronkową wieżą przypominającą nieco kościół Macieja, i postacią Münchener Kindla (chłopca monachijskiego). Stojący przed nim złoty posąg Maryi też robi wrażenie. Przez kwadrans gapiłem się na dwupoziomowy teatrzyk kukiełkowy, któremu towarzyszy bicie dzwonków zegara, na niebiesko-białego rycerza księcia Wilhelma V Bawarskiego w chwili, gdy ten pokonuje czerwono-białego Lotaryńczyka, kto wie, po raz który, podczas gdy stopień niżej szesnastowieczni mistrzowie sztuki bednarskiej wytańcowują z miasta zarazę. Aż w końcu, na szczycie „sceny" pieje mały złoty kogut, który niczym Świętemu Piotrowi sygnalizuje koniec zegarowego pokazu. Jest też fontanna Fischbrunnen z nadętą rybką o wyłupiastych oczach… Symbolicznie zanurzyłem w niej swój portfel, choć nie była to Środa Popielcowa, w którym to dniu lokalna tradycja nakazuje burmistrzowi i radnym przemycie sakiewek, aby skarbiec miasta był pełny przez cały rok.

Zawierałem znajomość z miastem, idąc w stronę Karlsplatz, otwierałem gębę z zachwytu na widok witryn sklepowych monachijskiej promenady. Moje przeżarte tytoniem usta rozchyliły się jeszcze szerzej, gdy ujrzałem zniewalający Viktualienmarkt. Oferta Wielkiej Hali Targowej w Budapeszcie wygląda przy nim śmiesznie, choć i ona

robi wrażenie w warunkach socjalistycznych. Tutejszy targ to jednak olśniewający róg obfitości, pełen świeżych warzyw i owoców, mięsa, jajek, sera, miodu, kwiatów, rzadkich przypraw! A w okolicznych małych uliczkach, jeden przy drugim, małe i duże sklepy i galerie handlujące antykami. Jak ogromne muzeum, z tą różnicą, że eksponaty są na sprzedaż.

Ajaj, Monachium wydaje się miastem stworzonym do przyjemnego życia, szczególnie dla tych, których portfelom dobrze służy woda z Fischbrunnen!

– Też mógłbyś do nich należeć, brachu, gdybyś tylko sobie na to pozwolił – mruknąłem do siebie pod wąsem.

Wczesnym wieczorem zadzwoniłem do Joli. Nie przestawała mówić przez dobre pół godziny. Że perspektywa życia w Monachium jest naprawdę nęcąca, ale to mimo wszystko Niemcy. Brzydki język i bolesne wspomnienia dla Polaków. Co innego Francja albo Włochy, tak, tam można by zamieszkać. Zna też języki, lubi mentalność tamtejszych ludzi, zwłaszcza śródziemnomorski luz. Tymczasem surowy niemiecki świat ją odrzuca. Nie ma też nic przeciwko Anglii, nauczyłaby się nawet języka, ale ten okropny klimat! Człowiek może w ciągu jednego dnia doświadczyć czterech pór roku. Brr! Moglibyśmy pojechać do Ameryki, Kanady, gdyby to nie było tak strasznie daleko. Ale największy problem polega na tym, że gdybym pracował w RWE, nie byłoby mowy o wizytach w Polsce, prawda? No więc nie, to nie wchodzi w rachubę.

Nie spierałem się, bo sam nie byłem pewny, czy zniósłbym takie życie bez głębokich urazów na psychice. Ustaliliśmy więc, że dam odmowną odpowiedź.

Borbándi wydawał się rozczarowany. Zaproponował, że mogę poczekać z decyzją parę tygodni i dać mu znać z Londynu, jeśli zmienimy zdanie. Nie chciałem go oszukiwać, więc powiedziałem stanowczo:

– Nasza decyzja jest ostateczna, wracamy do Polski.

Przyjął to do wiadomości i dodał, że jeśli dostarczę teksty do publikacji, chętnie je przyjmie. Mogę pisać pod pseudonimem.

A więc tak. Jutro rano z ciężkim sercem przyjdzie mi się pożegnać z Monachium.

10 września 1981, Londyn

Wajda nakręcił kontynuację *Człowieka z marmuru*. Film nazywa się *Człowiek z żelaza* i miał premierę 27 lipca w Warszawie. Potem zdobył Złotą Palmę w Cannes. Jarzembowskiemu udało się zdobyć kasetę VHS i miałem okazję go obejrzeć. Niewiarygodne, że taki film mógł powstać w którymkolwiek z krajów bloku komunistycznego, a jednak się udało!

O ile dobrze pamiętam, *Człowieka z marmuru* nakręcono w 1976 roku, a jego premiera rok później była sensacją. W Cannes przyznano mu wtedy nagrodę FIPRESCI. W 1979 roku pokazywali film na Węgrzech przy pełnych salach kinowych. Agnieszka, absolwentka reżyserii filmowej, chce nakręcić dokument o Mateuszu Birkucie, przodowniku pracy z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, opiewanym, ale też zma-

nipulowanym przez propagandę partyjną bohaterze. Przeszkody stawiane przez aparatczyków sprawiają, że przedsięwzięcie wydaje się niemożliwe. *Człowiek z żelaza* to kontynuacja tamtej historii, z tymi samymi bohaterami – w których wcielają się Jerzy Radziwiłowicz i Krystyna Janda – a do tego kapitalnie aktualna: strajki i wydarzenia z 1980 roku aż do powstania Solidarności, czyli do 31 sierpnia ubiegłego roku. Tym razem dostajemy opowieść o małżeństwie Agnieszki i Maćka, syna Birkuta. Mieszkają w Gdańsku. Dziennikarz o nazwisku Winkel zostaje wysłany z poruczenia partyjnego do Trójmiasta, aby przygotować reportaż na temat strajkujących robotników. Nie jest jednak w stanie zrealizować zadania, bo choć cierpi na alkoholizm i boi się utraty pracy, stara się wymigać od pisania kłamliwego tekstu. Wkrótce staje się jasne, że tak naprawdę nie chodzi o reportaż, ale o zbieranie informacji na temat Maćka, który należy do przywódców strajkujących robotników. Winkel protestuje, nie chce się na to zgodzić, ale przełożeni próbują wykorzystać kompromitujące karty w jego życiorysie i go szantażować. Dziennikarz stara się podporządkować poleceniu, im bardziej się jednak wgłębia w historię Agnieszki i Maćka, tym większy rośnie w nim opór, nie chce ich skrzywdzić. Reżyserkę wyrzucono z telewizji, nie zrezygnowała bowiem z kręcenia materiału o szykanach wobec dawnego stachanowca. Winkel dowiaduje się, jak zginął Birkut i dlaczego jego syn Maciek trafił na oddział psychiatryczny, a Agnieszka do więzienia. Równolegle widz ogląda dokument z zeszłorocznych strajków oraz grającego na ekranie samego siebie Lecha Wałęsę. Winkel w końcu podejmuje decyzję, chce się oczyścić, oznajmia przełożonym, że nie wykona zadania, i z poczuciem wyzwolenia staje po stronie robotników. Okazuje się jednak, że on też jest obserwowany. Gdy po zakończeniu negocjacji między komitetem strajkowym a delegacją rządową i uroczystym podpisaniu dokumentów stoi na sali obrad, jeden z kolegów z szyderczą miną wyciąga mu spod poły marynarki schowany tam i zapomniany mikrofon. Winkel rozpaczliwie próbuje się tłumaczyć, że nie miał ukrytych zamiarów i nikogo potajemnie nie nagrywał. Nikt mu jednak nie wierzy. Wychodzi więc z sali jak niepyszny. Na dziedzińcu podchodzi do niego aparatczyk, ktoś w rodzaju miejscowego czerwonego barona, i klepie po ramieniu – nie ma powodów do zmartwień, podpisana właśnie umowa to świstek bezwartościowego papieru, a władza złożyła na nim podpis pod przymusem. Winkel pluje na niego w złości.

Boże, jak dobrze byłoby uwierzyć, że to jednak nie jest strzęp papieru bez znaczenia! Niestety wydarzenia minionego roku pokazują, że jest inaczej. Czerwoni nigdy nie dotrzymują umów, zawsze o wszystko trzeba z nimi walczyć, cokolwiek obiecywali czy głosili, było jak pisanie kredą w kominie albo palcem na wodzie.

8 października 1981, Londyn

Gdyby ktoś powiedział mi rok temu, że Solidarność przetrwa rok, uznałbym go za niepoprawnego optymistę. A jednak tak się stało! Niesamowite! Co więcej, na początku i na końcu września w gdańskiej hali Olivia odbył się w dwóch turach pierwszy krajowy

zjazd związku. Coś nieprawdopodobnego: niemal dziewięciuset delegatów reprezentujących prawie dziesięć milionów członków. Tematy wewnętrzne Polski przyćmił apel skierowany do robotników krajów komunistycznych Europy Wschodniej, a także do Polaków mieszkających na całym świecie (łącznie nawet piętnaście milionów!).

Tekst przesłania do robotników otrzymałem natychmiast z londyńskiego biura Solidarności. Przytaczam go poniżej:

> Delegaci zebrani w Gdańsku na I Zjeździe Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" przesyłają robotnikom: Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego – pozdrowienia i wyrazy poparcia. Jako pierwszy niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwom szerzonym w waszych krajach, jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą mogli się spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń.

Gdyby tylko słowa te rozbrzmiały należytym echem! Ale wątpię, że tak się stanie… Rozminęliśmy się. Gdyby działo się to wszystko w listopadzie 1956 roku, to przynajmniej nasze dwa narody, Polacy i Węgrzy, „ruszyłyby z posad bryłę świata", jak głosi pieśń komunistyczna. Ale teraz? Kilku przedstawicieli opozycji demokratycznej odpowiednio skomentuje sprawę, a reszta, „masy pracujące", będzie grzecznie milczeć. Bo kto nie jest przeciwko nim, jest z nimi…

A jeśli dodamy do tego, że zjazd Solidarności przyjął program związkowy zatytułowany „Samorządna Rzeczpospolita"?! Gotowa rewolucja… Jeśli w Moskwie jakoś to przełkną, to może jest nadzieja!

21 października 1981, Londyn

Spacerując po centrum, wpadłem do wydziału konsularnego ambasady węgierskiej, gdzie w poczekalni leżą zawsze „Népszabadság", „Népszava" i inne podobne gazety. Nie musiałem długo szukać numerów, w których reagowano na wezwanie Solidarności. Z niemal wszystkich wydań Komitetu Centralnego Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej wylewały się antypolskie teksty i komentarze. Pál E. Fehér[6], Gábor Miklós – warto zapamiętać nazwiska niektórych autorów o wybitnie jadowitym piórze. Rodzime związki zawodowe „odrzucają oburzającą akcję zjazdu Solidarności, którą

[6] Pál E. Fehér (1936–2013) – węgierski dziennikarz i krytyk. Członek redakcji „Népszabadság" – głównego organu prasowego Węgierskiej Republiki Ludowej, zastępca redaktora naczelnego czasopisma poświęconego literaturze sowieckiej.

uznają za drastyczną ingerencję w wewnętrzne sprawy węgierskiego ruchu związkowego", „węgierskie związki i węgierska klasa robotnicza nie potrzebują samozwańczych protektorów" – takie i podobne zdania, artykuły, komentarze znalazłem w prasie oficjalnej. Byłem właśnie zajęty notowaniem co ciekawszych fragmentów, gdy stanął przy mnie facet o złej twarzy i zapytał po węgiersku, w jakim celu to wszystko zapisuję. Odparłem, że gazeta to druk publiczny, więc chyba nie jest zabronione robienie z niej notatek. Zaczął mnie indagować: kim jestem, dlaczego interesuje mnie, co pisze „Népszabadság".

– Nic panu do tego, nie jestem na przesłuchaniu, a pan nie jest śledczym.

Odłożyłem gazety i wyszedłem w obawie, że jeszcze mnie zaaresztuje. Gdyby bowiem dowiedział się, że jestem krajowym, a nie tutejszym Węgrem, jeszcze byłby gotów zostać „moim milicjantem"…

Zaciekłość, z jaką rozpowszechnia się te oficjalne kłamstwa, jest świetnym miernikiem wagi samego tematu. A sprawa polska – jako zupełnie nowa jakość, nieznana dotychczas forma sprzeciwu wobec ogólnej sowietyzacji – jest najbardziej niebezpiecznym z dotychczasowych wyłomów. Ludzie nie rozbijają witryn sklepowych, nikt niczego nie niszczy, nie ma demonstracji ulicznych zakończonych pałowaniem – robotnicy po prostu wzięli w swoje ręce przynależne im skądinąd środki produkcji. Sam towarzysz Lenin nie wiedziałby, co z nimi począć.

György Lukács[7] pisze w jednym ze swoich młodzieńczych esejów – znalazłem go na początku tomu *Historia i świadomość klasowa* – że Związek Sowiecki i jego wczesne doświadczenia niosą w sobie pewne ostrzeżenie. Takie mianowicie, że robotnik z Europy Wschodniej różni się zasadniczo od robotnika angielskiego, jest raczej półchłopem o mentalności pańszczyźnianej. Dlatego też nie wie, co jest dla niego dobre, a „zawodowi rewolucjoniści" muszą mu wskazać właściwą drogę, choćby nawet mieli to zrobić siłą. Kiedy jednak władza wpadnie komuś w ręce, to choćby nie wiem jak uroczy był z niego rewolucjonista, prędzej czy później, nawet nieświadomie, będzie jej nadużywał. A to rodzi nienawiść „szerokich mas ludu" do rządzących. Ci ostatni, teraz jako nowa elita, mają tendencję do dreptania w miejscu, a tym samym oddalają się od dynamiki rozwoju społeczeństwa, ich wiara we własną nieomylność jest niereformowalna. To zrozumiałe, bo przecież każda zmiana może zachwiać ich pozycją. Dlatego też klasa robotnicza, aby zachować władzę, musi czasem obalić własnych przywódców, swoich rządzących. Cały proces wygląda więc następująco: obalenie bezczynnej władzy, zastąpienie jej nową, swoista *tabula rasa*, zaprowadzenie porządku, obietnice, nowe plany, wzajemne zaufanie, a potem znów degeneracja władzy… I wszystko zaczyna się od początku. Jednak według Lukácsa przerwa między poszczególnymi fazami stanie

[7] György Lukács właśc. György Bernát Löwinger (1885–1971) – węgierski historyk literatury, filozof piszący o marksizmie, wykładowca akademicki, członek Węgierskiej Akademii Nauk, działacz komunistyczny pochodzenia żydowskiego, minister edukacji w rewolucyjnym rządzie Nagya. Po upadku powstania w 1956 r. internowany w Rumunii.

się z czasem coraz krótsza, aż demokracja socjalistyczna osiągnie poziom, w którym robotnik (społeczeństwo) o wysoko rozwiniętej świadomości (klasowej), albo – używając nowszego terminu – „lud pracujący", weźmie pełną odpowiedzialność za kształtowanie własnego losu.

Lukács napisał to w 1922 albo 1923 roku, to znaczy po śmierci Lenina i demonstracji siły Stalina, po procesach mieńszewików i eserowców, ale przed sprawą Trockiego, Bucharina, Kamieniewa i Zinowjewa. Ponieważ nie przeżyliśmy jak na razie końca systemu komunistycznego i nie wiemy, czy stanie się to za naszego życia, nie da się stwierdzić, czy teoria ta ma podstawy. Obecna sytuacja w Polsce pozornie tylko zdaje się ją potwierdzać. Pociąg klasy robotniczej po prostu nie jedzie w kierunku, który przewidział Lukács.

Ale to, co się dzieje, może się okazać wystarczającym powodem, aby samozwańcza elita klasy robotniczej uderzyła w społeczeństwo.

Tom, mój szef, który zrobił ze mnie foremana (brygadzistę), a do tego daje mi stałą pensję, powierza mi zakup materiałów i swoją książeczkę czekową, patrzy na mnie z niedowierzaniem, gdy mówię, że wracam do domu do Warszawy.

– Dlaczego nie ściągniesz tu swojej żony? Źle ci tu? Coś nie tak? Poproś o azyl polityczny, pomogę ci, poręczę za ciebie, za kilka lat dostaniesz obywatelstwo brytyjskie, jeżeli się postarasz. Jeśli chcesz, od jutra zgłoszę cię do urzędu jako pracownika. Rosjanie wejdą do Polski, poleje się krew, możesz tego nie przeżyć.

Zasypuje mnie pytaniami i argumentami. Na próżno.

– Za miesiąc podziękuję za pracę i dobre słowo – mówię mu. – Poszukaj kogoś innego na moje miejsce.

Potrząsa głową, mrucząc, nie rozumie, ale przyjmuje do wiadomości moją decyzję.

3 listopada 1981, Londyn

Sprzedałem garbusa. Niechętnie, bo to dobre autko. Ale miał już siedem, a właściwie osiem lat. I nie mogłem oprzeć się pokusie: kupiłem po okazyjnej cenie ładę 1600 w firmie, która handluje z Polską i sprzedaje też polskie fiaty. Kosztowała dokładnie tyle, ile kubików ma silnik. Zapłaciłem tu, a odbiorę na miejscu. Nowy samochód, na gwarancji, z częściami zamiennym. Do tego spory, znacznie bardziej przestronny niż stary volkswagen. Poszła na niego prawie połowa odłożonych pieniędzy, uzgodniliśmy to z Jolą. Za garbusa dostałem czterysta funtów. O pięćdziesiąt więcej, niż za niego dałem, ale też trochę w niego zainwestowałem: zamontowałem dwa podwyższone siedzenia, dobrej jakości magnetofon, bagażnik na dachu. Nie wszystko się zwróciło, ale cóż, są gorsze nieszczęścia.

Zrobiłem zakupy, nabyłem głównie narzędzia – młotowiertarkę, piłę tarczową, wyrzynarkę, strugarkę elektryczną, szlifierkę taśmową i wibracyjną, dłuta stolarskie itp. – a także dżinsy, parę dobrych koszul, pierdółki, prezenty. Aparatem „Chinon" z automatycznym napędem i wymiennymi obiektywami obdarowałem się już wcześ-

niej. Do tego cała waliza książek. Teraz, gdy w Polsce nie ma cenzury, łatwiej będzie przewieźć. Ostatecznie wyszły z tego trzy duże sztuki bagażu. Dwa z nich nadałem wcześniej do przewozu w pociągu, którym jadę, jeden zabieram ze sobą.

Kierunek: najpierw Lugano i parę dni z Jolą, a potem przez Wiedeń do Warszawy.

Bye, bye, London-don-don-don, good bye! Dobrze mi tu było i mam nadzieję – do zobaczenia!

3 grudnia 1981, Warszawa

Szary śnieg. Szare domy. Szare ulice. Szare samochody. Szarzy ludzie. Szary dzień pod szarym niebem. Szare myśli. Beznadzieja w kolorze gołębim.

Ledwie spadł śnieg, a już cały brudny – czym oni grzeją? Rano napadało na trzydzieści centymetrów, więc do jedenastej niektóre główne drogi udało się odśnieżyć. Boczne uliczki przykryte są grubą pokrywą odkładającą się tu od początku zimy.

Na dworze minus osiem. Na osiedlu brak prądu od czwartej po południu do ósmej wieczorem. A ja nie mam ani świecy, ani lampy naftowej, więc gdybym nie miał się do kogo wprosić w gości, siedziałbym sam jak palec, w ciemności, bez radia i telewizji. Muszę jutro zadzwonić do Joli do Lugano i powiedzieć, by nie ważyła się tu wracać aż do wiosny. Moja przyzwyczajona do wygód żoneczka zapewne popadłaby z tego wszystkiego w głęboką depresję.

Nie ma śladu po karnawałowej atmosferze, tak wyjątkowej jesienią zeszłego roku. Cały kraj dopadło bezlitosne, ołowiane zmęczenie. A mimo to trwają! A ja z nimi. Pawluczuk organizuje tygodnik „zielonej" Solidarności i namawia mnie, bym poprowadził dział zagraniczny. Zgodziłem się, ale nie mam pojęcia, jak będziemy pracować, bo w redakcji brakuje dosłownie wszystkiego. Kombinujemy teraz jakieś stoły, krzesła, telefony – maszynę do pisania każdy przynosi sam.

Jako że w mojej głowie wciąż żywe było wspomnienie rzeczywistości sprzed tygodnia, gdy w pędzącym sto dwadzieścia na godzinę ekspresie z Zurychu do Innsbrucku wrzuciłem monetę do automatu, a mama nie mogła uwierzyć, że dzwonię do niej z jadącego pociągu, ponowne spotkanie z moją drugą ojczyzną okazało się wstrząsające. Swoisty przedsmak stanowiła już przesiadka w Wiedniu, z dworca Westbahnhof musiałem się przemieścić na Ostbahnhof. Pośpieszny do Warszawy podstawiono na najbardziej odległy tor. Na peronie bezlitosny ścisk, kobiety, dzieci, całe rodziny, ledwie mogłem się przecisnąć do wykupionego jeszcze w Londynie miejsca. Naturalnie było zajęte. Musiałem bardzo mocno podnieść głos, żeby zmusić rozwalonego na samowolnie wybranym siedzeniu, spoconego, łysego faceta do zwolnienia fotela. Cały skład – korytarze, toalety – wszystko pełne było rzeczy zakupionych przez Polaków. Proszki do prania, pieluchy, części samochodowe, papier toaletowy. Nad głowami, pod stopami, na kolanach, półkach bagażowych, wieszakach. Do tego smród ciał niemytych od trzech dni, w wydaniu męskim i żeńskim. Jechali rzecz jasna w jednym ciągu: najpierw podróż tam, zakupy, czekanie na dworcu na pociąg powrotny, na nocleg

w hotelu nikt nie miał pieniędzy. A po trzech dniach wszyscy wracali śmierdzący. Nim dotarliśmy do Warszawy, ja też przestałem się wyróżniać z tego tłumu. Także później, gdy stałem w kolejce po dwie nadane w Londynie walizki, które towarzyszyły mi, gdy byłem z Jolą w Lugano, następnie w Zurychu i w Wiedniu. W biurze reklamacyjnym podsłuchałem czekających, że polscy celnicy kradną co popadnie, więc należy się cieszyć, jeśli przyjedzie choć pusta walizka. Cóż, celnik też człowiek, zaopatruje się, jak może. I robi to bezkarnie: bagaż zatrzymuje się po drodze w tysiącu miejsc, więc kto mu cokolwiek udowodni?

W sklepach brakuje wszystkiego. Przed wejściem, na mrozie, stoją setki ludzi. Nie czekają już na konkretne towary, ale na to, by dostać cokolwiek. „Rzućcie nam coś" – słychać coraz częściej. Jak bezpańskiemu psu. A potem kupują wszystko, bez różnicy. W końcu zawsze na coś można wymienić, powiedzmy dziesięć żarówek na jeden garnek, dopłacając różnicę.

Największą przyjemność sprawiło mi spotkanie z psem. Biedak pewnie już spisał mnie na straty. Teraz, gdy powróciłem ze świata martwych, niemal oszalał z radości. Nie pozwalałem mu na to wcześniej, ale od kilku dni robię wyjątek: rozkładam swój stary płaszcz myśliwski na kanapie, okrywam się tanim kocem, żeby pies mógł spać przytulony do mnie. We śnie zawsze próbuje zrzucić mnie z łóżka, rozkłada swoje długie wyżle łapy, wyciąga się i odpycha mnie od siebie, ja zaś budzę się, gdy już prawie leżę na podłodze. Radość radością, ale niedługo wrócimy do dawnych zwyczajów, bo w nocy chciałbym jednak spać, a nie mocować się z pieskiem. Do tego puszcza tak smrodliwe bąki, że człowiekowi robi się słabo. I nie pomaga, gdy mówię, żeby następnym razem poczęstował nimi Breżniewa…

5 grudnia 1981, Warszawa

Wczoraj długa rozmowa z Pawluczukiem. Andrzej gorączkowo organizuje tygodnik „zielonej" Solidarności. Nie jest to łatwe zadanie: zaczynamy bez mebli i maszyn do pisania, a więc absolutnego minimum, którego wymaga redakcja. Nie ma nic. Nie mówiąc już o limitach w przydziale papieru, co znacznie ogranicza możliwy nakład. Chce powierzyć mi redagowanie działu zagranicznego. Jego wizja opiera się na promocji normalnego, oddolnego ruchu spółdzielczego. Już wcześniej dużo rozprawialiśmy o przedwojennej organizacji węgierskiej Mrówka, znane nam są też podobne inicjatywy w Polsce okresu międzywojnia – cóż, należałoby je uwspółcześnić, przyjrzeć się duńskiemu systemowi kooperacyjnemu: jako punkt wyjścia wystarczy. Szybko zacząłem mu wyjaśniać pojęcie „trzeciej drogi", której wyznawcami byli László Németh, István Bibó[8] i inni, a która jest organicznie związana z naszym przedsięwzięciem. Andrzeja bardzo to zainteresowało.

[8] István Bibó (1911–1979) – prawnik, polityk i myśliciel polityczny. Funkcje rządowe sprawował od 1938 r. W latach 1944–1945 pomagał ratować Żydów węgierskich, wystawiając im dokumenty. Sprzeciwiał się

Chodzi o system gospodarki rynkowej, ani prawicowy, ani lewicowy, tylko społeczny i solidarny, wymyślony dla dobra i dostatku całego narodu, choć podlegający pewnym ograniczeniom podyktowanym interesem publicznym. Tak zwana trzecia droga oczywiście do tej pory nigdzie nie została urzeczywistniona. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz, czyż nie? Czy kiedykolwiek wcześniej powstał na świecie ruch podobny do Solidarności? Otóż nie! Dlaczego zatem nie moglibyśmy żyć w systemie, który walczy o sprawiedliwość społeczną, w pełni gwarantuje wolność człowieka i obywatela, odrzuca tym samym despotyzm, wszelkie formy dyktatury, zniesienie własności prywatnej, przymusowy ateizm i inne tego typu dogmaty marksistowsko-leninowskie. A równocześnie poskramia zapędy kapitalizmu liberalnego i wiarę w omnipotencję rynku, na przykład przez system podatkowy na wzór szwedzki czy duński. Suwerenność narodowa, system wielopartyjny, demokracja parlamentarna, decentralizacja, samorządność, ruchy i organizacje spółdzielcze, rozwinięta i egalitarna klasa średnia, samoświadomość obywatelska, silna rola państwa w tworzeniu i utrzymywaniu zabezpieczeń społecznych, trzymanie kapitalizmu w ryzach – oto cele. Być może Węgrzy zaczęliby tworzyć podobny system w 1956 roku, gdyby im pozwolono.

Jak Bibó rozumiał możliwości rozwoju? Mniej więcej tak: własność prywatna jest jedną z naturalnych wolności człowieka, ale nie może się stać narzędziem represji i wyzysku. Dlatego własność spółdzielcza jest najlepsza. Przedsiębiorstwa mogą być zakładane przez każdego, przy zachowaniu odpowiednich zasad regulacyjnych, ale kiedy się już rozwiną, jednostkowe dokonania założyciela przekształcają się we wspólne dobro. Właściciel staje się najpierw szefem firmy, a następnie beneficjentem dywidendy z zysków. Aby biurokracja, która ma naturalną skłonność do rozrostu, nie zdominowała naszego systemu, ustawa zasadnicza powinna określać stopień udziału państwa w przedsiębiorstwie, ale też rozsądnie ograniczać własność prywatną, zgodnie z interesem społecznym.

– Będziesz musiał szczegółowo to wszystko opisać! W końcu ta koncepcja jest całkowicie zgodna z etosem Solidarności! Ogród Węgry i ogród Polska są nam potrzebne! Dla tej idei warto żyć! – westchnął Andrzej.

Chciałem wnieść swój wkład w wyposażenie redakcji. Zaproponowałem maszynę elektroniczną „Optima" z polską klawiaturą, Andrzej wpadł po nią dzisiaj swoim małym fiatem. Jego zdaniem jest szansa, że pierwszy numer – swego rodzaju wydanie zerowe – ukaże się jeszcze w grudniu. A potem, najpóźniej w styczniu albo lutym, możemy drukować kolejne. W każdym razie mogę już zacząć pracę nad tekstem o „trzeciej drodze" do wydania wstępnego. Sześć akapitów, parę zdjęć, mam do dyspozycji całą stronę.

Spisałem sobie listę książek, których będę potrzebować do pracy redakcyjnej i planowanego artykułu. Mogę skorzystać z dwóch bibliotek: zbiorów własnych uniwersytetu,

niejednokrotnie decyzjom powojennego rządu węgierskiego, za co spotkały go represje. Podczas powstania węgierskiego w 1956 r. był ministrem stanu w rządzie Imrego Nagya. Jako ostatni z członków rządu opuścił gmach parlamentu węgierskiego po wkroczeniu Sowietów do Budapesztu. W 1957 r. został aresztowany i rok później skazany na dożywocie. Po wyjściu z więzienia w 1963 r. pracował jako bibliotekarz.

zwłaszcza hungarystyki, gdzie – jak wiem od Jakubiuka – znajdują się prawdziwe skarby, oraz z zasobów Instytutu Węgierskiego.

Co mnie właściwie obchodzi, że w sklepach puste półki?! „Pan redaktor" – uśmiecham się do swojego odbicia w lustrze i czuję się jak „zawodowy rewolucjonista". W Anglii nie było źle, ale to tu, w tej części świata, jest moje miejsce. A skoro mogę się przysłużyć propagowaniu węgierskiej myśli politycznej w Polsce, to jest to jednak zupełnie co innego, niż robić to w odległym Albionie czy Monachium. Tam oczywiście otwarta wymiana poglądów jest znacznie łatwiejsza. Tu z kolei zarówno słowo, jak i działanie mogą być niebezpieczne. Ale za to jakież ekscytujące i prawdziwe!

A więc do boju, kochany!

8 grudnia 1981, Warszawa

Przyszło mi do głowy, że jestem w kraju już ponad miesiąc, a nadal nie poszedłem do konsulatu węgierskiego. Mam jeszcze ciągle w paszporcie wkładkę na podróż po całej Europie. Jednorazową. Po powrocie, jak powiedział mi konsul przed moim wyjazdem do Anglii na podstawie zaproszenia, muszę w ciągu trzech dni unieważnić rozszerzenie paszportu. Pomyślałem, że będą kłopoty, ale i tak trzeba przez to przejść. Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem pewnym krokiem do ambasady. W budynku przy ulicy Chopina przyjmuje się petentów w poniedziałki, środy i piątki od ósmej do dwunastej. Będzie, co ma być, ale zdecydowanie wolę zgłosić się do nich sam, niż gdyby to oni wysłali kogoś po mnie. Minęło już półtora miesiąca od mojego powrotu z wojaży europejskich, złowieszczy, trzydniowy termin dawno minął.

Przygotowany na najgorsze, podszedłem do małego okienka w poczekalni konsulatu. Za szybą ukazała się wielka jak trzydrzwiowa szafa twarz Józsefa Töröka, który mierzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Ty tutaj? – Nie byłem w stanie dojrzeć jego spojrzenia za parą lśniących szkieł. Byliśmy ze sobą na ty, dużo dla niego przekładałem i któregoś razu wypiliśmy bruderszaft. – Jednak wróciłeś?

Hm. Jak to „jednak"? Co chciał przez to powiedzieć? Nigdy nie wspomniałem mu ani słowem, że zamierzałem zostać za granicą. Wygląda jednak na to, że bezpieczniacy są dobrze poinformowani i wymieniają informacje ze swoimi polskimi kolegami. Dałbym sobie rękę uciąć, że wiedział, iż Jola została na Zachodzie. Cóż, najwyraźniej prawdą jest powiedzenie, że nie każdy tajniak z MSW zajmuje się zagranicą, ale za to każdy pracownik MSZ na placówce jest tajniakiem. Jóska jest tego żywym przykładem. Rusza się po wojskowemu, jego dłonie są wielkie jak łopaty i chociaż jesteśmy tego samego wzrostu, wciąż mam wrażenie, że jest ode mnie dużo, dużo większy. Mógłby być żołnierzem, komandosem, a nie agentem.

– Wróciłem – odparłem – już jakiś czas temu. – Podałem mu swój paszport. Spojrzał, przekartkował, po czym zwrócił mi go.

– Nie chcesz się przejść? – zapytał.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, sięgnął po płaszcz. Przeszliśmy po rozmokłym śniegu na drugą stronę Alei Ujazdowskich w kierunku Łazienek.

– Nie wolałbyś jednak wyjechać? – spytał bez ogródek. – Wiemy o tobie to i owo. Być może lepiej byś na tym wyszedł.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Prowokacja? I to taka otwarta? Dziwne.

– Mój paszport stracił ważność – próbowałem odpowiedzieć nie wprost. – Dostałem tylko jednorazowe rozszerzenie na Europę. Widziałeś zresztą pieczątkę.

– Dobrze, powiem jaśniej. Polscy pogranicznicy prawdopodobnie nie rozumieją naszego systemu, tylko widzą paszport na Europę i puszczają. Jak się jest sprytnym i wygadanym, wystarczy…

– A jeśli wpadnę, mogą mnie posadzić, co?

– Trzeba to robić z głową, stary. – Török zapalił papierosa i mnie też poczęstował jednym marlboro. – Jeśli masz trochę oleju w głowie, pojedź najpierw do Pragi. Tam ci wolno ze zwykłym paszportem. Na granicy czechosłowacko-austriackiej szanse wpadki są mniejsze. No więc?

Wyjaśniłem mu, że jeszcze z Londynu wpłaciłem zaliczkę na samochód, a żona planuje przyjazd do domu na Boże Narodzenie.

– Jest w Szwajcarii, prawda? – Spojrzał na mnie z niewinnym wyrazem twarzy.

A więc wie o wszystkim, to jasne. Pokiwałem głową. W moim paszporcie też w końcu widniała szwajcarska pieczęć wjazdowa i wyjazdowa.

– Pomyśl o tym, bo drugiej szansy może już nie być! – powiedział w drodze powrotnej do ambasady. – Tu może się zdarzyć wszystko.

W konsulacie anulowano mi wkładkę europejską i przy tej okazji wydano nowy paszport. Nie mam pojęcia, skąd mieli moje zdjęcie, ale dokument dostałem od ręki. Z napisem „paszport obywatela Węgier przebywającego za granicą". Mogę więc udać się do miejscowego urzędu i złożyć podanie o pobyt stały.

Nie wiem, czy dobrze robię, nie wykorzystując złożonej mi propozycji. Zobaczymy. W każdym razie Török przy pożegnaniu poklepał mnie po plecach:

– Gdybyś wpadł w tarapaty, każ zawiadomić konsulat. Mamy swoje kontakty.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, drogi Jósko. Coś mi podpowiada, że nie jesteś takim samym bezdusznym draniem jak twoi koledzy. Zdaje się, że naprawdę chciałeś mi pomóc, z czystej życzliwości. Do tego nie prosiłeś o nic w zamian. Przykro mi, ale w pewnych sytuacjach lepiej nie przyjmować podobnych propozycji, bo może kiedyś ktoś zechce, abym spłacił dług. Ty albo któryś z twoich towarzyszy.

11 grudnia 1981, Warszawa

Napisałem gdzieś, że bolszewizm jest jak tasiemiec. Nawet jeśli go pokroimy, z każdego kawałka rodzi się nowy, pod każdym względem podobny do oryginału. Głowa wyrasta z ogona, ogon z głowy. Nie wystarczy więc oczyścić ciało, ciąć, używać trucizny. Tylko ogień może pomóc, raz na zawsze. I to ogień w skali globalnej! Straszna perspektywa…

Sytuacja w Polsce wygląda następująco: albo dni reżimu są policzone, albo czeka nas koniec Solidarności. Coś wisi w powietrzu, atmosfera gęstnieje, „sytuacja się pogarsza", towarzysze – jak w latach pięćdziesiątych… Władza wyraźnie gra na czas – przeciąga linę, nie ustępuje nawet w sprawach, które kilka miesięcy temu zaakceptowałaby bez problemu i z ulgą, że opozycja nie prosi o więcej… Wolne związki zawodowe i organizacje naturalnie tracą cierpliwość i radykalizują się. Prasa, telewizja, radio kłamią jak najęte, nikogo to już nie dziwi, cenzura, która przez ostatni rok złagodniała, teraz zachowuje się jak człowiek, który strzelił sobie kieliszek dla kurażu i gotuje się do walki, nabiera sił – czuć, że znowu pracuje z dawną gorliwością. Prawdy można się dowiedzieć tylko z ulotek, nielegalnych biuletynów albo haseł wypisywanych pośpiesznie na ścianach domów, płotach, ze zwięzłych tekstów graffiti.

Sklepy zieją pustkami. Mleko, ocet, chleb – to jedyne towary, które stoją na półkach. Jeśli ktoś chce kupić jakiś „luksusowy" artykuł, na przykład ser, musi stać całymi godzinami w kolejce. Partia oczywiście twierdzi, że to z powodu ciągłych strajków. Zewsząd słychać oficjalne lamenty, że kraj jest na wyczerpaniu, stoimy u progu narodowej tragedii, opamiętajmy się, bo zagrożona jest fizyczna egzystencja Polaków!

Niestety coraz więcej osób w to wierzy. Na próżno Solidarność stara się dowodzić fałszu całej tej histerii. Według doniesień działaczy z różnych fabryk i zakładów produkty są wywożone ciężarówkami w nieznane miejsca, do jednostek wojskowych i milicyjnych, prawdopodobnie też do tajnych magazynów rządowych. Reżim zaprzecza, rzuca oskarżeniami o propagandę kontrrewolucyjną i imperialistyczny sabotaż. Twierdzi przy tym kłamliwie, że wojsko jedynie pomaga w dystrybucji żywności do sklepów, w czym rzekomo przeszkadzają nieodpowiedzialne działania Solidarności.

Jeśli zaś mowa o fizycznej egzystencji narodu, zagrażają jej przede wszystkim armie sowiecka i enerdowska, gotowe do przekroczenia wschodnich i zachodnich granic kraju. Polacy bowiem są teraz w takich nastrojach, w jakich my, Węgrzy, byliśmy w 1956 roku, a może nawet bardziej radykalnych: jest mało prawdopodobne, aby przeciwko ewentualnej interwencji zaprotestowali wyłącznie wymachiwaniem pięściami na demonstracjach jak Czesi w 1968 roku. Będą walczyć do ostatniego tchu. Bliska przyszłość może nam przynieść chwalebne, ale i straszne wydarzenia.

Tym bardziej zachwyca mnie optymizm mojej drugiej ojczyzny, o którym świadczy usłyszany wczoraj żart:

– Ty, Wacek, co się stanie, jak wejdą Ruscy i Niemcy? Z którymi będziemy walczyć w pierwszej kolejności?

– Naturalnie, że z Niemcami.

– Czemu?

– Bo najpierw obowiązek, a potem przyjemność!

W taki właśnie sposób mądrość narodu polskiego, oparta na doświadczeniach historycznych, przejawia się w nastrojach ulicznych, w języku potocznym. W kręgach intelektualistów można usłyszeć rozwinięcie zacytowanego żartu: okupacja niemiecka jest mniej niebezpieczna, bo Niemcy chcą tylko naszego mienia, a Sowieci także duszy.

12 grudnia 1981, Warszawa

Kiedy wczoraj wychodziliśmy z redakcji na mróz, numer zerowy tygodnika chłopskiej Solidarności był już prawie skończony. Poprawialiśmy tylko odbitki szczotkowe. W tym także moje wynurzenia na temat trzeciej drogi. Pawluczuk zapytał, dlaczego chcę zabrać do domu swoją optimę. Nie miał ze sobą samochodu, a sprzęt jest ciężki jak cholera, więc trudno byłoby go targać w rękach. Powiedziałem, że mam coś do przetłumaczenie w weekend, a moja mała szwabska erika z 1937 roku, którą odziedziczyłem po ojcu, ma tylko węgierską klawiaturę i za każdym razem muszę ręcznie dopisywać w tekście polskie znaki diakrytyczne, co jest dość uciążliwą operacją. Poza tym drzwi do redakcji są tak słabe, że nawet cherlak może je wyważyć bez problemu, wystarczy, że się o nie oprze. Polska mądrość ludowa mówi, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. W końcu jednak górę wzięło lenistwo i optima została w środku z innymi maszynami.

Od dwóch dni trwa Kongres Kultury Polskiej. Jan Białostocki w swoim wystąpieniu inauguracyjnym dokonał bardzo celnego spostrzeżenia: tylko autonomiczne i samorządne społeczeństwo jest w stanie zapewnić niezależny, swobodny rozwój kultury, edukacji i sztuki.

W całym kraju trwają najprzeróżniejsze konsultacje i narady. O ile półki sklepowe świecą pustkami, o tyle w głowach ludzkich aż roi się od myśli. W Gdańsku zebrała się Rada Krajowa Solidarności. Właśnie dziś wydano komunikat, wedle którego w wypadku użycia przez władzę przemocy, to znaczy wprowadzenia stanu wojennego, o którym mówi się od dawna, wszystkie zakłady przystąpią natychmiast do strajku generalnego. Wszelkie negocjacje z rządem i partią będą możliwe, tylko jeśli reżim na piśmie zrzeknie się wszelkich środków przemocy i przestanie używać gróźb wobec społeczeństwa.

13 grudnia 1981, Warszawa

Stało się. To już koniec.

O wpół do pierwszej w nocy piliśmy ze szwagierką herbatę w jej mieszkaniu przy Woronicza 35. Zasłony były już zaciągnięte na noc. Znowu nie mam w domu ani ogrzewania, ani prądu, więc wpadłem do nich wczesnym wieczorem. Na szczęście mają trzy pokoje, jeden Gośki, jeden dla teściowej, trzeci dla mnie. Leszek we francuskiej części Szwajcarii zarabia grą na gitarze basowej.

W pewnej chwili usłyszeliśmy dudnienie ciężkich pojazdów. Wyjrzeliśmy przez okno. Ogromne ciężarówki wojskowe zatrzymały się przy głównej bramie budynku telewizji, wyskoczyli z nich desantowcy i w ciągu kilku sekund okrążyli cały teren i zastąpili straż cywilną.

O co chodzi?

Domyślaliśmy się, ale jednak trudno nam było w to uwierzyć. Noc z soboty na niedzielę, cała Polska pogrążona we śnie. Znaczy się, była pogrążona – do tej chwili. Na klatkach schodowych łomoczą ciężkie buty wojskowe, ludzie są budzeni, aresztuje się

tych, którzy od dłuższego czasu figurowali na listach bezpieki. Jedni nie śpią, bo po nich przyszli, inni zaś tylko oglądają „przedstawienie".

W telewizorze tylko szum, nie ma obrazu. Radio jeszcze grało, w Trójce puszczali jazz. Ale także on urwał się nagle. Nic nie odbiera. Włączyliśmy Program Pierwszy, bo wydawało nam się, że tam coś powiedzą. Muzyka. Po chwili cisza. Czekaliśmy na jakiś komunikat, ale nic. Znów tylko szum.

Chwyciłem za telefon – w słuchawce także głucha cisza. Naiwny, pobiegłem do budki telefonicznej przed domem – aparat nie działał. Chciałem zadzwonić do Pawluczuka, Bratkowskiego albo przynajmniej do Ákosa! Szturmowcy mieli wprawdzie polskie mundury, ale to jeszcze nic nie znaczy…

Wróciłem na górę do Gośki. Kopciliśmy jednego papierosa za drugim, nie dopaliwszy jednego, zaczynaliśmy kolejnego. Poczułem skurcz w żołądku. Do pokoju weszła teściowa. Spojrzała na pełne popielniczki i zauważyła nie bez racji, że nie powinniśmy tyle palić, bo od jutra może nie być tytoniu.

Przez chwilę wyglądaliśmy zza zasłony, ale nic się nie działo. Żołnierze na posterunku, światła w oknach budynku telewizji to zapalały się, to znów gasły.

Gośka drzemała w fotelu, teściowa dawno poszła spać.

– Mówiłam, będzie wojna! – rzuciła zamiast „dobranoc" i zamknęła za sobą drzwi.

Nie przestawałem palić. Od czasu do czasu przysypiałem na kanapie i budziło mnie pieczenie palca od niezgaszonego papierosa. Na języku czułem smolistą, nikotynową gorycz. Pocieszało mnie tylko to, że miałem przy boku psa, a w mieszkaniu jedną maszynę do pisania. Było dla mnie jasne, że teraz już nie mogę pójść do redakcji po swoje rzeczy. Z optimą mogę się pożegnać. Hm, jednak trzeba było zabrać ją do domu.

Nagle coś odezwało się w radiu, podgłośniłem. Zagrali hymn. Potem rozległ się chłodny, spokojny głos: „Nadszedł dzień o szczególnym znaczeniu w historii naszego narodu i państwa. Przy mikrofonie Polskiego Radia generał armii Wojciech Jaruzelski…".

Żaden towarzysz czy pierwszy sekretarz – zaanonsowano go samym stopniem wojskowym. Znowu hymn, a po chwili przemówił główny aktor i reżyser w jednej osobie. Zwrócił się do „obywatelek i obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej", w obu rodzajach, i powiedział, że zabiera głos „jako żołnierz i jako szef rządu polskiego" „w sprawach wagi najwyższej", albowiem „ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią". Czysty Cyrankiewicz! To była jedna z jego ulubionych fraz. Przypomniało mi się też, że ulica dopowiadała: „I zrobiliśmy zdecydowany krok naprzód…". To samo czyni Jaruzelski, ogłaszając patetycznie, iż zamierza obronić naród przed nieodpowiedzialnymi „elementami" z Solidarności, której podstępne działania były jak zaciśnięta pięść wobec wyciągniętej do zgody ręki władzy. On jednak zaprowadzi porządek! Zgładzi siły antysocjalistyczne, ale również przestępców, defraudantów i skorumpowanych funkcjonariuszy partii z lat siedemdziesiątych. Sam siebie uważa za ucieleśnienie instynktów samozachowawczych narodu. I zapowiada, że „awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki". Aby wszystko to mogło dojść do skutku, niniejszym ogłasza stan wojenny w całej Polsce.

Potem zaczął wymieniać konkretne decyzje. W nocy pełnię władzy przejęła utworzona przez niego Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON). Wprowadzono godzinę milicyjną, rozpoczęto internowania, nałożono tysiące ograniczeń i zakazów, zawieszono połączenia telefoniczne i możliwość podróżowania, listy od teraz będą cenzurowane, spośród wszystkich tytułów prasowych ukazywać się będą tylko „Trybuna Ludu" i „Żołnierz Wolności", tuba armii ludowej.

– Jak to stan wojenny? – zacząłem przemyśliwać na głos. – Przeciw komu, do diabła, ta wojna?

Bo chyba nie przeciwko własnemu narodowi, jeśli tę kreaturę można w ogóle nazwać Polakiem! Gośka zauważyła znużona, że w polskiej konstytucji nie istnieje pojęcie stanu wyjątkowego, więc wprowadzili wojenny.

– No. – Uśmiechnąłem się gorzko. – Wiesz, ile z tego będzie dowcipów?

Nie miała nastroju do żartów, jej piękne szare oczy były przekrwione z niewyspania, ziewała nerwowo i wściekała się w cichej, bezsilnej nienawiści. Leszek w Szwajcarii, ona też mogła zostać, na cholerę postanowiła wracać do domu!? Co teraz? Bez telefonu i poczty, rozdzieleni w dwóch światach, jak się teraz będą kontaktować? To samo można powiedzieć o mnie i Joli. Ona w Lugano, ja tutaj, nie będziemy mieli od siebie żadnych wiadomości, kto wie przez jak długo… Targały mną sprzeczne emocje: z jednej strony zawsze lepiej przeżywać trudne chwile we dwoje, mogłaby mimo wszystko przyjechać na święta, niezależnie od sytuacji, z drugiej strony może nie warto zrywać wszystkich więzi z Zachodem, może by mnie stąd wypuścili na podstawie prawa do łączenia rodzin. Sam nie wiem, co byłoby lepsze.

Na razie mamy juntę. Franco, Somoza, Pinochet, a teraz Jaruzelski! Czerwona junta! Dobry Boże, co z tego wyniknie?!

Jak dotąd tylko gadają. Czczo i obłudnie. Ale kiedy doczekamy się pierwszych strzałów?

O siódmej rano miałem już dość siedzenia w mieszkaniu. Ubrałem się i obudziłem Gośkę. W radiu puszczali smutną muzykę klasyczną, powtarzali wystąpienie Jaruzelskiego, a potem znowu granie, nic więcej.

Spokój, niedziela.

Przed bramą telewizji desantowcy, tyle że teraz było ich więcej. Zdyscyplinowani i rzecz jasna zaciekawieni pracownicy szli w stronę budynku. Sprawdzano ich nazwiska na liście. Niektórzy mogli wejść, innych żołnierze wyprowadzali za ramię. Większości jednak ani nie wpuszczano, ani nie eskortowano, a jedynie dawano energiczny znak ręką, że mają się oddalić. No proszę, towarzysz Jaruzelski zaplanował każdy szczegół!

Pobiegłem do teściów, żeby zostawić u nich psa. Nie chciałem skazywać go na samotną włóczęgę, gdyby zatrzymali mnie na mieście, do którego się wybierałem.

Pawluczuk mieszka daleko, w śniegu byłyby to dwie godziny marszu, więc najpierw ruszyłem do Ákosa. Kiedy tylko wyszedłem z Warskiego na Odyńca, zobaczyłem żołnierzy kierujących ruchem na skrzyżowaniu. Jako pokaz siły na środku ustawiono czteroosiowy transporter opancerzony z wieżyczką strzelniczą, którego silnik

warczał w stanie gotowości. Jeśli dobrze pamiętam, taki pojazd nazywa się SKOT i jest konstrukcją czeską. Żołnierze kazali ludziom przechodzić na lewo, w stronę Racławickiej, gdzie mieszka kilku aparatczyków i dyplomatów, samochody mogły tamtędy przejechać tylko za specjalnym pozwoleniem. Ale pieszych puszczano, co było mi na rękę, bo nie musiałem nadkładać drogi.

Tramwaje jeździły, czasem pojawiał się też autobus. Ludzi było dużo jak na niedzielny poranek, na ogół o tej porze można tu spotkać tylko właścicieli psów. Na twarzach zdumienie, złość, rozpacz. Przechodnie nie wierzyli własnym oczom. Stali, gapili się na żołnierzy i nie mogli pojąć. Wszystko wydawało się nierealne. Wczoraj jeszcze miasto oddychało wolnością, atmosferą nieskrępowanej prawie swobody wyrażania poglądów. A dziś terror wojskowy. Dyktatura. Militaryzacja w zakładach pracy. Wczorajsze polecenie szefa nabiera dziś mocy rozkazu. Nieposłuszeństwo, w zależności od charakteru i wagi, może skutkować trzema latami więzienia, a w najgorszym wypadku nawet karą śmierci. Tak powiedzieli w radiu.

Nie zastałem Ákosa w domu – on też poleciał do miasta. Telefony wciąż głuche. Majstrowaliśmy z Krystyną przy starym radiu tranzystorowym, ale za nic nie mogliśmy złapać Wolnej Europy. Program pierwszy do znudzenia powtarza orędzie Jaruzelskiego na przemian z muzyką klasyczną.

Przyszedł ich starszy syn Andrzej. Noc spędził u babci, Ákos wpadł do nich z „dobrą nowiną", a potem pobiegł do Terényich, korespondentów „Népszabadság" i Węgierskiego Radia. Krystyna siedziała jak na szpilkach. Ula, córka, z właściwą sobie zadziornością, zacytowała Majakowskiego: „Bo Lenin to partia, a partia to Lenin…".

Andrzej krzyknął z sąsiedniego pokoju:

– Ale jaja, zobaczcie, te małpy w telewizji też w mundurach!

Rzeczywiście, południowe wiadomości czytali spikerzy ubrani od stóp do głów po wojskowemu. Znane twarze – teraz pokazały swoje prawdziwe oblicza! Można się przekonać, który z pracowników TV jest człowiekiem zaufania władzy…

Zaczęliśmy się spierać, zastanawiać, co mamy robić. Krystyna zaparzyła kawę, podała obiad, a równocześnie drżała na myśl o ganiającym po mieście mężu. Na zmianę krztusiliśmy się jednym mocnym jak smoła rosyjskim papierosem *zołotoj płaż* – w ostatnich dniach nie dało się dostać nic innego. Nieważne. Zapewniłem ich, że od jutra na pewno niczego więcej już nie zabraknie, bo Jaruzel i jego ludzie będą chcieli pokazać narodowi: proszę, od teraz zapanował porządek. Otóż to! W porównaniu z wcześniejszą atmosferą podjudzania i organizowanej przez bezpiekę anarchii najmniejszy nawet zalążek stabilizacji wydawać się będzie stanem pożądanym. I wielu da się na to nabrać, co do tego nie mam wątpliwości.

W radiu zapowiedzieli reglamentację paliwa. Na razie tankować mogą tylko osoby ze specjalnym pozwoleniem. W eterze coraz mniej jazzu, za to mnożą się zakazy. Granice zamknięte. Prawo do strajku zniesione. Z wyjątkiem PZPR wszystkie organizacje polityczne i społeczne zostały zawieszone. Wspaniała, liberalna ustawa o cenzurze ledwie co weszła w życie, a już przestała obowiązywać i ustąpiła miejsca przepisom

wojskowym. Także drukarnie i redakcje zostały obsadzone przez mundurowych. Niespolegliwi dziennikarze – ciekawe, ilu ich jest! – otrzymali urlopy na czas nieokreślony, a potem specjalne komisje weryfikacyjne zadecydują o ich dalszym losie. Szkoły, uniwersytety i inne uczelnie mają przymusowe ferie! Zawieszony jest również Związek Literatów Polskich. Zakaz zgromadzeń i wypowiedzi publicznych. Wprowadzono natomiast obowiązek pracy. Godzina milicyjna od dwudziestej drugiej do szóstej. Robotnicy z zakładów pracy ciągłej – kopalni, hut, walcowni, rafinerii itp. – dostali wezwanie do pełnienia służby cywilnej. Lawina zakazów. Nie da się tego wszystkiego spamiętać. Czytali je w telewizji i radiu przez bite cztery godziny.

W nocy całe kierownictwo Solidarności zostało internowane. Podano też niejasną informację o tym, że zatrzymano także aparatczyków i urzędników odpowiedzialnych za gospodarcze i polityczne nadużycia ostatnich dziesięciu lat. Już im wierzę.

W końcu zjawił się Ákos po pierwszym rekonesansie. Nie powiedział niczego, o czym byśmy nie wiedzieli. Omówiliśmy całą sytuację chyba z dziesięć razy

Po obiedzie zaczęliśmy się wydurniać. Andrzej wymyślał wciąż nowe hasła, na przykład: „Po jednym żołnierzu do każdego domu!".

Tak się sprawy mają. Wysyłają na nas czołgi i żołnierzy, wprowadzili stan wojenny. Przypomniał mi się pewien stary dowcip rysunkowy. Trwa powstanie warszawskie, padają bomby i granaty, a dwóch Polaków siedzi na zniszczonym, spalonym dachu. Jeden z nich ziewa. Na co drugi, kiwając głową: „Te, Józek, przestrasz mnie, bo znów mam czkawkę!".

Wyglądało na to, że zaprzyjaźnieni sąsiedzi Ákosa też szybko odzyskali pogodę ducha.

– Tyle już przeszliśmy, to i teraz poradzimy! – Wzruszali ramionami. – Założymy się, że zmęczą się wcześniej niż my?

Pojechałem do Włodka. Pracuje w stacji przekaźnikowej Polskiego Radia, jest tam sekretarzem Solidarności. Zastanawiałem się, co z nim i czy jego żona nie potrzebuje pomocy.

Na Dworcu Centralnym przypomniałem sobie, że wciąż nie dotarły do mnie walizki z Londynu. Jedna z nich pełna była „wrogiej literatury" z księgarni przy katedrze Świętego Pawła. Jeśli dobrze pamiętam, lista zakazów zawierała także następującą klauzulę: każdy, kto przewozi, rozpowszechnia lub posiada antysocjalistyczne lub mogące być za takie uznane książki, obrazy czy nagrania dźwiękowe podlega karze do trzech lat pozbawienia wolności. No ładnie! Kiedy przejrzą mój bagaż, mogą mnie z miejsca aresztować. Modlę się, żeby jednak przepadły na dobre. Pal licho wiertarkę Bosch, wyrzynarkę i piłę tarczową Black and Decker, dżinsy, wszystko!

Marysia, żona Włodka, otworzyła mi drzwi blada jak ściana. Myślała, że przyszli po jej męża. Włodek był w domu, sam zresztą zdziwiony tym faktem. Owszem, w nocy miał akurat dyżur w radiu. W pewnej chwili wpadło komando szturmowe i wysłało wszystkich do domów. Tyle że wcześniej zdążyli jeszcze wcisnąć każdemu mężczyźnie rozkaz mobilizacyjny: jutro mają się stawić w pracy i dostaną mundury. Włodek stanie się więc żołnierzem.

Jak na całą tę mizerię – byliśmy w nie najgorszych nastrojach. Włodek jest fachowcem, więc można u niego słuchać RWE i Głosu Ameryki bez zakłóceń. Podawali właśnie informacje z Polski i mówili o reakcjach Zachodu. Prezydent Reagan nie przerwał weekendowego odpoczynku. Inni „wielcy" mężowie stanu z Zachodu wydali oświadczenia w podobnym duchu: to wewnętrzna sprawa Polski, poczekamy, co się wydarzy. Wiedziałem, że ten przeklęty Zachód i tym razem nie zechce umierać za Gdańsk!

Papież nawołuje do pokoju: w historii przelano już dość polskiej krwi, zachowajmy spokój, pracujmy i módlmy się za Polskę. Co innego może powiedzieć ziemski wyraziciel miłości chrześcijańskiej?

W domu zrobiłem sobie kawę. Popijałem z filiżanki, grzałem się i gapiłem się w ścianę. Wisi na niej plakat przedstawiający na pierwszym planie cztery czy pięć świń. Wyjątkowo brzydkich. Na krawędzi ramy umieściłem napis „Oni". Obraz ma wyraźnie orwellowski podtekst. Jeśli zrobią mi nalot jacyś oczytani tajniacy, mogą użyć obrazu jako dowodu obciążającego. Byłaby to całkiem zabawna scena: prokurator przedstawia wysokiemu sądowi *corpus delicti*…

W telewizji oglądam jeszcze przez godzinę sowiecki film wojenny *Kalina czerwona* w reżyserii Wasilija Szukszyna. Autorzy programu ewidentnie mieli wyczucie chwili! Stary, czarno-biały obraz jest jak system, ku którego chwale został nakręcony. Do tego nieznośnie dydaktyczny. Zresztą cały dzisiejszy wieczór pełen był tego rodzaju staroci, nadawanych w przerwie między żołnierskimi pogróżkami. I wszystko w czerni i bieli. Żebyśmy czuli, że kolorowy świat się skończył!

Najnowsze wydanie dziennika telewizyjnego. Po tysięcznej powtórce listy zakazów podano wiadomości z zagranicy. Z zadowoleniem odnotowano w nich ogólny brak zainteresowania świata wydarzeniami w Polsce. Gdybym nie usłyszał tego samego we „wrogich" zachodnich rozgłośniach, nie uwierzyłbym. Ale to niestety prawda. „Wewnętrzne sprawy Polski" – powtarza się we wszystkich komentarzach. Tchórzliwa, cholerna Europa, cyniczna, bojaźliwa Ameryka. Wszyscy tylko ględzą o utrzymaniu *status quo*. Breżniew może się rozsiąść w fotelu i zaprosić na rozmowy pozostałych złoczyńców, Kádára, Honeckera, Husáka, Żiwkowa. Z drugiej strony to jednak lepiej, że miękki Zachód nie zachęca Polaków do czynnego oporu tak jak nas w 1956 roku, by potem powiedzieć: radźcie sobie sami. Teraz przynajmniej grają w otwarte karty.

Cóż, przyjaciele, tak się sprawy mają! Możemy liczyć tylko na siebie. A mimo to czy też właśnie dlatego któregoś dnia uda nam się wywalczyć demokrację, ile by to nie kosztowało! Europa i świat będą zaskoczone! I mogę się założyć o cokolwiek, że kiedy się to stanie, nie będą wiedzieć, co z nami począć! Albo… przyjdą nas uczyć, dzielić się doświadczeniami, pokazywać, jak należy wprowadzać ustrój demokratyczny. A potem, jeśli stracimy czujność, zaczną się z nami obchodzić jak niegdyś z „wyzwolonymi" afrykańskimi koloniami. Ale to wciąż pieśń dalekiej przyszłości, ja tego nie dożyję, moje wnuki – może. Do tego czasu jednak pamiętajmy o napomnieniu Miłosza i spisujmy czyny i rozmowy!

Jedna z wiadomości nie daje mi spokoju. Powiedzieli, że Wałęsa jest na wolności. A do tego kolejne szokujące doniesienie: kardynał Glemp, głowa polskiego Kościoła, apeluje o spokój i życzy powodzenia władzy wojskowej. Czyżby ten pobożny człowiek przewyższył w dobrotliwości papieża?

O co chodzi?! Dogadali się? Podpisali tajną klauzulę w czasie spotkania przed miesiącem? A teraz cała trójka, Jaruzelski, Glemp i Wałęsa, robi z nas idiotów? Oszaleć można!

Zachodnich stacji nie da się złapać, strasznie zagłuszają, a ja nie mam takich filtrów jak Włodek. Telewizja kłamie jak zwykle, nie ulega wątpliwości, że starają się ze wszystkich sił ogłupić naród.

Boże, gdybym miał w mieszkaniu choć kieliszek wódki! Wygląda bowiem na to, że właśnie skończył się jeden sen, a drugi zaczął.

14 grudnia 1981, Warszawa

Drugi dzień dyktatury wojskowej. Obudziłem się kompletnie przybity i kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby jakoś się pozbierać. Palę jednego za drugim, popijając kawą, w którą na szczęście zaopatrzyłem się wcześniej.

Solidarność spieprzyła sprawę! Zamiast trzymać się starej zasady: „Bij wroga jego własną bronią"… Rozumiem, że nie chcieli używać przemocy. Ja też bym nie chciał (to oczywiste!), ale myślę sobie, że Lenin w swoim czasie zorganizował partię na wzór elitarnego komando. Co na pozór wyglądało jak stronnictwo polityczne, było w istocie rządem cieni i organizacją paramilitarną. Z klarownym, jednoznacznym i bezkompromisowym programem. Solidarność tymczasem nie potrafiła rozstrzygnąć, czy chce być forum społecznym czy ruchem o strukturze zamkniętej. W państwie totalitarnym nie można grać w otwarte karty. Nie da się zwyciężyć, gdy nieprzyjaciel dokładnie wie o każdym naszym kroku i zamiarze. Poza otwartą, legalną walką należało też tworzyć w odwodzie struktury konspiracyjne. Teraz zapewne powstają, ale czemu czekano z tym tak długo?!

Mam nadzieję, że była to ostatnia ważna lekcja, podstawowa nauczka dla każdego ruchu, który chce obalić dyktaturę: nigdy, przenigdy nie wolno wierzyć przedstawicielom władzy, oni knują, nawet gdy zadają pytania! Żadnych negocjacji, żadnych targów, dywagacji, hamletyzowania, NIGDY WIĘCEJ! Należy działać w konspiracji, budować państwo podziemne, profesjonalne organizacje, mieć w sobie siłę moralną i czystość, determinację, dumę, niezłomną wolę. I czekać, aż przyjdzie sygnał do rewolucji. A potem, bach i zmieść ich z powierzchni ziemi w jeden dzień! By nie mieli czasu niszczyć archiwów, palić dowodów. I do więzienia, wszystkich bez wyjątku, niech czekają na wyrok niezawisłego sądu, który jednak musi działać w trybie przyspieszonym, żeby sprawy nie ciągnęły się latami. Niech będzie jak w Norymberdze! Skoro z nazistami poradzono sobie w tak krótkim czasie, to i z bolszewikami się uda! A jeśli naszym złoczyńcom udowodni się winę, niech sąd potraktuje ich tak samo jak tam-

tych, bez litości, bez podwójnych standardów! Do tego trzeba raz na zawsze skończyć z utajnionymi rozprawami – niech transmitują je na żywo radio i telewizja! Koniec z cichymi układami! Nasze hasła to moralność, prawo, sprawiedliwość, wolność, jawność, odpowiedzialność za innych.

Bierzmy się do pracy, bracia! Natychmiast, bo każda minuta jest na wagę złota w czasie, gdy nabiera tempa proces ogłupiania ludzi, i to nie tylko w świecie bolszewickim, ale również w tym drugim, na który spoglądamy z taką zazdrością.

Ponieważ nagle zdałem sobie sprawę, że od tygodnia mam nowy paszport, którego numer nie zgadza się z tym figurującym w zezwoleniu na pobyt stały, oblał mnie zimny pot. Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś wylegitymował mnie na ulicy, a potem zawiózł na komisariat. Od wpół do dwunastej do trzeciej po południu stałem więc w przeniesionym z Kruczej na Stefana Okrzei Urzędzie do spraw Cudzoziemców w towarzystwie podenerwowanych obcokrajowców. Z zasłyszanych rozmów wywnioskowałem, że większość z nich szykuje się do wyjazdu.

W końcu przyszła kolej na mnie. Przyniosłem ze sobą zdjęcie i potwierdzenie zameldowania, sądząc, że całą sprawę uda się załatwić od ręki. Urzędniczka dała mi do wypełnienia czterostronicowy formularz z pytaniami, na które odpowiadałem w ostatnich latach setki razy. Nie miałem wyjścia, musiałem na wszystkie odpowiedzieć ponownie. Hm, stara metoda bezpieczniacka: a nuż podam jakąś informację, która nie pokrywa się z wcześniejszymi danymi. Dobrze, że miałem przy sobie pieniądze, bo kazano mi kupić znaczek opłaty skarbowej za dwieście dwadzieścia pięć złotych, a potem przyjęto formularz wraz ze starym pozwoleniem na pobyt. Dostałem tymczasowy dokument, nowy będzie na mnie czekał za mniej więcej dziesięć dni. Przy czym nie będzie w nim warszawskiego adresu zameldowania, bo urząd nie ma już uprawnień do jego wpisywania, muszę z tym pójść do rady dzielnicy Mokotów. Stukilowa, brzydka matrona z wybrakowanym uzębieniem poinformowała mnie z urzędniczą gorliwością, żebym koniecznie stawił się tam w towarzystwie właściciela mieszkania, to jest mojego teścia, który musi ponownie wyrazić zgodę na mój meldunek… Niech szlag trafi komunistów i całą ich biurokrację!

Dowiedziałem się też, że gdybym chciał opuścić kraj, to mogę jechać tylko na Węgry. Tyle że nowej wizy powrotnej nie otrzymam aż do odwołania. A jeśli już chciałbym wyjechać, to potem całą procedurę związaną z zezwoleniem na pobyt stały w Polsce musiałbym zaczynać od nowa.

Świetnie.

W tramwaju i autobusie słyszałem, że strajkują fabryka traktorów Ursus, Huta Warszawa, Zakłady Wytwórcze Lamp Elektrycznych imienia Róży Luksemburg, fabryka samochodów na Żeraniu, stocznie, porty. Gdy tylko wszedłem do lodowatego mieszkania, nie zdjąwszy nawet kurtki, od razu włączyłem radio. W Wolnej Europie brak świeżych informacji. Omówiono wczorajsze wydarzenia i reakcje, uzupełniając komentarze i półwiadomości, które WRON, ten nowy twór socjalistyczny, włożył w usta uległych spikerów. Ci załgani ludzie nie wahali się powiedzieć, że „prezydent Reagan nie

widział powodu, by przerwać swój weekendowy program z powodu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce". Czy ktoś im jeszcze wierzy? Choć z drugiej strony… Gdy w 1956 roku na ulicach Budapesztu przelewano węgierską krew, Rada Bezpieczeństwa ONZ nie spieszyła się z wydaniem potępiającej rezolucji. I nawet po drugiej, miażdżącej interwencji sowieckiej tylko rozważali wysłanie specjalnej komisji na Węgry. Mocarstwa dokonujące w Jałcie podziału stref wpływów troszczyły się wyłącznie o to, by interesy obu stron zostały zapewnione w należyty sposób. Gdy powstańcy węgierscy wywalczyli sobie w październiku 1956 roku kilkudniową wolność i zażądali uznania neutralności swojego kraju i jej ochrony, to właśnie „demokratyczny" Zachód, a dokładnie Stany Zjednoczone odmówiły jako pierwsze. Ówczesny prezydent, były głównodowodzący „wyzwolicielskiej amii" USA, Dwight D. Eisenhower, wysłał najpierw tajny telegram do Tita, a potem zapewnił także Moskwę, że „rząd amerykański nie ucieszyłby się ze zwycięstwa antysowieckiego powstania tuż pod granicami Związku Sowieckiego". Nam, Węgrom, zaś powiedział, że „otrzymamy pomoc żywnościową i będą się za nas modlić"!

Wolna Europa donosi, że Reagan natychmiast powołał specjalną komisję, której zadaniem ma być dokładne śledzenie sytuacji w Polsce. Zawsze coś.

Późnym popołudniem zachodnie stacje były już lepiej poinformowane. Anglojęzyczny serwis BBC World, którego mogłem wysłuchać bez zakłóceń, potwierdził, że fabryki Wybrzeża, zdecydowana większość zakładów w stolicy, Krakowie i Nowej Hucie, jak również cały Śląsk przerwały pracę, a górnicy protestują pod ziemią. Godzinę później podano, że nie udało się zatrzymać wszystkich przywódców Solidarności. Zbyszek Bujak podobno uciekł milicji, Wałęsa zaś przebywa w areszcie domowym albo – jak twierdzą inni – przebywa w Warszawie i rokuje z władzą… Wszystko to jednak opatrzone zastrzeżeniem „podobno", „rzekomo", „wedle niepotwierdzonych informacji" – niczego nie wiemy na pewno. Także tego, czy faktycznie zostali internowani aparatczycy odpowiedzialni za nadużycia ostatnich dziesięciu lat. Byłbym raczej skłonny przypuszczać, że świętują wszyscy razem w którymś z partyjnych domów wypoczynkowych, popijając szampana i zajadając się rosyjskim kawiorem.

Wieczorem doszło do ostrego spięcia z teściem. Zarzucił mi, że jestem darmozjadem, nie mam stałej pracy i teraz oni muszą mi pomagać. Wszystko dlatego, że teściowa wręczyła mi siatkę z artykułami spożywczymi, w której były same towary deficytowe, dostępne tylko spod lady, ona zaś, jako kierowniczka sklepu mięsnego, zdobywa je na zasadzie handlu wymiennego. Do tego kartki uprawniające do ich zakupu otrzymują tylko zatrudnieni. Ja zaś, odkąd mieszkam w Polsce, pracuję wyłącznie na zlecenie, bo mogę w ten sposób zarobić dużo więcej niż na etacie państwowym. Engelmayer i Karcsi Tar mają posady w Interpressie, redagują i tłumaczą za stałą pensję, a ja robię to samo jako wolny strzelec za dwukrotnie wyższe honorarium. Poza tym czuję się dzięki temu wolnym człowiekiem, jeśli najdzie mnie ochota, mogę przez dwa tygodnie zbijać bąki, jechać na ryby albo żeglować na Mazurach lub skoczyć na Węgry czy popracować sezonowo w Szwecji albo Anglii. W obecnej sytuacji, rzecz jasna, ta moja

życiowa postawa odbija się czkawką. I właśnie o to poszło. Powiedziałem, że mógłbym mieć „normalną" pracę w redakcji tygodnika. Dla niej gotów byłbym zrezygnować z wolności. Tyle że przyszedł Jaruzelski i wszystko schrzanił.

– No jasne, w tej całej gazecie pewnie nadawalibyście na system od rana do wieczora, ty i twoi koledzy kontrrewolucjoniści! – zaskrzeczał Miecio. – Miałem na myśli porządną pracę! Mógłbyś się zatrudnić w swoim zawodzie, w księgarni!

Na próżno tłumaczyłem mu, że nie starczyłoby mi na wynajem mieszkania, kupno samochodu, kolorowego telewizora czy na wkład do spółdzielni. Z pensji sklepikarza i dekoratorki wystaw nie przeżylibyśmy z Jolą do pierwszego. Dyskusja wydawała się bezcelowa, więc szybko się pożegnałem, podziękowawszy Helence za wyprawkę. Już nawet miałem zostawić podarowaną mi siatkę z jedzeniem, jako że na szczęście stać mnie jeszcze na zakupy na bazarze, choćby i za potrójną cenę, nie chcę objadać szanownego teścia. Tu jednak do akcji włączyła się teściowa, zaczęli się kłócić. Mama w końcu odprowadziła mnie do drzwi i tak długo nalegała, aż wziąłem tę przeklętą torbę.

Poszedłem do szwagierki, która mieszkała parę przecznic dalej i u której zamierzałem spędzić noc. Z jej przysłoniętego firanką okna na parterze chciałem sfotografować o świcie opancerzone wozy i komandosów stacjonujących przed bramą i na podwórzu telewizji. Swoją drogą niezły ze mnie frajer, bo nawet nie próbowałem się konspirować – każdy głupi dostrzegłby dyndającą na moim ramieniu torbę z aparatem. Do tego dochodziła dziesiąta. Mogli mnie w każdej chwili zgarnąć. Pomyślałem, że poproszę Gośkę o jakiś worek sportowy, żeby jutro wrzucić do niego sprzęt przed wyjściem z domu.

Syn szwagrów Łukasz jest poważnie chory. Maluch nie może usnąć, budzi się co pół godziny, a Gosia usypia go z workami pod oczyma. Mogę mieć pewność, że nie zaśpię na poranną sesję.

15 grudnia 1981, Warszawa

Nad ranem Łukasza zmógł płacz i usnął. Udało mi się wycykać pół rolki filmu na zdjęcia żołnierzy. Około ósmej szwagierka położyła się na tapczanie, ja na drugim, żeby się chwilę zdrzemnąć. Efekt był taki, że spaliśmy do południa jak zabici. Obudziło nas dopiero pojękiwanie dziecka. Zjedliśmy późne śniadanie, potem kawa, papieros i zrobiło się wpół do trzeciej, kiedy wyszedłem w drogę powrotną do domu.

Dopiero wieczorem dowiedziałem się, że Polska Akademia Nauk zwołała dziś posiedzenie, zarząd zamknął się w Pałacu Staszica, a w oknach wywieszono transparenty i plakaty z hasłami protestu. Dyktatura potrzebowała kilku godzin, aby odpowiedzieć na wyzwanie. Wyważono drzwi do budynku i internowano czołowych naukowców z prezesem PAN-u profesorem Gieysztorem na czele. W wieczornych wiadomościach junta poinformowała, że cała Akademia została zawieszona, a przeciwko jej członkom toczą się postępowania. W Wolnej Europie dodano, że akcję obserwował pokaźny tłum, krzyczący w stronę milicjantów: „Gestapo! Gestapo!". Polacy mają bezbłędny węch do

konotacji historycznych – hitlerowcy też aresztowali profesorów z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i wysłali ich do obozów. Podobny przypadek: junta rozwiązała Radę Rektorów Szkolnictwa Wyższego w Polsce, ponieważ jej zarząd, podobnie jak akademicy, zaprotestował przeciwko przemocy dokonanej na narodzie.

Takie rzeczy dzieją się teraz, a ja, zamiast robić zdjęcia, ucinam sobie drzemkę w mieszkaniu szwagierki. Przyszło mi do głowy, że powinienem jak najszybciej skombinować specjalną torbę, w której mógłbym ukryć swojego chinona, bo fotografowanie z ręki to w obecnej sytuacji samobójstwo.

Potwierdziły się prawie wszystkie wczorajsze plotki o strajkach. Stoi cały Poznań i rafineria w Płocku. Jednostki desantowe otoczyły obydwa miasta. Podobnie w Gdańsku, gdzie na terenie Stoczni imienia Lenina uformowało się tymczasowe – zastępcze – kierownictwo Solidarności. Protestują Huta Warszawa, Ursus, ale również Kraków i Śląsk. Inne ciekawostki ze świata komunizmu: w Jugosławii problemy z zaopatrzeniem, w Rumunii brakuje już nawet towarów na kartki, Bułgaria na krawędzi zapaści gospodarczej, na Węgrzech kolejki do mięsnego. W wielkim Związku Sowieckim brakuje chleba i kapusty.

Znaczy się, im gorzej, tym lepiej! Przynajmniej cały ten bajzel wcześniej się rozleci. Chyba że Zachód kolejny raz zwęszy okazję i postanowi się wzbogacić, wspierając rządy komunistyczne nowymi pożyczkami. Trzymając ich przy władzy, by dalej mogli plądrować swoje kraje. Jak afrykańscy dyktatorzy ludożercy, którym płacono sowicie za dodatkowy urobek z kopalni diamentów, wydobywanych za głodową pensję przez górników. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak właśnie było, bo przecież „kulturalne" narody Europy Zachodniej zachowują się w ten sposób wobec połowy świata od kilkuset lat. Dlaczego dla nas mieliby robić wyjątek? Lenin i jego kompani przeprowadzili w Rosji pucz za pieniądze niemieckie, a ten sam Zachód (zwłaszcza zaś finansiści amerykańscy), który był wstrząśnięty zbrodniami bolszewizmu, nachapał się jak chomik, robiąc interesy z Sowietami, podczas gdy miliony ludzi umierały z głodu na Ukrainie. Skonfiskowane przez NKWD zboże kapitaliści kupowali bez mrugnięcia okiem. Możemy mieć tylko nadzieję, że tym razem zmienią strategię. Gdyby latami nie handlowali z czerwonymi, bylibyśmy dzisiaj wolni. Zachodnie rekiny finansjery i zależne od nich rządy raz za razem wyciągają bolszewików za uszy z bagna, nas zaś wpychają jeszcze głębiej do szamba!

Czytałem książkę – nabytą rzecz jasna w księgarni przy katedrze Świętego Pawła! – w której występuje patentowany łotr nazwiskiem Armand Hammer. Pochodzi on z rodziny żydowskiej o korzeniach odeskich, co oczywiście nie miało wpływu na jego postępowanie, bo z komunistami handlowała cała zgraja nieżydowskich krętaczy. Hammer wyróżnił się jednak z tłumu szubrawców tym, że jako pierwszy złamał embargo nałożone na Ruskich. Wcześniej skutecznie obchodził prawo w Stanach Zjednoczonych. Nie zdążył skończyć studiów na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Columbia, a już opracował w koncernie farmaceutycznym swojego ojca recepturę syropu przeciwkaszlowego na bazie imbiru z dodatkiem wysokoprocentowego alkoholu. W czasach

prohibicji każdą ilość swojej mikstury sprzedawał na pniu, bo można ją było pić jak normalny trunek. W ten sposób zarobił pierwszy milion. Już w 1921 roku zawarł z bolszewikami wielki *deal*. Firma Allied Drug & Chemical Corporation podpisała kontrakt z Ludową Komisją Handlu Zagranicznego na dostawę miliona buszli (około dwudziestu pięciu tysięcy ton) pszenicy, za którą zapłacono szlachetnymi futrami, czarnym kawiorem i innymi cennymi kąskami ze skarbca carskiego. Hammer szybko otrzymał honorowy tytuł *Oficyalnyj drug* SSSR, czyli oficjalny przyjaciel ZSRS, i zakolegował się z Leninem, Trockim i innymi przywódcami sowieckimi. Następnym krokiem, jak łatwo się domyślić, było doprowadzenie do wielkiej inwestycji w kraju uznawanym za wroga numer jeden kapitalizmu. I na tym interesie nasz przyjaciel zarobił krocie. Założył biuro sprzedaży w Moskwie, gdzie pośrednio reprezentował również kilka firm amerykańskich, takich jak Ford Motor Company, United States Rubber, Allis-Chalmers czy Underwood Typewriter. Kiedy Sowieci w 1925 roku znacjonalizowali handel zagraniczny, Hammer w ramach rekompensaty otrzymał koncesję na uruchomienie fabryki ołówków o nazwie Diament, którą następnie od niego kupiono. W latach dwudziestych i trzydziestych mieszkał w podarowanej mu przez Trockiego rezydencji przy ulicy Sadowej.

(Zawsze powtarzam, że nie ma przypadków! W powieści Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata* na tej samej ulicy mieszkał Berlioz, usłużny wobec systemu krytyk literacki, który stracił głowę pod kołami tramwaju na Patriarszych Prudach. Następnie sprowadzili się tu Woland, czyli Szatan wcielony, wraz ze swoimi asystentami, Korowiowem i Behemotem, wielkim czarnym kocurem. Tutaj także odbył się piekielny bal, na którym Małgorzata spotkała złe duchy przeszłości).

Ponieważ we wskazanym okresie formalnie nie istniały stosunki dyplomatyczne między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim, Hammer – ku chwale swojej ojczyzny – faktycznie pełnił również misje państwowe. Czy to nie szczyt hipokryzji?! Moskwa oficjalnie była największym wrogiem Waszyngtonu, a handlowano z nią w najlepsze, bo w końcu pieniądze nie śmierdzą… Amerykańskie służby specjalne oczywiście miały na oku szemranego biznesmena, którego późniejsza CIA ochrzciła mianem „księcia kapitalizmu" (*the capitalist prince*). I choć stwierdzono, że szpiegował też dla Kominternu, ostatecznie nie spadł mu z głowy nawet włos. A przy tym mówimy o człowieku (?), który otrzymał od Sowietów kilkanaście doktoratów *honoris causa*, a nawet najważniejsze odznaczenie Związku Sowieckiego, Order Lenina. Do 1953 roku medal wykonywano ze złota, a towarzyszącą mu statuetkę Włodzimierza Iljicza z platyny, co Hammerowi musiało się niezmiernie podobać. Uwielbiał bowiem kosztowności. Kiedy w 1930 roku, po ośmioletnim pobycie w Moskwie wracał do Ameryki, pozwolono mu zakupić po okazyjnej cenie dzieła sztuki ze zbiorów Ermitażu, on zaś wybrał sobie kilka skarbów z epoki Romanowów, takich jak klejnoty złotnictwa z czasów Aleksandra III i Mikołaja II czy jaja Fabergé, inkrustowane złotem, srebrem, kamieniami szlachetnymi, kością słoniową i prawdziwymi perłami. Do wybuchu rewolucji bolszewickiej powstały tylko pięćdziesiąt cztery sztuki. Niektóre z nich są warte miliony dolarów… Pan Hammer

zaś większość odsprzedał, urządzając z tej okazji aukcje w trzydziestu sześciu miastach amerykańskich. Nasz milioner żyje do dziś i prześciga się w bogactwie z niejakim Sorosem, krezusem pochodzenia węgierskiego, którego nazywa swoim przyjacielem. Wieść gminna głosi, że fortunę tę przewyższa jedynie rozbuchane do granic możliwości *ego* właściciela, którego wszyscy starają się z tego powodu omijać szerokim łukiem, wobec czego staruszek jest zmuszony opłacać sobie towarzystwo, aby mieć z kim rozmawiać. Krążą też pogłoski, że jest jedynym człowiekiem na ziemi, który może się pochwalić względami zarówno Ronalda Reagana, jak i Włodzimierza Lenina…

Jestem przekonany, że także teraz interesy z bolszewikami załatwia się po staremu. Opinię publiczną mami się groźnymi pomrukami i zapewnieniem, że ci okropni komuniści już więcej nie wystrychną nas na dudka, ale gdybyśmy zajrzeli przez okno do domu Gospodarza, jak zrobił to kogut w *Folwarku zwierzęcym*, zobaczylibyśmy ten sam obraz: ludzi siedzących przy stole ze świniami, jedni do złudzenia podobni do drugich.

Orwell gorzko uśmiecha się z zaświatów.

16 grudnia 1981, Warszawa

Strajki stłumiono już wszędzie z wyjątkiem kopalń. Mówi się, że nie doszło do rozlewu krwi. RWE podaje, że internowano ponad sześć tysięcy robotników. Dziś po południu dotarła do nas wiadomość o planowanym spotkaniu tych członków Solidarności, którzy przebywali za granicą w chwili wprowadzenia stanu wojennego. Podano adres komitetu organizacyjnego w Zurychu. Sekcja polska radia, podobnie jak węgierska po 1956 roku, uruchomiła kanał do przekazywania informacji między członkami rozdzielonych rodzin. Nagrania o długości do jednej minuty można nadać między piętnastą a siedemnastą. Podali numer telefonu. Wiadomości nadawane są codziennie od dziewiętnastej.

Przyszła mi do głowy myśl, że powinienem wysłać informację Joli do Lugano. Ale jak? W końcu telefony nie działają. Czy nieszczęsny obywatel ma teraz dzwonić ze zmilitaryzowanej poczty pod numer monachijski? Zostałby natychmiast aresztowany. Uświadomiłem sobie, że serwis radiowy nie został stworzony dla Polaków w kraju, ale odwrotnie – dla tych, którzy chcą z zagranicy nadać wiadomość do Polski.

17 grudnia 1981, Warszawa

Rocznica masakry na wybrzeżu w 1970 roku. Milicja nie mogła sobie wtedy poradzić ze zbuntowanymi robotnikami, więc rząd wysłał wojsko. Ówczesny minister obrony nazywał się Wojciech Jaruzelski i to on wydał rozkaz użycia broni palnej. A teraz, jako szef junty, która trzyma kraj za gardło, kiedy zdecyduje się na podobny krok?

Tłumy ludzi spacerowały wokół Grobu Nieznanego Żołnierza na placu Zwycięstwa. Rozstawieni co dziesięć kroków żołnierze pokrzykiwali: „Przechodzić, nie zatrzymywać się, dalej, dalej!". Rozpędzali zebranych jak stado bydła.

Boczne uliczki zamknięte, zastawione w poprzek transporterami, wozami bojowymi, do tego uzbrojeni po zęby milicjanci. Piąta po południu.

Na Krakowskim Przedmieściu, przed głównym wejściem na uniwersytet, kordony milicyjne. Odstraszający widok: ubrani od stóp do głów w kombinezony, wyglądali jak bohaterowie *Gwiezdnych wojen*, łudząco podobni jeden do drugiego. Tyle że to nie *science fiction*, lecz rzeczywistość.

Poszedłem do Karcsich. Na moście Poniatowskiego stały ogromne ciężarówki wojskowe, strzegą go ze wzmożoną siłą. Barykady z pojazdów, zwoje drutu kolczastego, kozły hiszpańskie. Nad kabiną kierowcy jednej z czteroosiowych ciężarówek umieszczono stanowisko strzeleckie, a w nim przemarznięty na kość żołnierz ćmił nad karabinem papierosa.

Karcsi słyszał w radiu, że na ulicach Gdańska znów doszło do starć z ZOMO, był jeden zabity i kilku ciężko rannych. Także w Krakowie odbyły się dzisiaj masowe demonstracje, rozbite oczywiście przez milicję. A we Wrocławiu padły ostatnie bastiony strajku, spacyfikowano również te najwytrwalej protestujące zakłady.

Poszliśmy na spacer z psem Gastonem. Elegancki, dobrze zbudowany pointer z gracją angielskiego arystokraty przemierzał bulwary wiślane. Patrzyliśmy z zazdrością na jego zdystansowaną postawę wobec świata. My bowiem nie przestawaliśmy urągać, za żadne skarby nie mogliśmy wykrzesać z siebie choć odrobiny entuzjazmu. Przypominało to daremne próby odpalenia dychawicznego silnika. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że kolejny bunt pociągnie za sobą morze krwi. Zdesperowany naród będzie wieszać i patroszyć swoich oprawców. Może my też przyłączymy się do mordów, jeśli tego dożyjemy. W każdym razie musimy na to przygotować nasze dzieci. Na bezwzględną, bezkompromisową walkę. Nie wolno nam się poddać, zrezygnować z marzeń, bo to oznacza definitywny koniec.

Za kwadrans ósma byłem już w domu. Wyszedłem z Moneyem na wieczorną przechadzkę. Nagle zrobiło się znacznie ciemniej niż dotąd. Zadarłem głowę, rozejrzałem się wokoło: jak okiem sięgnąć, w niemal wszystkich mieszkaniach pogasły światła. Zegarek pokazywał ósmą. Co u diabła? Wyłączyli prąd? Po chwili w oknach rozbłysły płomyki – świeczki i znicze. To nie z głębi mieszkań pulsowało to żywe, żółtawe światło, ale z wewnętrznych parapetów. Oszałamiający widok setek świec migoczących na tle olbrzymich, ciemnych bloków.

Zatrzymał się przy mnie pan Witek, znajomy właściciel setera angielskiego, z którym gania się mój pies.

– Są – powiedział cicho. – Dowiedziałem się dzisiaj po południu z ulotki, że o ósmej będą zapalać świece. Dobrze, że mieliśmy jakieś w domu… Żona też wystawiła.

Już chciałem powiedzieć, że moja też. Niestety, kiedy wszedłem do mieszkania, podniosła chwila solidarności dobiegła końca. Mimo to nie włączyłem światła i zapaliłem w oknie świecę. Nie był to z mojej strony dowód wielkiej odwagi – naszego okienka na ostatnim piętrze i tak nie da się dostrzec z dołu.

18 grudnia 1981, Warszawa

Rozmawiałem dzisiaj z lekarzem, który opiekował się rannymi przywiezionymi tej nocy z Katowic. Przetransportowano ich tu dwa dni temu, od tego czasu personel szpitala prawie nie zmrużył oka. Według doniesień zmilitaryzowanego PAP-u „w okolicach niektórych kopalń doszło do starć, które doprowadziły do kilku ofiar śmiertelnych, wielu zostało rannych". Na przykład górnicy z kopalni Wujek „stawiali zacięty opór wobec służb porządkowych".

Znajomy twierdził, że śląskie szpitale są przepełnione i dla kogo nie starczyło miejsca, tego przewieziono do Warszawy. Wielu rannych to żołnierze i milicjanci. Niektórzy zanosili się spazmatycznym płaczem, z ust płynęła im piana. Badania lekarskie wykazały, że byli pod wpływem silnych narkotyków. Podobno przed akcją podawano im kawę zmieszaną z alkoholem, ale Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze do niej dolali. Pewne jest, że zdolność oceny sytuacji została znacznie osłabiona, a każdy dźwięk docierał do nich ze stukrotnie wyższą niż normalnie siłą, uszkadzał bębenki i przyczyniał się do wzmożonej agresji.

Wspaniale. Doczekaliśmy się czasów, w których żołnierzy, jeśli nie chcą walczyć, zamienia się w roboty. Niech żyje humanizm socjalistyczny, towarzysze!

W mieście niemy tłum, jeszcze bardziej szary niż zwykle. To wszystko za sprawą twarzy. Ale również, jak mogliśmy oczekiwać, poprawiło się zaopatrzenie, w sklepach nagle pojawiły się niektóre towary. Ser, masło, smalec, twaróg, margaryna, mąka, cukier, papierosy i zapałki są znów dostępne. Proszę, dyktatura wojskowa zaczyna w odczuwalny sposób wprowadzać obiecany przez Jaruzelskiego porządek. Spójrzcie tylko, dano nam w prezencie małe świąteczne eldorado! Rodziny poległych bohaterów z kopalni Wujek – zamiast ojca, syna, męża – będą miały przynajmniej to i owo na stole.

Przed sklepami długie kolejki. Stanąłem w jednej z nich w Hali Mirowskiej, bo widziałem, że przywieźli kaszankę. Pomyślałem, że Money będzie miał wyżerkę na kilka dni, jeśli nie wykupią wszystkiego, zanim dotrę do lady. Od stojących za mną usłyszałem okolicznościowy żarcik:

Przechodzień pyta zomowca.

– Gdzie pan dostał pomarańcze, sierżancie?

– Dwie przecznice stąd, w warzywniaku.

– Długo trzeba stać?

– Ależ skąd. Wystarczy raz przeładować pistolet…

Przed kinem Moskwa stały T-72 i transporter opancerzony. Obok, przy żarzącym się koksowniku przestępowali z nogi na nogę zmarznięci na kość żołnierze w towarzystwie dwóch zomowców. Za ich plecami wielki plakat filmu *Czas apokalipsy*, który wszedł na ekrany tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego. Żaden reżyser by tego lepiej nie zainscenizował. A ja nie miałem przy sobie aparatu!

Po powrocie ze sklepowego obchodu, około piątej po południu chciałem się trochę zagrzać. Ale ledwo zdążyłem wypić gorącą herbatę i usiąść na kanapie z wiecznie

fascynującym *Mistrzem i Małgorzatą* – zgasło światło. Czytanie przy świecy jeszcze jakoś bym zniósł. Tyle że w blokach także woda, w tym ta przeznaczona do ogrzewania, dostarczana jest na wyższe piętra za pomocą pomp elektrycznych. Kaloryfer, i tak słabo rozgrzany, zaczął błyskawicznie stygnąć. Mieszkanie w ciągu godziny mogło się zamienić w lodówkę. Próbowałem trochę podnieść temperaturę za pomocą kuchenki gazowej: postawiłem na niej żelazne obręcze przeciw przypaleniu i zapaliłem gaz. W środku zapanowało wilgotne, łazienne ciepło, na ścianach i meblach zaczęła skraplać się para, na szybach osiadł szron. Moja skóra stała się lepka, a powietrze ciężkie, bo gaz wypalał z niego tlen. Musiałem wywietrzyć mieszkanie i ciepło uleciało w okamgnieniu.

Słyszałem w radiu, że wczoraj znowu doszło do brutalnych starć z ZOMO w Gdańsku. Dwóch ludzi ciężko raniono, jeden z nich, dwudziestoletni elektryk Antoni Browarczyk, został postrzelony w głowę, gdy rozpędzano demonstrację przed miejscowym komitetem partii. Mężczyznę ułożono na desce wyrwanej z ławki i przetransportowano do szpitala, choć milicyjne bydlaki nie przestawały rzucać w grupkę ludzi petardami. Zanim dotarli z nim do szpitala, był już w stanie śmierci klinicznej. Biedak leży teraz w śpiączce.

Wczoraj odbyła się też wielka demonstracja w Krakowie – z równą bezwzględnością została rozbita przez ZOMO. Także ostatnie, najbardziej wytrwałe załogi we Wrocławiu poddały się po ataku uzbrojonych po zęby milicjantów.

W mieszkaniu zrobiło się nieprzyjemnie wilgotno i przestraszyłem się, że sam też mogę przypłacić włączoną kuchenkę śpiączką. O spędzeniu nocy w domu nie było mowy.

Zastanowiłem się przez chwilę, ubrałem ciepło, wrzuciłem do chlebaka przybory toaletowe oraz butelkę wódki z peweksu i ruszyłem do miasta. Miałem nadzieję, że uda mi się przekimać u kogoś ze znajomych czy przyjaciół z dzielnicy, w której działa prąd i ogrzewanie. Miałem trzy godziny, aby znaleźć jakieś lokum przed rozpoczęciem godziny milicyjnej.

20 grudnia 1981, Warszawa

Siedemdziesiąte piąte urodziny Breżniewa i tydzień od przejęcia władzy przez juntę. W zasadzie mogliby wysłać sobie nawzajem po torcie. Moskwa wysłała nawet Ślepowronowi zaproszenie na uroczystości, ale on jakoś się wyłgał. Wysłał za to telegram gratulacyjny, w którym tłumaczył swoją nieobecność napiętą sytuacją i z góry podziękował przywódcy sowieckiemu za wyrozumiałość.

Na ulicach Warszawy półmetrowa warstwa śniegu. Nie odgarniają już nawet na głównych arteriach miasta. Bo i po co? Elementy wywrotowe niech siedzą w domach. A jeśli już w kimś gotuje się krew, to brnąc przez gęsty śnieg na poszukiwania towarów pierwszej potrzeby, szybko się zmęczy i przejdzie mu ochota do buntu. Pojazdom wojskowym zaś zapora śnieżna w najmniejszym stopniu nie przeszkadza.

Na ekranie telewizora towarzysz redaktor Willman, ubrany w mundur oficerski, zapewnia z poważną miną Polaków i świat, że wszystko jest w porządku, obywatele ze zrozumieniem odnoszą się do postanowień junty i coraz wyraźniej potępiają złą, nieodpowiedzialną, antysocjalistyczną, wywrotową i kontrrewolucyjną Solidarność. W końcu to ona odpowiada za całą obecną mizerię.

Tymczasem już od tygodnia w niemal trzystu dużych polskich fabrykach trwają – by posłużyć się nowymi terminami reżimu – „czasowe przerwy w pracy" i „drobne zastoje produkcji". W jednej ze śląskich kopalń górnicy rozwalili ładunkiem wybuchowym wejście do szybu. Tysiąc trzystu ludzi zjechało następnie pod ziemię. Zagrozili, że w wypadku pacyfikacji – na znak protestu – wysadzą się w powietrze. Nie boją się śmierci, w końcu codziennie narażają życie w pracy. Skoro nie przeraża ich obecność metanu i nieustanne zagrożenie tąpnięcia, dlaczego mieliby się ugiąć pod uderzeniami pałki?

Także na Wybrzeżu wszystko stoi. Robotnicy zabarykadowali się za bramami zakładów. Podobne wiadomości docierają również z innych rejonów przemysłowych. Obiekty otoczono kordonami wojskowymi i oddziałami milicji w gotowości bojowej. Zbrojne ramię klasy robotniczej wymierzone przeciwko ludziom pracy. Niewykluczone, że ci młodzi żołnierze będą musieli atakować swoich ojców. Hm… Zseni Várnai[9] w najgorszych koszmarach nie przewidziałaby, że komuniści są zdolni do czegoś takiego. „Nie strzelaj, synu, bo ja też tam będę!" Ionesco też by czegoś takiego nie wymyślił. Już prędzej Boris Vian.

Przyszedł mi do głowy pewien monolog Józefa Wisarionowicza z *Kręgu pierwszego* Sołżenicyna, kiedy to „Wielki Wódz" dywaguje na temat „niedojrzałości" i „ciemnoty" ludu. Czy się to narodowi podoba, czy nie, on poprowadzi go drogą ku lepszej przyszłości. A jeśli trzeba, chwyci marudy za kark i wciśnie im łeb w ten bezmiar szczęścia, choćby nie wiem jak śmierdziało. Kto by pomyślał? Zawsze wydawało mi się, że to ja sam powinienem decydować o tym, co dla mnie dobre, jeśli zaś rozbiję sobie o coś nos, to oznacza kłopoty!

Podczas gdy my pod polskim niebem delektujemy się narzuconym nam wraz z nawałnicą śniegu i terroru szczęściem, na firmamencie sowieckim błyskają wschodnie światła: ordery Breżniewa. Najjaśniejszy z nich nazywa się Promień Wolności i został przypięty do piersi stetryczałego cyborga z okazji jego siedemdziesiątych piątych urodzin przez Babraka Karmala, niesławnego przywódcę ludu afgańskiego.

Warszawska ulica uczciła jubileusz starego monstrum sowieckiego nowym dowcipem:

– Słyszałeś, jakie sankcje wprowadził Zachód wobec Związku Sowieckiego?

– Jakie?

– Przestaną wysyłać części zamienne do Breżniewa!

---

[9] Zseni Várnai, właśc. Eugénia Weisz (1890–1981) – węgierska poetka i działaczka komunistyczna.

21 grudnia 1981, Warszawa

Wiadomość z wczoraj: zakończył się najdłuższy strajk w historii Wybrzeża. Chłód, śnieg i szara beznadzieja powoli zbierają żniwo.

Po południu piłem z dozorcą, panem Jankiem. Od szóstej rano, z nieodłącznym petem w ustach, odśnieżał przed budynkiem. Właśnie mełł pod nosem jedno ze swoich długich i skomplikowanych przekleństw, kiedy ja, wychodząc akurat na spacer z psem, zaproponowałem, aby dał się w końcu namówić na kieliszek czegoś mocniejszego u mnie w mieszkaniu. Na wódkę nie mogłem go zaprosić, nie da się jej teraz dostać za żadne skarby świata. Junta podarowała obywatelom na święta możliwość zakupu jednej butelki na głowę dorosłego obywatela. Mam już nawet stosowną kartkę, ale jeszcze jej nie wykorzystałem, nie byłem też w ostatnich dniach w okolicach peweksu. Musiałem więc zaproponować gościowi paskudny, choć z pewnością pozbawiony metanolu, destylat z cukru i drożdży, który przyrządziła moja znajoma nauczycielka chemii. Drożdżowy aromat próbowała złagodzić kwaskiem cytrynowym, ale z marnym skutkiem. Cóż, dobre i to…

Pan Janek jest bystrym człowiekiem, więc od razu przeszedł do rzeczy: jaki mam do niego interes? Chodzi o wodę, prąd, gaz czy ogrzewanie?

– Prąd – przyznałem. – Po wczorajszej przerwie w dostawie w całym budynku jest, a u mnie nie ma.

– Spójrzmy – chrząknął dozorca. Kiedy byliśmy już w naszej mansardzie, po pierwszym kieliszku, zaczął ostrożnie wypytywać.

– Nam też by się przydało trochę – mlasnął. – Załatwiłby pan?

– Załatwiłbym, właśnie dojrzewa, na sylwestra będzie gotowa – zaryzykowałem szczerą odpowiedź, bo nie mogłem być pewny, czy cieć, który przecież bywa na usługach milicji, nie doniesie na mnie. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie zechce odciąć sobie źródła zapasów. – Tyle że poza ceną flaszki trzeba kobiecie dać też kilo cukru, żeby produkcja nie stanęła.

Pan Janek wychylił jeszcze kieliszek na drugą nóżkę, a potem złożył zamówienie, obiecując, że doniesie cukier. Potem wyszedł na korytarz i zaczął sprawdzać bezpieczniki w skrzynkach rozdzielczych. Opowiedział mi też, co usłyszał wczoraj w jednej podwarszawskiej wsi, dokąd pojechał zaopatrzyć się w produkty spożywcze. Przyznał, że dawny kompan od wódki, zaufany człowiek dzielnicowego, załatwił mu pozwolenie na podróż. Oczywiście nie za darmo: także jemu przywiózł pieczoną kaczkę, kiełbasę i inne rarytasy. Wszystko ma swoją cenę.

Widział, jak patrol milicyjny eskortuje do skupu żywca grupkę opornych chłopów. Mieli „dobrowolnie" sprzedać państwowemu przedsiębiorstwu kilka świń. Na podwórzu spółdzielni stała z włączonym silnikiem ciężarówka Sovtransavta. Trudno stwierdzić, czy miało to jakiś związek z prosiakami. Jeden z tuczników za żadne skarby nie chciał wgramolić się na wagę. Właściciel stracił w końcu cierpliwość i wepchnął go siłą, uderzając po zadzie dłonią, w której trzymał zainkasowane właśnie pięć tysięcy złotych: „Rusz się w końcu, nie bądź aspołeczny! I przekaż uściski Breżniewowi!".

Obecny na miejscu milicjant wlepił gospodarzowi mandat w wysokości pięciu tysięcy za podburzanie nastrojów. Ten zaś rzucił pieniędzmi w stronę wartej cztery razy tyle świni i krzyknął: „Tanio! Za tyle mogę opowiedzieć jeszcze ze dwa dowcipy!".

W końcu znaleźliśmy trefny bezpiecznik. Pan Janek na odchodnym obiecał, że jeszcze dziś przyniesie mi kilo cukru. Mam zatem prąd w mieszkaniu. A Tamás Cseh[10] śpiewa do mnie z płyty: „Jesteśmy jak ostatni krzywy uśmiech, nic więcej…".

22 grudnia 1981, Warszawa

„Trybuna Ludu", oficjalny dziennik PZPR, nazywany przez ludzi pogardliwie „organem", i kilka podobnych tytułów prasowych, jak choćby „Żołnierz Wolności" (cóż za perfidna nazwa!), jedyne gazety, którym junta pozwala się ukazywać, leżą w półmetrowych stosach na ladzie kiosków. Pies ze złamaną nogą ich nie kupuje. Tym bardziej zdziwiła mnie dziś rano stojąca przede mną starsza kobieta, która w budce „Ruchu" poprosiła o trzy egzemplarze „organu". Aby jednak nie zostać znienawidzoną przez pozostałych klientów, od razu zawinęła w nie rybę kupioną pod halą targową. W kolejce z miejsca zapanował dobry nastrój: „Proszę uważać, bo jeszcze pani zgniją!" – rzucił ktoś, na co inny z czekających dopowiedział: „Niech pani dobrze owinie łeb, bo ryba psuje się od głowy!".

Ludzie właściwie nie czytają prasy, starają się raczej łapać zagłuszane mocno zachodnie stacje radiowe. Oficjalne biuletyny junty każdy i tak może przeczytać za darmo na ulicy: od 13 grudnia całe miasto jest oblepione komunikatami rady wojskowej, mury, ogrodzenia, a nawet pnie drzew są ich pełne. A o tym, jak pomysłowi potrafią być Polacy, świadczą napisy, które pojawiają się na plakatach tuż po ich rozwieszeniu, i to niezależnie od tego, w jakiej części kraju się znajdujemy – wszędzie ta sama treść! (Na podstawie ulotek i informacji RWE). Co z tego, że wyłączono telefony i nie można podróżować! Na Śląsku czy na Wybrzeżu, nad Odrą czy Bugiem, w Galicji czy na Mazowszu – jak donoszą Wolna Europa i Głos Ameryki – na wszystkich wywieszonych komunikatach widnieje pieczęć ze słowem: *Bekanntmachung*. Ozdobną szwabachą, gotycką czcionką. Mało tego, często pojawia się też nazistowski orzeł z rozpostartymi skrzydłami, tyle że nie trzyma w szponach swastyki, lecz pięcioramienną gwiazdę. Efekt? Reżim zmuszony jest zatrudniać specjalną ekipę do zdzierania plakatów. Codziennie zrywają stare i wieszają nowe, bo ledwie przylepią, zaraz ktoś dopisze coś po niemiecku albo namaluje orła zwanego za okupacji „wroną". Bezgranicznej głupoty, braku wyobraźni albo wielkiej arogancji (a może i wisielczego humoru) władzy dowodzi fakt, że pierwsze litery nazwy Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego układają się w skrót, do którego wystarczy dodać literę „a" i powstaje słowo „wrona", czyli prześmiewcze określenie orła nazistowskiego. A żeby dopełnić obraz, warto wspomnieć,

[10] Tamás Cseh (1943–2009) – węgierski piosenkarz i kompozytor, laureat Nagrody Kossutha i Nagrody Franciszka Liszta.

że zdrajca Jaruzelski pochodzi z rodziny szlacheckiej, która pieczętowała się herbem Ślepowron. Nawet genialny poeta nie potrafiłby tego lepiej poskładać. Wydaje się, że nie tylko książki, ale również politycy, mają swoje losy…

Swoją drogą uzyskanie wiarygodnych informacji nie jest łatwe. Na razie w mieście można znaleźć tylko ulotki, ale ponieważ znam wyjątkową zdolność Polaków do konspiracji, dam sobie rękę uciąć, że wkrótce pojawią się również regularne gazety podziemne. Ponieważ dystrybucja wiadomości krajowych jest bardzo ograniczona, zdarza się, że więcej wiemy na temat akcji protestacyjnych na Zachodzie niż o tym, co się dzieje wokół nas, na rodzimym podwórku. Telefony są głuche, nie można podróżować, więc człowiek siedzi w domu, kręci gałką radia i próbuje wyłowić zdania z okropnego syku zagłuszarek. W zaistniałej sytuacji nowinki bardzo często przekazywane są drogą ustną, przy czym ich weryfikacja jest prawie niemożliwa. Smuci natomiast, że coraz więcej przerażających doniesień okazuje się prawdą. Szum informacyjny powoduje, że ludzkie ucho zachłannie wychwytuje wszelkie strzępki wiadomości. Niczym ścigane obławą zwierzę, które bacznie nasłuchuje szmerów leśnych.

Najnowsza rewelacja: Ambasador PRL w Waszyngtonie Romuald Spasowski wystąpił o azyl polityczny w USA. Syn jednego ze znanych polskich filozofów marksistowskich całe swoje dorosłe życie spędził na służbie u bolszewików, przede wszystkim jako dyplomata, i zawsze uważano go za wiernego, zaufanego towarzysza. Co mu teraz strzeliło do głowy? Może przez jakiś czas był podwójnym agentem?

23 grudnia 1981, Warszawa

Bez choinki, bez szynki,
Bez karpia i prądu,
Z najlepszymi życzeniami,
Od partii i rządu!

Taki wierszyk przyniósł ze szkoły synek moich przyjaciół. Polaków nie opuszcza poczucie humoru, coraz wyraźniej widać, że gardzą juntą i jej poplecznikami. A co najważniejsze: nie boją się! Ziarno zasiane przez Jana Pawła II wykiełkowało i jak tak dalej pójdzie, wkrótce pojawi się zielona łodyga. Czytałem u Lao-cy lub innego mędrca azjatyckiego, że jeśli człowiek ma w sobie żywą gałąź, prędzej czy później usiądzie na niej piękny ptak… Oto haiku nadziei!

Słyszymy, że z Watykanu wysłano delegację pod przewodnictwem kardynała Luigiego Poggiego. Chce się spotkać z Jaruzelskim i Wałęsą. „Ale co może osiągnąć Stolica Apostolska, skoro rząd toczy wojnę z własnym narodem?" – pytam. Odpowiada mi ulica: „Jaruzelski chce się wyspowiadać, zanim Wałęsę ogłoszą świętym…".

Humor humorem, ale nie sądzę, byśmy w następstwie wizyty mogli się spodziewać radośniejszych świąt Bożego Narodzenia. Czeka nas Wigilia pod butem milicyjnym i wojskowym.

Śląskie kopalnie jeszcze się trzymają. W kopalni Piast, pod ziemią, od dziesięciu dni siedzi tysiąc trzystu górników. Maszyny, przenośniki taśmowe, pompy powietrza – wszystko zaminowane. Podobno podłożyli pięć ton trotylu. Będą niezłe fajerwerki, jeśli postanowią wysadzić ładunek.

Junta oczywiście twierdzi, że detonator jest w rękach „garstki ekstremistów i terrorystów z Solidarności", a „wywrotowe elementy" trzymają w szachu setki uczciwych górników. Grają na emocjach ludzkich przy pomocy zmanipulowanych, obliczonych na wywołanie szoku materiałów: płaczące matki, dzieci ze łzami w oczach na ekranie telewizora, milicjanci z jednostek specjalnych głaszczą je po głowach. Maluchy mówią do kamery: „Czekamy na ciebie w domu, tato". Wezwanie to jednak przeznaczone jest bardziej dla władzy aniżeli ojca, który walczy tam, na dole o swoje prawa.

Według serwisów zachodnich do oddziałów okupujących kopalnię zgłosili się księża chcący zjechać do strajkujących górników w Wigilię. Na razie spotkali się z odmową: kto chce świętować, niech wyjedzie na górę. Może po wstawiennictwie Poggiego zgodzą się jednak wpuścić kapłanów…

Wiele rodzin będzie tęsknić przy stole świątecznym nie tylko za ojcem czy matką, ale również za choinką i tradycyjnym postnym karpiem. Trudności z zaopatrzeniem były na porządku dziennym również przed stanem wojennym, a po rybę i drzewko zawsze stało się w kolejce przez kilka godzin. Teraz jednak, gdy granice miast i województw zostały zamknięte, dostawy to jedna wielka loteria. Deficyt towarów bywał wcześniej do pewnego stopnia niwelowany przez prywaciarzy, ci jednak mają teraz znacznie ograniczone pole działania. Więc jeśli mimo to na targach pojawiają się trudno dostępne produkty, ludzie walczą o nie jak o życie. Któregoś dnia widziałem pod Halą Mirowską zdezelowanego stara wypełnionego po brzegi choinkami. Naturalnie od razu otoczył go tłum chętnych. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, a zjawiły się błyskające na niebiesko wozy milicji i przez megafon poinformowano obecnych, że złamali zakaz gromadzenia się. Do akcji wkroczyły „psy": mundurowi z siedemdziesięciocentymetrowymi pałkami w rękach wpadli w tłum, a kierowca stara i jego pomocnik, nim zostali wylegitymowani, zarobili po plecach. Niektórym udało się wymknąć z kupioną choinką pod pachą, wielu jednak padało na ziemię, obejmując drzewko i próbując się osłonić. Dantejskie sceny. W końcu ciężarówka z niesprzedanymi drzewkami w asyście milicji odjechała w nieznanym kierunku. Towarzyszyły temu okrzyki „gestapo" i „faszyści", padające ze strony pozostałych na rynku klientów.

24 grudnia 1981, Warszawa

Znajomy wrócił dziś rano z Gołdapi. To miasto w północno-wschodnim zakątku Polski, przy samej granicy z ZSRS. Piękna, romantyczna okolica, gęsto zalesiony, pagórkowaty krajobraz, świat czystych strumieni i spokojnych wód. Właśnie tam, w głębi lasu, nad brzegiem przeciętego granicą, sporego jeziora, znajduje się ładnie urządzony ośrodek partyjny, który junta przekształciła w obóz internowania dla kobiet. Do tej placówki

trafiła koleżanka Małgosi, żony Karcsiego Tara, też nauczycielka w liceum Reytana. Pani Hania była sekretarką Solidarności w jednej z najlepszych warszawskich szkół średnich. Wraz z mężem tworzą parę porządnych, nieskazitelnych, zawsze pomocnych ludzi, uwielbianych przez uczniów.

Mężowi udało się jakoś załatwić możliwość widzenia jeszcze przed świętami. Pojechał obładowany jak wielbłąd. Zawiózł żonie ciepłe rzeczy, artykuły spożywcze, przybory toaletowe, książki i poświęcone opłatki na Boże Narodzenie. Ich pięcioletnia wnuczka przesłała babci rysunek. Sosna, płatki śniegu, Święty Mikołaj, aniołki, Gwiazda Betlejemska. Kreski narysowane z miłością, po dziecięcemu urocze, kolorowe, a nad nimi wielkie, zamaszyste litery – „Wesołych Świąt, Kasia".

Musiał przejść trzy kilometry od ostatniego przystanku autobusu do obozu po mroźnej leśnej drodze, przeoranej kołami terenówek. Mężczyzna mocno się spocił, nim dotarł do celu. Przy bramie wylegitymował go uzbrojony strażnik, następnie musiał zejść do piwnicy, gdzie został przeszukany: opróżniono mu kieszenie, sprawdzono, co ma w portfelu, rozłożono na części wszystko, co przyniósł, ciasto pokrojono na kawałki, krem Nivea i pastę do zębów przekłuto stalowym drutem. Książek nie pozwolono przekazać osadzonej, choć była to wyłącznie klasyka w wydaniu powojennym. Dyżurna barysznia o orlim spojrzeniu obracała przez dłuższy czas rysunek pięcioletniej dziewczynki w dłoni, przyglądała mu się, skrobała, prześwietlała. W końcu sięgnęła po stempel i przybiła na kartce: „Ocenzurowano". Babcia Hanka ze łzami w oczach przyciskała do piersi oszpecony fioletową pieczęcią malunek i mówiła: „Jak wrócę do domu, oprawię go i powieszę nad łóżkiem".

Mężczyzna zszedł z nami na dół, bo musiał wyprowadzić psa, małego jamnika. Gdy przed domem odpiął smycz, szczeniak z radości zaczął podskakiwać w nazbyt głębokim jak na jego krótkie łapy śniegu, po czym potruchtał na drugą stronę ulicy, zaczął węszyć, przykucnął i załatwił swoją potrzebę.

Trzy metry dalej, nad dwoma stopniami znajdowały się pokryte parą, ponure, przeszklone drzwi z kratą. Ze środka sączyło się niebiesko-fioletowe światło jarzeniówki, a w nim kołysał się cień w czapce mundurowej. Obok czerwona emaliowana tabliczka z białym napisem odbijającym się od ściany informowała, że mieści się tu posterunek milicji.

Starszy pan uśmiechnął się z nieudawaną dumą:

– Od trzynastego grudnia Porzeczek załatwia się tylko tam, nauczyłem go…!

Postna kolacja wigilijna u teściów nijak nie wskazywała na to, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Helenka od tygodni gromadziła w lodówce i na balkonie swoje tradycyjne smakołyki. Wstydziłem się własnego szczęścia. Podczas gdy ja opychałem się jak głupi, wielu nie dostało nawet kawałka świątecznej ryby…

Według informacji RWE oddziały wojska spacyfikowały Hutę Katowice. No to mamy małą pokojową stabilizację na Wigilię! Stany Zjednoczone z kolei zaskoczyły warszawskich komuchów prezentem świątecznym: wprowadziły wiele sankcji gospodarczych wobec kraju. Przynajmniej oficjalnie. Po cichu pewnie pozwolili swoim biznesmenom

na pokątne handelki z czerwonymi, dam sobie rękę uciąć, że kiedyś wyjdzie to na jaw. Banda obłudników!

Jaruzelski lamentuje w telewizji: wygłasza uroczyste przemówienie do rodaków, prosi, by zrozumieli, że nie miał innego wyjścia, jak tylko wprowadzić stan wojenny, aby zapobiec bankructwu państwa i tragedii narodowej. Co za drań! To on i jego poplecznicy są prawdziwą tragedią dla narodu! Głowa mojego teścia niemal spadła z tułowia od ciągłego potakiwania, patrzył na nas z rozpromienioną twarzą: „Widzicie, jakiego mam przywódcę?". Najchętniej wyrzygałbym się na ten jego stary bolszewicki łeb!

Na dzisiejszą noc zniesiono wyjątkowo godzinę milicyjną. Czerwoni wiedzą, że choćby stanęli na głowie, ludzie i tak pójdą o północy na pasterkę.

I faktycznie, po jedenastej wieczorem na ulicach Warszawy zrobiło się tłoczno jak za dnia, jak w czasach pokoju. Do kościoła ruszyli nawet ci, którzy wcześniej nigdy tego nie robili. Aby przynajmniej w ten sposób zamanifestować, że jesteśmy, żyjemy, wierzymy i nie upadamy na duchu. Nawet jeśli na każdym skrzyżowaniu stoi ciemny transporter opancerzony, wóz bojowy albo jeep.

– Przemoc to odwaga ludzi tchórzliwych – zabrzmiało z ambony, a kiedy przekazywaliśmy sobie znak pokoju, na dobrych kilka minut zastygliśmy, trzymając się za ręce. Odezwała się w nas jakaś nieznana, pierwotna siła, wyzwolona w tysiącach splecionych dłoni: co nam mogą zrobić ci tam, na dworze, nędzni myśliwi z karabinami maszynowymi! Cóż to za nieszczęsna zgraja łotrów wobec wielkiej, powszechnej miłości, która nawet im jest w stanie przebaczyć!

– Starajcie się zło dobrem zwyciężać – powiedział kapłan na koniec.

Wierni wylewali się z kościołów Starówki, starali się omijać z obu stron stojący przy Krakowskim Przedmieściu wóz opancerzony – jak potok omija kamień. Grzejący się przy koksownikach żołnierze i milicjanci patrzyli z wrogością na wezbrany tłum.

Podeszła do nich ubrana na czarno staruszka. Rozchyliła czystą białą chusteczkę i rozdała poświęcone opłatki. Mundurowi ze zdumieniem przecierali oczy, po czym zdejmowali czapki, łamali się opłatkiem i obejmowali kobietę. Starsza pani na odchodnym nakreśliła znak krzyża na czole każdego z nich.

Potem porwała ją fala ludzi, ale żołnierze wciąż trwali w miejscu bez słowa, z gołymi głowami. Stali wokół koksownika – oniemiali, ściskali w dłoniach futrzane czapy.

Gwiaździsta, bezchmurna, przenikliwie mroźna noc. Wracając do domu, zastanawiałem się, czy ostatecznie pozwolono kapłanom zjechać w Wigilię do strajkujących górników.

28 grudnia 1981, Warszawa

„Kamień z serca" – zdawał się mówić spiker w telewizji, ogłaszając, że tysiąc siedemdziesięciu czterech górników ze śląskiej kopalni Piast po dwóch tygodniach „w końcu" zawiesiło podziemny strajk, „zrozumiawszy, że dalszy upór nie ma sensu". Oczywiście nie dodał, ilu z nich zostało aresztowanych, pobitych, wyrzuconych z pracy i straciło w ten sposób źródło utrzymania.

30 grudnia 1981, Warszawa

Junta podarowała nam prezent noworoczny! Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON) zwróciła się do sejmu o powołanie Trybunału Stanu. Miałby postawić przed sądem tych, którzy w latach siedemdziesiątych przyczynili się swoimi działaniami i decyzjami do obecnego kryzysu w kraju. Mamy uwierzyć, że ktokolwiek zapłaci za to głową? Dajcie spokój! Przecież kruk krukowi, a właściwie wrona wronie oka nie wykole! Wiem, że już o tym pisałem, ale *repetitio est mater studiorum*: jeśli do skrótu WRON dodamy samogłoskę „a", powstaje „wrona". Nazwa ta stała się źródłem wielu żartów, tym bardziej że zdrajca Jaruzelski pochodzi z drobnej szlachty, która pieczętowała się herbem Ślepowron. Sam tymczasem nosi przyciemnione okulary, jak niewidomi. Polacy nazywali też wroną czarnego orła hitlerowców. Jest więc coś na rzeczy.

31 grudnia 1981, Warszawa

Zrobiłem porządne zakupy w peweksie, szykujemy się z kumplami na swoisty taniec śmierci w noc sylwestrową, to znaczy planujemy ostre, rozpaczliwe pijaństwo. Mamy już amunicję. Hm, wolałbym mieć ostrą! Z jaką radością strzelałbym w głowy bolszewickich złoczyńców! Wygląda na to, że na razie sam sobie walnę w łeb i powinienem właściwie zamówić na jutro księdza, tak wielkiego będę mieć kaca.

Zanim zaczną się schodzić goście, zapisuję szybko, co usłyszałem w radiu. Gdańszczanin Antoni Browarczyk, którego 17 grudnia postrzelono w głowę, zmarł po tygodniu leżenia w śpiączce. Tak brzmi wersja oficjalna. Rodzina twierdzi jednak, że ich bliski nie żył już, gdy przyjmowano go do szpitala. Tajniacy nie wpuścili nikogo do środka i przez dwa tygodnie krewni nie mieli dostępu do rannego. W końcu wydano im ciało i łaskawie zezwolono na pogrzeb z zastrzeżeniem, że zmarły ma być pochowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Aby nie było czasu na zorganizowanie demonstracji. Ponieważ telefony nie działały, zawiadomiono tylko najbliższych członków rodziny. Wyobrażam sobie, jaki nastrój musiał panować wśród żałobników… Boże, czy tych drani można nazwać ludźmi?! Jeśli tak, to ja się wypisuję z rodu ludzkiego!

INDEKS OSÓB

Ablewicz Jerzy 209
Achmatowicz Mustafa 139
Achmatowicz Osman 139
Aczél György (właśc. Henrik Appel) 20, 167, 245
Ady de Diósad Endre 287
Aleksander III Romanow 362
Ali Ağca Mehmet 313, 315
Ali Muhammad 271
Almosz (węg. Álmos), książę 246
Amalrik Andriej 235
Amir 307, 308, 311
András 166
Andropow Jurij 312
Andrzej, ks. 202
Andrzejewski Jerzy 14, 126, 159–164, 211
Anna Wazówna 255
Appel Henrik zob. Aczél György
Arany János 71
Aristow Borys 262, 267
Arpad, książę 120, 133, 246, 253
Arpadowie, dynastia 120, 246
Artur 147, 148
Asperján Gyuri 36, 39, 69, 164–166, 177, 244
Astaire Fred 235
Attila 16–20
Attyla 248
Augustyn, św. 230
Bába Iván 52, 75, 78, 95, 159, 163, 167, 171, 245, 276, 277, 284, 286
Babiuch Edward 238, 239, 267
Baczyński Krzysztof Kamil 134
Baden-Powell Robert 12
Bajan I, kagan Awarów 248
Balassi Bálint 19, 140, 188, 189, 220
Barańczak Stanisław 58, 285
Barcikowski Kazimierz 314
Bartha László 109, 112–114
Bartoszczy Michał 306
Bartók Béla 176
Bazylow Ludwik 126
Beke György 126
Béla 131
Bellotto Bernardo zob. Canaletto
Bem Józef 71, 119, 172
Benes Brzeziński Emilie 252
Bengsch Alfred 209
Bergerac Cyrano de 77
Berinkey Dénes 90
Bernát Löwinger György zob. Lukács György
Białostocki Jan 351
Bibó István 346, 347
Biermann Wolf 58
Blumsztajn Seweryn 267
Bohdanowicz Ali 139
Bohdanowicz Arslan 139

Bojár Sanyi 131
Bojárowie 130
Borbándi Gyula („Ernő Gyulai") 290, 302, 318, 326, 337–340
Borowczyk Walerian 239
Borowski 165, 166
Brandys 211
Bratkowski 352
Bréquet Bruno 302
Breżniew Leonid 35, 125, 201, 202, 219, 231, 262, 283, 312, 313, 315, 346, 356, 366–368
Browarczyk Antoni 366, 374
Brown John 321, 324
Broz Tito Josip 237, 359
Brzeziński Zbigniew 251, 252
Bucharin Nikołaj 344
Bujak Zbigniew 306, 359
Bułhakow Michaił 64, 176, 362

Canaletto (właśc. Bernardo Bellotto) 33
Carlos 302
Casaroli Agostino 202, 209, 314
Cassalia Carmelo 169–171
Ceaușescu Nicolae 274
Celiński Andrzej 306
Che Guevara zob. Guevara Ernesto
Chojecki Mirosław 254, 260, 267, 285
Chomeini Ruhollah 313
Chopin Fryderyk 176
Chruszczow Nikita 222, 312
Churchill Winston 117
Cooper James Fenimore 167
Csapláros István (Pista) 24, 126, 127
Cseh Tamás 369
Csermák Béla 191
Csoóri Sándor 143
Csorba Tibor 126
Cunningham Chris 324, 325
Cyrankiewicz Józef 46, 352
„Czarny Piotruś" zob. Jaroszewicz Piotr
Czechow Anton 216
Czerny-Stefańska Halina 176
„Czerwony Książę" zob. Jaroszewicz Andrzej
Czuma Andrzej 49
Czyrek Józef 314

Danusia 49–51
Dayka Margit 85
Delon Alain 169
Dickens Charles 293, 294
Dicső Feri 19
Dinnyés József (Jóska) 50
Diósi Lajos 38
Dobkowski Jan 57
Dobraczyński Jan 139
Domány András 37, 189
Dörnyei László 284
Dorota 40
Dostojewski Fiodor 15
„Dziadek" zob. Marusarz Stanisław
Dzierżyński Feliks 46
Dziwisz Stanisław 313

Edkowie 19
Eisenhower Dwight D. 359
Engelmayer Ákos 21, 23–25, 35, 43, 70, 124, 125, 127, 143, 145, 167, 171, 180, 184, 187, 188, 196, 210, 212, 217, 274–276, 287, 352–355, 359
Engelmayer Andrzej 70, 275, 354, 355
Engelmayer Urszula 70, 354
„Ernő Gyulai" zob. Borbándi Gyula
Eryk Rudy 114

Faludy György 287
Faludyné Szita Margit 37–39, 189
Fehér Pál E. 338
Fejes Endre 169, 246
Felczak Wacław 167, 168

Ferike 166
Filippo Eduardo de 165
Fischer György 284
Fodor György 284
Forsyth Frederick 182, 183
Franco Francisco 353
Franklin Aretha 310
Fryderyk Ludwik 160
Furkó, kpt. 195

Gabi 131
Gaj 166
Gálné 197–199
Garamvölgyi Károly 143
García Márquez Gabriel 182
Gáspár Sándor 270
„Gąska" zob. Gęsik
Geograf Bawarski 247
Geremek Bronisław 266
Gębowicz („Święty") 105
Gęsik („Gąska") 103–106
„Gibson Lavery" zob. Rejtő Jenő
Gierek Edward 13, 14, 32, 35, 150, 152, 178, 179, 202, 230, 231, 235, 238, 239, 262, 265, 267, 269, 272, 278, 291, 293
Gieysztor Aleksander 360
Glemp Józef 357
Goebbels Joseph 271
Goethe Johann Wolfgang 15
Golińska-Engelmayer Krystyna 275, 354
Gömöri György 284, 286, 290
Gomułka Wiesław 13, 14, 97, 242, 291
Gorki Maksim 216
Görömbei András 177
Gosia 166
Gośka (Małgosia) 39, 40, 80, 179, 334, 351–353, 360
Grabowska Elżbieta 246
Gray Joseph 209
Gruchmann 89–91, 96
Grygieńcze 96
Gucwa Stanisław 314
Guevara Ernesto (Che) 191
Gwiazda Andrzej 75, 264
Gyuri, wujek 108–110

Habsburgowie 14, 77
Hammer Armand 361, 362
Hania, kioskarka 150
Hania (Hanka), sekretarka „Solidarności" 372
Harasymowicz Jerzy Tadeusz 139
Hárs 196, 211
Határ Győző 284
Hegedüs Tibor 165
Helenka 40, 44–48, 178, 205, 269, 270, 360, 372
Heller Joseph 95, 216, 217
Hemingway Ernest 121
Heniek, rolnik 154
Heniek, warszawiak z Hatch Endu 304, 305
Heniek, warszawiak z Pragi 102–106
Herodot 248
Hitler Adolf 27, 59, 91, 98, 159, 255, 339
Honecker Erich 179, 273, 356
Horthy Miklós 59, 61, 113
Husák Gustáv 35, 75, 179, 356
Huszárik Zoltán 85
Huzik Władysław 53–57, 65–68

Illyés Gyula 61, 143
Inci 108
Ionesco Eugène 367
Ipnarski Edward 20, 34, 43, 44, 278, 231, 232, 235, 282
Iwan IV Groźny 153
Iwaszkiewicz Jarosław 55, 79, 126, 159, 162, 163, 167, 169, 228, 230

Jabłoński Henryk 202, 292, 314

Jacek, brat Moniki 307, 318, 325–327
Jacek, szwagier 29, 31, 32, 40, 98, 142
Jadwiga 114
Jadwiga Andegaweńska 119
Jagielski Mieczysław 262, 266, 268, 269
Jagoda Gienrich 52
Jakubiuk Jerzy 49, 81, 127, 348
Jan III Sobieski 139
Jan Paweł II (właśc. Karol Wojtyła) 123, 124, 133, 127, 180, 201–210, 260, 267, 269, 292, 312–315, 317, 356, 357, 370
Janda Krystyna 34
Janek, dozorca 368, 369
Janek, góral 305
Jankowski Henryk 264, 292
Janne 108, 109
Jantar Anna 246
Jaózsi 16
Jaroszewicz Andrzej („Czerwony Książę", „Mały Jaro") 149, 238, 242
Jaroszewicz Piotr („Czarny Piotruś") 149, 150, 235, 238, 239, 241, 242, 293
Jaruzelski Wojciech 263, 283, 290, 293, 306, 311, 315, 352–354, 357, 360, 363, 365, 370, 373, 374
Jarzembowski Tadeusz 315, 316, 318, 319, 321, 337, 340
Jeljasiewicz Mahmud 139
Jeljaszewicz Aleksander 141
Jerzyna Zbigniew 56, 57
Jill 321, 325
Jola 67, 69
Jones James 230
Jozajtis Halina (od Piotrka?) 58, 170?, 246
Józek, warszawiak 30–32
Józek, z urzędu celnego 116
József Attila 71, 117, 171, 172, 287
Jóźwiakowie 45
Juhász Ferenc 159
Jurczyk Marian 306
Jurek (Jureczek, Jerzyk?) 30, 49?, 54
Jurkiewicz Elżbieta 280, 281
Jurkiewicz Jerzy 279–283, 294–301, 304

Kádár János 12, 14, 24, 25, 35, 37, 76, 77, 109, 156, 178, 179, 190, 277, 290, 312, 353
Kafka Franz 181, 183
Kamieniew Lew 344
Kamiński Wojciech 277
Kamocki Etelka 58
Kania Stanisław 269, 271, 275, 277, 283, 311
Kantorski Leon 260
Kara Mustafa 139
Karasek Krzysztof 54, 206, 276, 277
Karmal Babrak 367
Károlyi Mihály 90
Karuzas 163
Katalin T. 59–63
Kazik, warszawiak 104
Kazio, lekarz 50
Kęcik Wiesław 267
Kisielewski Stefan 239, 285
Kiss Csaba Gy. 125–127, 164, 167, 168, 171, 177, 241
Kleiner Juliusz 160
Koenig Franz 209
Koenig Jerzy 210, 212, 213
Kollin Feri 177
Kolumb Krzysztof 223
Konwicki Tadeusz 158, 211, 221
Kopernik Mikołaj 128
Kornhauser Julian 54
Koro 166
Koroknay Edit 107, 111, 112, 115, 182
Kossuth Lajos 14, 25, 242
Kościuszko Tadeusz 14
Kovács, dziadek 41
Kovács Gitta 324
Kovács István (Pista) 54, 127, 167, 168, 171, 177, 241

Kovács Kati (Katalin Anna Sarolta) 336
Kovácsowie 296
Kozakiewicz Władysław 261, 262
Królikowska Hanna (Hanka?) 76–80?, 120, 121, 133?, 162?
Krúdy Gyula 22, 41, 85, 178, 233
Kubrick Stanley 121
Kulikow Wiktor 311
Kułaj Jan 303
Kun Béla 61, 172
Kuroń Jacek 265, 267

Laci, student 189
Laci, wujek 131
Lao-cy 370
Latinovits Zoltán 85
„Lavery" zob. Rejtő Jenő
Lawson Lesley zob. Twiggy
Lengyel Péter 144
Lenin Włodzimierz 155, 158, 160, 180, 264, 271, 343, 344, 354, 357, 361–363
Lennon John 282
Leszek 39, 40, 136, 140, 147, 334, 351, 353
Lilusia 87, 88
Linder Béla 90
Lippóczy Kornelia 173–175
Lippóczy Norbert 126, 173–175
Lippóczy Norbert, senior 173
Lippóczyowie, rodzina 173
Lipski Jan Józef 260
Lis Bogdan 264, 276, 316
Lityński Jan 267
Lomax Bill 284
Lorentz Stanisław 139
Lucia, s. 313
Ludwik 58
Ludwik Węgierski 119
Lukács György (właśc. György Bernát Löwinger) 343, 344
Łabentowicz Marcin 306
Łukasz 360
Łukaszewicz Jerzy 293

Mach Stanisław 305
Macharski Franciszek 208, 292, 315, 317
Machay Karol 175
Mackensen August von 90, 91
Madách Imre 59
Madocsay László 38, 287
Mahomet 141
Maja (Maria?) 19? 58
Majakowski Władimir 110, 224, 354
Malraux André 160
„Mały Jaro" zob. Jaroszewicz Andrzej
Mann Thomas 171, 246
Margócsy István 143
Maria Ludwika Habsburg-Este 191
Maritain Jacques 160
Marks Karol 158, 264
Marton Irén 31, 94, 184
Martonowie 132
Marusarz Stanisław („Dziadek") 168
Marusarzówna Helena 168
Marysia 355
Matyja Stanisław 317
Mauriac François 160
May Karol 167
Mazowiecki Tadeusz 266
Michał Anioł (właśc. Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni) 301
Michnik Adam 265, 267, 277
Mickiewicz Adam 71
Miklós 112, 113
Miklós Gábor 342
Mikołaj II Romanow 362
Milczewski-Bruno Ryszard 53–56
Miłosz Czesław 160, 269, 272, 285, 290–292, 356
Młynarski Wojciech 154

Moczulski Leszek 49, 155, 157, 158
Molnár Ferenc 288
Molnár József 337
Molnár, płk 186, 187
Monika 280–283, 292–297, 307, 313, 317, 318, 325
Montini Giovanni zob. Paweł VI
Mounier Emmanuel 160
Móricz Zsigmond 287
Mrożek Sławomir 305
Müller 166
Munkácsi Miklós 78, 171
Muratowicz Ahmed 140
Murza Krzeczowski Samuel 139

Nádas Péter 196
Nagy Imre 14, 24, 25, 192, 315, 343, 347
Nagy László 159
Napoleon Bonaparte 255
Németh László 143, 179, 346
Newman Paul 49
Nokta Pista 198, 199
Nowak Jerzy Robert 127
Nowak Tadeusz 159, 160, 163, 167, 169

Olbrychski Daniel 292
Orwell George 125, 158, 162, 231, 271, 301, 363

„P. Howard" zob. Rejtő Jenő
Pákh Tibor 260
„Pan Kropelka" 226, 227
Pasek Jan Chryzostom 7
Pastuszek Andrzej 78–80, 98, 106, 245, 246
Paszkowski Jan 284, 286, 290
Pataki István 143, 145, 196, 211, 213
Paweł VI (właśc. Giovanni Montini) 31
Pawluczuk Andrzej 136, 138, 139, 141, 142, 225, 241, 245, 346, 347, 351–353
Pawluczuk Marta 225
Penderecki Krzysztof 292
Petőfi Sándor 71, 172
Piasecki Sergiusz 171
Piasecki Stanisław 160
Pierce Peter 321, 324
Pietruszka Bogdan 266, 292
Pilinszky János 196
Piłsudski Józef 14, 26, 133, 314
Pimpek 51
Pinochet Augusto 353
Pińkowski Józef 267
Piotr, św. 123
Piotrek 170
Piotrowski Szymon 162
Piwowski Marek 239
Poggi Luigi 370
Polónyi Péter 286
Pośpiech 122
Potocka Janina 321, 324
Potocki Stanisław Kostka 285
Pós Sándor 166
Pragier Ruta 59, 61
Proust Marcel 197
Psota Irén 62
Puskás Ferenc 310
Pyjas Stanisław 52, 58
Pyka Tadeusz Hyacynt 265

Quisling Vidkun 266

Radziwiłowicz Jerzy 341
Rajk László 284
Rakoczy Franciszek 14, 245
Rákosi Mátyás 222, 259, 284, 312
Rakowski Mieczysław 263, 306, 314
Ratzinger Joseph 209
Reagan Ronald 356, 358, 359, 363
Rejtő Jenő („Lavery", „Gibson Lavery", „P. Howard") 93, 101, 217, 226, 310
Rembieliński Wiesław 247–253

Reymont Władysław 285
Rimbaud Arthur 171
Romanowowie 362
Romaszewski Zbigniew 267
Rosiewicz Andrzej 235
Rulewski Jan 305, 306
Rutkiewicz Wanda 123

S. Anna 59
Sacharow Andriej 237
Sándor 97
Sárközi Márta z d. Molnár 288
Sárközi Mátyás 284, 286, 287, 290
Sashdi 307, 308
Schöpflin Aladár 287
Schöpflin György 284, 286, 287
Segal 66–69
Shirley 324
Siedlecki Franciszek 160
Sienkiewicz Henryk 7, 135, 139, 285
Sierow Iwan 312
Siklós István 284, 286, 288, 290
Sikorska Natalia 50, 51
Sikorski Tomasz 50
Skolimowski Jerzy 57, 121, 239
Sołżenicyn Aleksander 315, 367
Somogyi Imre 179
Somossy János 38
Somoza García Anastasio 353
Soros George 363
Spasowski Romuald 370
Springenzeiss-Szalai Zsiga 31, 89, 90, 92, 93, 184, 185, 187
Stachura Edward („Sted") 54, 55
Stalin Józef 11, 52, 61, 98, 99, 175, 242, 272, 278, 312, 344
Stanisław, św. 204, 209
Stasiek 135
„Sted" zob. Stachura Edward
Stefan Batory 119
Stokes 324
Stroba Jerzy 317
Strumiłło Rafał 301, 332
Strzałkowski Roman 317
Suchodolska Marta 162
Susłow Michaił 312
Swianiewicz Witold 319–321
Szabó László (Laci) Cs. 284, 286–288, 290, 302, 318, 326, 337
Szalai Attila („Szasza") 7, 8, 53, 57, 88, 132, 160, 165, 258, 329
Szalai Csaba 21, 130, 177, 190, 222, 223, 278, 301
Szalai Jolanta passim
Szalai Kálmán Miklós 12, 37, 38, 85, 90, 91, 93, 117, 130–133, 184, 192, 198, 204, 222–224, 279, 338, 351
Szalai Tamás 284
Szász Béla 284
„Szasza" zob. Szalai Attila
Széchenyi István 242
Széchenyi Zsigmond 301
Szelényi Iván 201
Szeratics Elka 246
Szeratics Péter (Peti) 37, 279, 332
Szukszyn Wasilij 356
Szydlak Jan 293

Ślusarski Tadeusz 261
„Święty" zob. Gębowicz

Tacyt 8
Tajcs Laci 167
Tamás 113
Tar Károly (Karcsi) 24, 70, 124, 134, 150, 197, 204, 206, 212, 217, 359, 364
Tar Małgorzata 150, 364, 372
Tata (Miecio) 40, 43–48, 69, 93, 94, 98, 178, 205, 269, 270, 360
Terényiowie, rodzina 354

Terényi Éva 276
Termer Janusz 143
Teyszerski 81
Thiandoum Hyacinthe 209
Tola 217, 219, 232
Tom 301, 304, 307, 344
Tomášek František 209
Tompa Mihály 336
Tompos Tibi 329, 330, 334
Töpi (Ica) 108
Török József 348, 349
Traugutt Romuald 221
Trefort Ágoston 247
Trocki Lew 344, 362
Tuchaczewski Michaił 133
Turowicz Jerzy 285
Tuwim Julian 149
Twiggy (właśc. Lesley Lawson) 67
„Twojamać" 226, 227

Umiński Zdzisław 81

Vargas Llosa Mario 182
Várnai Zseni (właśc. Eugénia Weisz) 367
Varró Barna 276
Varsányi István (Pista) 70
Vian Boris 367
Vörösmarty Mihály 60, 77

Wajda Andrzej 63, 101, 162, 239, 268, 340
Walentynowicz Anna 263, 264, 266, 270
Wałęsa Lech 263–266, 268, 270, 271, 274, 276, 292, 303, 306, 311, 314–317, 341, 357, 359, 370
Wanda 38, 85, 90, 91, 192
Wanda (pani Tycjanowa) 84, 86, 88, 89, 94, 96, 164, 166
Waślicki Piotr 21, 22, 80, 219, 221, 251
Weisz Eugénia zob. Várnai Zseni
Weöres Sándor 71
Wereszycki Henryk 168
Wiktoria Luiza Pruska 91
Wilhelm II Hohenzollern 90, 91
Wilhelm V Bawarski 339
Willman Marcin 367
„Wisieńka" 30–32
Witek 364
Włodek 52, 147, 355–357
Wojtek 86
Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
Wolf Bartłomiej 81
Wołkow Konstantin 261
Worowska Teresa 81
Woźniakowski Jacek 285
Wróblewski Andrzej 241
Wujec Henryk 267
Wyspiański Stanisław 162
Wyszyński Stefan 125, 202, 204, 208, 210, 267, 270, 273, 314, 315

Zabłocki 122
Zadura Bohdan 125, 127
Zagajewski Adam 54
Zanussi Krzysztof 239, 272
Zinowjew Grigorij 344
Zosia 280
Zsuzsa, ciocia 130–132, 223
Zsuzsa 166
Zsuzsi, córka wujka Gyuriego 108, 109
Zsuzsi, córka wujka Laciego 130
Zygmunt III Waza 255

Żiwkow Todor 356
Żółkiewski Stefan 160
Żukow Gieorgij 312
Żukrowski Wojciech 160